

ANDERS  
**ROSLUND**  
BÖRGE  
**HELLSTRÖM**

S E K U N D Y

ALBATROS

ANDERS  
**ROSLUND**  
BÖRGE  
**HELLSTRÖM**

S E K U N D Y

Z szwedzkiego przełożył  
WOJCIECH ŁYGAŚ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

ANDERS ROSLUND  
(1961)

BÖRGE HELLSTRÖM  
(1957–2017)

Duet szwedzkich autorów, który zasłynął thrillerami odznaczającymi się wyjątkowym realizmem. Roslund to znany dziennikarz specjalizujący się w tematyce społecznej i kryminalnej. Hellström był założycielem organizacji na rzecz zapobiegania przestępczości, zajmującym się problematyką szwedzkiego systemu penitencjarnego. Wspólnie napisali siedem powieści. Zadebiutowali w 2004 roku thrillerem **Bestia**, który został uznany za przez Szwedzką Akademię Literatury za Najlepszą Powieść Kryminalną Roku, podobnie jak opublikowane pięć lat później **Trzy sekundy**.

Obie powieści zostały sfilmowane; w ekranizacji tej drugiej, z 2019 roku, wystąpili Joel Kinnaman, Clive Owen, Rosamund Pike, a z polskich aktorów – m.in. Mateusz Kościukiewicz.

**Trzy sekundy** zapoczątkowały cykl powieści z Pietem Hoffmannem. Kolejne to **Trzy minuty** i **Trzy godziny**.

*Tych autorów*

DZIEWCZYNA, KTÓRA CHCIAŁA SIĘ ZEMŚCIĆ  
ODKUPIENIE  
DZIEWCZYNA W TUNELU  
BESTIA  
DWAJ ŻOŁNIERZE

**Z Pietem Hoffmannem**

TRZY SEKUNDY  
TRZY MINUTY

oraz wkrótce

TRZY GODZINY

Tytuł oryginału:  
TRE SEKUNDER

Copyright © Anders Roslund & Börge Hellström 2009  
All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Wojciech Łygaś 2012

Redakcja: Joanna Morawska

Zdjęcie na okładce: Georgios Tsihlis/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-724-4

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

tel. 691962519

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

# Spis treści

O autorach  
Tych autorów  
Dedykacja

## CZĘŚĆ PIERWSZA

NIEDZIELA

PONIEDZIAŁEK

WTOREK

ŚRODA

## CZĘŚĆ DRUGA

CZWARTEK

PIĄTEK

## CZĘŚĆ TRZECIA

PONIEDZIAŁEK

WTOREK

ŚRODA

CZWARTEK

PIĄTEK

## CZĘŚĆ CZWARTA

SOBOTA

NIEDZIELA

## CZĘŚĆ PIĄTA

DZIEŃ PÓŹNIEJ

JESZCZE JEDEN DZIEŃ PÓŹNIEJ

JESZCZE JEDEN DZIEŃ PÓŹNIEJ

KOLEJNY DZIEŃ PÓŹNIEJ

Od autorów

Vanji,  
która uczyniła nasze książki trochę lepszymi



# CZĘŚĆ PIERWSZA

NIEDZIELA

DO PÓŁNOCY ZOSTAŁA jeszcze godzina.

Mimo późnej wiosny było ciemniej, niż się spodziewał. Najczarniejsza wydawała się woda, jak powłoka, która stoi na przeszkodzie ku temu, co zdawało się pozbawione dna.

Nie lubił statków ani łodzi, a może po prostu nie rozumiał morza. Zawsze gdy wiało tak jak teraz, marzył. Świnoujście dość powoli znikało za linią horyzontu. Zazwyczaj stał wtedy z dłońmi zaciśniętymi na relingu i czekał, aż domy przestaną przypominać domy i zamienią się w zwykłe czworokąty, które znikną ostatecznie, gdy otaczająca go ciemność zgęstnieje jeszcze bardziej.

Miał dwadzieścia dziewięć lat i bał się.

Słyszał ludzi, którzy mijali go z tyłu. Oni też byli w drodze. Noc, kilka godzin snu i obudzą się w innym kraju.

Pochylił się i przymknął oczy. Czuł się tak, jakby każda kolejna podróż była gorsza od poprzedniej. Jego umysł zdawał sobie sprawę z ryzyka tak samo jak jego ciało. Drżące ręce, krople potu na czole i gorące policzki, choć marzył w silnych podmuchach wiatru. Jeszcze dwie doby. Za dwie doby znowu będzie stał w tym miejscu, ale wtedy będzie już wracał. I znowu zapomni o swojej przysiędze, że nigdy więcej tego nie robi.

Puścił poręcz i otworzył drzwi. Fala ciepła doprowadziła go do dużych schodów, po których nieznani mu ludzie szli do swoich kajut.

Nie chciał iść spać. Nie mógłby zasnąć, jeszcze nie teraz.

Bar nie był zbyt duży. Prom m/f *Wawel* nie należał do największych jednostek kursujących między północną Polską a południową Szwecją. Byle jakie stoły i krzesła z czterema marnymi szczeblami udającymi oparcie na plecy nie zachęcały, żeby posiedzieć tu dłużej.

Nadal się pocił. Drżącymi palcami z trudem utrzymywał kanapkę i szklankę z piwem. Gapił się przed siebie i starał się nie okazywać strachu. Dwa łyki piwa, kawałek sera... nadal było mu niedobrze, ale miał nadzieję, że smak tego, co zje i wypije, pomoże pozbyć się mdłości. Najpierw duży, tłusty kawałek wieprzowiny. Musi coś zjeść, żeby żołądek ułożył mu się odpowiednio w brzuchu. Potem jeszcze to coś żółtego, ukrytego w brązowej gumowej masie. Połykał to dwieście razy, a oni dokładnie liczyli. Robił to tyle razy, że w końcu zadrapał sobie przełyk.

– Czy podać panu coś jeszcze?

Młoda kobieta za kontuarem popatrzyła na niego, ale pokręcił głową. Nie teraz, ani kęsa więcej.

Policzki przestały być już takie gorące. W lusterku wiszącym koło kasy ujrzał bladą twarz. Odsunął od siebie po blacie kontuaru talerzyk z nienapoczętą kanapką i pełną szklanką tak daleko, jak to było możliwe, i wskazał na niego palcem. Kelnerka domyśliła się, o co mu chodzi, i położyła wszystko na półce obok innych naczyń przeznaczonych do zmywania.

– Postawić ci piwo?

Jakiś facet w jego wieku, trochę pijany, ktoś, kto chce z kimś pogadać, żeby tylko nie czuć się samotnym. On nadal gapił się wprost przed siebie, oglądał blade odbicie w lustrze i nawet się nie odwrócił. Nie bardzo wiedział, kto go nagabuje i dlaczego; ktoś usiadł po prostu obok i udaje, że jest pijany, chce postawić piwo, więc może zna cel jego podróży. Położył dwadzieścia euro na srebrzystym talerzyku na paragony i wyszedł z tego przygnębiającego miejsca z pustymi stolikami i bezsensowną muzyką.

Miał ochotę krzyczeć z pragnienia, szukał językiem więcej śliny, żeby w ustach nie było tak sucho. Nie miał odwagi się napić z obawy, że poczuje się jeszcze gorzej, że nie będzie w stanie powstrzymać w żołądku wszystkiego, co zjadł.

Musi opanować odruch wymiotny, bo inaczej... wiadomo, co się stanie. Będzie trupem.

SŁUCHAŁ ŚPIEWU PTAKÓW o zwykłej porze, gdy późnym popołudniem ciepłe powietrze napływające znad Atlantyku ustępuje miejsca kolejnemu chłodnemu wieczorowi. To właśnie tę porę dnia lubił najbardziej. Zrobił już to, co miał do zrobienia, ale wcale nie czuł się zmęczony. Ma jeszcze kilka godzin, zanim pójdzie spać, zanim ułoży się w wąskim hotelowym łóżku i spróbuje zasnąć w pokoju, w którym nadal był samotny.

Erik Wilson wystawił twarz na ciepłe podmuchy wiatru, przymknął na chwilę oczy, żeby nie oślepił go silny blask reflektorów zalewających całą okolicę zbyt jaskrawym światłem. Odchylił się i zaczął ostrożnie sikać na potężne słupy, przez które i tak już wysokie drucziane ogrodzenie wydawało się jeszcze wyższe. Z trudem zapanował nad dziwnym uczuciem, jakby ogrodzenie na niego upadało.

Z odległości około dwustu metrów dobiegły go głosy ludzi, którzy przechodzili wielkim wyasfaltowanym placem zalany światłem reflektorów.

Sześciu ubranych na czarno mężczyzn przed chronionym obiektem i obok niego, z tyłu – siódmy.

Czarny samochód powoli jechał za nimi.

Wilson z zaciekawieniem obserwował każdy ich krok.

Transport obiektów chronionych. Transport na otwartej przestrzeni.

Nagle rozległ się zupełnie inny dźwięk. Tak, ktoś użył broni. Ktoś wymierzył i strzelił precyzyjnie w grupę idących ludzi. Wilson stał nieruchomo i ujrzał, jak dwaj ubrani na czarno mężczyźni znajdujący się najbliżej chronionego obiektu rzucają się na niego i przewracają na ziemię. Czterech pozostałych odwraca się i spogląda w kierunku, z którego rozległ się strzał.

Zrobili to samo co Wilson, to znaczy starali się zidentyfikować broń, nasłuchując.

Kałasznikow.

Strzał oddano z pasażu między dwoma niskimi domami, czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów od tego miejsca.

Ptaki, śpiewające jeszcze przed chwilą, odleciały. Nawet ciepły wiatr, który niedługo zrobi się zimny, też gdzieś znikł.

Wilson stał w miejscu, obserwował przez ogrodzenie każdy ruch i wsłuchiwał się w ciszę. Ubrani na czarno mężczyźni odpowiedzieli ogniem, samochód znacznie przyspieszył i zatrzymał się obok

chronionego obiektu, odgradzając go od linii strzału. Ktoś nadal strzelał z obu niskich domów. Po nie więcej niż dwóch sekundach chroniony obiekt znalazł się na tylnym siedzeniu pojazdu, który zaraz potem znikł w ciemnościach.

– Dobrze.

Głos z góry.

– Na dzisiaj wystarczy.

Głośniki były zamocowane tuż pod wielkimi reflektorami. Mężczyzna, który tego wieczoru udawał prezydenta, przeżył. Wilson przeciągnął się i zaczął nasłuchiwać... Tak, ptaki wróciły. Dziwne miejsce. Po raz trzeci przyjechał do FLETC, Federal Law Enforcement Training Center, na południu stanu Georgia. Była tu baza wojskowa należąca do państwa, centrum szkoleniowe dla amerykańskich jednostek policyjnych, takich jak DEA, ATF, US Marshals, Border Patrol i ta, która przed chwilą po raz kolejny uratowała naród przed nieszczęściem – Secret Service. Był pewien, że to oni; spojrzął na rozświetlony asfalt, tak, to ich samochód, ich ekipa, często trenują o tej porze dnia.

Wilson szedł wzdłuż ogrodzenia, gdzie przebiegała linia oddzielająca go od innej rzeczywistości. Oddychanie nie sprawiało mu trudności, tutejsza pogoda zawsze mu odpowiadała. Było tu jaśniej i o wiele cieplej niż w Sztokholmie, gdzie ciągle czeka się na lato, które i tak nigdy nie nadchodzi.

Hotel wyglądał jak wszystkie inne. Wilson przeszedł obok lobby, kierując się w stronę drogiej, nudnej restauracji. Zmienił jednak zamiar i poszedł do wind, wjechał na dwunaste piętro budynku, który na kilka dni, tygodni albo miesięcy stawał się wspólnym domem wszystkich uczestników kursu.

Pokój był duszny i zbyt gorący. Otworzył okno wychodzące na wielki plac treningowy i przez chwilę przyglądał się grze świąteł. Włączył telewizor i przeczucił kilka kanałów, ale wszystkie i tak nadawały ten sam program. Zostawi jeden z nich do czasu, aż położy się spać, bo tylko w taki sposób ten pokój może nabrać życia.

Był dziwnie niespokojny.

Niepokój wypełniał go stopniowo od żołądka aż do stóp. Wstał z łóżka, przeciągnął się, podszedł do biurka. Na jasnym blacie leżało pięć telefonów komórkowych ułożonych w odstępie kilku centymetrów od siebie. Pięć identycznych aparatów między lampką z jasnym abażurem a podkładką z ciemnej skóry.

Po kolei sięgał po każdy z nich, sprawdzając, czy są jakieś wiadomości albo nieodebrane rozmowy. Na cztery pierwsze nikt nie dzwonił, nikt nie wysłał mu SMS-a. Za to na piątym widać było aż osiem nieodebranych połączeń.

Wszystkie z tego samego numeru.

Tak to sobie wymyślił. Rozmowy łączone na ten telefon tylko z tamtego numeru. I rozmowy łączone z tego telefonu tylko na tamten numer.

Dwie niezarejestrowane karty, z każdej można się dodzwonić wyłącznie na drugą. To na wypadek gdyby ktoś kiedyś coś sprawdzał, gdyby ktoś wszedł w posiadanie ich telefonów. Żadnych nazwisk, jedynie dwie komórki, każda odbiera połączenia od jednego nieznanego abonenta i z każdej można się dodzwonić też tylko do jednego, nieznanego abonenta. Nie można ich namierzyć. Nigdzie.

Wilson spojrział na cztery aparaty leżące na stole. Wszystkie dobrane w ten sam sposób co ten, który trzyma w ręce. Z każdego dzwoni się do jednego nieznanego abonenta, do każdego może się dodzwonić wyłącznie jeden nieznanony abonent.

Osiem nieodebranych rozmów.

Trzymał w dłoni telefon należący do Pauli.

Zaczął liczyć, jak duża jest różnica czasowa. W Szwecji minęła już północ. Wybrał numer. Usłyszał głos Pauli:

– Musimy się spotkać. Na piątce. Dokładnie za godzinę.

Piątka. Vulcanusgatan 15 i Sankt Eriksplan 17.

– To niemożliwe.

– Musimy.

– To niemożliwe. Jestem za granicą.

Ciężki oddech. Tuż przy uchu. Kilka tysięcy kilometrów stąd.

– No to mamy cholerny problem, Erik. Za dwanaście godzin będzie duża dostawa.

– Przerwij akcję.

– Za późno. Piętnastu polskich kurierów jest już w drodze.

Wilson usiadł na krawędzi łóżka, w tym samym miejscu co poprzednio. Zwinął trochę narzutę.

Duża dostawa.

Pauli udało się wejść głęboko w strukturę gangu. Głębiej niż komukolwiek innemu.

– W takim razie znikaj. Natychmiast.

– Wiesz, że tak się nie robi. Wiesz, że muszę to jeszcze ciągnąć. Albo kula w łeb.

– Powtarzam: wycofaj się. Nie dasz rady, bo nie będę mógł cię ochraniać. Znikaj, do cholery.

Kiedy ktoś odkłada słuchawkę w trakcie rozmowy, zapada nieprzyjemna cisza. Wilson nie lubił takiej elektronicznej pustki, gdy ta druga osoba decyduje, kiedy połączenie ma się skończyć.

Znowu podszedł do okna i zaczął czegoś szukać wzrokiem w silnym świetle, które sprawiało, że wielki plac treningowy się kurczył, prawie tonął w bieli.

Głos Pauli brzmiał jak głos człowieka mówiącego z wysiłkiem, pod wpływem strachu, przymuszonego do tego.

Wilson nadal trzymał telefon w ręce. Spojrzał na niego i słyszał ciszę, która się z niego wydobywała.

Nie był w stanie pomóc Pauli.



PONIEDZIAŁEK

ZATRZYMAŁ SAMOCHÓD na samym środku mostu Lidingöbron.

Słońce przebiło się po raz pierwszy przez ciemność kilka minut po trzeciej. Później coraz energiczniej rozpychało się na niebie, aż w końcu ciemność znikła. Pojawi się dopiero wieczorem. Ewert Grens wychylił się przez okno i spojrział w stronę wody. Zaczerpnął trochę powietrza, które ciągle jeszcze było chłodne. Wschód słońca zwiastował nadejście poranka, ta cholerna noc zostawi go wreszcie w spokoju.

Patrzył ponad śpiącą wyspą w drugą stronę, przyglądając się domom stojącym w pięknym miejscu na klifie, z widokiem na płynące w pobliżu łódzie. Zaparkował samochód na pustym asfalcie, odłączył radio policyjne od ładowarki i przymocował mikrofon do klapy płaszcza. Zawsze kiedy odwiedzał Anni, zostawiał urządzenie w samochodzie, bo żadne wezwanie z centrali nie było wtedy ważniejsze od rozmowy z nią. Teraz nie miał już z kim porozmawiać, więc nikt i nic w niczym mu nie przeszkodzi.

Jeździł do domu opieki społecznej raz na tydzień przez dwadzieścia dziewięć lat. Po jej śmierci też nie przestał, chociaż w pokoju żony mieszkał już ktoś inny. Podszedł do okna, które kiedyś było jej oknem. Siedziała przy nim i obserwowała toczące się życie. On też tam siedział, obok niej, bo chciał zrozumieć, czego właściwie szuka za oknem.

Była jedyną osobą, której kiedykolwiek ufał.

Tak bardzo mu jej brakowało... Anni. Ta pieprzona pustka ciągle w nim tkwiła. Nocami, gdy nie mógł zasnąć, chodził niespokojnie, a ona wciąż go prześladowała, nie umiał się jej pozbyć. Krzyczał na nią, a ona po prostu tam była. Oddychał nią i nie miał pojęcia, jak i kiedy zniknie.

– Panie komisarzu...

Jej głos dotarł do niego ze szklanych drzwi, które przy ładnej pogodzie zostawiano otwarte. Wszystkie wózki podjeżdżały wtedy do stołu w altanie. Susann, dawna studentka medycyny, była już młodszym lekarzem – tak przynajmniej wynikało z treści identyfikatora przypiętego do białego fartucha. Kiedyś pojechała z nim i z Anni na wycieczkę statkiem i ostrzegała go, żeby nie robił sobie zbyt dużej nadziei.

– Dzień dobry.

– Znowu pan tu przyszedł.

– Tak.

Nie widział jej od dawna, chyba od śmierci Anni.

– Po co pan tu przychodzi?

Grens spojrział na puste okno.

– O co pani chodzi?

– Po co pan to robi... wbrew sobie?

Pokój był zaciemniony; osoba, która w nim teraz mieszkała, właśnie spała.

– Nie rozumiem.

– Widziałam tu pana przez dwanaście wtorków z rzędu.

– Czy to zabronione?

– Ten sam dzień tygodnia, ta sama godzina. Jak wtedy.

Grens nie odpowiadał.

– Gdy jeszcze żyła.

Susann zeszła do niego po schodach.

– Wyrządza pan sobie krzywdę.

Mówiła do niego podniesionym głosem.

– Trwanie w żałobie to jedna rzecz. Ale nie może pan podchodzić do tego schematycznie. Pan nie żyje z żałobą. Pan żyje dla niej. Trzyma ją, ukrywa się za nią. Czy pan tego nie rozumie? To, czego pan się tak obawiał, już się stało.

Grens wpatrzył się w ciemne okno i zobaczył siebie. Promienie słońca odbijały w szybie postać starszego mężczyzny, który nie wie, co powiedzieć.

– Powinien pan odpuścić. Trzeba żyć dalej, poza takim schematem.

– Tak bardzo mi jej brakuje.

Susann zeszła ze schodów i położyła dłoń na klamce drzwi do altany. Chciała je zamknąć, ale tylko przymknęła.

– Nie chcę tu pana więcej widzieć.

MIESZKANIE PRZY VÄSTMANNAGATAN 79 było naprawdę ładne. Trzy duże, jasne pokoje w starym budownictwie, wysoki sufit, wycyklinowana podłoga, okna wychodzące na Vanadisvägen.

Piet Hoffmann stał w kuchni. Otworzył lodówkę, żeby wziąć kolejną butelkę mleka.

Spojrzał na mężczyznę leżącego na podłodze z twarzą pochyloną nad czerwonym plastikowym wiadrem. Gówniarz z Warszawy, zwykły złodziejaszek uzależniony od prochów, pryszczaty, popsute zęby, w zbyt dużym ubraniu. Kopnął go czubkiem buta w bok, śmierdziel upadł na podłogę i zwymiotował. Mleko i małe brązowe kawałeczki gumowej masy wyleciały mu na spodnie i czystą marmurową podłogę kuchni.

Musi się napić więcej. Napij się, kurwa, przecież musisz jeszcze coś wyrzygać!

Kopnął go znowu, ale już nie tak mocno. Brązowa gumowa masa otaczała każdą kapsułkę, żeby ochronić żołądek przed dziesięcioma gramami amfetaminy. Nie może sobie pozwolić, żeby choć jeden gram się zmarnował. Śmierdziuch na podłodze to jeden z piętnastu kurierów, którzy przez ostatnią dobę przewozili po dwa tysiące gramów. Najpierw promem ze Świnoujścia, potem pociągiem z Ystad. Żaden z nich nie wiedział o czternastu pozostałych, którzy też przekraczali granicę, a teraz siedzą gdzieś w Sztokholmie i czekają, aż pozbędą się treści żołądka.

Najpierw spokojnie do niego mówił. Woli taką metodę. Ale teraz zaczął krzyczeć: „Pij, do cholery!”. Kiedy go kopał, krzyczał głośnie. Niech w końcu wypije ten pieprzony karton mleka i niech – „Pij, do cholery!” – wyrzyga tyle kapsułek, ile tylko zdoła. Kupiec musi je sprawdzić i wycenić.

Chłopak zaczął płakać.

Na spodniach i na koszuli miał pełno plam, a jego pryszczata twarz była tak biała jak podłoga, na której leżał.

Hoffmann przestał go w końcu kopać. Przeliczył ciemne kawałki pływające w mleku. Na razie więcej nie potrzebował. Włożył rękawiczki, wyłowił z mleka dwadzieścia prawie okrągłych kulek i opłukał je pod kranem. Potem usunął z nich brązową gumową masę, aż zostało mu dwadzieścia małych kapsułek. Ułożył je na porcelanowych talerzykach.

– Jest jeszcze trochę mleka i kilka kartonów z pizzą. Zostań tutaj. Pij, jedz i rzygaj. Poczekamy na resztę.

W dużym pokoju było ciepło i pachniało stęchlizną. Trzej mężczyźni siedzący przy długim stole z ciemnego dębu się pocili. Za dużo ubrań, za mało adrenaliny. Hoffmann otworzył drzwi balkonowe i stał w milczeniu.

Znał polski. Dwaj pozostali woleli, żeby rozmawiał z nimi w tym języku.

– Zostało mu jeszcze tysiąc osiemset gramów. Zajmijcie się nim. I zapłaćcie mu, jak będzie po wszystkim. Cztery procent.

Wszyscy byli do siebie podobni. Czterdzieści kilka lat, ogolone głowy, ciemne i drogie garnitury, które i tak wyglądały na tanie. Kiedy stał koło nich, widział na ich głowach dobowy rudawy zarost. Do tego nieobecne oczy pozbawione radości. Żaden z nich nie uśmiechał się zbyt często. Właściwie to nigdy nie widział, żeby się śmiali. Zrobili, co im kazał: poszli do kuchni, żeby pomóc leżącemu kurierowi opróżnić żołądek. To przecież jego dostawa, więc żaden z nich nie miał ochoty tłumaczyć się w Warszawie, dlaczego towar szlag trafił.

Hoffmann zwrócił się do trzeciego mężczyzny siedzącego przy stole i po raz pierwszy przemówił po szwedzku.

– Mamy już dwadzieścia kapsułek. Dwieście gramów. Wystarczy, żebyś zrobił wycenę.

Mężczyzna był wysoki i wysportowany, miał jasne włosy i był w jego wieku, to znaczy miał około trzydziestu pięciu lat. W czarnych dżinsach, białym T-shircie, obwieszony srebrem: na palcach, nadgarstkach, na szyi. Za próbę zabójstwa został skazany na cztery lata odsiadki w zakładzie w Tidaholm, a za dwa ciężkie pobicia dostał dwadzieścia siedem miesięcy w Mariefred. Wszystko wygląda jak trzeba. A jednak... Hoffmanna ogarnęło nieokreślone uczucie, jakby kupujący udawał, jakby grał jakąś rolę i robił to w nieodpowiedni sposób.

Przyglądał mu się uważnie. Mężczyzna wyjął z kieszeni dżinsów brzytwę i naciął jedną z kapsułek wzdłuż brzegu. Pochylił się nad talerzem, żeby powąchać jej zawartość.

Znowu to uczucie. Nadal w nim tkwi.

A może kupiec jest po prostu podniecony? Albo zdenerwowany? Może chodzi mu o to, z czym Hoffmann w samym środku nocy dzwonił do Erika Wilsona, bo coś mu się nie zgadzało, choć nie potrafił określić tego przez telefon?

Zapachniało tulipanami.

Hoffmann siedział dwa krzesła od niego, ale wyraźnie czuł ten zapach.

Kupiec pociął na kawałeczki żółtobiałą masę i rozkruszył ją na proszek. Nabral na ostrze brzytwy i wsypał do pustej szklanki. Naciągnął do strzykawki dwadzieścia milimetrów wody i wstrzyknął ją do proszku, który szybko się rozpuścił i zamienił w przezroczystą, zawiesistą ciecz. Mężczyzna skinął z zadowoleniem głową. Tak, to amfetamina. Jest tak silna, jak obiecał mu sprzedawca.

– Tidaholm. Cztery lata. Mam rację?

Wszystko robi jak na profesjonalistę przystało, ale nadal coś tu nie gra. Hoffmann pociągnął do siebie talerz z kapsułkami i czekał na odpowiedź.

– Od dziewięćdziesiątego siódmego do dwutysięcznego. Tak, dostałem cztery lata, ale odsiedziałem tylko trzy. Wyszedłem przed czasem.

Hoffmann przyglądał się twarzy kupca. Nieruchoma twarz, ani jednego mrugnięcia oczu. Żadnych oznak zdenerwowania.

Po szwedzku mówił z lekkim akcentem, który mógł wskazywać, że pochodzi z któregoś z sąsiednich krajów, na przykład z Danii albo Norwegii. Mężczyzna podniósł się nagle poirytowany, jego dłoń znalazła się zbyt blisko twarzy Hoffmanna. Wszystko niby nadal jest w porządku, ale i tak jest już za późno; trzeba go było sobie ustawić dużo wcześniej, przejechać mu dłonią przed twarzą już na początku. Nie ufasz mi, skurwielu?

– Przecież już widziałeś wyrok, no nie?

Teraz znowu udaje poirytowanego.

– Jeden raz. Na którym oddziale?

– Blok C. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego.

– Blok C. Gdzie?

Za późno to zrobił.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– Gdzie?

– Blok C. Oddziały w Tidaholm nie mają numerów.

Tamten uśmiechnął się. Hoffmann odwzajemnił uśmiech.

– Z kim siedziałeś?

– Za dużo sobie, kurwa, pozwalasz.

Kupiec mówił podniesionym tonem, chciał, żeby wyczuli jego poirytowanie, że niby czuje się znowu obrażony. Jednak Hoffmann usłyszał coś innego. Niepewność.

– Dobijamy targu czy kończymy? Rozumiem, że mnie tu zaprosiłeś, bo chciałeś mi coś sprzedać?

– Z kim siedziałeś?

– Skåne. Mio. Josef Libanon. Virtanen. Greven. Mam dalej wyliczać?

– Z kim jeszcze?

Mężczyzna nadal stał wyprostowany, ale teraz zrobił jeden krok w kierunku Hoffmanna.

– Kończmy te targi.

Podszedł bliżej, a kiedy uniósł dłoń na wysokość jego twarzy, na nadgarstku i palcach rozbłysło srebro.

– To ci musi wystarczyć, więcej nie powiem. Decyduj się, robimy ten interes czy nie?

– Josef Libanon został wydalony z kraju bez prawa powrotu i zniknął, gdy trzy i pół miesiąca temu wylądował w Bejrucie. Virtanen spędził ostatni rok w domu wariatów w Säter, po brodzie cieknie mu ślina i cierpi na chroniczną psychozę. Mio leży pod ziemią...

Czterej mężczyźni w garniturach i kurier z ogoloną głową usłyszeli podniesione głosy i otworzyli drzwi do kuchni.

Hoffmann dał im znać ręką, żeby nie podchodzili bliżej.

– Mio leży w żwirowni koło Ålstäket na wyspie Värmdö. Ma w tylnej lewej części głowy dwie dziury od kulek.

Teraz już trzy osoby w pokoju mówiły obcym językiem. Hoffmann zauważył, że kupiec rozgląda się, jakby szukał drogi ucieczki.

– Libanon, Virtanen, Mio. No i Skåne... Facet zapisał się tak bardzo, że już nie pamięta, gdzie siedział, w Tidaholm, Kumli czy może w Hall. A Greven... Klawisze odcięli go, gdy się powiesił na prześcieradle w areszcie w Härnösand. Pięć świętych nazwisk. Nieźle je wybrałeś. Żaden z nich nie może potwierdzić, że z nimi siedziałeś.

Jeden z czterech mężczyzn, który miał na imię Mariusz, zrobił krok do przodu. W ręce trzymał czarny pistolet wyprodukowany w fabryce w Radomiu. Pistolet wyglądał na nowy. Przystawił lufę do głowy kupca, ale Hoffmann krzyknął na niego: „Uspokój się, kurwa!”. Musiał powtórzyć te słowa kilka razy. Kazał mu też odsunąć lufę od głowy kupca.

Mariusz położył kciuk na bezpieczniku, powoli go odciągnął, roześmiał się i opuścił pistolet. Hoffmann znowu przeszedł na szwedzki.

– Kim był Frank Stein?

Spojrzał na kupca. Spodziewał się, że jego oczy będą wyrażać poirytowanie, urazę, a nawet wściekłość. Tymczasem dostrzegł w nich napięcie i strach. Mężczyzna obwieszony srebrem próbował to ukryć.

– Przecież wiesz, że wiem.

– To dobrze. Kim był Frank Stein?

– Blok C. Tidaholm. Siódme nazwisko. Zadowolony?

Hoffmann sięgnął po telefon komórkowy leżący na stole.

– No to może z nim porozmawiasz? Przecież razem siedzieliście.

Trzymał telefon przed jego twarzą i wpatrywał mu się w oczy, które wyrażały czujność. W końcu wybrał numer. Obaj mężczyźni obserwowali się wzajemnie. Hoffmann wysłał plik zdjęciowy i znowu wybrał numer.

Jerzy rozmawiał z Mariuszem podniesionym głosem. „Stań z drugiej strony, na prawo od kupca”. „Bliżej głowy”. Niech podejdzie jeszcze bliżej, podnieś pistolet, niech mu przyłoży do prawej skroni.

– Nie gniewaj się na moich przyjaciół z Warszawy, są trochę nerwowi.

Ktoś odebrał. Hoffmann zamienił z nim kilka słów i pokazał kupcowi ekran komórki. Widać na nim było mężczyznę z długimi, ciemnymi włosami związanymi w kucyk. Jego twarz nie wyglądała już tak młodo jak kiedyś.

– Mówi Frank Stein.

Hoffmann dostrzegł niepokój kupca, który uciekał ze wzrokiem.

– I co, nadal twierdzisz, że się znacie? – spytał.

Wyłączył telefon i położył go na stole.

– Obaj moi przyjaciele nie mówią po szwedzku. To, co teraz powiem, jest przeznaczone wyłącznie dla ciebie.

Krótkie spojrzenie w stronę Mariusza i Jerzego, którzy podeszli jeszcze bliżej i nadal dyskutowali, jak powinni się ustawić, żeby wycelować lufę w skroń kupca.

– Wygląda na to, że mamy problem, ty i ja. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Daję ci dwie minuty na wyjaśnienie, kim jesteś.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Tylko nie pierdol. Już na to za późno. Masz mi jedynie powiedzieć, kim jesteś. I zrób to teraz. Bo w przeciwieństwie do moich kumpli uważam, że trup oznacza kłopoty. No i jest niewypłacalny.

Czekają. Na to, co zrobi ten drugi. Że któryś odezwie się głośniejszym głosem, przyłożył wylot lufy do twarzy kupca.

– Sporo się napracowałeś, żeby wymyślić sobie nową przeszłość. Teraz już wiesz, że cała twoja wersja nie trzyma się kupy. Nie doceniłeś tych, z którymi masz do czynienia. Ta organizacja powstała wokół grupy oficerów z polskich służb wywiadowczych, więc mogę się dowiedzieć wszystkiego, czego chcę. Mogę spytać, gdzie chodziłeś do szkoły, a ty możesz mi opowiedzieć swoją wyuczoną formułkę, ale ja już po jednej rozmowie będę wiedział, czy to prawda. Mogę cię spytać, jak miała na imię twoja matka, czy twój pies był szczepiony i jakiego koloru jest twój



nowy ekspres do kawy. Jedna rozmowa i wiem, czy mówisz prawdę. I właśnie to zrobiłem: zadzwoniłem. Niestety, Frank Stein cię nie rozpoznał. Nie siedzieliście razem w Tidaholm, bo ty w ogóle tam nie siedziałeś. Papier z wyrokiem to lipa, żebyś mógł tu z nami siedzieć i udawać, że kupujesz świeżutką amfę. Dlatego zapytam cię jeszcze raz. Wyjaśnij mi, kim jesteś. A wtedy może mi się uda... powtarzam: może... powstrzymać tych dwóch, żeby cię nie zabili.

Mariusz trzymał kurczowo rękojeść pistoletu. Słyszał, że pada coraz więcej słów, że robi się coraz głośniejsze. Wprawdzie nie rozumiał, o czym obaj rozmawiają, ale domyślał się, że za chwilę coś się wydarzy. Krzyknął po polsku: „O czym wy, kurwa, gadacie?!” i odbezpieczył broń.

– Okay.

Kupiec zrozumiał, że w Mariuszu narasta coraz większa agresja, że staje się bezradny i nieobliczalny.

– Jestem policjantem.

Mariusz i Jerzy nie znali szwedzkiego, ale słowa „policjant” nie trzeba im było tłumaczyć.

Znowu zaczęli na siebie krzyczeć, bardziej Jerzy, który wrzeszczał na Mariusza, że ma pociągnąć za spust. Hoffmann podniósł ręce i cofnął się o krok.

– Cofnijcie się!

– To gliniarz!

– Sam to załatwię!

– Nie teraz!

Hoffmann skoczył w ich stronę, ale i tak by nie zdążył. Kupiec wyczuł to, zaczął się trząść, odwrócił głowę.

– Jestem policjantem, zabierz go ode mnie, kurwa!

Jerzy ściszył trochę głos i kazał Mariuszowi podejść bliżej, z drugiej strony, bo chyba lepiej będzie strzelić w drugą stronę.

WILSON NADAL LEŻAŁ w łóżku. Był to jeden z tych poranków, kiedy ciało nie ma ochoty się obudzić, a świat jest zbyt daleko.

Oddychał wilgotnym powietrzem.

Wczesny ranek, południowa Georgia. Przez otwarte okno wpadało do środka chłodne powietrze. Już niedługo zrobi się ciepło, jeszcze cieplej niż wczoraj. Próbował śledzić plamy światła na suficie, ale przestał, bo rozboleły go oczy. Przespał zaledwie godzinę. W nocy rozmawiali ze sobą cztery razy. Za każdym razem z głosu Pauli przebijała coraz większa panika. Ten głos brzmiał tak obco, jakby mówiąca osoba była w stresie, zagubiona i zdezorientowana, jakby przed czymś uciekała.

Przez długą chwilę dobiegały go z zewnątrz znane mu już odgłosy z wielkiego placu należącego do FLETC. Musiało już być po siódmej, a w Szwecji wczesne popołudnie. Pomyślał, że niedługo pewnie skończą.

Uniósł się trochę i wsunął poduszkę pod plecy. Przez okno widział dzień, który zaczął się kilka godzin temu. Twardy asfaltowy plac, gdzie jeszcze wczoraj Secret Service ratowała prezydenta, był pusty. Erik słyszał tylko ciszę panującą po wczorajszej symulowanej strzelaninie. Za to dwieście metrów dalej zobaczył ranne ptaszki z Border Patrol. Chłopcy mieli na sobie mundury przypominające wojskowe. Biegli właśnie w stronę biało-zielonego helikoptera, który wylądował w pobliżu. Wilson doliczył się ośmiu ludzi, którzy wsiedli na pokład i odlecieli.

Wstał z łóżka, wziął zimny prysznic i poczuł się bardziej rześko. Coraz lepiej przypominał sobie noc, rozmowy ze strachem.

– Musisz się wycofać.

– Wiesz, że nie mogę.

– Ryzykujesz od dziesięciu do czternastu lat.

– Jeśli tego nie zrobię, jeśli teraz się wycofam, jeśli zrobię to bez uzasadnionego powodu... ryzykuję jeszcze więcej. Moje życie.

Podczas każdej z tych czterech rozmów próbował na różne sposoby wytłumaczyć, że dostawa i transakcja nie mogą dojść do skutku bez jego zabezpieczenia. Na razie nic nie załatwił ani z kupującym, ani ze sprzedającym, a kurierzy dotarli już do Sztokholmu.

Zrobiło się za późno, żeby to przerwać.

Uznał, że zdąży jeszcze zjeść szybkie śniadanie. Naleśniki z jagodami, bekon, jasny chleb. Filiżanka czarnej kawy i „New York Times”. Zawsze siedział przy tym samym stoliku, znalazł sobie spokojny kąt w wielkiej jadalni. Lubił spędzać ranek samotnie.

Wcześniej nigdy nie pracował z kimś takim jak Paula. Z nikim, kto tak głęboko przeniknął do struktur organizacji, kto był równie bystry, czujny, zimny. Miał teraz pięcioro współpracowników, ale żaden nie był tak dobry jak Paula, zbyt dobry, żeby być kryminalistą.

Kolejna filiżanka czarnej kawy. Wrócił szybko do pokoju, już spóźniony.

Przez otwarte okno widział helikopter lecący nad ziemią. Trzej ubrani w mundury Border Patrol mężczyźni wisieli na stalowych linach w odległości metra od siebie. Spuszczali się po nich, żeby znaleźć się w symulowanej strefie nadgranicznej w pobliżu granicy z Meksykiem. Kolejny trening, jeden z wielu w tym miejscu. Wilson mieszkał w bazie wojskowej od tygodnia, zostały mu jeszcze dwa. On, europejski policjant, chodził na zajęcia z informacji, inwigilacji i ochrony świadków.

Zamknął okno; sprzątaczkę nie lubił, kiedy zostawiała się je otwarte, bo podobno w ich hotelu dla oficerów zamontowano nową klimatyzację. To jak miała sprawnie funkcjonować, jeśli każdy otwierał okna? Zmienił koszulę i zobaczył w lustrze wysokiego, jasnego blondyna w średnim wieku, który powinien już zmierzać na zajęcia z udziałem policjantów z czterech amerykańskich stanów.

Mimo to stał w miejscu. Dziesięć po ósmej. Chyba już po wszystkim.

Aparat z numerem Pauli leżał z prawej strony, obok czterech pozostałych. Podobnie jak inne miał zaprogramowany tylko jeden numer.

Gdy zadzwonił, Wilson nie zdążył nawet zapytać.

– Wszystko do dupy.

SVEN SUNDKVIST NIGDY nie lubił długich, ciemnych i zakurzonych korytarzy budynku, gdzie znajdował się wydział dochodzeniowy. Całe swoje dorosłe życie przepracował w policji miejskiej. Jego pokój znajdował się niedaleko skrzynek pocztowych i automatu z artykułami spożywczymi. Sundkvist siedział przy biurku i uważnie studiował nagłówki kodeksu karnego. Kiedy szedł korytarzem i mijał pokój szefa, przystanął.

– Ewert?

Silnie zbudowany, sprawiający wrażenie dość nieporadnego mężczyzna chodził na czworakach po swoim pokoju. Sundkvist zastukał ostrożnie w futrynę drzwi.

– Ewert?

Grens go nie słyszał. Nadal chodził na czworakach wokół kilku dużych brązowych kartonów. Sundkvist starał się przezwyciężyć uczucie niesmaku. Jakiś czas temu zobaczył krzykliwego komisarza policji kryminalnej w podobnej sytuacji. Było to przed osiemnastu miesiącami. Grens siedział wtedy w piwnicy na podłodze, a przed nim leżał stos dokumentów z jakiegoś starego dochodzenia. Grens siedział tam i powtarzał tylko dwa zdania: „Ona nie żyje. To ja ją zabiłem”. Śledztwo sprzed dwudziestu siedmiu lat w sprawie uszkodzenia ciała urzędnika państwowego. Pewna młoda policjantka doznała poważnych obrażeń i już do końca życia została skazana na pobyt w domu opieki społecznej. Kiedy jakiś czas później Sundkvist przeglądał akta sprawy, natknął się na jej nazwisko: Anni Grens. Nie miał pojęcia, że była żoną Ewerta.

– Ewert? Co ty wyrabiasz?

Grens był zajęty pakowaniem czegoś do dużych brązowych kartonów. Tyle tylko udało się Sundkvistowi zobaczyć. Nie wiedział jednak, co Grens pakuje. Jeszcze raz zapukał do drzwi. W środku panowała cisza. No tak, znowu go nie słyszy.

To był naprawdę dziwny okres.

Grens, podobnie jak wszystkie inne osoby pogrążone w żałobie, zareagował na początku w typowy sposób: przyjął postawę zaprzeczenia – to się nie wydarzyło. Potem pojawiła się złość: dlaczego właśnie mnie to spotkało? Do następnej fazy nie był już w stanie przejść, zatrzymał się przy złości. W taki sposób radził sobie z większością kłopotów. Wprawdzie proces pogrążania się w smutku zaczął się w jego przypadku całkiem niedawno, kilka tygodni wcześniej, ale teraz nie był już zły, tylko

bardziej zamknięty w sobie, zamyślony. Mniej mówił i prawdopodobnie więcej myślał.

Sundkvist wszedł do pokoju. Grens usłyszał go, ale nawet się nie odwrócił. Westchnął głośno, jak zawsze, gdy był czymś poirytowany. Coś go gryzło. Nie chodziło jednak o Sundkvista. To, co czuł, czuł od chwili, gdy pojechał dzisiaj do domu opieki, choć wizyty w tym miejscu zawsze go uspokajały. Susann, dawna studentka medycyny, która pracowała tam już dość długo i tak dobrze opiekowała się Anni, jest zatrudniona na stanowisku młodszego lekarza. Pozwalała sobie na różne komentarze, nawet okazywała mu pewną niechęć: „Trzeba żyć dalej, bez takiego schematu”. Cholernie łatwo powiedzieć coś takiego zwykłej dziewczynie z Lidingö, która posiada mądrość i doświadczenie życiowe osoby dwudziestoczteroletniej. „To, czego pan się tak obawiał, już się stało”. A co ona może wiedzieć o samotności?

Spod domu opieki odjechał szybciej, niż zamierzał. Potem poszedł prosto do policyjnego archiwum i odszukał w nim cztery kartony. Nie wiedząc dlaczego, poszedł do pomieszczenia służbowego, w którym urzędował od niepamiętnych czasów. Stał przez chwilę przy regale za biurkiem i spoglądał na jedyną rzecz, jaka miała dla niego znaczenie: kasety magnetofonowe z nagraniami Siw Malmkvist, które sam nagrał w odpowiedniej kolejności, okładki płyt z lat sześćdziesiątych, jak zwykle w intensywnych kolorach, fotografie Siw Malmkvist, które zrobił jej któregoś wieczoru w Parku Ludowym w Kristianstad. Wszystko to przypominało mu czasy, gdy było im z Anni tak dobrze.

Grens zaczął wkładać rzeczy do pudeł, owinął je w gazety i ustawił karton na kartonie.

– Ona już nie żyje.

Stał na podłodze i wpatrywał się w brązowe pudełka.

– Słyszysz, co mówię? Ona już nigdy nie zaśpiewa w tym pokoju.

Negacja, złość, smutek.

Sundkvist patrzył na jego nagą czaszkę i przypominał sobie, jak często stał przed drzwiami pokoju, czekając, aż Grens przestanie się kołysać w takt muzyki pod brzydką lampą. Wczesnym rankiem i późnym wieczorem przy akompaniamencie głosu Malmkvist Grens tańczył z kimś, kogo przy nim nie było, trzymał ją mocno w ramionach. Sundkvist czuł, że będzie mu brakować tej irytującej muzyki i tekstów, które brzmiały tak natrętnie, że w końcu zaczął je nucić z pamięci. Była to jego własna część, jaką wyniósł ze wszystkich lat współpracy z Grensem.

Będzie mu brakować tego widoku. Będzie się śmiał, że w końcu go nie ma.

Ewert Grens przeszedł przez życie o kulach. Anni. Siw Malmkvist. Teraz on sam. To chyba dlatego chodził na czworakach po podłodze.

Sundkvist usiadł na wytartej kanapie i przyglądał się, jak Grens podnosi ostatnie pudło i stawia je na pozostałych, które stały już w narożniku pokoju. Grens był spocony i wiedział, co robi. Kilka razy kopnął kartony, aż znalazły się tam, gdzie chciał. Sundkvist zamierzał go spytać, jak się czuje, ale nie zrobił tego. Popełniłby błąd; lepiej martwić się o siebie samego. Grens przeżywa teraz trudne chwile, coś się z nim dzieje, ale nie wiadomo co.

– Co ty zrobiłeś? – Mariana Hermansson nie zapukała, po prostu weszła do środka i zatrzymała się, czując, że zaszły tu pewne zmiany: nie grała muzyka, a półka obok biurka opustoszała. – Ewert, co ty zrobiłeś?

Spojrzała na Sundkvista, który skinął głową, najpierw w stronę pustego miejsca, a potem w stronę kartonów. Nigdy przedtem nie była w tym pokoju, gdy nie wypełniały go dźwięki muzyki, wspomnienia przeszłości, Siw Malmkvist. Teraz, bez tych dźwięków, będzie tu inaczej.

– Ewert...

– Chcesz coś ode mnie?

– Chcę wiedzieć, co zrobiłeś.

– Jej już nie ma.

Hermansson podeszła do pustego regału, przejechała palcem po zakurzonych krawędziach, gdzie kiedyś stały kasety z muzyką, wieża i głośniki, a nawet czarno-białe zdjęcie piosenkarki, które znajdowało się na tym miejscu od wielu lat.

Przecięgnęła palcem po grudce kurzu i ukryła ją w dłoni.

– Jej już nie ma?

– Nie.

– Kogo?

– Jej.

– Kogo? Anni? A może Siw Malmkvist?

Grens po raz pierwszy odwrócił się i spytał:

– Chciałaś czegoś?

Nadal siedział na podłodze, pochylał się nad kartonami albo opierał o ścianę. Żałobę obchodził już od półtora roku, przechodził od stanu załamania do szaleństwa. Był to dla niego piekielnie trudny okres. Hermansson kilka razy mówiła mu, żeby sobie dał spokój, i tyle samo razy prosiła go później o przebaczenie. Chciała się już poddać, pozbyć

rozpaczy przepelniającej człowieka żyjącego w rozgoryczeniu, które nie miało końca. Powoli zaczęła wierzyć, że któregoś dnia Grens skapituje i całkowicie się załamie, położy się i nigdy nie wstanie. Ale ta jego twarz... Jego umęczona twarz wyrażała jakąś zawziętość, zdecydowanie, to znaczy te cechy, których dawno u niego nie widziała.

Kilka kartonów, pusta półka... tak, może to przyniesie mu ulgę.

– Tak, potrzebuję. Dostaliśmy zgłoszenie. Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć.

Czuła, że Grens słucha, i to w tak intensywny sposób, jakiego już od dawna w nim nie widziała.

– Egzekucja.

HOFFMANN WYJRZAŁ PRZEZ OKNO. Znajdował się już w innym mieszkaniu w innej dzielnicy centrum Sztokholmu, ale oba były do siebie podobne: każde składało się z trzech wyremontowanych pokoi z wysokimi sufitami i jasnymi ścianami. Z tą tylko różnicą, że w tym mieszkaniu na wycyklinowanej podłodze nie leżał trup z wielką dziurą w jednej skroni i dwoma w drugiej.

Na chodniku stały grupy ludzi. Byli ładnie ubrani i szykowali się do wyjścia na popołudniowe przedstawienie w teatrze. Zachowywali się trochę hałaśliwie, jakby weszli na scenę, gdzie wykrzykiwali swoje kwestie.

Czasem tęsknił za takim życiem złożonym z samych dni powszednich, wśród zwykłych ludzi robiących wspólnie zwykłe rzeczy.

Odszedł od okna, z którego rozpościerał się widok na ulicę Vasagatan i na most Kungsbron, przeszedł przez duży pokój – swój pokój – i wszedł do gabinetu ze stojącym w nim antycznym biurkiem, dwoma zamkniętymi na klucz gablotami na broń i kominkiem, który wreszcie działa jak należy. Usłyszał, jak w kuchni wymiotuje ostatni kurier, a właściwie kurierka. Robiła to już od dłuższej chwili, nie była jeszcze przyzwyczajona, nauczy się tego dopiero po odbyciu kilku podróży. Wszedł do środka. Jerzy i Mariusz stali przy zlewie, mieli na rękach żółte gumowe rękawiczki i wyciągali z dwóch wiader stojących na podłodze kawałki brązowej masy, którą dziewczyna zwróciła razem z wypitym mlekiem. Była piętnastą, ostatnią, kurierką. Pierwszy z kurierów zwymiotował wszystko na Västmannagatan, pozostałych zmusili do zrobienia tego tutaj. Hoffmann bardzo tego nie lubił. To mieszkanie było jego kryjówką, fasadą i dlatego nie chciał, żeby ktoś o nim wiedział, ani ludzie z branży narkotykowej, ani Polacy. Niestety, spieszyło mu się i wszystko poszło nie tak. Teraz musiał coś zrobić z facetem, który miał przestrelone skronie. Przyglądał się Mariuszowi, jego ogolonej na gładko głowie, i drugiemu mężczyźnie, który dwie godziny wcześniej zabił innego człowieka, ale nic po sobie nie pokazywał. Nie umiał? Może był zawodowcem? Hoffmann nie bał się go, tak jak nie bał się Jerzego, czuł jednak respekt przed ich bezwzględnością. Gdyby wzbudził w nich niepokój, gdyby nabrali podejrzeń co do jego lojalności, kula, którą wystrzelili, mogła równie dobrze trafić w jego głowę.

Czuł, jak wzbiera w nim frustracja połączona z niesmakiem i złością. Nie mógł ustać spokojnie w miejscu, bo ciągle jeszcze nim trzęsło.



Był tam z nimi i nie mógł im w niczym przeszkodzić.

Gdyby to zrobił, już by nie żył.

Dlatego musiał zginąć ktoś inny.

Młoda kobieta wreszcie skończyła. Nie znał jej, nigdy przedtem się nie spotkali. Wystarczyło, że wiedział, jak ma na imię i skąd pochodzi – Irena z Gdańska, dwudziestodwuletnia studentka. Podjęła tak wielkie ryzyko, że nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Kurier doskonały. Takich właśnie szukali. Byli też inni, zwykłe ćpuny, z przedmieść wielkich miast, którzy chętnie udostępniali swoje ciało do przewozu prochów za mniejsze kwoty niż ona. Nauczył się jednak nie korzystać z usług narkomanów. Takim nie można ufać, bo często zdarzało się, że zwracali towar, kiedy im się spodobało, zanim dotarli na miejsce.

Czuł złość, frustrację i niesmak.

To nie była operacja. Raczej dostawa, nad którą nie miał kontroli.

Bez rezultatów. Obaj Polacy wrócą wkrótce do Warszawy. Byli jego narzędziem służącym do namierzania i werbowania kolejnych chętnych do współpracy.

Nie ubili żadnego interesu. Niepotrzebnie zatrudnili tamtych piętnastu kurierów, w tym dziesięciu doświadczonych. Z ich usług korzystali już wcześniej, każdy z nich przewoził po dwieście kapsułek. Pięciu było nowych, wieźli po sto pięćdziesiąt kapsułek. W sumie ponad dwadzieścia siedem kilo nowej fabrycznie amfetaminy, która po wymieszaniu będzie ważyć na ulicy osiemdziesiąt osiem kilogramów po sto pięćdziesiąt koron za gram. Jednak bez wsparcia nie doszło do żadnej operacji, nie osiągnięto żadnych rezultatów, nie zawarto interesu.

Była to niekontrolowana dostawa, podczas której doszło do morderstwa.

Hoffmann skinął głową młodej bladej kobiecie o imieniu Irena. Pieniądze już od rana ma popakowane w gotowych zwitkach, trzyma je w kieszeniach spodni. Wyjął ostatni z nich, przeliczył banknoty, żeby wiedziała, że kwota się zgadza. Irena to jedna z nowych kurierów, brakuje jej jeszcze trochę umiejętności przewożenia większych partii towaru. W czasie pierwszego kursu przewiozła tylko tysiąc pięćset gramów. Gdy się to potem wymiesza, powstanie trzy razy więcej, całość będzie warta w sumie sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy koron.

– Twoje cztery procent. Dwadzieścia siedem tysięcy koron. Zaokrąglę w górę. Trzy tysiące euro. Jeśli następnym razem uda ci się połknąć więcej, zarobisz więcej. Każda dostawa rozciągnie ci żołądek trochę bardziej.

Irena była ładną dziewczyną. Nawet z bladą i spoconą twarzą, gdy klęczała przy wiadrze i przez trzy godziny wymiotowała.

– Jeszcze moje bilety.

Hoffmann skinął Jerzemu i ten wyjął z kieszeni marynarki dwa bilety. Jeden na pociąg ze Sztokholmu do Ystad i jeden na prom z Ystad do Świnoujścia. Podał je jej, a gdy chciała wziąć, cofnął dłoń i uśmiechnął się. Odczekał i znowu zrobił to samo, a ona znowu wyciągnęła rękę, żeby odebrać bilety. I wtedy Jerzy ponownie cofnął rękę.

– Kurwa, Jerzy, należą jej się! – Hoffmann wyrwał mu bilety i podał dziewczynie. – Zgłosimy się, kiedy będziesz nam potrzebna.

Złość, frustracja, niesmak.

Znowu zostali sami w mieszkaniu, które udawało biuro jednej z firm ochroniarskich w Sztokholmie.

– To była moja operacja. – Hoffmann podszedł do mężczyzny, który przed południem zastrzelił człowieka. – W tym kraju to ja wydaję polecenia.

W jego głosie było coś więcej niż tylko złość. Także gniew. Od chwili, gdy padł strzał, tłumił go w sobie. Najpierw musiał się zająć kurierami, odebrać towar, zabezpieczyć dostawę. Teraz może to już z siebie wyrzucić.

– Jeśli ktoś ma strzelać, to tylko na mój, powtarzam, na mój wyraźny rozkaz.

Nie wiedział, skąd mu się to wzięło, jak zdobył się na tak twardy ton. Może z powodu rozczarowania, że nie udało się rozpoznać jednego ze współpracowników? Może z powodu frustracji, że człowiek, który prawdopodobnie miał takie samo zadanie jak on, został zastrzelony bez potrzeby?

– Gdzie masz pistolet?

Mariusz wskazał na wewnętrzną kieszeń marynarki.

– Zamordowałeś człowieka. Grozi ci za to dożywocie, a ty jesteś na tyle głupi, że dalej przechowujesz pistolet w kieszeni marynarki?

Hoffmanna opanował gniew. Poczł też jeszcze coś. Powinniście jechać do Polski, żeby złożyć raport, pomyślał. Odsunął od siebie uczucie, które można by określić jako strach, podszedł blisko do Mariusza, który uśmiechał się do niego i wskazywał palcem na kieszeń. Graj swoją rolę, powtarzał w myślach. Chodzi przecież tylko o to, o władzę i szacunek, żeby coś chwycić i już nie puścić. Graj swoją rolę albo giń.

– To był policjant – rzucił Mariusz.

– A skąd ty, kurwa, możesz wiedzieć?

- Sam to powiedział.
- Od kiedy to rozumiesz po szwedzku?

Hoffmann oddychał ciężko, poirytowany i zmęczony. Podeszedł do okrągłego stołu kuchennego i spojrzął na metalowy półmisek, w którym leżało dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt czystych kapsułek zawierających ponad dwadzieścia siedem kilogramów czystej amfetaminy.

- Powiedział po szwedzku *polis*. Nie tylko ja to słyszałem, ty też.

Hoffmann odpowiedział mu, nie odwracając się.

– Byłeś w Warszawie na tym samym spotkaniu co ja. Wiedziałeś, jak się sprawy mają. Do czasu, aż tu skończymy, wyłącznie ja o wszystkim decyduję. I nikt więcej.

W CZASIE KRÓTKIEJ JAZDY z Kronobergu do Vasastan Grensowi było dość niewygodnie. Czuł, że siedzi na czymś. Kiedy Hermansson skręciła w Västmannagatan i samochód podjechał pod dom numer 79, Grens uniósł trochę swoje ciężkie ciało, żeby sprawdzić, co jest pod spodem. Na siedzeniu znalazł dwie kasety magnetofonowe z piosenkami Siw Malmkvist. Trzymał w ręce plastikowe pudełka, które też powinien był spakować. Spojrzał w stronę przedniego siedzenia, gdzie w schowku w desce rozdzielczej leżały dwie inne kasety. Pochylił się i wsunął je jak najdalej pod siedzenie pasażera. Bał się zarówno tego, że będą zbyt blisko niego, jak i tego, że zapomni je zabrać, ostatnie cztery składniki innego życia, które schował do kartonu i zakleił taśmą.

Grens wolał siedzieć na tylnym siedzeniu.

Nie miał już w samochodzie żadnych nagrań, które mógłby sobie odtworzyć. Nie miał też ochoty wysłuchiwać komunikatów nadawanych przez policyjne radio ani odpowiadać na wezwania. Poza tym Hermansson lepiej sobie radziła z prowadzeniem samochodu w ruchu ulicznym niż on czy Sven Sundkvist.

Na miejscu było już dość ciasno. Trzy radiowozy i granatowy bus marki Volkswagen stały zaparkowane wzdłuż długiego rzędu samochodów należących do lokatorów. Hermansson zwolniła, wjechała na chodnik i zatrzymała się przed drzwiami wejściowymi, tuż przy dwóch umundurowanych policjantach, którzy pilnowali wejścia. Obaj byli młodzi i mieli blade twarze. Ten, który stał bliżej, ruszył w ich kierunku. Hermansson domyśliła się, czego będzie chciał, w tej samej chwili, gdy zastukał w szybę ich samochodu. Opuściła szybę i pokazała legitymację służbową.

– Jesteśmy z sekcji dochodzeniowej. Cała trójka.

Uśmiechnęła się do niego. Policjant nie tylko wyglądał na młodego, ale prawdopodobnie był jeszcze młodszy od niej. Domyśliła się, że służył w policji dopiero od kilku tygodni. Niewielu policjantów nie wiedziało, kim jest Ewert Grens.

– To wy przyjęliście zgłoszenie?

– Tak.

– Kto go dokonał?

– Anonimowa osoba.

– Określiliście to jako egzekucję?

– Powiedzieliśmy, że to wygląda na egzekucję. Jak tam wejdziecie, zrozumiecie dlaczego.

Drzwi do mieszkania na piątym piętrze były otwarte. Wejścia pilnował kolejny umundurowany policjant. Był starszy od tych na dole, poznał Sundkvista i kiwnął mu głową na powitanie. Hermansson przygotowała legitymację służbową; za chwilę znowu będzie musiała ją pokazać. Zastanawiała się, czy przepracuje gdziekolwiek na tyle długo, że i ją zacznie rozpoznawać więcej osób niż tylko te z najbliższego otoczenia. Nie bardzo w to wierzyła, chyba nie należała do osób, które zostają w jednym miejscu zbyt długo.

Włożyli białe fartuchy, przezroczyste osłony na obuwiu i weszli do środka. Grens uparł się, że poczeka na windę, która wolno kursowała między piętrami. Pewnie zaraz się zjawi.

Dość wąski przedpokój, sypialnia z prostym, wąskim łóżkiem, kuchnia z ładnymi meblami pomalowana na zielono i gabinet z pustym biurkiem i pustymi półkami na książki.

Kolejny pokój. Spojrzeli na siebie i poszli dalej.

W dużym pokoju znajdował się właściwie tylko jeden mebel: duży, prostokątny, dębowy stół z sześcioma krzesłami. Cztery z nich stały tuż przy nim, piąte trochę z boku, po skosie, jakby ktoś na nim siedział i nagle wstał. Szóste krzesło leżało na podłodze. Choć było ciężkie, z jakiegoś powodu się przewróciło. Podeszli bliżej, żeby sprawdzić dlaczego.

Duża, prawie brązowa plama o nierównych brzegach. Mogła mieć czterdzieści, może pięćdziesiąt centymetrów średnicy.

Trochę dalej zobaczyli głowę.

Leżała w kałuży krwi, właściwie na niej, jakby płynęła. Mężczyzna musiał być dość młody, trudno było określić wiek, ponieważ miał zmasakrowaną twarz. Ciało wyglądało na silne, natomiast ubranie raczej nie z tych, które noszą starsi mężczyźni: czarne buty, czarne dżinsy, biały T-shirt, dużo srebra na szyi, nadgarstkach i palcach.

Sundkvist skupił się na pistolecie, który zabity trzymał w prawej ręce. Jeśli będzie mu się przyglądał wystarczająco długo, jeśli nie będzie zwracał uwagi na nic innego, być może nie zauważy śmierci, której nigdy nie potrafił zrozumieć.

Broń połyskiwała metalicznym czarnym kolorem, kaliber dziewięć milimetrów. Pochodziła z fabryki w Radomiu, nie za często znajduje się takie na miejscu zbrodni. Sundkvist pochylił się bardziej nad pistoletem, dzięki czemu odsunął się od nieistniejącego życia, które dobiegło końca, ale wcześniej zdążyło utworzyć ciemną plamę na drogim dywanie.

Wyglądało to tak, jakby zamek cofnął się tylko częściowo. Wyraźnie widział pocisk, który zdążył przebyć zaledwie połowę drogi w lufie. Obejrzał lufę, rękojeść i dźwignię bezpiecznika. Próbował znaleźć coś, na czym mógłby zaczepić wzrok, cokolwiek, byle nie śmierć.

W pokoju stał Nils Krantz z dwoma młodszymi technikami. Musieli przeszukać każdy centymetr kwadratowy mieszkania. Jeden z nich miał w ręce kamerę wideo i filmował coś, co znalazł na ścianie pokrytej białą tapetą. Sundkvist oderwał wzrok od głowy i spojrzał na to, co kręciła kamera. Jakieś odbarwienie, nic wielkiego, drobiazg z dala od oczu, w których zgasło już życie.

– Zabity ma w głowie tylko jeden otwór wlotowy od jednej kuli.

Krantz przeszedł obok technika, który filmował ścianę, i zbliżył usta do ucha Sundkvista.

– Ale za to dwa otwory wylotowe.

Sundkvist odwrócił się do ściany i spojrzał pytającym wzrokiem na starego technika.

– Poza tym otwór wlotowy jest większy niż oba otwory wylotowe, ponieważ to w tym miejscu ciśnienie gazu było najwyższe.

Sundkvist uważnie słuchał Krantza. Nie do końca wszystko zrozumiał, ale postanowił, że nie będzie pytać o szczegóły; woli nie wiedzieć. Spojrzał w ślad za palcem, którym Krantz wskazywał odbarwienie na tapecie.

– To, co właśnie nagrywaliśmy i na co patrzysz, pochodzi od zabitego. To jego substancja mózgowa.

Sundkvist oddychał powoli. Zawsze starał się unikać widoku śmierci i dlatego skoncentrował uwagę na odbarwieniu na ścianie, gdzie znowu ujrzał śmierć, i to w najbardziej konkretnej formie. Opuścił wzrok i zauważył, że do pokoju wszedł Grens.

– Sven?

– Tak?

– Może lepiej będzie, jak zejdziesz na dół i przesłuchasz tych dwóch młodych chłopaków, którzy przyjęli zgłoszenie? Może sąsiadów? Tych, których nie ma tutaj.

Sundkvist spojrzał na niego z wdzięcznością i opuścił miejsce z ciemnymi plamami na dywanie i odbarwieniami na tapecie. Grens przykucnął, żeby przyjrzeć się z bliska martwemu mężczyźnie.

ZNOWU PODZIELILI SIĘ władzą. Musieli tak zrobić, ale to on musiał za każdym razem wygrywać.

Nie przestawaj grać. Bo zginiesz.

Stał między Mariuszem i Jerzym przy okrągłym stole kuchennym w swoim biurze Hoffmann Security AB i opróżniał dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt kapsulek z amfą. Ostatnia partia przyszła z wytwórni w Siedlcach. Rękami w białych gumowych rękawiczkach usuwał brązową masę, która miała chronić żołądek kuriera przed przedostaniem się proszku do organizmu, a potem rozcinał kapsułkę na połowę i wysypywał proszek do dużej szklanej salaterki, gdzie mieszał go z cukrem gronowym. Dwie porcje amfetaminy ze wschodniej Polski i dwie porcje cukru ze sklepu sieci Konsum przy Odengatan. Dwadzieścia siedem kilogramów narkotyku zamieniało się w osiemdziesiąt osiem kilogramów działek przeznaczonych do sprzedaży na ulicy.

Hoffmann postawił metalową puszkę na domowej wadze i napełnił ją tysiącem gramów mieszanki z amfą. Taśmą z folii aluminiowej zakrył ostrożnie proszek, a potem na folii położył coś, co przypominało kawałek cukru. Przysunął zapalną do porcji metaldehydu, a gdy biały czworobok zaczął płonąć, zacisnął pokrywę puszki. Kiedy skończy się tlen, płomień szybko zgaśnie, a wtedy kilogram amfetaminy znajdzie się w próżniowym opakowaniu.

Te same czynności powtórzy osiemdziesiąt jeden razy po kolei.

– Benzyna?

Jerzy otworzył butelkę z czystą chemicznie benzyną, pokropił bezbarwną cieczą wieczko i roztarł ją bawełnianym tamponem na metalowej powierzchni. Wyjął zapalną i podpalił; niebieski płomień objął wszystko na dziesięć sekund, aż Jerzy zdusił go kawałkiem ścierki.

Dzięki temu na puszcze nie zostaną odciski palców.

PLAMY PO KRWI BYŁY najmniejsze na samej tapecie, trochę większe na ścianie po drugiej stronie dużego pokoju, jeszcze większe na stole i największe na podłodze wokół przewróconego krzesła. Stawały się ciemniejsze i mniej zwarte, im bliżej ciała. Głowa zabitego spoczywała na dywanie.

Grens siedział wystarczająco blisko i gdyby zmarły nagle przemówił, mógłby go usłyszeć. Nie czuł nic oprócz śmierci, ale nie miała nawet imienia lub nazwiska.

– Włot kuli, tutaj.

Krantz filmował i fotografował, chodząc po podłodze na czworakach. Był jednym z niewielu fachowców, którym Grens ufał, bo wielokrotnie udowodnił, że nie zadowalała go byle odpowiedź, dzięki której będzie mógł wrócić do domu godzinę wcześniej i obejrzeć telewizję.

– Ktoś przyłożył mu pistolet do głowy. Ciśnienie gazu między wylotem lufy a skronią było niesamowicie wysokie. Sam zobacz. Połowa czaszki rozerwana na strzępy.

Skóra na twarzy zabitego przybrała już szary kolor. Puste oczy i usta, które nigdy nie przemówią.

– Nie rozumiem. Jeden otwór wlotowy, ale dwa otwory wylotowe?

Krantz przystawił dłoń do otworu w czaszce, który znajdował się po jej prawej stronie i miał wielkość piłki tenisowej.

– Przez trzydzieści lat służby widziałem coś takiego zaledwie dwa razy. Ale takie wypadki się zdarzają. Sekcja potwierdzi, że chodzi tylko o jeden strzał. Jestem tego pewien.

Pociągnął Grensa za rękaw płaszcza i zaczął mówić prawie przejętym głosem:

– Tylko jeden strzał w skroń. Pocisk typu dum-dum, połowa z ołowiu, połowa z tytanu. Podzielił się na dwie części, kiedy uderzył w kość.

Krantz podniósł się i uniósł ramię. Mieszkanie było stare i miało trzy metry dwadzieścia centymetrów wysokości. Kilka rys czy pęknięć, ale poza tym w dobrym stanie, z wyjątkiem jednej rzeczy, na którą zwrócili uwagę technicy, a mianowicie głębokiego pęknięcia lub otworu w białej ścianie.

– Stąd wyciągnęliśmy połówkę kuli.

Kiedy wcześniej jeden z techników wydłubywał ostrożnie metalowy pocisk, na podłogę spadło kilka kawałków tynku.



– A tu znaleźliśmy drugą połówkę. Oznacza to, że drzwi do kuchni były zamknięte.

– Nie jestem taki pewien – odparł Grens.

Nadal pochylał się nad głową, w której było jakby za dużo dziur.

– Policjanci, którzy zjawili się na miejscu, uznali, że to egzekucja. Ale kiedy się temu przyglądam... Równie dobrze można powiedzieć, że mamy do czynienia z samobójstwem.

– Komuś bardzo zależało, żeby to tak wyglądało.

– Co masz na myśli?

Krantz postawił stopę koło ręki trzymającej pistolet.

– Wygląda to tak, jakby ktoś to upozorował. Uważam, że ktoś go zastrzelił i dopiero potem wsunął mu pistolet do ręki.

Wyszedł do przedpokoju, ale zaraz wrócił z czarną torbą.

– Muszę to jednak sprawdzić. Porównać odciski palców. I od razu będziemy wiedzieć.

Grens zaczął liczyć, spojrzał na Hermansson. Ona też liczyła.

Godzina i czterdzieści pięć minut od powiadomienia; mieli wystarczająco dużo czasu, bo ciało nie zdążyło jeszcze wchłonąć obcych pierwiastków i badanie odcisków dłoni będzie ważne.

Krantz otworzył torbę i wyjął z niej tubę z taśmą do zdejmowania odcisków palców. Kilka razy przycisnął do niej dłoń zabitego, zwłaszcza w okolicach palca wskazującego i kciuka. Potem przeszedł do kuchni i usiadł przy mikroskopie stojącym przy zlewie. Położył taśmę z odciskami na szklaną płytkę i zaczął ją badać przez okular.

Wystarczyło mu kilka sekund.

– Brak śladów prochu.

– Tak jak przypuszczałeś.

– To znaczy, że dłoń trzymająca pistolet nie oddała strzału.

Krantz odwrócił się do Grensa i dodał:

– To zabójstwo.

SIĘGNAŁ LEWĄ RĘKĄ do prawego barku i pociągnął za skórzane paski, aż poczuł, że ucisk na ramieniu zelżał. W ręce trzymał kaburę. Otworzył ją i wyjął pistolet wyprodukowany w Radomiu, kaliber dziewięć milimetrów. Wykonał zamaszysty ruch i włożył do magazynka ostatnią kulę. Pozostałych czternaście było już na miejscu.

Hoffmann stał przez krótką chwilę w ciszy i oddychał tak głośno, że sam to słyszał.

Był sam w mieszkaniu, z którego rozciągał się widok na Vasagatan i Kungsbron. Ostatni kurier już od dwóch godzin jechał pociągiem na południe, a Jerzy i Mariusz wyruszyli niedawno samochodem w tym samym kierunku.

To był długi dzień, ale do wieczora pozostało jeszcze trochę czasu. Musiał być na nogach jeszcze kilka godzin.

Dwie identyczne skrzynki na broń stały na podłodze obok biurka, wysokie na metr i na metr szerokie, pusta przegródka na górze i dwie sztuki broni w o wiele większej przegródce na dole. Hoffmann położył pistolet w pierwszej przegródce, a pusty magazynek w drugiej, na tej samej wysokości.

Przeszedł przez pokoje, które od dwóch lat pełniły funkcję biura firmy Hoffmann Security AB. Była to jedna z wielu filii firmy Securitus International. Większość z nich odwiedził przy różnych okazjach, nawet te, które znajdowały się daleko na północy. Był też w Helsinkach, Kopenhadze i Oslo.

Popatrzył na piękny kominek z ciemnej cegły z jasnym wzorkiem. Wiedział, że spodoba się Zofii, bo od dawna chciała mieć taki w domu. Wyjął z kosza kilka niewielkich szczap suchego drewna, zapalił ogień i poczekał, aż te większe i grubsze, które położył na wierzchu, zaczną się palić. Potem rozebrał się i wrzucił ubranie do ognia. Marynarka, spodnie, koszula, majtki i skarpetki płonęły w prawie żółtych płomieniach. To samo zrobił z ciuchami Mariusza i Jerzego. Tym razem płomienie miały czerwony kolor. Stał nago i chłonał ciepło ognia aż do chwili, gdy zmęczenie przeważało nad przyjemnością. Poszedł wziąć prysznic, żeby zmyć z siebie ten popieprzony dzień.

Człowiekowi przestrelono skroń.

Komuś, kto miał prawdopodobnie takie samo zadanie jak on. Niestety, ktoś opracował mu życiorys w niewłaściwy sposób.

Przekręcił kurek i w jego ciało uderzył strumień gorącej wody, prawie na granicy bólu. Jeśli wytrzyma, ciało się odpręży i napełni dziwnym spokojem.

Już za długo się tym zajmuje, czasami zapomina, kim naprawdę jest. Nieraz go to przerażało, podobnie jak życie, które prowadzili inni ojcowie i mężowie. Dni wypełnione spokojem w okolicy, gdzie sąsiedzi koszą trawę i pielą grządki.

Emil i Rasmus.

Obiecał, że ich odbierze po czwartej. Zakręcił kurek i sięgnął po czysty ręcznik leżący na półce obok lustra. Było już prawie wpół do piątej. Przeszedł szybko do pomieszczeń biurowych, sprawdził, że ogień powoli dogasa, otworzył garderobę i wybrał białą koszulę, szarą marynarkę i wytarte dżinsy.

– Masz sześćdziesiąt sekund, żeby wyjść z mieszkania i zamknąć je na klucz.

Wzdrygnął się na dźwięk głosu i w chwili, gdy wklepywał sześć cyfr w urządzenie do kodowania, zrozumiał, że nigdy się nie przyzwyczai do elektronicznego głosu przemawiającego z głośnika.

– Za pięćdziesiąt sekund włączy się system alarmowy.

Niedługo musi nawiązać kontakt z Warszawą, już dawno powinien był to zrobić, ale celowo czekał, bo chciał się upewnić, że dostawa jest bezpieczna.

– Za czterdzieści sekund alarm zostanie uruchomiony.

Zamknął na klucz okratowaną bramę i grube drzwi zewnętrzne prowadzące do siedziby Hoffmann Security AB. Firma ochroniarska. W taki właśnie sposób funkcjonują wszystkie odgałęzienia mafii ze wschodniej Europy. Przypomniawszy sobie wyjazd do Petersburga sprzed roku. W mieście działa osiemset firm ochroniarskich założonych przez byłych funkcjonariuszy KGB i oficerów wywiadu. Różne fasady, ale ten sam rodzaj działalności.

Zdążył zejść do połowy schodów, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Jeden z tych dwóch, które obsługują pojedynczy numer.

– Poczekaj chwilę.

Samochód zaparkował przy Vasagatan. Otworzył drzwi i wsiadł do niego, żeby uniknąć ewentualnych świadków rozmowy.

– Słucham?

– Potrzebujesz mojej pomocy.

– Potrzebowałem jej wczoraj.

– Zmieniłem rezerwację na samolot i będę w Sztokholmie już jutro. Spotkamy się o jedenastej na piątce. I jeszcze jedno: myślę, że zanim do tego dojdzie, ty też powinieneś dokądś pojechać. Żeby się uwiarygodnić.

DUŻE DZIURY W GŁOWIE zabitego wydawały mu się jeszcze większe, kiedy stał w pewnym oddaleniu od zwłok.

Grens poszedł za Krantzem do kuchni, ale po chwili zawrócił i zaczął się przyglądać mężczyźnie leżącemu przy przewróconym krześle. Zabity miał jeden otwór wlotowy w prawej skroni, ale dwa otwory wylotowe w lewej. Grens prowadził śledztwa w sprawie zbrodni od tylu lat, ile lat miał zamordowany, i w ciągu całego tego okresu nauczył się jednej prawdy: każda ofiara jest inna, ma swoją historię, przeszłość i przyszłość. Za każdym razem spotykał się z czymś, co było inne i nowe, czego nie widział nigdy przedtem, i już w chwili, kiedy zbliżał się do pustych oczu, wiedział, że patrzę w stronę, w którą nie powinien iść.

Teraz zastanawiał się, w jaki sposób odszedł z tego świata zabity mężczyzna i co zdążyły zobaczyć jego oczy.

– Chcesz wiedzieć czy nie?

Krantz kucnął na podłodze w kuchni. Czekał trochę za długo.

– Mam jeszcze inne rzeczy do zrobienia. – Trzymał dłoń przy jakiejś szczelinie w marmurowej podłodze. Grens skinął głową na znak, że chce się dowiedzieć. – Ta plama. Widzisz?

Grens spojrział na coś białego o nierównych brzegach.

– Treść żołądka. Na pewno ma mniej niż dwanaście godzin. W mieszkaniu jest więcej takich plam.

Krantz zakreślił ręką krąg w powietrzu.

– Wszystkie o tej samej zawartości. Resztki jedzenia i żółci. Ale jest też coś bardziej interesującego, a mianowicie cząstki gumowej masy.

Grens zauważył, że białe plamy o nierównych brzegach znajdują się jeszcze przynajmniej w trzech miejscach.

– Masa jest częściowo strawiona, prawdopodobnie przez kwas żołądkowy. A sam wiesz najlepiej, co oznacza gumowa masa w wymiocinach.

Ewert westchnął głośno. Obecność takiej masy oznaczała, że chodzi o ludzki kontener. Ludzki kontener oznaczał dostawę narkotyków. Martwy mężczyzna w powiązaniu z dostawą narkotyków oznaczał zabójstwo z powodu narkotyków. A tego rodzaju zabójstwo niemal gwarantowało, że śledztwo potrwa długo, że pochłonie wiele godzin pracy i środków.

– Kurier, który przewoził narkotyk w żołądku i zwrócił go tu, w kuchni.

– A co wiemy o zabitym?

– Nic.

– Nic?

– Na razie nic. Ale ty na pewno coś znajdziesz.

Grens przeszedł do dużego pokoju i stanął przy zamordowanym. Przyglądał mu się, podczas gdy dwaj mężczyźni chwycili zwłoki za ramiona i nogi, unieśli je z podłogi i włożyli do gumowego worka. W końcu zaciągnęli zamek błyskawiczny i położyli worek na metalowym wózku na kółkach, który idealnie zmieścił się w ciasnym przedpokoju.

HOFFMANN ZJECHAŁ Z VASAGATAN i utknął w korku na południowej obwodnicy na wysokości Slussen. Dochodzi piąta, powinien był przyjechać do przedszkola prawie godzinę temu.

Siedział w samochodzie i starał się pozbyć stresu i złości spowodowanej popołudniowym ruchem ulicznym, na który nie miał wpływu. Trzy pasy pełne samochodów stojących nieruchomo, jak okiem sięgnąć. Wypełniały cały tunel. Żeby nie walczyć z wielkomięjskim ruchem, zaczął myśleć o tym, jak pieści miękką skórę Zofii, albo o oczach Emila, kiedy syn sam jeździł na rowerze, czy o włosach Rasmusa, gdy ten rozlał zupę z owoców róży i zwymiotował sok pomarańczowy. Niestety, nie zadziało. „Z kim siedziałeś?”. Obrazy tych, których kocha, mieszały się za każdym razem z widokiem dostawy w mieszkaniu przy Västmannagatan, gdzie zabito człowieka. Skåne, Josef Libanon, Virtanen, Greven. „Ilu mam jeszcze wymienić?”. Inny agent z takim samym zadaniem jak on. „Ilu jeszcze?”. Inny agent, który siedział po drugiej stronie, ale rozegrał to gorzej niż on. „Ilu jeszcze?”. Nikt lepiej od niego nie wie, jak powinien wyglądać spreparowany życiorys, jak należy go budować, jakie pytania stawiać, żeby go obalić. Obaj pracowali dla policji i trafili w to samo miejsce, ale on nie miał wyboru, bo inaczej Mariusz i Jerzy wykończyliby ich obu. Wystarczy, że zabili tamtego, a nie jego.

Wcześniej już widział, jak umierają ludzie, choć to normalka w jego codziennym fachu. Jego wiarygodność wymagała właśnie takiej postawy i dlatego nauczył się obojętności wobec zabitych, których nie widział z bliska. Ale za tę operację odpowiedzialność ponosi on. Doszło do zbrodni, grozi mu dożywocie.

Erik zadzwonił do niego z lotniska w Jacksonville w Stanach. Od dziewięciu lat Hoffmann jest na nieoficjalnej liście płac komendy głównej policji. Jako urzędnik państwowy zatrudniony na tajnym etacie nauczył się, że jest cenną osobą, a władze tuszowały wcześniej jego wykroczenia i zaniedbania, zarówno służbowe, jak i w życiu prywatnym. Wilson i tym razem wszystko zatuszuje, policjanci to potrafią. Kilka tajnych raportów wywiadowczych trafi na właściwe biurko właściwego decydenta i sprawa będzie załatwiona.

W samochodzie robiło się coraz cieplej. Otarł pot spływający wzdłuż kołnierzyka koszuli. W końcu coś się ruszyło, korek zaczął się zmniejszać. Hoffmann skoncentrował wzrok na tablicy rejestracyjnej auta jadącego dwa metry przed nim i starał się przywołać z pamięci widok Rasmusa

i Emila, przypomnieć sobie, co znaczy normalne życie. Dwadzieścia minut później wysiadł w końcu z samochodu, zostawiając go na dużym parkingu dla gości w dużej dzielnicy mieszkaniowej Enskededalen, pełnej czynszowych domów.

Podszedł do drzwi wejściowych i nagle zatrzymał się z dłonią w powietrzu, centymetr nad klamką. Słuchał głosów bawiących się głośno dzieci i uśmiechnął się. Przez moment stał bez ruchu, żeby nacieszyć się najlepszą chwilą w ciągu całego dnia. Otworzył drzwi, ale znowu się zawahał. Wydawało mu się, że czuje ucisk pod ramieniem. Szybko wsunął dłoń pod marynarkę i odetchnął z ulgą. Na szczęście kaburę zostawił w biurze.

W końcu otworzył drzwi na całą szerokość. W środku poczuł zapach świeżego podwieczorku. Przy jednym ze stołów w jadalni siedziało dwóch chłopców. Hałas dobiegał z położonej dalej sali zabaw. Usiadł na niskim krzeselku w przedpokoju, obok dziecięcych buczków i kolorowych kurtek. Na każdej z nich znajdowało się imię dziecka i własnoręcznie narysowany słonik.

Skinął głową młodej kobiecie, chyba tutaj nowej.

– Dzień dobry.

– Pan jest tatą Rasmusa i Emila?

– Jak pani zgadła? Przecież ja nie...

– Nie zostało ich już zbyt dużo.

Kobieta zniknęła za regałem pełnym podniszczonych puzzli i drewnianych klocków do budowania i za chwilę wróciła z dwoma chłopcami w wieku trzech i pięciu lat. Na ich widok poczuł radość w sercu.

– Tatuś!

– Cześć, tato.

– Cześć, tato.

– Cześć, cześć, cześć...

– Witajcie chłopcy. Obaj wygraliście, nie zdążymy już dzisiaj powiedzieć więcej „cześć”. Może jutro. Wtedy zdążymy. Okay?

Sięgnął po czerwoną kurtkę i ubrał w nią Rasmusa, potem zdjął mu kapcie i włożył buty, chociaż miał z tym pewien kłopot, bo małe nóżki chłopca nie potrafiły ustać w miejscu. Pochylił się głębiej i spojrzał na swoje buty. Cholera, zapomniał je spalić w kominku. Na czarnym lakierze może czaić się śmierć, na jego powierzchni mogą się znajdować skrawki skóry, krwi albo mózgu. Gdy tylko wrócą do domu, będzie musiał je spalić.



Sprawdził, czy fotelik dla dzieci jest odwrócony we właściwą stronę i czy pasy są odpowiednio naciągnięte. Rasmus zaczął jak zwykle wydłubywać palcem małe kawałki wzorku z kapy zakrywającej siedzenie. Fotelik Emila był twardy i miał kształt czworokąta. Hoffmann sprawdził pas bezpieczeństwa, a przy okazji pocałował chłopca w policzek.

– Tatuś musi jeszcze zadzwonić. Czy będziecie przez chwilę grzeczni? Obiecuję, że skończę, zanim przejedziemy pod estakadą na Nynäsvägen.

Amfa w kapsułkach, foteliki dla dzieci, które trzeba bezpiecznie zamocować, buty, na których być może czai się śmierć.

W tym momencie nie bardzo rozumiał, że to różne sprawy, z których składa się zwykły dzień.

Telefon wyłączył dokładnie w tej samej chwili, gdy samochód przeciął zatłoczoną drogę dojazdową. Udało mu się zadzwonić dwa razy: do biura podróży, żeby zarezerwować lot SAS-em do Warszawy na 18.55, i do Henryka, swojego łącznika w biurze. Umówił się z nim na spotkanie trzy godziny później.

– Widzicie? Zdążyłem. I to właśnie w momencie, gdy znaleźliśmy się na tej drodze. Teraz będę rozmawiał już tylko z wami.

– Rozmawiałeś z pracą?

– Tak. Z pracą.

Chłopiec miał dopiero trzy lata, a już potrafił oddzielić oba języki i wiedział, w jakich sytuacjach tata się nimi posługuje. Hoffmann pogłaskał Rasmusa po głowie i zauważył, że Emil pochyla się, żeby coś powiedzieć.

– Ja też umiem mówić po polsku. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Na chwilę zamilkł, ale zaraz kontynuował trochę bardziej mrocznym głosem:

– ...*åtta, nio, tio.*

– Świetnie. Znasz już tak dużo cyfr.

– Chcę umieć liczyć dalej. Osiem, dziewięć... dziesięć?

– No i umiesz.

– Tak, już umiem.

Przejechali obok sklepu z kwiatami w Enskede. Hoffmann zatrzymał samochód, cofnął trochę i wysiadł.

– Poczekajcie chwilę, zaraz wracam.

Czerwony wóz strażacki stał na samym środku podjazdu prowadzącego do garażu. Udało mu się go nie zgnieść za cenę lekkiej

rysy, kiedy prawym bokiem samochodu zaczepił o ogrodzenie. Odpiął pas bezpieczeństwa przy fotelikach i popatrzył za chłopcami, jak biegną po trawniku. Padli na ziemię i zaczęli się czołgać przez żywopłot, żeby przedostać się na sąsiednią działkę, gdzie mieszkało troje dzieci i dwa psy. Hoffmann roześmiał się, bo na widok ich radości i żywiołowego zachowania naszło go jakieś błogie uczucie, które wypełniło całe jego wnętrze. Czasem wystarczy tak niewiele.

Wziął do ręki bukiet kwiatów i otworzył drzwi prowadzące do ciemnego domu, który opuścili w dużym pośpiechu. To był jeden z tych poranków, kiedy wszystko zabiera więcej czasu. Teraz musiał pozmywać naczynia po śniadaniu, bo nadal stały na stole, i pozbierać ubrania porozrzucone po pokojach na parterze. Najpierw jednak zszedł do kotłowni w piwnicy.

Był już maj, więc mechanizm pieca olejowego został dawno wyłączony. Przełączył go na tryb manualny, nacisnął czerwony guzik, otworzył klapkę i zaczął się przysłuchiwać, jak urządzenie się włącza i zaczyna produkować ciepło. Pochylił się, rozwiązał buty i wrzucił je do ognia.

Trzy czerwone róże zamierzał ustawić na kuchennym stole w pięknym wazonie, który pewnego lata kupili w hucie szkła w miejscowości Kosta. Talerze Zofii, Emila i Rasmusa postawił w miejscach, gdzie zazwyczaj siadają od czasu, gdy tego lata wyprowadzili się z mieszkania. Wyjął pół kilograma mielonego mięsa z górnej półki w lodówce, rzucił je na patelnię, dodał sól i pieprz, śmietanę i dwie puszki siekanych pomidorów. Poczuł smakowity zapach, więc wsadził do tej mieszanki palec i okazało się, że potrawa równie dobrze smakuje. Przygotował garnek wypełniony do połowy wodą i niewielką ilością oliwy.

Wszedł na piętro i skierował się do sypialni. Łóżko było niepościelone, opadł na kołdrę i wtulił głowę w poduszkę, która pachniała Zofią. W garderobie stała spakowana walizka, a w niej dwa paszporty, portfel z euro, złotówkami i dolarami, koszula, skarpetki, bielizna i aktówka. Wziął ją do ręki i wystawił przed drzwi, bo usłyszał, że woda się gotuje. Wrzucił do garnka pół torebki makaronu i spojrzął na zegarek. Wpół do szóstej. Czasu ma niewiele, ale musi zdążyć.

Na dworze nadal było ciepło, ale za chwilę ostatnie promienie słońca znikną za sąsiednim dachem. Podszedł do żywopłotu i pomyślał, że musi go latem porządnie przystrzyc. Po drugiej stronie zobaczył swoich chłopców, więc zawołał ich na kolację. W tej samej chwili usłyszał

nadjeżdżającą taksówkę, która zatrzymała się na podjeździe do garażu. Także i tym razem czerwony wóz strażacki uniknął złego losu.

– Cześć.

– Cześć.

Jak zwykle się objęli. Za każdym razem, gdy to robił, myślał sobie, że nigdy jej nie wypuści.

– Nie zdążę z wami zjeść. Muszę dziś lecieć do Warszawy. Mam tam pilne spotkanie. Wracam jutro wieczorem. Okay?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Właściwie to nie okay. Miałam nadzieję, że spędzimy ten wieczór razem. No ale trudno.

– Przygotowałem jedzenie, stoi na stole. Zawołałem chłopców, zaraz tu będą. Właściwie już tu powinni być.

Hoffmann pocałował ją lekko w usta.

– Jeszcze jeden. Przecież wiesz.

Jeszcze jeden. Zawsze parzysta liczba. Dotknął dłonią jej policzka, jeszcze dwa całusy.

– Teraz były razem trzy. Jeszcze jeden.

Znowu ją pocałował. Uśmiechnęli się do siebie. Zabrał walizkę i spojrzał na żywoplot, w miejsce, z którego powinni już wyjść obaj chłopcy.

Nigdzie ich nie było, ale wcale go to nie zdziwiło.

Znowu się uśmiechnął, wszedł do samochodu, zapuścił silnik i odjechał.

GRENS ZACZAŁ SZUKAĆ czegoś na dywaniku pod siedzeniem dla pasażera. Znalazł tam dwie taśmy magnetofonowe. W schowku były jeszcze dwie. Za chwilę je stąd zabierze, zapakuje, zapomni o nich.

Dwaj młodzi umundurowani policjanci stali na chodniku między przodem samochodu a wejściem do budynku przy Västmannagatan 79. Hermansson włączyła silnik i zaczęła cofać, gdy nagle jeden z policjantów zapukał w szybę. Sundkvist opuścił ją trochę.

– I co sądzicie?

Grens wychylił się z tylnego siedzenia.

– Miałeś rację. To rzeczywiście była egzekucja.

Było już późne popołudnie i mieli problemy ze znalezieniem przy Bergsgatan wolnego miejsca parkingowego. Hermansson objechała ponure budynki policyjne i po trzech rundach mimo protestów Grensa zaparkowała przy Kungsholmsgatan, przy wejściu do komendy rejonowej policji w Norrmalm i komendy wojewódzkiej policji. Grens skinął głową strażnikowi i wszedł do środka drzwiami, przez które nie wchodził od wielu lat. Już dawno temu nauczył się postępować w sposób rutynowy i surowo przestrzegał tych zasad. Jeszcze tylko korytarz, wąskie schody i znaleźli się w pomieszczeniu, które było sercem tego wielkiego budynku z salą tak dużą jak małe boisko piłkarskie. Przy każdym komputerze siedział policjant albo urzędnik cywilny. Wszyscy śledzili to, co działo się na ekranach trzech małych monitorów i na kilku znacznie większych, które zajmowały ściany od podłogi do sufitu. Byli zajęci sprawdzaniem treści czterystu zgłoszeń od osób, które tego dnia zadzwoniły pod numer alarmowy 112.

Grens, Sundkvist i Hermansson nalali sobie kawy, wzięli krzesła i usiedli obok kobiety w wieku pięćdziesięciu kilku lat zatrudnionej na jednym z cywilnych stanowisk w policji. Rozmawiając z kimś, zawsze kładła rozmówcy dłoń na ramieniu.

– Która godzina?

– Dwunasta trzydzieści siedem. I jakąś minutę wcześniej.

Kobieta nadal trzymała dłoń na ramieniu Ewerta, a drugą zapisała godzinę: 12.36. Potem zapadło długie milczenie, jak zwykle, gdy kilka osób nie ma o czym ze sobą rozmawiać.

*Twelve thirty-six twenty.*

Elektroniczny głos w języku angielskim, który znają policjanci na całym świecie. Zaraz potem prawdziwy głos młodej kobiety, która

z płaczem informowała o włamaniu do mieszkania przy placu Mariatorget.

*Twelve thirty-seven ten.*

Jakieś dziecko krzychało do słuchawki, że tata spadł ze schodów i bardzo, ale to bardzo krwawi, ma zakrwawione policzki i włosy.

*Twelve thirty-seven fifty.*

Dźwięk przypominający drapanie. Ktoś dzwoni z pomieszczenia, prawdopodobnie z telefonu komórkowego.

Na ekranie wyświetlił się napis: numer nieznany.

– Niezarejestrowany telefon na kartę.

Urzędniczka zdjęła dłoń z ramienia Grensa, który nie odezwał się ani słowem, żeby uniknąć rozmowy i kontaktu cielesnego. Już od wielu lat nikt go nie dotykał i sam nie wiedział, co zrobić, żeby nie być takim sztywniakiem.

„Pogotowie policyjne”.

Znowu dźwięk przypominający drapanie. Potem jakieś szумы. I głos mężczyzny, słychać było, że jest spięty, zestresowany, ale próbuje mówić normalnym tonem, choć szepcze.

„Martwy mężczyzna. Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć”.

Szwedzki, bez akcentu. Jednak mężczyzna powiedział coś więcej. Niestety, z powodu zakłóceń trudno zrozumieć ostatnie zdanie.

– Chcę to odsłuchać jeszcze raz.

Operator cofnął nagranie.

„Martwy mężczyzna. Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Piąte piętro”.

To wszystko, szумы ucichły i nagranie dobiegło końca. Elektroniczny głos czytał monotonnym tonem swoje *twelve thirty-eight thirty*. Jakiś oburzony starszy mężczyzna informował, że trwa włamanie do sklepu z wyrobami tytoniowymi przy Karlavägen. Grens wstał i podziękował za pomoc.

Szli razem długimi korytarzami w kierunku pomieszczeń zajmowanych przez sekcję dochodzeniową. Sundkvist zwolnił, żeby porozmawiać z szefem, który z każdym rokiem kulał coraz bardziej, a mimo to nie chciał używać laski.

– Mieszkanie – powiedział. – Od kilku lat gospodarz wynajmuje je jakiemuś Polakowi. Prosiłem Jensa Klövjega z Interpolu, żeby go sprawdził.

– Kurier. Ten trup. To Polak.

Grens zatrzymał się przed schodami. Mieli wejść nimi na drugie piętro. Popatrzył na swoich kolegów.

– To oznacza narkotyki, przemoc i zaangażowanie któregoś z państw Europy Wschodniej.

Popatrzyli na niego, ale nic więcej nie dodał, więc już nie pytali. Nalali do kubków kawy z automatu i rozeszli się. Grens otworzył drzwi i z przyzwyczajenia podszedł do regału za biurkiem. Sięgnął ręką w górę i znieruchomiał. Półka była pusta, zakurzona. Kiedyś stały tam w równych rzędach kasy i magnetofon. A tam, gdzie widniał ślad w postaci dwóch równej wielkości czworokątów, stały głośniki.

Przesunął dłonią po czymś, co stało się już tylko wspomnieniem po całym jego życiu.

Zapakował kasy do pudeł. Już nigdy więcej nie będzie ich odtwarzał w tym pokoju, bo należą do innych czasów. Poczł się oszukany, próbował przyzwycząić się jakoś do ciszy, której nigdy tu nie było.

Nie lubił jej. Słyszał, jak wrzeszczy do niego.

Usiadł na krześle przy biurku. Kurier. Trup. Polak. Widział faceta z trzema dziurami w głowie. To oznacza narkotyki, przemoc, któreś z państw Europy Wschodniej. Od trzydziestu pięciu lat jest policjantem w tym mieście i widzi, że sytuacja robi się coraz gorsza. A jednak – zbrodnia ma coś wspólnego z przestępczością zorganizowaną. Nic dziwnego, że czasami Grens woli się przenieść w przeszłość. A więc mafia. Kiedy zaczynał i był jeszcze młodym policjantem, który wierzył, że może coś zmienić, mafia wydawała się czymś odległym, działała w południowych Włoszech, w dużych miastach w Stanach. A dzisiaj? Egzekucje, takie jak ta tutaj, brutalizacja, wszędzie pełno brudów, policjanci z innych rejonów po prostu się przyglądali, jak różne odgałęzienia mafijne tworzące zorganizowane grupy przestępcze dzielą między siebie pieniądze pochodzące z handlu narkotykami, bronią, ludźmi. Co roku na terenie podległym policji sztokholmskiej pojawiali się nowi gracze, a on przez ostatnie miesiące zajmował się rozgryzaniem mafii meksykańskiej i egipskiej. Z mafią polską nie miał dotąd do czynienia, ale ona też działała według starego wzoru: narkotyki, pieniądze, śmierć. Policja badała jakieś pojedyncze ślady, ale zawsze znajdowała się krok za mafią. Policjanci każdego dnia ryzykowali własne życie i każdego dnia coraz bardziej tracili szansę na kontrolowanie sytuacji.

Grens długo siedział przy biurku, wpatrując się w brązowe kartony.

Brakowało mu tej muzyki. Siw i Anni. Brakowało mu tamtych czasów,  
gdy wszystko było prostsze.

W HALI PRZYLOTÓW LOTNISKA im. Fryderyka Chopina w Warszawie jak zwykle było tłoczno. Liczba lądowań i startów wzrastała w miarę rozbudowy lotniska. W ciągu ostatniego roku Hoffmann dwa razy stracił swój bagaż w tłumie zdesperowanych pasażerów i przejeżdżających obok wielkich wózków widłowych.

Z niewielką walizką w ręce minął taśmę z bagażami i znalazł się w mieście trochę większym od Sztokholmu, z którego przed chwilą przyleciał. Ciemne skórzane siedzenia taksówki pachniały dymem, a on przez chwilę znowu stał się małym chłopcem, który jedzie do babci, mając po bokach mamę i tatę na ciasnym tylnym siedzeniu. W mieście nastąpiły wielkie zmiany. Zadzwoił do Henryka w firmie Securitus International i potwierdził, że samolot wylądował bez opóźnienia i że do spotkania może dojść o dwudziestą drugą we wcześniej ustalonym miejscu. Już miał się rozłączyć, gdy nagle Henryk poinformował go, że w spotkaniu wezmą udział jeszcze dwie osoby, Zbigniew Borecki i Grzegorz Krzesiński, to znaczy zastępca dyrektora naczelnego i ich „przykrywka”. Przez ostatnie trzy lata Hoffmann odwiedzał główną siedzibę firmy raz na miesiąc i spotykał się tam z Henrykiem, zdobywając stopniowo jego zaufanie. To również Henryk udzielał mu wsparcia, gdy Hoffmann stopniowo pisał się w strukturze organizacji na coraz wyższe szczeble. Henryk był jedną z wielu osób, które mu ufały. Jeśli chodzi o wicedyrektora, Hoffmann spotkał go do tej pory tylko raz. Borecki był kiedyś wojskowym i pracował w służbach informacyjnych. Założył firmę matkę i nadal nią kierował, jej centrala mieściła się w Warszawie. W armii dosłużył się stopnia majora, trzymał się prosto i poruszał w sposób typowy dla oficerów służb, z pewną domieszką sposobu bycia typowego dla biznesmenów. Bo tak właśnie siebie nazywali – biznesmenami. A więc w spotkaniu weźmie udział wicedyrektor i ten najważniejszy, który był przykrywką dla ich brudnych interesów. Nazywali go z rosyjska „krysha”<sup>[1]</sup>, bo takich jak on tak właśnie w Rosji nazywają. Hoffmann nie domyślał się dlaczego. Oparł się o skórzane siedzenie i poczuł w piersiach coś dziwnego, prawdopodobnie strach.

Taksówka poruszała się dość szybko, bo wieczorem ruch był mniejszy. Przez brudne okno widział rozległe parki i budynki ambasad. Dojeżdżali właśnie do Mokotowa. Hoffmann klepnął kierowcę w ramię i poprosił go, żeby się zatrzymał, bo musi zatelefonować.

– Będzie pan musiał zapłacić za postój.



– Proszę zatrzymać samochód.

– Dopłaci mi pan dwadzieścia złotych. Cena, którą panu podałem wcześniej, nie obejmowała postoju.

– Niechże się pan, do cholery, zatrzyma!

Hoffmann pochylił się w stronę kierowcy i szepnął mu coś do ucha. Taksówka przejechała ulicę Sobieskiego i skręciła w Witosą. Hoffmann wysiadł i zadzwonił do Zofii; wsłuchiwał się w jej zmęczony głos, gdy opowiadała mu, że Emil i Rasmus leżą obok niej na kanapie, że rano muszą wcześniej wstać, bo jadą z przedszkolem na wycieczkę do rezerwatu przyrody w Nacka. Temat wycieczki brzmi „Las i wiosna”.

– Dziękuję za kwiaty – dodała na koniec.

– Kocham cię.

Hoffmann naprawdę ją kochał. Mógł bez niej wytrzymać jedną noc. Przedtem, zanim ją poznał, nigdy nie czuł, jak w brzydkich pokojach hotelowych samotność chwyta go za gardło, nie rozumiał, że życie bez miłości nie ma sensu.

Nie chciał się jeszcze rozłączać; stał na ulicy z telefonem w ręce i przyglądał się jednemu z drogich domów. Miał nadzieję, że jeszcze usłyszy jej głos. Niestety, Zofia się rozłączyła. Wyjął więc drugi telefon i znowu wybrał jakiś numer. We wschodnich Stanach dochodzi piąta po południu.

– Paula spotka się z nimi za trzydzieści minut.

– Dobrze. Ale mam złe przeczucie.

– Kontroluję sytuację.

– Istnieje ryzyko, że ktoś zostanie obciążony odpowiedzialnością za niepowodzenie na Västmannagatan.

– To nie było niepowodzenie.

– Tam zginął człowiek!

– Tutaj nikogo to zbytnio nie interesuje. Interesuje ich tylko to, żeby dostawy były bezpieczne. Jedynie to ma znaczenie. Ze skutkami strzelaniny poradzimy sobie w kilka minut.

– To ty tak twierdzisz.

– Złożę ci dokładny raport, jak się spotkamy.

– O jedenastej na piątce.

Hoffmann pomachał poirytowany ręką, bo kierowca zaczął na niego trąbić. Jeszcze dwie minuty w ciemnościach i chłodnym powietrzu. Znowu siedzi między mamą i tatą, przylecieli właśnie ze Sztokholmu i teraz jadą odwiedzić babcię w Bartoszcach, niewielkiej miejscowości przy granicy z Obwodem Kaliningradzkim. Rodzice nigdy nie posługiwali

się tą nazwą. Nie chcieli. Dla nich Kaliningrad nadal nazywał się Königsberg, a tę nową nazwę musieli chyba wymyślić jacyś idioci. Hoffmann wyczuwał pogardę w głosie rodziców, ale jako dziecko nigdy nie rozumiał, dlaczego wyjechali z miejsca, do którego zawsze tęsknili.

Kierowca zaklął głośno, kiedy wyjechali z ulicy Witosa i szybko minęli zielone tereny wraz z przyległymi do nich biurami. Ludzi było tu niewielu. Zawsze tak bywa, kiedy cena za metr kwadratowy dopasowuje się do popytu i podaży.

Rodzice uciekli z Polski pod koniec lat sześćdziesiątych. Często pytał ich, dlaczego to zrobili, ale nigdy nie usłyszał odpowiedzi. Kiedy zaczynał marudzić, mama pokazywała mu czasem jakieś pojedyncze zdjęcia – Łódź, ona w ciąży. Opowiadała mu o kilku nocach spędzonych na wzburzonym morzu, gdy była pewna, że oboje zginą, i o tym, jak w końcu znaleźli się w Szwecji, w pobliżu miejscowości Simrishamn.

Samochód skręcił w Idzikowskiego. Kolejne osiedle.

Przez ostatnie lata wiele razy odwiedzał swój kraj. Gdyby się tutaj urodził i dorastał, być może zostałby kimś innym, kimś takim jak członkowie jego rodziny w Bartoszycach, którzy po śmierci jego rodziców przez długi czas starali się podtrzymywać z nim kontakt, ale po pewnym czasie przestali pisać, bo on się nie odzywał. Dlaczego się tak zachował? Sam nie wiedział. Podobnie jak nie wiedział, dlaczego nigdy nie dał znać i nigdy ich nie odwiedził, gdy był w pobliżu.

– Sześćdziesiąt złotych. Czterdzieści za jazdę i dwadzieścia za ten cholerny postój, którego nie uzgadnialiśmy.

Hoffmann położył na siedzeniu sto złotych i wysiadł.

Stał przed ciemnym, dużym, starym domem na Mokotowie. Być może otaczały go kiedyś inne domy, zniszczone przed siedemdziesięciu laty. Henryk czekał już na niego na schodach, przywitali się, ale wymienili tylko kilka słów. Nigdy nie mieli wspólnych tematów.

Sala, w której mieli się spotkać, znajdowała się na końcu korytarza na jedenastym piętrze. Było w niej zbyt jasno i za ciepło. Wicedyrektor i mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna, zapewne „kryza” – jak Hoffmann się domyślał – siedzieli już przy długim stole. Hoffmann przywitał się z nimi mocnym uściskiem dłoni i podszedł do krzesła, które czekało na niego odsunięte od stołu. Na blacie stała butelka wody mineralnej.

Nie unikał ich badawczego wzroku. Gdyby to zrobił, byłoby po nim.

Borecki i Krzesiński.

Nadal nie wiedział, o co chodzi. Może przyszli, żeby go zabić? A może chcą mu dać awans?

– Pan Krzesiński będzie się przysłuchiwał naszej rozmowie. Rozumiem, że nigdy wcześniej się nie spotkaliście?

Hoffmann skinął głową mężczyźnie w eleganckim garniturze.

– Nigdy pana nie spotkałem, ale rozpoznaję pana.

Uśmiechnął się do mężczyzny, który od wielu lat pojawiał się w polskiej prasie i telewizji. Przedsiębiorca, jego nazwisko padało czasem w siedzibie Securitus International, firmie, która powstała z tego samego chaosu, z jakiego wyłoniła się każda nowa firma w krajach Europy Wschodniej, kiedy nagle padł niewidzialny mur, a interesy gospodarcze i kryminalne zlały się ze sobą w zetknięciu z wielkim kapitałem. Przedsiębiorstwo powołali do życia dawni wojskowi i milicjanci. Miało strukturę opartą na hierarchii, na której szczycie znajdował się ten, którego nazywali „kryszą”. Krzesiński był właśnie taką przykrywką dla Securitus International, i to przykrywką doskonałą. Opiekun firmy umocowany centralnie, z silnym zapleczem finansowym, nietykalny w społeczeństwie opartym na prawie, gwarant, który łączył środowiska gospodarcze z kryminalnymi, a zarazem stanowił fasadę dla kapitału i przemocy.

– Co z dostawą?

Wicedyrektor przyglądał mu się wystarczająco długo.

– Słucham?

– Rozumiem, że jest zabezpieczona?

– Tak.

– Będziemy ją kontrolować.

– No to przejdźmy do innych spraw.

I to wszystko. Sprawa załatwiona.

Piet Hoffmann nie umrze tego wieczoru.

Chciało mu się śmiać. Kiedy strach opadł, poczuł, że coś próbuje znaleźć ujście z jego wnętrza. Wiedział też, że pojawi się jeszcze coś, ale nie będzie to poczucie zagrożenia czy niebezpieczeństwa, tylko rodzaj rytuału, który wymaga zachowania godnej postawy.

– Zostawił pan nasze mieszkanie w stanie, który mi się nie podoba.

Najpierw pytania w sprawie zabezpieczenia dostawy. Potem pytanie o zabitego faceta. Głos wicedyrektora stał się spokojniejszy, bardziej przyjazny. Teraz pytał już o coś, co nie jest takie ważne.

– Nie chcę, żeby moi współpracownicy w Polsce musieli się tłumaczyć polskiej policji na zapytanie szwedzkiej policji, dlaczego i jak wynajmują

mieszkania w centrum Sztokholmu.

Hoffmann wiedział, że z wyjaśnieniem tej sprawy też sobie poradzi. Czekał jednak z odpowiedzią, zerkał na Krzesińskiego. „Zostawił pan nasze mieszkanie w stanie, który mi się nie podoba”. Szanowany biznesmen dokładnie wiedział, o czym mówi. Słowa są jednak dziwne. Jeśli ktoś nie posługuje się nimi oficjalnie, nie istnieją. Nikt w tym pokoju nie użyje określenia „dwadzieścia siedem kilogramów amfetaminy” albo „egzekucja”. Nie zrobi tego dopóty, dopóki ten, który oficjalnie nie wie, siedzi w tym po uszy.

– Gdyby nasze wcześniejsze ustalenie, że to ja kieruję naszymi operacjami w Szwecji, było respektowane, nigdy by do tego nie doszło.

– Wolałbym, żeby pan wyjaśnił to dokładniej.

– Gdyby ludzie, których pan tam wysłał, postępowali według instrukcji, nigdy by do czegoś takiego nie doszło.

Operacja. Własna inicjatywa. Sytuacja.

Hoffmann znowu na niego spojrział.

Te jego słowa. Używam ich teraz ze względu na ciebie. Tylko po co tu przyszedłeś? Dlaczego siedzisz tu ze mną i słuchasz czegoś, co może oznaczać zarówno coś, jak i nic? Już się ciebie nie boję. Ale nadal nie rozumiem.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej do tego nie dojdzie.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wicedyrektor chciał mieć ostatnie słowo. Tak to właśnie funkcjonuje. Piet Hoffmann jest w tym dobry, wie, jak uczestniczyć w tej grze, bo zdaje sobie sprawę, że gdyby nie potrafił, czeka go śmierć. W chwili, kiedy stałby się Paulą, już by go nie było, spotkałby go taki sam los jak tamtego sprzedawcę w Sztokholmie dziesięć godzin wcześniej. Siedziałyby po prostu w samochodzie jadącym gdzieś poza Warszawę, z dwoma osiłkami po bokach i bronią przystawioną do skroni.

Umiał grać swoją rolę, znał odpowiedzi i wymyślony życiorys. Nie obawia się więc, że umrze. Niech inni umierają.

Biznesmen lekko się poruszył, co było znakiem dla wicedyrektora. Wyglądał na zadowolonego. Hoffmann został zaakceptowany.

Wicedyrektor miał wcześniej nadzieję, że tak się stanie, i w związku z tym poczynił już plany. Wstał z krzesła i prawie się uśmiechnął.

– Zamierzamy rozwinąć działalność na pewnym rynku zamkniętym. Rozpoczęliśmy inwestycje i mamy już udziały w każdym z krajów skandynawskich. Teraz zajmiemy się także twoim obszarem, Szwecją.

Hoffmann spojrział w milczeniu na biznesmena, potem na wicedyrektora.

Zamknięty rynek.

To znaczy więzienia.

OSTRE ŚWIATŁO LAMP odbijało się w metalowych łyżkach wyciskowych. Nils Krantz wziął pierwszą z nich i napełnił jasnoniebieską masą. Potem poprosił Grensa, żeby odciągnął zielone prześcieradło zakrywające zwłoki leżące na noszach na środku pokoju.

Nagie ciało mężczyzny. Błada cera, rosła sylwetka, niezbyt stary. Na twarzy brak skóry, reszta ciała w zasadzie bez widocznych śladów po uszkodzeniach.

Dziwny widok: nogi umyte do czysta, żeby ktoś, kto będzie oglądał zwłoki, mógł podejść jak najbliżej, ślady po wyciętej skórze, którą usunięto, żeby znaleźć odpowiedź na niektóre pytania.

– Alginat. Czasem go używamy i zupełnie nam wystarczy. Są też droższe gatunki, ale nie kupujemy ich do obdukcji, bo to marnotrawienie pieniędzy.

Technik laboratoryjny oddzielił górną szczękę od dolnej i wsunął metalową łyżkę wyciskową z jasnoniebieską masą aż pod zęby górnej szczęki. Przez dwie minuty trzymał ją w tym miejscu, aż substancja stężała.

– Zdjęcia, odciski palców, DNA, odciski zębów. To mi wystarczy.

Odszedł od noszy ze zwłokami i skinął głową Ludvigowi Errforsowi, lekarzowi medycyny sądowej.

– Otwór wlotowy.

Errfors wskazał na gołą czaszkę pozbawioną skóry i skroń po prawej stronie.

– Kula weszła przez kość skroniową i wytraciła prędkość dokładnie w tym miejscu.

Zrobił palcami niewidoczną linię od dziury w skroniach aż po środek czaszki.

– *Mandibula*. Żuchwa. Ślady wyraźnie pokazują, jak płaszcz pocisku uderzył w twardą kość i podzielił się na dwa mniejsze, które wyrwały dwa otwory wylotowe po lewej stronie. Jeden w żuchwie, drugi w kości skroniowej.

Grens spojrzał na Krantza. Okazuje się, że Krantz miał rację od samego początku, już w mieszkaniu, gdy wyraził takie przypuszczenie.

– A temu przyjrzyj się szczególnie uważnie – dodał Errfors.

Lekarz wziął zabitego za prawą rękę. To dziwne uczucie, gdy mięśnie nie reagują, a coś, w czym do niedawna tętniło życie, przypomina przedmiot z gumy.

– Widzisz to tutaj? Wyraźne ślady wokół nadgarstka. Ktoś trzymał go za rękę *post mortem*.

Grens ponownie spojrzął na Krantza, który skinął z zadowoleniem głową. W tym przypadku też miał rację. Ktoś uniósł ramię mężczyzny po jego śmierci. Ktoś próbował ułożyć je tak, żeby wyglądało to na samobójstwo.

Grens odszedł od stołu ze zwłokami i otworzył okno na korytarzu. Na dworze było już ciemno, niedługo zapadnie noc.

– Nie wiemy, jak się nazywa. Nic o nim nie wiemy. Chcę się dowiedzieć więcej, poznać go bliżej. – Spojrzął na Krantza, potem na Errforsa. Czekał.

W końcu lekarz odchrząknął.

Zawsze można znaleźć coś więcej.

– Oglądałem dwie plomby w jego zębach. Tutaj, prawie w środku dolnej szczęki, ktoś grzebał jakieś osiem, może dziesięć lat temu. Z całą pewnością jakiś szwedzki dentysta. Rozpoznaję sposób, w jaki tę plombę zrobiono, jakość pracy, materiał różniący się znacznie od innych rodzajów materiału, które wiele krajów europejskich importuje z Tajwanu. Tydzień temu miałem na stole pewnego Czecha z plombą korzeniową w dolnej szczęce, kanał wypełniony cementem, który... hm, daleko odbiegał jakością od tego, co tu, w Szwecji, uznajemy za możliwe do zaakceptowania.

Lekarz przesunął dłonie z twarzy pozbawionej skóry na dolną część tułowia.

– Wycięto mu wyrostek. Tu jest blizna. Dobra robota pod względem kosmetycznym. Blizna i sposób, w jaki zaszyto jelito grube, wskazują na to, że był operowany w szwedzkim szpitalu.

Nagle rozległ się jakiś głuchy odgłos i ziemia zatrzęsła się pod nogami. Tuż przed północą po terenie przylegającym do zakładu medycyny sądowej w Solnie przetoczyła się ciężarówka. Errfors zobaczył pytający wzrok Grensa.

– Nie ma się czym przejmować. Coś tam wyładowują. Nie mam pojęcia co, ale każdego wieczoru jest to samo.

Errfors odsunął się trochę od noszy, robiąc miejsce dla Grensa.

– Plomby w zębach, wycięcie wyrostka i coś, co bym określił jako północnoeuropejskie rysy twarzy. To Szwed.

Grens przyglądał się czaszce, na której widać było białe, odsłonięte kości.

Znaleźliśmy ślady żółci, amfy i gumowej masy.

Ale nie wzięło się to tam znikąd.

Doszliśmy do wniosku, że chodziło o jakieś interesy z polską mafią.

Ale ty jesteś Szwedem.

*Nie byłeś ani kurierem, ani sprzedającym. Byłeś kupcem.*

– Jakież ślady po narkotykach?

– Nie.

– Na pewno?

– Żadnych śladów po nakłuciach, żadnych śladów we krwi ani w moczu.

*A więc byłeś kupcem, który sam nie brał.*

Odwrócił się do Krantza.

– Co ze zgłoszeniem?

– To znaczy?

– Zdażyłeś wykonać analizę?

Krantz skinął głową.

– Właśnie wróciłem z tamtego mieszkania – powiedział Grens. – Mam pewną teorię. Pojadę tam jeszcze raz, żeby się upewnić. Ten dźwięk, który przypomina zakłócenie tuż przed tym, jak zgłaszający zakończył rozmowę słowami „piąte piętro”...

Krantz spojrział na Grensa i przypomniał sobie, o co chodzi.

– Okazało się, że jest tak, jak podejrzewałem. Dźwięk pochodzi z kompresora lodówki stojącej w kuchni. Ta sama częstotliwość. Te same odstępy między dźwiękami.

Grens trącił zabitego dłonią w nogę.

– Ktoś zadzwonił z kuchni?

– Tak.

– A głos? Czy ta osoba jest pochodzenia szwedzkiego?

– Tak. Żadnych śladów akcentu. Dialekt z okolic Mälaren.

– No to mamy dwóch Szwedów. Przebywali w tym samym czasie w tym samym mieszkaniu, gdzie polska mafia robiła jakieś narkotykowe interesy zakończone egzekucją. Jeden z nich leży tutaj. Drugi nas powiadomił.

Grens ponownie trącił zabitego, jakby miał nadzieję, że ten nagle się poruszy.

*Co ty tam robiłeś? Co obaj tam robiliście?*



TAK, NAPRAWDĘ SIĘ BAŁ. Ale już wiedział, że nie zginie. Spotkał się z szefem po raz pierwszy, a ponieważ nie skończyło się to dla niego śmiercią, oznaczało po prostu, że być może będzie się piał wyżej. Nie wiedział, w co teraz wejdzie i jak, ale wiedział, że Paula zbliża się do przełomowego momentu, dla którego przez ostatnie trzy lata, w każdej minucie, każdego dnia, ryzykował życie.

Teraz siedzi obok pustego krzesła w zbyt mocno oświetlonej salce. Krzesiński w eleganckim garniturze już sobie poszedł. Pozostały po nim słowa, które udawały coś innego niż to, o co w tym wszystkim chodzi: zorganizowaną przestępczość, pieniądze i przemoc, jakiej dopuszczali się w celu zarobienia jeszcze większych pieniędzy.

Wicedyrektor nie mówił już przez zaciśnięte wargi i nie siedział sztywno, jak przed kilkoma minutami. Otworzył butelkę żubrówki i nalał sobie trochę do szklanki, po czym zmieszał zawartość z sokiem jabłkowym. Picie alkoholu z szefem oznaczało dla Hoffmanna nawiązanie pewnej intymnej więzi. Uśmiechnął się na widok żdźbła trawy w butelce i choć nie lubił tego alkoholu, nalał sobie i wypił, bo tak wymagała grzeczność i obyczaj. Stuknął się z byłym oficerem służb wywiadowczych, który awansował w hierarchii społecznej, a dzisiaj zdobył się nawet na to, żeby brudne szklanki wymienić na dwie czyste.

– Na zdrowie.

Wymienili spojrzenia i wypili. Wicedyrektor nalał wszystkim ponownie.

– Rynek zamknięty.

Wypił do dna i nalał sobie po raz trzeci.

– Mówmy jasnym językiem.

– Wolę tak.

I znowu wypił do dna, już trzecią szklankę.

– Rynek szwedzki. Teraz kolej na ten kraj.

Hoffmann nie mógł usiedzieć w spokoju. Firma Securitus International kontroluje już rynek norweski, duński i fiński. Zaczął rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, po co przyszedł facet, który ich kryje. I dlaczego on trzyma w ręce szklankę z żubrówką i sokiem jabłkowym.

– W szwedzkich więzieniach siedzi ponad pięć tysięcy ludzi. Prawie osiemdziesiąt procent z nich bierze prochy. Stanowią dużą grupę konsumentów amfy, heroiny i alkoholu. Mam rację?

– Tak.

– Dziesięć lat temu też tak było?

– Tak, wtedy też.

Dwanaście pieprzonych miesięcy w zakładzie karnym w Österåker.

– Jeden gram amfy kosztuje na ulicy sto pięćdziesiąt koron. W zakładach karnych trzy razy więcej. Gram heroiny na ulicy kosztuje tysiąc koron. W pierdłu trzy razy więcej.

Borecki już kiedyś prowadził taką rozmowę ze współpracownikami przed operacjami w innych krajach. Dotyczyły w zasadzie tej samej sprawy: umiejętności liczenia.

– Cztery tysiące osadzonych narkomanów. Każdego dnia biorą po dwa gramy amfy albo po jednym gramie heroiny. Oznacza to, że każdego dnia zarabiamy od ośmiu do dziewięciu milionów koron.

Paula narodził się dziesięć lat temu. Żyje ze śmiercią każdego dnia. Ale ta chwila była tego warta. Po wszystkich kłamstwach i kombinacjach dotarł wreszcie do celu. Tam, dokąd zmierzał od dawna.

– Cholernie skomplikowana operacja. Ale na początku trzeba zainwestować spore pieniądze, zanim w ogóle ruszymy, zanim nam się cokolwiek zwróci.

Wicedyrektor spojrział na puste krzesło stojące między nimi.

Firma Securitus International ma potencjał, żeby zainwestować, poczekać, jak długo będzie trzeba, aż kiedyś ten zamknięty rynek będzie należał do nich. Firma posiada gwaranta finansowego, wschodnioeuropejski wariant *consigliere*, za to więcej kapitału i władzy.

– Tak. To cholernie skomplikowana operacja. Ale całkowicie możliwa. I to ty nią pokierujesz.

GRENS OTWORZYŁ OKNO. Robił to zawsze przed północą, żeby posłuchać dzwonów kościoła na Kungsholmen. Potem zaczynały bić dzwony w jakimś innym kościele, którego nigdy nie udało mu się zlokalizować. Wiedział tylko, że znajduje się gdzieś dalej, więc kiedy wiał wiatr, głos dzwonów nie docierał do komendy. Grens chodził po pokoju i dziwnie się czuł. To był jego pierwszy wieczór i pierwsza noc na komendzie bez muzyki Siw Malmkvist. A przecież przyzwyczyił się zasypiać przy tych dźwiękach, bo przenosił się wtedy do innych czasów. Zazwyczaj o tej porze puszczał sobie dwie kasety, które sam nagrał, a poszczególne utwory poukładał według własnego uznania.

Nie, nic już nie przypomina tutaj dawnego spokoju.

Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad dźwiękami, które nocą dochodziły zza okna. Nie znosił samochodów jadących po Bergsgatan, zwłaszcza tych z Hantverkargatan, które przyspieszały, wjeżdżając na wysokie wzniesienie. Zamknął okno i usiadł pogrążony w nagłej ciszy. Wziął do ręki faks, który niedawno przysłał mu Klövje ze szwedzkiego Interpolu. Zawierał treść przesłuchania pewnego Polaka. Polska policja przesłuchiwała go na zlecenie policji szwedzkiej, bo to on od dwóch lat był lokatorem mieszkania przy Västmannagatan 79. Grens nigdy nie słyszał jego nazwiska i nawet nie potrafił go wypowiedzieć. Mężczyzna miał czterdzieści pięć lat, urodził się w Gdańsku, stały adres zamieszkania miał w Warszawie. Nigdy wcześniej nie był karany ani nawet podejrzany o popełnienie przestępstwa. Polski policjant, który go przesłuchiwał, zapewnił, że w momencie popełnienia zbrodni w Sztokholmie ów mężczyzna przebywał w Warszawie.

*W jakiś sposób jesteś w to zamieszany.*

Grens trzymał w ręce gęsto zapisaną kartkę.

*Kiedy tam przyszedliśmy, drzwi były zamknięte na klucz.*

Wstał z krzesła i wyszedł na ciemny korytarz.

*Nie było śladów włamania ani żadnych innych śladów przemocy. Wyjął dwa kubki z automatu. To znaczy, że ktoś tam wszedł, otwierając drzwi kluczem, a następnie wyszedł i zamknął je na klucz. Do tego kanapka z serem i jogurt o smaku bananowym z automatu. Ktoś cię dobrze znał.*

Grens stał na pustym, ciemnym korytarzu. Wypił cały kubek kawy i pół kubka jogurtu. Kanapkę wrzucił do kosza, bo była już zbyt sucha.

Czuł się w tym miejscu bezpiecznie.

Duży, brzydki budynek policji. Niektórzy z jego kolegów tkwili tu na dobre, inni przed czymś się w nim ukrywali. Dla niego było to w zasadzie jedyne miejsce, gdzie mógł wytrzymać. Zawsze wiedział, co ma tu zrobić, stał się częścią tego miejsca. Przyzwyczyił się nawet do nocowania na kanapie, żeby nie musiał wychodzić na balkon w swoim mieszkaniu, spędzać na nim długich nocnych godzin, wpatrując się w Sveavägen, obserwując życie stolicy, która nigdy nie kładła się na spoczynek.

Wrócił do swojego pokoju. Było to jedyne pomieszczenie w wydziale dochodzeniowym, gdzie nadal paliło się światło. Kopnął lekko karton z kasetami. Nie poszedł nawet na pogrzeb. Opłacił wszystkie koszty, ale nie poszedł. Znowu kopnął karton, tym razem mocniej. Teraz żałuje, że go tam nie było, może dzięki temu Anni odeszłaby z jego życia na dobre.

Faks, który przysłał mu Klövje, nadal leżał na stole. Jakiś Polak, którego nie można połączyć ze zbrodnią. Grens zaklął i zaczął chodzić po pokoju; po raz trzeci kopnął karton. Tym razem zrobiła się w nim niewielka dziura. Nie ma żadnego tropu. Wie tylko tyle, że w mieszkaniu znajdowało się wtedy dwóch Szwedów, którzy ubijali interes z polską mafią. Teraz jeden z nich nie żyje, a drugi szeptem powiadomił o tym policję. Stał wtedy w kuchni, koło lodówki, mówił bez akcentu. Krantz jest tego pewien.

*Byłeś tam i powiadomiłeś o popełnieniu przestępstwa.*

Grens zatrzymał się koło kartonów, ale tym razem ich nie kopnął.

*Albo jesteś świadkiem, albo sprawcą.*

Usiadł, pochylił się nad kartonem i zakrył dziurę.

*Morderca nie zabija po to, żeby potem upozorować zbrodnię na samobójstwo, a na końcu zadzwonić na policję i o wszystkim ją powiadomić.*

Właściwie to przyjemne uczucie, siedzieć tak sobie plecami do zabronionej muzyki, może nawet posiedzi dłużej na twardej podłodze, aż zrobi się jasno i nastanie ranek.

*Tak, jesteś świadkiem.*

SIEDZIAŁ PRZY OKNIE JUŻ od dwóch godzin i śledził wzrokiem punkty światła. Były małe, gdy pojawiły się daleko od niego, ale stopniowo rosły, przebijały się przez ciemność i zbliżały do lądowiska na lotnisku w Warszawie. Tuż przed północą Hoffmann położył się w ubraniu na twardym łóżku hotelowym. Próbował zasnąć, ale szybko zrezygnował. Ciągle myślał o minionym dniu. Zaczął się od śmierci człowieka, której on mógł się tylko przyglądać, a skończył powierzeniem mu zadania stworzenia siatki handlu narkotykami w szwedzkich więzieniach. Wrażenia z tego dnia przemawiały do niego szeptem i krzykiem. Nie potrafił zatkać sobie przed nimi uszu i tak po prostu zasnąć.

Za oknem wzmagał się wiatr. Hotel Okęcie znajdował się zaledwie osiemset metrów od lotniska, wiatr igrał na otwartych przestrzeniach, przebłyśki światła były najpiękniejsze, gdy gałęzie drzew poruszały się na wietrze. Hoffmann lubił tak siedzieć i oglądać nocą ostatni skrawek Polski. Nigdy jednak nie angażował się w to uczuciowo, chociaż powinien czuć się jak u siebie w domu. Ma tu przecież kuzynów, ciotki i stryja. Wygląda jak oni i mówi jak oni, ale nie jest już jednym z nich.

Nie czuje się kimkolwiek.

Okłamuje Zofię, a przecież ona go zawsze tuli z takim uczuciem. Okłamuje Emila i Rasmusa, a przecież oni też go obejmują. Okłamuje Erika, Henryka i nawet Boreckiego, z którym pił żubrówkę.

Kłamie już od tak dawna, że zapomniał, czym jest prawda i kim on sam jest.

Punkciki świetlne zamieniły się w lądujący samolot. Przechylił się pod wpływem podmuchu silnego bocznego wiatru, a koła uderzyły kilka razy w niekontrolowany sposób o asfalt i dopiero wtedy maszyna opadła, tocząc się w stronę rękawa prowadzącego do hali przylotów w nowym terminalu.

Hoffmann pochylił się w stronę okna i przytknął czoło do chłodnego szkła. Znowu te szepty, znowu te krzyki.

Na jego oczach jakiś człowiek przestał oddychać. Zbyt późno sobie to uświadomił. Obaj mieli to samo zadanie, uczestniczyli w tej samej grze, każdy po swojej stronie. Tamten człowiek być może miał dzieci i żonę, niewykluczone, że je okłamywał. Być może on też już nie wiedział, kim jest.

Ja mam na imię Paula, a ty?

Siedział przy parapecie, spoglądał w ciemność i płakał.

Tkwiał w jakimś pokoju hotelowym, kilka kilometrów od centrum Warszawy, i zastanawiał się nad śmiercią człowieka. Płakał tak długo, aż się zmęczył. W końcu zawładnął nim sen, a on runął głową do przodu w coś, co ma czarną barwę i nie pozwoli się oszukiwać.

WTOREK

GRENS OBUDZIŁ SIĘ, kiedy przez cienkie zasłony wpadły do środka pierwsze promienie światła, drażniąc mu wzrok. Na początku siedział na podłodze oparty plecami o trzy kartony, ale żeby nie przeszkadzał mu blask poranka, położył się na twardym linoleum i przedrzemał jeszcze dwie godziny. Uznał, że to właściwe miejsce do spania; plecy prawie go nie bolały, a sztywna noga, która zazwyczaj nie umiała sobie znaleźć miejsca na miękkiej kanapie, prawie przez cały czas była wyprostowana na podłodze.

Jednak kolejnej nocy już tak nie spędzi.

Nagle przewrócił się na brzuch i oparł swoje ciężkie ciało na rękach. Sięgnął po niebieski mazak i na każdym boku wszystkich kartonów napisał: „Dochodzenie wstępne Malmkvist”.

Spojrzał na oklejone taśmą pudła i roześmiał się głośno. Udało mu się zasnąć przy kartonach pełnych taśm, ale czuł się tak wypoczęty, jak nie czuł się od dawna.

Zrobił kilka kroków, jakby tańczył, ale nikt nie śpiewał, Grens nie słyszał też muzyki. Podniósł pudło leżące na samym wierzchu, a ponieważ okazało się zbyt ciężkie, wypchnął je z pokoju i pchał przez cały korytarz aż do windy. Zjechał trzy piętra niżej, do piwnicy, gdzie znajdowały się magazyny. Mazakiem napisał na górnej części pudła numer sprawy – 19361231. Kolejny korytarz, jeszcze bardziej ciemny niż poprzedni. Z trudem pchał pudło, cały się już spocił. W końcu dotarł do pomieszczenia, gdzie przechowywano skonfiskowane przedmioty.

– Einarsson.

Za niską, drewnianą ladą stał młody pracownik cywilny. Za każdym razem, kiedy Grens tu przychodził, miał wrażenie, że znajduje się w sklepie spożywczym, w którym często robił zakupy w drodze powrotnej ze szkoły do domu, kiedy był chłopcem. Sklepik znajdował się na placu Odenplan, już dawno go wyburzono, a na tym miejscu powstała kawiarnia dla nastolatków, którzy popijali tam kawę z mlekiem i porównywali swoje telefony komórkowe.

– Tak?

– Chciałbym prosić, żeby pan się tym zajął.

– Ale ja...

– Panie Einarsson, proszę.

Einarsson zachnął się głośno, ale nic nie powiedział. Wyszedł zza lady i po chwili przyprowadził ubranego na czarno mężczyznę w wieku



Grensa. Przywitali się.

– Ewert.

– Tor.

Tor był jednym z tych policjantów, którzy kiedyś bardzo dobrze sobie radzili. Któregoś ranka, po przepracowaniu kilkudziesięciu lat, nagle stwierdził, że już dłużej nie wytrzyma w tym bagnie, a tym bardziej nie będzie w stanie prowadzić śledztwa. Wiele wtedy o tym rozmawiali i Grens zrozumiał, że do takich sytuacji może dojść wtedy, gdy człowiek ma po co żyć i zaczyna tęsknić za zwykłym dniem, wolnym od bezsensownej śmierci. Einarsson tkwił w tym wszystkim aż do dnia, kiedy kierownictwo wydzieliło na dole magazyn skonfiskowanych przedmiotów związanych z toczącymi się dochodzeniami. Jednak rzadko się zdarzało, żeby w pracy zostawał na wieczór.

– Mam kilka kartonów. Chciałbym, żebyś je tu przechował.

Starszy mężczyzna za ladą odebrał karton i spojrzał na kanciasty tekst napisany niebieskim mazakiem.

– „Dochodzenie wstępne Malmkvist”. Co to takiego, do cholery?

– Dochodzenie wstępne w sprawie Malmkvist.

– Tyle rozumiem. Ale nigdy nie słyszałem o takiej sprawie.

– Dochodzenie zostało zakończone.

– Ale w takim razie powinno...

– Chciałbym cię prosić, żebyś to przechował. W bezpiecznym miejscu.

– Ewert, ja...

Einarsson umilkł. Spoglądał uważnie na Grensa i pudełko. Uśmiechnął się. Dochodzenie w sprawie Malmkvist. Numer sprawy 19361231. Einarsson znowu się uśmiechnął, tym razem szerzej.

– O kurna. To jej data urodzenia?

Grens skinął głową.

– Sprawa jest zakończona.

– Jesteś tego absolutnie pewien?

– Przyniosę jeszcze dwa kartony.

– W takim razie... tego rodzaju dochodzenia mają tu priorytet. Pod warunkiem że dany przedmiot jest unikalny, rozumie się. Może wtedy trafić na przykład na niestrzeżony strych albo do wilgotnego magazynku w piwnicy.

Do tej chwili Grens nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był spięty. Dopiero teraz ze zdumieniem zaczął odczuwać, jak ramiona, barki i nogi powoli zaczynają się rozluźniać. Nie był tylko pewien, czy Einarsson go zrozumie.

– Potrzebny mi protokół przejęcia. Możesz go sporządzić teraz, a ja znajdę jakieś odpowiednie miejsce – powiedział Einarsson, podając mu dwa blankiety i długopis. – Ja w tym czasie zaznaczę wyraźnie, że dochodzenie jest objęte klauzulą tajności. Bo przecież jest, prawda?

Grens skinął głową.

– To dobrze. W takim razie kartony będzie mógł otworzyć jedynie prowadzący dochodzenie.

Policjant, który kiedyś sam prowadził dochodzenia, a teraz tylko siedział w czarnym fartuchu za kontuarem w piwnicy, nakleił czerwoną kartkę na załamaniach kartonu. Była to swego rodzaju pieczęć. Oznaczała, że jedyną osobą uprawnioną do jej zerwania jest komisarz Ewert Grens.

Grens spojrział z wdzięcznością na Einarssona, który poszedł z pudełkiem do jednego z regałów. Takim jak on nie trzeba wiele tłumaczyć.

Zostawił blankiet na ladzie i chciał już iść, gdy nagle usłyszał, jak Einarsson coś nuci:

*Przesłałeś mi najpiękniejsze tulipany, prosząc,  
żebym zapomniała o wszystkim, co wydarzyło się od wczoraj.*

To piosenka Siw Malmkvist. Grens zatrzymał się i zawołał do Einarssona:

– Nie teraz.

*Ale ja wyplakałam oceany łez  
i dlatego odpowiedź będzie taka, a nie inna.*

– Einarsson!

Tym razem Grens krzyknął głośniej. Einarsson spojrział na niego zdziwiony zza regału.

– Nie teraz. Uszanuj moją żalobę.

Kiedy stamtąd wyszedł, poczuł ulgę. Piwnica wydała mu się prawie ładna. Zrezygnował z windy i zaczął iść po schodach na trzecie piętro. W połowie drogi zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Słucham?

– Czy to pan prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć?

Grens zasapał się, bo rzadko chodził schodami.

– A kto pyta?

– A z kim rozmawiam?

Mężczyzna mówił po duńsku, ale wyraźnie, więc Grens go rozumiał. Prawdopodobnie mieszka gdzieś w okolicach Kopenhagi, to znaczy w tej części Danii, w której Grens bywał najczęściej.

– To może ustalmy najpierw, kto do kogo zadzwonił?

– Przepraszam. Nazywam się Jacob Andersen, pracuję w sekcji do spraw zabójstw w Kopenhadze.

– I czego pan chce?

– Czy to pan prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć?

– A kto twierdzi, że to było zabójstwo?

– Ja tak twierdzą. I być może wiem, kto jest sprawcą.

Grens zatrzymał się na ostatnim stopniu i próbował złapać oddech. Czekał, aż mężczyzna, który przedstawił się jako duński policjant, powie coś więcej.

– Może pan do mnie oddzwonić?

– Dobrze. Proszę się rozłączyć.

Grens poszedł szybko do swojego pokoju i z trzeciej szuflady biurka wyjął segregator. Przez chwilę przewracał w nim kartki, a potem zadzwonił na centralę policji w Kopenhadze, prosząc o połączenie z Jacobem Andersenem z sekcji zabójstw.

– Andersen.

Tak, to ten sam głos.

– Niech pan odłoży słuchawkę.

Grens znowu zadzwonił na centralę i poprosił, aby tym razem przełączono go na numer telefonu komórkowego Andersena.

– Andersen.

Znowu ten sam głos.

– Niech pan otworzy okno – polecił Grens.

– Co?

– Jeśli chce pan poznać odpowiedź na swoje pytanie, proszę otworzyć okno.

Usłyszał, jak Andersen odkłada telefon na biurko i przez chwilę walczy z zacinającym się uchwytem okna.

– Słucham?

– Co pan widzi?

– Ulicę Hambrogade.

– Co jeszcze?

- Wodę, jeśli wychylę się wystarczająco daleko.
- Pół Kopenhagi widzi jakąś wodę.
- Most Langebro.

Grens kilka razy wyglądał z okna w sekcji do spraw zabójstw w Kopenhadze. Wiedział, że tam rzeczywiście jest taki most i woda, która skrzy się w promieniach słońca.

- W którym pokoju siedzi Moelby?
- Mój szef?
- Tak.
- W pokoju naprzeciwko. Teraz go tam nie ma. Poza tym...
- A Christensen?
- Tu nie pracuje żaden Christensen.
- Dobrze. Bardzo dobrze. Teraz możemy rozmawiać dalej.

Grens czekał. W końcu to Duńczyk do niego zadzwonił, więc niech to on prowadzi rozmowę. Podszedł do okna i spojrzał na niewielką ilość wody na wewnętrznym dziedzińcu policji w Kronobergu.

– Mam powód podejrzewać, że zabity współpracował z nami. Chciałbym dostać jego zdjęcie. Czy może mi je pan przefaksować?

Grens sięgnął po teczkę leżącą na biurku, sprawdził, czy są w niej zdjęcia zrobione przez Krantza w mieszkaniu, jeszcze gdy zabity miał skórę na twarzy.

– Wyślę je za pięć minut. Spodziewam się, że po zbadaniu sprawy oddzwoni pan do mnie.

ERIK WILSON LUBIŁ SPACEROWAĆ po centrum Sztokholmu.

Garnitury, piękne kobiety, dealerzy narkotykowi, dziecięce wózki, sportowe stroje, psy, rowery i mnóstwo różnych palantów, którzy błąkają się tu bez celu. Wpół do jedenastej, przedpołudnie w stolicy. Na odcinku między komendą policji a placem Sankt Eriksplan spotkał ich wszystkich na chodniku wyłożonym nowymi czworokątnymi, kamiennymi płytami. Tutaj powietrze jest bardziej rześkie, podczas gdy w południowej Georgii jest już bardzo gorąco, za kilka tygodni będzie tam prawie nie do wytrzymania. Z lotniska Newark International odleciał po południu, po piątej lokalnego czasu, i po ośmiu godzinach lotu wylądował wczesnym rankiem na Arlandzie. Trochę pospał w samolocie, właściwie przedrzemał, chociaż dwie kobiety siedzące w fotelach przed nim nieustannie paplały, a mężczyzna obok chrząkał co pięć minut. Kiedy jechał z lotniska, poprosił kierowcę, żeby wybrał okrężną trasę

i zatrzymał się przy Västmannagatan 79, bo taki adres podał mu Paula. Pokazał legitymację strażnikowi stojącemu przy drzwiach mieszkania na piątym piętrze i zdjął biało-niebieską policyjną taśmę zabraniającą wstępu na miejsce zbrodni. Potem spędził trochę czasu w mieszkaniu, gdzie niecałą dobę wcześniej doszło do egzekucji. Zaczął od dużej, ciemnej plamy na dywanie pod stołem w dużym pokoju. To tam ofiara zakończyła życie. Krzesło przewróciło się na brzeg plamy, tam gdzie leżał zabity. Wilson zbadał dziurę w suficie i kolejny otwór w zamkniętych drzwiach, wyraźne ślady po kulach. Potem zatrzymał się przy ścianie dużego pokoju, gdzie za pomocą igieł i chorągiewek zaznaczono odbarwienia. Mogą się okazać przydatne do określenia kąta strzału i jego siły. Właśnie ze względu na to zjawił się w tym mieszkaniu. Analiza śladów krwi. To jej potrzebuje na następne spotkanie, żeby porównać całość z wersją Pauli. Wilson skoncentrował uwagę na miejscu, które technicy wydzielili dwoma sznurkami. Był to jedyny fragment niezaznaczony chorągiewkami, co oznaczało brak plam krwi i substancji mózgowej. Zbadał go i starał się zapamiętać, aż uzyskał całkowitą pewność, że wie, gdzie znajdowały się obie tak ważne dla niego osoby w chwili, gdy został oddany strzał, gdzie stał strzelający i gdzie stał ten, który nie strzelał.

Na moście Sankt Eriksbron wiał silny wiatr. Wilson popatrzył na statki, pociągi, samochody. Właśnie to lubił najbardziej, to dlatego chodził tam na spacer. Mógł się zatrzymać i przez chwilę przyglądać się wszystkiemu.

Nocą wysłuchał przez telefon relacji Pauli. W jego głosie wyczuł niepokój i jakby zaszczucie. Kiedy później w spokoju oglądał mieszkanie, doszedł do wniosku, że jego wersja trzyma się kupy. Wiedział, że Paula jest zdolny do zabicia i że gdyby pojawił się wybór „zabić albo zginąć”, miałby wystarczająco dużo siły, żeby zabić. Niewykluczone, że to on strzelił wtedy w mieszkaniu, ale Wilson był raczej pewien, że tak się nie stało. W czasie każdej kolejnej rozmowy Paula czuł się coraz bardziej osaczony, w jego głosie pojawił się strach. Po dziewięciu latach, podczas których był dealerem i ich wtoczką, wypracował sobie gęstą sieć kontaktów, a Wilson nauczył się, kiedy Paula mówił prawdę.

Zatrzymał się przed wejściem do budynku przy placu Sankt Eriksplan 17. Rozejrzał się, obserwując twarze przechodniów. Nikt go nie obserwuje. Rozejrzał się ponownie i w końcu wszedł do środka.

Zostawił za sobą plamy krwi w mieszkaniu przy Västmannagatan, wsiadł do czekającej na niego taksówki i pojechał do Kronobergu. Tam od

razu udał się do jednego z pokoi w sekcji dochodzeniowej. Z listy zawierającej nazwiska śledczych, którym przydzielono konkretne sprawy, wynikało, że to śledztwo prowadzi Ewert Grens, a pomagają mu Sven Sundkvist i Mariana Hermansson. Grens i Wilson pracowali w tej samej sekcji przez wiele lat, ale nie udało mu się poznać bliżej dziwnego komisarza. Przez długi czas próbował się do niego zbliżyć, lecz bez wzajemności, więc w końcu zrezygnował. Uznał, że nie potrzebuje starszego faceta, który kiedyś był tu najlepszy, a teraz ciągle jest na coś wkurzony i na okrągło słucha kaset z muzyką Siw Malmkvist. Siadł do komputera, wszedł w odpowiedni program i zaczął szukać hasła „Västmannagatan 79”. Znalazł trzy pliki utworzone w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Kliknął na ostatni, sprawa o paserstwo. Jakiś mieszkający na pierwszym piętrze mężczyzna o fińskim nazwisku zajmował się sprzedażą uszlachetnionej miedzi.

Wilson zamknął drzwi budynku i przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę. Żadnych pędzących samochodów, żadnego hałasu. W klatce schodowej panowała ciemność. Próbował zapalić światło, a gdy trzecia próba się nie powiodła, postanowił pojechać ciasną windą na siódme piętro. W jednym z mieszkań trwał właśnie remont, a lokatorzy na jakiś czas się wyprowadzili. Wilson stał w milczeniu na brązowym papierze i wsłuchiwał się w ciszę, aż upewnił się, że jest sam. Otworzył kluczem drzwi, na których wisiała tabliczka z nazwiskiem STENBERG, i wszedł do środka. Przeszedł się po mieszkaniu, żeby obejrzeć każdy mebel okryty ochronną, przezroczystą plastikową folią. Właśnie tak pracuje. Dzięki kontaktom, jakie posiada w dwóch spółdzielniach mieszkaniowych, ma dostęp do kluczy do remontowanych mieszkań i zna rozkład pracy ekip remontowych. To mieszkanie nazywali „piątką”. Wilson dysponował nim dopiero od miesiąca, spotkał się tutaj kilka razy ze swoimi wtyczkami. Może nim dysponować jeszcze przez miesiąc, aż remont dobiegnie końca i lokatorzy znowu się wprowadzą.

Zdjął folię z okna, otworzył je i wyjrzał na podwórko, na świeżo wytyczone ścieżki i nowe meble ogrodowe ustawione w czworokącie wokół dwóch huštawek i niewielkiej zjeżdżalni. Paula zjawi się za minutę. Wejdzie tylnymi drzwiami z budynku naprzeciwko, którego główne wejście wychodzi na Vulcanusgatan 15. Do ich spotkań dochodziło zawsze w mieszkaniach opróżnionych z lokatorów, gdzie trwał remont, i zawsze w budynku mającym wspólne podwórze z domem, z którego wyjście znajdowało się od ulicy innej niż ta, gdzie umawiali się na spotkanie.

Zamknął okno i zakleił taśmą folię. Prawie w tym samym czasie na dole otworzyły się drzwi i na podwórzu pojawił się Paula.

ZNIECIERPLIWIONY GRENS SIĘGNAŁ po teczkę z fotografiami zabitego mężczyzny, które zrobił Krantz. Dziesięć minut wcześniej przesłał jedną z nich faksem do sekcji do spraw zabójstw w Kopenhadze. Było to zdjęcie umytej głowy, ze skórą, jeszcze przed autopsją. W teczce znalazł trzy. W oczekiwaniu na telefon od Andersena zaczął je oglądać. Jedno zostało zrobione od przodu, drugie od lewej strony, trzecie od prawej. Znaczną część swej dotychczasowej pracy Grens poświęcał na studiowanie fotografii przedstawiających czyjąś śmierć. Wiedział, że czasem trudno jest rozróżnić, czy ktoś śpi, czy jest martwy. Tym razem nie miał żadnych wątpliwości, zwłaszcza że patrzył na głowę z trzema dziurami. Jeśli nie oglądał ofiary na miejscu zbrodni albo jeśli któryś z techników nie dał mu konkretnej fotografii do ręki, albo jeśli nie przesłano mu jej faksem z laboratorium kryminalistycznego, zaczynał od tego, że szukał na zdjęciu metalowej podpórki, na której zawsze spoczywa głowa ofiary. Jeśli znalazł, oznaczało to, że zrobiono je podczas sekcji. Znowu spojrział i zaczął się zastanawiać, jak on sam wyglądałby w takiej sytuacji i co myślałby sobie ktoś, kto by oglądał zdjęcia jego głowy ułożonej na stalowej podkładce.

Zadzwoił telefon, więc odłożył teczkę na biurko.

– Grens.

– Mówi Andersen.

– Tak?

– Chodzi o przesłane zdjęcie.

– No i?

– To prawdopodobnie on.

– Kto?

– Jeden z naszych informatorów.

– Kto?

– Teraz nie mogę tego powiedzieć. Dopóki nie będę pewien na sto procent. Nie chciałbym przez pomyłkę „uśmiercić” naszego człowieka. Wie pan, jak to działa.

Grens wiedział i nie podobało mu się to. Wymagania związane z tożsamością informatorów rosły, w miarę jak ich przybywało. Czasami stawali się ważniejsi niż potrzeba wymiany koniecznych informacji między policjantami. W czasach, gdy każdy policjant mógł się w każdej

chwili stać „prowadzącym” i mieć prawo do werbowania własnych informatorów i umieszczania wtyczek w środowiskach przestępczych, tego rodzaju „tajemniczość” często bardziej przeszkadzała, niż pomagała.

– Czego pan potrzebuje?

– Tego, co macie.

– Mamy odciski zębów i odciski palców. Czekamy na DNA.

– Wyślijcie nam to.

– Zaraz to zrobię. Mam nadzieję, że oddzwoni pan za kilka minut.

Głowa na podkładce. Grens przesunął dłonią po gładkim papierze fotograficznym.

A więc to wtyka. Z Kopenhagi. Jedna z dwóch osób mówiących po szwedzku w mieszkaniu, gdzie polska mafia wykonała egzekucję.

Kim jest ten drugi?

HOFFMANN SZEDŁ ALEJKĄ prowadzącą przed brzydkie podwórze. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę mieszkania na siódmym piętrze w domu po drugiej stronie, gdzie w oknie bez folii mignęła mu twarz Wilsona. Z Warszawy odleciał pierwszym rannym samolotem LOT-u, tuż po ósmej. Ostatnią noc spędził z czołem przyciśniętym do chłodnej szyby, ale nie czuł zmęczenia. Odczuwał na przemian szybki przypływ adrenaliny albo niepokoju, co spowodowane było wydarzeniami poprzedniego dnia. Najpierw ta śmierć, potem ważne spotkanie w Warszawie. Czuł, że zmierza w jakimś kierunku, ale nie wiedział, co zrobić, żeby się zatrzymać. Zadzwoił do domu, odebrał Rasmus i nie chciał oddać słuchawki, miał mu tak dużo do powiedzenia. Hoffmann z trudem nadażał za tym, co mówił syn, ale chodziło chyba o film rysunkowy i o potwora, który był zielony i zły. Już dziś wieczorem znowu ich zobaczy, całą trójkę. Otworzył furtkę w ogrodzeniu i przeszedł z podwórka przy Vulcanusgatan 15 na podwórko przy Sankt Eriksplan 17. W końcu wszedł przez tylne drzwi na klatkę schodową. Kilka razy nacisnął kontakt, żeby zapalić światło, ale w środku nadal panowała ciemność. Ruszył schodami na górę. Nigdy nie jechał windą, żeby nie utknąć między piętrami. Schody pokryte były brązowym papierem, więc nie mógł poruszać się w ciszy. Sprawdził godzinę na zegarku i nazwisko na tabliczce. Drzwi otworzyły się dokładnie o jedenastej.

Wilson zdjął już folię z dwóch krzeseł i ze stołu w kuchni, a teraz zdejmował ją z kuchenki gazowej i szafki pod zlewozmywakiem. Zaczął



czegoś szukać i po chwili wyjął stamtąd garnek i szklany słoik, w którym było coś, co przypominało kawę w proszku.

– Pan Stenberg funduje. Bez względu na to, kim jest.

Usiedli przy stole.

– Jak się ma Zofia?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Ostatnio nie widzimy się zbyt często. Jednak po jej głosie domyślam się, ba, ja to słyszę, że chyba wyczuwa, że ją okłamuję, bardziej niż zwykle. Rozmawialiśmy trochę ostatniej nocy i dziś rano.

– Dbaj o nią. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Przecież wiesz, że się o nią troszczę.

– To dobrze. Nic, co robisz, nie jest warte więcej od niej i od dzieci. Chcę tylko, żebyś o tym pamiętał także w przyszłości.

Nie za bardzo lubił kawę w proszku, zostawał po niej mdły smak w ustach. Przypominał mu smak kawy w drogich restauracjach w Warszawie.

– Ten zabity podobno nigdy nie twierdził, że jest policjantem – powiedział Hoffmann.

– A był?

– Nie wiem. Nie sędzę. Myślę, że był kimś takim jak ja. I że cholernie się bał.

Wilson skinął głową. Prawdopodobnie rzeczywiście się bał. I dlatego w pośpiechu wypowiedział słowo, które miało go ochronić. Niestety, w tamtych okolicznościach przyniosło mu śmierć.

– Słyszałem, jak krzyczał, że jest policjantem. Ktoś przystawił mu do głowy odbezpieczony pistolet i padł strzał.

Hoffmann odstawił filiżankę na stół. Kawy w proszku nie da się pić, choćby nie wiem jak się starał.

– Już dawno nie widziałem, jak kogoś zabijają. To dziwne uczucie, kiedy zapada cisza, ktoś wydaje ostatnie tchnienie i następuje koniec.

Wilson przyglądał się człowiekowi, który był wzburzony i żył z poczuciem winy za czyjąś śmierć. Facet, który stał przed nim, umiał być twardy, jeśli zachodziła taka potrzeba, ale w tej chwili nie przypominał samego siebie. Od czasu, kiedy zrobili pierwszy krok w kierunku infiltracji firmy Securitus International, upłynęły trzy lata. Polski wywiad określił firmę w swoim raporcie jako stale rosnące odgałęzienie wschodnioeuropejskiej mafii, które posiada już swoje przyczółki w Norwegii i Danii. Urzędnik policji w Sztokholmie przesłał raport

Wilsonowi i przypomniał mu o pochodzeniu Pauli, dla którego polski był jednym z dwóch języków ojczystych. Zaznaczył też, że Paula posiada dane w bazie ASPEN i mocno obciążoną kartotekę.

A teraz znaleźli się w tym punkcie.

Pauli udało się dotrzeć aż na sam szczyt organizacji przestępczej. Rozmawiał w Warszawie bezpośrednio z wicedyrektorem i z „kryszą”, który stworzył fasadę całego interesu w postaci polskiej firmy ochroniarskiej.

– Słyszałem, jak odbezpiecza pistolet, ale nie zdążyłem go powstrzymać.

Wilson spojrział na swoją wtyczkę, a zarazem przyjaciela, na twarz, która w zależności od sytuacji była twarzą Pieta albo Pauli.

– Próbowałem ich uspokoić, ale udało mi się tylko do pewnego momentu. No a potem... nie miałem wyboru, rozumiesz? Mam do odegrania swoją rolę i muszę ją odgrywać cholernie dobrze, bo inaczej... będę trupem.

Zawsze gdy Hoffmann zamieniał się nagle w Paulę, działo się to w sposób nieoczekiwany.

– To on źle odgrywał swoją rolę – dodał. – Nie pasował tam. Żeby udawać przestępcę, trzeba samemu nim być.

Wilson całkowicie zgadzał się z tym twierdzeniem. Wiedział, co jest grane. Wiedział, że Paula każdego dnia styka się ze śmiercią, bo takich ludzi nienawidzi się w środowisku przestępczym. Mimo to Wilson musi to zrobić, choć tak naprawdę nie wie dlaczego. Musi sprawdzić Paulę, czy jest odporny na pokusy życia wśród kryminalistów.

– Strzelec – powiedział Wilson.

– Tak?

– Z jakiego kąta?

– Wiem, czego szukasz. Mam rysunek.

– Jaki kąt?

Hoffmann wiedział, że Wilson musi mu zadać te pytania, że tak po prostu musi być.

– Lewa skroń. Kąt prosty. Prosto w głowę.

– Gdzie stałeś?

– Naprzeciwko zabitego.

Wilson wrócił myślami do mieszkania, które niedawno oglądał, do plam na podłodze i chorągiewek na ścianach, i do przedpokoju, w którym nie było ani plam, ani substancji mózgowej.

– A twoje ubrania?

– Nie ma sprawy.

Jak na razie odpowiedzi są prawidłowe. Jeśli się spojrzy z punktu znajdującego się naprzeciwko zabitego, krwi nie było. Natomiast ten, który strzelał, na pewno miał na sobie mnóstwo plam krwi.

– Czy nadal masz te ubrania?

– Nie. Spaliłem je. Na wszelki wypadek.

Hoffmann wiedział, czego Wilson szuka: dowodów.

– Natomiast zabrałem ubranie tego, który strzelał. Obiecałem, że je spalę, ale koszulę zostawiłem. Na wszelki wypadek, jeśli okaże się potrzebna.

Zawsze sam. Ufać może tylko samemu sobie.

Właśnie takie prowadził życie i dzięki temu przetrwał do dzisiaj.

– Tak się domyślałem.

– No i broń. Pistolet też mam.

Wilson się uśmiechnął.

– A kto powiadomił policję?

– Ja to zrobiłem.

Znowu prawidłowa odpowiedź.

Kiedy Wilson wyszedł o *twelve* z Kronobergu, o *thirty-seven* minął komendę wojewódzką policji i o *fifty* sprawdził nagranie.

– Słyszałem je. Mówisz przestraszonym głosem. Miałeś powód. Ale jakoś sobie z tym poradzimy. Zabiorę się do tego od razu, jak się rozstaniemy.

GRENSOWI ZNUDZIŁO SIĘ CZEKANIE. Dwadzieścia dwie minuty od poprzedniej rozmowy. Ile czasu potrzeba, żeby zbadać odcisk zębów i odciski palców martwego człowieka? Jacob Andersen z Kopenhagi wspominał coś o informatorze. Grens westchnął. Taka jest wizja kierownictwa policji: zwykli obywatele w roli informatorów i wtyczek są o wiele tańsi niż policjanci prowadzący rozpoznanie. Policjant może pozbyć się takiego informatora, jeśli uzna, że to konieczne, nawet wsypać go bez ponoszenia żadnych konsekwencji i bez kłopotów ze związkami zawodowymi, które ciągle rzucają kłody pod nogi. Nie chciał takiej przyszłości. Będzie już wtedy na emeryturze, gdy pracę policjanta będzie można zamienić na usługi kryminalistów, którzy donoszą na swoich.

Dwadzieścia cztery minuty. W końcu sam zadzwonił.

– Andersen.

– Robi pan to cholernie długo.

- Ewert Grens, jak słyszę.
- No i?
- To on.
- Na pewno?
- Wystarczyło porównać odciski palców.
- Kto to jest?
- Nazywaliśmy go Carsten. Był jednym z moich najlepszych informatorów.
- Chcę poznać jego prawdziwe nazwisko.
- Wie pan, jako to działa. Ja, jako jego prowadzący, nie mogę...
- Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa. Nie interesuje mnie pańska udawana tajemniczość. Chcę znać nazwisko, jego numer osobowy<sup>[2]</sup>, adres zamieszkania.
- To niemożliwe.
- Stan cywilny, numer butów, orientację seksualną, rozmiar majtek. Chcę wiedzieć, co robił na miejscu zbrodni. Na czyje zlecenie tam poszedł. Wszystko.
- Nic nie mogę powiedzieć. W całej tej operacji był tylko jedną z kilku naszych wtyczek. I dlatego nie mogę przekazać na jego temat żadnych informacji.
- Grens uderzył słuchawką o biurko, a potem zaczął do niej krzyczeć.
- No to ładnie. Najpierw duńska policja działa na terytorium Szwecji i nawet nas o tym nie informuje! A gdy operację szlag trafia, bo kończy się zabójstwem, duńska policja nadal nie zamierza poinformować policji szwedzkiej, która stara się tę sprawę wyjaśnić. Przecież to się kupy nie trzyma!
- Znowu walnął słuchawką w biurko, tym razem mocniej. Już nie krzyczał, tylko raczej syczał.
- Wiem, że ma pan zadanie do wykonania i że działa pan w jego ramach. Ale ja też mam zadanie. I jeśli nie rozwiążę tej sprawy w ciągu... powiedzmy... dwudziestu czterech godzin, spotkamy się bez względu na to, co pan sobie o tym myśli, a wtedy tak długo będziemy wymieniać się informacjami, aż nie będzie o czym dłużej mówić.

HOFFMANN POCZUŁ ULGĘ.

Wczoraj prawidłowo odpowiedział na pytania wicedyrektora dotyczące zdarzeń na Västmannagatan, dzięki czemu uniknął wycieczki na przedmieście i dwóch kulek w głowę. Przed chwilą odpowiedział

prawidłowo na pytania Erika, jedyne go człowieka, który może potwierdzić jego prawdziwy status i sprawić, że on, Hoffmann, uniknie procesu i kary.

Na spotkanie w Warszawie z „kryszą”, który gwarantował pokrycie finansowe na początek działalności na zamkniętym rynku szwedzkim, czekał od dawna. Podobnie jak na potwierdzenie, że przejmie odpowiedzialność za rynek zamknięty w Szwecji.

– Cztery tysiące osadzonych, a każdy z nich jest potencjalnie dużym klientem. Cena trzy razy wyższa niż za murami. Osiem, może dziewięć milionów koron dziennie. Pod warunkiem, że wszyscy zapłacą.

– Ale nie o to chodzi.

Wilson przysłuchiwał się uważnie. Ta chwila warta jest wszystkiego. Trzy piekielnie trudne lata, żeby móc stworzyć nowy życiorys i stać się członkiem organizacji, do której w innym wypadku nie mieliby dojścia. Informacje dostarczane przez Paulę były warte pracy czterdziestu tajniaków. Wilson wiedział o tym odgałęzieniu mafii więcej niż jakikolwiek wydział policji.

– Chodzi im też o to, żeby przejąć kontrolę na zewnątrz.

Wreszcie doczekali się momentu, który wynagradzał ciągle zagrożenie śmiercią.

– W więzieniach pełno jest takich, którzy mają wystarczająco dużo pieniędzy i mogą płacić za narkotyki.

To chwila, gdy organizacja zamierza się rozrosnąć, przejąć władzę, stać się czymś innym.

– Ale są też tacy, którzy nie mają pieniędzy, żeby płacić. Mimo to im też będziemy sprzedawać. Kiedy odsiedzą wyrok, będą mieć jedną koszulę, dostaną trzysta koron wypiski i bilet do domu. Staną się chłopcami firmy Securitus International. Właśnie w taki sposób zamierzamy rekrutować nowych przestępców za murami. To ci, którzy po odsiadce będą musieli wybrać: pracować dla nas i spłacić dług albo zarobić kulę w głowę.

Nadeszła chwila, gdy policja szwedzka będzie mogła wejść w ich struktury i zdławić działalność przestępczą. Taka okazja nigdy się nie powtórzy.

– Rozumiesz? W tym kraju jest pięćdziesiąt sześć zakładów karnych. Ciągłe budują następne. Securitus International będzie kontrolować każdy z nich. Będzie też zarządzać za murami armią zadłużonych kryminalistów z bogatą kartoteką.

Trzy obszary działania typowe dla mafii z Europy Wschodniej. Handel bronią, prostytutka i narkotyki.

Wilson nadal siedział przy stole i spoglądał na podzielone murem podwórze. A więc tak to wygląda. Organizacje przestępcze organizują, co chcą, a policja stoi i się przygląda. A teraz jeszcze ludzie z Securitus International wykonają kolejny, ostatni krok. Najpierw w więzieniach, potem na ulicy. Jednak tym razem istnieje zasadnicza różnica. Policja ma własnego człowieka w ich szeregach. Dzięki temu wie, gdzie, jak i kiedy będzie można uderzyć.

Wilson przyglądał się, jak Paula otwiera bramę, zamyka ją i znika w budynku po drugiej stronie.

Czas na kolejne spotkanie. Musi się umówić w Kancelarii Rządu. Paula potrzebuje gwarancji, że nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za zabójstwo przy Västmannagatan 79. Przecież teraz będzie musiał zabrać się do rozpracowania środowiska więziennego.

NA PIĘTRZE STAŁY JESZCZE dwa kartony. Grens zamierzał je wypchnąć z pokoju po podłodze. Zaniesie je do Einarssona, w piwnicy będą bezpieczne.

Anni była wtedy zupełnie sama.

Wówczas jeszcze tego nie rozumiał. Przecież chodziło o niego, o jego własny strach i o to, jak bardzo samotny jest on.

Nawet nie poszedł na cmentarz. Pochowali ją, a on leżał świeżo ogolony i w garniturze na kanapie w swoim gabinecie i gapił się w sufit.

Odwrócił się. Nie może już patrzeć na te kartony, które przypominają mu o niej. Wstydział się.

Próbował przez chwilę zapomnieć o zbrodni przy Västmannagatan 79, ale nie zdołał. Na stole piętrzyły się teczki dotyczące innych dochodzeń. Z każdym dniem stawały się coraz mniej aktualne, z każdą godziną coraz trudniej je będzie rozwiązać. Przeglądał teczki i po kolei odkładał na biurko. Próba szantażu i grupka przyszczatych młodzików, którzy grozili właścicielowi sklepu w Ringens Centrum. Kradzież policyjnego samochodu na cywilnych numerach, który znaleziono w tunelu pod mostem Sankt Eriksbron bez komputera pokładowego i sprzętu do komunikowania się z centralą. Naruszenie miru domowego pewnej kobiety przez byłego męża, który kilka razy złamał nałożony na niego zakaz zbliżania się do niej i odwiedził ekszönę w jej mieszkaniu na Sibyllegatan. Nudne, proste sprawy, które stanowiły jego chleb powszedni. Później się nimi zajmie, przecież zawsze był w takich zwykłych sprawach dobry. Ale nie teraz. Teraz musi się zająć martwym człowiekiem.

Ktoś zapukał do drzwi. No proszę, nawet stukanie słychać w pokoju, gdzie nie gra już muzyka.

– Proszę.

– Masz czas?

Grens spojrział w stronę drzwi i zobaczył kogoś, kogo niezbyt lubił. Nie wiedział dlaczego, przecież nie miał uzasadnionego powodu. Niestety, czasem tak jest. Z nieznannej przyczyny coś nam czasem przeszkadza.

– Nie. Jestem zajęty.

Jasne, gęste włosy, żywe oczy, elokwentny intelektualista, dość przystojny i ciągle młody. Wilson reprezentował sobą wszystko to, czym Grens nie był.

– Może choć zadam ci proste pytanie?

Grens westchnął.

– Nie istnieją proste pytania.

Erik Wilson uśmiechnął się i wszedł do pokoju. Grens zamierzał zaprotestować, ale się powstrzymał. Wilson był jednym z niewielu, którzy nigdy nie protestowali przeciwko zbyt głośnej muzyce na korytarzu, więc może ma prawo odwiedzić go, gdy jest cicho.

– Egzekucja w mieszkaniu przy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. O ile dobrze rozumiem, to ty prowadzisz tę sprawę?

– Jeśli tak twierdzisz...

Wilson spojrzał Grensowi w oczy. Poprzedniego dnia grzebał trochę w komputerze i w bazie danych i był przekonany, że znalazł właściwe usprawiedliwienie, aby ukryć prawdziwy powód swojej wizyty.

– Tak mi tylko przyszło do głowy. Czy chodzi o mieszkanie na pierwszym piętrze?

Lokator o fińskim nazwisku, paserstwo, tona uszlachetnionej miedzi.

– Nie.

Z bazy wynikało, że sprawa jest zamknięta, a wydany wyrok nabrał mocy prawnej.

– Rok temu pod tym samym adresem prowadziłem sprawę pewnego Fina, który kupił, a potem sprzedał mnóstwo kradzionej uszlachetnionej miedzi.

Była to jakaś drobna sprawa, którą Grens się nie zajmował, więc nie mógł wiedzieć, że Wilson też jej nie prowadził.

– Aha.

– To ten sam adres. Byłem tylko ciekaw, czy istnieje jakiś związek.

– Nie.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, jestem. Tutaj chodzi o Polaków i o martwego duńskiego informatora, wtykę.

W tym momencie Erik dostał informację, której potrzebował. Sprawę prowadzi Grens. Wiedza, jaką posiada, może być groźna. Grens nadal będzie węszył. Jest napalony w taki sam sposób jak kiedyś, gdy był najlepszy.

– Wtykę?

– Wiesz co? Wydaje mi się, że to nie twoja sprawa.

– Po prostu mnie zaciekawiliś.

– Zamknij drzwi, jak będziesz wychodził.

Wilson nie protestował, bo już nie musiał. Wszedł na korytarz i usłyszał jeszcze okrzyk Grensa:



– Drzwi!

Cofnął się, zamknął drzwi i poszedł dalej.

Göransson.

– Erik?

– Masz czas?

– Siadaj.

Wilson usiadł naprzeciwko mężczyzny, który był jego szefem i szefem Grensa, a jednocześnie pełnił obowiązki inspektora rządowego w komendzie policji nadzorującego pracę informatorów policyjnych.

– Masz problem – zaczął Wilson.

Wilson spojrzał na Göranssona. Jego pokój był większy, podobnie jak biurko. To pewnie dlatego zawsze wyglądał na mniejszego, niż był.

– Naprawdę?

– Wracam właśnie od Grensa. Prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Problem polega na tym, że ja, który tej sprawy nie prowadzę, wiem znacznie więcej o tym, co się tam wydarzyło, niż Grens, który się tym zabójstwem zajmuje.

– Nie rozumiem, dlaczego stanowi to problem.

– Paula.

– Tak?

– Pamiętasz Paulę?

– Tak, pamiętam.

Wilson wiedział, że nie musi więcej wyjaśniać.

– Był tam wtedy.

ELEKTRONICZNY GŁOS.

*Twelve thirty-seven fifty.*

Znowu drapanie. Głos dochodzi ze środka mieszkania. Jest napięty, szepcze, bez akcentu.

„Martwy mężczyzna. Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Piąte piętro”.

– Jeszcze raz.

Krantz wcisnął przycisk odtwarzacza CD i ostrożnie poprawił słuchawki. Obaj wyraźnie słyszeli buczący ton, jaki wydawała lodówka. To przez nią trudno było zrozumieć ostatnie słowa.

– Jeszcze raz.

Grens wsłuchiwał się w słowa stanowiące jedyny łącznik z mężczyzną, który był świadkiem zbrodni, a potem gdzieś się ulotnił.

– Jeszcze raz.

Technik obsługujący urządzenie pokręcił głową.

– Mam jeszcze sporo roboty. Mogę ci to nagrać i będziesz sobie słuchał, kiedy chcesz i ile tylko chcesz.

Krantz umieścił ścieżkę dźwiękową na nowej płycie i nagrał na niej rozmowę, którą zarejestrowano zaledwie dwie minuty po śmiertelnym strzale.

– Co mam z tym zrobić?

– Nie masz odtwarzacza?

– Dostałem chyba coś takiego od Ågestama po niewielkiej kłótni w sprawie ojca, który zastrzelił zabójcę swojej córki. Nigdy się nim jednak nie posługiwałem. Po co mi coś takiego?

– Weź mój. I oddaj, jak skończysz.

– Jeszcze raz?

Krantz pokręcił głową.

– Ewert?

– Tak?

– Nie masz pojęcia, jak się to obsługuje?

– Nie.

– Załóż słuchawki i sam sobie puść. Na pewno sobie poradzisz.

Grens usiadł na krześle w kącie pokoju. Nacisnął na chybił trafił kilka przycisków, ostrożnie pociągnął za długi kabel i nagle drgnął, kiedy w pewnej chwili dźwięk dotarł do słuchawek.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Krantz pokazał mu rękami, żeby zdjął słuchawki. – Obejrzeliliśmy całe mieszkanie i wszystkie pomieszczenia. Nie znaleźliśmy nic, co można by powiązać z tym dochodzeniem.

– Przeszukajcie je jeszcze raz.

– My nie tracimy czasu. Jeśli nie znaleźliśmy nic za pierwszym razem, za drugim też nic nie znajdziemy. Sam wiesz najlepiej.

Tak, Grens o tym wiedział. Wiedział też jednak, że nic innego nie ma, że dochodzenie stanęło w miejscu. Zabrał odtwarzacz i wyszedł z budynku na ulicę. Minutę później kiwnął na przejeżdżający radiowóz, usiadł na tylnym siedzeniu i poprosił zdumionego policjanta, żeby go zawiózł na ulicę Västmannagatan 79 i poczekał tam na niego.

Wszedł na piąte piętro i na chwilę zatrzymał się przed drzwiami mieszkania, gdzie mieszkał Fin skazany za paserstwo. Potem poszedł do mieszkania strzeżonego nadal przez wynajętego ochroniarza w zielonym

mundurze. Spojrzał na duże plamy krwi i chorągiewki na ścianie, ale tym razem zainteresował się głównie kuchnią i miejscem w pobliżu lodówki. Krantz zażegnywał się, że ten, kto dzwonił, stał akurat w tym miejscu. *Mówisz spokojnym głosem, chociaż jesteś przestraszony. Założył słuchawki i przycisnął dwa przyciski jak poprzednim razem. Jesteś dokładny, systematyczny, zmierzasz do wyznaczonego celu. Jeszcze raz ten głos. Umiesz się odseparować i funkcjonować, chociaż tkwisz w samym środku chaosu.* Grens przeszedł między zlewozmywakiem a blatem do szycowania jedzenia i zaczął się przysłuchiwać głosowi osoby, która tu wtedy stała, szeptała do telefonu o zabitym człowieku, podczas gdy inni poruszali się po drugiej stronie drzwi i chodzili obok ciała, które nadal silnie krwawiło. *Brałeś udział w zabójstwie, ale postanowiłeś do nas zadzwonić, a potem zniknąć.*

– To cholernie przydatne urządzenie.

Idąc schodami w dół, zadzwonił do Krantza.

– O czym ty mówisz?

– O urządzeniu, które mi pożyczyłeś. Cholera, słucham, kiedy chcę i ile tylko chcę.

Radiowóz czekał na niego przed budynkiem, policjant cały czas siedział za kierownicą, miał zapięty pas. Grens usiadł z tyłu.

– Na Arlandę.

– Słucham?

– Zawieź mnie na Arlandę.

– To nie taksówka. Kończę służbę za piętnaście minut.

– W takim razie włącz koguta, szybciej dojedziemy.

Grens rozsiadł się wygodnie. Radiowóz dojechał do Norrtull i zjechał na E4, kierując się na północ. *Kim jesteś?* Założył słuchawki. Zanim dojadą na Terminal 5, zdąży wysłuchać nagrania wiele razy. *Co tam robiłeś?* Grens postanowił pojechać do kogoś, kto wie więcej przynajmniej o jednej z osób, które znajdowały się w mieszkaniu, gdy ołowiano-tytanowy pocisk wbił się ofierze w głowę. Zdecydował, że dopóki nie dowie się wszystkiego, nie wróci do domu. *Gdzie teraz jesteś?*

HOFFMANN TRZYMAŁ W RĘCE plastikową reklamówkę i kołysał nią wolno tam i z powrotem między kierownicą a boczną szybą.

Z „piątki” odjechał o wpół do dwunastej przed południem. Typowe mieszkanie z dwoma wejściami od dwóch różnych ulic. Czuł się zaszczuty. Ciągle miał w pamięci strzał oddany na Västmannagatan

i przełom, jaki dokonał się na jego korzyść w firmie Securitus International. Właściwie był to wybór między zaufaniem a ewentualnym wyrokiem śmierci, między ucieczką a pozostaniem. Kiedy zamykał bramę od podwórza, zadzwonił telefon komórkowy. Pani z przedszkola poinformowała go, że chłopcy mają gorączkę i leżą na kanapie, czekając na powrót do domu. Od razu tam pojechał, odebrał dwójkę rozgrzanych i zmęczonych dzieci i pojechał do domu, do Enskede.

Znowu spojrział na reklamówkę, na koszulę w szaro-białą kratę zwiniętą w środku, poplamioną krwią i odpryskami ludzkiego mózgu.

Położył synów do łóżek i od razu zasnęli z bajkami do poduszki. Zadzwonił do Zofii, obiecał, że zostanie w domu, a wtedy ona przesłała mu dwa razy pocałunki, jak zwykle parzystą liczbę.

Wyjrzał przez okno samochodu i spojrział na zegar wiszący nad wejściem do sklepu. Zostało sześć minut. Odwrócił się. Chłopcy siedzieli spokojnie, mieli błyszczące oczy. Rasmus prawie leżał na tylnym siedzeniu.

Chodził po domu i czuwał, od czasu do czasu niespokojnie głaskał po głowie rozpalone od gorączki dzieci. Doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Butelka z alvedonem w płynie leżała w lodówce. Chłopcy bez protestów przyjęli dwie łyżki lekarstwa, choć skarżyli się, że paskudnie smakuje, i zapewniali, że wolą być chorzy. Potem wyniósł ich do samochodu i przejechał krótki odcinek w stronę Slussen i Södermalm. Zaparkował dwieście metrów od wejścia do budynku przy ulicy Hökensgatan.

Rasmus już całkowicie położył się na tylnym siedzeniu, Emil częściowo na nim. Policzki wydawały się mniej rozgrzane, lekarstwo zaczęło działać.

To, co teraz czuł, można chyba nazwać wstydem. Przepraszam. Nie powinno was tu teraz być.

Już kiedy go zwerbowano, obiecał sobie, że nigdy nie narazi na niebezpieczeństwo swoich dzieci. Dziś jest ten pierwszy i jedyny raz. Nigdy więcej się to nie zdarzy. Kiedyś, przed kilku laty, o mało do tego nie doszło. Ktoś wtedy zapukał do drzwi. Przyszli jego dwaj goście. Zofia poczęstowała ich kawą, była dla nich miła i nie miała pojęcia, z kim siedzi przy stole. To był wicedyrektor i jeden z jego goryli, sprawdzali coś w okolicy. Później powiedział jej, że to jego dwaj klienci, a ona jak zawsze mu uwierzyła.

Jeszcze dwie minuty.

Oparł się o siedzenie i pocałował obu synów w czoła, które były już trochę mniej rozpalone. Wyjaśnił im, że przez chwilę zostaną w samochodzie sami, więc muszą mu obiecać, że będą grzeczni, bo są już dużymi chłopcami.

Zamknął samochód na klucz i wszedł do budynku oznaczonego numerem jeden.

Dwadzieścia minut wcześniej Erik Wilson wszedł przez budynek od strony ulicy Götgatan 15 i teraz obserwował go z okna na trzecim piętrze. Zawsze to robił, kiedy Hoffmann – Paula – siedł przez wewnętrzne podwórze.

Spotkanie na „czwórce” o czternastej.

Znowu mieszkanie w trakcie remontu, ładna nieruchomość w centrum miasta. Przez jakiś czas stanie się jednym z sześciu miejsc, gdzie będą się spotykać. Schodami na trzecie piętro, na skrzynce pocztowej nazwisko Lindström. Hoffmann skinął głową Wilsonowi i podał reklamówkę z koszulą, plamami krwi i resztkami prochu strzelniczego. Mariusz miał ją na sobie dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Kiedy Hoffmann załatwił sprawę z Wilsonem, wrócił na dół, do samochodu i dzieci.

SCHODY MIĘDZY SAMOLOTEM linii lotniczych SAS a pasem do lądowania na lotnisku Kastrup miały aluminiowe stopnie. Gdyby chciał wchodzić na każdy z nich, okazałoby się, że są zbyt blisko siebie. Gdyby jednak chciał wchodzić na co drugi, okazałoby się, że znajdują się w zbyt dużej odległości od siebie. Grens spojrzał na pasażera obok. Tak, mają ten sam problem. Obaj mają nogę, która w porównaniu z drugą porusza się mniej rytmicznie. Zeszli schodkami do autobusu, który miał ich przewieźć z samolotu do terminalu. Grens czekał przy trapie na biały samochód z niebieskimi pasami na karoserii i słowem POLITI na drzwiach. Samochodem kierował młody umundurowany policjant. Przypominał mu tamtego, który godzinę wcześniej przywiózł go na Arlandę. Mężczyzna wyskoczył z radiowozu, otworzył tylne drzwi i zasalutował Grensowi. Zasalutował! Coś takiego zdarzało się dawno temu. Coś takiego on sam robił wobec swoich przełożonych w latach siedemdziesiątych. Kiedy awansował na wysokie stanowisko, nikt już tego nie praktykował. Był z tego zadowolony, bo nie lubił, jak ktoś macha do niego ręką w unижony sposób.

Na tylnym siedzeniu już ktoś siedział. Ubrany po cywilnemu mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, dość podobny do Svena Sundkvista, jeden z tych policjantów, którzy mają miły wygląd.

– Jacob Andersen.

Grens się uśmiechnął.

– Mówiłeś, że z twojego pokoju roztacza się widok na most Langebro?

– Witam.

Czterysta metrów dalej samochód zaparkował przed jednym z budynków, mniej więcej w połowie terminalu lotniczego. Stamtąd przeszli na posterunek policji znajdujący się na lotnisku. Grens był tu przedtem wiele razy, więc bez problemu trafił do salki spotkań na samym końcu, gdzie czekała już na niego kawa i smaczne ciasteczka.

No proszę. Odebrali mnie samochodem. Zarezerwowali pokój na posterunku na lotnisku, a teraz jeszcze częstują kawą i ciasteczkami.

Grens obserwował, jak duńscy policjanci sięgają po kubki i nasypują do nich cukru. Poczuli się lepiej. Podświadoma niechęć do współpracy od razu z niego wyparowała.

Andersen wyjął z kieszeni spodni zdjęcie formatu A4 i położył je na samym środku stołu. Kolorowa odbitka, znacznie powiększona. Grens przyjrzał się fotografii. Mężczyzna w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat, ostrzyżony na jeża, jasnowłosa, ostre rysy twarzy.

– Carsten.

W czasie sekcji zwłok Errfors stwierdził, że ofiara jest z północnej Europy, a ślady po niektórych zabiegach mogą wskazywać, że dokonano ich w Szwecji, gdy dorastał.

– Tu, w Danii, mamy inny system. Męskie pseudonimy dla męskich wtyczek i żeńskie dla żeńskich wtyczek. Po co to dodatkowo mieszać?

*Widziałem cię na podłodze, miałeś trzy duże dziury w głowie.*

– Carsten. Naprawdę nazywał się Jens Christian Toft.

*Później widziałem cię w czasie sekcji zwłok u Errforsa. Zdarto ci wtedy skórę z twarzy.*

– Obywatel duński, ale urodził się i dorastał w Szwecji. Skazany za ciężkie pobicie, krzywoprzysięstwo, szantaż. Zdążył przesiedzieć dwa lata w Bloku D w zakładzie karnym Vestre Faengsel w Kopenhadze, tam go zwerbowałem. Wy też tak robicie. Czasem nawet próbujecie robić to w areszcie. Mam rację?

*Poznaję cię, to ty. Nawet na tym zdjęciu z sekcji, gdy cię już umyło, to też jesteś ty.*

– Odbył u nas przeszkolenie, daliśmy mu nową tożsamość. Został naszą wtyczką, policja w Kopenhadze płaciła mu, żeby namawiał do zakupów prawie wszystkich członków organizacji przestępczych: Hells Angels, Bandidos, mafię rosyjską, jugosłowiańską, meksykańską... do wyboru do koloru. Tym razem po raz trzeci udało mu się doprowadzić do transakcji ludzi z polskiej firmy Securitus.

– Securitus?

– Securitus International. Ochrona, ochrona osobista, transport cennych ładunków. Oficjalnie. Tak samo jak we wszystkich innych państwach Europy Wschodniej. Zorganizowana przestępczość pod maską firmy ochroniarskiej.

– Polska mafia. Teraz już ma swoją nazwę: Securitus International.

– Carsten robił to w Szwecji po raz pierwszy. I to bez zabezpieczenia, bo chcieliśmy uniknąć prowadzenia operacji na terytorium Szwecji. To dlatego nazywamy coś takiego niekontrolowanym zakupem.

Grens przeprosił Andersena i wstał z krzesła. Wziął zdjęcie zabitego mężczyzny, wyjął telefon i wyszedł z pokoju do wielkiej hali przylotów, starając się nie wpaść na ciężkie walizki osób stojących w kolejce do odprawy.

– Sven?

– Tak?

– Gdzie jesteś?

– W swoim pokoju.

– Siądź do komputera i wpisz zapytanie w sprawie niejakiego Jensa Christiana Tofta. Urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku.

Grens pochylił się i podniósł z podłogi walizkę, która spadła z wózka prowadzonego przez starszą, opaloną i uśmiechniętą kobietę. Podziękowała mu, a on uśmiechnął się do niej. W słuchawce telefonu usłyszał, jak Sundkvist odsuwa krzesło, a potem pojawił się ten irytujący dźwięk, który słyhać za każdym razem, gdy ktoś włącza komputer.

– Gotowy?

– Nie.

– Spiesz mi się.

– Otwieram system. To musi potrwać. Nie mam na to wpływu.

– Możesz otwierać szybciej.

Jeszcze przez minutę Grens chodził między pasażerami a stanowiskami odprawy. W końcu usłyszał głos Sundkvista.

– Nic nie znalazłem.

– Nigdzie?

– Na pewno nie ma nic w rejestrze przestępstw ani w bazie praw jazdy. Nie ma szwedzkiego obywatelstwa, nie pobrano od niego odcisków palców, nie figuruje w bazie ASPEN.

Grens zrobił powoli dwa niespokojne kółeczka w hali odlotów. Już wie, jak się nazywa ten, który leżał w kałuży krwi w dużym pokoju mieszkania przy Västmannagatan 79.

I nic to dla niego nie znaczy.

Nie interesuje go ktoś martwy. Tożsamość zabitego ma jakiś sens, jeśli przybliży go do sprawcy. Zdobył to nazwisko, żeby dowiedzieć się więcej. To, czego Sundkvist nie znalazł w bazach, nie wprowadziło do sprawy nic nowego.

Grens wrócił do pokoju i usiadł przy stole, gdzie stał talerzyk ze zbyt dużymi ciastkami i zbyt małymi filiżankami kawy.

– Chciałbym, żebyś tego posłuchał.

– Jeszcze nie teraz.

– Nie ma tego zbyt dużo. Ale tylko to mam.

Znowu rozległ się głos, który szeptał do słuchawki te same siedem słów i stanowił jedyne ogniwo łączące go ze sprawcą.

– Jeszcze nie teraz. Zanim będę kontynuował, chciałbym się upewnić, że całkowicie zrozumiałeś, na jakich warunkach odbywa się to spotkanie.

Andersen wziął od Grensa odtwarzacz ze słuchawkami, ale odłożył je na stół.

– Nie przekazałem ci przez telefon żadnych informacji, bo najpierw chciałem się dowiedzieć, z kim mam do czynienia i czy ci mogę ufać. Gdyby się bowiem okazało, że Carsten pracował na nasze zlecenie, ryzyko śmierci grozi także naszym innym wtyczkom, które Carsten rekomendował i krył w firmie Securitus International. Dlatego to, o czym będziemy tu rozmawiać, musi pozostać między nami. Zgoda?

– Nie znoszę tych wszystkich tajemnic związanych z działalnością informatorów. Przeszkadzają w prowadzeniu innych spraw.

– Pytam ponownie: zgoda?

– Zgoda.

Dopiero teraz Andersen założył słuchawki, żeby odsłuchać nagranie.

– Zgłoszenie o zabójstwie, ktoś zadzwonił z mieszkania.

– Domyślam się.

– To jego głos? – spytał Grens, wskazując na zdjęcie leżące na stole.

– Nie.

– Słyszałeś ten głos kiedykolwiek wcześniej?



– Musiałbym mieć dłuższe nagranie, żeby ci na to odpowiedzieć.

– Mamy tylko tyle.

Andersen jeszcze raz odsłuchał nagranie.

– Nie. Nie rozpoznaję tego głosu.

Carsten, który naprawdę nazywał się Jens Christian Toft, był na zdjęciu martwy, ale Grens czuł się prawie tak, jakby Carsten na niego patrzył. Nie podobało mu się to. Przysunął fotografię i odwrócił ją na drugą stronę.

– Nie interesuje mnie Carsten. Interesuje mnie ten, który go zastrzelił. Chcę wiedzieć, kto jeszcze znajdował się w mieszkaniu.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież musiałeś wiedzieć, z kim się tam spotka na twoje polecenie!

Andersen nie lubił ludzi, którzy podnoszą głos, jeśli nie jest to konieczne.

– Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie tym tonem, będzie koniec rozmowy.

– Ale jeśli to ty...

– Zrozumiałeś?

– Tak.

Andersen kontynuował.

– Wiem tylko, że Carsten miał się spotkać z przedstawicielami firmy Securitus International i ze swoim szwedzkim kontaktem. Ale nie znam ich nazwisk.

– Powiedziałeś: szwedzkim kontaktem?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Taką informację mi przekazano.

Dwa głosy mówiące po szwedzku w mieszkaniu, gdzie ktoś dobija targu z polską mafią. Jeden nie żyje. Drugi powiadomił policję.

– To ty nim byłeś.

Andersen spojrzał zdumiony na Grensa.

– Słucham?

– To ty byłeś tym szwedzkim kontaktem.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że znajdę tego gnojka.

BUDYNEK STAŁ NIECAŁE DWIEŚCIE metrów od zatłoczonej drogi do Nynäshamn. Jednak po krótkim przejeździe dwiema wąskimi ulicami

prowadzącymi obok szkoły i niewielkiego parku zaczynał się inny świat. Hoffmann otworzył drzwi samochodu i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał nawet hałasu mijających się ciężarówek.

Zofia czekała już na niego przy wjeździe do garażu. Jest taka piękna... lekko ubrana, na nogach ma domowe pantofle.

– Gdzie byłeś? Gdzie byliście?

Otworzyła tylne drzwi, pogłaskała Rasmusa po policzku i podniosła go.

– Miałem dwóch klientów. Zupełnie o nich zapomniałem.

– Klientów?

– Tak. Jeden z nich to ochroniarz, który potrzebował kamizelki kuloodpornej. Drugi to sklep, który chciał sprawdzić swój system antywłamaniowy. Nie mogłem odmówić. Chłopcy zostali w samochodzie tylko na chwilę i czekali na mnie.

Zofia dotknęła czoła obu synów.

– Nie są aż tak bardzo rozgrzane.

– To dobrze.

– Może poczują się lepiej.

– Miejmy nadzieję.

Pocałował ją w policzek i poczuł jej charakterystyczny zapach. Znowu ją okłamał.

To takie proste. Jest w tym dobry.

Dłużej już nie wytrzyma. Nie chce kolejnych kłamstw, nie chce okłamywać ani jej, ani dzieci. Już dłużej nie jest w stanie.

Drewniane schody trzeszczały, gdy obu gorączkujących chłopców owiniętych w koce wnosili na drugie piętro domu. Hoffmann zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nich. Obaj już spali i trochę pochrapywali jak ktoś, kto walczy z podstępными bakteriami. Starał się sobie przypomnieć, jak wyglądało jego życie, zanim pojawili się w nim synowie. Tak bardzo ich kocha, ponad wszystko. Wcześniej żył pustką i nie było nikogo, kto by cokolwiek dla niego znaczył – oprócz jego samego. Chciał sobie coś przypomnieć z tamtych czasów, ale nie potrafił. Nigdy nie udało mu się zrozumieć, że to, co kiedyś wydawało się takie ważne, było bez znaczenia, bo w końcu nadszedł taki czas, gdy w jego życiu pojawił się ktoś, kto nazwał go tatą.

Pocałował chłopców w czoła. Znowu są ciepłe; poczuł wargami, że gorączka wraca. Zszedł do kuchni i usiadł na krześle za Zofią. Przyglądał się, jak zmywa naczynia. Potem włożył je do szafki w jego domu, jej domu, ich domu. Ufał jej. Był to ten rodzaj ufności, na jaką wcześniej nie mógł sobie pozwolić. On ufa jej, ona ufa jemu.

Ona ufa jemu.

Przed chwilą ją okłamał. Rzadko się nad tym zastanawiał, zrobił to odruchowo, zawsze myślał nad treścią kłamstwa, jeszcze zanim sobie uświadomił, że zamierza skłamać. Tym razem kłamstwo sprawiło, że poczuł się nieswojo. A teraz siedział za nią i nadal było to nierozsądne, wymagające i trudne do wytrzymania.

Zofia odwróciła się, uśmiechnęła i pogłaskała go wilgotną dłonią po policzku.

Tak bardzo mu tego brakuje.

Czuł się nieprzyzwoicie.

„Miałem dwóch klientów. Zupełnie o nich zapomniałem. Chłopcy zostali w samochodzie tylko na chwilę i czekali na mnie”.

A jeśli ona mu nie wierzy? „Nie wierzę ci”. Jeśli nie pogodziła się z jego kłamstwem? „Chcę wiedzieć, co tak naprawdę tam robiłeś”.

Gdyby to zrobiła, coś by w nim pękło. Jego siła, życie, to, co go w nim napędza. Przecież wszystko zbudował na podstawie zaufania Zofii do niego.

PRZYPOMNIAŁ SOBIE, JAK TO BYŁO dziesięć lat wcześniej.

Siedział w zakładzie karnym w Österåker. To więzienie na północ od Sztokholmu.

Jego sąsiedzi z innych cel, kumple, z którymi spędził dwanaście miesięcy, mieli własne metody na to, aby poradzić sobie ze wstydem. Każdy z nich wypracował sobie mechanizm obronny, wymyślił zbiór kłamstw.

Na przykład ten z przeciwka, cela numer cztery. Brał prochy i kradł, żeby móc brać prochy. W jedną noc obrabiał piętnaście domków jednorodzinnych na przedmieściach i ciągle tylko głądził: „Nigdy nie krzywdzę dzieci, zawsze zamykam drzwi do ich pokoi, przynajmniej im nic nie zabieram”. Powtarzał to jak mantrę, był to jego sposób, żeby wytrzymać za kratami, domowej roboty morale, dzięki któremu robił lepsze wrażenie, przynajmniej na sobie, nie musiał sobą pogardzać.

Hoffmann wiedział to co inni: facet z celi numer cztery już dawno temu olał własną moralność i kradł wszystko, co mu wpadło w ręce, także w pokojach dziecięcych, ponieważ głód narkotyczny jest silniejszy niż szacunek dla siebie. Albo ten drugi, z celi numer osiem. Po raz kolejny skazany za ciężkie pobicie. On też wymyślił mantrę, żeby jakoś poradzić

sobie z pogardą dla własnej osoby: „Nigdy nie biję kobiet, tylko mężczyzn, nigdy bym nie uderzył kobiety”.

Hoffmann wiedział to co inni, że ten z ósemki dość dawno temu oddzielał słowa od czynów. Teraz bił nie tylko kobiety, ale także każdego, kto stanął mu na drodze.

### PSEUDOMORALNOŚĆ.

Hoffmann nią pogardzał, podobnie jak zawsze gardził tymi, którzy okłamują nawet siebie.

Sam też to robił. Zdeptał własną moralność i przestał się zastanawiać nad tym, że nadal istnieje ktoś, kogo mógłby polubić, na przykład rodzina. Nigdy nie będę wykorzystywał rodziny w moich kłamstwach, przynajmniej Zofii i dzieci nie będę w to mieszał, obiecywał sobie.

A teraz to zrobił, tak jak tamci faceci z czwórki i ósemki, i wszyscy inni. Zrobił to, czym gardził.

Okłamał siebie samego.

Nie pozostało mu już nic, co było nim, a co mógłby lubić.

Zofia zakręciła wodę. Skończyła zmywać, wytarła zlew i usiadła mu na kolanach. Hoffmann objął ją, pocałował w policzek – dwa razy, bo tak lubiła – wsunął nos między jej szyję i ramiona, gdzie skóra była taka miękka.

ERIK WILSON OTWORZYŁ PUSTY plik w specjalnym komputerze, z którego korzystał wyłącznie po spotkaniu z którąś wtyczką.

**M wyjmuje pistolet (broń polskiej produkcji, zakład w Radomiu, kaliber 9 mm) z kabury pod ramieniem. Odbezpiecza i przystawia lufę do głowy kupca.**

Wilson próbuje przypomnieć sobie słowa Pauli, żeby sporządzić raport ze spotkania na piątce.

Żeby chronić Paulę. Siebie też.

Przede wszystkim jednak po to, żeby mieć dowód, na wypadek gdyby ktoś chciał zakwestionować sposób, w jaki gospodaruje pieniędzmi przeznaczonymi dla informatorów. Bez tego raportu i bez pieniędzy dostarczanych mu przez władze ani Paula, ani żaden inny informator nie mogliby otrzymać wynagrodzenia za swoją pracę, a jednocześnie

pozostać kimś anonimowym, poza oficjalną księgowością prowadzoną przez wydział finansowy biura.

**P rozkazuje M, żeby się uspokoił. M opuszcza broń, cofa się o krok, zabezpiecza broń.**

Kiedy jego tajny raport opuścił pokój i trafił na biurko Göranssona, a za jego pośrednictwem do komendanta wojewódzkiego policji, Wilson wykasował plik z twardego dysku, aktywował kodowanie i wyłączył cały system elektroniczny, którego na wszelki wypadek nigdy nie podłączano do internetu.

**Nagle kupiec krzyczy: „Jestem policjantem!”.**

Wilson to wszystko opisał, Göransson sprawdził, a komendant wojewódzki policji przechowa.

Gdyby czytał to ktoś inny, gdyby wiedział... Ryzykowali życie informatora. Jeśli informacja o jego prawdziwej tożsamości i o zadaniu, jakie wykonywał, trafiłaby do niewłaściwej osoby, oznaczałoby to wyrok śmierci dla Pauli.

**M znowu kieruje lufę pistoletu w stronę skroni kupca.**

Tym razem szwedzka policja nie miała zamiaru w nikogo uderzyć ani nikogo zatrzymać, nie chciała niczego konfiskować. Na Västmannagatan 79 prowadzono operację. Jej celem było wzmocnienie pozycji Pauli w firmie Securitus International. Była to transakcja kupna-sprzedaży narkotyków, nic szczególnego w ramach działalności tej firmy.

**P próbuje to przerwać, ale w tym momencie kupiec znowu krzyczy: „Policja!”. M przyciska mocniej pistolet do jego skroni i pociąga za spust.**

Każdy informator żyje z myślą o tym, że kiedyś jego też to może spotkać.

Wilson kilka razy przeczytał ostatni fragment swojego raportu. To, co się tam wydarzyło, mogło się też przydarzyć Pauli.

**Kupiec upada na bok, na skos, w prawą stronę, spada z krzesła na podłogę.**

Nie, to nie mogło przydarzyć się Pauli.

Ten, kto stworzył nowy życiorys dla duńskiego informatora, nie spisał się jak należy. Wilson sam stworzył Paulę. Krok za krokiem, dzięki kolejnym wpisom w bazie danych.

Wiedział, że jest w tym dobry.

Wiedział też, że Piet Hoffmann wie, jak przeżyć.

EWERT GRENS SIEDZIAŁ W JEDNYM z cuchnących piwem barów na lotnisku Kastrup i popijał z brązowego kartonowego kubka duńską wodę mineralną.

Wszyscy ci ludzie niosący w plastikowych reklamówkach opakowania Toblerone czy likier kakaowy dokądś się spieszą. Grens nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie pracują przez jedenaście miesięcy, żeby odłożyć trochę pieniędzy i w dwunastym miesiącu pojechać w inne miejsce.

Westchnął głęboko.

Dochodzenie stoi w miejscu. Po spotkaniu z Andersenem wie niewiele więcej niż wtedy, gdy kilka godzin temu wyleciał ze Sztokholmu.

Wie, że zabity był duńską wtyczką. Że nazywał się Jens Christian Toft. Że pracował dla duńskiej policji i jego zadanie polegało na inicjowaniu zakupów kontrolowanych w środowisku przestępczości zorganizowanej.

Nie wie nic o zabójcy ani o człowieku, który ich powiadomił. Wie, że w mieszkaniu znajdował się prawdopodobnie szwedzki informator i przedstawiciele polskiej mafii reprezentujący firmę Securitus International.

I to wszystko. Żadnych twarzy, żadnych nazwisk.

Grens zadzwonił do Krantza, do jego biura w sekcji technicznej.

– Nils?

– Tak?

– Chciałbym, żebyś poszerzył obszar poszukiwań.

– Teraz?

– Tak, teraz.

– O ile?

– Tyle, ile ci potrzeba. Okoliczne dzielnice, każde podwórko, klatka schodowa, zsyp.

- Gdzie teraz jesteś?
- W barze. Razem z Duńczykami, którzy tu piją, żeby stłumić strach przed lataniem.
- A co robisz w...
- Nils?
- Tak?
- Jeśli jest tam coś, co może pchnąć nasze śledztwo do przodu... znajdź to.

Wypił resztę letniej wody, sięgnął po kilka orzeszków ziemnych leżących na kontuarze i skierował się w stronę kolejki pasażerów czekających na odlot.

TAJNY RAPORT DOTYCZĄCY ULICY Västmannagatan 79 składał się z pięciu gęsto zapisanych stron formatu A4 wsuniętych do zbyt ciasnej plastikowej koszulki. Göransson przeczytał go cztery razy. Potem zdjął okulary i spojrzał na Wilsona.

– Kto to?

Wilson przypatrywał się jego twarzy, która po każdym kolejnym czytaniu raportu robiła się trochę bardziej czerwona i coraz bardziej napięta. Kiedy przeczytał dokument po raz piąty, wydawało się, że wybuchnie.

– Kim był zabity?

– Prawdopodobnie wtyka.

– Wtyka?

– Inna wtyka. Sądzymy, że pracował dla Duńczyków. Nie znał Pauli, a on nie znał jego.

Göransson trzymał w ręce pięć cienkich arkuszy formatu A4, które jednak miały o wiele większy ciężar gatunkowy niż wszystkie inne dochodzenia w całym wydziale. Odłożył raport na biurko obok raportu zawierającego inną wersję tego samego zabójstwa, które zdarzyło się o tej samej godzinie i pod tym samym adresem. Ten drugi dokument sporządził prokurator Ågestam. Zawarł w nim wszystkie informacje o tym, jak daleko posunęło się oficjalne śledztwo prowadzone przez Grensa, Sundkvista i Hermansson.

– Potrzebuję gwarancji, że ewentualny udział Pauli w zabójstwie na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć pozostanie tam, w tajnym raporcie.

Göransson spojrział na papiery leżące na biurku. Raport Wilsona o tym, co naprawdę się wydarzyło, i Grensa z toczącego się nadal śledztwa. Jego raport będzie zawierał tylko tyle, na ile zgodzą się obaj policjanci siedzący w tym pokoju.

– Erik, to nie działa tak, jak sobie wyobrażasz...

– Jeśli Grens się dowie... Tak nie można. Paula ma szansę na przełom. Po raz pierwszy może się udać złamać jedną z odnóg mafii już w fazie jej tworzenia. Nigdy wcześniej coś takiego nam się nie udało. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Tym miastem nie rządzi policja. To oni nim rządzą.

– Nie mogę ci nic zagwarantować.

Wilson uderzył pięścią w stół. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło.

– Wiesz, że jest tak, jak mówię. Przecież dostawałeś tajne raporty z jego pracy przez dziewięć lat. I wiesz, że nigdy nie zawiódł.

– Jest kryminalistą i nim pozostanie.

– Przecież to podstawowy warunek, żeby wtyczka mogła sprawnie funkcjonować!

– Współudział w zbrodni. Jeśli Paula nie jest źródłem wysokiego ryzyka... to kim jest?

Tym razem Wilson nie uderzył pięścią w stół. Sięgnął po swój raport, wyjął z plastikowej koszulki pięć arkuszy papieru i złapał je mocno.

– Posłuchaj mnie – powiedział do Göranssona. – Bez Pauli stracimy szansę. Okazja nigdy więcej się nie powtórzy. To, co stracimy teraz, stracimy na zawsze, a wtedy w Szwecji stanie się to, co stało się już w Finlandii, Norwegii i Danii. Jak długo jeszcze będziemy stać obok i przypatrywać się?

Göransson uniósł rękę na znak, że musi się zastanowić. Słyszał, co powiedział Wilson, i zdecydował, że musi najpierw zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Chcesz zastosować to samo rozwiązanie co w przypadku Marii?

– Chcę, żeby Paula kontynuował swoje zadanie. Przynajmniej przez kolejne dwa miesiące. Jeszcze przez tyle czasu będziemy go potrzebować.

Göransson podjął w końcu decyzję.

– Będę musiał się z kimś spotkać w tej sprawie. W Kancelarii Rządu w Rosenbad.

Kiedy Wilson wyszedł od Göranssona, ruszył powoli korytarzem i doszedł do pokoju Grensa. Pokój był pusty. Komisarza policji, który nigdy nie doprowadzi swojego śledztwa do końca, nie było w środku.



ŚRODA

## TŁUM LUDZI.

Już zapomniał, jak któregoś ranka około ósmej przechodził z peronu na peron metra, a potem schodami do Vasagatan.

Samochód stał na podjeździe do garażu obok czerwonego plastikowego wozu strażackiego. To na wszelki wypadek, gdyby dzieciom się pogorszyło i Zofia musiała pojechać do przychodni albo apteki. Hoffmann ziewnął. Nadal był zmęczony. Nocą wstawał co godzina, bo chłopcy mieli coraz wyższą temperaturę. Po raz pierwszy tuż po północy, kiedy otworzył wszystkie okna w ich pokojach, ściągnął kołdry z ich rozgrzanych ciał i przesiadał się z łóżka na łóżko, aż synowie zasnęli. Ostatni raz wstał około piątej, żeby wmusić w nich kolejną dawkę alvedonu. Potrzebowali spokoju, snu, odpoczynku. Inaczej nie wyzdrowieją. O świcie razem z Zofią podzielił się obowiązkami na cały dzień, tak jak robili to zawsze wtedy, gdy któryś z chłopców zachorował albo przedszkole było zamknięte. Ustalili, że on pójdzie do pracy przed południem, wróci do domu, zjedzą wspólnie lunch i wtedy Zofia będzie mogła iść do pracy na popołudnie.

Ulica, przy której mieszkali, nie była zbyt ładna, ot, zwykły kawałek asfaltu. Codziennie wylewały się na nią tłumy ludzi wychodzących ze stacji metra, z autobusów albo taksówek, ludzi w drodze do innego Sztokholmu, tego z wysp rozrzuconych na wodzie, który kusił turystów kolorowymi broszurami. Hoffmann spieszył się, bo był już spóźniony, więc nie zauważał ani tego co brzydkie, ani tego co ładne. W końcu dojechał do hotelu Sheraton i podszedł do stolika w pobliżu barku, w głębi eleganckiego lobby.

Trzydzieści sześć godzin wcześniej spotkali się w dużym, ciemnym mieszkaniu przy ulicy Idzikowskiego na Mokotowie. Henryk Bąk i Zbigniew Borecki. Jego bezpośredni kontakt i wicedyrektor.

Przywitał się z nimi mocnym, męskim uściskiem dłoni. Zawsze pamiętali, aby przywitać się właśnie takim mocnym uściskiem.

Było to jedno z tych spotkań, które miało pokazać osobom postronnym, że ich biuro w Szwecji funkcjonuje na poważnie.

Wszystko zaczyna się już teraz. Cała operacja ma charakter priorytetowy. Dostawami i terminami dostaw poza więzieniami zarządza bezpośrednio centrala w Warszawie.

Wicedyrektor wrócił do stolika, na którym stała szklanka wypełniona do połowy sokiem pomarańczowym. Natomiast Henryk ruszył wraz

z Hoffmannem w stronę wyjścia. Po chwili zwolnił i szedł pół kroku za nim. Być może nie był pewien, w którą stronę iść, a może chciał mieć wszystko pod kontrolą. Vasagatan także od tej strony nie miała żadnego uroku. Minęli wejście do metra i przemknęli między jadącymi samochodami na drugą stronę ulicy. Potem przeszli chodnikiem aż do głównego wejścia do budynku, gdzie na drugim piętrze znajdowała się siedziba firmy ochroniarskiej.

Nie rozmawiali ze sobą, podobnie jak nie rozmawiali ze sobą półtorej doby wcześniej w Warszawie, w drodze do „kryszy”. Wchodzili schodami na górę i milczeli. Minęli wejście do firmy Hoffmann Security AB i poszli dalej aż na ostatnie piętro, gdzie zatrzymali się przed metalowymi drzwiami prowadzącymi na strych.

Hoffmann otworzył je i weszli do ciemnego wnętrza. Gdzieś na ścianie był czarny guzik. Hoffmann zaczął go szukać i po chwili znalazł znacznie niżej, niż sądził. Zamknął drzwi od środka na klucz i zostawił go w zamku, żeby nikt nie mógł wejść. Pomieszczenie gospodarcze numer dwadzieścia sześć było prawie puste. W środku znajdowały się tylko cztery letnie opony do samochodu, które leżały w rogu jedna na drugiej. Hoffmann podniósł tę z wierzchu i wyjął spod spodu młotek i śrubokręt, przymocowane do felgi taśmą klejącą. Wrócił z nimi do ciasnego, słabo oświetlonego korytarzyka, a potem zaczął się przesuwając wzdłuż niezaizolowanej rury aluminiowej, która wisiała jakiś metr nad ich głowami i dochodziła do ściany, gdzie zniknęła w otworze wentylacyjnym. Hoffmann przyłożył czubek śrubokrętu do krawędzi stalowej szyny łączącej rurę z wentylatorem i mocno uderzył w to miejsce młotkiem, aż szyna się poluzowała. Zdjął ją i wyjął z otworu osiemdziesiąt jeden białych metalowych puszek.

Henryk odczekał, aż Hoffmann ustawi je w rzędkach na podłodze, a potem wybrał trzy: jedną z lewej strony, jedną ze środka i jedną z prawej strony.

– Resztę możesz zabrać.

Hoffmann włożył pozostałe siedemdziesiąt osiem puszek z powrotem do schowka. W tym samym czasie Henryk usunął folię chroniącą trzy puszki i otworzył je. Obaj poczuli, jak powietrze wypełnia zapach tulipanów. Był tak silny, że aż prawie nieprzyjemny.

W każdej z puszek znajdowała się żółtawa bryłka. Była to amfetamina wyprodukowana w fabryczce i wymieszana z cukrem gronowym.

Henryk otworzył czarną teczkę i wyjął z niej wagę wraz z zestawem złożonym z rurki, skalpela i pipety. Tysiąc osiemdziesiąt siedem gramów.

Kilogram amfetaminy i ciężar puszki. Skinął głową Hoffmannowi. Wszystko się zgadza.

Sięgnął po skalpel i dotknął jednej z trzech żółtych bryłek. Odłamał od niej drobny kawałeczek, na tyle mały, żeby można go było umieścić w pierwszej z rurek i wykonać próbę. Wsunął pipetę do kolejnej rurki z fenylacetonem i czystą naftą. Następnie zassał ciecz i rozlał ją na bryłkę, po czym kilka razy nią potrząsnął. Odczekał minutę, może dwie i unióśł rurkę pod światło padające od okna. Jeśli ciecz przybierze silny niebieskawy kolor, oznacza to, że w rurce znajduje się silna porcja amfy. Jeżeli kolor będzie ciemny, a ciecz mętna, próba da wynik przeciwny.

– Trzy albo cztery razy?

– Trzy.

– Wygląda dobrze.

Henryk owinął puszkę folią i powtórzył próbę z dwoma pozostałymi pojemnikami. Wynik znowu okazał się pozytywny: niebieskawy kolor, przezroczysta ciecz. Oddał Hoffmannowi trzy puszki i kazał mu je odstawić do skrytki. Ten przykręcił szynę, aż rozległ się charakterystyczny dźwięk oznaczający, że fragment rury wentylacyjnej znowu znajduje się na swoim miejscu.

Wyszli ze strychu i zamknęli drzwi na klucz. Zeszli schodami na ulicę i znowu szli w milczeniu.

Wicedyrektor siedział nadal przy tym samym stole. Przed nim stała kolejna szklanka soku pomarańczowego wypełniona do połowy.

Hoffmann czekał przy recepcji, podczas gdy Henryk przysiadł się do drugiego w hierarchii człowieka w firmie Securitus International.

Niebieskawa, przezroczysta ciecz. Osiemdziesiąt jeden kilogramów mieszanki amfy.

Wicedyrektor odwrócił się w jego stronę i kiwnął Hoffmanowi głową. Ten, idąc w stronę stolika, poczuł, że ucisk w żołądku zelżał.

– Cholerny miąższ pomarańczowy. Zawsze zostaje mi między zębami.

Wicedyrektor kiwnął na kelnerkę i wskazując na puste szklanki, dał jej znak, żeby przyniosła dwa kolejne soki. Kelnerka była młoda. Uśmiechnęła się do nich w taki sam sposób, jak uśmiechała się do innych klientów, którzy dawali jej po sto koron napiwku. Może jeszcze coś zamówią?

– Ja będę kierował operacjami poza murami. Ty przejmiesz naszą działalność w zakładach karnych w Kumli, Hall i Aspsås, to znaczy w szwedzkich więzieniach o najsurowszym rygorze.

– Muszę się napić kawy.

Podwójne espresso. Młoda kelnerka znowu się do nich uśmiechnęła.

– To była długa noc.

Hoffmann spojrział na wicedyrektora, który na coś czekał. Może to demonstracja siły?

Dwie szklanki wypełnione do połowy sokiem pomarańczowym.

– Czasami dwie, trzy długie noce.

Wicedyrektor się uśmiechnął. Nie chodziło mu o respekt. Szukał siły, której będzie mógł zaufać.

– Pracuje już dla nas czterech osadzonych w Aspsås, trzech w Hall i trzech w Kumli. Siedzą na różnych oddziałach, ale mogą się ze sobą porozumiewać. Chciałbym, żeby w ciągu tygodnia ciebie też zatrzymano. Musi to być na tyle poważne przestępstwo, żebyś trafił do któregoś z tych zakładów.

– Będę potrzebował dwóch miesięcy. Nie więcej.

– Dostaniesz tyle czasu, ile potrzebujesz.

– Nie chcę więcej. Natomiast muszę mieć gwarancję, że mnie stamtąd wyciągniecie.

– Spokojnie, bez obaw.

– Chcę gwarancji.

– Wyciągniemy cię stamtąd.

– Jak?

– Zaopiekujemy się twoją rodziną, kiedy będziesz kiblował. A gdy operacja dobiegnie końca, zajmiemy się tobą. Dostaniesz nowe nazwisko, nową tożsamość i pieniądze, żebyś mógł zacząć wszystko na nowo.

Lobby hotelu Sheraton nadal świeciło pustkami. Ci, którzy przyjeżdżali do Sztokholmu w interesach, zjawiali się w hotelu dopiero wieczorem. Ci, którzy chcieli zwiedzać muzea i oglądać pomniki, byli już na mieście. Mieli na nogach wygodne obuwie firmy Nike i pewnie oprowadzał ich jakiś wygadany przewodnik.

Wicedyrektor dopił sok, skinął ręką w stronę recepcji i zamówił podwójne espresso, a do tego niewielkie ciastko.

– Trzy kilogramy – rzucił Hoffmann.

Wicedyrektor postawił szklankę z sokiem obok innych szklanek.

– Dam się złapać z trzema kilogramami amfy. Będą mnie przesłuchiwać, a ja się przyznam. Powiem, że działałem na własną rękę. Zostanę aresztowany na krótki czas, ponieważ prokurator będzie mógł postawić mnie w stan oskarżenia od razu. Sąd rejonowy skaze mnie na długą odsiadkę. W naszych sądach trzy kilogramy amfy oznaczają wysoki wyrok. Powiem, że nie zamierzam apelować, i dzięki temu nie będę

musiał zbyt długo czekać, aż wyrok nabierze mocy prawnej. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, trafię za kraty za dwa tygodnie.

Wprawdzie Hoffmann nadal siedział w eleganckim lobby hotelu Sheraton, ale oczyma wyobraźni widział ciasną celę więzienia w Österåker dziesięć lat wcześniej. Wiedział, że już kilkumiesięczny pobyt w więzieniu może złamać człowieka.

Na przykład te pieprzone dni, kiedy ktoś przychodził na oddział i wrzeszczał na cały głos: „Pobranie moczu!”. Dorośli mężczyźni ustawiali się rzędem w pokoju za weneckim lustrem, a ktoś oglądał ich penisy i kolor moczu. Do tego te pieprzone noce z niezapowiedzianymi kontrolami, kiedy zaspani ustawiali się na korytarzu tylko w majtkach. W tym samym czasie strażnicy przewracali ich cele do góry nogami, zostawiając po sobie kompletny chaos.

Tym razem musi wytrzymać. Trafi tam z powodów, które są ważniejsze niż poniżenie.

– Jak już się tam znajdziesz, będziesz działał dwustopniowo. Tak samo jak wtedy, gdy przejmowaliśmy pod naszą kontrolę kolejne więzienia w Norwegii albo zakład w Riihimäki, pierwszy w Finlandii.

Wicedyrektor pochylił się w jego stronę.

– Wyeliminujesz tych, którzy już tam handlują amfą. Potem zaczniesz dostarczać nasz towar za pośrednictwem naszych kanałów dystrybucji. Na początku siedemdziesiąt osiem kilogramów, które Henryk przed chwilą zaakceptował. Zaoferujesz to po cenach dumpingowych. Wszyscy osadzeni muszą się dowiedzieć, że teraz my o wszystkim decydujemy. Amfa po pięćdziesiąt koron za gram zamiast trzystu. I tak do czasu, aż przejmemy pełną kontrolę. Wtedy zaczniemy podnosić cenę. Podwyżka będzie szokująca. Bo niby czemu, kurwa, nie? Do pięciuset, a nawet sześciuset koron za gram. Chcesz brać, to płać, a jak nie, to nie bierz.

Hoffmann znowu przypomniał sobie czas spędzony w ciasnej celi zakładu w Österåker. Życiem więźniów sterowały prochy i ten, kto dostarczał amfę i heroinę. Nawet słodkie pieczywo i zgniłe jabłka rzucone na trzy tygodnie do wiadra z wodą stojącego w składziku gospodarczym zaczynało być ważne, z chwilą kiedy zamieniało się w dwunastoprocentowy zacier. Od tej pory o życiu innych więźniów decydował właściciel wiadra.

– Potrzebuję trzech dni, żeby wyeliminować konkurencję. Przez ten czas nie będę nawiązywał kontaktu z żadnym z naszych. Na mnie spadnie też obowiązek, żeby zaopatrzyć się w odpowiednią ilość towaru.

– Trzy dni.

– Od czwartego dnia będziecie mi dostarczać kilogram amfy raz na tydzień kanałami, które stworzyła firma Securitus International. Sam dopilnuję, żeby została skonsumowana. Nie chcę, żeby ktokolwiek coś magazynował albo ukrywał, nic, co będzie przypominać to, co robiła konkurencja.

Hotelowe lobby to niezwykle miejsce. Nikt nie podsłuchuje, nikt nie zatrzymuje się w pobliżu.

Stojące obok dwa puste do tej pory stoliki obsiadły nagle dwie grupy japońskich turystów. Czekali na wydanie kluczy do pokoi, które jeszcze nie były sprzątnięte.

Wicedyrektor ściszył głos.

– Jak zamierzasz dostarczyć towar za mury? – spytał.

– To moje zmartwienie.

– Chcę wiedzieć, jak zamierzasz to zrobić.

– Tak, jak robiłem to w Österåker przed dziesięciu laty. I później, w innych więzieniach.

– Jak?

– Z całym szacunkiem, ale już pan wie, że jak się czegoś podejmuję, biorę za to odpowiedzialność. To powinno wystarczyć za odpowiedź.

– Jak?

Hoffmann się uśmiechnął. Wyszło trochę nienaturalnie, ale był to pierwszy uśmiech od wczorajszego wieczoru.

– W tulipanach i zbiorkach poezji.

DRZWI NIE BYŁY ODPOWIEDNIO zamknięte.

Usłyszał wyraźne kroki w korytarzu. Były coraz bliżej.

Nie chce się z nikim spotykać. Nie teraz. Nie chce się tym z nikim dzielić.

Wilson wstał z krzesła za biurkiem i pociągnął za klamkę. A jednak. Drzwi są zamknięte. Sam sobie wymyślił te kroki i szuranie butów po podłodze. Nic takiego nie miało miejsca. Po prostu jest coraz bardziej niespokojny, bardziej zaszczuty, niż sobie wyobrażał.

Dwa spotkania w ciągu kilku godzin.

Dłuższe na piątce z Paulą, który przedstawił mu swoją wersję zdarzeń na Västmannagatan 79 i sprawozdanie ze spotkania w Warszawie. Drugie spotkanie – znacznie krótsze – na czwórcę, gdy zakrwawiona koszula w plastikowej reklamówce zmieniła właściciela.

Spojrzał na szafę zamkniętą na klucz stojącą przy ścianie po drugiej stronie pokoju. Jest w niej sprzęt należący do sprawcy. Nie może tam dłużej leżeć.

Znowu usiadł przy biurku. Kroki na korytarzu umilkły, także w jego głowie. Spojrzał na ekran monitora.

Imię i nazwisko: Piet Hoffmann.

Numer osobowy: 721018-0010.

Liczba spotkań: 75.

To najważniejsze narzędzie, jakim posługiwał się przez dziewięć lat współpracy z najzdolniejszym informatorem, o jakim kiedykolwiek słyszał. ASPEN – ogólna wyszukiwarka danych.

Zaczął z niej korzystać jeszcze wtedy, gdy Piet Hoffmann skończył odsiadkę w Österåker. Pierwszy dzień na wolności, pierwszy dzień jako zwerbowany informator. Wilson osobiście spotkał się z nim pod bramą więzienia i podwiózł go swoim prywatnym samochodem pięćdziesiąt kilometrów do Sztokholmu. Kiedy się rozstali, pojechał prosto na komendę i zapisał w systemie swoją pierwszą uwagę dotyczącą informatora numer osobowy 721018-0010. Od tej pory informacje te dotrą do każdego policjanta, który zaloguje się do systemu i będzie chciał dowiedzieć się czegoś na temat Pieta Hoffmanna. Będzie miał dostęp do danych. Krótki, acz treściwy opis tego, jak podejrzany tuż po zakończeniu odsiadki spotkał się przy bramie zakładu w Österåker z dwoma karanymi



wcześniej mężczyznami mającymi potwierdzone powiązania z jugosłowiańską mafią.

Przez wszystkie te lata tworzył wizerunek coraz bardziej groźnego (*odnotowano jego obecność w pobliżu mieszkania, gdzie dokonano przeszukania w związku z handlem bronią*), coraz bardziej gwałtownego (*zauważony piętnaście minut przed zabójstwem w Östling w towarzystwie podejrzanego Markovicia*) i coraz bardziej bezwzględnego przestępcy. Wilson starał się zróżnicować poszczególne sformułowania i stopień dezinformacji. Każda nowa notatka wzmacniała mit o sile Hoffmanna, aż w końcu z bazy danych zaczęło wynikać, że to jeden z najgroźniejszych przestępców w Szwecji.

Wilson znowu zaczął nasłuchiwać. Ponownie usłyszał kroki na korytarzu. Słyszał je coraz wyraźniej, aż do chwili, gdy minęły jego pokój i ucichły w głębi korytarza.

Rozwinął obraz na ekranie.

ZNANY.

Za dwa tygodnie Piet Hoffmann zostanie skazany na długi pobyt w więzieniu. Potem zdobędzie taką władzę, że będzie mógł kontrolować handel prochami. Tam, za murami, ludzi z taką władzą wszyscy traktują z szacunkiem.

NIEBEZPIECZNY.

Wilson napisał te słowa dużymi literami.

UZBROJONY.

Kiedy następnym razem któryś z funkcjonariuszy wejdzie do bazy, natknie się na tę konkretną stronę i specjalny kod używany wyłącznie w odniesieniu do nielicznych przestępców:

ZNANY NIEBEZPIECZNY UZBROJONY.

Kolejni policjanci z dostępem do bazy zaczną o nim mówić i uważać za groźnego przestępcę. Jego legenda narodzi się już w więźniarce, którą będzie przewożony z aresztu do więzienia.

PRZYŁOŻYŁ TELEFON DO UCHA. Według elektronicznego głosu, który odzywał się co dziesięć sekund, była godzina wpół do pierwszej. Dokładnie w tym momencie drzwi z tabliczką HOLM na skrzynce pocztowej otworzyły się od środka i Hoffmann wszedł do mieszkania na trzecim piętrze wyłożonego folią. Parkiet dziwnie się pod nim ugiął, prawdopodobnie na skutek zalania.

To „dwójka”.

Högalidsgatan 38 i Heleneborgsgatan 9.

Wilson przyrządził kawę w proszku, jak zwykle zresztą. Hoffmann jak zwykle ją wypił, chociaż na co dzień takiej nie pijał. W pokoju, który przypominał „salon telewizyjny”, stała miękka kanapa przykryta plastikową folią, która przez mniej więcej dwa miesiące miała chronić mebel przed zniszczeniem. Zaszeleściła, gdy na niej usiedli.

– Posłużymy się tym.

Hoffmann wiedział, że muszą się spieszyć.

Po raz pierwszy dostrzegł to w oczach Wilsona, który niespokojnie rozglądał się po pokoju. Dziko i bez celu. Facet, który od dziewięciu lat był jego łącznikiem, który nigdy się nie śmiał i nie płakał, wyglądał na zestresowanego. Zachowywał się więc tak, jak robią to ludzie zestresowani: starał się swój stan ukryć, ale właśnie dlatego stawało się to jeszcze bardziej widoczne.

– Kwiaty.

Hoffmann otworzył niewielką metalową puszkę, która dawniej służyła do przechowywania herbaty. Jednak teraz znajdowała się w niej żółtawa, zbita masa, która wydzielala silny zapach tulipanów. Wilson zeskrobał ostrożnie kawałek masy, używając do tego plastikowego noża, który podał mu Hoffmann, umieścił masę na języku i poczuł szczypanie. Zaraz zrobi mu się bąbel.

– Cholernie mocne. Dwie części cukru?

– Tak.

– Ile?

– Trzy kilogramy.

– Wystarczy na szybki wyrok i długą odsiadkę w ciężkim zakładzie.

Hoffmann zacisnął przykrywkę na pudełku i włożył go do kieszeni marynarki. Ma jeszcze osiemdziesiąt jeden kilogramów w wentylatorze na strychu budynku z przełomu stuleci stojącym przy Vasagatan. Później

dokładnie opisać Wilsonowi, jak się do tego dostać. Ale nie teraz. Musi to wszystko jeszcze raz wymieszać. Czasem to robił i sprzedawał dalej.

– Chcę wykorzystać trzy pierwsze dni na pozbycie się konkurencji. Securitus International dostanie raporty, które są potrzebne, żeby kontynuować operację. I potem zrobimy to, co mamy zrobić: wyeliminujemy konkurencję.

Wilson powinien odczuwać spokój, zadowolenie, ciekawość. Jego najlepszy informator niedługo trafi do celi, to znaczy w miejsce, które zaplanowała dla niego zarówno szwedzka policja, jak i firma Securitus International. Ma rozpocząć własną działalność, a potem położyć kres ekspansji jednego z odgałęzień mafijnych. Wilson rzadko odczuwał niepokój i widział, że Piet to zauważył.

– Spróbuję rozwiązać sprawę zabójstwa przy Västmannagatan w tradycyjny sposób. Raport dla komendanta wojewódzkiego policji trafi potem do tajnego sejfu. Ale tym razem to nie wystarczy. Piet, to było zabójstwo! Musimy prowadzić tę sprawę poza komendą policji. Musimy z tym iść do Kancelarii Rządu. Ty też musisz tam iść.

– Przecież wiesz, że to niemożliwe.

– Nie masz wyboru.

– Kurwa, przecież nie mogę na oczach wszystkich wejść sobie do siedziby premiera w towarzystwie policji i polityków!

– Odbiorę cię przy dwa-B.

Hoffmann pokręcił powoli głową.

– Jeśli ktoś mnie tam zobaczy... wyrok śmierci murowany.

– Taki sam los czeka cię w więzieniu, jeśli ktoś się domyśli, kim jesteś. I będziesz tam siedział pod kluczem w oczekiwaniu, aż ktoś cię sprzątnie. Potrzebna ci pomoc ze strony władz, żeby stamtąd wyjść. Żeby przeżyć.

WYSZEDŁ Z MIESZKANIA I POSZEDŁ do kawiarni na rogu Pålsundsgatan, żeby wypić filiżankę czarnej kawy z ciepłym mlekiem. Próbował się nad wszystkim zastanowić przy dźwiękach włoskich przebojów i chichotu grupy dziewczynek siedzących przy sąsiednim stoliku, które wolały napchać się talerzem cynamonowych ciasteczek, niż zjeść lunch w szkole. W kącie sali siedziały jeszcze dwie inne dziewczyny, które stylizowały się na poetki i zbyt głośno rozmawiały o pisaniu wierszy.

Wilson miał rację. Zawsze sam. Nie ma innego wyboru. Ufaj tylko sobie.

Odstawił pustą filiżankę na stolik, wyszedł z kawiarni i skierował się w słabych promieniach słońca na most Västerbron. Przez chwilę stał tam nieruchomo, opierając się o poręcz, i zastanawiał się, co by się stało, gdyby nagle skoczył z wysokości czterdziestu metrów. Na pewno liczyłoby sekundy, zanim jego ciało uderzyłoby z wielką siłą o powierzchnię wody. Zadzwoił do domu i ponownie okłamał Zofię, mówiąc, że wprawdzie jej praca jest równie ważna jak jego praca, ale w tej chwili nie może wrócić do domu i dopiero wieczorem będzie mógł ją zastąpić. Zofia odpowiedziała mu podniesionym głosem, więc odłożył słuchawkę, żeby jej znowu nie okłamywać.

Mimo wczesnych godzin popołudniowych Regeringsgatan była pusta. Wszedł do podziemnego garażu naprzeciwko drogiego domu towarowego i wąskimi schodami poszedł na drugi poziom. Przecisnął się między zaparkowanymi samochodami z sekcji B i odszukał czarny minibus z ciemnymi szybami stojący przy jednej z betonowych ścian. Podszedł bliżej i chwycił za klamkę tylnych drzwi. Otworzył je i usiadł z tyłu. Spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze dziesięć minut.

Kiedy się rozłączył, Zofia nie skończyła jeszcze mówić. Jej słowa dźwięczały mu w głowie, gdy szedł ulicą, i nawet teraz, siedząc w samochodzie, odczuwał frustrację w jej głosie. Ale przecież nie może jej powiedzieć, że znowu ją okłamał.

Zmarzył.

W podziemnym garażu zawsze było zimno, lecz tym razem chłód dopadł go od środka. Był to ten rodzaj chłodu, któremu nie da się zapobiec, wkładając ciepłe ubranie albo wykonując energiczne ruchy. Nie ma takiego chłodu, który przypomina pogardę dla siebie samego.

Drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Hoffmann spojrział na zegarek. Minęło dokładnie dziesięć minut.

Erik Wilson czekał na niego zawsze piętro wyżej, w miejscu, skąd było widać wszystkie samochody stojące w sekcji B i ludzi, którzy tamtędy przechodzili. Kiedy wszedł do samochodu, nie odwrócił się, nic nie powiedział, tylko zapuścił silnik i przejechał krótki odcinek między Hamngatan i Mynttorget. Przejechał przez bramę prowadzącą na kamienny dziedziniec, przy którym znajdowały się biura parlamentarzystów. Wyszli z samochodu i nie zdążyli jeszcze dojść do wejścia, gdy wyszedł im naprzeciw strażnik, prosząc, aby zeszli z nim po schodach. Potem poszli podziemnym tunelem biegnącym pod siedzibą Riksdagu. Tunel skończył się w jednym z budynków rządowych. Oba

centra władzy dzielił zaledwie krótki, trwający kilka minut spacer. Był to jedyny sposób, aby dostać się do siedziby rządu niepostrzeżenie.

HOFFMANN DOTKNAŁ PALCAMI DRZWI. Znajdował się zaledwie kilka metrów od budki strażnika przy głównym wejściu do siedziby rządu. Pociągnął za klamkę i upewnił się, że drzwi są zamknięte na klucz.

Trudno mu się było poruszać.

Wszedł do toalety. Była w niej tylko umywalka i sedes. Wykładane kafelkami ściany jakby napierały na niego.

Cienki, podłużny magnetofon kasetowy schował do tylnej kieszeni spodni, gdzie miał już tulejkę na cygaro i kilka drobiazgów z apteki. Nacisnął przycisk, który był teraz podświetlony na zielono. Wcześniej włożył świeżo naładowane baterie. Podsunął magnetofon blisko ust i szepnął: „Siedziba rządu, wtorek, dziewiątego maja”. Uważał, żeby go nie wyłączyć, kiedy wkładał go do tulejki na cygaro. Za chwilę nasmaruje ją smarem, aż będzie błyszczeć.

Na podłodze w toalecie położył kilka papierowych ręczników. Przez niewielki otwór w tulejce przeciągnął kabelek mikrofonu.

Wcześniej robił to wiele razy. Pięćdziesiąt gramów amfy albo cyfrowy magnetofon, więzienie albo siedziba rządu. Tylko w taki sposób można przemyścić to, czego nie wolno.

Zapiął spodnie i usiadł. Tulejkę po cygarach ujął między kciuk a długi palec. Pochylił się i wsunął je do odbytnicy. Wykonał kilka ruchów i poczuł, jak wsuwa się głębiej, na jakiś centymetr. Chwilę potem wysunęła się z powrotem i upadła na stos ręczników.

Kolejna próba. Ponownie nacisnął, kilka ruchów ciałem i w końcu magnetofon znikł w odbytnicy.

Kabelek od mikrofonu przeciągnął z odbytnicy przez krocze do tułowia, gdzie przyczepił go do skóry kawałkiem taśmy.

STRAŻNIK SIEDZĄCY ZA SZYBĄ miał na sobie szaro-czerwony mundur. Był to starszy mężczyzna o prawie siwych włosach i nieśmiałym uśmiechu. Hoffmann zbyt długo mu się przyglądał. Kiedy strażnik to zauważył, Hoffmann odwrócił wzrok.

Przypominał mu ojca. Gdyby dożył tego wieku, pewnie tak by wyglądał.

– Pana kolega już wszedł.

– Musiałem iść do toalety.

– Czasem trzeba. Idzie pan na spotkanie z panią podsekretarz stanu, prawda?

Hoffmann skinął głową i wpisał się do księgi gości, tuż pod nazwiskiem Wilsona; strażnik tymczasem sprawdził jego dowód osobisty.

– Hoffmann. To niemieckie nazwisko?

– Z Königsbergu. Dziś Kaliningrad. Ale to było dawno temu. Moi rodzice stamtąd pochodzą.

– No to po jakiemu tam teraz rozmawiają? Po rosyjsku?

– Jeśli ktoś się urodził w Szwecji, rozmawia po szwedzku.

Hoffmann uśmiechnął się do strażnika, który przez chwilę przypominał mu ojca.

– I trochę po polsku.

Kamerę zobaczył już w chwili przybycia. Była zamontowana w górnej części dyżurki strażnika. Spojrzał w nią, kiedy obok niej przechodził. Zatrzymał się na kilka sekund i poczekał, aż jego obecność zostanie zarejestrowana na taśmie.

Żeby dotrzeć do trzeciego strażnika siedzącego między wejściem a korytarzem na trzecim piętrze, potrzebowali siedmiu minut. I nagle Hoffmann poczuł strach. Pojawił się zniecka. Zupełnie nie był na niego przygotowany. Stał w windzie i czuł, jak go przepełnia, wywołuje w nim drżenie. Nigdy przedtem nie odczuwał strachu. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Strach przeszedł w panikę, a ta w przerażenie. Jeśli się nie opanuje, czeka go śmierć.

Bał się mężczyzny leżącego na podłodze z trzema dziurami w głowie. Bał się przełomowej rozmowy, do której doszło w Warszawie. Bał się nocy w ciasnej celi i wyroku śmierci, jaki czeka na niego za murami więzienia. Bał się chłodnego głosu Zofii i rozpalonych gorączką ciał dzieci. Bał się, że niedługo przestanie dostrzegać różnicę między prawdą a kłamstwem.

Usiadł na dywaniku leżącym na podłodze windy, starając się unikać wzroku strażnika. Trwał w tej pozycji do chwili, gdy drżenie nóg zelżało, i dopiero wtedy odważył się ruszyć wolnym krokiem w stronę uchylonych drzwi na końcu korytarza.

Jeszcze ten jeden raz.

Dwa metry przed drzwiami zatrzymał się i w jednej chwili pozbył się wszystkich myśli i uczuć. Wycisnął je z głowy, podeptał i wbił się w pancerz, grubą i brzydką powłokę stanowiącą jego osłonę. Jest w tym

dobry, wie, co zrobić, żeby przestać czuć. Jeszcze ten raz, ten jeden pieprzony raz.

Zastukał we framugę drzwi i poczekał, aż ktoś wyszedł do niego. Był to ubrany po cywilnemu policjant. Hoffmann poznał go; spotkali się już dwa razy. To szef Wilsona, nazywa się Göransson.

– Czy masz coś, co powinieneś zostawić na zewnątrz tego pokoju?

Hoffmann wyjął z kieszeni marynarki i spodni dwa telefony komórkowe, sztylet, nożyczki i włożył to wszystko do wazy na owoce stojącej na stole naprzeciwko drzwi.

– Czy mógłbyś rozłożyć ramiona i rozstawić nogi?

Hoffmann skinął głową i ustawił się tyłem do jakiegoś wysokiego, szczupłego mężczyzny, który uśmiechał się przepraszająco.

Poczuł, jak długie i chude palce dotykają jego ubrania, szyi, pleców, piersi. Kiedy dotarły pośladków i dolnej części tułowia, dwa razy uderzyły w cienki mikrofon, nie wyczuwając jego obecności. Zsunęły się dwa centymetry niżej i gdy Hoffmann wstrzymał oddech, palce zatrzymały się, mniej więcej w połowie uda. Poczuł się tak, jakby miały tam zostać na stałe.

DUŻE OKNA Z POMALOWANYMI na biało futrynami, z widokiem na wodę, Norrström i Riddarfjärden. Czuł zapach kawy i jakichś środków chemicznych do czyszczenia wnętrza. Przy stole konferencyjnym stało sześć krzeseł. Hoffmann zjawił się jako ostatni, wolne były jeszcze tylko dwa miejsca, więc skierował się w stronę jednego z nich. Zebrani przyglądali mu się w milczeniu. Przeszedł za ich plecami i przy tej okazji dotknął spodni. Na szczęście mikrofon nadal tam był, ale niestety skierowany w niewłaściwym kierunku. Poprawił go, odsunął krzesło i usiadł.

Rozpoznał całą czwórkę, ale osobiście znał tylko Göranssona i Wilsona.

Najbliżej niego siedziała pani podsekretarz stanu. Wskazała na dokument leżący przed nią na stole, wstała z krzesła i wyciągnęła rękę.

– Przeczytałam raport w tej sprawie... ale sądziłam, że chodzi o... kobietę?

Miała silny uścisk ręki. Przypominała nim tych wszystkich, którym się wydaje, że silny uścisk to to samo co władza.

– Paula.

Hoffmann przytrzymał jej dłoń dłużej.

– Tak się nazywam. Gdy biorę udział w jakiejś operacji.

W pokoju nadal utrzymywało się dziwne milczenie. Czekaając, aż ktoś zabierze głos, Hoffmann spojrział na dokument, o którym mówiła podsekretarz.

Västmannagatan 79. Tajny raport.

Przed każdą z osób leżała kopia dokumentu. W ten sposób każda z nich stała się uczestnikiem wydarzeń.

– Ja i Paula po raz pierwszy spotykamy się w takich warunkach. – Wypowiadając te słowa, Wilson spojrział na każdą z obecnych osób. – Wśród innych ludzi, w niezabezpieczonym pokoju, w miejscu, którego nie mamy jak kontrolować.

Sięgnął po raport zawierający dokładny opis zbrodni, za którą współodpowiedzialna była jedna z osób zasiadających przy tym stole.

– To wyjątkowe spotkanie. I mam nadzieję, że rozejdziemy się po podjęciu wyjątkowej decyzji.

KIEDY DWIE MINUTY WCZEŚNIEJ Sven Sundkvist zastukał do drzwi i wszedł do pokoju, zastał Grensa na podłodze. Sundkvist nie odezwał się ani słowem, nie pytał go o nic, tylko usiadł na kanapie i jak zwykle postanowił poczekać.

– Tu mi jest lepiej – rzucił Grens.

– Tu?

– Na podłodze. Kanapa robi się za miękka.

Przespał na podłodze już drugą noc. Sztywna noga przestała go boleć i nawet samochody, które zwiększały prędkość, wjeżdżając stromo w Hantverkargatan, nie przeszkadzały mu tak bardzo jak przedtem.

– Chciałbym ci przekazać raport w sprawie Västmannagatan.

– Coś nowego?

– Nie za wiele.

Grens leżał na podłodze i spoglądał w sufit. Koło lampy zauważył duże pęknięcia. Ciekawe, nigdy wcześniej o nich nie myślał. Na przykład o tym, czy pojawiły się nowe. Albo czy muzyka komuś przeszkadzała.

Westchnął.

Dochodzenia w sprawie zabójstw prowadził przez całe swoje dorosłe życie. Ale w przypadku zabójstwa popełnionego w mieszkaniu na Västmannagatan coś mu się nie zgadzało. Dokonał identyfikacji ofiary, znalazł właściciela mieszkania, a nawet resztki amfy i żółć, którą wydalili z siebie kurier. Jego ludzie znaleźli plamy krwi i ustalili kąt, z jakiego padł



strzał. Mają świadka, który po szwedzku zaalarmował policję. Wiedzą też o polskiej firmie ochroniarskiej, która tak naprawdę działa w strukturach polskiej mafii.

Mimo to mają niewiele.

Od wczorajszej rozmowy na lotnisku Kastrup nie posunęli się ani o krok do przodu.

– W klatce schodowej znajduje się piętnaście mieszkań – zaczął Sundkvist. – Przesłuchałem wszystkie osoby, które w chwili, gdy popełniono zbrodnię, były w domu. Trzy z nich zauważyły coś, co może być dla nas interesującą wskazówką. Na pierwszym piętrze... Słuchasz mnie, Ewert?

– Mów dalej.

– Na pierwszym piętrze, w miejscu, które z naszej perspektywy jest najlepsze, bo wszyscy, którzy wchodzą do budynku albo z niego wychodzą, muszą tamtędy przejść, mieszka pewien Fin. Bardzo dobrze opisał nam dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widział. Ogolone głowy, ciemne ubrania, w średnim wieku. Widział ich przez judasza i zaledwie przez kilka sekund, ale w taki sposób można zobaczyć i usłyszeć więcej, niż mi się wydawało. Zeznał, że słyszał jakiś język słowiański, więc mogło tak być.

– Polski.

– Biorąc pod uwagę fakt, że właścicielem mieszkania jest Polak, taki wniosek narzuca się sam.

– Kurier, zwłoki, Polak, narkotyki, przemoc, Europa Wschodnia.

Sven Sundkvist spojrział na starszego mężczyznę leżącego na podłodze. Leży tak i ma w nosie, co sądzą o tym inni.

– Na piątym piętrze, dwa mieszkania dalej, mieszka pewna młoda kobieta. Natomiast na szóstym starszy mężczyzna. Oboje byli w domu w chwili zabójstwa i oboje zeznali, że wyraźnie usłyszeli strzał.

– Jeden?

– Żadne z nich nie wyraziło się jasno co do tego szczegółu. Nie znają się na broni i dlatego nie potrafią stwierdzić, czy padł tylko jeden strzał. Są jednak pewni, że dźwięk, który nazywają strzałem, był głośny i nie przypominał niczego, co można zazwyczaj usłyszeć w każdym budynku mieszkalnym.

– I to wszystko?

– Tak.

Telefon stojący na biurku rozdzwonił się w irytujący sposób i nie ustawał, chociaż Sundkvist nadal siedział obok na kanapie, a Grens leżał

na podłodze.

- Mam odebrać?
- Nie rozumiem, dlaczego ciągle dzwoni.
- Czy mam odebrać?
- Tak. Stoi na biurku.

Zmęczony Grens wstał i sięgnął po słuchawkę.

- Słucham.
- Coś taki zdyszany?
- Leżałem na podłodze.
- Zejdź do mnie.

Grens i Sundkvist nie odezwali się, tylko wyszli z pokoju i przeszli korytarzem do windy. Ich zdaniem jechała zbyt wolno. Krantz czekał już na nich przy drzwiach prowadzących do sekcji technicznej. Zaprowadził ich do ciasnego pokoju.

– Prosiłeś mnie, żebym rozejrzał się po okolicy. Zrobiłem to. Sprawdziłem wszystkie klatki schodowe między numerem siedemdziesiąt a dziewięćdziesiąt. W zsypie budynku przy Västmannagatan siedemdziesiąt trzy, w pojemniku na makulaturę, znaleźliśmy to.

Krantz pokazał mu plastikową reklamówkę. Grens pochylił się i założył okulary. Jakiś materiał, szaro-biała krata poplamiona krwią. Być może koszula albo marynarka.

- To ciekawe. Może to nasz punkt zwrotny w śledztwie.

Krantz wyjął materiał z reklamówki i położył go na czymś, co przypominało tacę do serwowania dań. Wskazał palcem na wyraźne plamy.

– Resztki krwi i prochu strzelniczego, co prowadzi nas do mieszkania przy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć, bo to krew ofiary, natomiast proch pochodzi z pistoletu, który wcześniej zabezpieczyliśmy w dłoni zabitego.

- To nam nic nie daje. Dalej wiemy tyle co przedtem.

Krantz znowu wskazał na szaro-białą kratę materiału.

– To jest koszula. Są na niej plamy krwi ofiary. Ale to nie wszystko. Udało nam się zidentyfikować jeszcze jedną grupę krwi. Jestem pewien, że należy do tego, który strzelał. To koszula zabójcy.

HOFFMANN CZUŁ SIĘ JAK W SALI SĄDOWEJ. W pokoju pachniało władzą, na stole leżały dokumenty z dokładnym opisem przebiegu zdarzeń. Göransson w roli prokuratora, który sprawdza i kwestionuje;

podsekretarz stanu w roli sędziego, który słucha i podejmuje decyzje; Wilson po jego prawej ręce jako adwokat, który mówi o obronie koniecznej i szuka okoliczności łagodzących. W pewnej chwili Hoffmann chciał wstać i wyjść, ale musiał zachować spokój. W końcu to on występuje tu w roli oskarżonego.

– Nie miałem innego wyjścia. Chodziło o moje życie.

– Zawsze ma pan wybór.

– Próbowałem ich uspokoić, ale mogłem to robić tylko do pewnego momentu. Muszę grać rolę przestępcy przez cały czas. Jeśli przestanę, zginę.

– Nie rozumiem.

Okropne uczucie. Od premiera, który rządzi całą Szwecją, dzieli go zaledwie jedno piętro. Na zewnątrz, na chodniku, w świetle rzeczywistym, chodzą ludzie. Wracają właśnie z lunchu, do którego zamówili jeszcze piwo albo kawę za pięć koron. Tymczasem on jest tutaj, w siedzibie rządu, i próbuje wyjaśnić, dlaczego władze powinny odstąpić od śledztwa w sprawie zabójstwa.

– W Szwecji jestem człowiekiem numer jeden. Ci, którzy przebywali wtedy w mieszkaniu, zostali wyszkoleni przez polskie służby wywiadowcze i wiedzą, jak sprawdzić kogoś, kto „śmierdzi”.

– Rozmawiamy o zabójstwie. A pan, panie Hoffmann... albo może Paula... mógł do niego nie dopuścić.

– Kiedy pistolet został skierowany w głowę kupca po raz pierwszy, udało mi się przeszkodzić w egzekucji. Ale następnym razem, kiedy ten człowiek sam się zdradził, że jest ich wrogiem, wtyczką... został zabity. Nie miałem wtedy już wyboru.

– A ponieważ pan nie miał wyboru, to my też go nie mamy i powinniśmy zachować się tak, jakby nic się nie wydarzyło?

Cała czwórka spojrzała na niego. Wilson, Göransson i podsekretarz stanu. Ten czwarty na razie nie zabrał głosu. Hoffmann nie rozumiał dlaczego.

– Tak. Jeżeli chcecie, żebyśmy zlikwidowali nowe odgałęzienie mafijne, zanim mafia zdąży się umocnić. Jeśli tego chcecie, to wy też nie macie wyboru.

Ta sala przypomina inne sale przesłuchań. Jest w niej chłodno, a ci, którzy tu siedzą, są tak nierzeczywiści. Już pięć razy znajdował się w takiej sali jako oskarżony naprzeciwko ludzi, których nie szanował, a przecież to oni mieli rozstrzygnąć, czy wolno mu będzie żyć pośród innych, czy też spędzi resztę życia na powierzchni kilku metrów

kwadratowych ograniczonych metalowymi drzwiami. Dwa wyroki z zawieszeniem i dwa umorzenia z braku dowodów, jeden wyrok bez zawiasów zakończony jednorocznym pobytem w ciężkim zakładzie w Österåker.

Wtedy jego wystąpienie we własnej obronie było nieudane. Drugi raz już tego nie spieprzy.

KRANTZ POCHYLIŁ SIĘ W STRONĘ ekranu monitora i pokazał na obrazie małe czerwone elementy wykresu skierowane w górę nad różnymi cyframi.

– Ten górny poziom, popatrz tutaj, dostarczyła nam policja w Kopenhadze. Jest to profil DNA obywatela Danii, który nazywa się Jens Christian Toft. Ten, którego zabito na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Dolny rządok pochodzi z analizy przeprowadzonej przez Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne w Linköping. To analiza wszystkich kropelek krwi o powierzchni przynajmniej dwóch milimetrów na dwa znajdujących się na leżącej tu koszuli, którą znaleźliśmy w śmietniku przy tej samej ulicy, tyle że kilka numerów bliżej. Widzicie? Są identyczne. Każdy oddzielny marker STR... to te czerwone krzywe... ma dokładnie taką samą długość.

Grens przysłuchiwał się słowom Krantza, ale nadal widział tylko jakiś bezkształtny wzór.

– On mnie nie interesuje. Szukam zabójcy.

Krantz zastanawiał się przez chwilę, czy lepiej posłużyć się sarkazmem, czy też po prostu odpowiedzieć poirytowanym tonem. Ostatecznie postanowił zignorować wypowiedź Grensa.

– Poprosiłem naszych laborantów, żeby poddali analizie także mniejsze części krwi. Dla sądu to zbyt mała próbka, ale wystarczyła nam, żeby dostrzec istotne różnice.

Krantz wyświetlił następny obraz. Na ekranie pojawił się kolejny wzór, czerwone krzywe, ale w większej odległości i z innymi wartościami cyfrowymi.

– Części krwi pochodzą od innej osoby.

– Od kogo?

– Nie wiem.

– Przecież masz profil próbki.

– Ale nie mam próbki porównawczej.

– Nie mieszaj mi w głowie, tylko mów wyraźniej.

– Wrzuciłem to do komputera i porównałem ze wszystkim, co się w nim znajduje. Jestem pewien, że to krew zabójcy. Ale wiem też, że ma DNA, które nie istnieje w żadnej szwedzkiej bazie.

Krantz spojrział na Grensa.

– Zabójca nie jest prawdopodobnie Szwedem. Sposób, w jaki zabito ofiarę, broń z Radomia, brak danych DNA w bazie. Musisz zacząć szukać gdzieś indziej. W innym kraju.

ZANOSIŁO SIĘ NA ŁADNY WIECZÓR. Słońce wyglądało jak dojrzała pomarańcza i zachodziło w miejscu, gdzie niebo stapiało się z zatoką Riddarfjärden. Z pokoju podsekretarz stanu widać było właściwie tylko to. Hoffmann spoglądał na słoneczne promienie ślizgające się po stole konferencyjnym i zaczął tęsknić za domem, za Zofią, za jej miękkim ciałem, za śmiechem Emila, za oczami Rasmusa, gdy mówił do niego „tato”.

Tymczasem jego tam nie ma. Jest daleko od wszystkiego co jest prawdziwe, w pokoju, gdzie siedzą przedstawiciele władzy, którzy mają zdecydować o jego losie.

Wilson, pełniący na tym spotkaniu funkcję jego adwokata, odchrząknął.

– Zanim będziemy kontynuować to spotkanie, chciałbym uzyskać gwarancję, że Paula nie zostanie oskarżony o nic, co ma jakikolwiek związek z tym, co wydarzyło się w mieszkaniu przy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć.

Podsekretarz stanu była jedyną osobą w pokoju, której twarz nie wyrażała absolutnie nic.

– Domyślałam się, że tego będzie się pan domagał.

– Wcześniej rozpatrywała już pani podobne sprawy.

– Tak, ale jeśli mam komuś zagwarantować nietykalność przed sądem, muszę wiedzieć dlaczego.

Hoffmann sprawdził, czy mikrofon nadal znajduje się na jego udzie.

Jest, ale jeszcze trochę i się obluzuje. Poczuję, że taśma zaczyna puszczać. Jeśli jeszcze raz wstanie, mikrofon się obsunie.

– Chętnie wyjaśnię dlaczego.

Wilson sięgnął po raport.

– Dziewięć miesięcy temu mieliśmy szansę na rozbięcie mafii meksykańskiej w fazie jej tworzenia. Pięć miesięcy temu mogliśmy rozbić mafię egipską w fazie jej tworzenia. Byłoby to możliwe, gdybyśmy dostali

odpowiednie pełnomocnictwa. Niestety, nikt nam ich nie przyznał. Staliśmy więc i patrzyliśmy, jak kolejne dwie mafie zaczynają zżerać nas od środka. Teraz mamy kolejną okazję. Chodzi o mafie polską.

Hoffmann starał się siedzieć spokojnie. Wsunął pod stół rękę, żeby złapać kabel mikrofonu i kawałki taśmy, które się ze sobą skleiły.

– Paula nadal będzie naszą wtyczką w tym środowisku. Będzie tam, gdzie trzeba, w odpowiednim czasie, gdy firma Securitus International zacznie przejmować rynek narkotykowy w naszych więzieniach. To ona będzie informowała Warszawę o dostawach i sprzedaży. Potem poinformuje nas, kiedy i gdzie mamy uderzyć, żeby ich zniszczyć.

Hoffmann wreszcie znalazł kabel. Mikroskopijnej wielkości mikrofon pod materiałem spodni. Poprawił go i próbował podciągnąć bardziej w górę, w stronę krocza. Stamtąd łatwiej będzie można go skierować w stronę mówiących osób.

Nagle przerwał.

Ujrzał na sobie czujne spojrzenie Göranssona, który nie spuszczał z niego wzroku.

– W grę wchodzi najcięższe więzienia w Szwecji. Firma Securitus International zamierza skupić się na dwóch kategoriach więźniów. Po pierwsze, na tak zwanych milionerach. Są to więźniowie, którzy zdobyli duże sumy podczas napadów, włamań i rabunków, dostali wysokie wyroki i teraz ich kapitały będą stopniowo płynąć na konto firmy w Warszawie. Druga kategoria to „frajerzy”. Ci w ogóle nie mają pieniędzy, więc będą wychodzić na wolność z dużym zadłużeniem. Żeby przeżyć na wolności, będą musieli zająć się handlem dużymi partiami narkotyków albo spłacać dług, popełniając ciężkie przestępstwa. Wszystkie te osoby z długami posłużą firmie Securitus International do stworzenia groźnej siatki przestępczej.

Hoffmann puścił mikrofon i umieścił obie ręce na stole, tak żeby je było widać.

Göransson nadal mu się przyglądał. Hoffmann przełknął ślinę i z trudem oddychał. Sekundy trwały równie długo jak godziny. W końcu Göransson odwrócił wzrok w drugą stronę.

– Nie umiem opisać tego dokładniej. To pani podejmie decyzję. A właściwie państwo, którzy tu są. Zrobmy wszystko, żeby Paula mógł kontynuować swoje zadanie. Bo jak nie, to znowu będziemy stać z boku i przypatrywać się.

Podsekretarz obrzuciła każdą z osób spojrzeniem, potem wyjrzała przez okno na piękne słońce. Ona też chciała już stąd wyjść.

– Czy mógłby pan zostawić nas na chwilę samych?

Hoffmann wzruszył ramionami, wstał i ruszył do drzwi, ale od razu się zatrzymał. Mikrofon. Obluzował się i powoli zsunął się między prawą nogę a materiał spodni.

– Tylko na minutę. Potem proszę do nas wrócić.

Hoffmann się nie odezwał. Idąc w stronę drzwi, pokazał im środkowy palec. Usłyszał za sobą westchnienia. Zobaczyli jego gest, patrzyli na niego poirytowani. Właśnie o to mu chodziło. Chciał uniknąć pytań w sprawie niewielkiego przedmiotu, który zsunął mu się na stopę, gdy zamykał drzwi.

Twarz podsekretarz stanu nadal nie wyrażała absolutnie nic.

– Mówił pan o dziewięciu miesiącach. I o pięciu miesiącach. O mafii egipskiej i meksykańskiej. Wtedy się nie zgodziłam, ponieważ wasi informatorzy byli przestępcami z bogatą kartoteką i uważałam ich za źródła wysokiego ryzyka.

– Paula nie jest źródłem wysokiego ryzyka. Dla firmy Securitus International jest warunkiem ich sukcesu na szwedzkim rynku. Cała organizacja została zbudowana wokół niego.

– Nie przyznam immunitetu żadnemu współpracownikowi, któremu wy albo ja nie będziemy ufać.

– Ja mu ufam.

– To niech mi pan wyjaśni, dlaczego pan Göransson dokonał przed chwilą przeszukania na korytarzu?

Wilson spojrzał na Göranssona, a potem na twarz kobiety, która nadal pozostała bez wyrazu.

– To ja jestem oficerem prowadzącym Pauli i to ja współpracuję z naszym informatorem każdego dnia. Ufam mu. A firma Securitus International już tu jest! Nigdy wcześniej nie udało nam się wkręcić informatora w sam środek organizacji mafijnej, która zaczyna się rozkręcać. Mając Paulę, możemy im zadać śmiertelny cios za jednym razem. Pod warunkiem, że nie zostanie oskarżony o nic, co zdarzyło się przy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. I pod warunkiem, że otrzyma swobodę działania w więzieniu.

Podsekretarz podeszła do okna. Popatrzyła na złote słońce i na miasto, gdzie ludzie żyli jak co dzień, nie mając pojęcia, że w tym pokoju zapadają jakieś ważne decyzje. W końcu spojrzała na mężczyznę, który do tej pory nie zabierał głosu.

– Co o tym sądzisz?

Wcześniej zapraszała na rozmowy tylko Wilsona i Göranssona. Jednak w takich przypadkach jak ten zwracała się także z prośbą do najwyższych władz policji, aby ktoś pofatygował się na spotkanie i posłuchał, o czym mowa.

– Przystępcza elita, milionerzy, najniebezpieczniejsi przestępcy... to oni będą finansować działalność mafii. Przystępcza masa, zadłużeni i drobne złodziejaski będą niewolnikami mafii.

Komendant główny policji mówił przez nos, ostrym głosem.

– Wolałbym, żeby do tego nie doszło. I ty też tego nie chcesz. Dajmy sobie spokój z Paulą i zabójstwem na Västmannagatan.

HOFFMANN MIAŁ DWIE MINUTY. Zerknął na kamerę przesyłającą obraz z okolic obu wind i ustawił się pod nią, aby być pewnym, że znajduje się w martwym punkcie. Upewniwszy się, że jest sam, rozpiął pasek od spodni, rozporek i szybko chwycił kabel mikrofonu. Potem przesunął go przez krocze w miejsce znajdujące się w dolnej części tułowia.

Taśmy klejącej nie mógł już użyć. To przez Göranssona, który go przeszukiwał.

Miał jeszcze minutę.

Rozluźnił kawałek wewnętrznego szwu, niezgrabnymi palcami przymocował kabel do materiału spodni, skierował mikrofon w stronę rozporka, a potem obciągnął sweter tak nisko, jak tylko się dało. Nie było to najlepsze rozwiązanie, ale na inne nie miał czasu.

– Może pan do nas wrócić.

Podsekretarz stanu stała w drzwiach i machała do niego ręką. Hoffmann szedł do niej drobnymi krokami, ale starał się zachować naturalną postawę.

Chyba podjęli decyzję. Przynajmniej na to wygląda.

– Jeszcze jedno pytanie. – Podsekretarz spojrzała najpierw na Göranssona, potem na Wilsona. – Już dobę trwa dochodzenie w tej sprawie. Domyślam się, że prowadzi ją komenda miejska w Sztokholmie. Jak zamierzacie to załatwić?

Wilson spodziewał się tego pytania.

– Czytała pani mój raport, który przygotowałem dla komendy wojewódzkiej policji.

Wskazał na kopie dokumentów leżących na stole przed każdym z uczestników spotkania.



– Jest to raport w sprawie śledztwa prowadzonego przez Grensa, Sundkvista, Hermansson i Krantza. To oni go sporządzili. Piszą w nim o tym, co wiedzą i co widzieli. Proszę go porównać z treścią mojego raportu z opisem rzeczywistego przebiegu wydarzeń. Napisałem tam też o prawdziwych powodach obecności Pauli w mieszkaniu.

Podsekretarz stanu przerzuciła kilka kartek.

– To konkretny raport. Zawiera tyle informacji, ile wiedzą nasi koledzy.

Podsekretarz nie lubiła czegoś takiego. Kiedy czytała dokument, twarz zabitego ożyła po raz pierwszy. Jego usta i oczy. Wiedziała, że będzie musiała podjąć decyzję, choć wcześniej nawet tego nie rozważała.

– A teraz? Co się wydarzyło od czasu, gdy raport powstał?

Wilson się uśmiechnął. Był to pierwszy uśmiech w pokoju, który dusił się od powagi.

– Teraz? Z tego, co wiem, na śmietniku niedaleko miejsca zbrodni znaleźli koszulę w plastikowej reklamówce.

Spojrzał na Hoffmanna z uśmiechem na twarzy.

– Na koszuli są plamy krwi i resztki prochu strzeleckiego. Ale w szwedzkich bazach nie znaleziono nic ciekawego. Całkiem możliwe, że to mylący trop, który do niczego nie doprowadzi, ale sekcji dochodzeniowej zabierze dużo czasu i sił.

KOSZULA W SZARO-BIAŁĄ KRATĘ. Plamy, którymi była popstrzona, stały się po jednej dobie bardziej brązowe niż czerwone. Grens oglądał ją, trzymając przez rękawiczkę.

– Koszula zabójcy. Krew zabójcy. I dalej nic.

Krantz siedział przed ekranem monitora i oglądał czerwone wykresy umieszczone na różnych wartościach liczbowych.

– Brak tożsamości.

– Nie rozumiem.

Ciasny pokój był zakurzony i ciemny jak większość pomieszczeń w dziale technicznym. Sundkvist spojrzał na Krantza i Grensa. Obaj w tym samym wieku, rzadkie włosy, niezbyt uprzejmi, przemęczeni, ale za to fachowcy. Co najważniejsze: żyli dla swej pracy od tak dawna, aż w końcu sami się tą pracą stali.

Młodzi, którzy dopiero zaczynają, raczej już tacy nie będą. Krantz i Grens należą do gatunku, który nie ma na ziemi określonego miejsca.

– Jeśli chodzi o mniejsze plamy krwi, te, które należą do zabójcy, to nie mamy ich w naszej bazie. Z drugiej strony ktoś bez nazwiska zawsze gdzieś mieszka i ma jakąś cechę, od której można zacząć poszukiwania. Zazwyczaj szukam w próbkach stałych, organicznych trucizn środowiskowych, które gromadzą się w organizmie. Trudno się ich pozbyć, mają dużą żywotność, dopiero po długim czasie rozpuszczają się w organizmie. Czasem zdarza się, że posuwają śledztwo do przodu, wskazując na określone środowisko geograficzne.

Krantz nawet się poruszał tak jak Grens. Sundkvist nigdy się nad tym nie zastanawiał. Rozejrzał się po pokoju, szukając jakiejś kanapy, bo nagle wpadło mu do głowy, że być może Krantz też zostaje tu po pracy, żeby przenocować, gdy gasną światła i w budynku już nikogo nie ma.

– Nie tym razem. Nie znaleźliśmy we krwi nic takiego, co mogłoby powiązać zabójcę z określonym miejscem, krajem albo nawet kontynentem.

– Do diabła, Nils, przecież przed chwilą mówiłeś...

– Ale jest tego więcej. Na materiale.

Ostrożnie rozłożył koszulę na blacie stołu.

– W kilku miejscach. Przede wszystkim tutaj, na samym końcu prawego rękawa. Cząsteczki kwiatów.

Grens pochylił się, żeby zobaczyć coś, czego nie było widać.

– Kwiaty. Polski żółty narkotyk.

Zapach tulipanów odnotowywali coraz częściej.

– Jesteś pewien?

– Tak. Składniki, zapach, a nawet kolor żółty, jak szafran, siarczan, który traci barwę w naczyniu do płukania.

– Polska. Znowu.

– Wiem nawet dokładnie, skąd to pochodzi.

Krantz złożył koszulę równie ostrożnie jak przed chwilą, gdy ją rozkładał.

– Amfetaminę o tym składzie badałem przy okazji dwóch innych dochodzeń, niecały miesiąc temu. Wiemy już, że wyprodukowano ją w fabryczce pod Siedlcami, jakieś sto kilometrów na wschód od Warszawy.

SILNY BLASK SŁOŃCA SPRAWIŁ, że zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Marynarki kleiły się do szyi, buty zrobiły się nagle za ciasne.

Przed kwadranssem podsekretarz stanu opuściła pokój, żeby udać się na krótkie spotkanie w innym pokoju, gdzie miała zapaść ostateczna decyzja. Hoffmann czuł, że ma sucho w ustach. Przełknął resztkę śliny, choć czuł się tak, jakby przełykał niepokój i strach.

Dziwne to wszystko.

Drobny handlarz, który przed dziesięciu laty odsiedział wyrok w celi zakładu karnego Österåker. Ojciec dwóch chłopców, mąż Zofii, który nauczył się kochać ich bardziej niż cokolwiek.

Ma trzydzieści pięć lat i siedzi na brzegu stołu w budynku, który jest symbolem władzy. W ręce trzyma telefon podsekretarz stanu. Mówi z niepokojem.

– Cześć.

– Kiedy wrócisz?

– Późnym wieczorem. Jestem na spotkaniu, które się przedłuża. Niestety, nie mogę wyjść wcześniej. A co u chłopców?

– Obchodzi cię to?

Nie lubił, gdy mówiła do niego takim głosem. Zimnym, głuchym.

– Tak. Czy Emil i Rasmus dobrze się czują?

Zofia nie odpowiedziała. Stała przy aparacie, a on domyślał się, jak teraz wygląda jej twarz, czuł każdy jej gest. Widział, jak pociera czoło i porusza palcami stóp. Zaraz zdecyduje, czy będzie chciała kontynuować tę rozmowę, czy raczej wpadnie w złość i odłoży słuchawkę.

– Gorączka trochę zelżała. Trzydzieści osiem i pięć, tyle było godzinę temu.

– Kocham cię.

Rozłączył się, spojrział na osoby siedzące przy stole i zerknął na zegarek. Minęło dziewiętnaście minut. Usta nadal miał suche. Przeciągnął się i ruszył w stronę krzesła, gdy otworzyły się drzwi.

Wróciła podsekretarz stanu. Pół kroku za nią szedł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna.

– Pan Pål Larsen, dyrektor generalny.

A więc podjęła decyzję.

– Pan Larsen będzie nas wspierał. W przyszłości.

Hoffmann słyszał, co powiedziała, i powinien w tej chwili roześmiać się albo zaklaskać w dłonie. Będzie nas wspierał. W przyszłości. Oznacza to, że podjęła decyzję, która pod względem prawnym oznacza, iż oskarżenie o współudział w zabójstwie nie zostanie wniesione. Podjęła ryzyko. Oceniała, że gra warta jest świeczki. Hoffmann wiedział, że przynajmniej w dwóch przypadkach podsekretarz występowała

o ułaskawienie informatorów skazanych na karę więzienia. Był też pewien, że nigdy wcześniej, wiedząc, że jakaś sprawa jest w toku, nie podejmowała takiej decyzji jak dzisiaj. Tego rodzaju rozwiązania pozostawały zawsze w gestii policji.

– Chcę wiedzieć, o co tu chodzi. – Dyrektor więziennictwa dał wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza usiąść.

– Chcemy, żeby nam pan pomógł przy osadzaniu więźnia.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Erik Wilson. Komenda miejska policji w Sztokholmie.

– I uważa pan, że wam w tym pomogę?

– Pål? – Podsekretarz stanu uśmiechnęła się do dyrektora. – Mnie. To mnie masz pomóc.

Mężczyzna w przyciasnych spodniach od garnituru nie odezwał się, ale jego postawa wyrażała frustrację.

– Twoje zadanie polega na umieszczeniu Pauli, to ten pan siedzący obok mnie, w więzieniu w Aspsås. Będzie tam odsiadywał wyrok za posiadanie trzech kilogramów amfetaminy.

– Aż trzech? To będzie wysoka kara. W takim razie musi być najpierw osadzony w więzieniu w Kumli, na oddziale przyjęć.

– Nie tym razem.

– Oczywiście, że tak, on...

– Pål? – Podsekretarz stanu mówiła łagodnym głosem, ale używała twardych sformułowań. – Załatwisz to.

Wilson uznał, że najlepiej poczekać, aż ich rozmowa dobiegnie końca.

– Kiedy Paula zjawi się w Aspsås, ma dostać konkretny przydział pracy. Już pierwszego popołudnia ma zacząć sprzątać w budynku administracji i w warsztatach.

– Sprzątanie uważane jest w więzieniu za rodzaj nagrody.

– No to przyznaj mu taką nagrodę.

– Kim, u diabła, jest Paula? Czy ma jakieś nazwisko? Masz jakieś nazwisko? Chyba umiesz mówić?

Dyrektor był przyzwyczajony do wydawania rozkazów i do posłuszeństwa, a nie do tego, żeby to jemu ktoś wydawał rozkazy i żeby to on musiał okazywać posłuszeństwo innym.

– Dostanie pan moje dane osobowe później. Umieści mnie pan we właściwym zakładzie, da mi pan pracę i dopilnuje, żeby wieczorem, już po zamknięciu cel, dokładnie dwa dni po moim przybyciu, przeprowadzono niezapowiedzianą kontrolę każdej celi w całym więzieniu.

– Co, u diabła...

– Z udziałem psa. To ważne.

– Psa? A jak już znajdziemy to, co ukryłeś? Co ze współwięźniem z celi, któremu dasz prochy? Nie ma szans. Nie kupuję tego. Jest to niebezpieczne dla personelu więziennego. Istnieje też ryzyko, że w przyszłości ktoś może zostać oskarżony o przestępstwo, którego nie popełnił. Nie zgadzam się na nic.

Podsekretarz podeszła do Larsena i położyła mu dłoń na ramieniu. Spojrzała na niego i odezwała się łagodnym głosem:

– Pål, masz to załatwić. To ja posadziłam cię na tym stanowisku. Oznacza to, że ty decydujesz w sprawach więziennictwa. Podejmiesz takie decyzje, jakie ja i ty podejmiemy wspólnie. Jak będziesz wychodził, zamknij za sobą drzwi.

Kiedy Larsen opuszczał salę, zrobił się lekki przeciąg. Być może dlatego trzaśnięcie drzwiami było takie głośne.

– Paula ma działać w środowisku więziennym, musimy więc zrobić z Hoffmanna groźnego przestępcę. – Erik Wilson odczekał, aż wybrzmi dźwięk zamykanych drzwi. – Zrobimy tak, jakby popełnił przestępstwa cięższego kalibru. Zostanie skazany na dłuższą odsiadkę. To mu zapewni szacunek wśród osadzonych i dzięki temu będzie mógł swobodnie działać. A kiedy więźniowie dowiedzą się, jaką ma kartotekę, a jestem pewien, że dowiedzą się o tym już pierwszego dnia, zrobi to na nich takie wrażenie, jakiego się spodziewamy.

– W jaki sposób stworzycie mu taką kartotekę? – spytała podsekretarz, marszcząc brwi.

– Posługuję się w takich przypadkach jednym z moich tajnych informatorów. Akurat ten pracuje w Urzędzie Sądownictwa, jest urzędnikiem, który zapisuje dane pochodzące z rejestru przestępstw. Pracuje na oryginalnych dokumentach. Jak do tej pory w żadnym z zakładów jego informacje nie były kwestionowane.

Wilson spodziewał się więcej pytań. Jak często dokonywał zmian w rejestrze Urzędu i ile osób ma na swoim koncie wymyślone przestępstwa.

Jednak żadne pytanie nie padło.

Wszyscy, którzy siedzieli przy stole, byli już przyzwyczajeni do szybkich rozwiązań, gdy niepotrzebne są nazwiska kluczowych osób, które zmieniały przeszłość albo decydowały o okresie oczekiwania na proces.

– Za trzydzieści osiem godzin poszukiwana osoba zostanie zatrzymana i przesłuchana.

Wilson spojrział na Hoffmanna.

– Przyzna się do popełnienia przestępstwa, zezna, że z nikim innym nie współpracował, a dwa tygodnie później pogodzi się z wyrokiem sądu rejonowego, który skaze go na długą karę więzienia, i zostanie przewieziony do Aspsås, jednego z trzech zakładów karnych klasy A.

Światło i duchota w pokoju zaczęły go już irytować.

Wszyscy wstali z krzeseł. Sprawa została omówiona i załatwiona.

Hoffmann miał ochotę trzasnąć drzwiami, pojechać do domu i wziąć Zofię w ramiona. Ale nie teraz. Chciał jeszcze, żeby to, na czym mu zależy, zostało dokładnie sformułowane, żeby później nie było żadnych nieporozumień.

Zawsze sam.

– Zanim opuścimy ten pokój, chciałbym prosić o podsumowanie tego wszystkiego, co mi państwo gwarantują.

Hoffmann spodziewał się odmowy, ale podsekretarz zrozumiała, co miał na myśli.

– Zajmę się tym.

Hoffmann podszedł bliżej i poczuł, jak luźny kabel od mikrofonu uderza o materiał spodni. Pochylił się na prawą nogę, bo przecież mikrofon miał być skierowany w jej stronę. Zależało mu, żeby wszystko się nagrało.

– Jak?

– Gwarantuję, że nie zostanie pan oskarżony o nic, co wydarzyło się przy ulicy Västamannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Gwarantuję, że będziemy pana jak najlepiej wspierać podczas wykonywania zadania za murami. I że po zakończeniu zadania zajmiemy się panem. Wiem, że po tym wszystkim będzie nad panem wisiał wyrok śmierci, że będzie pan już spalony w całym świecie przestępczym. Damy panu nowe życie, nową tożsamość i pieniądze na rozpoczęcie wszystkiego od nowa za granicą.

Podsekretarz uśmiechnęła się do niego łagodnie, a przynajmniej tak to wyglądało, gdy silne światło oświetlało jej twarz.

– Gwarantuję to panu jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Firma Securitus International albo Kancelaria Rządu. Bez różnicy. Ten sam dobór słów i takie same obietnice.

Całkiem dobrze. Ale niewystarczająco.

Ufaj tylko sobie.

- Chcę wiedzieć jak.
- Zrobiliśmy coś takiego już trzy razy.

Krótkie spojrzenie w stronę komendanta głównego policji. Ten skinął głową.

– Otrzyma pan oficjalne ułaskawienie. Wybierzemy tak zwane uzasadnienie ze względów humanitarnych. Nie będziemy musieli tego wyjaśniać w sposób szczegółowy. Względy medyczne albo humanitarne wystarczą Ministerstwu Sprawiedliwości na podjęcie tajnej decyzji.

Hoffmann przez kilka sekund stał w miejscu. Był zadowolony. Patrzył jej z bliska w oczy. Wyjaśniła mu to, co chciał usłyszeć, i zrobiła to na tyle wyraźnie, że będzie mógł to odsłuchać.

SZLI OBOK SIEBIE PODZIEMNYM tunelem łączącym Kancelarię Rządu z parlamentem. Tunel kończył się przy windzie, koło wyjścia na Stare Miasto i plac Mynttorget 2. Musieli się spieszyć, czasu zostało im niewiele. Wyglądało jednak na to, że obaj starali się najpierw zrozumieć, do czego to wszystko zmierza.

– Właśnie zostałeś przestępcą – powiedział Wilson.

Zatrzymał się.

– Od tej pory będziesz niebezpieczny dla obu stron. Dla firmy Securitus International, która każe cię zlikwidować, kiedy wyjdzie na jaw, że jesteś wtyką, ale i dla tych, których dzisiaj spotkałeś w tamtym pokoju. Posiadasz wiedzę, do której żadna z tamtych osób się nie przyzna. Poświęcą cię w chwili, gdy uznają cię za zagrożenie, spalą cię jako informatora, podobnie jak wcześniej władze wsypały innych informatorów, gdy chodziło o ochronę własnego stanowiska. Dla firmy Securitus International jesteś najważniejszym człowiekiem. Dla nas też. Jeśli jednak coś się stanie, zostaniesz sam.

Hoffmann poczuł, jak ogarnia go strach. Za chwilę się go pozbędzie, jak zawsze, ale teraz potrzebuje trochę czasu. Chce postać przez chwilę w ciemnościach pod ulicami Sztokholmu. Jeśli to zrobi, nie będą musieli jeszcze wchodzić do windy ani do samochodu zaparkowanego na dziedzińcu. No i nie będzie musiał się znowu bać.

– Piet?

– Tak?

– Musisz zawsze mieć sytuację pod kontrolą. Jeśli coś pójdzie nie tak... władze zostawią cię na pastwę losu.

RUSZYŁ PRZED SIEBIE. Zostało mu dokładnie trzydzieści osiem godzin.



# CZĘŚĆ DRUGA

CZARNY MIKROBUS zatrzymał się w betonowym narożniku podziemnego garażu. Trzeci poziom, sektor A.

– Trzydzieści osiem godzin.

– Na razie.

– Nie zapominaj, że jesteś wyjęty spod prawa.

Hoffmann położył rękę na ramieniu Wilsona i wyszedł z samochodu. Zaciągnął się powietrzem pachnącym spalinami. Ruszył wąskimi schodami prowadzącymi do Regeringsgatan.

Tulipany. Kościół. SwissMiniGun. Dziesięć kilogramów. Biblioteka. Sekundnik. Listy. Nadajnik. Nitrogliceryna. Skrytka bankowa. CD. Poezje. Grób.

Trzydzieści siedem godzin i czterdzieści pięć minut.

Szedł asfaltem i mijał ludzi, którzy patrzyli na niego obojętnie. Obcy, bez uśmiechu na twarzy. Tęsknił za domem przy cichej ulicy kilka kilometrów na południe od miasta, do jedyne go miejsca, gdzie nie czuł się ścigany, gdzie nikt od niego nie wymagał, żeby przeżył. Właściwie powinien znowu do niej zadzwonić. Tulipany, nitrogliceryna i sekundnik... Wiedział, że jest do tego zdolny i że zdąży. Ale co z Zofią? Nadal zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem. Gdyby chodziło o niebezpieczeństwo i ryzyko, wystarczy mieć sytuację pod kontrolą. Zofii nigdy nie miał pod kontrolą, brakowało mu umiejętności kierowania jej reakcjami i uczuciami. Bez względu na to, jak się starał, nie zdołał zbliżyć się do niej na swój własny sposób.

Tak bardzo ją kocha.

Szedł przez centrum i zachowywał się jak wszyscy inni przechodnie. Pokonywał drogę szybkim krokiem i nie uśmiechał się. Mijał kolejne ulice – Mäster Samuelsgatan, Klara Norra Kyrkogata, Olof Palmes Gata do skrzyżowania z Vasagatan. Kierował się do kwaciarni o nazwie Rose Garden, której okna wychodziły na plac Norra Bantorget. Przed nim stało dwóch klientów. Hoffmann odprężył się trochę, zapuścił się między czerwone, żółte i niebieskie kwiaty. Wszystkie miały swoje nazwy zapisane na czworokątnych tabliczkach. Czytał je i od razu zapominał, jak się nazywają.

– Tulipany?

Młoda kobieta też miała imię wypisane na czworokątnym identyfikatorze. Kilka razy je czytał, ale zapomniał.

– Może tym razem powinienem kupić jakieś inne?

– Tulipany zawsze pasują. Z pąkami? Z chłodni?

– Jak zwykle.

Była to jedna z nielicznych kwiaciarni w Sztokholmie, gdzie w maju można było kupić tulipany. Może tylko dlatego, że od pewnego czasu zjawiał się tam klient w wieku około trzydziestu pięciu lat, który regularnie kupował duże bukiety, pod warunkiem że przechowywano je w temperaturze nie wyższej niż pięć stopni powyżej zera i że ich pąki jeszcze nie rozkwitły.

– Trzy bukiety? Jeden z czerwonych, dwa z żółtych kwiatów?

– Tak.

– Po dwadzieścia pięć sztuk w każdym? I białe bileciki?

– Tak, poproszę.

Cienki, szeleszczący papier do każdego bukietu. Do tego dwa bileciki o treści: „W podziękowaniu za dobrą współpracę. Zrzeszenie Przedsiębiorców w Aspsås” przyklejone do żółtych bukietów i jeden bilecik o treści: „Kocham Cię” przyklejony do czerwonego bukietu.

Zapłacił i przeszedł dwieście metrów Vasagatan aż do wejścia do firmy Hoffmann Security AB na drugim piętrze. Otworzył drzwi, odłączył alarm i poszedł do kuchni, gdzie poprzedniego dnia czternastu kurierów zwróciło do zlewu opakowania zawierające od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy gramów proszku.

W jednej z szafek kuchennych powinien znajdować się wazon; znalazł go na samej górze, na pochłaniaczu. Napełnił kryształowe naczynie wodą i włożył do niego bukiet czerwonych tulipanów. Zostały mu jeszcze dwa, łącznie pięćdziesiąt jasnozielonych łodyg z żółtymi, zamkniętymi pąkami. Leżą w jednym długim rzędzie na zlewozmywaku.

Piec miał temperaturę około pięćdziesięciu stopni. Tak przynajmniej przypuszczał. Trudno było to ocenić, ponieważ na tym starym urządzeniu strzałka zachodziła z jednej kreski podziałki na drugą.

Zmniejszył temperaturę w lodówce z sześciu do dwóch stopni powyżej zera. Na wszelki wypadek na najwyższej półce umieścił termometr, bo skala wbudowana w ściankę lodówki była już słabo czytelna.

Wziął reklamówkę z IKEA i udał się schodami na strych. Podszedł do aluminiowej rury i oderwał metalową szynę w taki sam sposób jak podczas wizyty Henryka. Wyjął ze schowka jedenaście puszek i włożył do reklamówki. Zamknął schowek i z czterema kilogramami rozcieńczonej amfy zszedł na dół.

„Potrzebuję trzech dni, żeby wyeliminować konkurencję”.

Sprawdził piec. Był ciepły, temperatura pięćdziesiąt stopni. Otworzył lodówkę i sprawdził na termometrze, że temperatura wynosi cztery stopnie, tak jak w kwiaciarni. Musi ją obniżyć o kolejne dwa stopnie.

„Chcę wiedzieć, jak zamierzasz to zrobić”.

Wyjął pierwszą puszkę z reklamówki. Tysiąc gramów amfy. Więcej, niż potrzeba na pięćdziesiąt tulipanów.

„W tulipanach i zbiorkach poezji”.

Wczoraj dokładnie wyczyścił obie komory zlewozmywaka, a mimo to znalazł jeszcze jakieś wczorajsze resztki. Utkwiły na brzegu otworu metalowego odpływu. Przypomniał sobie strzelaninę i kurierów, którzy zwracali opakowania z amfą w stresie, w jedynym miejscu, z którym nikt ich nie będzie wiązał. Odkręcił kran, puścił ciepłą wodę i zaczął wydłubywać resztki wymiocin posklejanych z mlekiem i brązową masą.

Rękawice chroniące przed poparzeniem leżały w szufladzie ze sztućcami. Na każdej z nich umieścił po jednym tulipanie i wsunął je do ciepłego pieca. Ułożył je tak, że pąki znajdowały się blisko szyby. Bardzo lubił chwilę, kiedy do tego dochodziło. Wiosna i życie na samym końcu zielonej lodygi. Płatki rozchyliły się pod wpływem nagłego ciepła i po raz pierwszy nabierały kolorów.

Podniósł je, kiedy otwór w pąku miał średnicę około jednego centymetra. Nie można czekać za długo, zachwycać się pięknem, kolorami i życiem.

Położył je na zlewie i wyjął opakowania prezerwatyw, takich bez żłobień, środka nawilżającego i substancji zapachowych. Ostrożnie włożył pół prezerwatywy do każdego pąka i czubkiem noża wsypał do nich trochę amfy, po trzy gramy do małych i po cztery do tych trochę większych. Następnie ułożył dwa wypełnione amfą tulipany na tacy i wstawił ją do zamrażarki stojącej między zlewem a kuchenką.

Pozostaną tam przez trzy minuty w temperaturze minus osiemnaście stopni. W tym czasie pąki się zamkną. Wtedy znowu je przeniesie z minusowej temperatury w zamrażarce do plusowej temperatury w lodówce. Będą tam leżeć przez długą chwilę z przedłużonym czasem kwitnienia.

Następnym razem otworzą się w temperaturze pokojowej w gabinecie szefa.

Jeśli tak właśnie postanowi.

HOFFMANN STAŁ W SWOIM POKOJU biurowym i spoglądał przez okno na ludzi i samochody jadące mostem Kungsbron i ulicą Vasagatan. Przygotował pięćdziesiąt tulipanów zawierających łącznie sto pięćdziesiąt pięć gramów trzydziestoprocentowej amfetaminy. W ogóle nie myślał o tym, że żółty proszek zabrał mu już kilka lat z życia, starał się zapomnieć, że kiedyś, gdy nie był pod działaniem prochów, kradł jak najwięcej, żeby zdobyć pieniądze na działkę na następny dzień. Ośrodki dla będących na odwyku, strach, kara więzienia. Dawki, które zażywał, stawały się coraz większe, wszystko inne straciło sens aż do dnia, kiedy stanęła przed nim Zofia. Od tamtej pory przestał sobie wstrzykiwać prochy. Zmusiła go wtedy, żeby wziął ją mocno za rękę, tak jak robią ludzie, którzy sobie wzajemnie ufają.

TULEJKA CYGARA LEŻAŁA NA BIURKU. Obok niej cyfrowy magnetofon.

„Przeczytałam raport w tej sprawie... ale sądziłam, że chodzi o... kobietę?”

Magnetofon był tak mały, że można go było ukryć w odbytnicy.

Teraz słyszał tamte głosy w swoim komputerze.

„Tak się nazywam. Gdy biorę udział w jakiejś operacji”.

Skopiował całe nagranie na dwie oddzielne płyty CD i włożył je do dwóch kopert formatu A4: białej i brązowej. Z górnej półki szafki na broń wyjął cztery paszporty. Trzy włożył do brązowej, jeden do białej koperty. Na końcu sięgnął w głąb szuflady po dwa niewielkie odbiorniki i dwie słuchawki, po czym włożył po jednej sztuce do każdej koperty.

Wybrał jedyne numer telefonu, jaki miał zaprogramowany w tym aparacie.

– To ja.

– Tak?

– Västmannagatan. Zapomniałem, jak się nazywa policjant, który prowadzi tę sprawę...

– Po co ci to?

– Nie marudź, mam jeszcze tylko trzydzieści pięć godzin.

– Grens.

– Imię i nazwisko.

– Ewert Grens.

– Co to za jeden?

– Nie podobają mi się te pytania. O co ci chodzi?

- Kurwa, Erik. Co to za jeden?
- Należy do starszego pokolenia.
- Jest dobry?
- Tak. Jest dobry. I to mnie niepokoi.
- Dlaczego?
- To jeden z tych, którzy nie odpuszczają.

Hoffmann napisał nazwisko na brązowej kopercie dużymi, wyraźnymi literami. Poniżej adres, trochę mniejszymi. Sprawdził zawartość. Płyta CD, trzy paszporty, słuchawka na ucho.

To jeden z tych, którzy nie odpuszczają.

WILSON NAPAWAŁ SIĘ SŁOŃCEM, które powoli zachodziło nad jeziorem Vättern. Ma chwilę spokoju po dziwnej rozmowie z Pietem Hoffmannem na temat Grensa. Musi się trochę zrelaksować przed spotkaniem, na którym jego wtyka stanie się jeszcze bardziej niebezpiecznym przestępcą. Przez ostatnią dobę doświadczał zmian, które dokonywały się w każdej godzinie. Czuł, że Piet coraz bardziej znika. Ostatnią rozmowę odbył z kimś, kto miał na imię Paula. Wiedział, że tak trzeba i że często mu to zapowiadał. Jednak za każdym razem, kiedy ktoś, kogo lubił, stawał się innym człowiekiem, doznawał podobnego wstrząsu.

Przeszedł piechotą ze stacji kolejki Jönköping do Urzędu Sądownictwa przy Västra Storgatan i już pięć minut potem otworzył ciężkie drzwi.

Przyszedł tam, żeby dokonać manipulacji w systemie.

Był w tym przecież dobry. Umiał pozyskać do współpracy każdego, bez względu na to, o kogo chodziło: więźnia, który wyszedł z zakładu i mógł być wykorzystany jako wtyka w środowisku kryminalnym, albo urzędnika państwowego, który mógł dodać lub usunąć kilka linijek w bazie informacji. Umiał z nimi rozmawiać w taki sposób, że czuli się ważni i zaczęli wierzyć, iż pomagają społeczeństwu i sobie samym. Uśmiechał się, kiedy trzeba, i wiedział, co robić, żeby informator lubił go bardziej, niż powinien.

- Dzień dobry.
- Dzięki, że zostałeś dłużej.

Kobieta się uśmiechnęła. Miała pięćdziesiąt kilka lat. Wilson pozyskał ją do współpracy w czasie procesu w Naczelnym Sądzie Administracyjnym kilka lat wcześniej. Spotykali się każdego dnia w sali sądowej przez cały tydzień. W czasie wspólnej kolacji dowiedział się, że

na co dzień ma dostęp do pewnych baz danych, ważnych dla szwedzkiej policji, i że bazy te można wykorzystać w rozpracowywaniu zorganizowanej przestępczości.

Poszli schodami na górę. Kobieta dała strażnikowi znak, że ma gościa. Skierowali się do działu administracji na drugim piętrze. Usiadła przy komputerze, a on przysunął sobie krzesło przed innego biurka. Począł, aż wpisała swój login i hasło i przeciągnęła plastikową kartę przez wąską szczelinę na klawiaturze.

– O kogo chodzi?

– Numer osobowy: siedemdziesiąt dwa, dziesięć, osiemnaście, zero, zero, dziesięć.

Wilson położył rękę na brzegu biurka. Wiedział, że kobieta to lubi.

– Piet Hoffmann?

– Tak.

– Zamieszkały przy ulicy Stockrosvägen dwadzieścia jeden w Enskede?

Wilson spojrział na ekran monitora, na pierwszą stronę policyjnej kartoteki przestępców.

1. Nielegalne użycie broni (1998-06-08), #9, pkt 1, ust. 2 Ustawy o posiadaniu i używaniu broni.
2. Zawłaszczenie cudzego mienia (1998-05-04), #10, pkt 4, BRB.
3. Prowadzenie pojazdu bez zezwolenia (1998-05-02), #3, pkt 1, ust. 2 TBL (1951:649).

**ORZECZONA KARA WIĘZIENIA:  
JEDEN ROK I SZEŚĆ MIESIĘCY.**

1998-07-04: POCZĄTEK ODBYWANIA KARY.

1999-07-01: ZWOLNIENIE WARUNKOWE

Reszta kary do odbycia: sześć miesięcy.

– Chciałbym dokonać kilku zmian.

Kiedy pochylał się nad ekranem, niby przypadkiem dotknął jej pleców. Nigdy nie posunęli się dalej. Oboje wiedzieli, o co chodzi, ale ona udawała, bo potrzebowała czegoś, co przypominało kontakt z innym człowiekiem. Natomiast on udawał, bo potrzebował kogoś, kto będzie dla niego pracował. Wykorzystywali się oboje w taki sam sposób, jak każdy oficer prowadzący wykorzystuje swojego informatora. Był to rodzaj

porozumienia, które nigdy nie zostało oficjalnie zawarte, ale stanowiło niezbędny warunek ich dalszych spotkań.

– Zmian?

– Chciałbym cię prosić, żebyś coś dopisała.

Zmienił pozycję, odchylił się, położył jej rękę na plecach.

– Gdzie?

– Na pierwszej stronie. Zakład Österåker.

– Skazany na rok i sześć miesięcy.

– Zmień na pięć lat.

Nigdy nie pytała dlaczego. Ufała mu. Wierzyła, że komisarz policji kryminalnej z sekcji dochodzeniowej komendy miejskiej w Sztokholmie siedzi obok niej dla dobra społeczeństwa i żeby zapobiegać przestępczości. Bez problemu zmieniła mniejszy wyrok na wyższy.

– Dziękuję.

– Czy to wszystko?

– Jeszcze następna linijka. Nielegalne użycie broni. To za mało. Dopisz jeszcze dwa przestępstwa: próba zabójstwa i ciężkie pobicie urzędnika państwowego.

W całym pomieszczeniu paliła się tylko jedna lampa i włączony był tylko jeden komputer. Wilson zdawał sobie sprawę, na jakie ryzyko naraża kobietę. Przecież jej koledzy już dawno zakończyli pracę i teraz siedzą na kanapach przed telewizorem. Ryzykowała, że ktoś ją postawi w stan oskarżenia za fałszowanie danych.

– Ma teraz dłuższe wyroki i kilka wyroków z uzasadnieniem. Coś jeszcze?

Wydrukowała wyciąg dla skazanego o numerze osobowym 721018-0010 i podała go Wilsonowi. Zrobiła to, bo dzięki niemu czuła, że żyje. Czekala, aż skończy czytać, pochylona w jego stronę trochę bardziej niż zwykle.

– Wystarczy. Na dzisiaj.

Wilson trzymał w ręce dwie kartki papieru. To one zadecydują o tym, czy więźniowie potraktują Hoffmanna z szacunkiem, czy z podejrzliwością. Już w czasie pierwszej godziny za kratami w Aspsås Hoffmann będzie musiał opowiedzieć innym osadzonym o swoich wyrokach i o pięciu latach, które odsiedział za próbę zabójstwa i ciężkie pobicie urzędnika. Takie wyroki gwarantowały mu bezpieczeństwo najwyższego stopnia. Oznaczały też, że jest w stanie zabić, jeśli będzie to konieczne.



Już chwilę potem, jak trafi do swojej celi, Paula musi być traktowany w taki sposób, w jaki według swoich „zasług” powinien być traktowany.

Jest przecież kimś, kto w ciągu trzech dni ma wykosić konkurencję i przejąć cały handel narkotykami.

Wilson pogłaskał uśmiechniętą kobietę po ramieniu i szybko pocałował ją w policzek. Nadal się do niego uśmiechała, gdy spiesznie zbiegał po schodach, żeby złapać jeszcze jakiś pociąg do centrum Sztokholmu.

KIEDY ZAPADŁ ZMROK, BUDYNEK zdawał się mniejszy.

Fasada była bezbarwna, komin i nowy dach z cegły jakby obniżyły się do poziomu najwyższego piętra.

Hoffmann stał między jabłonkami w ogrodzie i próbował zajrzeć do kuchni i dużego pokoju. Było już wpół do jedenastej, zrobiło się późno, ale o tej porze Zofia jeszcze nie śpi. Widział przez białe i niebieskie firanki, jak chodzi po mieszkaniu.

Powinien był zadzwonić.

Spotkanie w Rosenbad skończyło się tuż po piątej. Potem załatwiał sprawy z bukietami, kopiował płyty CD z nagraniem rozmowy w jednym z pokoi rządowych, przygotował dwie koperty zaadresowane do dwóch różnych osób, które nigdy ich nie dostaną. Potem znowu poszedł na ciemny strych i zabrał ze schowka jedenaście puszek zawierających jedenaście kilogramów amfetaminy; włożył je do reklamówki, w biurze poukładał parami pąki tulipanów, tak żeby pasowały i do kuchenki, i do zamrażarki. I nagle okazało się, że jest już wieczór, a on prawie tego nie zauważył.

Zostały mu trzydzieści trzy godziny.

Wyjął klucz i otworzył nim drzwi. Nie słycać telewizora w dużym pokoju, nad stołem w kuchni nie pali się lampa, nie słycać też dźwięku radia z gabinetu i rozmów w Jedyńce, które Zofia tak bardzo lubi. Przyszedł do obcego domu, gdzie musi zmierzyć się z reakcjami, których nie potrafi kontrolować i których tak bardzo się boi.

Musi sobie jakoś radzić z uczuciem samotności.

Właściwie zawsze był samotny, nie miał zbyt wielu przyjaciół, bo po kolei się z nimi rozstawał, kiedy przestał rozumieć, na co mogliby mu się przydać. Nie miał też zbyt licznej rodziny, ponieważ na początku rozstał się z tymi, którzy nie chcieli znać jego. Jednak ta samotność jest inna, taka, której on sobie nie wybierał.

Zapalił lampę w kuchni. Stół był pusty, żadnych plam po malinach ani okrusków po ciastkach. Wszystko zostało wymyte i wytarte. Kilka godzin temu Zofia i chłopcy siedzieli przy stole i jedli kolację. Skończyli i nie poczekali na niego. Zofia tak zdecydowała.

Wazon na kwiaty stał w szafce nad zlewem.

Dwadzieścia pięć czerwonych tulipanów, poprawił bilecik z napisem „Kocham Cię”. Wazon stanie pośrodku stołu, żeby bilecik był widoczny.

Idąc po schodach na górę, starał się stawiać stopy cicho, ale za każdym razem podłoga trzeszczała. Jeśli któreś z nich jeszcze nie śpi, domyśli się, że już wrócił do domu. Bał się, ale nie wybuchu złości, którego się spodziewał, ani konsekwencji swojego spóźnienia.

Tu jej nie ma.

Stał w progu i patrzył na pusty pokój. Łóżko nadal było pościelone i zasłane kapą. Poszedł do pokoju Emila i usłyszał, jak jego pięcioletni synek odchrząkuje. Na pewno ma opuchnięte gardło.

Tu też jej nie ma.

Kolejny pokój.

Zofia leżała w krótkim, wąskim łóżku obok ich młodszego syna. Przykryta kocem, lekko skulona. Nie śpi, bo wtedy inaczej się oddycha.

– Jak z chłopcami?

Nie spojrzała na niego.

– Mają gorączkę?

Nie odpowiedziała.

– Przykro mi, nie mogłem się wcześniej wyrwać. Wiem, powinienem był zadzwonić, wiem, że powinienem był to zrobić.

Nadal milczy. Jest gorzej niż zwykle. Zawsze wolał normalną kłótnię.

– Jutro się nimi zaopiekuję. Przez cały dzień. Obiecuję.

I znowu to cholerne milczenie.

– Kocham cię.

Kiedy szedł na dół, schody już tak bardzo nie trzeszczały. Marynarkę powiesił na wieszaku w przedpokoju. Zamknął za sobą drzwi.

TRZYDZIEŚCI DWIE I PÓŁ GODZINY. Nie chce spać. Nie tej nocy. Jutro też nie zaśnie. Wyśpi się później, kiedy będzie zamknięty przez dwa tygodnie w celi aresztu o powierzchni pięciu metrów kwadratowych. Będzie leżał na pryczy, bez telewizora i gazet, bez prawa do wizyt. Będzie tam leżał z zamkniętymi oczami i próbował nie myśleć o całym tym gównie.

HOFFMANN SIEDZIAŁ W SAMOCHODZIE w ciemnej ulicy. Czasem to robił, liczył powoli do sześćdziesięciu i czuł, jak po chwili jego ciało się odprężało.

Jutro.

Jutro o wszystkim jej opowie.

W kolejnych oknach gasło światło. W domach sąsiadów, gdzie toczyło się zwykle życie na przedmieściu. Mieszkania na górnych piętrach, zamieszkane przez rodziny Samuelssonów i Sundellów, rozjaśniał jasnoniebieski blask telewizorów. Z kolei na dolnej kondygnacji, u Nymanów, światło lampy zmieniało się z czerwonego na żółte. Wiedział, że mieszka tam jeden z ich nastoletnich synów. Ostatnie spojrzenie na dom i ogród, mógł go prawie dotknąć ręką, wystarczyło, że spuści szybę w samochodzie. Czuł się tam tak bezpiecznie, ale teraz i dom, i ogród kryły się w ciszy i mroku. Nie paliły się nawet ozdobne lampy w dużym pokoju.

Jutro o wszystkim opowie.

Jechał wąskimi ulicami i dwa razy zadzwonił. Pierwsza z rozmów dotyczyła spotkania planowanego o północy na dwójce. Druga – zupełnie innego spotkania trochę później, na Danviksberget.

Teraz już mu się nie spieszy. Musi jakoś zabić ten czas. Pojechał w stronę miasta, na Södermalm i w okolice Hornstull, gdzie mieszkał przez wiele lat. Jeśli zabłąkał się tam jakiś elegant w garniturze, splotał z pogardą i szybko stamtąd uciekał. Zaparkował przy Bergsunds Strand, przodem do wody. Piękna, stara, drewniana łaźnia. Kilka lat temu jacyś idioci chcieli ją zburzyć. A teraz stoi tu i lśni jak prawdziwy klejnot. Kobiety przychodzą tu w poniedziałki, mężczyźni w piątki. Jest ciepło, chociaż zbliża się noc. Zdjął marynarkę i poszedł asfaltem ze wzrokiem skierowanym na jasną wodę, gdzie odbijało się światło mocnych reflektorów pojedynczych samochodów. Przemykały się między czynszowymi domami, szukając miejsc parkingowych.

Dziesięć minut posiedział na dość twardej ławce w parku, samotnie wypił piwo w Gamla Uret. Barman śmiał się głośno. Hoffmann znał go, bo przychodził tu wieczorami w swoim dawnym, innym życiu. Przeczytał kilka artykułów w gazecie, którą ktoś zostawił na ladzie; sięgnął brudnymi palcami po kilka orzeszków ziemnych leżących na drugim końcu baru w miseczce.

Upłynęła kolejna godzina.

Ruszył w stronę Högalidsgatan 38 i Heleneborgsgatan 9, do mieszkania na trzecim piętrze z wyrzuszonym parkietem.

WILSON SIEDZIAŁ JUŻ NA KANAPIE przykrytej plastikową folią. Do pokoju wszedł mężczyzna zwany Paulą i przeszedł po uszkodzonym parkiecie.

– Jeszcze nie jest za późno. Wiesz, że możesz się wycofać.

Spojrzał na Hoffmanna ciepłym wzrokiem. Nie należało tego robić, ale tak jakoś wyszło. Informator to tylko narzędzie, a on i komenda policji powinni korzystać z jego usług tak długo, jak się da. Potem, jeśli okaże się, że sytuacja jest niebezpieczna, można go zostawić własnemu losowi.

– Nigdy nie będziemy ci zbyt wiele płacić. Nikt ci też oficjalnie nie podziękuje.

Z Pietem Hoffmannem było inaczej. Stał się kimś bliskim. Przyjacielem.

– Masz Zofię i chłopców. Nie mam pojęcia, jak to jest, ale... czasem o tym myślę, tęsknię za tym. A jak już będę to wszystko miał, nigdy w życiu nie będę ryzykował dla kogoś, kto nie umie powiedzieć „dziękuję”.

Wilson wiedział, że robi coś, czego nie powinien robić. Oto bowiem dawał swemu informatorowi argument, aby wycofać się w chwili, kiedy władze potrzebują go najbardziej.

– Tym razem podejmujesz o wiele większe ryzyko niż wcześniej. Mówiłem ci już o tym po południu, kiedy szliśmy tunelem po rozmowie w Rosenbad. Piet, popatrz na mnie, gdy z tobą rozmawiam. Powtarzam: spójrz na mnie! W chwili, kiedy wypełnisz swoje zadanie do końca, firma Securitus International wyda na ciebie wyrok śmierci. Czy jesteś pewien, że zrozumiałeś, co cię czeka?

Dziewięć lat w roli informatora. Hoffmann odszukał wśród mebli przykrytych folią fotel, zielony, a może brązowy. Nie. Nie jest tak bardzo pewien, czy zrozumiał, co to znaczy albo po co tu właściwie siedzi naprzeciwko oficera prowadzącego, w tajnym miejscu spotkań, podczas gdy jego żona i dzieci śpią w domu. Czasem tak jest. Czasem coś się zaczyna i trwa dalej, mijają dni, miesiące i lata i nawet człowiek nie zdąży się nad wszystkim zastanowić. Ale dokładnie pamięta, dlaczego się na to zgodził. Przypomniawszy sobie, jak któregoś dnia Erik Wilson przyszedł do pokoju widzeń w więzieniu Österåker i zaczął mu tłumaczyć, że wyrok można odsiedzieć z regularnymi przerwami na przepustki. Opowiadał mu o życiu po wyjściu na wolność i obiecywał, że jeśli będzie pracował dla policji, mogą przymknąć oczy na jakieś jego drobne przewinienia, żeby sprawy nie trafiły na biurko śledczego albo prokuratora. Wtedy

wydawało mu się to tak cholernie proste. Nawet się nie zastanawiał nad kłamstwami i nad ryzykiem, że ktoś może ujawnić jego podwójną tożsamość, że nikt jego pomocy nie doceni i nikt nie będzie go krył. Wtedy jeszcze nie miał rodziny. Istniał dla siebie samego i prawie wyłącznie dla siebie.

– Doprowadzę to do końca.

– Nie będę cię krytykował, jeśli postanowisz się wycofać.

Zaczął, więc skończy. Nauczył się żyć dla kopa, dla adrenaliny, która sprawia, że serce ma ochotę rozsadzić pierś, dla dumy z faktu, że jest w tym lepszy niż inni. Tym bardziej że wcześniej nigdy nie był od nikogo w niczym lepszy.

– Nie wycofam się.

Uzależnił się od tego. Adrenalina, duma. Przestał rozumieć, że życie może istnieć i bez tego.

– W takim razie sprawa jest jasna.

Należy do tych, którym nigdy nie udało się doprowadzić żadnej sprawy do końca. Dlatego robi to teraz.

– Doceniam, że zadałeś mi to pytanie. Domyślałem się, że stawianie takich pytań to nie twoja działka. Ale już o tym rozmawialiśmy.

Wilson zadał mu to pytanie. I otrzymał odpowiedź, jakiej oczekiwał.

– W razie gdyby coś się stało...

Rozsiadł się trochę wygodniej na niewygodnej kanapie.

– Gdyby groziła ci wpadka, w więzieniu nie będziesz miał dokąd uciec. Ale możesz zażądać oddzielnej celi.

Wilson spojrzał na Paulę... na Pieta.

– Mogą wydać na ciebie wyrok śmierci. Ale nie umrzesz. Kiedy zażadasz, żeby cię przenieśli na dół, do pojedynczej celi, skontaktujesz się z nami i poczekaś jeszcze tydzień. Tyle czasu potrzebujemy, żeby załatwić wszystkie sprawy związane z wyciągnięciem cię stamtąd.

Otworzył czarną aktówkę stojącą obok fotela i położył na stoliku dwie teczki. Świeży wydruk z rejestru przestępstw i kopię przesłuchania z archiwum komendy głównej policji. Jakaś sprawa sprzed dziesięciu lat.

**Prowadzący przesłuchanie Jan Zander (PP): Pistolet, kaliber dziewięć milimetrów, wyprodukowany w Radomiu.**

**Piet Hoffmann (PH): Aha.**

**PP: Miałeś go przy sobie, niedawno z niego strzelano. W magazynku brakuje dwóch pocisków.**

**PH: To pan tak twierdzi.**

Hoffmann przeczytał powoli zmienioną wersję swojej kartoteki.

– Pięć lat?

– Tak.

– Usiłowanie zabójstwa? Ciężkie pobicie urzędnika?

– Tak.

**PP: Dwa strzały. Potwierdza to kilku świadków.**

**PH: (milczy).**

**PP: Kilku świadków z kamienicy czynszowej przy Kaptensgatan w Söderhamn, której okna wychodzą na trawnik, gdzie oddałeś dwa strzały w stronę asystenta policji, Dahla.**

**PH: Söderhamn? Nigdy tam nie byłem.**

Wilson bardzo dokładnie opracował każdy fragment zeznania. Cała treść ma brzmieć wiarygodnie i trzymać się kupy.

– Czy to... czy to działa?

Zmiana wyroku w rejestrze skazanych oznaczała, że musiało się pojawić nowe przesłuchanie w ramach śledztwa, które kiedyś było prowadzone. Musiały też istnieć odpowiednie zapisy w dokumentach znajdujących się w archiwum danego zakładu karnego, gdzie skazany po wprowadzonych zmianach miał odsiedzieć wyrok.

– Tak. Działa. Według tego, co wynika z orzeczenia sądu i protokołu przesłuchania, w czasie zatrzymania trzy razy uderzyłeś naładowanym pistoletem w twarz asystenta policji i biłeś go tak długo, aż stracił przytomność i upadł na ziemię.

**PP: Próbowalesz zabić policjanta na służbie. Jednego z moich kolegów. Chcę wiedzieć, dlaczego to, kurwa, zrobiłeś?**

**PH: Czy to pytanie?**

**PP: Chcę wiedzieć dlaczego!**

**PH: Nigdy nie strzelałem do żadnego policjanta w Söderhamn. Bo nigdy tam nie byłem. Gdybym tam jednak był i gdybym strzelił do twojego kolegi, zrobiłbym to dlatego, że niezbyt lubię policjantów.**

– Potem chwyciłeś pistolet inaczej i oddałeś dwa strzały. Jeden pocisk trafił go w udo, drugi w lewe górne ramię.

Wilson skończył i pochylił się w stronę Hoffmanna.

– Ktoś, kto będzie sprawdzał twoją przeszłość i będzie miał dostęp do rejestru skazanych albo do niektórych dokumentów z dochodzenia, nie będzie miał żadnych wątpliwości. Na dole dopisałem jeszcze, że byłeś przesłuchiwany w kajdankach. Ze względów bezpieczeństwa.

– To się trzyma kupy.

Hoffmann pozbierał i złożył kopie wszystkich dokumentów.

– Daj mi dwie minuty. Przejrzę to jeszcze raz. Wystarczy, żebym nauczył się na pamięć.

Hoffmann wziął do ręki wyrok sądu rejonowego, który nigdy nie został ogłoszony, i kopię przesłuchania, którego nigdy nikt nie przeprowadził. Były to dla niego najważniejsze narzędzia w całej akcji, jaką miał przeprowadzić w więzieniu.

Zostało mu trzydzieści jeden godzin.

CZWARTEK



ZEGAR NA KOŚCIELE W HÖGALID wybił pierwszą w nocy. Hoffmann pożegnał się z Wilsonem i wyszedł przez wewnętrzne podwórko i bramę na Heleneborgsgatan. Nadal było ciepło, chociaż lato jeszcze się nie zaczęło. A może po prostu rozgrzewało go ciepło wewnętrzne? Zdjął marynarkę i ruszył w stronę Bergsunds Strand. Jego samochód stał na tyle blisko nabrzeża, że kiedy zapuścił silnik, reflektory rozświetliły ciemną wodę zatoki. Przejechał z zachodniej do wschodniej części Södermalm. Spodziewał się zobaczyć na ulicach sporo ludzi, którzy zimą stęsknili się za ciepłym powietrzem, więc teraz nie chciało im się wracać do domu. Okazało się jednak, że wszędzie było pusto. Hałaśliwe miasto zapadło w sen. Minął Slussen, a gdy jechał wzdłuż Stadgårdskajen, przyspieszył. Przyhamował i skręcił na most Danvikstullsbron, gdzie znajdowała się droga wylotowa na Nacka. Potem skręcił w Tegelviksgatan i w lewo, w Alsnögatan, aż do szlabanu blokującego wjazd na jedyną drogę dla samochodów prowadzącą na Danviksberget.

Wyszedł z wozu i potrząsnął pękiem kluczy, aż znalazł mały kluczyk. Był o połowę mniejszy od zwykłego klucza. Nosił go przy sobie od dość dawna, bo w ciągu ostatnich lat często przyjeżdżał tu na spotkania. Otworzył nim szlaban, przejechał i ponownie go zamknął. Potem ruszył krętą drogą w górę i zatrzymał się przy kawiarni, gdzie od kilkudziesięciu lat, przy cynamonowych ciasteczkach i filiżance kawy, podziwiał widok na miasto.

Zostawił samochód na nieużywanym parkingu i wsłuchiwał się w szum wody. Dobiegał on z miejsca, gdzie koło skał wpływa woda z jeziora Saltsjön. Jeszcze kilka godzin temu w miejscu tym siedzieli goście lokalu; trzymali się za ręce, rozmawiali, przytulali się albo pili latte. Robili to w całkowitej ciszy, jaka zapada w chwili, gdy dwoje ludzi jest ze sobą naprawdę blisko. Zapomniana filiżanka po kawie stojąca na ławce, dwie plastikowe tacki ze zgniecionymi serwetkami na innej ławce. Usiadł na ławce koło kawiarni z zamkniętymi okiennicami i stołami przymocowanymi łańcuchem do szarej betonowej posadzki. Spoglądał na miasto, w którym spędził większość swojego życia. Nadal czuł się tu obco, jak ktoś, kto przybył tylko z krótką wizytą i zaraz uda się w dalszą drogę, tam, dokąd naprawdę zmierza.

Usłyszał kroki. Gdzieś z tyłu, w ciemnościach.

Najpierw słabe i dość odległe; ktoś szedł po twardym podłożu. Potem usłyszał je wyraźniej i bliżej, skrzypienie żwiru, choć idąca osoba starała

się tłumić kroki.

– Piet?

– Lorentz?

Ciemny, mocno zbudowany mężczyzna w jego wieku. Objęli się, jak zwykle.

– Ile?

Mężczyzna usiadł przed nim i oparł się łokciami o blat stolika. Znali się już od dziesięciu lat. To jeden z niewielu, którym ufa.

– Dziesięć kilogramów.

Siedzieli razem w Österåker. Na tym samym oddziale, w sąsiednich celach. Dwaj mężczyźni zbliżyli się do siebie, choć w normalnych warunkach nigdy by do tego nie doszło. Jednak tam, w więzieniu, nie mieli zbyt dużego wyboru. Zostali najbliższymi przyjaciółmi, chociaż wtedy jeszcze tego nie rozumieli.

– Ma kopa?

– Trzydzieści procent.

– Fabryka?

– Siedlce.

– Tulipany to dobry pomysł. Chcą to mieć. A ja uniknę gadaniny na temat jakości. Chociaż mnie ten zapach nie odpowiada.

Hoffmann nie mówił Wilsonowi o Lorentzu, bo go lubił i potrzebował. Lorentz sprzedawał dalej to, co on mieszał, na czym chciał zarabiać pieniądze. Na własny rachunek.

– Trzydzieści procent... za dużo dla Plattana i Centrali. Nie wolno im dawać więcej niż po piętnaście, bo inaczej zrobi się rozpierducha. Taki towar mogę sprzedawać w klubach, bo dzieciaki lubią mocne prochy i mają czym płacić.

Erik Wilson domyślił się, że istnieje ktoś, czyjego nazwiska nie zna. Rozumiał też dlaczego. Piet chciał zarabiać pieniądze na własną rękę. On i inni patrzyli na to przez palce, a nawet ułatwiali mu czasami takie interesy w zamian za dalszą współpracę.

– Dziesięć kilogramów trzydziestoprocentowych prochów to cholernie dużo. Oczywiście, biorę. Tak jak zawsze biorę wszystko, co mi dajesz. Ale chciałbym cię o coś spytać, jak przyjaciel... Czy jesteś pewien, że masz wszystko pod kontrolą, jeśli ktoś zacznie ci zadawać pytania?

Obaj spojrzeli na siebie. O co mu chodzi? – pomyślał Hoffmann. Brak zaufania? Prowokacja? Nie, raczej nie. Lorentzowi chodziło dokładnie o to, o co zapytał, i dlatego Hoffmann domyślił się, że zadał to pytanie z troski o niego. Wcześniej wystarczyło im, że wymieszali trochę prochów

na własny rachunek z dostaw zewnętrznych, potem to sprzedawali. Tym razem potrzebował więcej pieniędzy, a może powody są inne. Dlatego już kilka godzin po wizycie Henryka zamknięte próżniowo puszki z towarem bez domieszek opuściły swoje miejsce w schowku przy wentylatorze na strychu i trafiły do reklamówki IKEA.

– Tak, mam nad wszystkim kontrolę. I jeśli któregoś dnia będę musiał skorzystać z tych pieniędzy, zrobię to, bo jest już za późno, żeby odpowiadać na jakiegokolwiek pytania.

Lorentz nie pytał go o nic więcej. Nauczył się, że każdy ma swoje powody, że każdy dokonuje własnego wyboru i jeśli ktoś nie chce o czymś mówić, nie ma sensu go o to pytać.

– Potrącam pięćdziesiąt tysięcy za materiały wybuchowe. Dałeś mi cholernie mało czasu, żeby je zdobyć, Piet. Kosztowało mnie to więcej niż zwykle.

Sto koron za gram. Milion koron za dziesięć kilogramów.

Dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy w gotówce, reszta w postaci materiałów wybuchowych.

– Wszystko zdobyłeś?

– Pentryt.

– Nie wystarczy.

– I nitrogliceryna. Duża prędkość wybuchu. Zapakowana w plastikowe torebki.

– Niech będzie.

– Zapalnik i lont. Na koszt firmy.

– Dzięki.

– To będzie cholerny wybuch.

– W porządku.

– Zrobisz, jak zechcesz, Piet.

OBA SAMOCHODY STAŁY OBOK siebie z otwartymi bagażnikami. Po chwili niebieska reklamówka z IKEA i dziesięć kilogramów trzydziestoprocentowej amfetaminy, jak również brązowa aktówka zawierająca dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy koron i dwie paczki z materiałami wybuchowymi zamieniły się miejscami. Hoffmannowi się spieszyło. Zjechał wąską, wijącą się drogą aż do szlabanu, otworzył zamek i ruszył w stronę Enskede, do domu, do którego zawsze tęsknił.

KIEDY ZDAŁ SOBIE SPRAWĘ z tego, że po nim przejechał, było już za późno. Przy podjeździe do garażu panowały takie ciemności, że nie zauważył wozu strażackiego. Podjechał pół metra bliżej, schylił się i zaczął szukać zabawki Rasmusa przy prawym kole, aż ją znalazł. Była lekko uszkodzona, ale jeśli zamaluje czerwonym mazakiem odprysnięty lakier na drzwiach, a potem pochyli trochę białą drabinę, tak żeby leżała na dachu, być może za kilka dni wóz wróci „na służbę” w piaskownicy albo na podłodze na piętrze.

Pozostałe plastikowe wozy strażackie są teraz w domu i śpią pod łózkami, choć czasem chłopcy z nimi zasypiali. Jego dwaj chłopcy. Za kilka godzin znowu ich mocno uściska.

Otworzył bagażnik samochodu i spojrzał na brązową torbę leżącą w głębi, na zapasowej oponie. Zawahał się, wyjął dwie mniejsze paczki, a dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy koron w banknotach zostawił w samochodzie.

Wolno przeszedł przez ciemny ogród.

Światło włączył dopiero w kuchni. Zamknął drzwi, bo nie chciał obudzić Zofii ani dzieci. Usiadł przy stole i zobaczył, że nadal lśni czystością. Za kilka godzin zjedzą razem śniadanie. Jak zwykle będzie hałaśliwie i ciasno, a blat po kilku chwilach będzie się lepił od jedzenia.

Obie paczki położył na stole. Nie sprawdzał ich, bo nigdy tego nie robił. Dostawcą był Lorentz i to mu wystarczyło. Pierwsza z nich wyglądała jak etui na pióro. Otworzył ją i wyjął długi sznur. Przypominał osiemnastometrową, cienką linę. Jednak każdy, kto zna się na materiałach wybuchowych, od razu się domyśli, że to coś innego. Lont do pentrytu, który stanowił granicę między życiem a śmiercią. Rozwinął go, dotknął, przeciął w połowie i odłożył do paczki dwa kawałki po dziewięć metrów każdy. Druga paczka miała kształt czworokąta, była to plastikowa torba z dwudziestoma czterema przegródkami. Przypominała mu plastikowe kieszonki w należącym do ojca zielonym klaserze na monety. Monety pochodziły z okresu, kiedy ich rodzinne miasto nazywało się Königsberg, dziś nie miały już żadnej wartości. Dawno temu, gdy jego ciało domagało się kolejnej działki, gdy skręcał go ból, próbował je sprzedać. Dowiedział się wtedy, że brązowe kawałki metalu, którymi nigdy wcześniej się nie interesował, są bardzo zużyte i nie mają wartości kolekcjonerskiej, no, może tylko dla jego ojca, ale dla niego ta wartość związana była ze wspomnieniami z innych czasów. Dotknął ostrożnie każdej przegródki wypełnionej przezroczystą cieczą. W sumie

cztery centylitry nitrogliceryny podzielonej na dwadzieścia cztery płaskie kawałki plastiku.

Nagle usłyszał krzyk. Otworzył drzwi. Znowu krzyk. Potem zapadła cisza.

Ruszył po schodach do góry, to pewnie Rasmus miał jakieś koszmary. Tym razem skończyły się szybciej niż zwykle.

Zawrócił i zszedł do piwnicy. Stała tam szafka na broń. Otworzył ją i spojrzał do środka. Na półce leżało kilka sztuk broni. Zabrał jedną z nich i poszedł na górę.

Najmniejszy rewolwer na świecie, SwissMiniGun, nie większy niż kluczyk od samochodu.

Kupił go zeszłej wiosny bezpośrednio w fabryce w miejscowości La Chaux-de-Fonds. Bębenek rewolweru mieścił sześć pocisków o długości kilku milimetrów. Wystarczył jeden, żeby zabić. Położył broń na dłoni i zważył ją. Ważyła tylko dwadzieścia gramów, ale jeśli trzeba, potrafiła zakończyć czyjeś życie.

Zamknął drzwi od kuchni i piłką do metalu zaczął spiłowywać oba końce kabłąku spustowego, żeby móc umieścić broń tam, gdzie zamierzał. Po dwóch minutach kabłąk odpadł na podłogę.

Wziął rewolwer w dwa palce, uniósł go i wycelował w zmywarę, udając, że naciska spust.

Śmiercionośna broń była nie dłuższa niż zapałka, ale i tak za długa, jak na jego potrzeby.

Dlatego musiał rozebrać rewolwer na jeszcze mniejsze części. Zrobił to za pomocą malutkiego śrubokrętu. Przypomniał sobie, że taki sam miała w Kaliningradzie jego babcia. Przechowywała go w sypialni, w szufladzie pod blatem maszyny do szycia. Dla siedmiolatka był to duży mebel. Odkręcił ostrożnie pierwszą śrubkę na drewnianej kolbie i położył ją na białej serwecie na stole. Będzie tam dobrze widoczna i się nie zgubi. Druga śrubka znajdowała się po drugiej stronie kolby, bliżej kurka. Potem przystawił czubek śrubokrętu do zatyczki na środku rewolweru i dwa razy uderzył lekko w to miejsce, aż wypadła. Teraz leżały przed nim oddzielnie dwie części kolby. Każdą z nich zapakował do odrębnej plastikowej torebeczki, a potem wyniósł wszystko do samochodu razem z lontem do pentrytu i czterema centylitrami nitrogliceryny w cienkim opakowaniu. Włożył to do leżącej na kole zapasowym brązowej torby zawierającej dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy koron i zamknął bagażnik.

HOFFMANN SIEDZIAŁ NA JEDNYM z krzeseł przy kuchennym stole i patrzył, jak nocny mrok przebijają pierwsze promienie światła. Czekał na Zofię już od kilku godzin, w końcu usłyszał na schodach jej ciężkie kroki. Zawsze tak schodziła, kiedy była niewyspana. Stawiała całą stopę płasko na powierzchni stopni. Często się przysłuchiwał krokom, ponieważ odzwierciedlały to, co działo się w ludzkim wnętrzu. Zawsze łatwiej mu było rozstrzygnąć, jak ktoś się czuje, kiedy z zamkniętymi oczami słuchał, jak ten ktoś się zbliża.

– Cześć.

Nie zauważyła go, więc kiedy się odezwał, drgnęła zaskoczona.

– Cześć.

Hoffmann zdążył już zaparzyć kawę, teraz napełnił jej filiżankę, dolewając trochę mleka, bo tak właśnie lubiła pić rano. Podał filiżankę swojej pięknej, zaspanej kobiecie w szlafroku. Wzięła ją od niego. Miała takie zmęczone oczy; przez pół nocy złościła się na niego, a przez drugą czuwała przy łóżku synka walczącego z gorączką.

– Zupełnie nie spałaś.

Nie była poirytowana, mówiła innym głosem, ale widział, że jest zmęczona.

– Nie było jak.

Hoffmann nakrył do stołu, podał chleb, ser.

– Co z gorączką?

– Czoła mają dość chłodne. Na razie. Muszą jeszcze zostać w domu dzień albo dwa.

Znowu jakieś kroki, ktoś szedł zdecydowanie pewniej. Szybkie, małe stopy, które natychmiast się ożywiają, gdy opuszczą łóżko i dotkną podłogi. Emil był starszym z braci, zawsze budził się przed Rasmusem. Ojciec podszedł do niego, podniósł, pocałował w policzki i przycisnął do siebie.

– Kłujesz.

– Nie ogoliłem się.

– Kłujesz bardziej niż zwykle.

Głębokie talerze, łyżki, szklanki. Usiedli i tylko miejsce Rasmusa nadal było puste. Niech się wyśpi jak najdłużej.

– Dzisiaj zajmę się chłopcami przez cały dzień.

Zofia miała nadzieję, że to powie. Nie było to jednak łatwe. Przecież to nieprawda.

– Przez cały dzień.

Stół został już przygotowany do śniadania. Niedawno leżały na nim nitrogliceryna, lont do pentrytu i naładowany rewolwer. Teraz stały na nim płatki, jogurt i chrupki chleb. Słysząc chrupanie płatków, na podłodze widać rozlany sok pomarańczowy. Jedli jak zwykle aż do momentu, gdy Emil z trzaskiem położył łyżkę na stole.

– Dlaczego jesteście na siebie źli?

Hoffmann wymienił spojrzenia z Zofią.

– Nie jesteśmy na siebie źli.

Skierował te słowa do starszego syna i uświadomił sobie, że jeśli ktoś ma pięć lat, nie zadowoli się prostą odpowiedzią, tylko spojrzy na niego wyzywającym wzrokiem.

– Dlaczego kłamiesz? Przecież widzę. Jesteście na siebie źli.

Rodzice Emila znowu na siebie spojrzeli. Tym razem to ona postanowiła odpowiedzieć.

– Byliśmy na siebie źli. Teraz już nie jesteśmy.

Hoffmann spojrzał z wdzięcznością na syna i poczuł, jak jego ciało się rozluźnia. Do tej chwili był spięty i czekał, aż usłyszy te słowa, bo sam nie miał odwagi spytać.

– No to dobrze. Nikt nie jest zły. W takim razie poproszę o jeszcze jedną kanapkę i trochę więcej płatków.

Emil dosypał więcej płatków do tych, które miał już w talerzu, wziął kanapkę z serem i położył ją na stole obok tej, którą już zaczął jeść. Rodzice woleli tym razem nie komentować jego zachowania, tego ranka pozwolili mu na więcej. Przecież był mądrzejszy od każdego z nich.

HOFFMANN SIEDZIAŁ NA SCHODACH przy drzwiach wyjściowych. Zofia niedawno poszła do pracy. Nie zdążył jej powiedzieć tego, co zamierzał. Jakoś tak wyszło. Może wieczorem? Tak, wieczorem jej o wszystkim opowie.

Podał chłopcom dawkę alvedonu w płynie. Zrobił to zaraz po jej wyjściu, gdy szczupła sylwetka znikła między domami Samuelssonów i Sundellów. Potem obaj dostali jeszcze pół dawki. Pół godziny później gorączka opadła, więc ubrali się, żeby pojechać do przedszkola.

Zostało mu dwadzieścia jeden godzin i trzydzieści minut.

HOFFMANN ZAMÓWIŁ NAJBARDZIEJ popularny samochód w Szwecji, srebrnoszare volvo. Wóz nie był ani przygotowany, ani wysprzątnany, ani

sprawdzony. Postanowił więc, że pojedzie czerwonym volkswagenem golfem. To drugi najpopularniejszy samochód w Szwecji.

Jeśli ktoś nie chce, żeby go zauważono albo zapamiętano, nie powinien odróżniać się od otoczenia.

Zaparkował w pobliżu cementarza. Od potężnego, betonowego muru dzieliło go półtora kilometra. Długie zbocze na otwartej przestrzeni, na całej drodze w dół zielone łąki z niezbyt wysoką trawą. To właśnie tam zmierza. Więzienie Aspsås, jeden z trzech najlepiej strzeżonych zakładów karnych w Szwecji. Mają go zatrzymać, aresztować, oskarżyć, skazać, a potem spędzi w zamkniętej celi dziesięć, dwanaście, najwyżej czternaście dni.

Wyszedł z samochodu i wysikał się.

Zapowiada się ładny dzień. Jednak patrząc na więzienny mur, odczuwał wyłącznie nienawiść.

Dwanaście pieprzonych miesięcy za betonową ścianą i tylko jedna myśl w głowie.

Przez długi czas wydawało mu się, że chodziło o tak oczywistą dla każdego młodego człowieka walkę przeciwko wszystkiemu, co ogranicza, tłumi i hamuje. Ale nie. Nie był już zbyt młody, jednak gdy patrzył na ten mur, uczucie stawało się równie silne. Niechęć do rutynowych czynności powtarzanych każdego dnia, przymus, wyobcowanie, zamknięte drzwi, nastawienie, praca w warsztacie przy drewnianych klockach, podejrzliwość, karne przeniesienia z jednego więzienia do innego, badanie moczu, przeszukiwanie cel. Nienawiść do kławiszy, gliniarzy, mundurów, regulaminów, do wszystkiego, co kojarzy się ze społeczeństwem. Pierdolona nienawiść, którą dzielił z innymi. Tylko ona ich łączyła, do tego narkotyki i samotność. Nienawiść zmuszała ich do rozmawiania ze sobą, do podążania w jakimś kierunku, bo lepiej dążyć do czegoś takiego jak nienawiść niż do niczego.

Jednak tym razem zamkną go dlatego, że on tak chce. Nie ma czasu o czymkolwiek myśleć. Pójdzie tam, żeby coś dokończyć, a potem na zawsze z tym skończy.

Stał obok wypożyczonego samochodu smagany powiewami wiatru. Widział przed sobą identyczne jednokondygnacyjne budynki z czerwonej cegły i jakieś osiedle, które powstało w pobliżu więzienia. Jego mieszkańcy pracowali jako strażnicy na oddziałach, w zakładach budowlanych, które zajmują się naprawą podłogi w budynku C, w restauracji dostarczającej gotowe posiłki do jadalni albo u elektryka, który nadzoruje oświetlenie nad spacerniakiem. Ludzie żyjący na



wolności po drugiej stronie muru byli uzależnieni od tych, którzy siedzieli pod kluczem.

„Gwarantuję, że nie zostanie pan oskarżony o nic, co wydarzyło się przy ulicy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć”.

Cyfrowy magnetofon nadal miał w kieszeni spodni. W ciągu ostatnich godzin wiele razy słuchał jej głosu. Mikrofon był wystarczająco blisko, a jej słowa łatwe do zrozumienia.

„Gwarantuję, że będziemy pana jak najlepiej wspierać podczas wykonywania zadania za murami”.

Otworzył bramę i wszedł do środka. Ścieżka była niedawno grabiona. Jego kroki niweczyły pracę, którą z dużą troską wykonał ogrodnik. Spoglądał na zadbane czworokątne nagrobki, proste kamienne bryły na trawniku, jakby grupa ludzi mieszkająca dawniej w tym samym budynku postanowiła nadal żyć razem także po śmierci, w pewnym oddaleniu od siebie, żeby sobie wzajemnie nie przeszkadzać, a jednocześnie wystarczająco blisko, aby nigdy nie być samotnym. Każdy z nich miał niezbyt dużo miejsca, ale należało ono wyłącznie do niego.

Cmentarz otoczony był murem i drzewami, które posadzono na długo przedtem. Nadal rosły w regularnych odstępach od siebie. Miały wystarczająco dużo miejsca, a zarazem sprawiały wrażenie, jakby chroniły mur. Hoffmann podszedł bliżej. Przyglądał się mniejszym gałęziom klonu, którymi poruszał wiatr. Wiał z prędkością od siedmiu do dziesięciu metrów na sekundę. Hoffmann odchylił się i spojrzał w górę na grube konary, które trwały nieruchomo. Tutaj wiatr musiałby powiać z prędkością przynajmniej piętnastu metrów na sekundę.

Potężne drewniane drzwi stały otworem. Hoffmann wszedł do dużego kościoła. Wysoki sufit był pomalowany na biało, ołtarz miał wydłużony kształt. Doszedł do wniosku, że w ławkach mogliby zasiąść wszyscy więźniowie z zakładu karnego w Aspsås, a i tak zostałyby jeszcze wolne miejsca. Budynek pochodził z epoki, kiedy władzę symbolizowało wszystko co duże.

Wielka sala była pusta, jeśli nie liczyć kościelnego, który prznosił krzesła spod chrzcielnicy. Panowała prawie zupełna cisza, Hoffmann słyszał tylko drapanie dochodzące z chóru przy organach.

Podszedł bliżej i włożył do skarbonki wiszącej tuż przy wejściu banknot o nominale dwudziestu koron. Skinął głową kościelnemu, który usłyszał jakiś ruch i odwrócił się. Hoffmann wyszedł na korytarz biegnący między wnętrzem kościoła a głównym wejściem, upewnił się, że nikt go nie obserwuje, i otworzył szare drzwi po prawej stronie.

Szybkim krokiem ruszył na górę.

Strome schody i stopnie zrobiono w czasach, gdy ludzie byli niższego wzrostu. Drzwi otworzyły się, kiedy je lekko nacisnął. W środku znajdowała się aluminiowa drabinka oparta o ciasny otwór w suficie prowadzący na kościelną wieżę.

Zatrzymał się. Złowił jakiś dźwięk, który dochodził z organów.

Hoffmann się uśmiechnął. Tak, to ten sam dźwięk, który usłyszał wcześniej, kiedy był na dole. Miejscowy kantor przygotowywał psalmy na nabożeństwo.

Aluminiowe schodki zakołysały się, kiedy z torby zawieszanej na ramieniu wyjął klucz do rur i przyłożył cęgi do kłódki blokującej dostęp do wjazdu. Mocny ruch i kłódka odpadła. Nacisnął pokrywę, wszedł na wieżę i przykucnął obok wielkiego żeliwnego dzwonu. Zostały mu jeszcze jedne drzwi.

Otworzył je i wyszedł na galerię. Widok, jaki się stąd rozciągał, był tak zachwycający, że Hoffmann musiał przez chwilę stanąć w milczeniu, żeby popatrzeć na niebo, las, oba jeziora i coś, co z dużej odległości przypominało kanciastą górę. Trzymał się poręczy i przyglądał galeryjce. Niezbyt szeroka, ale miejsca było na niej tyle, że można się położyć. Wiatr się wzmagił, liście tańczyły w powietrzu, a niektóre mniejsze gałęzie poruszały się na tej wysokości. Hoffmann spojrzał na mur, drut kolczasty i zakratowane okna domów. Zakład karny w Aspsås był równie duży i brzydki z tego miejsca, jak i w środku. Stąd ma naprawdę dobry widok na więzienie. Nic mu nie przeszkadza, może widzieć każdego więźnia na spacerniaku, każdy bezsensowny kawałek ogrodzenia, każde drzwi zamknięte na klucz, zamocowane w betonowych ścianach.

„I że po zakończeniu zadania zajmiemy się panem. Wiem, że po tym wszystkim będzie nad panem wisiał wyrok śmierci, że będzie pan już spalony w całym świecie przestępczym. Damy panu nowe życie, nową tożsamość i pieniądze na rozpoczęcie wszystkiego od nowa za granicą”.

Trzymał w ręce magnetofon i wsłuchiwał się w jej głos, który nadal brzmiał wyraźnie, mimo monotonnych porywów wiatru.

„Gwarantuję to panu jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości”.

Jeśli mu się uda. Bo jeśli to, co zamierza zrobić za murami, będzie przebiegać dokładnie tak, jak to sobie zaplanował, wydadzą na niego wyrok śmierci. Będzie musiał wtedy jak najszybciej stamtąd zniknąć.

Postawił na posadzce torbę i wyjął z niej cienki czarny kabel i dwa nadajniki. Miały srebrny kolor i wielkość monety o wartości

pięćdziesięciu öre. Do każdego końca kabla podłączył po jednym nadajniku i przymocował półmetrowej długości kawałek po zewnętrznej stronie poręczy w taki sposób, aby był zwrócony w stronę więzienia, a zarazem niewidoczny dla osoby stojącej na galerijce wokół zegara.

Kucnął i zeszkrobał nożem dwa centymetry plastikowej powłoki kabla, aż pojawił się drut. Połączył końcówkę z następnym kablem i tak jak poprzednio przymocował wszystko do poręczy. Położył się, przysunął bliżej balustrady i przymocował wszystko czymś, co przypominało pokryty rowkami kawałek szkła. Sprawdził, czy dwa kable, dwa nadajniki i ogniwo słoneczne zostały właściwie przymocowane.

Zawsze sam. Ufaj tylko sobie.

Następnym razem, kiedy ktoś stanie w tym miejscu i zacznie mówić, nie będzie miał pojęcia, że każde słowo, każde zdanie usłyszy ktoś, kto został skazany na karę długoletniego więzienia i znajduje się w murach widocznego stąd zakładu karnego Aspsås.

ZOSTAŁ JESZCZE PRZEZ CHWILĘ, żeby podziwiać widok. Dwa tak różne od siebie miejsca, tak blisko, a zarazem tak daleko.

Gdyby postać jeszcze trochę na galerijce smaganej podmuchami wiatru, z głową pochyloną lekko w dół, ujrzałyby skrzące się jeziora, czubki drzew i jasnoniebieskie niebo, które nigdy się nie kończy.

Gdyby jeszcze bardziej pochylił głowę, ujrzałyby własny świat i własną rzeczywistość, dziewięć czworokątnych, betonowych budynków, które z tej odległości przypominały niewielkie miasteczko ułożone z klocków lego. Siedzą tam najgroźniejsi przestępcy, spędzają w nim dzień za dniem, czekają.

Hoffmann wiedział, że zostanie przydzielony do sprzątnia Bloku B. Uzgodniono to na spotkaniu w Kancelarii Rządu. Było to jedno z poleceń, które otrzymał naczelny dyrektor więziennictwa i miał je wykonać. Hoffmann skupił się więc na „klocku lego” stojącym mniej więcej pośrodku tamtej rzeczywistości otoczonej siedmiometrowym murem. Oglądał przez lornetkę niektóre budynki, których na razie nie znał, choć za dwa tygodnie staną się jego nowym światem i dniem codziennym. Wybrał jedno z okien na trzecim piętrze w części warsztatowej. To największe miejsce pracy dla więźniów, którzy woleli się nauczyć praktycznego zawodu, niż podjąć naukę. Okno w pobliżu dachu ze zbrojonym szkłem i gęstą kratą. Mimo to udało mu się zobaczyć kilku osadzonych, którzy stali przy maszynach. Od czasu do czasu przerywali

pracę, prostowali się i podnosili wzrok, żeby przez chwilę zatęsknić. A przecież właśnie to jest tak niebezpieczne, kiedy się liczy dni i czuje upływający czas.

ZAMKNIĘTY SYSTEM. DRÓG ucieczki brak.

A jeśli mnie wyczają? Jeśli będę spalony? Jeśli zostanę sam?

Nie pozostanie mu nic innego, jak tylko umrzeć.

POŁOŻYŁ SIĘ NA POSADZCE, przysunął do poręczy, ujął w dłonie niewidoczny karabin i skierował „lufę” w stronę okna, które przed chwilą obserwował w Bloku B na trzecim piętrze. Spojrzał na drzewa wzdłuż cmentarnego muru. Wiatr wzmagął się coraz bardziej, teraz poruszały się także najgrubsze konary drzew.

Siła wiatru: piętnaście metrów na sekundę. Skorygować osiem stopni w prawo.

Wycelował swój nieistniejący karabin w głowy więźniów chodzących po warsztacie. Otworzył torbę i wyjął odległościomierz, skierował go w stronę tego samego okna.

Sprawdził ekran, uśmiechnął się lekko.

Odległość między galerią wokół dzwonu a oknem wynosi dokładnie tysiąc pięćset trzy metry. Otwarta przestrzeń. Trzy sekundy od oddania strzału do trafienia.

Hoffmann mocno uchwycił swój nieistniejący karabin.

TUŻ PRZED DZIESIĄTĄ MINĄŁ GROBY i klony porastające cmentarz i poszedł wysprzątaną alejką do samochodu stojącego przed bramą cmentarza. Ze wszystkim zdążył na czas, zainstalował w kościele to, co musiał, i będzie pierwszą osobą, która zjawi się w bibliotece w Aspsås.

Biblioteka ma własną siedzibę przy rynku, jest wciśnięta między bank a sklep ICA. W środku bibliotekarka w wieku około pięćdziesięciu lat. Miła i uśmiechnięta.

– W czym mogę panu pomóc?

– Za chwilę. Muszę przejrzeć kilka tytułów.

Kącik dla dzieci z poduszkami i niskimi krzeselkami. Książki z serii o Pippi Pończoszance ułożone w kilku równych stosach, trzy zwykłe stoły dla kogoś, kto chce się pouczyć albo po prostu przez chwilę побыć

w spokoju, kanapa ze słuchawkami do słuchania muzyki i komputery podłączone do internetu. Niewielka, przytulna biblioteka, cicha i sensowna, w przeciwieństwie do więziennych murów, które dominują nad okolicą i wzbudzają niepokój.

Usiadł i zaczął przeglądać katalogi. Potrzebuje sześciu tytułów sześciu książek. Szukał tylko tych, których nikt nie wypożyczał od dłuższego czasu.

– Poproszę to: Byron *Don Juan*, Homer *Odyseja*, Johansson *Z głębi szwedzkiego serca*, Bergman *Marionetki*, Bellman *Opis mojego żywota* i do tego jeszcze książkę z serii „Wydawnictwo Atlantis poleca literaturę światową” pod tytułem *Francuskie krajobrazy*.

– Poezje... i tytuły, które... nie, nie sądzę, żebyśmy mieli którąś z tych książek w bieżącym wypożyczaniu.

– Zauważyłem to w katalogu.

– Będę potrzebowała trochę czasu, żeby je tu przynieść.

– Potrzebne mi są teraz.

– Jestem tu sama... a poza tym te książki są w magazynie. Tak to nazywamy, gdy jakieś książki nie są przez długi czas wypożyczane.

– Bardzo mi zależy, żeby je dostać w tej chwili. Trochę mi się spieszy.

Kobieta westchnęła, ale niezbyt głęboko, jak ktoś, kto musi się uporać z problemem, który sprawia mu przyjemność.

– W tej chwili jedynie pan tu jest. Dopiero przed lunchem zjawi się więcej osób po książki. Zejdę do magazynu, pod warunkiem że mnie pan tu zastąpi.

– Dziękuję. Tylko proszę przynieść książki w twardej oprawie.

– Słucham?

– Nie chcę wydać kieszonkowych, które trzymają się na słowo honoru.

– Takie książki są tańsze, a zawierają tę samą treść.

– Twarde okładki. Dla mnie jest ważne, jaką książkę czytam.

Właściwie ważne jest to, gdzie to robię.

Hoffmann usiadł na krześle bibliotekarki za ladą i czekał. Wcześniej już tu bywał i wypożyczał książki, których prawie nikt nie brał i dlatego przechowywano je w magazynie w piwnicy. Tak samo dzieje się w wielu innych bibliotekach w miejscowościach, gdzie znajduje się więzienie o zastrzonym rygorze. Wypożyczał książki w miejskiej bibliotece w Kumli, której czytelnikami byli również więźniowie miejscowego zakładu karnego. Także w miejskiej bibliotece w Södertälje, z której korzystali osadzeni z zakładu karnego Hall. Kiedy zaś książki chcieli dostać więźniowie z zakładu karnego Aspsås, zamawiali je tutaj,

w miejskiej bibliotece w Aspsås. Jeśli książka znajdowała się w magazynie, wypożyczający mógł być pewien, że dostanie dokładnie to, co zamówił.

Bibliotekarka ukazała się w drzwiach prowadzących do magazynu. Oddychała ciężko.

– Strome schody – powiedziała z uśmiechem. – Chyba powinnam zacząć uprawiać jogging.

Jego lista zawierała tytuły sześciu książek.

– Mogą być takie?

W twardej okładkach, duże. Ciężkie.

– Tulipany i poezja.

– Słucham?

– Właśnie te, które chciałem mieć.

NA RYNKU W ASPSÅS SILNIE WIAŁO. Także słońce przyświecało dość mocno, ale ludzi było tu niewielu. Starsza pani idąca z trudem po chodniku wsparta o specjalny wózek; mężczyzna mniej więcej w jej wieku, który przerzucił przez kierownicę swojego roweru plastikowe torby i obiema rękami grzebał w koszu na śmieci, szukając butelek, które mógłby oddać do skupu. Hoffmann powoli wyruszył w drogę powrotną z miasta, do którego wróci za dziesięć dni z kajdankami na rękach, już jako więzień.

„Chcę wiedzieć jak”.

„Zrobiliśmy coś takiego już trzy razy”.

Zamknięty system, bez drogi ucieczki.

Informator, czyli wtyka, był równie znienawidzony za murem jak zboczeńcy seksualni, pedofile albo gwałciciele. Tacy znajdowali się zawsze najniżej w hierarchii więziennej, w której wysoki status i silną władzę mieli mordercy i handlarze narkotyków.

„Otrzyma pan oficjalne ułaskawienie. Wybierzemy tak zwane uzasadnienie ze względów humanitarnych. Nie będziemy musieli tego wyjaśniać w sposób szczegółowy. Względy medyczne albo humanitarne wystarczą Ministerstwu Sprawiedliwości do podjęcia tajnej decyzji”.

W razie gdyby coś poszło nie tak, miał tylko obietnicę pani podsekretarz stanu i własne zabezpieczenie.

Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Jeszcze osiemnaście godzin. Do Sztokholmu zostało jakieś dziesięć kilometrów. To już przedmieścia, jechał zbyt szybko. Nagle zadzwonił jeden z jego dwóch telefonów

komórkowych. W słuchawce usłyszał poirytowany głos kobiety, wychowawczyni z przedszkola Hagtorn.

Obaj chłopcy znowu mieli gorączkę.

Skreślił w Enskededalen. Dzisiaj to on powinien pilnować synów. Alvedon przestał działać.

MĄDRA KOBIETA, KILKA LAT MŁODSZA od niego. Emil i Rasmus zawsze czuli się przy niej bezpiecznie.

– Nie rozumiem tego.

To ona zadzwoniła przed dwoma dniami z informacją, że chłopcy mają gorączkę. Teraz siedzi przed nim w gabinecie przedszkolnym i przygląda mu się, podczas gdy dwaj rozgrzani chłopcy czekają na ławce w sali zabaw.

– Nie rozumiem, że państwo... nie pojmuję, że przez tyle lat faszerujecie chłopców alvedonem.

– Nie bardzo rozumiem, do czego pani...

Hoffmann zaczął się bronić, jak zawsze, gdy ktoś go o coś oskarżał. Po chwili zamilkł. To nie przesłuchanie, wychowawczyni nie była policjantem, a on nie był podejrzany o żadne przestępstwo.

– W naszym przedszkolu obowiązują pewne zasady. Zna je pan dobrze. Mówią one o tym, kiedy możemy dzieci przyjmować, a kiedy nie. To jest miejsce pracy dorosłych ludzi, a zarazem miejsce zabaw pańskich dzieci i dzieci innych rodziców.

Zrobiło mu się wstyd i dlatego siedział w milczeniu.

– Poza tym... Taka sytuacja nie jest dobra dla samych dzieci. Ani dla Emila, ani dla Rasmusa. Przecież sam pan widzi, jak to wygląda, kiedy dwie takie małe istotki walczą z gorączką. Może to mieć inne, znacznie poważniejsze konsekwencje. Rozumie pan?

Tak to się zawsze dzieje, kiedy ktoś przekracza granicę, której obiecał nie przekraczać. Kim w takim razie jest?

– Rozumiem, co pani chce przez to powiedzieć. To się więcej nie powtórzy.

Zaniósł ich na rękach do samochodu i posadził na tylnym siedzeniu. Kiedy pocałował ich w czoła, poczuł, że są rozgrzane.

Jeszcze jeden raz. Tylko ten jeden.

Wyjaśnił im, że muszą to zrobić, jeśli chcą wyzdrowieć. Podał im po dawce alvedonu w płynie.

– Nie chcę.

- Tylko ten jeden raz.
- To jest paskudne.
- Wiem, ale to ostatni raz. Obiecuję.

Znowu pocałował ich w czoła i ruszył w kierunku przeciwnym niż ten, gdzie mieszkali. Emil od razu to zauważył.

– Dokąd jedziemy?

– Do mojej pracy. Pojedziemy tam na chwilę. Potem od razu wracamy do domu.

Dwie minuty samochodem przez Skanstull i Söderleden. Kierował się w stronę centrum miasta, ulicy Vasagatan. Pod tunelem na Södermalm zmienił pas i skierował się w stronę Hornsgatan i dalej na plac Mariatorget. Zaparkował przed sklepem wideo wciśniętym między dom towarowy Konsum i halę do bowlingu, zerknął przez szybę sklepu na tylne siedzenie samochodu i wybrał trzy filmy – dwanaście odcinków *Kubusia Puchatka*. Jego chłopcy znali już poszczególne kwestie na pamięć. Jakoś to wytrzymał, bo akurat w tych filmach głos dorosłych udających dzieci nie brzmiał równie histerycznie jak w innych.

Potem zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi do budynku przy Vasagatan. Emil i Rasmus nadal byli rozgrzani i zmęczeni. Wolał, żeby teraz za dużo nie chodzili. Już wcześniej kilka razy go odwiedzali w siedzibie firmy Hoffmann Security AB, ciekawi jego pracy, jak to dzieci. Jednak nigdy nie odwiedzili go podczas pracy. Dla nich było to nadal miejsce, do którego przychodził ich tata, żeby tam poczekać, aż skończą się bawić w przedszkolu.

Pół litra lodów waniliowych, dwie duże szklanki coca-coli i dwanaście odcinków *Kubusia Puchatka*. Hoffmann ustawił to wszystko w dużym pokoju przed telewizorem i wyjaśnił, że musi iść na chwilę na strych. Jednak chłopcy go nie słyszeli, bo akurat na ekranie telewizora pojawił się Królik i drewniany powóz. Chcieli, żeby Kubuś usiadł na tym wózku. Hoffmann wyjął z wentylatora trzy puszki, zniósł je na dół, postawił na podłodze i uprzątnął biurko, żeby mieć miejsce do zrobienia tego, co zamierzał.

Potem położył na stole sześć wypożyczonych w bibliotece książek, które rzadko ktoś wypożyczał i dlatego na pierwszych stronach miały nalepki z napisem „Magazyn”. Ktoś wypisał to słowo niebieską czcionką na maszynie.

Plastikowa torebka z rozebrany na części pistoletem.

Dwa kawałki lontu do pentrytu długości dziewięciu metrów każdy.



Plastikowa torebka z czterema centylitrami nitrogliceryny podzielonej na dwadzieścia cztery porcje.

Puszka trzydziestoprocentowej amfetaminy.

Wyjął z szuflady biurka klej w sztyfcie, paczkę żyletek i opakowanie cienkiej bibułki. Niektórzy skręcają z niej papierosy.

Tulipany.

I poezje.

Otworzył pierwszą książkę. *Don Juan* George'a Byrona. Świetnie się będzie nadawać. Pięćset czterdzieści sześć stron. Twarde okładki. Osiemnaście centymetrów długości, dwanaście szerokości.

Wiedział, że to działa. W ciągu ostatnich dziesięciu lat spreparował w taki sposób ze dwieście powieści, zbiorów wierszy, esejów. W każdą z tych książek włożył od dziesięciu do piętnastu gramów amfy i za każdym razem mu się udało. Dzisiaj po raz pierwszy wypożyczy tak „wzbogacone” książki sam i opróżni je w swojej celi w Aspsås.

„Potrzebuję trzech dni, żeby wyeliminować konkurencję. Przez ten czas nie będę nawiązywał kontaktu z żadnym z naszych. Na mnie spadnie też obowiązek, żeby zaopatrzyć się w odpowiednią ilość towaru”.

Przeciął przednią wyklejkę w miejscu zgięcia. Pięćset czterdzieści sześć stron *Don Juana* trzymało się teraz tylko na tylnej okładce. Czubkiem żyletki wygładził strzępki, które zwisały luzem. Przerzucił kartki na stronę dziewięćdziesiątą, chwycił wszystkie dziewięćdziesiąt stron w rękę, mocno pociągnął i położył je na biurku. Potem przerzucił resztę kartek do strony trzysta dziewięćdziesiątej, znowu wyrwał i też położył na biurku.

Teraz musi się zająć kartkami od strony dziewięćdziesiątej pierwszej do strony trzysta dziewięćdziesiątej.

Na lewym marginesie na stronie dziewięćdziesiątej pierwszej narysował ołówkiem prostokąt o długości piętnastu centymetrów i szerokości jednego centymetra. Potem zaczął ciąć wzdłuż linii, coraz głębiej, milimetr za milimetrem, aż przeciął cały plik kartek, trzysta stron. Zrobił to zręcznie, obciął każdą nierówność i każdy luźno wiszący strzępek. Przewrócił książkę na drugą stronę i skleił jej środek, który miał teraz na lewym marginesie świeżo powstały otwór o długości piętnastu centymetrów, szerokości jednego centymetra i trzech centymetrów głębokości. Dotknął brzegów opuszkami palców i okazało się, że nadal są nierówne. Dlatego wyrównał brzegi bibułką, bo przecież kiedy będzie wypełniał pustą przestrzeń amfetaminą, muszą być równe. W książce,

która była grubsza od innych, znajdzie się miejsce na piętnaście gramów narkotyku.

Pierwszych dziewięćdziesiąt stron nadal jest nieruszonych. Umieścił je tam, gdzie powinny się znajdować, nad otworem, skleił je z przednią wyklejką, a następnie przycisnął klasyczne dzieło Byrona rękami do stołu, aż się upewnił, że wszystko trzyma jak należy.

– Co robisz, tatusiu?

Emil spojrzał mu przez łokieć na książkę.

– Nic. Czytam. Dlaczego nie oglądasz filmu?

– Już się skończył.

Hoffmann pogłaskał Emila po twarzy i wstał z krzesła. Zostały mu jeszcze dwa filmy. Zanim przygotowania dobiegną końca, Kubuś Puchatek zje jeszcze więcej miodu, a Królik jeszcze bardziej na niego nakrzyczy.

Kiedy chłopcy oglądali kolejne filmy, Hoffmann przygotował w taki sam sposób *Odyseję*, Bellmana i *Francuskie krajobrazy*. Za dwa tygodnie, już jako osadzony w zakładzie karnym w Aspsås, wypożyczy z biblioteki cztery książki, w których znajdzie łącznie czterdzieści dwa gramy amfetaminy.

Zostały jeszcze dwie.

Wziął nową żyletkę i zrobił nią długą dziurę na lewym marginesie książki *Z głębi szwedzkiego serca* i *Marionetek*. W pierwszą wsunął każdą pojedynczą część, z której ktoś znający się na broni – gdyby wypożyczył książkę i odkrył jej zawartość – mógłby złożyć minirewolwer. Miał pewne trudności z bębenkiem załadowanym sześcioma pociskami. Okazało się, że jest szerszy, niż sądził. Dlatego musiał go ostrożnie docisnąć. Żeby to zrobić, poluzował lekko bibułkę. Taki rewolwer to śmiertelna broń, która może zabić, jeśli pocisk trafi we właściwy sposób. Pierwszy raz ujrzał ją w akcji w Świnoujściu, kiedy jeden z kurierów próbował zwymiotować dwa tysiące pięćset gramów heroiny w toalecie terminalu, jeszcze przed odejściem promu. Mariusz otworzył drzwi, gdy kurier leżał na podłodze i zdążył już zwrócić jedno opakowanie. Mariusz nie powiedział wtedy ani słowa, tylko podszedł bliżej, przyłożył kurierowi krótką lufę do oka i zabił jednym strzałem.

W ostatniej książce Hoffmann umieścił zapalnik wielkości grubego gwoźdźca, a także odbiornik wielkości monety o wartości pięćdziesięciu öre. Jeśli się go włoży do ucha, będzie można odbierać sygnały z dwóch nadajników umocowanych na kościelnej wieży.

Dwa lonty do pentrytu o długości dziewięciu metrów każdy oraz plastikowa koszulka z nitrogliceryną leżały już na biurku. Hoffmann zerknął na chłopców, którzy oglądali film o grubym niedźwiadku. Nagle wybuchnęli śmiechem, bo na głowie Puchatka wylądował słoik miodu. Hoffmann wyszedł do kuchni, otworzył jeszcze jedną paczkę lodów i położył ją między chłopcami na stole. Przy okazji pogłaskał Rasmusa po policzku.

Teraz zaczną się problemy. Musi tak ukryć lont i nitroglicerynę, żeby nie zostawić żadnych śladów.

Wybrał do tego największą książkę, *Z głębi szwedzkiego serca*. Miała dwadzieścia dwa centymetry długości i piętnaście centymetrów szerokości. Rozerwał przednią okładkę biblioteczną, wygrzebał ze środka gąbczastą zawartość i zastąpił ją materiałem wybuchowym. Następnie zakleił i wyrównał brzegi. Na końcu przewertował strony wszystkich sześciu książek, aby się upewnić, że każde sklezione miejsce mocno trzyma i że z zewnątrz nie widać podłużnych otworów.

– Co to takiego?

Przy stole znowu pojawiła się buzia Emila. Drugi film też się skończył.

– Nic.

– Co to jest, tatusiu?

Emil wskazał na metalową puszkę wypełnioną trzydziestoprocentową amfetaminą.

– To? Właściwie to... cukier gronowy.

Emil nie odchodził od stołu, bo nie chciało mu się wracać do brata.

– Nie chcesz jeszcze pooglądać? Został jeden film.

– Za chwilę. A co to za dwa listy? Do kogo?

Emil zauważył dwie koperty leżące w szafce na broń.

– Nie zamierzam ich wysłać.

– Ale na nich są nazwiska.

– Muszę je jeszcze dokończyć.

– Co tam jest napisane?

– Może pójdziemy obejrzeć film?

– Na jednym jest imię mamy. Na tym białym. Tak wygląda. A na brązowej kopercie imię zaczyna się od litery „E”, to też widzę.

– Ewert. Tak ma na imię ten pan. On tego listu nie dostanie.

Dziewiąta część *Kubusia Puchatka* opowiadała o przyjęciu urodzinowym Prosiaczka i o wycieczce z Krzysiem. Emil dosiadł się do Rasmusa. Hoffmann najpierw sprawdził zawartość brązowej koperty – była tam płyta CD z kopią nagrania, trzy paszporty i nadajnik – nakleił

znaczek i włożył ją do brązowej skórzanej torby razem z sześcioma książkami wypożyczonymi w bibliotece w Aspsås. Potem sięgnął po białą kopertę, na której Emil rozpoznał imię Zofii – w niej znajdowała się płyta CD z kopią nagrania, czwarty paszport i list z instrukcjami. Teraz dodał do tego jeszcze dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy koron w banknotach i włożył całość do torby.

Jeszcze piętnaście godzin.

Wyłączył telewizor i pomógł chłopcom włożyć buty. Znowu byli rozgrzani. Przełożył pięćdziesiąt tulipanów z zielonymi pąkami do przenośnej lodówki, zabrał torbę, dzieci i zszedł do samochodu, który stał przed wejściem do budynku. Za wycieraczką zobaczył mandat za parkowanie w niewłaściwym miejscu.

SPOJRZAŁ NA DWIE ROZGRZANE buzie synów.

Musiał pojechać jeszcze w dwa miejsca.

Potem załaduje chłopców do łóżek, siądzie i będzie ich obserwował, aż wróci Zofia.

Kiedy poszedł do oddziału Handelsbanku na Kungsträdgårdsgatan, obaj zostali w samochodzie. Hoffmann zszedł do podziemi, gdzie znajdowały się skrytki bankowe. Jednym z kluczy otworzył pusty schowek, włożył do środka obie koperty, zamknął go i chwilę później wsiadł do samochodu. Spod banku pojechał w kierunku Södermalm i ulicy Hökensgata.

Znowu popatrzył na synów. Zrobiło mu się wstyd.

Przekroczył wyznaczoną granicę. Wiózł samochodem chłopców, których kochał bardziej niż cokolwiek na świecie, a w bagażniku miał amfetaminę i nitroglicerynę.

Przełknął ślinę. Nikt nie może widzieć, że płakał. Nie chciał tego.

O SZESNASTEJ PIĘTNAŚCIE ZATRZYMAŁ się przed wejściem do budynku przy ulicy Hökensgata 1. Erik Wilson nadchodził z drugiej strony.

– Nie chcę już więcej chodzić.

– Wiem. Tylko tutaj. Potem pojedziemy do domu. Obiecuję.

– Boli mnie noga, tatusiu. Bardzo mnie boli.

Rasmus usiadł na pierwszym stopniu schodów. Kiedy Hoffmann dotknął jego dłoni, poczuł, że jest rozgrzana. Wziął go na jedną rękę, do

drugiej przenośną lodówkę i skórzaną torbę. Emil musiał sam wchodzić po schodach. Jako starszy wiedział, że czasem powinien zachowywać się doroślej niż brat.

Trzecie piętro, wizytówka z nazwiskiem Lindström na skrzynce pocztowej. Okienko otworzyło się dokładnie w tej samej chwili, gdy w zegarku włączył się sygnał alarmowy.

– Chłopcy, to jest wujek Erik.

Rasmus i Emil wyciągnęli ręce, żeby się przywitać. Hoffmann zauważył poirytowany wzrok Wilsona, jakby ten chciał zapytać: co oni tu, u diabła, robią?

Weszli do dużego pokoju wyłożonego plastikową folią i z ciekawością przyglądali się dziwnym meblom.

– Tatusiu, dlaczego tu jest tyle folii?

– Będą remontować.

– Remontować?

– Mieszkanie. I dlatego nie chcą, żeby się tu nabrudziło.

Posadził ich na szeleszczącej kanapie i wszedł do kuchni, gdzie Wilson powitał go zniecierpliwionym spojrzeniem. Hoffmann pokręcił głową.

– Nie miałem innego wyjścia.

Wilson siedział w milczeniu. Wyglądał, jakby na widok chłopców całkowicie stracił panowanie nad sobą. A przecież gra toczy się na śmierć i życie.

– Rozmawiałaś z Zofią?

– Nie.

– Musisz to zrobić.

Hoffmann nie odpowiedział.

– Piet, możesz sobie milczeć, ile chcesz, ale i tak będziesz musiał z nią porozmawiać.

Hoffmann zastanawiał się, jak zareaguje żona. Jej reakcji nie był w stanie kontrolować.

– Dobrze, dziś wieczorem. Porozmawiam z nią, gdy dzieci zasną.

– Nadal możesz się wycofać.

– Wiesz, że muszę to doprowadzić do końca.

Wilson skinął głową i spojrzał na niebieską przenośną lodówkę, którą Hoffmann postawił na stole.

– Tulipany. Pięćdziesiąt sztuk. Będą żółte.

Wilson popatrzył na zielone paki i lodygi, które leżały obok białych czworokątnych pojemników.

– Wkładam je do chłodnego wnętrza. Musi tu panować temperatura plus dwa stopnie. Chcę, żebyś się nimi zajął. Tego samego dnia, kiedy przekroczyć bramę w Aspsås, wyślesz je tam, dokąd ci powiem.

Wilson sięgnął do lodówki i odwrócił jeden z bilecików.

„W podziękowaniu za dobrą współpracę. Zrzeszenie Przedsiębiorców w Aspsås”.

– Tak.

– A dokąd mam je wysłać?

– Do zakładu karnego w Aspsås. Na ręce naczelnika więzienia.

Wilson nie pytał więcej. Lepiej nie wiedzieć.

– Jak długo będziemy jeszcze czekać? – Emilowi znudziło się przesuwanie palcami po folii, która tak dziwnie przy tym szeleściła.

– Jeszcze tylko krótką chwilkę. Idź do Rasmusa. Ja zaraz przyjdę.

Wilson odczekał, aż Emil znikł za drzwiami.

– Zatrzymają cię jutro. Od tej pory nie będziemy utrzymywać ze sobą żadnych kontaktów. Nie będziesz w żaden sposób starał się kontaktować ani ze mną, ani z policją w Sztokholmie. Dopiero gdy skończysz i powiesz, że chcesz wyjść. To zbyt niebezpieczne. Jeśli ktoś zacznie podejrzewać, że pracujesz dla nas... jesteś martwy.

WILSON SZEDŁ KORYTARZEM SEKCJI dochodzeniowej. Był niespokojny, przed pokojem Grensa trochę zwolnił. Ostatnio ciągle to robił, spoglądał z zaciekawieniem do pustego pomieszczenia i starał się usłyszeć muzykę, która już nie grała. Zastanawiał się, co Grens właśnie robi, co wie i kiedy zacznie mu zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Westchnął. Nie wyglądało to najlepiej. Hoffmann miał dzieci, były jeszcze takie małe. Do zadań Wilsona należało zachęcanie informatorów, aby podejmowali większe ryzyko w celu zdobywania informacji dla policji, ale w tym wypadku nie był pewien, czy Piet zrozumiał, jak może skończyć. Obaj bardzo się do siebie zbliżyli i dlatego naprawdę się o niego troszczył.

Jeśli coś się zdarzy, przerwij akcję.

Jeśli ktoś się dowie, kim jesteś, będziesz miał nowe zadanie: przeżyć – przemawiał do niego w myślach.

Zamknął drzwi do pokoju i włączył komputer, którego ze względów bezpieczeństwa nigdy nie podłączał do internetu. Na spotkaniu poinformował Pieta, że w czasie, gdy nie będą się ze sobą kontaktować,

będzie przebywał we FLETC w południowej Georgii, żeby dokończyć to, co musiał przerwać przed dwoma dniami. Wilson nie do końca był przekonany, czy siedzący przed nim człowiek słuchał jego słów. Wprawdzie potakiwał i kiwał głową, ale myślami był już w drodze do domu, gdzie chciał spędzić swój ostatni dzień na wolności. Na ekranie monitora pojawił się nowy, pusty dokument. Wilson zaczął pisać raport, który za pośrednictwem Göranssona trafi do komendanta wojewódzkiego policji, a potem zostanie usunięty z twardego dysku. W raporcie szczegółowo opíše powody zatrzymania poszukiwanego groźnego przestępcy wiozącego w bagażniku samochodu trzy kilogramy polskiej amfy. Będzie mógł dostarczyć ten raport najwcześniej jutro rano, ponieważ to, o czym w nim pisze, jeszcze się nie zdarzyło.

CZEKAŁ PRZY KUCHENNYM STOLE przez dwie godziny. Sam.

Piwo, kanapka, krzyżówka... ale i tak ani nic nie wypił, ani nie zjadł, ani nie rozwiązał żadnego hasła.

Emil i Rasmus spali na piętrze już od dłuższego czasu. Zjedli naleśniki ze słodką polewą i bitą śmietaną. Pościelił im łóżka, otworzył okna i po dwóch minutach obaj już spali.

Nagle usłyszał kroki. Od razu je rozpoznał.

Szła przez ogród, weszła po schodach, klucz zgrzytnął w zamku. Hoffmann poczuł lekki ucisk w żołądku.

– Cześć.

Była taka ładna.

– Cześć.

– Śpią?

– Od dwóch godzin.

– A gorączka?

– Jutro rano opadnie.

Pocałowała go lekko w policzek i uśmiechnęła się. Nawet nie zauważyła, że świat mu się wali. Kolejny pocałunek w drugi policzek, dwa razy, jak zawsze. Nawet nie wiedziała, że grunt usuwa mu się spod nóg.

– Musimy o czymś porozmawiać.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Zofia westchnęła cicho.

– Nie możemy z tym poczekać?

- Nie.
- A jutro? Jestem taka zmęczona.
- Jutro będzie za późno.

Poszła na górę, żeby się przebrać. Miękkie spodnie i gruba koszula ze zbyt długimi rękawami. Była taka, jaką chciał mieć. Wcisnęła się w róg kanapy i spojrzała na niego, czekając, aż zacznie. Wcześniej zamierzał przygotować coś do jedzenia, jakąś ostrą potrawę indyjską albo tajską, otworzyć butelkę drogiego czerwonego wina i dopiero po chwili zacząć ostrożnie opowiadać. Doszedł jednak do wniosku, że wszystko, co jest fałszywe i co trzeba wyjaśnić, zabrzmiał jeszcze fałszywiej, jeśli ukryje to pod przykrywką uprzejmości i bliskości. Pochylił się w jej stronę i objął ją. Tak ładnie pachnie, sobą.

– Kocham cię. Kocham Emila i Rasmusa. Kocham ten dom i uczucie, jakiego doznaję, kiedy ktoś nazywa mnie swoim mężem, a ktoś inny woła do mnie „tatusiu”. Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Przyzwyczailem się do tego, jestem od tego całkowicie uzależniony.

Zofia skurczyła się jeszcze bardziej, przesunęła się w głąb narożnika. Czowała, że mąż ćwiczył wcześniej to, co mówił.

– Chciałbym, żebyś mnie uważnie posłuchała. Musisz jednak zostać na swoim miejscu do końca i wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

Zawsze wiedział o każdej sytuacji więcej niż ci, z którymi ją przeżywał. Jeśli będzie lepiej przygotowany, będzie mógł kontrolować sytuację, bo ten, kto ją kontroluje, zawsze decyduje.

Ale nie teraz.

Jej uczucia, jej reakcje... przerażają go.

– Kiedy już ci wszystko opowiem, zrobisz, co będziesz chciała. Wysłuchaj mnie, a potem zrób z tym, co uznasz za stosowne.

Usiadł naprzeciwko niej i cichym głosem zaczął opowiadać o swoim pobycie w więzieniu przed dziesięciu laty, o policjancie, który go zwerbował do współpracy jako informatora, i o kolejnych przestępstwach, których się dopuszczał, podczas gdy ten sam policjant zawsze dbał o to, aby sprawy nie wyszły na jaw. Opowiedział jej o polskiej mafii, o firmie Securitus International, o tajnych spotkaniach w remontowanych mieszkaniach, o tym, jak przez wszystkie lata podwoziła go do pracy w firmie Hoffmann Security AB, o sfałszowanych wpisach do rejestru przestępstw, z których wynika, że jest skłonny do przemocy psychopata, o tym, że jutro o szóstej trzydzieści, jako jeden z najgroźniejszych przestępców w Szwecji, zostanie zatrzymany w hali bilardowej w centrum Sztokholmu, o procesie sądowym



i o spodziewanym wyroku długoletniego więzienia, o życiu za wysokim murem, które zacznie się dla niego za dziesięć dni i potrwa dwa miesiące. Opowiedział, że każdego dnia będzie miał przed oczami ją i dzieci, i wiedział, że budował zaufanie wokół kłamstw.

PIĄTEK

LEŻELI OBOK SIEBIE W ŁÓŻKU, starając się nie dotknąć.

Zofia milczała.

Hoffmann co jakiś czas przestawał oddychać, bojąc się, że nie usłyszy tego, czego nie powiedziała.

Spojrzał na brzeg łóżka. Wiedział, że Zofia nie śpi, że tylko leży i patrzy na jego fałszywe plecy. Swoją opowieść kontynuował przy butelce taniego wina. Kiedy skończył, Zofia po prostu wstała, poszła do sypialni i zgasiła lampkę. Nie powiedziała ani jednego słowa, nie krzyczała. Milczała.

Hoffmann ubrał się, bo nagle zapragnął stamtąd wyjść. Nie mógł tkwić w takiej pustce. Odwrócił się i przez krótką chwilę patrzyli na siebie. Dał jej kluczyk do skrytki w oddziale Handelsbanku przy Kungsträdgårdsgatan. Jeśli kiedyś zapragnie, żeby nadal coś ich łączyło, a on do niej zadzwoni i powie, że wszystko się popieprzyło, niech tam zajrzy. Kiedy otworzy kasetkę, znajdzie w niej dwie koperty: brązową i białą. Niech przeczyta list i zrobi dokładnie to, co napisał w instrukcji. Nie był pewien, czy Zofia go słucha, bo nadal miała nieobecne oczy. Poszedł więc popatrzeć na główki śpiących synów. Wciągnął ich zapach, pogłaskał chłopców po policzkach i wyszedł z domu.

ZOSTAŁY DWIE GODZINY i trzydzieści minut. Spojrzał w lusterko i zobaczył, że w ciemnym zaroście na brodzie pojawiły się siwe kępki. Kiedy poprzednim razem przestał się golić, był jeszcze młodym człowiekiem. Zarost trochę drapie, na początku zawsze tak jest. No i te nieuczesane włosy. Przeciągnął po nich dłonią, ale nie wyglądało to lepiej. Właściwie ma zbyt rzadkie włosy, żeby je zapuszczać.

Niedługo zostanie zatrzymany, przewieziony w policyjnej suce do aresztu w Kronobergu, dadzą mu więzienne ubranie, luźno wiszące szmaty.

Jechał przez miasto, które budziło się do życia. To jego ostatnia podróż do miasteczka na północ od Sztokholmu, gdzie znajduje się kościół i biblioteka, którą odwiedził niecałą dobę wcześniej. W drodze do Aspsås towarzyszył mu słaby blask poranka i dzikie porywy wiatru. Z rynku znikły nawet sroki i gołębie. Na jednej z ławek siedział bezdomny, który zazwyczaj na niej sypiał. Hoffmann otworzył automat wrzutowy umieszczony na prawo od wejścia do biblioteki i wrzucił do środka sześć

książek, których prawie nikt nie wypożycza i dlatego nie stoją na co dzień na regałach z innymi książkami. Ruszył w stronę kościoła z białą fasadą, który zajmował tyle miejsca. Wszedł na cmentarz spowity miękką mgłą i spojrzał na kościelną wieżę, skąd roztaczał się widok na jeden z najcięższych zakładów karnych w kraju. Wszedł do środka, poszedł schodami na górę i stanął przed zamkniętym włazem pod ważącym kilkaset kilogramów żeliwnym dzwonem.

Dziewięć czworokątnych betonowych budynków otoczonych potężnym murem. Teraz jeszcze bardziej przypominały mu klocki lego ustawione w ich własnym świetle.

Wybrał okno w jednym z budynków i spojrzał na nie przez nieistniejącą lunetę nieistniejącego karabinu. Wyjął z kieszeni srebrzysty odbiornik i słuchawkę do ucha, taką samą, jaką ukrył we wnętrzu książki *Marionetki*, którą niedawno zostawił w automacie wrzutowym biblioteki w Aspsås. Przewiesił się przez poręcz, przez chwilę zdawało mu się nawet, że spada na ziemię. Jedną ręką trzymał się żelaznych prętów, podczas gdy drugą sprawdził, czy dwa nadajniki, czarny kabel i ogniwo słoneczne nadal są na swoim miejscu. Umieścił odbiornik w uchu, dotknął jednego z nadajników i przesunął po nim palcem w obie strony. Usłyszał lekki trzask. Oznaczało to, że wszystko działa jak należy.

Zszedł z wieży i poszedł między groby, które leżały blisko siebie, spowite mgłą, która zamazuje śmierć.

Jakiś kupiec z małżonką. Starszy pilot portowy z małżonką. Mistrz murarski z małżonką. Mężczyźni z nazwami funkcji i zawodów, a przy nich kobiety, które zmarły jako żony swoich obdarzonych tytułami mężów.

Zatrzymał się przed niewielką szarą płytą leżącą na grobie kapitana statku. Przypomniał mu się ojciec, przynajmniej taki, jakim go sobie wyobrażał. Ujrzał zwykłą łódź pełną rybackich sieci, która odpłynęła od brzegu gdzieś między Kaliningradem a Polską i znikła na kilka tygodni w Zatoce Gdańskiej albo gdzieś na Bałtyku. Jego matka przychodziła tam potem, czekając na jego powrót, a gdy zjawiał się na nabrzeżu, biegła, żeby rzucić mu się w ramiona. Ale w rzeczywistości nie tak to wyglądało. Mama opowiadała mu często o pustych sieciach i długim oczekiwaniu, nigdy o bieganiu do portu albo o tym, że rzucała się ojcu w ramiona. Jednak on stworzył sobie taki właśnie obraz, kiedy jako dziecko z zaciekawieniem pytał o ich życie w tamtych innych czasach. I właśnie te czasy chciał zachować w pamięci.

Popatrzył na grób, którym od wielu lat nikt się nie zajmował. Brzegi płyty nagrobnej były porośnięte mchem i prawie całkowicie zarośnięte ziemią. Właśnie ten grób wybrał. Kapitan floty morskiej, Stein Vidar Olsson z małżonką. Urodzony 3 marca 1888 roku, zmarł 18 maja 1958 roku. Dożył siedemdziesiątki. Był kimś. A teraz nie jest nawet nagrobkiem, do którego ktokolwiek przychodzi. Hoffmann trzymał w dłoni telefon komórkowy, narzędzie do kontaktowania się z Wilsonem. Za mniej niż dwie godziny ta droga porozumiewania się z drugą stroną zostanie zamknięta. Wyłączył telefon, owinął go w kawałek folii, schował do plastikowej torebki, przyklęknął i zaczął kopać rękami przy rogu płyty, aż otwór zrobił się wystarczająco głęboki. Rozejrzał się, ale o świcie nikt nie przychodzi na cmentarz. Włożył paczkę do dziury, zasypał ją ziemią i wrócił do samochodu.

MGŁA WOKÓŁ KOŚCIOŁA SŁAŁA się gęsto. Następnym razem zobaczy ten kościół z okna celi znajdującej się w czworokątnym betonowym budynku. Na szczęście zdążył ze wszystkimi przygotowaniami. Już niedługo zostanie zupełnie sam.

Ufaj tylko sobie.

Już teraz brakuje mu Zofii. Opowiedział jej całą historię, ale żona nie odezwała się ani słowem, jakby mówił o tym, że ją zdradził. A przecież nigdy nie dotknął innej kobiety, chociaż Zofia tak właśnie mogła się poczuć.

Kłamstwo nigdy nie ma końca. Wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Zmienia się tylko treść i forma, które dopasowują się do konkretnej rzeczywistości, co z kolei pociąga za sobą kolejne kłamstwo, żeby to poprzednie można było zatuszować. Przez dziesięć lat okłamywał Zofię, Emila, Rasmusa i całe swoje otoczenie. Twierdził, że kiedy to wszystko się skończy, na zawsze przesunie granicę między kłamstwem a prawdą. Tak to określił. Nigdy nie był pewien, gdzie kończy się kłamstwo i gdzie zaczyna prawda. Już nawet nie wiedział, kim jest.

Nagle się zdecydował. Przejechał wolniej kilka kilometrów i uświadomił sobie, że to naprawdę ostatni raz. Było to uczucie, które nosił w sobie przez cały rok i wreszcie je dopadł, rozpoznał i potrafił wytłumaczyć. Właśnie tak zawsze funkcjonował. Najpierw w całym ciele czuł coś niezbyt konkretnego, potem następowała chwila niepokoju, gdy starał się zrozumieć, co może oznaczać, następnie świadomość i zrozumienie, które pojawiały się nagle i z pełną mocą. A przecież

zanosilo się na to od dawna. Odsiedzi karę za murami więzienia w Aspsås i dokończy zadanie. Potem już nigdy więcej. Pracował dla policji, chociaż z wyjątkiem Erika Wilsona nikt mu za to nie dziękował. To Wilson okazywał mu przyjaźń i przekazywał co miesiąc dziesięć tysięcy koron ze specjalnego funduszu dla informatorów. Hoffmann zamierzał potem zacząć inne życie, kiedy już będzie wiedział, jak takie prawdziwe życie wygląda.

WPÓŁ DO SZÓSTEJ. SZTOKHOLM nadal budził się do życia. Na ulicy było jeszcze niewiele samochodów, nieliczni przechodnie szli do autobusów i do metra. Zaparkował przy Norrtullsgatan naprzeciwko szkoły św. Mateusza i wszedł do otwartej od wczesnego świtu kawiarni, gdzie serwowano kaszkę z przecierem jabłkowym, pszenny chleb z serem, do tego czarną kawę, a wszystko to za trzydzieści dziewięć koron. Wilsona zobaczył od razu po wejściu. Jego twarz skryła się natychmiast za aktualnym wydaniem „Dagens Nyheter”, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Hoffmann zamówił śniadanie i usiadł w kącie sali, jak najdalej od niego. W środku było jeszcze sześciu klientów, dwaj młodzi mężczyźni w odblaskowych kurtkach roboczych i czterej znacznie starsi od nich mężczyźni w garniturach. Najwidoczniej szykowali się tego dnia na jakąś ważną uroczystość. Miejsca otwarte od wczesnego świtu często tak wyglądały: samotni mężczyźni, którzy nie chcieli jeść śniadania w samotności. Kobiety rzadko się tak zachowują. Może lepiej sobie radzą z samotnością? Może się jej wstydzą i nie chcą pokazywać tego publicznie?

Kawa była mocna, a kaszka trochę zbyt gęsta. To jednak jego ostatni posiłek, który je tak, jak chce i kiedy chce. Kiedy siedział w Österåker, nie jadał śniadań. Serwowano je zbyt wcześnie, żeby miał ochotę jeść w towarzystwie tylu tęskniących za narkotykami mężczyzn zgromadzonych w tym samym miejscu. Zawsze się takich bał. Żeby jednak przeżyć, musi stawić czoło agresywności, szyderstwom, obojętności, czemukolwiek, co nie przypomina słabości.

Idąc w stronę wyjścia, Wilson podszedł bliżej jego stołu i prawie na niego wpadł. Hoffmann odczekał dokładnie pięć minut i wtedy wyszedł za nim. Dwie minuty szedł spacerem do Vanadisvägen. Otworzył drzwi srebrnoszarego volvo i zajął miejsce na siedzeniu obok kierowcy.

– Przyjechałeś czerwonym golfem, który stoi przed szkołą?

– Tak.

– Na stację benzynową OK na Slussen?

– Tak.

– Odstawię go dziś wieczorem. Będziesz miał problem, żeby się tam dostać.

Skęcili w Sankt Eriksgatan i przez chwilę szli w milczeniu. Minęli dwa skrzyżowania świetlne na Drottningholmsvägen.

– Wszystko załatwiłeś?

– Wszystko.

– A Zofia?

Hoffmann nie odpowiedział. Wilson zatrzymał samochód na przystanku autobusowym na placu Fridhemsplan, dając mu tym samym do zrozumienia, że dalej nie pojedzie.

– A Zofia?

– Wie.

Siedzieli w samochodzie i przyglądali się, jak ruch uliczny stopniowo gęstnieje. Nie tak dawno widać tu było tylko pojedyncze osoby. Teraz szli grupkami albo w długich kolumnach.

– Wczoraj zrobiłem z ciebie jeszcze bardziej groźnego bandytę. Patrol, który cię zatrzyma, będzie miał podwyższony poziom adrenaliny. Mogą użyć siły. Nie możesz być uzbrojony, bo wtedy wszystko się spieprzy. Mogę cię jedynie zapewnić, że nikt, kto będzie to oglądał albo przeczytał o tym, nie domyśli się, dla kogo naprawdę pracujesz. Przy okazji: jesteś poszukiwany.

Hoffmann się wzdrygnął.

– Poszukiwany?

– Mniej więcej od godziny.

W POWIETRZU NADAL UTRZYMYWAŁ się słaby zapach dymu papierosowego. A może tak mu się tylko wydawało? Nad każdym zielonym stołem bilardowym zawsze utrzymuje się gęsta zawiesina. Hoffmann pochylił się nad stołem i rzeczywiście poczuł charakterystyczny zapach. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że słyszy szyderczy śmiech, jak wtedy, gdy ktoś źle zagrał bilę. Wypił trochę kawy z kartonowego kubka i spojrzął na zegarek. Już czas. Sprawdził, czy na pewno wyjął z tylnej kieszeni spodni nóż, który zawsze tam trzymał, i ruszył w stronę Sankt Eriksgatan. Zatrzymał się przy witrynie sklepowej i udawał, że rozmawia przez telefon komórkowy, aż się upewnił, że zarówno policjant, jak i kobieta siedząca w radiowozie go obserwują.

WIADOMOŚĆ, ŻE POSZUKIWANY GROŹNY przestępca pojawi się wczesnym rankiem w okolicach hali bilardowej, trafiła na policję od anonimowego informatora, który zadzwonił na komendę. Numeru telefonu nie udało się zidentyfikować.

I rzeczywiście, nagle pojawił się we wskazanym miejscu.

Znali jego nazwisko. Wystarczyło jedno kliknięcie w klawiaturę komputera. Mają tam zapisane całe jego życie.

## ZNANY NIEBEZPIECZNY UZBROJONY

Oboje byli młodzi i pracowali w policji od niedawna. Na ekranie ich komputera nigdy wcześniej nie pojawił się ten specjalny kod, którego w kartotece przestępców używa się w odniesieniu do nielicznych, najgroźniejszych kryminalistów.

Nazwisko: Piet Hoffmann

Numer osobowy: 721018-0010

Liczba wpisów: 75

Szybko zapoznali się z treścią kartoteki i od razu wyrobili sobie jasny obraz mężczyzny, który jest niezwykle groźny (*zauważony piętnaście minut przed zabójstwem w Östling w towarzystwie podejrzanego Markovicia*), skłonny do przemocy (*odnotowano jego obecność w pobliżu mieszkania, gdzie dokonano przeszukania w związku z handlem bronią*), poza tym wcześniej strzelił i ranił policjanta... Może być uzbrojony.

- PATROL DZIEWIĘĆ, ZERO, DWA, siedem do centrali, zgłoście się.
- Tu centrala. Słuchamy.
- Prosimy o wsparcie. Konieczne natychmiastowe zatrzymanie.

HOFFMANN SŁYSZAŁ, ŻE JADĄCE na sygnale samochody są coraz bliżej. Domyślił się, że syreny i koguta wyłączono gdzieś w okolicy Flemingatan.

Piętnaście sekund później dwa granatowe busy policyjne zatrzymały się koło witryny, przy której stał.



Hoffmann był na to przygotowany.

- RADIOWÓZ DZIEWIĘĆ, ZERO, DWA, siedem, zgłoś się.
- Opiszcie podejrzanego.
- Piet Hoffmann. Skłonność do przemocy odnotowana przy poprzednich zatrzymaniach.
- Ostatnio widziany?
- Wejście do hali bilardowej. Sankt Eriksgatan pięćdziesiąt dwa.
- W co ubrany?
- Kangurka z szarym kapturem. Niebieskie džinsy. Ciemne włosy. Nieogolony. Wzrost około stu osiemdziesięciu centymetrów.
- Coś jeszcze?
- Prawdopodobnie uzbrojony.

#### NIE PRÓBOWAŁ UCIEKAĆ.

Kiedy drzwi do hali po obu stronach budynku zostały zamknięte i do środka wpadła grupa umundurowanych, uzbrojonych policjantów, krzycząc w jego stronę „Na podłogę!”, Hoffmann odwrócił się spokojnie od stołu bilardowego i przez cały czas starał się trzymać ręce tak, żeby tamci je widzieli. Słyszając po raz kolejny „Na podłogę!”, nie położył się dobrowolnie, ale upadł dopiero wtedy, gdy uderzono go dwa razy w głowę. Dostał jeszcze raz, gdy leżąc, pokazał im środkowy palec. Potem zapamiętał już tylko tyle, że założono mu kajdanki i dostał kopniaka w żebra. Później, kiedy akcja dobiegła końca, czuł silny ból w karku.

ERIK WILSON SIEDZIAŁ w samochodzie przed wjazdem do garażu aresztu w Kronobergu i obserwował, jak dwa granatowe busy policyjne mijają go w szybkim tempie i jadą dalej w stronę Sankt Eriksgatan. Począł, aż syreny ucichły, i zbliżył się do szlabanu. Wylegitymował się i podjechał do automatycznych drzwi policyjnego garażu pod parkiem Kronoberg. Zaparkował między metalowymi barierkami przed windą do aresztu i siedząc w aucie, obserwował wjeżdżające i wyjeżdżające samochody.

Czekając przez pół godziny, opuścił obie przednie szyby, żeby lepiej słyszeć. Całe jego ciało wyrażało wielki niepokój. Próbował pozbyć się tego niemiłego uczucia, ale niezbyt mu się to udało. Wdychał zapach wilgoci i benzyny i słuchał, jak jakiś samochód zatrzymuje się po drugiej stronie garażu; wysiadły z niego dwie osoby i poszły zmęczonym krokiem w drugą stronę.

Od razu go zobaczył, kiedy ktoś uchylił drzwi.

Ośmiu specjalnie przeszkolonych policjantów potrzebowało trzydziestu pięciu minut, żeby zlokalizować i zatrzymać jednego z najgroźniejszych przestępców w kraju.

Granatowy bus zbliżał się powoli. Wilson obserwował go przez jakieś dwieście metrów, aż wjechał między barierki i zaparkował kilka metrów od niego.

„Jeśli coś się zdarzy, przerwij akcję”.

„Jeśli ktoś się dowie, kim jesteś, będziesz miał nowe zadanie: przeżyć”.

Najpierw z busa wyszli dwaj policjanci. Potem mężczyzna ze spuchniętą twarzą, w szarej kangurce, niebieskich dżinsach i w kajdankach na rękach.

Funkcjonariusze, którym polecono zatrzymać poszukiwanego, prawdopodobnie uzbrojonego przestępcę, dobrali się do niego w jedyny sposób, jaki funkcjonuje w ich świecie.

Użyli siły.

– Uważaj... nie lubię, jak dotykają mnie tacy pedalscy gliniarze.

Wilson zobaczył, jak Hoffmann odwrócił się nagle w stronę jednego z policjantów i splunął mu w twarz. Ten nie zareagował, więc Hoffmann znowu go opluł. Policjant rzucił krótkie spojrzenie w stronę kolegów, którzy akurat w tej chwili patrzyli w inną stronę, a potem zrobił krok do przodu i uderzył Hoffmanna kolanem w krocze.

Przecież to tylko bandyta.

Hoffmann jęknął z bólu, zwłaszcza że chwilę później dostał kopniaka w brzuch. Podniósł się z ziemi i w towarzystwie czterech policjantów ruszył z rękami z tyłu w stronę windy. Wilson usłyszał jeszcze, jak mówi do oplutego funkcjonariusza:

– Uważaj, glino, kiedyś cię dopadnę. Wcześniej albo później wpakuję ci dwie kulki, tak jak zrobiłem to tamtemu gliniarzowi na Södermalm.

Tylko bandyta może udawać bandytę.

# CZĘŚĆ TRZECIA

PONIEDZIAŁEK

STALI BLISKO NIEGO.

Dwaj ocierali mu się o plecy, gdy w ciasnym pomieszczeniu cofnął się o krok. Dwaj inni stali po drugiej stronie i gapili mu się prosto w oczy, uszy, dziurki od nosa. Każdy ich oddech czuł na twarzy.

Wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać.

Wszyscy strażnicy z aresztu w Kronobergu czytali alta jednego z najgroźniejszych przestępców w Szwecji i słyszeli, jak dziesięć dni wcześniej, poszukiwany i zatrzymany przy hali bilardowej na Sankt Eriksgatan, w drodze z więźniarki do windy w budynku aresztu napluł jednemu z nich w twarz, a potem groził mu, że następnym razem, gdy się spotkają, wpakuje mu dwie kulki.

Tym razem zabierali go stamtąd. Najpierw zjechali ciasną windą do garażu pod budynkiem aresztu, potem pojedą więźniarką do zakładu w Aspsås. Było ich czterech, dwóch więcej niż zwykle. Założyli mu kajdanki na nadgarstki i na kostki. Zastanawiali się jeszcze, czy nie powinni go skuć w pasie, ale ostatecznie zrezygnowali z tego zamiaru.

Hoffmann był jednym z tych, którzy wszystkiego nienawidzą, a odrobiny rozumu, który miał w głowie, używał do tego, żeby się wkurwiać. Przez ostatnie lata nie brakowało tu gości z tak bardzo obciążoną kartoteką, że ich życie zmierzało w jednym kierunku – ku przedwczesnej śmierci. Strażnicy przez cały czas utrzymywali kontakt wzrokowy ze sobą i z więźniem. Poprzednim razem opluł tamtego strażnika na krótkim odcinku między więźniarką a windą. Strażnik porządnie go za to skopał, gdy inni odwrócili wzrok.

Czekali w gotowości. Wiedzieli, że zaraz zaatakuje.

Aż do więźniarki szedł w milczeniu. Spokojnie wsiadł do wozu. Spokojnie usiadł na jednym z tylnych siedzeń. Więzień, który nienawidzi wszystkiego i wymaga szczególnego nadzoru, siedział spokojnie aż do chwili, gdy ruszyli przez podziemny garaż w stronę wyjazdu, przy którym stał strażnik. Dopiero wtedy się odezwał.

– Dokąd cię, kurwa, wiozą?

Kiedy wsiadał, zauważył, że w środku jest jeszcze jeden więzień. Miał na sobie takie samo luźne ubranie z symbolem aresztu na przodzie. Szukał jego wzroku, czekał, aż tamten też na niego spojrzy.

– Do Österåker.

Zakład położony kilkadziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu. Ten sam samochód przewoził często więźniów do różnych zakładów

karnych położonych w tym samym regionie.

– Za co, kurwa, kiblujesz?

Hoffmann przez chwilę czekał na odpowiedź.

– Spytam cię jeszcze raz. Za co kiblujesz?

– Za pobicie.

– Ile dostałeś?

– Dziesięć miesięcy.

Strażnicy spojrzeli na siebie. Coś się chyba szykuje.

– Dziesięć miesięcy. Tak sobie pomyślałem. Wyglądasz na takiego. Tyle dostaje byle gnój za pobicie baby.

Hoffmann ściszył głos i ostrożnie przesunął się bliżej tamtego. Więźniarka minęła strażnika przy wyjeździe, przejechała pod szlabanem i skierowała się Sankt Eriksgatan na północ.

– O co ci chodzi?

Więzień jadący do Osteråker usłyszał, że Hoffmann mówi do niego innym tonem, wyczuł agresję w jego głosie i instynktownie się cofnął.

– Że jesteś jednym z tych gnojków, którzy leją baby. Jednym z tych, którzy sprawiają nam kłopoty.

– Skąd ty, kurwa, wiesz?

Hoffmann uśmiechnął się słabo. A więc miał rację. Domyślał się, że klawisze przysłuchują się ich rozmowie, i właśnie na tym mu zależało. Niech słuchają, bo potem będą opowiadać o więźniu, który groził, który jest niebezpieczny i wymaga szczególnego nadzoru.

– Takich gnojków, co powinni gryźć ziemię, wyczuwam od razu.

Strażnicy nadal przysłuchiwali się ich rozmowie i Hoffmann wiedział, że już się domyślają, do czego zmierza. Już nieraz coś takiego widzieli. Przewożenie jednym transportem skazanego za przestępstwo na tle seksualnym albo za pobicie kobiety razem z innym więźniem jest ryzykowne. Hoffmann spojrzął w stronę przedniego siedzenia i odezwał się spokojnym głosem:

– Macie tylko pięć minut. Nie więcej.

Obejrżeli się w jego stronę i klawisz siedzący na przednim siedzeniu chciał coś powiedzieć, gdy Hoffmann mu przerwał.

– Macie pięć minut, żeby wyrzucić stąd tego kutasa. Bo jak nie...

Wiedział, że później opowiedzą o wszystkim innym klawiszom. Potem dowiedzą się o tym ci, którzy siedzą za murami. I właśnie o to chodzi: żeby wzbudzić szacunek.

Klawisz z przedniego siedzenia głośno westchnął i wezwał centralę, domagając się, żeby natychmiast wysłali mu radiowóz, czeka na Norrtull.

Mają tu osadzonego, którego trzeba zabrać i przewieźć do Österåker.

HOFFMANN NIGDY NIE SIEDZIAŁ w Aspsås. Z kościelnej wieży przyglądał się każdemu budynkowi, każdej kracie w oknach. Dzięki pomocy Wilsona sporo się dowiedział o innych więźniach i o klawiszach pracujących na wszystkich oddziałach Bloku G. Jednak dopiero gdy ciężkie skrzydła bramy wjazdowej rozchyliły się i więźniarka podjechała do głównej dyżurki, zrozumiał, że naprawdę znajduje się za murami więzienia, gdzie trzymają najgroźniejszych przestępców. Trudno mu było poruszać się z kajdankami na dłoniach i stopach, każdy krok był zbyt krótki, a ostry metal wrzynał się w skórę. Towarzyszyło mu czterech klawiszy, dwóch z przodu, dwóch z tyłu. Skierowali się w stronę drzwi na lewo od głównego wejścia. Prowadziły do pokoju przyjęć, gdzie czekali kolejni strażnicy. Zdjęli mu kajdanki, dzięki czemu mógł rozprostować zdrętwiałe kończyny. Rozebrał się, pochylił do przodu i poczuł, jak czyjaś dłoń w gumowej rękawiczce sprawdza mu wnętrze odbytu. Inny klawisz przecesał mu palcami włosy. Trzeci zajrzał pod pachy.

DOSTAŁ NOWE UBRANIE, LUŻNE jak poprzednie i równie brzydkie. Potem zaprowadzili go do sterylnej czystej poczekalni, gdzie usiadł na drewnianym krześle i gapił się nie wiadomo na co.

Minęło już dziesięć dni.

Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę leżał na pryczy za metalowymi drzwiami z judaszem pośrodku. Pięć metrów kwadratowych, żadnych widzeń, żadnych gazet, telewizji ani radia. Dali mu dużo wolnego czasu, żeby go złamać i skłonić do uległości.

A przecież już się przyzwyczał do ludzkiego towarzystwa. Zupełnie zapomniał, że samotność zmusza ludzi do tęsknoty.

Tak bardzo brakuje mu Zofii.

Zastanawiał się, co teraz robi, jak jest ubrana, jak pachnie, czy chodzi po mieszkaniu długim, spokojnym krokiem, czy szybkim, bo jest podenerwowana.

Zofia... Może już nie jest jego Zofią?

Opowiedział jej całą prawdę, a ona zrobi z nią to, co uzna za słuszne. Bał się, że za dwa miesiące nie będzie już miał za kim tęsknić. Wtedy nie pozostanie mu już nic.



GAPIŁ SIĘ NA BIAŁE ŚCIANY pokoju przez cztery godziny. W końcu dwaj klawisze z dziennej zmiany otworzyli drzwi i poinformowali go, że cela, która znajduje się w Bloku G2 po lewej stronie, będzie od tej pory jego domem, że będzie tam odsiadywał początek swojego wieloletniego wyroku. Szli długim tunelem pod więziennym podwórzem, jeden strażnik przed nim, drugi za nim, sto kilkadziesiąt metrów betonowej podłogi, między betonowymi ścianami. Po drodze metalowe drzwi, nad nimi kamera i kolejny korytarz, w końcu strome schody do Bloku G.

Miał już za sobą dni spędzone w areszcie w Kronobergu i pospieszny proces, który przebiegał dokładnie tak, jak go wcześniej opisał Henrykowi i wicedyrektorowi.

Przyznał się do posiadania trzech kilogramów amfy znalezionej w bagażniku samochodu z wypożyczalni.

Sądowi oświadczył, że wyrok go satysfakcjonuje, wstał i podpisał się, bo dzięki temu nie będzie musiał czekać, aż wyrok się uprawomocni.

Już następnego dnia znalazł się w podziemnym tunelu zakładu w Aspsås, w drodze do swojej celi.

– Chciałbym wypożyczyć sześć książek z biblioteki.

Strażnik idący przodem zatrzymał się.

– Co takiego?

– Chciałbym wypożyczyć...

– Słyszałem, co powiedziałeś. Wydawało mi się tylko, że się przesłyszałem. Jesteś tu dopiero od paru godzin, nie zdążyłeś nawet trafić na swój oddział, a już domagasz się książek.

– Takie mam prawo.

– Zajmiemy się tym później.

– Są mi potrzebne. To dla mnie ważne. Bez książek tu nie przetrzymam.

– Powiedziałem: później.

NIE ROZUMIESZ.

Nie znalazłem się tu po to, żeby odsiedzieć swój pierdolony wyrok.

Trafiłem tu po to, żeby w ciągu kilku dni wyeliminować konkurencję i żeby przejąć kontrolę nad handlem prochami w waszych nieszczęlnych oddziałach.

Potem będę ciągnął tę robotę, będę analizował i ustalał, aż dowiem się wszystkiego, co muszę wiedzieć. Dzięki tym informacjom rozbiję

działalność polskiej mafii. Zrobię to na zlecenie szwedzkiej policji.  
Chyba mnie nie zrozumiałeś.

KIEDY W TOWARZYSTWIE DWÓCH młodych i zdenerwowanych klawiszów dotarł na miejsce, okazało się, że oddział jest pusty.

Minęło dziesięć lat i więzienie zupełnie się zmieniło. A przecież to ten sam oddział co wtedy. Wrócił na korytarz, przy którym po każdej stronie znajdowało się po osiem cel, do tego nieźle wyposażona kuchnia, kącik telewizyjny i pomięte od częstego czytania czasopisma. Dalej, na samym końcu korytarza, stół do ping-ponga w ciasnym magazynku, zniszczona raketka leżąca na postrzępionej siatce i stół do bilarda z poplamionym zielonym sukniem. Wszystkie bile były zamknięte na klucz, zapach ten sam co zawsze, pot i kurz, strach i adrenalina, a może nawet zacier.

– Nazwisko?

– Hoffmann.

Strażnik w szklanym boksie był niskim i tęgim mężczyzną. Skinął głową obu klawiszom i dał im znak, że od tej chwili przejmuje nadzór nad więźniem.

– Chyba się wcześniej nie spotkaliśmy?

– Nie sądzę.

– Domyślam się z tego, co zawiera twoja kartoteka, że... no tak, nazywasz się Hoffmann... że należysz do tych, którzy wiedzą, jak życie toczy się w takim miejscu jak to?

Hoffmann skinął w milczeniu głową. Nie przyszedł tu po to, żeby z byle klawiszem rozmawiać o tym, że zasługuje na fangę.

– Tak. Bardzo dobrze wiem, jak się tu żyje.

Na oddziale będzie pusto przez kolejne trzy godziny. Wtedy wszyscy tu wrócą: z pracy w warsztacie albo z sali, gdzie odbywają się zajęcia szkolne. W tym czasie strażnik oprowadzi go po oddziale i pokaże, jak i gdzie można się odlać, wyjaśni mu, dlaczego cele zamykają o wpół do ósmej, a nie pięć minut później. Potem zostanie mu jeszcze trochę czasu, żeby posiedzieć w celi i uświadomić sobie, że od tej pory będzie mu służyć za dom.

POSZEDŁ DO KĄCIKA TELEWIZYJNEGO i usiadł na krześle na kilka minut przed powrotem pozostałych więźniów. Wilson pokazywał mu kiedyś zdjęcia i kartoteki piętnastu osadzonych. Siedząc w tym miejscu,

zauważy każdego z nich, kiedy będą wracać. Przede wszystkim jednak to oni zauważą jego, powinni od razu się dowiedzieć, że w celi numer cztery siedzi nowy, taki, co nie pęka, co nie chowa się po kątach i nie czeka, aż ktoś mu łaskawie pozwoli wyjść z celi, żeby mógł pokazać papiery i zostać zaakceptowany. Niech widzą, że zajął czyjś ulubiony fotel i że zabawia się czyimiś znaczonymi kartami albo układa pasjansa na czyimś stoliku, nie poprosiwszy wcześniej o pozwolenie.

Będzie zwłaszcza wypatrywał dwóch twarzy.

Jedna z nich ma czworokątny kształt, twarde rysy, potężne szczęki, bladą cerę i niebieskie, wąsko osadzone oczy. Druga jest szczuplejsza, wydłużona, ze złamanym nosem, który źle się zrósł, śladem po szyciu na brodzie i policzku, którego na pewno nie wykonał lekarz.

Stefan Łukasik i Karol Tomasz Petecki.

Dwaj spośród czterech ludzi pracujących dla firmy Securitus International. Odsiadują wieloletnie wyroki w Aspsås i będą jego narzędziem. Posłuży się nimi dla wyeliminowania konkurencji i przejęcia kontroli nad handlem prochami. Jeśli się wyda, że jest Paulą, to oni wykonają na nim wyrok.

PIERWSZE PYTANIA POJAWIŁY SIĘ podczas kolacji. Dwaj starsi więźniowie z błyszczącymi złotymi łańcuchami na szyi siedli obok niego z talerzami. Stefan i Karol wstali z krzeseł, ale Hoffmann kiwnął im ręką, że mają czekać na znak. Na razie pozwolił, żeby ci dwaj zadali mu te same pytania, które on zadał chłopakowi w więźniarce kilka godzin wcześniej. Chodziło właściwie o to samo: szacunek oparty na nienawiści do zboczeńców.

– Pokaż nam swoje papiery.

– Jak będę chciał.

– Masz jakiś problem?

Stefan i Karol wykonali już kawał dobrej roboty. W ciągu kilku ostatnich dni poinformowali innych więźniów, że na oddziale zjawi się wkrótce niejaki Piet Hoffmann. Opowiedzieli o jego wyrokach, o ludziach, z którymi współpracował, i o statusie, jakim cieszy się we wschodnioeuropejskiej mafii. Za pośrednictwem adwokata, którego wynajął Stefan, zdobyli kopie jego kartoteki w komendzie głównej policji, dotarli do materiałów w aktach śledczych, do kartoteki więziennej i do wyciągu z ostatnim wyrokiem.

– Tak, jeśli ktoś siada zbyt blisko mnie.

– Pokaż papiery, kurwa!

Oczywiście, że zaprosi ich do celi i pokaże dokumenty, dzięki temu później nie będzie już musiał odpowiadać na dalsze pytania. Okaze się, że nowy osadzony z celi numer cztery nie popełnił przestępstwa na tle seksualnym ani nie został skazany za pobicie kobiety. Udowodni im, że ma dokładnie taką przeszłość, jak to wynika z papierów. Może nawet się do niego uśmiechną, może poklepią go po ramieniu. W końcu ma parę spraw na koncie, strzelał do policjantów, dostał wyrok za usiłowanie zabójstwa i za pobicie urzędnika państwowego na służbie. Tacy jak on nie muszą już walczyć o status za kratami.

– Pokażę. Jak zamkniecie gęby i pozwolicie mi zjeść.

POTEM ZAGRALI PARTYJKĘ pokera na zapalki. Każda z nich była warta tysiąc koron. Hoffmann usiadł na miejscu innego więźnia, który nie miał odwagi, żeby się o nie upomnieć. Chełpił się pobiciem gliniarza z Södermalm, który błagał go o darowanie życia, kiedy celował do niego z pistoletu. Po raz pierwszy od wielu lat palił skręty, opowiadał o kobiecie, którą wyrucha na pierwszej przepustce, i głośno się śmiał. Rozsiadł się wygodnie na krześle i rozejrzał po sali, popatrzył na korytarz pełen skazanych, którzy tęsknili od tak dawna, że już sami nie pamiętali do czego.

WTOREK

EWERT GRENS JECHAŁ PRZEZ Sztokholm nocą, która jak zwykle o tej porze roku nie była aż tak ciemna. Długie godziny niepokoju i bezradności. Unikał jej przez ponad dwa tygodnie, ale o wpół do czwartej jeszcze raz zatrzymał się na moście Lidingöbron, popatrzył na niebo i wodę. „Nie chcę tu pana więcej widzieć”. Szedł do domu opieki, którego nie pozwolono mu odwiedzać, chciał zobaczyć okno, w którym Anni już nigdy nie usiądzie. „To, czego pan się tak obawiał, już się stało”. Nagle odwrócił się i skierował z powrotem w stronę domów i ludzi, stolicy, która była jednocześnie i mała, i duża, w której przeżył i przepracował całe swoje życie.

Wysiadł z samochodu.

Nigdy wcześniej tutaj nie był. Nawet nie wiedział, że tutaj trafi.

Tyle razy planował, że tu przyjedzie, tyle razy już tu prawie jechał, ale nigdy nie dotarł na miejsce. Teraz stał przy południowym wjeździe z tabliczką „Brama numer 1” i czuł, jak miękną mu nogi, jak uginają się pod nim. Czuł ucisk w piersiach, który zaczynał się gdzieś w żołądku... a może w sercu?

Ruszył, ale zatrzymał się po zaledwie dwóch krokach.

Nie mógł, nogi go nie niosły. Poza tym czuł regularne uderzenia w klatkę piersiową.

Poranek był tego dnia całkiem przyjemny, słońce stało nad grobami, trawą i drzewami, ale nie mógł zrobić kroku dalej. Jeszcze nie dzisiaj. Postanowił wrócić do samochodu i odjechać do centrum, zostawić cmentarz daleko z tyłu.

Może następnym razem.

Może wtedy się dowie, gdzie jest jej nagrobek, i może wtedy uda mu się do niego dojść.

Tak, następnym razem.

KORYTARZ W SEKCJI DOCHODZENIOWEJ był pusty i ciemny. W koszu na chleb stojącym na stole w pokoju socjalnym znalazł suchą kromkę, kupił sobie w automacie dwa kubki kawy i ruszył w stronę pokoju, gdzie już nigdy więcej nie usłyszy śpiewu. Zjadł swoje proste śniadanie i sięgnął po cienką teczkę z aktami dochodzenia, które stanęło w miejscu. Już w ciągu pierwszych dni zdołali zidentyfikować zabitego, którym okazał się informator pracujący dla duńskiej policji, zabezpieczyli ślady po

kurierach i po amfie, a w końcu doszli do wniosku, że podczas zabójstwa w mieszkaniu przebywała jeszcze jedna osoba mówiąca po szwedzku i to ona powiadomiła policję. Grens słuchał tego nagrania tyle razy, aż stało się jego częścią.

Trafili na ślad polskiej organizacji mafijnej działającej pod szyldem firmy Securitus International, mającej siedzibę prawdopodobnie w Warszawie. I tyle. Nic więcej. Stanęli przed ścianą.

Zaczął żuć suchy, twardy kawałek chleba i wypił resztki kawy z kubka. Rzadko mu się zdarzało, że musiał się poddać. Nie należy do takich, którzy łatwo rezygnują. Tym razem jednak doszedł do ściany, która była na tyle szeroka i wysoka, że nie dał rady jej obejść ani przejść.

Chciał się dowiedzieć czegoś o krwi na koszuli, ale kiedy wklepał wynik badań do komputera, wyszukiwanie nie dało żadnych rezultatów.

Potem razem ze Svenem Sundkvistem pojechali do Polski, żeby oddać do zbadania żółte plamy, które Krantz znalazł na tym samym materiale. W Siedlcach trafił na miejsce, gdzie niedawno policja rozbiła fabryczkę amfetaminy. Przez dwie doby pracowali razem z policjantami, z których stworzono specjalną grupę do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Czuli się zrezygnowani, bo odnosili wrażenie, że szukają czegoś, czego nigdy nie znajdują. W tym kraju działa pięćset grup przestępczych, które każdego dnia toczą ze sobą boje o pieniądze. Do tego jeszcze osiemdziesiąt pięć grup działających w skali międzynarodowej, policjanci, którzy regularnie uczestniczą w walce z uzbrojonymi bandytami, i społeczeństwo postawione wobec dylematu, jakim jest produkcja syntetycznych narkotyków wartych ponad pięćset miliardów koron rocznie.

Jednak najbardziej zapadł mu w pamięć zapach tulipanów.

Fabryczka amfetaminy, która może mieć coś wspólnego z plamami krwi na koszuli zabójcy, znajdowała się w piwnicy w jakiejś wynajętej nieruchomości na przedmieściu, dwa kilometry na zachód od centrum miasta. Proste budynki, które wznoszono kiedyś tysiącami, aby załagodzić głód mieszkaniowy. Grens siedział z Sundkvistem w policyjnym radiowozie i obserwował akcję, która zakończyła się strzelaniną i śmiercią młodego policjanta. Policja przesłuchała sześć osób zatrzymanych w piwnicy, ale żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Nie odpowiedziały na ani jedno pytanie polskiego i szwedzkiego prokuratora. Milczały, uśmiechały się szyderczo i gapiły w podłogę. Wiedziały, że jak ktoś za dużo gada, długo nie pożyje.

Grens zaklął głośno w pustym pokoju, otworzył okno i zawołał coś w stronę ubranego po cywilnemu policjanta, który szedł asfaltowym chodnikiem przez wewnętrzny dziedziniec. Szybko otworzył drzwi i kulejąc, ruszył korytarzem, aż poczuł wilgotny pot ściekający po plecach i czole. Usiadł w fotelu przy biurku, żeby złapać oddech.

Nigdy wcześniej tak się nie czuł.

Był przyzwyczajony do złości, prawie uzależniony od niej. Zawsze szukał jakiegoś konfliktu, żeby się za nim skryć.

Tym razem to coś innego.

Czuł się tak, jakby prawda tu była, jakby w pobliżu czaiła się odpowiedź na jego pytanie, jakby patrzyła na niego. To dziwne uczucie – być tak blisko i nic nie widzieć.

Zabrał teczkę z dokumentami i położył się z rozłożonymi nogami na podłodze za kanapą. Zaczął powoli przeglądać dokumenty, poczynając od treści nagrania, na którym nieznajomy mężczyzna powiadomił ich o zabójstwie w mieszkaniu przy Västmannagatan 79, poprzez materiał zgromadzony w ciągu trwającego dwa tygodnie dochodzenia, aż po ekspertyzy z laboratorium i wyniki wyjazdu do Siedlec i Kopenhagi.

Znowu zaklął. A może nie zaklął, tylko kogoś wołał?

Nie posunęli się ani o krok.

Dlatego będzie leżał na podłodze tak długo, aż zrozumie, czyj głos słyszał tyle razy, czego nie rozumie i co mu umknęło, i dlaczego poczucie, że prawda kryje się tak blisko i śmieje się z niego, jest tak silne.



USŁYSZAŁ SZCZĘK KLUCZA w zamku.

Dwaj klawisze otworzyli drzwi celi numer osiem i szesnaście, z których rozciągał się widok na podwórko posypane żwirem.

Hoffmann sprężył się i przygotował na najbliższe dwadzieścia minut, które mogą oznaczać dla niego śmierć.

To była fatalna noc.

Leżał na łóżku i czekał na sen, który jednak nie przychodził. Zofia, Emil i Rasmus byli u niego, stali przed oknem, siedzieli na brzegu łóżka, leżeli tuż obok niego, aż musiał ich odsunąć. Musiał przestać czuć, przecież był w więzieniu, miał do wykonania zadanie, więc nie mógł za bardzo tęsknić. Powinien pozbyć się takich myśli ze świadomości, żeby zapomnieć, bo jeśli w więzieniu ktoś zaczyna tęsknić, szybko się kończy.

Podeszli bliżej. Klucz znowu zazgrzytał w zamku, otworzyli celę numer siedem i piętnaście. Hoffmann usłyszał, jak ktoś mówi „Dzień dobry” i jak ktoś inny odpowiada „Spierdalaj”.

Wstał z łóżka później, gdy Zofia już zniknęła, a na zewnątrz panowała gęsta ciemność. Spuścił nogi i usiadł. Cella jest dosyć ciasna, już dwa razy uderzył się o ścianę. Mimo to czuje się przyjemnie, chociaż pot spływa mu strużkami, a serce wali w piersiach jak oszalałe.

Swoje zadanie zaczął realizować od pierwszej chwili.

Już w ciągu kilku pierwszych godzin pobytu zdobył sobie szacunek. Bardzo go potrzebował na tym oddziale, aby móc funkcjonować dalej. Już wiedział, kto kieruje dostawami, kto zajmuje się handlem, na których oddziałach i w których celach są prochy. Jeden ze sprzedających siedzi tutaj, to Grek z celi numer dwa, dwaj pozostali na każdym z pięter Bloku H. Hoffmann za chwilę weźmie kilka pierwszych gramów narkotyku, tych, za które odpowiada, których użyje, żeby wykosić konkurencję.

Klawisze byli coraz bliżej, teraz otwierali cele numer sześć i czternaście. Za jakąś minutę będą u niego.

Chodziło właśnie o te dwadzieścia minut, zaraz po otwarciu cel, od siódmej do siódmej dwadzieścia. Jeśli je przeżyje, przeżyje resztę dnia.

Długo się zastanawiał, w jaki sposób będzie się przygotowywał każdego ranka. Żeby przeżyć, musiał być przygotowany na to, że poprzedniego wieczoru albo w nocy któryś z osadzonych dowie się, że on, Hoffmann, ma inne nazwisko, że istnieje Paula, który pracuje dla władz, że jest wtyką, która kabluje. Dopóki jest zamknięty w celi, może się czuć bezpieczny, przecież zamknięte drzwi nigdy nie atakują. Jednak pierwsze

dwadzieścia minut po otwarciu cel i po wypowiedzeniu przez strażników tradycyjnego „Dzień dobry” to kwestia życia i śmierci. Dobrze zaplanowane zabójstwo przeprowadzano zawsze w czasie, gdy klawisze szli do dyżurki, żeby napić się kawy i zrobić sobie przerwę. Dwadzieścia minut na oddziale bez nadzoru. Przez ostatnie lata to właśnie w ciągu tych dwudziestu minut doszło w więzieniach do licznych zabójstw.

– Dzień dobry.

Klawisz otworzył drzwi i zajrzał do środka. Hoffmann usiadł na łóżku, spojrzał na niego, ale nie odpowiedział. Przecież te słowa nic nie znaczą. Klawisz wypowiedział je tylko dlatego, że wymaga tego regulamin.

– Dzień dobry.

Klawisz nie poddawał się, stał i czekał, aż usłyszy odpowiedź. Potrzebował dowodu na to, że osadzony żyje i że wszystko jest w porządku.

– Dzień dobry. A teraz zostaw mnie, kurwa, w spokoju.

Klawisz skinął głową i poszedł dalej. Zostały mu jeszcze dwie cele. I właśnie teraz Hoffmann musi zadziałać. Kiedy klawisz otworzy ostatnie drzwi, będzie za późno.

WOKÓŁ KLAMKI OWIŃAŁ skarpetkę, pociągnął za nią. Drzwi, których normalnie nie da się zamknąć i zatrzasnąć od środka, zatrzymały się w pozycji zamkniętej, kiedy wsunął materiał między futrynę a drzwi.

Jedna sekunda.

Zwykły drewniany stołek stoi zazwyczaj obok szafki. Ustawił go przy progu, od wewnątrz, w taki sposób, żeby zablokował większą część otworu.

Druga sekunda.

Poduszki, koc i spodnie udawały jego ciało pod kołdrą, a niebieski rękaw od bluzy sportowej resztę ciała. Nikogo w ten sposób nie oszuka, ale ten, kto na to spojrzy, choć na chwilę da się nabrać.

Pół sekundy.

OBAJ KLAWISZE ZNIKLI W GŁĘBI korytarza. Wszystkie cele były już otwarte, Hoffmann stanął na lewo od drzwi, oparty plecami o ścianę. Mogli się zjawić w każdej chwili. Jeśli już wiedzieli, jeśli ktoś go sypnął, śmierć mogła nadejść w każdej chwili.

Spojrzał na skarpetkę na klamce, stołek w szparze, poduszki pod kołdrą.

Dwie i pół sekundy.

To jego zabezpieczenie, czas, żeby mógł zdążyć wrócić.

**GWAŁTOWNIE ODDYCHAŁ. BĘDZIE tam stał i czekał przez dwadzieścia minut.**

To jego pierwszy ranek w zakładzie karnym w Aspsås.

KTOŚ PRZED NIM STANAŁ. Miał na sobie spodnie od dresu, coś do niego mówił i czekał, aż on coś odpowie. Milczał.

– Ewert? Co ty wyrabiasz?

Grens zasnął na podłodze za brązową kanapą z aktami śledztwa na brzuchu.

– Mieliśmy się spotkać. I to ty kazałeś mi przyjść tak wcześnie. Domyślam się, że leżałeś tak przez całą noc?

Trochę bolały go plecy. Tym razem podłoga była twardsza niż zwykle.

– Nie powinno cię to w ogóle obchodzić.

Przekręcił się na drugi bok i wstał. Złapał się rękami o oparcie kanapy, świat zawirował mu w głowie.

– Jak się czujesz?

– To też nie powinno cię obchodzić.

Ågestam usiadł na kanapie i czekał, podczas gdy Grens podszedł do swojego biurka. Nie przepadali za sobą. Właściwie nie cierpieli się wzajemnie. Młody prokurator i starszy komisarz policji reprezentowali dwa różne światy i żaden z nich nie miał ochoty, żeby odwiedzić ten drugi. Ågestam przynajmniej próbował; przez kilka pierwszych lat zagadywał Grensa, słuchał go i obserwował, aż doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Grens odnosił się do niego z pogardą i nic nie mogło tego zmienić.

– Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Prosiłeś o raport.

Ågestam skinął głową.

– Jestem przekonany, że utknęliście w miejscu.

To prawda. Tkwią w miejscu. Nie powinien się do tego przyznawać. Jeszcze nie teraz.

– Pracujemy nad kilkoma wątkami.

– Jakimi?

– Na razie nie jestem przygotowany, żeby o tym mówić.

– Gdybyś coś miał, dałbyś mi to, a potem kazał się wynosić. Sądzę, że nie masz nic. Dlatego uważam, że czas zająć się czymś ważniejszym.

– Czymś ważniejszym!

Ågestam wskazał ręką biurko i leżące na nim teczki z aktualnymi sprawami.

– Stoisz w miejscu. Całe dochodzenie stoi w miejscu. Obaj wiemy, że nie powinieneś wydawać tyle pieniędzy, jeśli śledztwo nie posuwa się naprzód.

– Nigdy nie rezygnuję ze spraw o zabójstwo.

Popatrzyli na siebie. Każdy z nich żył w innym świecie.

– No to co masz w takim razie?

– Zabójstwo. Nie ma nic ważniejszego. Sprawę o zabójstwo trzeba po prostu rozwiązać.

– Wiesz sam...

– Siedzę w tym od trzydziestu pięciu lat. Zajmowałem się zabójstwami już wtedy, gdy ty robiłeś w pieluchy.

Prokurator nie słuchał go dłużej. Jeśli człowiek postanowi, że nie będzie słuchał, nie usłyszy. Grens już od dawna nie może go zranić.

– Zapoznałem się ze wszystkim, co udało ci się dotychczas ustalić. Zabrało mi to niewiele czasu. Znalazłem kilka nazwisk, które nie do końca zostały sprawdzone. Zrób to. Sprawdź każdego z tych ludzi na tyle, na ile to możliwe, i zakończ sprawę. Masz na to trzy dni. Potem znowu się spotkamy. Jeśli nic więcej nie znajdziesz, będziesz sobie mógł gadać do woli, a ja i tak sprawę umorzę.

Ågestam wyszedł z pokoju. Grens chętnie by za nim krzyknął, gdyby nie ten drugi głos, który już się w nim odezwał, tkwił w jego głowie, w każdej chwili od dwóch tygodni, a teraz wgrzył mu się w mózg i znowu coś szeptał, uparcie mieląc swoje krótkie zdania, aż do przekleństwa.

*Martwy mężczyzna. Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Piąte piętro.*

Ma jeszcze trzy dni.

Kim ty jesteś?

Gdzie jesteś?

PRZEZ DWADZIEŚCIA MINUT STAŁ mocno oparty plecami o ścianę. Czuł, że wszystkie mięśnie ma napięte, każdy nowy dźwięk postrzegał jako zagrożenie ze strony wymyślanego napastnika.

Jednak nic się nie zdarzyło.

Piętnastu osadzonych na tym oddziale poszło do toalet i pod prysznicę, a potem do stołówki, żeby zjeść pierwsze śniadanie. Żaden z nich nie zatrzymał się przed drzwiami jego celi, nikt nie próbował ich otworzyć. Nadal więc nazywa się tylko Piet Hoffmann, pracuje w firmie Securitus International, odsiaduje wyrok za posiadanie trzech kilogramów amfy, a w jego kartotece ciągle figuruje oficjalny zapis, że celował i strzelił dwa razy do gliniarza.

Stopniowo rozchodzili się do swoich zajęć, do pralni i do warsztatu, większość do klas, dwóch na oddział szpitalny. Żaden nie strajkował, pozostając w celi, a przecież często się tak zdarzało, że któryś z więźniów lekceważył groźbę dodatkowej kary i odmawiał pójścia do pracy. W końcu dwa dodatkowe miesiące dla kogoś, kto odsiadyuje dwanaście lat, to niewiele.

– Hoffmann.

Stał przed nim strażnik, którego spotkał poprzedniego dnia. Atakował go swoim zimnym spojrzeniem.

– Tak?

– Czas opuścić celę.

– Naprawdę?

– Mam dla ciebie robotę. Będziesz sprzątał budynek administracyjny i blok, gdzie są warsztaty. Ale nie dziś. Dzisiaj pójdziesz ze mną i będziesz się starał zapamiętać, gdzie, jak i kiedy wolno ci będzie używać szczotek i środków do czyszczenia.

Szli obok siebie korytarzem, aż zeszli schodami do podziemnego przejścia.

„Kiedy Paula zjawi się w Aspsås, ma dostać konkretny przydział pracy. Już pierwszego popołudnia ma zacząć sprzątać w budynku administracji i w warsztatach”.

Bezkształtny materiał więziennego, jednobarwnego ubrania ocierał mu uda i ramiona. Zbliżali się do trzeciego piętra w Bloku B.

„Sprzątanie uważane jest w więzieniu za rodzaj nagrody”.

Najpierw zatrzymali się przy toalecie przed wejściem do warsztatu.

„No to przyznaj mu taką nagrodę”.

Hoffmann skinął głową. Tak, swój obchód i sprzątanie zaczniesz tutaj, gdzie znajduje się pęknięta umywalka i zasikany kibel, w miejscu, w którym czuć pleśnią. Potem przeszli do pomieszczenia z warsztatami, gdzie unosił się słaby zapach ropy naftowej.

– Tam jest toaleta, za szybą biuro, a dalej warsztat. Kapujesz?

Hoffmann stał w progu i rozglądał się dokoła. Robocze blaty, a na nich coś, co przypominało kawałki gołych rur, jakieś łuski z pakułami, prasy, wózki widłowe, na wpół zapełnione palety, a przy każdym stanowisku roboczym jakiś osadzony, który zarabia tu dziesięć koron na godzinę. Więzienne warsztaty produkują najczęściej proste rzeczy, które kupują od nich firmy produkcyjne. Kiedy siedział w Österåker, wyrzynał czerwone czworokątne klocki dla pewnej firmy. Tutaj powstają części do latarni ulicznych, długie na dziesięć centymetrów kłapy, które montuje się

nad ziemią. Wkłada się do nich kable i złącza. Widać je co metr przy każdej drodze, ale nikt nie zwraca na nie uwagi, choć przecież ktoś je gdzieś produkuje. Strażnik wszedł do warsztatu, pokazał mu kurz i przepełnione kosze na śmieci. Hoffmann skinął głową więźniom, których nie znał. Jakiemuś dwudziestolatkowi stojącemu przy prasie, zaginającemu brzegi klapy, i jakiemuś Finowi przy wiertarce, którą przy każdym ruchu robił otwór. Nie pominął też więźnia przy oknie, który miał dużą bliznę ciągnącą się od szyi do policzka i pochylał się nad miednicą wypełnioną ropą, czyszcząc narzędzia.

– Widzisz podłogę, nie? To cholernie ważne, żebyś tu pracował dokładnie. Masz to wszystko wysprzątać dokumentnie, bo inaczej będzie cholernie śmierdzieć.

Hoffmann nie słuchał, co mówi do niego ten pieprzony klawisz. Zatrzymał się w pobliżu kadzi z ropą koło okna. Tak, to w to okno „celował”, leżąc na kościelnej wieży. Trzymał w rękach swoją „broń na niby” i „strzelał” do okna, które wybrał spośród innych, półtora kilometra dalej. To piękny kościół, można stąd bez trudu zobaczyć go wraz z całą wieżą, tak samo jak z wieży można było bez trudu zobaczyć to okno.

Odwrócił się plecami do okna i starał się zapamiętać rozkład czworokątnego pomieszczenia podzielonego trzema pobiałkowanymi betonowymi słupami. Są wystarczająco grube, żeby mógł się za nimi skryć mężczyzna, nikt go wtedy nie zobaczy. Zrobił dwa kroki w stronę słupa stojącego najbliżej okna i stanął przy nim. Tak, był rzeczywiście tak szeroki, jak się wydawało, Hoffmann mógł się za nim całkowicie ukryć. Wolnym krokiem wrócił przez salę, jakby ją wyczuwał albo przyzwyczajał się do niej. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy znalazł się przed pomieszczeniem za szklaną ścianą. Była to dyżurka dla strażników.

– Ten pokój, Hoffmann, ma błyszczeć.

Niewielkie biurko, kilka półek, brudny dywanik. W stojaku na ołówki zauważył nożyczki. Na ścianie wisiał telefon. Do tego dwie otwarte puste skrzynie.

Najważniejszy będzie czas.

Jeśli wszystko spieprzy, odkryją jego drugą tożsamość. Im więcej czasu, tym większa szansa na przeżycie.

Inspektor wszedł za nim do tunelu i razem przeszli pod dziedzińcem do budynku administracji. Czwooro zamkniętych na klucz drzwi z czterema kamerami monitorującymi. Spojrzeli w każdą z nich, skinęli głowami w stronę obiektywu i czekali, aż strażnik w głównej dyżurce naciśnie jeden z guzików. Rozległ się charakterystyczny dźwięk

otwieranych drzwi. Zostało im do przejścia dwieście metrów pod ziemią. Pokonanie tego odcinka zabrało im ponad dziesięć minut.

Na drugim piętrze budynku administracji znajdował się wąski korytarz z widokiem na pomieszczenie, gdzie przyjmowano nowych więźniów. Każdy nowo osadzony, którego przywożono więźniarką, przechodził do tego pomieszczenia przez portiernię. Obserwowano go z sześciu pokoiów i z ciasnej salki konferencyjnej. Naczelnik więzienia i pracownicy administracji widzieli, jak Hoffmann przyjechał wczoraj do zakładu. Więzień pod specjalnym nadzorem, z kajdankami na dłoniach i stopach. Miał na sobie ubranie z aresztu w Kronobergu, rozczochrane włosy i szary dwutygodniowy zarost.

– Słyszysz, co mówię? Będiesz tu przychodził każdego dnia. A jak stąd wyjdiesz, nie chcę tu znaleźć ani jednego śmiecia. Zrozumiano? Masz wysprzątać kawał podłogi, wyczyścić biurko z kurzu, opróżnić kosze na śmieci i wymyć okna. Poradzisz sobie z tym wszystkim?

Pokój z szarymi biurowymi ścianami, podłogą i sufitem. Ponury, beznadziejny nastrój przeniósł się tutaj z bloku dla osadzonych. Kilka doniczek z zielonymi roślinami i coś, co przypominało kółko z okruchami ceramiki wiszące na ścianie. Wszystko inne sprawiało wrażenie, jakby było martwe, meble i kolorystyka pasowały do siebie, jakby nie miały odwagi pomarzyć o czymś lepszym.

– Może się przywitamy. Wyprostuj się.

Inspektor zapukał do jedynych drzwi w tym budynku, które były zamknięte.

– Proszę.

Naczelnik więzienia mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat. Na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem Oscarsson. Mężczyzna sprawiał równie ponure wrażenie, jak ściany jego pokoju.

– To jest Hoffmann. Od dzisiaj będzie tutaj sprzątał.

Naczelnik uściśnął mu rękę. Była miękka, ale uścisk miał silny.

– Lennart Oscarsson. Kosze mają być opróżniane codziennie. Ten pod biurkiem i ten w kącie pokoju. Jeśli zobaczysz, że gdzieś stoją niepozmywane szklanki, weźmiesz je ze sobą.

Pokój był duży, jego okna wychodziły na więzienną bramę i na spaceriak. W środku panował jednak taki nastrój jak na terenie całego zakładu. Nawet na ścianach nie wisiały typowe obrazki w srebrnych ramkach. Ani jednego dyplomu. I tylko na biurku, w kryształowym wazonie, stały dwa bukiety kwiatów.

– Tulipany, prawda?



Inspektor podszedł do biurka. Kwiaty miały długie zielone łodygi i zielone pąki. Wziął do ręki białe bileciki przyczepione do kwiatów i przeczytał głośno to, co było na nich napisane. Tekst o takim samym brzmieniu.

„W podziękowaniu za dobrą współpracę. Zrzeszenie Przedsiębiorców w Aspsås”.

Naczelnik poprawił jeden z bukietów. Dwadzieścia pięć tulipanów, które nie zdążyły jeszcze przekwitnąć.

– Tak mi się przynajmniej wydaje. Są podobne do tulipanów. Sporo tu tych kwiatów. Całe Aspsås albo u nas pracuje, albo coś dostarcza. Ciągłe ktoś nas odwiedza. Jeszcze nie tak dawno temu wszyscy mieli nas w nosie. Teraz ciągle panuje tu ruch i każdy incydent od razu trafia na pierwsze strony tutejszych gazet.

Spojrzał z dumą na kwiaty.

– Pewnie niedługo rozkwitną. Trwa to zazwyczaj dwa dni.

Hoffmann skinął głową i poszedł dalej. Metr przed nim, tak jak poprzednio, szedł strażnik.

Jutro.

Rozkwitną jutro.

GRENS ZABRAŁ DWA PUSTE plastikowe kubki i pół ciastka ze stolika stojącego przy kanapie. Usiadł pośrodku i poczekał, aż Sundkvist i Hermansson siądą po obu jego stronach.

Trzymał przed sobą kartkę papieru wyrwaną ze zwykłego bloku, zapisaną ręcznym pismem. Jeden z jej rogów był brązowy, bo trafił w płamę rozlanej kawy. Drugi róg był potłuszczony od ciastka.

Kartka zawierała listę siedmiu nazwisk osób, które pojawiły się jakby na uboczu dochodzenia. W ciągu trzech najbliższych dni trzeba je będzie sprawdzić. Być może zależy od tego, czy dochodzenie potoczy się dalej, czy też zostanie zepchnięte na drugi plan. Innymi słowy, chodzi o to, czy to zabójstwo zostanie wyjaśnione, czy nie.

Siedem nazwisk podzielił na trzy grupy: narkotyki, „cyngle”, Securitus International.

Sundkvist zajmie się nazwiskami z pierwszej grupy. Jest to grupa znanych handlarzy narkotyków, którzy mieszkali albo kręcili się w pobliżu Västmannagatan 79. Niejaki Jorge Hernandez z trzeciego piętra na tej samej klatce schodowej i niejaki Jorma Rantala z klatki schodowej,

przy której w pojemniku na śmieci leżała pokrwawiona, zapakowana w plastikową reklamówkę koszula.

Hermansson wzięła na siebie drugą grupę, „cyngle”. Jan du Tobit i Nicholas Barlow, dwaj międzynarodowi „cyngle”, którzy zdaniem służby bezpieczeństwa w momencie, gdy popełniono zbrodnię, znajdowali się w Sztokholmie albo w okolicy Sztokholmu.

Grens postanowił zająć się pozostałą trójką. Byli to mężczyźni, którzy wcześniej współpracowali z firmą Securitus International: Maciej Bosacki, Piet Hoffmann i Karl Lager. Każdy z nich był właścicielem szwedzkiej firmy ochroniarskiej – zupełnie legalnej – która na zlecenie centrali Securitus International świadczyła usługi ochroniarskie. Była to działalność oficjalna, jaką sprawnie funkcjonująca i niedostępna z zewnątrz organizacja mafijna zawsze musi prowadzić. Służyła im za przykrywkę, pod którą kryła się właściwa działalność. Grens należał do wąskiej grupy policjantów w Sztokholmie, którzy wiedzieli najwięcej na temat przestępczości zorganizowanej zza Bałtyku. I tylko on w tym pokoju mógł poprowadzić dochodzenie, jeśli któregoś z tych trzech powiąże z tą drugą firmą Securitus International, tą nieoficjalną, prawdziwą, która jest w stanie wykonywać egzekucje w szwedzkich mieszkaniach.

OD TEJ PORY NIKT MU więcej żadnych pytań nie zadawał.

Żaden skurwiol nie siądzie obok niego, nikt nie będzie się gapił, kiedy będzie jadł ziemniaki z mięsem. Już drugiego dnia podczas lunchu stał się tu kimś i nikt nie miał pojęcia, że wkrótce to on będzie o wszystkim decydował. Narkotyki dadzą mu władzę, a za dwa dni będzie kontrolował dostawy i sprzedaż. Mijając na korytarzu morderców, będzie ustawiał ich według własnej hierarchii. U osadzonych największym szacunkiem cieszy się ten, kto kogoś zabił. Takiego szanuje się najbardziej. Kolejne miejsce zajmują handlarze narkotyków i kasiarze. Na samym dnie plasują się pedofile i gwałciciele. Jednak nawet mordercy pochylają głowę przed tym, kto kontroluje handel narkotykami i dostarcza strzykawki.

Hoffmann szedł tuż za strażnikiem, żeby zapamiętać kolejność. Potem położył się w celi na pryczy i czekał, aż druga grupa więźniów wróci z warsztatów i wykładów, żeby zjeść posiłek złożony z pozbawionych smaku potraw. Kilka razy nawiązał kontakt wzrokowy ze Stefanem i Karolem. Widział, że są zniecierpliwieni i czekają na instrukcje. Bezdźwięcznie wypowiedział słowo „jutro”. To ich uspokoiło.

Dziś wieczorem.

Dziś wieczorem wykopie trzech głównych dostawców.

Zgłosił się do sprząwania stołów i do zmywania. Reszta więźniów paliła skręty na spacerunku albo grała w pokera o zapałki warte kilka tysięcy koron. W kuchni był sam, więc nikt nie widział, jak wyciera blaty i chowa do kieszeni spodni dwie łyżki i nóż.

Podszedł do „akwarium”, jak więźniowie nazywali dyżurkę klawiszy, zastukał w szybę, aż ktoś machnął mu poirytowany ręką. Znowu zastukał, trochę mocniej i dłużej, zaznaczając tym samym, że nie zamierza odejść.

– Czego tu chcesz? Jest przerwa na lunch. Czy to nie ty miałeś posprzątać w kuchni?

– Wydaje mi się, że jest tu coś do zabrania.

– Niech cię głowa nie boli.

Hoffmann wzruszył ramionami. Nic więcej nie załatwi.

– A moje książki?

– Co takiego?

– Wczoraj zamówiłem sześć książek.

– Nic o tym nie wiem.

– No to może wypadaloby sprawdzić?

Starszy strażnik, ale żaden z tych, którzy wczoraj przyjmowali go na oddziale, machnął poirytowany ręką, ale po chwili podszedł do stołu i zaczął ich szukać.

– Te?

Twarde okładki. Z biblioteki. Na przedniej okładce naklejka z napisem MAG. Tekst napisany na maszynie.

– Tak, to te.

Strażnik przeleciał szybko wzrokiem treść zapisaną na tylnej okładce, przerzucił z roztargnieniem kilka stron i podał mu książki.

– *Z głębi szwedzkiego serca. Marionetki.* Co to, do cholery, jest?

– Poezje.

– Chyba jakieś głupoty, co?

– Może pan sam sprawdzi?

– Chłopie, nie czytam takich bzdetów.

Hoffmann przymknął drzwi na tyle, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka, ale żeby zarazem nie wzbudzić podejrzeń. Położył książki na wąskiej szafce przy łóżku. O te sześć tytułów nikt nie pytał i dlatego tego ranka, kiedy do biblioteki dotarło zbiorcze zamówienie, samotna bibliotekarka w wieku pięćdziesięciu kilku lat przyniosła je z magazynu

znajdującego się pod budynkiem biblioteki i przekazała kierowcy więziennego samochodu.

Hoffmann sięgnął po nóż wykradziony z kuchni i czubkami palców sprawdził, czy jest wystarczająco ostry.

Przeciągnął nim po szwie między przednią, twardą okładką i pierwszą stroną książki *Don Juan* George'a Byrona. Puściła i już za chwilę przednia i tylna okładka oderwały się od kartek, tak samo jak przed trzynastu dniami, gdy to samo robił na biurku swojej firmy przy Vasagatan. Otworzył książkę na stronie dziewięćdziesiątej, chwycił cały plik kartek i wyrwał je za jednym pociągnięciem. W wewnętrznym marginesie na stronie dziewięćdziesiątej pierwszej znajdował się otwór o długości piętnastu i szerokości jednego centymetra, cienkie ścianki z bibułki do papierosów na głębokość trzystu stron. Zawartość nienaruszona, stan taki, w jakim wszystko zostawił.

Żółtobiały kolor, trochę kleista masa, dokładnie piętnaście gramów.

Przed dziesięciu laty większość z tego, co wniósł do więzienia, przeznaczył na własny użytek. Czasem sprzedawał trochę działek, a dwa razy, kiedy go naciskali, oddał trochę prochów, żeby spłacić pilne długi. Tym razem prochy odegrają zupełnie inną rolę. Cztery książki zawierające czterdzieści dwa gramy trzydziestoprocentowej amfy wyprodukowanej w fabryce posłużą mu jako narzędzie do wykoszenia konkurencji i przejęcia handlu.

Kwiaty, książki.

Niewielkie ilości, ale teraz więcej mu nie potrzeba. Sposoby, których przez lata się wyuczył, były całkiem bezpieczne, różne od rutynowych, więziennych przyzwyczajzeń.

Wtedy, w Österåker, wpadł zaraz po powrocie z pierwszej przepustki. Ktoś doniósł, że ma prochy w brzuchu czy w tyłku, więc wsadzili go do specjalnej celi, zwanej toaletą. Ściany były ze szkła, w środku zwykle łóżko i sedes z zamkniętym obiegiem. Nic więcej. Trzymali go tam przez ponad tydzień, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez ubrania. Trzej klawisze obserwowali go, kiedy srał, potem sprawdzali odchody. Obserwowali go też podczas snu, kiedy leżał na łóżku bez kołdry, nigdy nie wolno im było zakrywać tyłków.

Wtedy nie miał wyboru. Był zadłużony, grożono mu, więc został kurierem. Teraz ma wybór i może sam decydować.

W każdym więzieniu, o każdej porze dnia, rozmowy toczą się wokół prochów. Każdy chce wziąć działkę, choć mocz regularnie poddawany jest analizie. Jeśli któregoś z osadzonych odwiedza ktoś z rodziny, można

wykorzystać jego moc. Jest czysty i daje negatywny wynik testu. Pewnego razu, podczas któregoś z pierwszych tygodni spędzonych w Österåker, dziewczyna jednego z młodych szcylów nasikała na rozkaz do dwóch kubków, wypełniając je po brzegi. Poszły za wysoką cenę i w żadnym z testów nie dały wyniku pozytywnego, chociaż połowa z więźniów chodziła na prochach. Natomiast testy pokazały, że prawie każdy z nich jest w ciąży.

*Don Juan. Odyseja. Opis mojego żywota. Francuskie krajobrazy.*

Opróżniał jedną książkę za drugą. Kiedy przed sobą słyszał kroki, przerywał. Czterdzieści dwa gramy amfy w czterech książkach, których nikt od dawna nie wypożyczał.

Zostały mu jeszcze dwie. *Z głębi szwedzkiego serca i Marionetki.* Zostawił je na szafce przy łóżku. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał ich czytać.

Spojrzał na żółtobiały proszek. Z jego powodu ginie tylu ludzi.

Tutaj każdy gram kosztuje o wiele więcej niż na zewnątrz. Dlaczego? Bo popyt przewyższa podaż. Bo ryzyko wpadki jest większe w zamkniętej celi niż na wolności. Bo wyroki za przestępstwa popełniane za murami są zawsze wyższe niż za te, które ktoś popełnił na zewnątrz. Ta sama ilość prochów tutaj równa się wyższej karze.

Hoffmann podzielił całą amfę na trzy torebki. Jedną zatrzyma dla Greka z celi numer dwa, a dwie przerzuci do odebrania w Bloku H, gdzie na górnym i dolnym poziomie działają inni dostawcy. Trzy plastikowe torebki, czterdzieści dwa gramy amfy. To mu musi wystarczyć, żeby wykosić konkurencję.

Łyżki, które przyniósł z kuchni, nadal miał w przedniej kieszeni spodni.

Oparł je o stalowy kant łóżka i przycisnął, aż zgięły się pod kątem prostym. Sprawdził, czy wyglądają jak dwa haki. Okay, powinno zadziałać. Na łóżku leżały dresowe spodnie z emblematem więzienia. Rozerwał kuchennym nożem szew przy pasku, wyjął ze środka gumę i podzielił ją na dwa kawałki.

Uchylił drzwi celi, sprawdził. Korytarz był pusty.

Od pryszniców dzieliło go piętnaście szybkich kroków.

Zamknął za sobą drzwi, wszedł do toalety po prawej stronie i zamknął ją na haczyk.

GRENS PRZYNIÓSŁ SOBIE KOLEJNY kubek czarnej kawy i kupił następne ciasto z kleistą, słodką masą w środku. Kartka papieru z siedmioma nazwiskami była już porządnie poplamiona, ale wciąż dawało się je odczytać. Tak długo będzie leżała na stole obok kanapy, aż każde nazwisko dokładnie prześwietlą i postawią przy nim ptaszka.

Na wszystko mieli trzy dni.

Dochodzenie w sprawie egzekucji wykonanej w biały dzień w mieszkaniu w centrum Sztokholmu toczyło się dalej. Być może za trzy dni zostanie uznane za mniej ważne i dołączy do trzydziestu siedmiu innych spraw, których opisy leżały w cienkich teczkach na biurku i pewnie w żadnej z nich śledztwo nie posunie się dalej. Zawsze wydarzy się jakieś nowe zabójstwo, zawsze ktoś kogoś pobije. Przez dwa tygodnie będą pracować pełną parą, aż sprawa się wyjaśni albo trafi na półkę, gdzie powoli o niej zapomną.

Zerknął na nazwiska: Maciej Bosacki, Piet Hoffmann, Karl Lager. Właściciele firm ochroniarskich, które zajmują się instalacją systemów alarmowych, prowadzą sprzedaż kamizelek kuloodpornych, organizują kursy w zakresie samoobrony, a jej pracownicy wynajmują się jako goryle. Łączy je to, że ich wspólnym zleceniodawcą jest firma Securitus International. Oficjalne zlecenia, oficjalne faktury. Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Ale właśnie to go zainteresowało. Pod przykrywką działalności oficjalnej kryje się czasem działalność nieoficjalna. Szukał więc powiązań oficjalnego z nieoficjalnym, czegoś, co można było uznać za właściwą działalność. Na przykład handel narkotykami, bronią, ludźmi.

Wstał i wyszedł na korytarz.

Czuł się tak, jakby prawda zamierzała zrobić z niego głupca. Czuł, że jest gdzieś w pobliżu. Szuka jej, a tymczasem ona tkwi gdzieś między palcami.

Przez dwie godziny badał trzy numery osobowe w rejestrze prowadzonym przez komendę policji. Na ekranie pojawiały się dane osób poszukiwanych, dane identyfikacyjne, dane o nałożonych karach, informacje zebrane przez wywiadowców, pozwolenia i tak dalej. Zebrał sporo. Cała trójka była wcześniej karana, ich dane wprowadzono do bazy ASPEN i do rejestru podejrzanych, od każdego pobrano odciski palców, pozostawili też po sobie ślady DNA. Każdego z nich wcześniej poszukiwano i przynajmniej jeden był kiedyś związany z jakąś grupą przestępczą. Grens niezbyt się zdziwił, bo wielu takich jak oni krążyło po

szarej strefie, gdzie wiedza o przestępczości warunkuje wiedzę o pracy w strukturach bezpieczeństwa.

Poszedł korytarzem dalej, właściwie powinien zapukać, ale rzadko to robił.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Pokój był znacznie większy od jego klitki.

– O co chodzi?

Nigdy o tym wcześniej nie rozmawiali, choć w pewnym sensie doszli do porozumienia. Żeby ze sobą wytrzymać, pilnowali się, aby się nie spotykać.

– Västmannagatan.

Göransson nie miał na biurku stosów papierów ani pustych kubków, a tym bardziej okruszków po ciastkach kupionych w automacie na korytarzu.

– Co: Västmannagatan?

A więc facet nie wie, skąd to się wzięło. Nieprzyjemne uczucie, jakby zrobiło się ciasno, pomyślał Grens.

– Nic mi to nie mówi.

– Egzekucja. Przeglądam dane na temat ostatniego nazwiska i chcę sprawdzić, czy figurują w kartotece z pozwoleniami na broń.

Göransson skinął głową, odwrócił się w stronę monitora i wpisał swój login i hasło, żeby wejść do bazy. Ze względów bezpieczeństwa dostęp do niej miało zaledwie kilka osób.

– Ewert, stoisz za blisko.

Nieprzyjemne uczucie.

– O co ci chodzi?

Które wychodzi z wnętrza.

– Czy mógłbyś się cofnąć o dwa kroki?

Coś, co przez cały czas zabiera więcej miejsca.

Göransson spojrział na człowieka, którego tak bardzo nie lubił i który nie lubił jego. To dlatego rzadko wchodzili sobie w drogę i tak już musi zostać.

– Numer osobowy?

– Siedemdziesiąt dwa, dziesięć, osiemnaście, zero, zero, dziesięć. Sześćdziesiąt sześć, zero, pięć, trzydzieści jeden, dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt dziewięć. Pięćdziesiąt osiem, zero, dwa, dziewiętnaście, trzydzieści sześć, siedemdziesiąt dwa.

Trzy numery i trzy nazwiska na ekranie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.  
Västmannagatan. I nagle zrozumiał.  
– Słyszałeś, co powiedziałem? Chcę wiedzieć o nich wszystko.  
Tamto nazwisko!  
– Jeden z nich ma pozwolenie na broń. Broń służbowa i cztery karabiny myśliwskie.  
– Broń służbowa?  
– Pistolety.  
– Gdzie je wyprodukowano?  
– W Radomiu.  
– Kaliber?  
– Dziewięć milimetrów.  
Właśnie to nazwisko wyświetliło się na ekranie.  
– Niech to cholera!  
Grens wstał nagle z krzesła i zaczął się zbierać do wyjścia.  
– Ale my już mamy do nich dostęp.  
Zatrzymał się w pół kroku.  
– Co masz na myśli?  
– W kartotece jest wpis. Cała broń została skonfiskowana. Chyba ma ją Krantz.  
– Dlaczego?  
– Z treści wpisów to nie wynika. Spytaj Nilsa.  
Monotonny dźwięk, jaki wydaje kulejący człowiek, oddalał się stopniowo w głąb korytarza. Göransson nie miał siły, żeby zwalczyć w sobie nieprzyjemne uczucie, które uciskało go od wewnątrz. Długo siedział przed ekranem monitora, wpatrując się w nazwisko.  
Piet Hoffmann.  
Za chwilę Grens kliknie parę razy w klawiaturę komputera, zadzwoni w kilka miejsc i dowie się, gdzie przebywa teraz właściciel skonfiskowanej broni. Potem pojedzie czterdzieści kilometrów na północ, do niewielkiej miejsciny z wielkim więzieniem, przesłucha go i dowie się tego, czego nie powinien się dowiedzieć.  
Stało się coś, co nie miało prawa się zdarzyć.

HOFFMANN CZEKAŁ ZA ZAMKNIĘTYMI drzwiami, aż się upewnił, że jest sam. Gumowa tasiemka, łyżka, plastikowa torebka.

Właśnie w taki sposób ukrywał narkotyki i strzykawki, kiedy siedział w Österåker. Lorentz potwierdził, że system nadal działa, choć jest tak



cholernie prosty. A może właśnie dlatego. Przecież żaden klawisz w żadnym więzieniu nie kontroluje tego, co jest w muszli klozetowej.

Pojemnik na wodę, studzienki podłogowe, rurki pod umywalką... Takie schowki nie mają już szans, więc nawet nie próbował. Za to muszla... Upłynęło już tyle lat, a klawisze nadal się nie domyślają.

Na brudnej podłodze kibla położył gumkę, zgiętą łyżkę i torebki wypełnione amfą. Wyprostował taśmę i do jednego jej końca przywiązał torebkę, a do drugiego łyżkę. Klęknął przy sedesie, wziął torebkę do ręki i wsunął ją do kanału odpływowego w muszli, najgłębiej jak tylko się dało. Kiedy spłukiwał wodę, zmoczył sobie ramię. Pod wpływem ciśnienia torebka przesunęła się jeszcze głębiej, a łyżka utknęła na brzegu rury. Wtedy jeszcze raz spuścił wodę, żeby gumka się wyprostowała i żeby torebka mogła znaleźć się po drugiej stronie odpływu.

Łyżka zaczepiła się na fest o brzegi rury, dzięki czemu torebki nie było widać. Za to łatwo ją będzie stamtąd wyciągnąć. Wystarczy, że klęknie, wsunie do środka rękę i wyjmie.

GRENS WYSZEDŁ Z POKOJU Göranssona. Idąc korytarzem, zastanawiał się nad prawdą. Na razie jeszcze jej nie poznał, ale przynajmniej przestała się z niego głośno naśmiewać. Radom. Po raz pierwszy od rozpoczęcia dochodzenia ma jakieś nazwisko. Dziewięć milimetrów. Może ten Hoffmann jest jakimś ogniwnem, które doprowadzi go do prawdy o zabójstwie.

Piet Hoffmann.

Nigdy wcześniej nie słyszał tego nazwiska.

Facet był właścicielem firmy ochroniarskiej i pracował na zlecenie firmy Securitus International. Mimo pięciu lat spędzonych w więzieniu za ciężkie przestępstwa dostał pozwolenie na posiadanie broni wyprodukowanej w Polsce. Z bazy danych wynikało, że broń znajdowała się teraz w komendzie. Skonfiskowano ją dwa tygodnie temu.

Grens wyszedł z windy i wszedł do działu technicznego. Miał nazwisko. Za chwilę dowie się więcej.

KIEDY HOFFMANN WSTAŁ z podłogi, poczuł, że kolana mu ścierpły. Przez chwilę wsłuchiwał się w panującą ciszę. Jeszcze dwa razy spuścił wodę i znowu zaczął nasłuchiwać. Zdjął haczyk ze skobla i wyszedł na korytarz. Musi wyglądać tak, jakby przez pewien czas tam siedział, że

niby boli go żołądek i dlatego tyle czasu musiał spędzić na kiblu. Ruszył w stronę kącika telewizyjnego, przerzucił z roztargnieniem talię kart i starał się zachowywać tak, jakby chciał zabić czas. Jednocześnie zerkał w stronę dyżurki i kuchni, żeby zlokalizować klawiszy, którzy kręcili się po oddziale.

Odwrócone głowy, byli chyba czymś są zajęci. Podniósł środkowy palec, to na nich zawsze działało.

Nic. Żaden nie zareagował, żaden nawet nie spojrział.

Reszta więźniów nie wróciła jeszcze z popołudniowych zajęć szkolnych albo z warsztatów. Korytarz był pusty, klawisze gdzieś sobie poszli.

Teraz.

Ruszył wzdłuż celi. Szybko rozejrzał się wokół siebie. Otworzył drzwi do celi numer dwa.

To cela Greka. Wyglądała dokładnie tak samo jak jego cela. Szafka na ubranie, krzesło, szafka przy łóżku. W powietrzu unosił się trochę inny zapach, duszny i stęchły, a może raczej kwaśny. Było tu tak samo ciepło jak u niego, w powietrzu unosił się pył. Na ścianie zdjęcie dziecka, dziewczynka z długimi, ciemnymi włosami. Na drugiej fotografii jakaś kobieta, matka dziewczynki. Hoffmann był tego najzupełniej pewien.

A jeśli ktoś otworzy nagle drzwi?

Jeśli ktoś zauważy, co trzyma akurat w ręce?

Zadrzał, ale od razu się opanował. Nie wolno mu się bać.

Nie ma zbyt dużo porcji, trzynaście, może czternaście gramów, ale to wystarczy, żeby zarobić na nowy wyrok, dostać dłuższą odsiadkę i natychmiastowe przeniesienie do innego zakładu.

Trzynaście albo czternaście gramów, które musi ukryć.

Dotknął karnisza, ostrożnie przesunął po nim dłoń. Już za pierwszym razem się poluzował. Torebkę okleił taśmą i przymocował do ściany, żeby mocno się trzymała. Potem bez problemu umieścił karnisz na swoim miejscu.

Otworzył drzwi, ostatnie spojrzenie w głąb celi, przez chwilę zawiesił wzrok na fotografii wiszącej na ścianie. Dziewczynka mogła mieć z pięć lat, stała na trawie, w tle jakieś dzieci machały rączkami, wyglądały na szczęśliwe. Widać było, że dokądś idą, chyba na spacer z innymi przedszkolakami, w rękach tornistry, na głowach żółto-czerwone czapeczki z daszkiem.

Kiedy dziewczynka przyjdzie tu następnym razem, żeby odwiedzić swojego tatę, już go tu nie zastanie.

GRENS POCHYLIŁ SIĘ NAD długim blatem i przyglądał się siedmiu sztukom broni ułożonym w rzędzie. Trzy pistolety produkcji radomskiej i cztery karabiny myśliwskie.

– W jednej szafce na broń?

– W dwóch. Obie z atestem.

– I były w nich tylko te pistolety i karabiny, na które miał pozwolenie?

– Dokładnie te, na które dostał zgodę z komendy policji w Sztokholmie.

Grens stał obok Krantza w jednym z pokoi działu technicznego, który przypominał niewielkie laboratorium. Pełno tu było pochłaniaczy, mikroskopów i puszek z substancjami chemicznymi. Sięgnął po jeden z pistoletów, ujął go w dłoń i zważył. Był najzupełniej pewien, że zabity mężczyzna trzymał w dłoni dokładnie taką samą broń.

– Przed dwoma tygodniami?

– Tak. Biuro nieruchomości na Vasagatan. Narkotyki.

– I nic?

– Wszystkie sztuki broni dokładnie przestreliliśmy. Żadna z nich nie pojawia się w żadnych sprawach.

– A Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć?

– Wiem, miałeś nadzieję, że ci to potwierdzą. Ale na twoim miejscu nie robiłbym sobie zbyt wielkiej nadziei. Żaden z tych pistoletów czy karabinów nie ma nic wspólnego ze strzelaniną pod tamtym adresem.

Grens uderzył mocno pięścią w stół. Metalowa szafka zadrżała, a książki i segregatory pospadały na podłogę.

– Nie pojmuję tego.

Chciał ponownie uderzyć pięścią w szafę, ale Krantz w ostatniej chwili przeszkodził mu w tym przestraszony jej losem. Grens uderzył więc w ścianę, która wprawdzie nie zadrżała, ale wydała z siebie prawie podobny dźwięk.

– Nils, za cholerę nic nie kapuję. To dochodzenie... wygląda tak, jakbym przez cały czas stał obok i tylko się przyglądał. A więc skonfiskowałeś mu broń? Dwadzieścia dni temu? Do diabła, coś mi się tu nie zgadza. Przecież ten gnojek w ogóle nie powinien mieć broni, a tym bardziej takiej, na którą pozwolenie wydajemy my. Wprawdzie minęło już dziesięć lat, ale... z takim wyrokiem... nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby podobnym bandziorem wydawano zgodę.

Krantz nadal stał przed szafką. Nigdy nie wiadomo, co Grens może jeszcze zrobić. Chyba że nie będzie już walił pięścią w martwe

przedmioty.

- W takim razie musisz z nim pogadać.
- Zrobię to. Jak tylko się dowiem, gdzie siedzi.
- W Aspsås.

Grens spojrzał na Krantza, który podobnie jak on sam spędził w tym budynku parę ładnych lat.

- Aspsås?
- Tam go trzymają. Dostał chyba dość długi wyrok, o ile dobrze się orientuję.

HOFFMANN SIEDZIAŁ NA SWOIM nowym miejscu w kąciku telewizyjnym i także w to popołudnie czekał, aż jego sąsiedzi z celi wrócą z warsztatów i zajęć szkolnych. Potem pograli trochę w pokera, jedną partyjkę w starego wista i rozmawiali o klawiszu, który pracuje rano, sporo czasu poświęcili na omówienie napadu na bank w Täby, który włamywaczom zupełnie się nie udał, a skończyło się na zażartej dyskusji na temat tego, ile razy można się masturbować po wstrzyknięciu jednego grama amfy. Głośno się śmiali z kilku różnych określeń słowa „kutas”. Stefan i Karol, a razem z nimi dwaj Finowie chwalili się, że zdarzyło im się ruchać laski przez kilka dób, tak długo mieli twarde kutasy, a wszystko to dzięki prochom. Po pewnym czasie Hoffmann skinął lekko głową w stronę Greka i chciał mu odstąpić krzesło, ale tamten nie odpowiedział. Przecież to on sprzedaje prochy i kontroluje ten interes. Ma wysoki status w więziennej hierarchii i na razie nie ma ochoty na rozmowę z nowym.

Zostały jeszcze dwie godziny.

Plastikowa torebka nadal tkwi za karniszem. Zanim ten pieprzony kutas zdąży się połapać, co jest grane, będzie już po wszystkim.

GRENS STAŁ PRZY BIURKU i nadal trzymał w dłoni słuchawkę telefonu, chociaż rozmowa dobiegła końca. Sięgnął po kartkę poplamioną kawą i okruszkami ciastek.

Krantz miał rację. Facet wpisany na dole listy już siedzi w więzieniu.

Złapali go z trzema kilogramami amfy w bagażniku samochodu, szybko wsadzili do aresztu, skazali i przewieźli do Aspsås.

Amfetamina mocno pachniała kwiatami. Tulipanami.

LEŻAŁ NA TWARDEJ PRYCY i palił papierosa. Ostatni raz robił skręta dawno temu. W dniu, kiedy na ekranie monitora ujrzeni razem z Zofią centymetrowej długości zarodek płodu, który reagował na każdy ich oddech, postanowili rzucić palenie. Hoffmann był niespokojny, wypalił szybko do końca i od razu zapalił następnego. To głupie uczucie tak po prostu leżeć na prycy i czekać.

Uniósł się, zaczął nasłuchiwać, przyłożył ucho do twardych drzwi celi. Nic.

Słyszał dźwięki, które nie istniały. Na przykład regularne stukanie dochodzące z rur na suficie. Albo włączony telewizor. W jego celi nie było telewizora. Postanowił nie zabierać go do więzienia, żeby nie uczestniczyć w tym, co dzieje się na zewnątrz.

Jeśli wszystko poszło jak należy, za chwilę powinno się zacząć.

Znowu się położył, zapalił trzeciego papierosa. Sprawiało mu to przyjemność. Za piętnaście ósma. Od kiedy strażnicy zamknęli drzwi, minął kwadrans. Zazwyczaj czekają jeszcze pół godziny, aż na oddziale zapanuje spokój.

Wszystko było przygotowane, tak jak sobie tego życzył. Sygnał, że można zacząć działać, dostał wieczorem w pomieszczeniu z prysznicami, gdy klawisze czekali, aż wszyscy osadzeni wrócą do swoich cel. Obie plastikowe torebki, które jeszcze nie tak dawno wisiały na gumkach w odpływie sedesu, znajdują się teraz w Bloku H, ukryte za dwoma karniszami.

Teraz.

Jest najzupełniej pewien.

Usłyszał ujadanie psów i głosy strażników biegnących korytarzem.

„Dostanie pan moje dane osobowe później. Umieści mnie pan we właściwym zakładzie, da mi pan pracę i dopilnuje, żeby wieczorem, już po zamknięciu cel, dokładnie dwa dni po moim przybyciu, przeprowadzono niezapowiedzianą kontrolę każdej celi w całym więzieniu”.

Strażnicy otworzyli drzwi pierwszych cel na początku korytarza.

Hoffmann usłyszał podniesione głosy. Krzyczał jeden z Finów. Któryś z klawiszy starał się go przekrzyczeć.

Zanim doszli do niego, minęło dwadzieścia pięć minut. W tym czasie zdążyli przeszukać osiem cel.

– Przeszukanie.

– Możesz zrobić mi laskę.

– Wyjdź z celi, Hoffmann. Jak nie, to dostaniesz, o co się prosisz.

Kiedy wyciągali go na korytarz, splunął. Przestępca. Potem splunął jeszcze raz, kiedy przeglądali jego rzeczy osobiste. Żeby udawać przestępcę, trzeba nim być. Stał w białych, niedopasowanych kalesonach. W tym samym czasie dwaj klawisze weszli do jego celi i szukali rzeczy, których żadnemu z więźniów nie wolno posiadać.

Jednocześnie przeszukiwali dwie różne cele leżące naprzeciwko siebie. Kiedy w obu drzwi zostały otwarte, zrobiło się ciasno.

Do środka celi wchodziło po dwóch klawiszy. Dwaj inni stali na korytarzu, żeby pilnować przeklinających i grożących im więźniów.

Hoffmann przyglądał się, jak strażnicy rozrywają pościel, wyrzucają na podłogę ubrania, zagląдают do każdego buta, wywracają na drugą stronę skarpetki, oglądają jego sześć książek i odrywają listwę przypodłogową, zagląдают do kieszeni spodni, sprawdzają paski. Potem, kiedy w celi panował już całkowity bałagan, wpuścili ujadające psy. Na koniec podnieśli je pod sufit i pod karnisze.

„Co, u diabła...”.

„Z udziałem psa. To ważne”.

„Psa? A jak już znajdziemy to, co ukryłeś? Co ze współwięźniem z celi, któremu dasz prochy?”.

Listwa przypodłogowa pod umywalką.

I za lampką nocną, w niewielkim otworze na śruby.

– No i co? Znaleźliście coś? Nie? To fatalnie. Idźcie sobie walić konia do innej celi. A może mam wam pomóc?

Strażnik stojący pośrodku zaśmiał się głośno. Drugi zamknął drzwi i syknął w jego stronę: „Możesz dalej dawać dupy, Hoffmann”.

Inni więźniowie usłyszeli jego słowa.

Kiedy zamknęli drzwi od celi i poszli dalej, usiadł na brzegu pryczy. Pod stosem ubrań na podłodze znalazł pół papierosa. Zapalił go i położył się.

Zostało dziesięć minut.

Palił i spoglądał na sufit. W pewnej chwili usłyszał drapanie psa.

– Co to, kurwa, znaczy? Ja pierdołę, to nie jest moje!

Grek z celi numer dwa mówił ochrypłym głosem, który słyhać było mimo zamkniętych drzwi.

– Co jest, kurwa? Co to takiego... Sami to podrzuciliście, pierdolone klawisze, ja was...

Jeden ze strażników podniósł psa, który wyciągnął łapę w stronę okna, pokazując nią na karnisz. Była tam plastikowa torebka przymocowana

taśmą do ściany, a w niej czternaście gramów amfy wysokiej jakości. Strażnicy wyprowadzili roztrzęsionego Greka na korytarz i razem z nim opuścili oddział. Następnego dnia przeniosą go do zakładu w Kumli albo Hall. Odsiedzi tam resztę długiego wyroku, który teraz zostanie mu przedłużony. Mniej więcej w tym samym czasie strażnicy znaleźli takie same plastikowe torebki z amfą w dwóch różnych celach w Bloku H. Ta noc była dla trzech więźniów ostatnią, jaką spędzili w zakładzie karnym Aspsås.

Leżąc na pryczy, Hoffmann się uśmiechnął. Po raz pierwszy od czasu, kiedy znalazł się za murami.

Teraz to on będzie prowadził interes w Aspsås.

ŚRODA



UDAŁO MU SIĘ PRZESPAĆ prawie cztery godziny. Za oknem panowała jeszcze zupełna ciemność. Fin siedzący dwie cele dalej w końcu się uspokoił. W głowie Hoffmann nadal słyszał szcęk kluczy w zamku. Działo się tak za każdym razem, gdy ten dupek zaczynał wrzeszczeć, żeby zwrócić na siebie uwagę. Na całym oddziale cisza zapanowała dopiero wtedy, gdy dwaj inni więźniowie zagrozili Finowi, że spuszczą mu w pierdol, jeśli jeszcze raz przycisnie guzik dzwonka.

Hoffmann oparł się plecami o ścianę. Niespokojnie zerknął na poduszkę pod kołdrą, stołek stojący przed progiem celi i skarpetkę wciśniętą między futrynę a drzwi. To jego zabezpieczenie, tak jak wczoraj. I jutro też. Dwie i pół sekundy. To na wypadek gdyby ktoś się dowiedział i zaatakował go w ciągu dwudziestu minut, kiedy strażnicy nic nie widzą i nic nie słyszą.

Minuta po siódmej. Zostało dziewiętnaście minut. Potem wyjdzie, weźmie prysznic i zje śniadanie, jak pozostali.

Zrobił pierwszy krok. Za pomocą czterdziestu dwóch gramów trzydziestoprocentowej amfetaminy udało mu się wykosić trzech głównych dostawców. Warszawa dostała już informację o tym, co się stało. Wicedyrektor otworzył butelkę żubrówki i wzniósł toast na poczet następnego kroku.

Jeszcze osiem minut.

Hoffmann oddychał powoli. Mięśnie miał napięte. Śmierć nigdy nie puka.

Dzisiaj zrobi drugi krok. Sprzeda pierwszych kilka gramów amfy i po więzieniu rozniesie się wieść o nowym dostawcy. Szwedzka policja dopóty będzie się dowiadywać o nowych dostawcach, datach dostaw i kanałach dystrybucji, aż sieć sprzedaży w Aspsås stanie się na tyle rozbudowana, że policji będzie się opłacało ją rozbić. Miną dni, może tygodnie w oczekiwaniu na tę jedną chwilę, gdy organizacja zacznie sprawować pełną kontrolę, ale jeszcze zanim rozpocznie podobną działalność na terenie innego zakładu. Potem będzie można dobrać się do skóry kierownictwu organizacji w Warszawie, w czarnym domu przy ulicy Idzikowskiego.

Hoffmann spojrział na budzik. Tyka zbyt głośno. Dwadzieścia po siódmej. Odsunął krzesło, pościelił łóżko i po chwili otworzył drzwi. Na korytarzu panowała jeszcze cisza. Kiedy wszedł do stołówki i przechodził koło Stefana i Karola, uśmiechnęli się do niego. Więźniarka wyjeżdża

z zakładu mniej więcej o tej porze. Tak więc najprawdopodobniej ten, którego nazywano Grekiem, siedzi teraz w środku razem z dwoma z Bloku H. Pewnie nie za wiele ze sobą rozmawiają, raczej zastanawiają się, co się właściwie, kurwa, wydarzyło.

Woda w prysznicu była ciepła, napięcie powoli opadło. Jeszcze dwadzieścia minut temu czaił się przygotowany do walki i ucieczki. Stał przed lustrem i ujrzał w nim nieogoloną twarz, zbyt długie włosy. W kieszeni spodni miał maszynkę do golenia, ale i tym razem nie będzie się golił.

Wózek ze sprzętem do sprzątnięcia stał w składziku, za drzwiami wejściowymi na oddział.

Metalowe wiaderko z czarną torbą na śmieci, twarde rolki białych, znacznie mniejszych torebek, wąska szczotka z regulowaną szufelką, śmierdzące, plastikowe wiaderko, małe szmatki do mycia okien, a na samym dole jakiś bezwonny środek czystości, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Hoffmann.

Inspektor siedział w „akwarium” razem z innymi strażnikami.

– Pierwszy dzień?

– Tak.

– Masz się zatrzymać przed każdymi zamkniętymi drzwiami. Spojrzysz w górę, w stronę kamery. Jeśli dyżurny zechce cię wpuścić, będziesz miał tylko kilka sekund, żeby przejść przez otwarte drzwi.

– Coś jeszcze?

– Przeglądałem dzisiaj twoje akta. Dostałeś... Ile to było...? Aha, dziesięć lat. Wystarczy, żebyś przy odrobinie szczęścia nauczył się przez ten czas należycie sprzątać.

Pierwsze zamknięte drzwi znajdowały się już na początku tunelu. Hoffmann zatrzymał wózek, spojrzał w górę w stronę kamery, poczekał na charakterystyczny dźwięk i przeszedł do następnego sektora. Poczł wilgoć, a gdy przechodził przez tunel, trochę zmarzł. Kiedy siedział w Österåker, często chodził takim betonowym tunelem na oddział dla chorych, do sali gimnastycznej albo do sklepika, gdzie za każdą zarobioną koronę kupował piankę do golenia i mydło. Zatrzymywał się przed każdymi drzwiami, spoglądał w badawcze oko kamery i gdy drzwi się otwierały, od razu szedł dalej. Starał się zwracać na siebie jak najmniej uwagi.

– Ty!

Hoffmann przywitał się z grupą więźniów z innego bloku, którzy szli do pracy. Jeden z nich odwrócił się i spojrzał na niego.

– Co?

Narkoman. Chudy jak szczapa, błyszczące oczy, nie może ustać w miejscu.

– Słyszałem... Chciałbym kupić. Osiem g.

Stefan i Karol wykonali świetną robotę.

Wielkie więzienie staje się małe, kiedy jakaś wiadomość rozchodzi się po nim lotem błyskawicy.

– Dwa.

– Dwa?

– Mogę ci sprzedać dwa. Po południu. W „martwym” narożniku.

– Dwa? Kurwa mać, potrzebuję przynajmniej...

– Tym razem dostaniesz tylko tyle.

Chudy więzień zaczął wymachiwać w jego stronę rękami. Hoffmann odwrócił się i ruszył dalej szerokim tunelem.

Facet na pewno się tam zjawi. Ten szkielet zaczął już odliczać minuty. Pomoże mu to wytrwać. Dostanie swoje dwa g, a potem od razu pójdzie do kibla i da sobie w żyłę za pomocą jakiejś brudnej strzykawki.

Hoffmann szedł dalej i starał się opanować śmiech. Już niedługo. Za kilka godzin będzie kontrolować cały handel prochami w Aspsås.

LAMPY WISZĄCE W KORYTARZU sekcji dochodzeniowej świeciły mocnym, nieregularnym światłem. Irytujące zjawisko, bo za każdym razem, kiedy następował błysk, rozlegał się towarzyszący temu dźwięk. Najgorzej wyglądało to nad automatem do kawy i automatem z artykułami spożywczymi. Göransson nadal czuł w całym ciele coś nieprzyjemnego. Przez całe popołudnie, wieczór i pierwszą godzinę w łóżku zastanawiał się, dlaczego wizyta Grensa wywołała w nim taki niepokój. Starał się go pozbyć, ale bez skutku. Przyznanie priorytetu infiltracji środowiska handlarzy narkotyków za murami więzienia kosztem śledztwa w sprawie zabójstwa nie było najlepszym rozwiązaniem. Nie miał jednak innego wyjścia. Na spotkaniu w Rosenbad wszyscy dyskutowali, co jest ważniejsze. Uznali, że działania przeciwko polskiej mafii są ważniejsze, bo w ten sposób będzie można ograniczyć jej ekspansję.

– Göransson?

Znowu ten pieprzony głos.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Nigdy go nie lubił.

– Cześć, Ewert.

Grens kulał bardziej niż przedtem. A może to po prostu ściany korytarza wzmacniały odgłos wydawany przez zdrową nogę w zetknięciu z betonową posadzką?

– Rejestr broni.

Göransson starał się nie widzieć rąk, które niezdarnie szukały czegoś obok kubka do kawy i przyciskały guziki na automacie.

Znowu robi się tu ciasno.

– Stoisz za blisko.

– Nie mam zamiaru znowu się odsuwać.

– Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, zrób to teraz.

Grens nie ruszył się z miejsca.

– Numer osobowy siedemdziesiąt dwa, dziesięć, osiemnaście, zero, zero, dziesięć. Trzy pistolety wyprodukowane w Radomiu i cztery karabiny myśliwskie.

Na ekranie nadal jest tamto nazwisko.

– No i co?

– Chcę wiedzieć, jak to się dzieje, że ktoś z taką kartoteką jak on dostał pozwolenie na broń.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Przestępstwo przeciwko urzędnikowi państwowemu. Próba zabójstwa.

Plastikowy kubek się zapełnił. Grens popróbowował ciepłego napoju, skinął z zadowoleniem głową i nacisnął guzik jeszcze raz, po kolejną porcję.

– Nie pojmuję, jak to możliwe.

A ja rozumiem. Dostał pozwolenie, bo uznano, że nie ma skłonności do przemocy ani zaburzeń psychicznych. Nie uznano go za osobę groźną dla otoczenia i nie był karany za próbę zabójstwa, a jego wydruki z rejestru skazanych zostały sfalszowane, wyjaśnił mu w myślach Göransson.

– Mogę sprawdzić, jeśli to dla ciebie ważne.

Grens spróbował, jak smakuje kawa w drugim kubku, i znowu wyglądał na zadowolonego. Ruszył korytarzem, tym razem wolniej.

– To ważne. Muszę się dowiedzieć, kto załatwił mu pozwolenie. I dlaczego.

Ja to zrobiłem.

– Zrobię, co się da.

– Potrzebuję tej informacji na dzisiaj. Jutro rano chcę go przesłuchać. Göransson stał w miejscu i spoglądał za odchodzącym Grensem.

– A co z pozostałymi?

Grens zatrzymał się i spytał, nie odwracając się w stronę Göranssona:

– Kogo masz na myśli?

– Te trzy nazwiska, z którymi przyszedłeś do mnie wczoraj.

– Dwoma pozostałymi zajmę się dzisiaj. A ten gnojek siedzi za kratkami, wiem, gdzie go dopaść. Nie ucieknie nam, jutro też tam będzie.

Zbyt blisko.

Grens odszedł korytarzem, w obu dłoniach trzymał kubki z kawą. Oddalał się coraz bardziej.

Tak, Grens stał wtedy zbyt blisko.

SEDESY BYŁY ŻÓLTE OD MOCZU, w umywalce leżały wilgotne resztki prymek tabaki do żucia i niedopałki papierosów. Środek czystości, który nie miał żadnego zapachu, nie był w stanie usunąć nawet zewnętrznej warstwy brudu. Hoffmann długo szorował zapuszczone muszle szczotką, a potem druciakiem, ale obie ślizgały się tylko po powierzchni. Toaleta znajdująca się przy wejściu do sali warsztatowej była ciasna. Korzystali z niej pracujący tam więźniowie. Nienawidzili tej roboty, więc nie omijali żadnej z kilku krótkich przerw na sikanie, żeby zapomnieć o wyroku, którego brzemień odczuwali właśnie tutaj, przy maszynach. Wiercili małe otwory na śruby pod stojaki na lampy.

Hoffmann wszedł do środka i przywitał wzrokiem tych, których widział tu poprzedniego dnia. Wyczyścił ławy i półki, wyszorował podłogę wokół pojemnika z ropą, opróżnił kosze na śmieci i wymył wielkie okno wychodzące na kościół. Czekał, aż obaj klawisze, którzy tam siedzieli, wstaną, żeby zrobić obchód po sali. Mieli obowiązek robić to co pół godziny.

– To ty zamawiałeś towar?

Rosły mężczyzna z długim warkoczem. Z powodu brody wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Hoffmann dał mu najwyżej dwadzieścia lat.

– Tak.

Mężczyzna pracował przy prasie. Brał w swoje wielkie dłonie kawałki metalu, żeby je wygiąć w odpowiedni sposób. Robił dwie sztuki na minutę, jeśli akurat nie patrzył przez okno.

– Jeden g. Na dzisiaj. Na każdy dzień.

- Po południu.
- Blok H.
- Mamy tam naszego człowieka.
- Michała?
- Tak. Towar odbierzesz u niego i jemu zapłacisz.

Hoffmann się nie spieszył. Sprzątał jeszcze przez godzinę, bo w ten sposób mógł lepiej zapoznać się z całym pomieszczeniem, obliczyć odległość między oknem a słupami i zapamiętać, gdzie znajdują się kamery. Musi wiedzieć więcej niż inni, musi kontrolować sytuację, bo od tego zależy jego życie. Klawisze w końcu wstali i wyszli z dyżurki. Hoffmann poszedł tam z wózkiem, żeby posprzątać biurko i opróżnić kosz, który i tak był pusty. Przez cały czas uważał, żeby stać plecami do szklanej ściany i warsztatu. Potrzebuje zaledwie dwóch sekund. Maszynkę do golenia nadal miał w kieszeni spodni. Włożył ją do górnej szuflady biurka, do pustej przegródki między długopisy a spinacze. Wyłożył kosz nową plastikową torbą na śmieci. Przez cały czas stał zwrócony plecami do szyby. Potem wyszedł, zjechał windą do tunelu i przeszedł przez czworo drzwi do budynku administracji.

CAŁE CIAŁO GO SWĘDZIAŁO, a garnitur wydawał się zbyt ciasny. Göransson poluzował krawat i pobiegł przez korytarz, aż dotarł do drzwi prowadzących do dużego budynku połączonego z innymi budynkami. Stanowił on ważną część całego kompleksu zabudowań, gdzie swoją siedzibę miało naczelne kierownictwo policji.

Czuł, jak po policzkach, szyi i plecach ciekną mu strużki potu.

Piet Hoffmann. Paula.

Grens jest w drodze do Aspsås. Zdążył już zarezerwować salę, żeby przeprowadzić przesłuchanie. Potrwa pewnie nie dłużej niż dwie minuty, bo potem Hoffmann pochylił się w jego stronę i zażąda, żeby Grens wyłączył magnetofon, a wtedy zaśmieje się głośno i oznajmi, że Grens może wracać do domu, bo przecież obaj są po tej samej stronie, a on, Hoffmann, jest tam na zlecenie jego kolegów z policji. Przecież to przełożeni Grensa spotkali się niedawno w siedzibie rządu i postanowili, że zabójstwo się nie liczy, bo ważniejsze jest to, żeby on, Hoffmann, mógł infiltrować dla nich środowisko więzienne.

Göransson wyszedł z windy i wszedł do pokoju, nie pukając do drzwi. Nie przejmował się też tym, że siedzący tam mężczyzna trzyma w dłoni słuchawkę telefonu i macha na niego, żeby wyszedł, dopóki rozmowa nie

dobiegnie końca. Göransson opadł na kanapę. Komendant główny policji skończył rozmowę, obiecując, że oddzwoni, a potem spojrzał na swojego gościa.

– Ewert Grens.

Göransson miał wilgotne czoło i niespokojne, rozbiegane oczy. Komendant wstał z fotela i podszedł do wózka, gdzie stały szklanki i butelki wody mineralnej. Otworzył jedną z nich i nalał tyle, że płyn zakrył kostki lodu w szklance. Komendant miał nadzieję, że dzięki temu jego gość uspokoi się chociaż trochę.

– On tam jedzie. Będzie go przesłuchiwał. To bardzo źle... To jest...  
Musimy go wsypać.

– Spójrz na mnie. O czym ty mówisz?

– O Grensie. Jutro chce przesłuchać Hoffmanna w więzieniu.

– Napij się. Jeszcze trochę.

– Nie rozumiesz? Musimy go sypnąć.

W BUDYNKU ADMINISTRACJI WSZYSTKIE biurka były zajęte. Hoffmann zaczął od wąskiego, zewnętrznego korytarza. Zebrał śmieci i wyszorował podłogę, aż szare linoleum prawie zaczęło błyszczeć. Potem poczekał, aż każda z osób da mu znać, że może podejść, opróżnić kosz i wyczyścić blat biurka. Były to niewielkie, anonimowe pokoje wychodzące na spaceriak. Ujrzał na nim grupy więźniów, których nie znał. Palili papierosy i o czymś rozmyślali w promieniach słońca. Kilku z nich trzymało w rękach piłkę nożną, dwaj chodzili po ścieżce zdrowia wzdłuż muru. W jednym pokoju drzwi były zamknięte. Hoffmann przechodził obok nich kilka razy z nadzieją, że zostaną otwarte na tyle długo, że będzie mógł zajrzeć do środka. Godzinę później do posprzątania został mu tylko ten pokój.

Zastukał w drzwi i odczekał chwilę.

– Proszę.

Naczelnik więzienia nie poznał go, chociaż widzieli się poprzedniego dnia.

– Nazywam się Hoffmann. Sprzątam tutaj, więc pomyślałem sobie...

– Musisz poczekać, aż skończę. Możesz w tym czasie posprzątać inne pokoje.

– Ja już...

Lennart Oscarsson zamknął już drzwi, ale na szczęście Hoffmann zdążył zobaczyć przez jego ramię to, co chciał. Biurko i wazon

z tulipanami. Pąki zaczęły się już rozwijać.

Usiadł na krześle i oparł dłoń o wózek. Coraz częściej zerkał na zamknięte drzwi. Na myśl o tym, co się za nimi znajduje, zaczął się niecierpliwić. Wystarczyło zrobić dwa kroki.

Musiał wykosić konkurencję. Przejąć interes.

– Hej, ty!

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Oscarsson. Spojrzał na Hoffmanna.

– Teraz możesz tu posprzątać.

Naczelnik skierował się do następnego pokoju. Siedziała w nim kobieta, która według tabliczki na drzwiach zajmowała się finansami. Hoffmann skinął głową, ustawił wózek przy biurku i czekał. Minutę, dwie... Oscarsson nie wracał. Jego głos mieszał się z głosem kobiety, oboje śmiali się z czegoś.

Hoffmann pochylił się nad kwiatami. Pąki otworzyły się na tyle, że miejsca było wystarczająco dużo. Wsunął do środka palec i zaczął wyciągać pocięte i zwinięte prezerwatywy, z których każda zawierała trzy gramy amfy.

Opróżnił po kolei pięć sztuk, rzucił prezerwatywy na dno czarnego worka na śmieci i zaczął się przysłuchiwać głosom dochodzącym z sąsiedniego pokoju.

Uśmiechnął się. Już wkrótce zorganizuje pierwszą dostawę firmy Securitus International na zamknięty rynek więzienny.

GÖRANSSON WYPIŁ DWIE szklanki wody mineralnej i dokładnie pogryzł kawałeczki lodu. Był to niezbyt przyjemny dźwięk.

– Nie rozumiem – odezwał się komendant. – Kogo powinniśmy sypnąć?

– Hoffmanna.

Komendant nie mógł usiedzieć na miejscu. Miał z tym problemy już w chwili, gdy Göransson wszedł do pokoju.

– Napijesz się kawy?

– Wolę papierosa.

– Ale palisz tylko wieczorami.

– Dzisiaj zrobię wyjątek.

Paczka z papierosami była otwarta i leżała w dolnej szufladzie biurka, na samym końcu.

– Leżą tu od dwóch lat. Nie wiem, czy nadają się jeszcze do palenia, ale kupiłem je dla siebie, a nie żeby częstować innych. Mają tam czekać, aż



wypiję kolejną filiżankę kawy, poczuję drzenie całego ciała i udowodnię sobie, że nie wróciłem do nałogu.

Komendant otworzył okno, kiedy nad stołem pojawił się pierwszy dymek.

– Chyba lepiej będzie, jak je zamkniemy.

Spojrzał na Göranssona, który głęboko się zaciągał, i doszedł do wniosku, że jego rozmówca ma rację. Zamknął okno i zaczął wdychać zapach, który tak dobrze znał.

– Powinniśmy się spieszyć. Nie jestem pewien, czy rozumiesz. Grens siądzie naprzeciwko niego i dowie się o konsekwencjach spotkania, w którym nie powinniśmy byli uczestniczyć. Grens będzie...

– Fredriku?

– Słucham?

– Posłucham, co masz do powiedzenia, ale pod warunkiem, że się uspokoisz i dokładnie mi o wszystkim opowiesz.

Göransson dopalił papierosa, zapalił nowego i wypalił go do połowy. Wrócił do nieprzyjemnej sytuacji przy automacie do kawy, gdzie spotkał Grensa, który podczas sprawdzania nazwisk osób luźno związanych ze śledztwem poszukiwał kogoś, kto współpracował z „oficjalną” firmą Securitus International. Człowiek ten – zgodnie z policyjnym rejestrem – dostał pozwolenie na broń, mimo że popełnił poważne przestępstwo. Osoba ta odsiedziała długi wyrok za handel narkotykami. Jutro Grens przesłucha tego człowieka w sprawie zbrodni w mieszkaniu przy Västmannagatan 79.

– Ewert Grens?

– Tak.

– Siw Malmkvist?

– Tak, on.

– Jeden z tych, którzy nigdy nie dają za wygraną?

Tak, jeden z nich.

– Wszystko się posypie. Słyszysz, Kristianie? Posypie się.

– Nic się nigdy nie sypie do końca.

– Grens nie odpuści. Kiedy przesłucha Hoffmanna, przyjdzie kolej na nas, którzy działaliśmy z mocy prawa, mieliśmy go chronić i tak dalej.

Komendant policji nie drżał, nie pocił się, ale rozumiał, skąd bierze się niepokój wyczuwalny w pomieszczeniu. Wiedział też, że musi coś zrobić, żeby nad nim zapanować.

– Chwileczkę.

Wstał z kanapy, podszedł do telefonu, sięgnął po czarny notes z numerami telefonów i wybrał ten, którego szukał.

Kiedy pojawił się sygnał, był bardziej donośny niż zwykle, dzięki czemu Göransson, który siedział na kanapie, też go słyszał – trzy, cztery, pięć razy. W końcu w słuchawce rozległ się głęboki męski głos. Komendant przysunął ją bliżej do ust.

– Pål? Tu Kristian. Jesteś sam?

Głos brzmiał jak szum, ale komendant wyglądał na zadowolonego, skinął lekko głową.

– Potrzebuję twojej pomocy. Mamy wspólny problem.

HOFFMANN STAŁ W TUNELU przed pierwszymi, zamkniętymi drzwiami między budynkiem administracji a Blokiem G. Kamera obróciła się w jego stronę, dyżurny zmienił kąt nachylenia i skupił obraz na zarośniętej twarzy mężczyzny w wieku trzydziestu kilku lat, który spoglądał w monitor. Może nawet porównywał jego wizerunek ze zdjęciem w aktach. To nowy więzień, przybył zaledwie dwa dni temu i jest tylko jednym z wielu, którzy dostali długi wyrok i muszą go odsiedzieć.

Hoffmann dopilnował, żeby na samej górze plastikowego worka na wózku znalazły się śmieci. Jeśli ktoś będzie go mijał i zerknie w dół, zobaczy tylko pomięte koperty i puste plastikowe kubki. Nie zauważy za to pięćdziesięciu prezerwatyw zawierających sto pięćdziesiąt gramów amfetaminy. Wykorzystał do swoich celów czterdzieści dwa gramy amfetaminy ukrytej w książkach i dzięki niej zlikwidował konkurentów. Teraz wykorzysta to, co ukrył w pękach pięćdziesięciu żółtych tulipanów. Będzie to nowa dostawa dla więźniów od nowych dostawców. Za kilka godzin więźniowie na wszystkich oddziałach dowiedzą się, że jakiś osadzony, Piet Hoffmann, rozprowadza prochy i że robi to gdzieś w Bloku G. Za pierwszym razem sprzeda nie więcej niż dwa gramy, bez względu na to, jak bardzo będą mu grozić albo żebrać. Tych pierwszych dawek od firmy Securitus International wystarczy dla siedemdziesięciu pięciu narkomanów. Od razu też pojawi się pierwszy dłużnik, a on zażąda od niego spłacenia długu. Więcej sprzeda za dwie doby, kiedy przejmie obu strażników z Bloku F, którzy w zamian za to, że regularnie wprowadzali towar do obrotu, znajdowali się na liście płac Greka.

Szczęk zamka oznaczał, że strażnik dokładnie mu się przypatrzył i na kilka sekund otworzy mu drzwi. Hoffmann poszedł dalej, na pierwszym

skrzyżowaniu tunelu skręcił w prawo i zatrzymał się po dwóch krokach, dwa i pół metra od krawędzi tunelu. Stefan i Karol potwierdzili, że to właśnie to miejsce: pięciometrowej długości odcinek korytarza, gdzie znajduje się martwy punkt. Hoffmann się rozejrzył: od strony Bloku H nikt nie nadchodził. Nikt też nie wyszedł z budynku administracji.

Pochylił się nad wózkiem. Znalazł na dnie kubła pięćdziesiąt prezerwatyw i opróżnił je z zawartości. Twarde, czarne, plastikowe woreczki leżały na twardej podłodze. Łyżkę zabrał z gabinetu naczelnika, z kubka. Każda z takich łyżeczek mieści dokładnie dwa gramy proszku leżącego płasko na jej powierzchni. Cały proszek podzielił na siedemdziesiąt pięć kupek.

Pracował szybko, ale był ostrożny. Rozrywał białe, niewielkie torby na śmieci i robił z nich dwugramowe porcje. Siedemdziesiąt pięć działek na dnie wózka plus zawartość kosza na śmieci z budynku administracji – dla ochrony.

– Ustaliliśmy osiem g, nie?

Hoffmann słyszał, jak tamten się zbliża. Typowy krok ćpuna, który idzie, szurając stopami po posadzce. Wiedział, że tamten się zjawi i będzie natrętny.

– Osiem, nie? Ustaliliśmy, że osiem, nie?

Poirytowany Hoffmann pokręcił głową.

– Tak trudno ci, kurwa, zapamiętać? Dostaniesz dwa.

Nowy klient musi dokonać przynajmniej jednego zakupu. Tego dnia każdy z nich odbędzie podróż do niezwykłego świata, w którym o wiele łatwiej się żyje. Żaden nie powinien za pierwszym razem kręcić się po oddziale z taką ilością prochów, żeby mógł odsprzedać swoją działkę komuś innemu. Nie może być mowy o poddostawcach, konkurentach. Sprzedaż ma kontrolować tylko jedna osoba: z celi w korytarzu Bloku G2 po lewej stronie.

– Co ty pierdolisz? Ja...

– Zamknij ryj, jeśli w ogóle chcesz coś dostać.

Chudy ćpun trząsał się jeszcze bardziej niż przed południem, stopy przez cały czas w ruchu, rozbiegane oczy, które ani razu nie spoglądały w oczy jego rozmówcy. Ćpun ucichł, wyciągnął rękę i poczuł w końcu niewielką plastikową kulkę. Odwrócił się i idąc, schował ją do kieszeni.

– Chyba o czymś zapomniałeś.

Hoffmann przyglądał się, jak ćpunowi drgają mięśnie wokół oczu. Oczy robiły się coraz większe, na dodatek zaczęły mu też drgać policzki.

– Załatwię kasę.

- Pięćdziesiąt koron za gram.  
Na kilka sekund drzenie ustało.
- Pięćdziesiąt?

Hoffmann uśmiechnął się, widząc jego zdziwienie. Powinien skasować go na trzysta, trzysta pięćdziesiąt za gram. A właściwie nawet na sześćset, bo przecież innych dostawców już nie ma. Ale zależało mu, żeby wiadomość o nowym dostawcy rozeszła się po całym więzieniu. Dopiero później podwyższą stawkę, gdy wszyscy klienci znajdą się na liście, którą będzie prowadził jedyny dostawca w więzieniu.

- Tak, pięćdziesiąt.
- O kurwa... To ja chcę dwadzieścia g.
- Dwa.
- Albo trzydzieści... pierdolę, nawet...
- Od tej pory wisisz mi kasę.
- Załatwię to.
- My pilnujemy, żeby nikt nie miał wobec nas długów.
- Spokojnie, ja zawsze...
- To dobrze. Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Nagle od strony wejścia do Bloku H rozległ się odgłos kroków. Słysząc je było coraz wyraźniej. Obaj je usłyszeli, więc ćpun ruszył w swoją stronę.

- Gdzie robisz?
- W szkole.
- Gdzie?

Ćpun pocił się, policzki drżały mu coraz bardziej.

- Kurwa, przecież...
- Gdzie?

– Sala szkolna, Blok F-trzy.

– W takim razie w przyszłości będziesz zamawiał u Stefana. I od niego będziesz odbierał.

Dwoje zamkniętych drzwi, potem windą do góry w Bloku G. Hoffmann wepchnął wózek do składziku, w którym śmierdziało mokrymi szmatami do mycia podłogi, włożył jedenaście plastikowych kulek do kieszeni, a resztę zostawił pod zmiętymi papierami. Za godzinę inne ręce rozniosą je do innych budynków więzienia. W każdym oddziale znajdą się chętni do ich kupna, którzy potwierdzą istnienie nowego dostawcy i wysoką jakość towaru, jak również cenę. Będzie to oznaczać, że on i firma Securitus International całkowicie przejęli interes.

Już na niego czekali.

Jeden stał na korytarzu, dwóch w kątku telewizyjnym. Rozbiegane, niespokojne spojrzenia.

W kieszeni miał jedenaście działek na oddział, który niczym nie różnił się od innych. Pięciu zapłaci gotówką. W sumie zarobi tutaj miliony koron. To pieniądze z cichej działalności, jaką na terenie więzienia prowadzą osadzeni. Społeczeństwo rzadko się o tym dowiaduje. Sześciu nie ma pieniędzy i dlatego będą dłużnikami firmy Securitus International. Zaczną dla niej pracować po wyjściu na wolność, aż spłacą dług. Hoffmann dysponował kapitałem finansowym i ludźmi. Można powiedzieć, że byli jego własnością.

GÖRANSSON SIEDZIAŁ NA KANAPIE w gabinecie komendanta i w słuchawce telefonu słyszał głos, który rozbrzmiewał na tyle głośno, że mógł wyłapać pojedyncze zdania i słowa.

– Wspólny problem?

– Tak.

– Tak wcześniej rano?

Głos westchnął, a komendant kontynuował:

– Chodzi o Hoffmanna.

– Aha...

– Jutro przed południem zostanie wezwany na przesłuchanie w więzieniu w Aspsås. Pewien komisarz z komendy miejskiej w Sztokholmie, który prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa przy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć, chce z nim porozmawiać.

Komendant czekał na odpowiedź, jakąś reakcję, cokolwiek. Nie doczekał się.

– To przesłuchanie nie może się odbyć. Hoffmann pod żadnym pozorem nie może się spotkać z tym policjantem, zwłaszcza w sprawie śledztwa dotyczącego tego adresu.

Zapadła cisza, a gdy głos w słuchawce znowu się odezwał, brzmiał jak cichy szum, którego nie można było zrozumieć nawet z odległości dwóch metrów.

– Nie mogę ci więcej wyjaśnić. Nie tutaj i nie teraz. Ale musisz to jakoś rozwiązać.

Komendant siedział na brzegu biurka w niewygodnej pozycji. Wyprostował plecy i coś strzyknęło mu w biodrach.

– Pål, potrzebuję tylko dwóch dni. Może tydzień. Musisz mi je dać.

Komendant odłożył słuchawkę i stał pochylony. Znowu poczuł, jak coś mu strzyknęło, dwa razy, chyba gdzieś w plecach.

– Dostaniemy trochę więcej czasu, którego tak bardzo potrzebujemy. Teraz my musimy działać, żeby za trzy albo cztery doby podobna sytuacja się nie powtórzyła.

Rozlali do filiżanek resztę kawy, Göransson zapalił kolejnego papierosa.

Spotkanie, do którego doszło przed dwoma tygodniami w pokoju z widokiem na Sztokholm, ma nieoczekiwane konsekwencje. „Paula” przestała być operacją, na którą szwedzka policja czekała i pracowała od wielu lat. W tym przypadku chodzi też o wiedzę, jaką posiada były kryminalista, o którym niewiele wiedzieli. Gdyby przekazał ją dalej, mogłaby mieć fatalne skutki i wykroczyć poza pokój, w którym o wszystkim rozmawiali.

– A więc Erik Wilson jest za granicą?

Göransson potwierdził skinieniem głowy.

– A ludzie z firmy Securitus International są na oddziale więzienia. Wiemy, którzy to?

Göransson ponownie skinął głową i rozsiadł się. Po raz pierwszy, od kiedy wszedł do pokoju, poczuł, że kanapa jest wygodna. Komendant spojrział na jego twarz i zauważył, że maluje się na niej spokój.

– Masz rację.

Dotknął pustego dzbanka z kawą, chciało mu się pić. Właściwie nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego niektóre osoby piją kawę przyrządzaną w taki sposób, to znaczy zalewają ją po prostu wrzącą wodą. Mimo to nalał sobie resztkę płynu. W gęstym od dymu pokoju kawa przyniosła mu trochę ulgi.

– Jeśli zdradzimy, kim jest Hoffmann, i jeśli członkowie organizacji dowiedzą się, że wśród nich działa wtyka... No cóż, to już nie nasza sprawa, co organizacja zrobi z tą wiedzą. Nie możemy ponosić odpowiedzialności za działania innych ludzi.

Szklanka wody z bąbelkami.

– Zrobimy, jak chcesz. Musimy go wsypać.

CZWARTEK

TEJ NOCY ŚNIŁA MU SIĘ DZIURA. Przez cztery kolejne noce ślady kurzu na półce za biurkiem stały się wielką dziurą, która rosła i zdawało się, że nie ma dna. Bez względu na to, gdzie się znajdował i jak bardzo starał się stamtąd wyrwać, ciemność wypełniająca dziurę wyciągała po niego ręce. Potem zaczął spadać i w pewnej chwili się ocknął. Leżał na podłodze za kanapą i ślizgał się po niej wilgotnymi plecami.

Wpół do piątej. Na dziedzińcu komendy w Kronobergu było już ciepło i jasno. Grens wyszedł na korytarz i skierował się do niewielkiego pomieszczenia kuchennego. Na kranie nad zlewozmywakiem wisiała niebieska ściereczka. Zmoczył ją i zabrał ze sobą do pokoju, swojej nory, która wydawała mu się o wiele mniejsza, niż była w rzeczywistości.

Przez trzydzieści pięć lat pracy w policji spędził w niej tyle godzin, tyle dni. Przeciągnął wilgotną szmatą po warstwie kurzu, która nadal wskazywała, gdzie jeszcze niedawno stał magnetofon – prezent od kolegów z okazji dwudziestu pięciu lat pracy zawodowej. Potem stały inne ślady, trochę mniejsze. Kiedyś stały tam nóżki magnetofonu i ramki ze zdjęciami. Wytarł też zakurzone czworokąty po dwóch głośnikach.

Gdyby tylko ten kurz nie istniał...

Z parapetu zabrał kaktus, a z podłogi segregatory zawierające akta zakończonych już dawno temu śledztw. Właściwie powinny trafić do archiwum, ale on wolał zapełniać nimi każdą wolną przestrzeń na półkach.

Kolejny kubek czarnej kawy, w powietrzu nadal unosiło się mnóstwo pierwiastków. Szukają dla siebie nowych miejsc, gdzie będą mogły spokojnie się ułożyć. Kawa nie smakuje jak dawniej, ma taki smak, jakby kurz wymieszał się z brązową cieczą, która dzięki temu zyskała trochę jaśniejszą barwę.

Wyjechał wcześniej, bo chciał się szybciej wszystkiego dowiedzieć. Więzień, który dopiero niedawno wstał, nie będzie jeszcze tak rzeński jak za dnia. Nie będzie się też szyderczo ani przekornie uśmiechał. Każde przesłuchanie to walka dwóch rodzajów władzy lub też próba wzbudzenia zaufania. Jednak on nie miał czasu, żeby budować atmosferę wzajemnego zaufania. Z miasta wyjechał ze zbyt dużą prędkością. Przejechał kilka pierwszych kilometrów drogą E4, a mijając Hagę i rozległy cmentarz po lewej stronie, gwałtownie zwolnił. Zawahał się, ale ruszył dalej, może wstąpi tam w drodze powrotnej, przejedzie wolno obok ludzi z kwiatami w jednej i konewką w drugiej ręce.



Do więzienia miał jeszcze trzydzieści kilometrów. Przez trzydzieści lat pracy przyjeżdżał tam kilka razy do roku. Wielu policjantów ze Sztokholmu, którzy prowadzą śledztwa, musi się tam od czasu do czasu zjawić, bo któryś z osadzonych coś widział albo wiedział. Jednak pogarda dla policyjnego munduru jest tam większa niż gdziekolwiek, a strach przed konsekwencjami dla tego, który za dużo mówi, jak najbardziej uzasadniony. W tak zamkniętym środowisku informator żyje krótko. Najczęstszą odpowiedzią na dźwięk szumu magnetofonu jest szyderczy uśmiech albo milczenie.

Poprzedniego dnia spisał sobie dwa nazwiska, które pojawiły się na obrzeżach śledztwa. Właściciele firm ochroniarskich działających na zlecenie firmy Securitus International. Pojechał do miejscowości Odensala koło Märsty i wypił kawę z Maciejem Bosackim. Potem do Södertälje, gdzie wypił kolejną kawę, z Karlem Lagerem. Już po paru minutach rozmowy z każdym z nich wiedział, że bez względu na to, czym zajmują się naprawdę, nie wyglądają na ludzi, którzy likwidują innych.

Już go widzi – potężny mur więzienny.

Zdarzało się, że kiedy przechodził podziemnym tunelem pod spacerakiem, spotykał niekiedy tych, których tam wsadził. Odebrał im wolność, życie, skazał na dni i lata za murami. I dlatego rozumiał, dlaczego spluwali na jego widok. Nawet to respektował, chociaż takie zachowania nie robiły na nim żadnego wrażenia. Przecież każdy z nich miał w dupie innych ludzi. W jego świecie ktoś, kto rościł sobie prawo, żeby szkodzić pozostałym, musi mieć jaja, żeby potem ponieść konsekwencje.

Szary betonowy korytarz zrobił się dłuższy i wyższy.

Ten, z którym się spotka, ma brązowy identyfikator z nazwiskiem. Piet Hoffmann. Kiedyś skazali go za celowanie i strzelanie do policjanta. Mimo to dostał pozwolenie na broń. Coś się tu nie zgadzało.

Zaparkował samochód i skierował się do więziennej bramy. Za chwilę Hoffmann usiądzie przed nim i zmierzą się wzrokiem.

**NIE CZUŁ SIĘ NAJLEPIEJ.**

Jednak nie wiedział dlaczego. Może było zbyt cicho? A może izolację odczuwał także we własnej głowie?

Odpędził od siebie myśli na temat Zofii. Najgorzej było przed drugą, zanim zaczęło się robić jasno. Potem jak zwykle wstał, zrobił kilka

pompek, lekki trucht i tak przez pewien czas, aż pot zaczął mu spływać po karku i klatce piersiowej.

Powinien być spokojny. Ludzie z kierownictwa firmy Securitus International dostali informację, że wykosił konkurencję i przejął interes. Od tego popołudnia będzie przyjmował większe dostawy i będzie sprzedawał większe działki.

– Dzień dobry, Hoffmann.

– Dzień dobry.

Nie mógł się jakoś rozluźnić. Coś się zbliżało, coś się zaczynało dziać.

Zaczął się bać.

Dyżurny strażnik otwierał drzwi w celach. Więźniowie chodzili już po korytarzu, nie widział ich, ale na pewno tam byli, wołali coś i szeptali. Między drzwiami i futryną tkwiła skarpetka, przy progu stał stołek, pod kołdrą leżała poduszka.

Dwie minuty po siódmej. Jeszcze osiemnaście minut. Oparł się o ścianę.

STARSZY WIEKIEM STRAŻNIK siedzący w dyżurce obejrzał jego legitymację służbową, wystukał coś na klawiaturze komputera i westchnął.

– Powiedział pan, że chodzi o przesłuchanie?

– Tak.

– Ewert Grens?

– Tak.

– Piet Hoffmann?

– Zamówiłem pokój przesłuchań, więc proszę mnie wpuścić, żebym mógł tam pójść.

Strażnikowi wcale się nie spieszyło. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Proszę chwilę poczekać. Muszę coś najpierw sprawdzić.

JUŻ PO CZTERNASTU MINUTACH rozpętało się piekło.

Ktoś otworzył z hukiem drzwi. Jedna sekunda. Ktoś przewrócił krzesło. Druga sekunda. Stefan minął go od prawej strony ze śrubokrętem w ręce.

Miał jeszcze chwilę, może jeden oddech. Ludzie w tak różny sposób przeżywają to, co dzieje się w ciągu pół sekundy.

Było ich czterech.

Widział to już wcześniej, wiele razy. Dwa razy sam w czymś takim uczestniczył.

Pierwszy wpadł do środka ten ze śrubokrętem. Zaraz za nim drugi, dodatkowe ręce, żeby pobić albo zabić. Dwaj stali na korytarzu na czatach, w pewnej odległości od celi.

Poduszka i bluza sportowa pod kołdrą. Minęło dwie i pół sekundy. To jego zabezpieczenie, jego ucieczka.

Cios. Kolejnego już nie zada.

Zadał tylko jeden cios. Prawym łokciem w lewą część szyi i w tętnicę, silny cios właśnie w to miejsce. Stefan osunął się na podłogę, odpłynął.

Ciężkie ciało leżało na podłodze, blokując drzwi i drogę napastnikowi trzymającemu ostry kawałek blachy z warsztatu. Karol uderzył nim w powietrze, w pustkę, żeby po prostu zachować równowagę. Hoffmann wcisnął się między futrynę i ramię napastnika, który nie zdążył się jeszcze zorientować, gdzie podział się ten, którego mieli zabić. Hoffmann wypadł na korytarz i biegiem minął dwóch pozostałych, którzy stali na czatach. Pędził w stronę zamkniętych drzwi dyżurki.

Wiedzą!

Biegł i rozglądał się wokół siebie.

Wiedzą!

Otworzył drzwi i wszedł do dyżurki, ktoś zawołał za nim „Stukacz”. Starszy strażnik krzyknął na niego: „Wynoś się stąd!”. Hoffmann nie krzyczał, choć potem nie do końca był pewien, ale chyba rzeczywiście tego nie robił. Stał w dyżurce za zamkniętymi drzwiami, szepcząc: „Chcę do izolatki”. Klawisze nie reagowali, więc powiedział trochę głośniej: „Chcę P-osiemnaście”. A gdy nadal żaden z nich nawet się nie poruszył, tylko gapili się bezmyślnie, wykrzyknął – być może naprawdę to zrobił – „No już, klawisze!”, tak, chyba to właśnie zrobił, „Muszę natychmiast do izolatki, zaraz!”.

GRENS USIADŁ NA KRZEŚLE i przyglądał się rolce papieru toaletowego leżącej na podłodze koło łóżka. Przez chwilę patrzył też na materac w plastikowym pokrowcu leżący na łóżku. Raz na miesiąc, przez godzinę, więźniowie dawali tu upust strachowi i tęsknocie, gdy dwa nagie ciała splatały się mocno ze sobą. Podszedł do okna, ale niewiele było stamtąd widać, jakieś dwa mury zwieńczone drutem kolczastym, a trochę dalej kawałek szarego i grubego betonu. Znowu usiadł. Zawsze odczuwał

potrzebę zajmowania się czymkolwiek, nigdy nie mógł usiedzieć w spokoju. Dotknął czarnego magnetofonu kasetowego leżącego na środku stołu. Za każdym razem, kiedy zjawiał się, żeby kogoś przesłuchać, urządzenie już na niego czekało, potem zaczynał przesłuchiwać tych, którzy nic nie widzieli i nie słyszeli. Pamiętał twarze, które czasem były zbyt blisko jego twarzy, i stłumione głosy, zanim spuścili wzrok na podłogę. Nienawidzili go do chwili, aż wyłączył sprzęt. Nie był pewien, czy jakiegokolwiek przesłuchanie, które przeprowadził w tym pokoju, w czymkolwiek mu pomogło, doprowadziło bliżej do celu, do rozwiązania zagadki.

Ktoś zapukał do drzwi i do środka wszedł mężczyzna. Z dokumentów wynikało, że Hoffmann jest młodszy. Tymczasem człowiek stojący przed Grensem był starszy i miał na sobie mundur.

– Nazywam się Lennart Oscarsson. Jestem naczelnikiem więzienia.

Grens podał mu rękę i uśmiechnął się.

– Cholera... Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, był pan tylko zwykłym strażnikiem na oddziale dla zbrojników seksualnych. Widzę, że zdarzył się awans. Czy od tamtego razu jeszcze pan kogoś wypuścił?

Kilka lat zawartych w kilku sekundach.

Obaj przypomnieli sobie tamte lata, kiedy strażnik Lennart Oscarsson zgodził się, aby skazanego za pedofilię więźnia przewieźć do szpitala. Podczas transportu więzień uciekł i zamordował pięcioletnią dziewczynkę.

– Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, pan był tylko komisarzem policji. I chyba nadal nim pan jest?

– Tak. Niestety, żeby dostać kopa w górę, trzeba naprawdę sporo nabroić.

Grens stał po drugiej stronie stołu i czekał na kolejną, pełną sarkazmu uwagę. Trochę go to bawiło, ale Oscarsson poprzestał na tym. Grens domyślił się, że naczelnika coś nurtuje, gdy ten wszedł do pokoju. Wydawał się nieobecny, zdekoncentrowany, myślami gdzie indziej.

– Przyjechał pan, żeby przesłuchać Hoffmanna?

– Tak.

– Wracam właśnie z oddziału szpitalnego. Nie może się pan z nim dzisiaj spotkać.

– Chwileczkę. Umówiłem się na tę rozmowę wczoraj. Wtedy był jeszcze zdrowy jak ryba.

– Zachorowali nocą.

– Było ich więcej?

– Do tej pory trzech. Wysoka gorączka. Nie wiemy, skąd się wzięła. Lekarz więzienny kazał ich przenieść do izolatki. Nie wolno im się z nikim spotykać, dopóki się nie dowiemy, co im jest.

Grens westchnął głośno.

– Jak długo?

– Trzy, może cztery dni. Tylko tyle mogę dzisiaj powiedzieć.

Spojrzeni po sobie, bo nie było o czym mówić. Właśnie zamierzali wyjść z pokoju, gdy rozległ się głośny dźwięk, który rozdarł panującą ciszę. Czarny, czworokątny pager Oscarssona zaczął wydawać piskliwe sygnały. Za każdym razem, gdy rozlegał się dźwięk, pager migotał czerwonym kolorem.

Naczelnik sięgnął po pager i zerknął na wyświetlacz. Na jego twarzy najpierw pojawiło się zdumienie, potem strach i panika.

– Niestety, muszę już iść. Widocznie coś się stało. Znajdzie pan drogę do wyjścia?

Zbiegł po schodach do tunelu i skierował się w stronę bloków. Po raz kolejny zerknął na pager.

Blok G2. Drugie piętro. To tam, gdzie siedzi Hoffmann. Ten sam, w którego sprawie na polecenie szefa więziennictwa okłamał Grensa.

HOFFMANN KRZYKNAŁ NA NICH i usiadł na podłodze.

Zareagowali dopiero po chwili. Jeden z klawiszy zamknął drzwi od środka i stanął przy szybie, żeby obserwować więdnostki podczas przeprowadzania do izolatki więźnia, któremu groził samosąd ze strony innych osadzonych.

Hoffmann podszedł do krzesła, dzięki czemu stał się częściowo niewidoczny dla tych, którzy przechodzili koło dyżurki i głośno wypowiadali pewne słowo, żeby je słyszał.

Stukacz.

To znaczy informator.

DRZWI DO POKOJU KOMENDANTA głównego policji były otwarte.

Göransson zapukał lekko w futrynę i wszedł do środka. Komendant już na niego czekał. Na stole obok srebrnego termosu leżały kanapki owinięte w pomarszczony papier z niewielkiej restauracji na Bergsgatan, gdzie można było kupić gotowe zestawy śniadaniowe. Usiadł na kanapie, nalał kawy do dwóch filiżanek i zaczął jeść chleb, odgryzając za każdym razem po dużym kęsie. Czuł głód i targał nim niepokój. Idąc korytarzem, minął powoli pokój Grensa. Było to jedyne pomieszczenie, gdzie wcześniej rano paliło się światło i ze środka dobiegała banalna muzyka. Tym razem panowała tam zupełna cisza. Grens, który często nocował w pokoju i już od wczesnych godzin rannych zasiadał za biurkiem, był nieobecny. Pojechał do więzienia w Aspsås i zrobił to tak wcześnie, jak zapowiadał poprzedniego dnia. Nie mogą dopuścić, żeby doszło do rozmowy z Hoffmannem. Duży kawałek chleba utkwiał Göranssonowi w gardle, musiał go wypluć na talerzyk. Hoffmann nie może rozmawiać z Grensem. Dopił kawę i wypłukał resztki z dna.

– Fredriku?

Komendant wrócił do pokoju i usiadł obok niego.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Göransson próbował się uśmiechnąć, ale nie potrafił. Jego usta nie mogły się do tego zmusić.

– Nie.

– Jakoś sobie z tym poradzimy.

Zjadł kanapkę z serem, jakąś zieleniną, papryką i dwoma plasterkami ogórka.

– Przed chwilą przeprowadziłem rozmowę telefoniczną. Grens wraca z Aspsås. Został poinformowany, że więzień Piet Hoffmann nie będzie z nim mógł porozmawiać przez trzy, a nawet cztery dni.

Göransson spojrzał na kawałek chleba. Poczuł, jak napięcie powoli ustępuje.

– Zaniepokojony – rzucił.

– Słucham?

– Pytałeś, jak się czuję. No więc odpowiadam: jestem cholernie zaniepokojony.

Odłożył połówkę kanapki na talerzyk i wszystko wrzucił do kosza na śmieci. Nie mógł nic więcej przełknąć. Nie potrafił. W gardle czuł suchość.

– Obawiam się tego, że Hoffmann zacznie mówić. Boję się przyznać, co jestem w stanie zrobić, żeby nie mówił.

Wcześniej też już się zdarzało, że wsypywali jakiegoś więźnia. „Nie wiemy, kim jest”. Wystawiali informatora, jeśli pojawiało się zbyt wiele pytań. „Nie współpracujemy z przestępcami”. Udawali, że nic nie widzą, kiedy zaczynało się polowanie i gdy inwigilowana organizacja przestępcza załatwiała to we własny sposób. Nigdy jednak nie zdarzyło się to w więzieniu, gdzie nie było drogi ucieczki. Śmierć albo życie.

W pokoju zapadła nagle cisza.

– A co niepokoi cię najbardziej? – spytał komendant i pochylił się w jego stronę. – Musisz to wiedzieć. Konsekwencje tego, że Hoffmann zacznie mówić? A może konsekwencje naszych własnych działań?

Göransson się nie odzywał.

– Czy masz jakiś wybór?

– Nie wiem.

– A czy ja mam jakiś wybór?

– Nie wiem!

Göransson machnął ręką, zrzucając przy tym termos na podłogę. Komendant odczekał chwilę, schylił się, podniósł go i powiedział:

– Tak to już bywa w życiu.

Przysunął się bliżej Göranssona.

– Nie popełniamy błędu. Tak już po prostu musi być. Nie popełniamy błędu. Jedyne, co robimy, i jedyne, co zrobiliśmy, to rozmowy, jakie odbyliśmy z adwokatem, który reprezentuje kilku ludzi z firmy Securitus International odsiadujących wyroki w Aspsås. Nie możemy ponosić odpowiedzialności za to, że postanowił przekazać informację swojemu klientowi, ani za to, że jego klienci zadziałali tak, jak więźniowie zawsze postępują za murami.

Komendant podsunął się trochę bliżej Göranssona, ale nadal nie siedział zbyt blisko niego.

– Możemy ponosić odpowiedzialność wyłącznie za nasze własne działania.

Z gabinetu rozciągał się widok na park. W piaskownicy bawiły się dzieci, dwa psy biegały między drzewami i nie reagowały na wołanie właścicieli, którzy stali z kagańcami w ręce. Był to dość ładny park, w samym środku Kungsholmen. Göransson długo mu się przyglądał. Nigdy nie chodził tam na spacer i przez chwilę zastanawiał się nawet dlaczego.

– Konsekwencje tego, co powie Hoffmann.

– Tak?

Göransson nadal stał przy oknie. Powietrze wpływające do pokoju przez lufcik orzeźwiało go.

– To odpowiedź na twoje pytanie, co mnie najbardziej niepokoi. Konsekwencje tego, co powie Hoffmann.

HOFFMANN PRZESUNĄŁ KRZESŁO trochę bardziej w lewo. Dzięki temu widział cały korytarz na oddziale, podobnie jak stół bilardowy, gdzie ci, którzy niedawno go zaatakowali, udawali, że grają, choć cały czas uważnie go obserwowali. Najwyraźniej chcieli, żeby to widział, żeby wiedział, że jest podłym szczurem, który nie ma dokąd uciec. Więzienie to zamknięty system murów, które każdego ograniczają. Jeśli ktoś będzie chciał uciec, zawsze spotka je na swojej drodze i nie będzie mógł się przez nie przebić ani ich obejść. Najbliżej dyżurki stał Karol. Uniósł rękę, pokazał nią swoje usta i kilka razy wypowiedział bezdźwięcznie słowo „Stukacz”.

Paula już nie istnieje.

Hoffmann zaczął gorączkowo myśleć. Musi zrozumieć, że od tej chwili ma do zrobienia tylko jedną rzecz: przeżyć.

A więc wiedzą.

Musieli się o wszystkim dowiedzieć poprzedniego wieczoru albo nocą. Kiedy strażnicy zamykali drzwi cel, wszystko było jeszcze w porządku. A to oznacza, że ktoś z zewnątrz ma tu swoje dojścia i mógł porozumiewać się z więźniami mimo zamkniętych drzwi.

„Gdyby groziła ci wpadka, w więzieniu nie będziesz miał dokąd uciec. Ale możesz zażądać oddzielnej celi”.



Było ich dziesięciu. Na głowach mieli kaski ochronne, w rękach tarcze i pałki. Jednostka specjalna zakładu karnego w Aspsås pojawiła się na spacerunku i weszła po schodach do Bloku G. Sześciu z nich zostanie na miejscu, będą pełnić funkcję odstraszającą i zapobiegać kolejnym aktom przemocy. Czterech – dwóch z przodu i dwóch z tyłu – będzie eskortować zagrożonego więźnia do tunelu, a potem, już pod ziemią, do Bloku C, gdzie znajduje się oddział dla więźniów izolowanych, którzy chcą tam przebywać na własną prośbę.

„Mogą wydać na ciebie wyrok śmierci. Ale nie umrzesz”.

Tam też jest szesnaście cel. Oddział wygląda jak każdy inny oddział w przeciętnym więzieniu: dyżurka dla klawiszy, kącik telewizyjny, prysznic, jadalnia, stół do ping-ponga. Jeśli jakiś osadzony chce przebywać w którymś z tych miejsc, może to zrobić bez żadnych ograniczeń i nigdy nie narazi się na ryzyko, że na jego drodze staną więźniowie z innych oddziałów. Ci, których tu spotka, są jego jedynymi sąsiadami w tym bloku.

Tydzień.

Ma czekać, unikać konfliktów, żyć, starać się przeżyć, bo za drzwiami tego budynku czeka go śmierć. W każdym miejscu tego wielkiego więzienia może nagle poczuć śrubokręt wbity w tętnicę albo uderzenie nogą od krzesła – a właściwie tyle uderzeń, ile potrzeba, żeby noga pękła. Za tydzień Erik go stąd wyciągnie. Nie umrze, jeszcze nie teraz, najpierw musi zobaczyć Zofię, Rasmusa, Emila.

– Jak się czujesz?

Gdy go zaatakowali, rzucił się głową do przodu, zadał cios w policzek i podbródek i w ciągu kilku sekund znalazł się u klawiszy w „akwarium”. Widział usta układające się w słowo „Stukacz”, czarne mundury jednostki specjalnej i nagle poczuł, że z trudem oddycha. Próbował się wyprostować, ale nogi się pod nim ugięły.

Wcześniej nie rozumiał, że siły mogą człowieka opuścić tak nagle, kiedy jedyne, co się czuje, to strach przed śmiercią.

– Nie wiem. Muszę do toalety, żeby umyć twarz. Cholernie się pocę.

Umywalka była prawie czysta. Odkręcił kurek i spuścił trochę wody, aż popłynęła zupełnie zimna. Wsadził pod nią głowę i poczuł chłód na karku, który powoli przesunął się w dół po plecach. Nabrał wody i umył twarz. Jakby wrócił do życia, nawet mu się w głowie nie zakręciło.

Nagle poczuł kopnięcie w bok.

Ból był intensywny, promieniował już od bioder.

Hoffmann nie słyszał i nie zauważył, jak do środka wszedł inny więzień, który do niego podbiegł. Miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Na szczęście na zewnątrz stali ci z jednostki specjalnej, więc nie zdążył zrobić nic więcej. Jeszcze nie teraz. Splunął tylko, powiedział „Stukacz” i wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Wyrok śmierci. Już zapadł.

Hoffmann wstał, dotknął ręką bolącego biodra, zakaszłał. Kopniak trafił go trochę wyżej, niż mu się na początku wydawało. Pewnie pękły ze dwa żebra. Musi się stąd jak najszybciej wynieść, do izolatki. Pełna izolacja, kontakt tylko z klawiszami, żadnych spotkań z innymi osadzonymi. Przez całą dobę będzie tkwił w celi.

Stukacz.

Musi się stąd wyrwać. Nie może umrzeć.

W DRODZE POWROTNEJ Z ASPSÅS Grens zatrzymał się na stacji benzynowej w Täby. Usiadł przy oknie, zamówił sok pomarańczowy i kanapkę z serem. Wysoka gorączka. Izolacja. Trzy, może cztery dni. Stał w pokoju odwiedzin wśród rolek papieru toaletowego i owiniętych w plastikowe pokrowce materacy i miał ochotę bić rękami w ścianę. Dał sobie jednak spokój, przecież nie będzie się wyklócał z więziennym lekarzem w sprawie jakiejś gorączki, o której nigdy nie słyszał. Kupił sobie jeszcze jedną kanapkę, do Sztokholmu został mu kawałek drogi. Nie mógł zbyt długo siedzieć. Koło Hagi zjechał z drogi E4, minął szpital i zatrzymał się w pewnej odległości od drogi prowadzącej do kościoła w Solnie. Wjazd nazywał się Brama numer 1. Poprzednim razem dotarł tylko do tego miejsca.

Nie był tu sam. Wszędzie kręcili się pracownicy cmentarza i osoby odwiedzające groby swoich bliskich. Grens opuścił szybę; w samochodzie było duszno, powietrze przyklejało mu się do pleców.

– Pracuje pan tutaj?

Robotnik miał na sobie niebieski kombinezon. Na przyczepce motorynki leżały dwa szpadle. Zatrzymał się, aby odpowiedzieć na pytanie człowieka siedzącego w samochodzie, który być może nie miał odwagi, żeby z niego wyjść.

– Od siedemnastu lat.

Grens wiercił się niespokojnie, przesunął plastikowy pojemnik po kanapce i spojrzał na starszą kobietę, która pochylała się nad nowym nagrobkiem. W jednej ręce trzymała kwiaty, w drugiej pustą doniczkę.

– Rozumiem, że dobrze się pan orientuje w terenie?

– Można tak chyba powiedzieć.

Kobieta zaczęła grzebać w ziemi, ostrożnie włożyła kwiaty do wykopanego otworu. Miejsca między paskiem trawy a brzegiem kamiennej płyty starczyło tylko na tyle.

– Chciałbym się dowiedzieć...

– Tak?

– Chciałbym się dowiedzieć... czy można zasięgnąć informacji w sprawie pewnego grobu, dowiedzieć się, gdzie leży pewna osoba... Jak to zrobić?

LENNART OSCARSSON STAŁ PRZY oknie w pokoju, który stanowił obiekt jego pożądania przez całe dorosłe życie. Był to gabinet naczelnika więzienia w Aspsås. Po dwudziestu jeden latach służby jako strażnik i zastępca naczelnika przed czterema miesiącami dostał w końcu awans na naczelnika tego zakładu karnego. Dzięki temu miał teraz do dyspozycji trochę większe regały na segregatory i trochę bardziej miękką kanapę dla gości. Tak długo marzył o tym stanowisku, że kiedy je w końcu objął, nie bardzo wiedział, co z nim zrobić. Co człowiek powinien zrobić, kiedy nie ma już do czego tęsknić? Westchnął lekko, spojrzał na dziedziniec i na więźniów, którzy mieli akurat przerwę i wyszli na spacer. Bandyci, którzy mordowali, bili, kradli, a teraz siedzą sobie na ziemi na suchym piasku. Żeby tu wytrzymać, zastanawiają się nad swoim życiem albo próbują wyprzeć wszystko z pamięci. Przesunął wzrok ponad mur i zatrzymał go na pobliskim miasteczku pełnym jednorodzinnych, białych albo czerwonych domów. Przez chwilę spoglądał na okno sypialni należącej kiedyś do jego rodziny. Teraz mieszka tam sam. Dokonał wyboru i okazało się, że popełnił błąd. Czasem jest już za późno, żeby zrobić coś jak należy.

Ponownie westchnął, ale nawet sobie tego nie uświadamiał. Miał za sobą fatalny wieczór i fatalną noc. Ogarnęło go uczucie, które zazwyczaj wkrada się najpierw do głowy, a potem rozchodzi po całym ciele. Zaczęło się od irytującego uczucia w okolicy skroni, gdy usłyszał głos, który rozpoznał, ale nigdy wcześniej nie rozmawiał z jego właścicielem. Siedział wtedy przy stole i jadł kolację. Właśnie kończył, gdy zadzwonił telefon. Szef więziennictwa rozmawiał z nim uprzejmym, acz zdecydowanym tonem. Poinformował go, że następnego dnia przed południem przyjedzie do Aspsås komisarz policji kryminalnej z komendy

miejskiej w Sztokholmie, żeby przesłuchać jednego z więźniów z Bloku G2, niejakiego Pieta Hoffmanna. Nie wolno mu na to pozwolić, obaj nie mogą się nawet spotkać tego dnia, podobnie jak w ciągu dwóch kolejnych dni. Oscarsson nie zadawał zbędnych pytań i dopiero potem, kiedy zmywał talerze, szklanki, nóż i widelec, zrozumiał, skąd wzięło się to uczucie, które najpierw było irytacją, a potem zamieniło się w złość.

Kłamstwo.

Powiedział Grensowi, żeby wracał do Sztokholmu. I nagle dostał sygnał, że coś się dzieje. Chodziło o jednego z więźniów, który w sytuacji zagrożenia został przeniesiony z Bloku G2 na oddział dla izolowanych.

Piet Hoffmann.

To z jego powodu skłamał.

Oscarsson ugryzł się w wargę, aż zaczęła krwawić. Zaciskał na niej zęby tak długo, aż zaczęła go boleć, jakby sam chciał się ukarać albo zapomnieć o przepelniającej go złości, która przez chwilę podpowiadała mu, żeby otworzył okno, wyskoczył i pobiegł do miasta wykrzyknąć ludziom o wszystkim, o czym nie wiedzą.

Nieprzyjemne uczucie i rozmowa telefoniczna w sprawie Grensa zbiegły się w czasie. Było jednak jeszcze coś, a mianowicie polecenie, aby jeszcze tego samego wieczoru pozwolił pewnemu adwokatowi na odwiedzenie jednego z osadzonych. Adwokaci przyjeżdżali czasem do więzienia, kiedy w oczekiwaniu na zbliżający się proces albo na ogłoszenie wyroku obecność prawnika w celi jest konieczna. Jednak rzadko dochodziło do takich wizyt po zamknięciu więźnia na oddziale. Tym razem zapowiedziany adwokat odwiedził jednego z Polaków z Bloku G2. Oscarsson był całkowicie pewien, że facet przekazuje za pieniądze informacje dla osadzonych.

Późna wizyta adwokata miała miejsce na tym samym oddziale, na którym następnego ranka doszło do napadu.

Oscarsson znowu ugryzł się w wargę, we krwi poczuł smak żelaza i czegoś jeszcze. Nie wiedział, czego się spodziewać, może jest naiwny. Przez tyle lat marzył o tym gabinecie i o mundurze, który teraz nosi. Nieważne. W każdym razie nigdy sobie nie wyobrażał, że na tym stanowisku dzieją się takie rzeczy.

BYŁA TO BARDZO PROSTA CELA, bez żadnych osobistych przedmiotów. Łóżko, stołek, szafa na ubranie. Bezbarwna i pozbawiona wyrazu. Hoffmann nie wychodził z niej od czasu, gdy do niej wszedł. Nie

zamierzał w niej zostawać i tamci też to wiedzieli, bo wiadomość o wydanym na niego wyroku śmierci trafiła tu przed nim. Tamten chłopak stał w łaźni i czekał, aż będzie mógł go kopnąć w biodro. Potem powiedział: „Stukacz” i obiecał, że Hoffmann może się spodziewać czegoś więcej. Jeśli więc Hoffmann chciał przeżyć najbliższy tydzień, musiał się do tego zabrać inaczej, zapewnić sobie zupełnie inną ochronę. Zaostrzona izolacja – to najlepszy sposób. Osadzony jest wtedy oddzielony nie tylko od reszty więzienia, ale także od wszystkich innych więźniów siedzących w sąsiednich celach.

Żeby wysikać się do umywalki, musiał stanąć na palcach, bo wisiała trochę za wysoko. Wolał jednak to, niż iść do wspólnych toalet, poza celę.

Nacisnął guzik przy drzwiach i wrzasnął.

– Chciałeś czegoś?

– Muszę zadzwonić.

– Telefon jest w korytarzu.

– Nie wyjdę z celi.

Klawisz wszedł do celi i pochylił się nad umywalką.

– Śmierdzi tutaj.

– Mam prawo zadzwonić.

– Cholera, szczałeś do umywalki?

– Mam prawo zadzwonić do adwokata, na policję i pod pięć numerów zatwierdzonych przez kierownictwo więzienia. Chcę to zrobić teraz.

– Na tym oddziale, jak wiesz, korzystamy z ogólnie dostępnych toalet w korytarzu. A my tu nie mamy żadnej listy z zatwierdzonymi numerami.

– W takim razie chcę zadzwonić na policję, na centralę komendy miejskiej w Sztokholmie. Tego nie możecie mi zabronić.

– Aparat wisi w...

– Chcę zadzwonić stąd. Mam prawo zadzwonić na policję na osobności.

Dwa sygnały.

Hoffmann trzymał w ręce przenośny telefon. Wilson się nie zgłaszał i Hoffmann o tym wiedział. Wilson jest na szkoleniu w Stanach, wyjechał tam na czas, w którym obaj nie przewidywali żadnych wzajemnych kontaktów. Mimo to Hoffmann zadzwonił pod jego numer, do jego pokoju. Od tego musiał zacząć.

Centrala połączyła go po raz drugi.

„Kiedy zażadasz, żeby cię przenieśli na dół, do pojedynczej celi, skontaktujesz się z nami i poczekaś jeszcze tydzień. Tyle czasu

potrzebujemy, żeby załatwić wszystkie sprawy związane z wyciągnięciem cię stamtąd”.

Czternaście sygnałów. Erik i tak się nie zgłosi, bez względu na to, ile razy zadzwoni.

– Chcę zadzwonić bezpośrednio na centralę.

Zostałem sam.

I znowu ten sam sygnał w słuchawce, głuchy, słaby.

Żaden z nich jeszcze nie wie.

– Komenda policji w Sztokholmie.

– Poproszę z Göranssonem.

– Z którym?

– Szefem sekcji dochodzeniowej.

Telefonistka przełączyła go na odpowiedni numer. I znowu ten sam głuchy, słaby dźwięk. Zostałem sam. Żaden z nich jeszcze nie wie. Cekał ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Dźwięk stawał się coraz mocniejszy z każdym sygnałem, aż zaczął mu się wwiercać w mózg i mieszał się z głosem chłopaka spod prysznic, który, przechodząc obok zamkniętej celi, wołał „Stukacz!”. Raz, drugi i trzeci.

GRENS LEŻAŁ NA KANAPIE i patrzył na regał za biurkiem, na pustą od niedawna przestrzeń, którą wczesnym rankiem zapełnił segregatorami, a obok postawił kaktusa. Gdyby tylko nie było kurzu. Odwrócił się, spojrzął na sufit i znalazł nowe rysy ciągnące się w obie strony. W pewnym miejscu spotykały się, żeby trochę dalej znowu rozejść się w różnych kierunkach. Wczoraj na cmentarzu, gdy zatrzymał samochód, podszedł do niego tamten robotnik i pokazał mu trawniki i drzewa. Przypominały mały las. Dalej, w stronę Hagi, znajdowały się nowe groby. Robotnik zaproponował nawet, że z nim pójdzie, że pokaże drogę, bo przecież Grens nigdy tam nie był. On jednak podziękował i pokręcił głową w odmownym geście. Postanowił, że wybierze się innego dnia.

– A dźwięk?

Ktoś stanął w drzwiach pokoju.

– Czego chcesz?

– Tamten dźwięk.

– Co za dźwięk, do cholery?

– Dźwięk. A właściwie... jego brak. Dysonans.

Ågestam przeszedł przez próg.

– Czasem jej słucham. Siw Malmkvist. I kiedy tu szedłem, spodziewałem się, że ją znowu usłyszę. A teraz widzę, że już jej nie ma. Że jest tutaj cicho.

Prokurator wszedł do pokoju, który wyglądał teraz inaczej, jakby zyskał nowy kształt. To, co kiedyś było w nim najważniejsze, znikło.

– Widzę, że przemeblowałeś?

Spojrzał na regał. Segregatory, akta dochodzeń wstępnych, uschnięta roślina w doniczce. Kiedyś ta ściana wyglądała inaczej, była sercem tego pokoju.

– Co ty właściwie zrobiłeś?

Grens nie odpowiadał. Ågestam wsłuchiwał się w muzykę, której już nie było, tę samą, której tak nie znosił i która atakowała go ze wszystkich stron.

– Grens... dlaczego...?

– To nie twoja sprawa.

– Ty to...

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Prokurator dał sobie spokój. Chciał z nim porozmawiać o czymś niezwiązanym z pracą. Spróbował i jak zwykle żałował.

– Västmannagatan.

– Co masz na myśli?

– Dałem ci trzy dni.

W pokoju zapadła cisza.

– Trzy dni. Żebyś sprawdził trzy ostatnie nazwiska.

– Nie jestem jeszcze gotów.

– Jeśli nadal nie posunęliście się dalej... Ewert, odbieram tej sprawie priorytet.

Podczas całej rozmowy Grens leżał na kanapie. Teraz jednak szybko wstał. Tam, gdzie leżał, zostało głębokie wgniecenie.

– Nie zgadzam się, do cholery! Zrobiliśmy dokładnie to, co nam zaproponowałeś. Wybraliśmy i sprawdziliśmy kilka osób pozostających poza głównym tokiem śledztwa. Znaleźliśmy je, przesłuchaliśmy i skreśliliśmy. Z wyjątkiem jednego. Niejaki Piet Hoffmann, który siedzi w więzieniu, a teraz leży niedostępny na oddziale szpitalnym.

– Niedostępny?

– Przez trzy, cztery dni.

– I co o nim sądzisz?

– Uważam, że to ciekawy wątek. Coś mi się w nim nie zgadza.

Młody prokurator spojrział na segregatory i uschnięty kwiatek, które zamknęły drogę powrotną do przeszłości. Nigdy nie przypuszczał, że Grens odpuści sobie kogoś, kogo musiał kochać na odległość.

– Cztery dni. Daję ci je, żebyś mógł przesłuchać tego ostatniego. Albo powiążesz go jakoś z tą zbrodnią, albo odpuszczamy sobie całą sprawę.

Grens skinął głową i Ågestam skierował się do wyjścia. Chciał opuścić pokój, w którym nigdy się nie śmiał, nawet się nie uśmiechał. Każde spotkanie w tym pomieszczeniu wywoływało w nim napięcie i prowadziło do kolejnego konfliktu. Grens zawsze umiał zniechęcić do siebie innych, często ich obrażał i ranił. Dlatego Ågestam postanowił wyjść, żeby znowu nie doszło do takiej sytuacji. Idąc w stronę drzwi, nie usłyszał odchrząknięcia i nie zauważył kartki papieru, którą Grens wyjął z kieszeni marynarki.

– Poczekaj!

Prokurator zatrzymał się, niepewny, czy się nie przesłyszał. Jednak był to głos Grensa. Co ciekawe, brzmiał dość uprzejmie. Ågestam wyczuł w nim nawet coś w rodzaju nieśmiałej prośby.

– Wiesz, co to jest?

Grens rozwinął kartkę i położył ją na stoliku stojącym przy kanapie.

Mapa.

– To cmentarz w północnej części Sztokholmu.

– Byłeś tam kiedyś?

– Co masz na myśli?

– Byłeś? Byłeś tam?

Dziwne pytania. Przypominały prawie normalną rozmowę.

– Leżą tam dwie osoby z mojej rodziny.

Ågestam nigdy jeszcze nie widział, żeby ten arogancki prostak był nagle taki mały. Grens przesuwiał palcem po mapie największego w Sztokholmie cmentarza i starał się dobrać właściwe słowa.

– W takim razie na pewno wiesz... Chodzi mi o to... czy tam jest ładnie?

DRZWI CELI ZNAJDUJĄCEJ SIĘ na samym końcu korytarza oddziału dla więźniów izolowanych były otwarte. Więzień z G2 został tam doprowadzony tunelem w eskorcie czterech funkcjonariuszy jednostki specjalnej. Kiedy zażądał rozmowy z policją, na oddziale rozpętało się piekło. Hoffmann wrzasnął i zażądał kolejnego przeniesienia, tym razem na oddział o zaostrowym rygorze. Bił rękami w ścianę, przewrócił szafkę



na ubranie, roztrzaskał stołek i nasikał na podłogę, aż mocz wypłynął na korytarz. Czuł się zaszczuty, a jednocześnie pokazał im, że nad wszystkim panuje. Bał się, ale wziął się w garść. Wiedział, co mówi i dlaczego to robi. Nie zamierzał się poddać i na pewno się nie załamał. Piet Hoffmann wołał, że się uspokoi dopiero wtedy, gdy go wysłuchają.

Lennart Oscarsson stał w swoim pokoju, spoglądając na dziedziniec i na szereg domków jednorodzinnych w miasteczku, gdy poinformowano go o awanturze, jaką jeden z osadzonych wywołał na oddziale dla izolowanych. Postanowił, że sam tam pójdzie i w końcu spotka się z więźniem, którego nazwisko towarzyszy mu od rozmowy telefonicznej poprzedniego wieczoru.

– Tam?

Naczelnik wskazał głową otwarte drzwi celi i czterech strażników stojących na korytarzu.

– Tak, to tam.

Wcześniej już go widział. To ten, który sprzątał w budynku administracji. Wtedy wydawał się trochę wyższy, trzymał się bardziej prosto, a jego oczy wyrażały zaniepokojenie. Tymczasem człowiek, który siedział przed nim na pryczy z nogami podciągniętymi pod brodę i opierał się mocno plecami o ścianę, był już kimś innym.

– Jakiś problem, Hoffmann?

Więzień, którego zabroniono przesłuchiwać, wyglądał na bardziej opanowanego, niż był w rzeczywistości.

– Nie wiem. A pan jak sądzi? A może przyszedł pan do mnie, żebym opróżnił panu kosz na śmieci w gabinecie?

– Coś mi się zdaje, że na to wygląda. I że to ty stwarzasz ten problem.

Tamten rozkazał, żeby wpuścić adwokata na jego oddział.

– Poprosiłeś o dobrowolną izolację. Odmówiłeś nam wyjaśnień, mimo to dostałeś, o co prosiłeś.

Rozkazał, żeby uniemożliwić przesłuchanie.

– W takim razie pytam, na czym polega problem?

– Chcę do izolacji z obostrzonym rygorem.

Patrzę na ciebie.

Masz na sobie ubranie, które ci daliśmy.

Nadal jednak nie rozumiem, kim jesteś.

– Co takiego? A tak naprawdę... to o co ci chodzi?

– Nie chcę mieć żadnych kontaktów z innymi więźniami.

– Czujesz się zagrożony?

– Żadnych kontaktów. Tylko tego chcę.

Hoffmann wyrzwał przez otwarte drzwi celi. Więźniowie, którzy się tu znajdują, wykonają na nim wyrok śmierci w równie prosty sposób, jak na każdym innym oddziale. Odizolowali się od innych więźniów, ale nie od siebie.

– To nie takie proste. O izolacji z zastrzonym rygorem decyduje wyłącznie naczelnik więzienia, a nie więzień. Na podstawie paragrafu osiemnastego zażądałeś, aby cię przeniesiono tutaj. I tak się stało, bo to nasz obowiązek. Jeśli nas o to poprosiłeś, było naszym obowiązkiem spełnić twoje żądanie. Ale izolacja z zastrzonym rygorem podlega pod zupełnie inny paragraf i dochodzi do niej w zupełnie innych okolicznościach. Osadzony nie może się domagać zastosowania paragrafu pięćdziesiątego, bo tu nie chodzi o izolację dobrowolną, tylko o przymusową. Decyduję o niej ja albo strażnik z twojego oddziału.

Obaj wiedzieli, że Hoffmann nie przeżyje tu całego tygodnia.

– Przymusową?

– Tak.

– A jak się taką decyzję podejmuje?

– W sytuacji, jeśli stanowisz zagrożenie dla innych lub dla siebie samego.

– Zagrożenie?

– Tak.

– Jakiego rodzaju?

– Przemoc wobec więźniów lub wobec kogoś z personelu tego zakładu.

CZEKAJĄ NA NIEGO i szepczą „Stukacz”.

Hoffmann podszedł bliżej i spojrzał naczelnikowi w oczy, w których malował się ból. I nagle mocno go uderzył.

HOFFMANN SIEDZIAŁ POŚRODKU twardej betonowej podłogi. Kiedyś już słyszał o takich celach jak ta. Więźniowie nazywali je „beton” albo „niedźwiedzia klatka”, lub też po prostu „izolatka”. Słuchał opowieści o więźniach, którzy poza murami zakładu wyróżniali się wśród innych ludzi poziomem agresji i przemocy, ale gdy trafiali tutaj, już po upływie kilku dób przychodziło załamanie. Znajdowano ich w pozycji embrionalnej i przewożono na oddział szpitalny. Inni wieszali się, zawiązawszy wokół szyi prześcieradło, żeby tylko uniknąć tego, co tu na nich czekało. Człowiek, który się tu znalazł, nie miał już przed sobą żadnej innej drogi, nie mógł uciec od życia, od tego, co istnieje naprawdę.

Hoffmann siedział na podłodze, bo w celi nie było krzesła. Jedynie żelazne łóżko i cementowy sedes przymocowane na stałe do podłogi. Nic więcej.

Naczelnika uderzył pięścią prosto w twarz. W policzek, oko i nos. Oscarsson upadł na podłogę, mocno krwawiąc, ale nie stracił przytomności. Klawisze pospieszyli mu z pomocą, a naczelnik zasłonił sobie twarz rękami, żeby uniknąć kolejnych ciosów. Hoffmann nie stawiał oporu, po prostu wyciągnął do nich dłonie, a czterej klawisze wynieśli go stamtąd, podczas gdy więźniowie z innych cel przyglądali się temu zdarzeniu.

Hoffmann przeżył wcześniejszy atak, przeżył też dobrowolną izolację. Teraz dostał się tutaj i zapewnił sobie tyle bezpieczeństwa, ile było możliwe w zamkniętym zakładzie. Nadal jednak kulił się w sobie. Jestem sam, nikt jeszcze nie wie, co się zdarzyło. Położył się na twardym betonie, marzył, pocił się i znowu marzył. Leżał na podłodze także wtedy, gdy jeden z klawiszy otworzył czworokątną klapkę w drzwiach i zapytał, czy chciałby spędzić godzinę na świeżym powietrzu. Przysługuje mu godzina na dobę w czymś, co przypomina metalową klatkę. Będzie z niej widział błękitne niebo. Hoffmann pokręcił głową; nie chciał opuszczać celi, nie chciał się nikomu pokazywać.

OSCARSSON ZAMKNAŁ DRZWI prowadzące na oddział dobrowolnej izolacji i zszedł powoli schodami na dolny poziom Bloku C. Dotknął ręką twarzy i przesunął opuszkami palców w miejscu, gdzie uderzył go Hoffmann. Odczuwał ból, zwłaszcza w okolicach kości jarzmowej, gdzie powstała opuchlizna. Na języku i w przełyku czuł smak krwi. Mniej

więcej za godzinę wokół oka pojawi się sina obwódka. Przez cały czas czuł fizyczny ból. Minie sporo czasu, zanim uraz zniknie. Jednak nie to było najważniejsze. To, co bolało go bardziej, pochodziło z wewnątrz. Przez całe swoje zawodowe życie przebywał pośród tych, dla których zabrakło miejsca w normalnym społeczeństwie. Dumą napawało go to, że trochę lepiej od innych potrafi czytać we wnętrzu ludzi, których złamał los. To była jego zawodowa wiedza, jedyna rzecz nadal czegoś warta.

Ciosu Hoffmanna nie mógł zrozumieć.

Nie rozumiał stanu desperacji ani potęgi strachu, jakie opanowały Hoffmanna.

Ludzie z jednostki specjalnej zanieśli tego bydlaka tam, gdzie powinien się znaleźć. Długo będzie siedział w tej najpodlejszej ze wszystkich cel. Poza tym po południu Oscarsson zgłosi sprawę na policji, dzięki czemu Hoffmann dostanie dodatkowy wyrok. Dotknął palcami bolącego policzka. W niczym to nie pomagało, nie tłumilo frustracji spowodowanej tym, że nie udało mu się zrozumieć jednego z więźniów.

ŻELAZNA PRYCZA, CEMENTOWY sedes. Bez względu na to, jak długo tu będzie siedzieć, nic mu tu więcej nie przybędzie. Brudne ściany, które kiedyś były białe, sufit, którego nie zdążono pomalować, zimna podłoga. Znowu zaczął krzyczeć, nacisnął guzik i długo go przyciskał, w końcu któryś z klawiszy nie wytrzyma i przyjdzie tutaj poprosić więźnia, który pobił naczelnika, żeby przestał dzwonić, bo inaczej założą mu pas bezpieczeństwa.

Znowu marznie.

Oni już wiedzą. Jest informatorem, wisi nad nim wyrok śmierci. Tutaj też w końcu dotrą. To tylko kwestia czasu, a wtedy nie powstrzymają ich nawet drzwi celi zamknięte na klucz. Firma Securitus International ma wystarczające środki i w takich sytuacjach wie, jak kogoś kupić.

Kłapka w drzwiach znowu się otworzyła. W zamku zazgrzytał klucz.

Ktoś zajrzał do środka.

– Chcesz czegoś?

Co to za jeden?

– Chcę zadzwonić.

Klawisz?

– A niby dlaczego mielibyśmy ci na to pozwolić?

A może to któryś z tamtych?

– Chcę zadzwonić na policję.

Klawisz podszedł bliżej i roześmiał się.

– Chcesz zadzwonić na policję? I co powiesz? Zgłosisz im, że właśnie pobiłeś naczelnika więzienia? My, którzy tu pracujemy, niezbyt coś takiego lubimy.

– Gównu cię obchodzi, po co chcę dzwonić. Sam o tym wiesz. I wiesz, że nie możesz mi odmówić, jeśli będę chciał zadzwonić na policję.

Klawisz milczał. Klapka się zamknęła, kroki ucichły.

Hoffmann podniósł się z zimnej podłogi i podbiegł do przycisku przy drzwiach, nacisnął go i dał sobie pięć minut.

Nagle drzwi się otworzyły i pojawiło się trzech mężczyzn w niebieskich mundurach. Tym razem Hoffmann był pewien, że to klawisze. Jeden stanął obok niego, drugi przy nim, trzeci z tyłu. Jeden z nich miał dystynkcje wskazujące na to, że jest starszym strażnikiem. Starszy mężczyzna, mniej więcej po sześćdziesiątce.

To on odezwał się do niego.

– Nazywam się Martin Jacobson. Jestem wychowawcą w tym zakładzie. Szefem tego oddziału. W czym problem?

– Poprosiłem, żeby pozwolono mi zadzwonić. Na policję. To moje kurewskie prawo.

Mężczyzna przyglądał się więźniowi w zbyt luźnym ubraniu, który się pocił i nie mógł ustać spokojnie w miejscu. Potem spojrzał na jednego z tych, którzy z nim przyszli.

– Przynieś telefon.

– Ale...

– Mam to w nosie, dlaczego on tu siedzi. Niech sobie dzwoni.

HOFFMANN SIEDZIAŁ NA BRZEGU łóżka ze słuchawką telefonu w dłoni.

Poprosił o połączenie z centralą komendy miejskiej w Sztokholmie. Za każdym razem to samo. Tym razem odczekał dłużej, aż do dwudziestego sygnału, zarówno do Erika, jak i Göranssona. Żaden z nich nie odbierał.

Siedzi zamknięty w celi, w której jest tylko żelazne łóżko i cementowy sedes. Nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym, żaden z klawiszy za drzwiami nie ma pojęcia, że on, Hoffmann, trafił za kraty w misji specjalnej. Że przysłała go tutaj policja szwedzka.

Jest w sytuacji bez wyjścia. Nie wyjdzie stąd. Jest sam, w więzieniu, skazany na śmierć przez innych więźniów.

ROZEBRAŁ SIĘ DO NAGA i poczuł chłód. Zrobił trochę pompek i zaczął się pocić. Wstrzymał oddech, aż ucisk w piersiach zaczął mu sprawiać ból.

Leżał z twarzą zwróconą w stronę podłogi i chciał coś poczuć. Cokolwiek, coś innego niż strach.

WIEDZIAŁ TO JUŻ W CHWILI, gdy drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

Nie musiał nawet widzieć. Po prostu wiedział, że już tu są.

Ciężkie kroki kogoś, kto porusza się powoli. Podszedł do drzwi, przyłożył ucho do chłodnego metalu, słuchał. Nowy więzień prowadzony przez kilku strażników.

I nagle usłyszał głos, który od razu rozpoznał.

– Stukacz.

To głos Stefana. Idzie w stronę celi na końcu korytarza.

– Co powiedziałaś?

Znowu ten sam klawisz co wcześniej. Hoffmann mocniej przycisnął ucho do wewnętrznej powierzchni drzwi, chciał się upewnić, że zrozumie każde słowo.

– Stukacz. To po rosyjsku.

– Tu się nie mówi po rosyjsku.

– Jeden tu mówi.

– Włóż do celi!

Już tu są. Niedługo będzie ich więcej i od tej chwili każdy więzień na izolatce będzie wiedział, że na oddziale, w jednej z cel, siedzi policyjna wtyka.

W głosie Stefana słyszeć było nienawiść.

NACISNĄŁ CZERWONY GUZIK i postanowił, że będzie to robił tak długo, aż przyjdzie któryś z klawiszy.

Dali mu do zrozumienia, że już tu są. Teraz to tylko kwestia czasu. Godziny, dni, może tygodnie. Ci, którzy na niego polują, wiedzą, że w końcu trafi się okazja i wtedy oczekiwanie się skończy.

Klapka w drzwiach znowu się uchyliła, ale tym razem oczy należały do inspektora.

– Chciałbym...

- Ręce ci latają.
- Kurwa...
- Jesteś cały spocony.
- Telefon, ja...
- Powieka ci drga.

Hoffmann nadal przyciskał czerwony guzik. Ostry dźwięk przecinał ciszę panującą na korytarzu.

– Puść ten guzik, Hoffmann. Musisz się uspokoić. A zanim cokolwiek zrobię, chcę usłyszeć, jak się czujesz.

Cofnął dłoń. Zapadła niezwykła cisza.

- Muszę znowu zadzwonić.
- Niedawno dzwoniłeś.
- Pod ten sam numer. Aż ktoś odbierze.

Wózek z telefonem i książką telefoniczną wtoczył się do celi. Jacobson wybrał numer, który znał na pamięć. Przez cały czas patrzył na twarz Hoffmanna, drgające mięśnie wokół oczu, czoło pokryte wielkimi kroplami potu. Ten człowiek stara się opanować strach, a jednocześnie czeka, aż po drugiej stronie ktoś podniesie słuchawkę.

- Chyba nie czujesz się najlepiej.
- Chcę znowu zadzwonić.
- Możesz to zrobić później.
- Muszę...
- Nikt się nie zgłosił. Spróbuj zadzwonić później.

Hoffmann nie chciał oddać słuchawki. Trzymał ją w drżącej dłoni i szukał wzroku strażnika.

- W takim razie przynieście mi moje książki.
- Jakie książki?

– Są w mojej celi. W Bloku G-dwa. Mam prawo mieć w tym miejscu pięć książek. W takim razie chcę dostać dwie. Nie mogę tak tu leżeć i gapić się w ściany. Leżą na szafce przy łóżku. *Z głębi szwedzkiego serca i Marionetki*. Domagam się, aby mi je tu przyniesiono. Natychmiast.

Kiedy mówił o książkach, nie trząsał się jak poprzednio. Uspokoił się.

- Poezje?
- Jakiś problem?
- Tutaj niezbyt często czytają takie książki.
- Są mi potrzebne. Pomogą mi, gdy będę myślał o przyszłości.

Twarz Hoffmanna, do tej pory rozplamiona, pojaśniała trochę.

- *I nagle sobie uświadamiam, że mój sufit jest czyjąś podłogą...*
- Co?

– To z Ferlina. *Bose dzieci*. Jeśli lubisz poezje, mógłbym...

– Przynieś mi tylko moje książki.

Strażnik nie odezwał się, wyjechał wózkiem z celi i zamknął za sobą ciężkie metalowe drzwi. Znowu zapadła cisza. Hoffmann siedział na chłodnej podłodze i czuł, że ma wilgotne czoło. Poci się, drży, dostał drgawek. Nigdy nie przypuszczał, że strach można też zobaczyć.



HOFFMANN PRZENIÓSŁ SIĘ z podłogi na łóżko i położył na cienkim materacu, na którym nie było ani prześcieradła, ani kołdry. Zmarzł, więc skulił się w swoim sztywnym, luźnym ubraniu i zasnął. Śniła mu się Zofia, jak biegnie przed nim, a on nie może jej dogonić, choć bardzo się stara. Chwycił ją za rękę, ale wysunęła mu się, wołała coś do niego, a on odpowiadał, ale Zofia go nie słyszała, jego głos powoli zanikał, a ona robiła się coraz mniejsza, aż w końcu zupełnie znikła.

Obudził go dźwięk dochodzący z korytarza.

Ktoś szedł w towarzystwie strażników pod prysznic albo do klatki, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Ten ktoś coś mówił. Hoffmann podszedł do drzwi, przyłożył ucho do czworokątnego otworu i nasłuchiwał. Tym razem ktoś mówił po szwedzku, bez akcentu. Hoffmann nigdy wcześniej go nie słyszał.

– Paula, gdzie jesteś?

Hoffmann był absolutnie pewien, że się przesłyszał.

– Paula, chyba się przede mną nie ukrywasz?

Ten ktoś wołał w nieokreślonym kierunku, ale dokładnie na wysokości jego celi. Wybrał właściwego odbiorcę.

Hoffmann opadł na podłogę, przyciągnął kolana do piersi i brody.

Poprzedniej nocy ktoś go wydał, zdradził, że jest stukaczem, a to oznacza, że zapadł na niego wyrok śmierci. Ale Paula... Akurat tego nie rozumie... Zrozumiał to dopiero teraz... A więc tamten poznał też jego pseudonim. Paula... Na miłość boską... przecież zaledwie cztery osoby znały jego drugie imię. Erik Wilson, który je wymyślił. Göransson, który je zatwierdził. Przez wiele lat tylko oni dwaj... Po spotkaniu w Rosenbad doszły kolejne dwie osoby: komendant główny policji i podsekretarz stanu. Nikt więcej.

Paula.

A więc to ktoś z tej czwórki.

Wydała go jedna z osób, które miały go chronić, być jego ucieczką.

– Paula, tak bardzo chcemy się z tobą spotkać.

Ten sam głos, teraz już trochę dalej, koło pryszniców. I „Stul gębę!” – polecenie któregoś ze strażników, którzy nic z tego nie rozumieli.

Hoffmann mocniej objął nogi, przycisnął je do ciała.

Stał się zwierzyną ich wszystkich. Jest wtyką w więzieniu, gdzie takich jak on nienawidzi się równie mocno jak przestępców seksualnych.

Ktoś zastukał głośno do jego drzwi.

Ktoś zawołał po drugiej stronie: „Stukacz!”.

Chwilę potem wyglądało to już tak jak wtedy, gdy wspólna nienawiść łączy osadzonych siedzących w celach w tym samym korytarzu: dwaj zaczynają walić w drzwi celi, następnie dołącza do nich trzeci i czwarty, potem kolejni, i tak mija minuta za minutą. Nienawiść wyrażana w coraz cięższych uderzeniach. Hoffmann zasłonił sobie uszy, ale hałas tak bardzo wwiercał mu się w głowę, że nie mógł już dłużej wytrzymać. Nacisnął guzik i naciskał go bez przerwy. Wyglądało to tak, jakby dźwięk dzwonka utonął w dźwięku tego monotonnego rytmu.

Ktoś zerknął przez otwór w drzwiach. To ten starszy strażnik.

– Tak?

– Muszę zadzwonić. I chcę moje książki. Muszę zadzwonić i muszę mieć tutaj moje książki.

Drzwi się otworzyły. Strażnik wszedł do celi, przesunął dłonią po siwych, gęstych włosach i wskazując na korytarz, spytał:

– To walenie w drzwi... to z twojego powodu?

– Nie.

– Pracuję tu od bardzo dawna. Drżą ci mięśnie, trzęsiesz się, pocisz i cholernie boisz. Sądzę, że to dlatego chcesz zadzwonić. Mam rację?

Hoffmann przyglądał mu się przez chwilę. Wygląda na przyjazną osobę. Głos też ma przyjazny.

Nie ufaj mu.

– Nie. To nie ma z tym nic wspólnego. Muszę zadzwonić.

Strażnik westchnął. Wózek z telefonem stał na drugim końcu korytarza. Tym razem przyniósł do celi swój telefon komórkowy. Wybrał numer centrali policji w Sztokholmie i podał aparat Hoffmannowi, który nie chciał się przyznać, że się boi i że walenie w drzwi ma z tym coś wspólnego.

Pierwszy numer. Głuchy dźwięk, nikt się nie zgłasza.

Drżenie i drgawki coraz bardziej się nasilają.

– Hoffmann...

– Spróbuję jeszcze raz. Pod drugi numer.

– Źle z tobą. Chciałbym wezwać lekarza. Powinieneś położyć się na odd...

– Wykręć ten pierdolony numer. Nigdzie mnie stąd nie zabierzecie.

I znowu ten sam dźwięk w słuchawce. Trzy razy. W końcu odezwał się męski głos:

– Göransson, słucham.

Wreszcie się zgłosił.

Hoffmann znowu odzyskał czucie w nogach.

Göransson podniósł słuchawkę.

Zaraz się dowiedzą, już za dwie minuty przystąpią do całej procedury administracyjnej. W ciągu tygodnia wyjdzie na wolność.

– O Boże, nareszcie. Tyle razy próbowałem... Potrzebuję pomocy... natychmiast.

– Kto mówi?

– Paula.

– Kto?

– Piet Hoffmann.

Cisza nie trwała zbyt długo, ale wyglądało to tak, jakby połączenie zostało przerwane.

– Halo? Kurwa mać, halo, gdzie...

– Jestem przy aparacie. Jak pan powiedział? Że jak się nazywa?

– Hoffmann. Piet Hoffmann. My...

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia, kim pan jest.

– Co ty, kurwa... Przecież wiesz... bardzo dobrze wiesz, kim jestem, przecież się ostatnio spotkaliśmy w pokoju u podsekretarz stanu... Ja...

– Nie. Nigdy się nie spotkaliśmy. A teraz przepraszam, jestem trochę zajęty.

Każdy mięsień jego ciała był napięty, czuł pieczenie w żołądku, w klatce piersiowej i w gardle. A jeśli coś piecze, trzeba krzyczeć, biec albo ukryć się...

– Zadzwoń teraz na oddział szpitalny.

Hoffmann nie wypuszczał aparatu z ręki.

– Nigdzie nie pójdę, dopóki nie dostanę moich książek.

– Oddaj komórkę.

– Moje książki. Mam prawo do pięciu książek!

Upuścił telefon na podłogę.

Kiedy aparat uderzył o beton, rozbił się. Kawałki plastiku rozsypały się na różne strony. Hoffmann położył się na podłodze i chwycił rękami za brzuch, piersi i szyję. Dalej go piecze, a jeśli tak, to trzeba biec albo gdzieś się schować.

– TWIERDZISZ, ŻE MÓWIŁ zdesperowanym głosem?

– Tak.

– I że był przestraszony?

– Bardzo.

Komendant i Göransson spojrzeli na siebie. „Jeśli zdradzimy, kim jest Hoffmann, i jeśli członkowie organizacji dowiedzą się, że wśród nich działa wtyka...”. Obaj wypili trochę kawy z filiżanek. „To już nie nasza sprawa, co organizacja zrobi z tą wiedzą”. Przełożyli stos papierów z jednej strony stołu na drugi. „Nie możemy ponosić odpowiedzialności za działania innych ludzi”.

Musieli z tym skończyć. I dlatego zorganizowali to spotkanie z adwokatem, który potem pojechał porozmawiać ze swoim klientem. Wsypali Hoffmanna.

Mimo to zadzwonił do nich ze swojej celi w więzieniu.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– To nie mógł...

– Tak, to był on.

Komendant wyjął z szuflady biurka paczkę papierosów. Trzymał je tam, żeby nie palić. Podał paczkę Göranssonowi, zapalki leżały na stoliku. Chwilę później pokój zasnuł biały dym.

– Daj mi jednego – powiedział komendant.

Göransson pokręcił głową.

– Nie paliłeś przez ostatni rok, więc nie będę cię truł.

– Nie chcę palić. Chcę go tylko potrzymać.

Komendant czuł papierosa między palcami, to już przyzwyczajenie. Teraz najbardziej potrzebuje spokoju.

– Mamy sporo czasu.

– Mamy cztery doby. Jedna już upłynęła. Jeśli Grens spotka się z Hoffmannem, jeśli Hoffmann zacznie mówić. Jeśli...

Göransson przerwał. Nie musi mówić więcej. Oczyma wyobraźni ujrzeni kulejącego komisarza policji kryminalnej, postarzałego i upartego, jednego z tych, którzy nigdy nie odpuszczają i szukają prawdy dopóty, dopóki jest to możliwe. Jeżeli się dowie, że jego koledzy z policji o wszystkim wiedzieli, tym bardziej będzie się starał dojść prawdy. Tak długo będzie drążył, aż znajdzie tych, którzy tę prawdę ukrywali.

– To tylko kwestia czasu – powiedział komendant. – Organizacja już wie. Nie mają kontaktów z innymi więźniami, więc potrzebują więcej czasu. Ale zrobią to.

Nadal obracał papierosa w palcach. Znajome uczucie, potem powącha opuszki palców, żeby choć przez chwilę poczuć zakazany smak i zapach.

– Hm... tak sobie myślę... moglibyśmy... Wiesz, co mam na myśli... Siedzenie w izolatce z obostrzonym rygorem to okropne przeżycie. Żadnego kontaktu z ludźmi. Powinien wrócić na oddział, na którym był od początku. Być z tymi, których zna, jeśli tam, gdzie jest teraz, czuje się źle. Powinien... przebywać wśród innych więźniów. Ze względów humanitarnych.

OSCARSSON STAŁ JAK ZWYKLE przy oknie i wyglądał na świat złożony z wielkiego więzienia i małej miejscowości. Nigdy go szczególnie nie interesowało, co znajduje się poza nim. To, co widział z tego miejsca, w zupełności mu wystarczyło, do niczego więcej nie tęsknił. Słońce zaglądało do środka, czuł jego ciepło na policzku, nosie i czole, raziło go w oczy. Przyjrzał się swojej twarzy w lekko przyciemnionej szybie i odniósł wrażenie, że obwódka wokół oka jest już prawie niewidoczna.

Tamten więzień go zaskoczył, a on nie potrafił tego przewidzieć. Nagle zadzwonił telefon.

– Tak?

– Lennart?

Szef więziennictwa.

– Słucham, przy telefonie.

W słuchawce rozległy się trzaski, jakby ktoś dzwonił z ulicy przy silnie wiejącym wietrze.

– Chodzi o Hoffmanna.

– Tak?

– Ma wrócić na swój oddział. Ten, na którym był na początku.

– Czyba się przesłyszałem?

– Ma tam wrócić. Najpóźniej jutro rano.

– Hoffmann jest zagrożony.

– Ma tam wrócić ze względów humanitarnych.

– Nie może wrócić na ten sam oddział. Nie może nawet pozostać w naszym zakładzie. Jeśli już, to należy go przenieść do zakładu w Kumli albo Hall.

– Nie będziemy go nigdzie przenosić. Ma wrócić na oddział.

– Więźnia, któremu grozi niebezpieczeństwo, nie wolno przenosić na ten sam oddział.

– Lennart, to rozkaz.

Oba bukiety na biurku zaczęły kwitnąć. Żółte płatki przypominały zapaloną lampkę.

– Otrzymałem rozkaz, aby umożliwić jakiemuś adwokatowi późne spotkanie z więźniem, i ten rozkaz wykonałem. Otrzymałem polecenie, żeby uniemożliwić komisarzowi policji przesłuchanie więźnia, i to polecenie też wykonałem. Ale tego polecenia nie wykonam. Jeśli Hoffmann, więzień numer zero dziewięć trzynaście, zostanie przeniesiony na oddział, gdzie będzie mu grozić niebezpieczeństwo...

– To polecenie służbowe. Bez dyskusji.

Oscarsson pochylił się w stronę żółtych pąków. Chciał poczuć zapach czegoś rzeczywistego. Dotykał ich policzkiem i czuł, jak intensywnie pachną.

– Osobiście nie mam nic przeciwko temu, żeby wysłać go do diabła. Mam osobisty powód. Ale dopóki jestem naczelnikiem tego więzienia, nie zrobię tego. Dla niego to śmierć, a przecież przez ostatnie lata w szwedzkich więzieniach wydarzyło się już wystarczająco dużo zabójstw. Toczyły się nawet jakieś śledztwa, o których nikt nie wiedział ani nie słyszał, ale po jakimś czasie zamiatano wszystko pod dywan, bo nikogo te sprawy nie interesowały.

W słuchawce znowu rozległy się trzaski. Wiatr? A może ciężki oddech szefa?

– Lennart?

Znowu przerwa, jakby dla nabrania oddechu.

– To polecenie służbowe. Masz je wykonać albo zostaniesz zwolniony. Masz godzinę do namysłu.

HOFFMANN LEŻAŁ NA ŁÓŻKU z przymkniętymi oczami. „Przykro mi, ale nie mam pojęcia, kim pan jest”. Ten, który miał otworzyć drzwi celi i poprowadzić go do nowej rzeczywistości, oświadczył, że go nie zna.

Oficjalnie skazano go na dziesięć lat więzienia.

Jeśli ci, którzy o tym wiedzą, wyprą się wszystkiego, jeśli ci, którzy zaaranżowali sfingowany proces i zmienili dane w jego kartotece przestępstw, też się wyprą, nikt nie potwierdzi jego wersji.

Nie wyjdzie stąd. Wisi nad nim groźba śmierci i bez względu na to, jak bardzo będzie się miotał albo próbował ukryć, po drugiej stronie muru nie będzie nikogo, kto otworzy mu drzwi i przywróci wolność.

NA WIĘZIENNYM DZIEDZIŃCU silnie wiało, ciepłe porywy wiatru uderzały o betonowy mur. Oscarsson szedł szybkim krokiem i ocierał rękawem koszuli wilgotne czoło. Drzwi prowadzące na oddział izolacji z obostrzonym rygorem były zamknięte na klucz. Oscarsson niezbyt często pojawiał się na tym mrocznym korytarzu, gdzie przebywali ci, na których nałożono dodatkową karę. Zwożono tu nawet najgorszych przestępców z innych zakładów.

– Martin.

Dyżurka znajdowała się bezpośrednio przy drzwiach prowadzących na oddział. Oscarsson wszedł do środka i zastał tam Martina Jacobsona i dwóch młodszych strażników, których nazwisk nie zdążył jeszcze zapamiętać.

– Chciałbym porozmawiać z tobą przez chwilę.

Obaj młodszy strażnicy skinęli głowami i domyślili się, o co chodzi. Wyszli na korytarz i zamknęli za sobą drzwi.

– Chodzi o Hoffmanna.

– Cela numer dziewięć. Niezbyt dobrze się czuje. On...

– Musi wrócić na swój oddział. Do Bloku G-dwa. Najpóźniej jutro przed południem.

Jacobson spojrział na ciemny korytarz. W dyżurce zapadła cisza, słychać było tylko tykanie ściennego zegara.

– Lennart?

– Nie przesłyszałeś się.

Jacobson wstał z krzesła stojącego przy wąskim stole, przy którym najczęściej pili kawę. Spojrział na Oscarssona, który był nie tylko jego przełożonym i kolegą z pracy, ale także przyjacielem.

– Pracujemy tu razem już od ponad dwudziestu lat. Tak samo długo jesteśmy sąsiadami. Jesteś jednym z moich nielicznych przyjaciół, tutaj i tam, jednym z tych, których zapraszam na niedzielny koniak.

Jacobson szukał wzrokiem czegoś, czego tam nie było.

– Lennart, popatrz na mnie.

– Żadnych pytań.

– Spójrz na mnie!

– Proszę cię, Martin, nie tym razem. Żadnych pytań.

Jacobson przełknął ślinę, zdumiony i wkurzony.

– O co tu chodzi?

– Żadnych pytań!

– Zabiją go.

– Martin...

– To stoi w sprzeczności ze wszystkim, co robimy i mówimy.

– Wracam do siebie. Otrzymałeś polecenie. Masz je wykonać.

Oscarsson otworzył drzwi, żeby wyjść.

– Chcę ci spojrzeć w oczy.

Oscarsson zatrzymał się i odwrócił.

– Hoffmann uderzył cię w twarz. Czy właśnie dlatego to robisz?

Zabolało. Przy każdym ruchu, każdym kroku ból promieniował od policzka w dół.



- Pytam cię: czy to sprawa osobista?
- Zrób to, o co cię poprosiłem.
- Nie.
- W takim razie potraktuj to jako polecenie służbowe!
- Nie zrobię tego, bo to błąd. Jeśli go tam przeniesiemy... Nie, zrób to sam.

OSCARSSON SZEDŁ W STRONĘ celi numer dziewięć i czuł na sobie wzrok Martina, swego najlepszego przyjaciela. Chciał się odwrócić i wyjaśnić mu, że on też pogardza tym rozkazem. Martin jest przecież mądrym człowiekiem, który zawsze miał odwagę powiedzieć, że ten, komu się wydaje, że ma rację, popełnia błąd.

Szli obok niego obaj nowi strażnicy. Zatrzymali się, wyjęli pęk kluczy i zaczęli szukać tego właściwego.

Hoffmann leżał na łóżku ubrany tylko w białe spodenki. Miał przymknięte oczy, lekko się trząśł. Górna część ciała błyszczała mu tak samo jak twarz.

- Wrócisz na oddział. Jutro o ósmej rano.
- Hoffmann się nie ruszał.
- Na ten sam oddział i do tej samej celi.
- Oscarsson odniósł wrażenie, że Hoffmann go nie słyszy ani nie widzi.
- Zrozumiałeś, co powiedziałem?
- Odczekał chwilę, a potem skinął głową obu strażnikom.
- Książki.
  - Słucham?
  - Potrzebne mi są książki. Zgodnie z prawem mogę o nie poprosić.
  - Jakie książki?
  - Prosiłem, żeby mi przyniesiono dwie książki spośród pięciu, do których mam prawo. Teraz znowu o to proszę. *Z głębi szwedzkiego serca* i *Marionetki*. Obie są w mojej celi.
  - Chcesz czytać?
  - Noce tutaj są długie.
- Oscarsson skinął głową obu strażnikom, żeby wyszli z celi i zamknęli drzwi.

HOFFMANN USIADŁ NA ŁÓŻKU. Z powrotem na oddział! Przecież to śmierć. Zabiją go, ledwo znajdzie się na oddziale. Znienawidzony,

zaszczuty, złamał pierwszą zasadę obowiązującą w więzieniach: został wtyką, a takich się zabija.

Kłęknał przy sedesie, wsadził do gardła dwa palce i trzymał je tam tak długo, aż zaczął wymiotować.

Musi się pozbyć strachu, musi go wypluć i wyrzygać. Kłęczał przy sedesie i zwracał wszystko, co mu o tym strachu przypominało. Jest tu sam, bo ci, którzy mieli go chronić, wsypali go.

Nacisnął dzwonek. Nie umrze. Jeszcze nie teraz.

NACISKAŁ DZWONEK PRZEZ czternaście minut, aż w końcu okienko w drzwiach otworzyło się i strażnik krzyknął na niego, żeby przestał, kurwa, hałasować.

Hoffmann nawet się nie odwrócił, tylko jeszcze mocniej nacisnął dzwonek.

– Książki.

– Dostaniesz je.

– Książki!

– Mam je ze sobą. Na rozkaz naczelnika. Jeśli chcesz, żebym wszedł, przestań dzwonić.

Gdy drzwi się otworzyły, Hoffmann od razu je zobaczył. Swoje książki. Klawisz miał je ze sobą. Poczuł ulgę. Ból w piersiach, który nim wstrząsał i wywoływał strach, natychmiast ustąpił. Teraz wreszcie ustąpił.

Chciało mu się płakać, miał ochotę paść na podłogę i płakać.

– Śmierdzi tu rzygowinami.

Strażnik spojrzał na sedes, zrobiło mu się niedobrze i cofnął się.

– Rób, jak uważasz. Wiesz, że tu nikt nie sprząta. Będziesz się musiał przyzwyczaić do tego smrodu.

Zanim strażnik dał mu książki, przez chwilę je przyciskał, potrząsał nimi, przewracał kartki, znowu potrząsnął. Hoffmann stał przed nim, ale nie bał się. Wiedział, że dobrze je zabezpieczył.

PIĄTEK

OBUDZIŁ SIĘ ZLANY POTEM. Znowu zasnął i śniły mu się jakieś bzdury. Wszystko rozgrywało się w szarych barwach. To był jeden ze snów o niczym, biało-czarny, daleki od rzeczywistości. Obudził się i usiadł na łóżku. Długo spoglądał na podłogę i na leżące na niej książki. Odechciało mu się spać, choć jego ciało domagało się odpoczynku. Jednak sen bardziej odbierał mu siły, niż go wzmacniał, więc postanowił, że będzie tak siedział i czekał, aż po szarym świcie przyjdzie ranek.

W celi było cicho i ciemno.

Dopiero za jakąś godzinę oddział zbudzi się do życia.

Wczoraj wyrzucił z siebie cały strach, który nie pozwalał mu funkcjonować normalnie. W celi nadal śmierdziało wymiocinami. Jednak najważniejsze jest to, że pozbył się strachu. Teraz musi zrobić wszystko, żeby przeżyć.

Sięgnął po obie książki i położył je przed sobą na łóżku. Z *głębi szwedzkiego serca* i *Marionetki*. Twarde okładki obłożone w jednokolorowy papier, jakiego używa się w bibliotekach. Czerwona nalepka z napisem MAG i Biblioteka w Aspsås. Otworzył książkę na pierwszej stronie, chwycił mocno za okładkę i z całych sił pociągnął. Potem zrobił to jeszcze raz i oderwał tylną okładkę. Spojrzał w stronę drzwi. Nadal cisza. Nikt nie chodzi korytarzem, nikogo nie słychać, nikt nie zbliża się do celi, żeby spojrzeć do środka. Gdyby ktoś to zrobił, ujrzałby w środku samotnego więźnia, który nie może zasnąć.

Przesunął delikatnie dłonią po rozdartej książce, palcami wzdłuż wewnętrznego brzegu i czworokątnego otworu, który ukazał się spod kartek.

Nadal tam jest! W jedenastu częściach.

DELIKATNIE WYJĄŁ Z OTWORU fragmenty metalu, które już za kilka minut zamienią się w miniaturowy rewolwer o długości pięciu centymetrów. Najpierw duże części, korpus z lufą, osłona bębna i spust. Lekkie uderzenie w łączącą je zatyczkę rękojeścią małego śrubokrętu, jakiego używa się do regulacji maszyn do szycia. Potem pierwsza śrubka na osłonkę na lufę, druga śrubka łącząca obie części kolby i trzecia do jej stabilizatora.

Odwrócił się w stronę drzwi i usłyszał kroki, które tak jak poprzednio istniały tylko w jego głowie.

Zakręcił malutkim bębenkiem, opróżnił go i sprawdził sześć naboí leżących na łó¿ku. Ka¿dy z nich miał kilka milimetrów dłu¿oŝci, w sumie wa¿yły mniej ni¿ jeden gram.

PRZYPOMNIAŁ SOBIE MĘ¿CZYZNĘ, który skończył ¿ycie w brudnej toalecie na terminalu w Świnoujŝciu. Ktoŝ przyłó¿ył mu krótką lufę do oka. Śmierć nastąpiła ju¿ po pierwszym strzale.

HOFFMANN WZIAŁ REWOLWER do ręki, uniósł go i wycelował w brudne ŝciany. Lewy palec wskazujący na spuŝcie. Odciągnął go lekko do tyłu i poczuł, jak kurek poddaje się naciskowi palca. Ostatnie dociŝnięcie i lekki trzask. Wszystko działa jak nale¿y.

W TAKI SAM SPOSÓB JAK pierwsz¸, rozerwał te¿ drug¸ ksi¸¿k¸. Odŝonił powstały otwór na lewym brzegu. W ŝrodku znajdował się zapalnik wielkoŝci gwoźdza i odbiornik wielkoŝci monety o nominale pi¸cdziesięciu öre. Przeciągnął małym ŝrubokr¸tem po przedniej i tylnej okładce, przeciął spoiny i wyjął ze ŝrodka dwa kawałki cienkiej linki o dłu¿oŝci dziewięciu metrów ka¿da i równie ciek¸ plastikow¸ torebk¸, zawieraj¸c¸ cztery centylitry nitrogliceryny.

DWIE MINUTY PO SIÓDMEJ.

Usłysz¸ł, ¿e na korytarzu pojawiła się nowa zmiana str¸¿ników. Nocna zmiana pójdzie do domu, zast¸pi¸ ich ci, którzy zaczn¸ dzienny dy¿ur. Ma jeszcze godzin¸. O ósmej go st¸d zabior¸ i przenios¸ na inny oddzia¸. Z powrotem do Bloku G2. A tam czeka go ŝmierć.

Nacisn¸ł dzwonek.

– Tak?

– Chc¸ iŝ do kibla.

– Masz kibel u siebie w celi.

– Jest zapchany. Od wczoraj pe¸no w nim rzygowin.

– Kiedy ci¸ wzi¸ło?

– Przed chwil¸.

– B¸d¸ za pi¸ć minut.

Hoffmann stał przy drzwiach i wsłuchiwał się w kroki. Dwaj klawisze prowadzą kogoś do celi. Otwierają drzwi, zamykają. Ktoś woła: „Do kibla!”. Na korytarzu nie może przebywać więcej niż jeden osadzony. „Wracaj do celi!”. Hoffmann trzymał rewolwer w dłoni. Otworzył bębenek, sześć małych kul schował do jednej z przednich kieszeni spodni, do drugiej zapalnik i lont wraz z torebką zawierającą nitroglicerynę.

– Otworzyć dziewiątkę.

Klawisz, który wydał to polecenie, zatrzymał się tuż przy jego drzwiach. Hoffmann skoczył w stronę łóżka, położył się i patrzył stamtąd, jak klawisz zagląda do celi przez otwór w drzwiach, żeby się upewnić, czy więzień leży dokładnie w tym miejscu, w którym powinien.

Zgrzytanie klucza w zamku.

– Chciałeś iść do toalety. Wstawaj i chodź.

Jeden ze strażników przy drzwiach. Drugi na korytarzu. Dwaj inni trochę dalej.

Hoffmann spojrzał na dyżurkę, gdzie zobaczył piątego strażnika. To Jacobson, ten starszy, siwowłosy. Stał plecami do korytarza.

Byli za daleko od siebie.

Hoffmann szedł powoli w stronę pomieszczenia z prysznicami i toaletami. W środku znajdowało się trzech klawiszy. Byli zbyt daleko od siebie.

Usiadł na brudnej desce klozetowej, spuścił wodę i wziął głęboki oddech. Czuł, jak powoli się uspokaja. Teraz spokój będzie mu potrzebny. Nie umrze, jeszcze nie teraz.

– Skończyłem. Można otworzyć.

Strażnik otworzył drzwi. W tym momencie Hoffmann rzucił się przed siebie i przystawił mu rewolwer do oka. Tego samego, które tyle razy zaglądało przez otwór w drzwiach celi.

– Powiedz tamtemu, żeby tu przyszedł – szepnął.

Strażnik się nie poruszył. Może nie zrozumiał? A może się boi?

– Natychmiast. Każ mu tu przyjść.

Hoffmann patrzył uważnie na urządzenie alarmowe, które strażnik miał przy pasku. Ciągle przyciskał mu lufę do oka.

– Erik?

A więc zrozumiał. Mówił słabym głosem, ostrożnie pomachał ręką.

– Chodź tutaj.

Hoffmann zobaczył, jak drugi strażnik podchodzi bliżej. Nagle zatrzymał się, bo zobaczył, że jego kolega stoi nieruchomo z kawałkiem metalu przystawionym do głowy.

– Podejdź tutaj.

Erik ruszył w jego stronę, spoglądając jednocześnie w kierunku kamery. Może w dyżurce ktoś to teraz widzi?

– Jeszcze raz to zrobisz i zabiję go. Słyszysz? Zabiję.

Hoffmann jeszcze mocniej przycisnął strażnikowi rewolwer do oka i zerwał mu z paska urządzenie alarmowe.

Obaj mężczyźni robili wszystko, co im kazał. Wiedzieli, że tacy jak on nie mają nic do stracenia. Takich jak on łatwo wyczuć.

Został jeszcze jeden.

Hoffmann spojrzał na dyżurkę. Strażnik siedział odwrócony do nich plecami, pochylony nad czymś, jakby czytał.

– Wstań!

Jacobson się odwrócił. Dzielilo ich dwadzieścia metrów, ale od razu się wszystkiego domyślił. Więzień przykłada coś do głowy jednemu ze strażników. Obok nieruchomości stoi inny i czeka.

– Tylko nie próbuj włączać alarmu! Nie zamykaj drzwi!

Jacobson przełknął ślinę. Zawsze się zastanawiał, co poczuje w takiej chwili. Teraz już wie.

Przez tyle lat czekał na atak z ich strony i przez cały czas się obawiał, że do takiej sytuacji dojdzie.

Teraz odczuwa tylko spokój.

– Żadnych alarmów! Nie zamykaj drzwi! Bo zabiję!

Jacobson wiedział, co na temat takich sytuacji mówią przepisy obowiązujące w zakładzie karnym w Aspsås. W razie napadu należy zamknąć drzwi i włączyć alarm. Wiele lat temu uczestniczył w opracowywaniu zasad dotyczących uzbrojonego personelu więziennego. Teraz po raz pierwszy będzie musiał je zastosować.

Najpierw musi zamknąć drzwi dyżurki od środka. Potem poinformuje o wszystkim oficera dyżurnego.

Ale nie zrobił tego. Słyszał głos Hoffmanna, widział, jak się porusza, wyczuwał jego agresję i wiedział, że więzień, który krzyczy i grozi użyciem broni, jest niebezpieczny i skłonny do przemocy. Czytał jego teczkę osobową i akta ze śledztw. Uznano go za psychopatę. Dlatego pomyślał, że życie jego i życie strażników jest o wiele ważniejsze niż wszystkie instrukcje razem wzięte. Nie nacisnął guzika alarmowego na ścianie ani nie włączył urządzenia, które nosił na pasku. Nie został w dyżurce i nie zamknął drzwi na klucz. Ruszył powoli w stronę Hoffmanna, tak jak ten pokazywał mu ręką. Minął drzwi pierwszej celi i wtedy ktoś zaczął w niego walić od środka. Był to monotony i ciężki

dźwięk, który odbijał się od ścian korytarza. Któryś z więźniów zareagował w ten sposób na to, co działo się za drzwiami jego celi. Osadzeni zawsze to robią, jeśli coś ich irytuje albo chcą, żeby zwrócić na nich uwagę, lub też starają się wyrazić w ten sposób radość z jakiegoś powodu. Po chwili walenie w drzwi dochodziło ze wszystkich cel. Nikt z nich nie wiedział, co się dzieje, ale woleli to niż bezczynność.

– Hoffmann, ja...

– Spokój!

– Może...

– Spokój! Bo zabiję!

Trzej klawisze. Wszyscy podeszli już blisko. Dwaj pozostali byli na spacerunku. Zanim tu przyjdą, trochę to potrwa.

Hoffmann odwrócił się w stronę korytarza i zawołał:

– Stefan!

I jeszcze raz.

– Stefan! Stefan!

Cela numer trzy.

– Ty pierdolony kablu!

Stefan wypowiedział te słowa ostrym głosem.

Dzieli ich zaledwie dwa metry, drzwi celi. Nic więcej.

– Zabiję cię, pieprzony kablu!

Hoffmann poślizgnął się lekko. A gdy jeszcze bardziej przycisnął broń do oka strażnika, na jego twarzy zobaczył łzy. Klawisz płacze.

– Zamienicie się miejscami. Wejdiesz do celi numer trzy.

Strażnik nie poruszył się, jakby go nie słyszał.

– Otwórz i wejdź do środka. Tylko tyle możesz zrobić. Otwieraj, kurwa!

Strażnik poruszał się mechanicznie. Kiedy wyjął pęk kluczy, upadły mu na podłogę. Znowu spróbował, przekręcił klucz w zamku i odsunął się, kiedy drzwi się otworzyły.

– O, nasz kabel! Z nowymi kolegami.

– Zamienicie się miejscami! Natychmiast!

– Kabel! Ale co ty... co ty, kurwa, trzymasz w ręce?

Stefan był znacznie wyższy i cięższy od Hoffmanna. Kiedy stanął w drzwiach, całkowicie zasłonił sobą wejście do celi.

– Wyłaź!

Stefan nie czekał, ale z szyderczym uśmiechem na twarzy ruszył w jego stronę. Zbyt szybko, za blisko.



– A niby dlaczego mam to zrobić? Tylko dlatego, że jakiś pierdolony kabel przykłada broń do łba klawisza?

– Zatrzymaj się!

Stefan nie zareagował, szedł w jego stronę z otwartymi ustami. Suche wargi, gorący oddech. Jego twarz była już za blisko, zaraz go zaatakuję.

– Strzelaj! Będzie o jednego klawisza mniej.

Hoffmann chyba o niczym nie myślał, widząc, jak wielka postać Stefana zbliża się coraz bardziej. Chciał wziąć innego zakładnika. Wolał mieć na muszce kogoś z mafii niż strażników. Nie przewidział jednak, jak wielka jest nienawiść Stefana. Kiedy Polak ruszył w jego stronę, Hoffmann wiedział tylko, że musi przeżyć. Odepchnął strażnika i skierował lufę pistoletu w stronę oka tego, który go nienawidził. Oddał zaledwie jeden strzał, który trafił w źrenicę, a może w inną część gałki ocznej. Pocisk utkwiał w miękkiej materii.

Stefan zrobił jeszcze jeden krok. Nadal szyderczo się uśmiechał i zdawało się, że nic mu się nie stało. Jednak chwilę później runął ciężko do przodu. Hoffmann odsunął się, żeby tamten nie upadł na niego. Potem pochylił się, przytknął mu pistolet do drugiego oka i wystrzelił.

Na betonowej posadzce leżał martwy człowiek.

Na odgłos strzałów regularne, uporczywe walenie w drzwi stopniowo ustało. Wszędzie zapadła niezwykła cisza.

– Możesz już wejść do środka.

Hoffmann kazał to zrobić jednemu z młodszych strażników, ale wtedy odezwał się Jacobson.

– Hoffmann, musimy teraz...

– Jeszcze nie umrę.

Obserwował trzech klawiszy, którzy byli mu potrzebni, choć równocześnie mu przeszkadzali. Dwaj młodszy byli bliscy załamania nerwowego. Starszy zachowywał się dość spokojnie. Będzie próbował coś zrobić, ale nie zachowa się niemądrze.

– Wejdźcie do celi!

Przyłożył pistolet do oka tego, który płakał. Wystarczył ruch ręką.

– Wchodź!

Strażnik wszedł do celi i usiadł na brzegu łóżka.

– Drzwi! Zamknij na klucz!

Hoffmann rzucił pęk kluczy Jacobsonowi, ale tym razem się nie odezwał. Nie próbował z nim rozmawiać, nie wykonał żadnego ruchu, żeby nawiązać z nim pozorny kontakt, stworzyć uczucie bliskości, odwołać się do uczuć.

– Ciało.

Hoffmann kopnął zwłoki leżące na podłodze. Chodzi o władzę, jej zachowanie, dystans.

– Połóż trupa przed celą numer sześć. Ale niezbyt blisko, żeby można było otworzyć drzwi.

Jacobson pokręcił głową.

– On jest dla mnie za ciężki.

– Natychmiast! Pod szóstkę. Zrozumiałeś?

Hoffmann przyłożył mu pistolet do skroni, potem do oka, do skroni i znów do oka.

– Jak myślisz, w co trafię, kiedy nacisnę spust?

Jacobson złapał zwiotczale zwłoki za ręce. Jest już stary, a jednak musi przeciągnąć sto dwadzieścia kilogramów martwego ciała po twardej podłodze. Kiedy znalazł się pod celą, Hoffmann pokazał mu głowę, gdzie ma się zatrzymać, żeby nadal można było otworzyć drzwi.

– Otwórz drzwi.

Nie znał tego więźnia, nigdy przedtem się nie spotkali, ale rozpoznał głos, który usłyszał wczoraj przed swoją celą. Głos ten kilkakrotnie nazwał go Paulą. To jeden z chłopaków firmy Securitus International.

– Pierdolony stukacz!

Ten sam głos, gdy wypadł z celi. I nagle zatrzymał się w pół kroku.

– Co to, kurwa...

Spojrzał na zwłoki leżące nieruchomo na podłodze.

– Kurwa mać...

– Na kolana!

Hoffmann skierował w jego stronę pistolet.

– Na kolana!

Spodziewał się, że tamten zacznie mu grozić albo wypowie jakieś pogardliwe słowa. Tymczasem więzień opadł obok trupa. Hoffmann przez chwilę się nie poruszał. Sądził, że będzie musiał znowu zabić, ale więzień posłusznie wykonał jego polecenie.

– Jak masz na imię?

Młody strażnik zmrużył oczy. Pod wpływem ucisku małej lufy pociekły z nich łzy.

– Jan. Janne.

– Wejdz do środka.

Kolejny człowiek w mundurze usiadł na brzegu łóżka. Jacobson zamknął na klucz drzwi celi numer sześć.

Na korytarzu znowu rozległo się walenie w drzwi.

Więźniowie siedzący w celach porozumiewali się ze sobą. Nie wiedzieli, co się dzieje, ale słyszeli i czuli, że coś jest nie tak. Słyszeli wyraźny odgłos strzałów i podniesione głosy. Kiedy zapadła cisza, znowu zaczęli walić w drzwi, zaniepokojeni tym, że nic nie wiedzą.

Hoffmann zaczął liczyć. Zdawało mu się, że upłynęło mnóstwo czasu, a przecież dopiero zaczął. Od chwili, gdy otworzył drzwi toalety i wyjął pistolet, minęło osiem, może dziesięć minut. Nie więcej.

Dwaj klawisze byli już pod kluczem, trzeci stał przed nim, a czwarty i piąty jeszcze przez jakiś czas będą stać na spacerniaku. Jednak główny dyżurny w każdej chwili może sprawdzić obraz z kamer przesyłany z tej części więzienia, a wtedy zjawią się tu klawisze z innych bloków. Musi się spieszyć. Wie, co ma zrobić. Szykował się do tego od chwili, gdy zrozumiał, że został sam, że grozi mu śmierć, że ktoś go wsypał, jeden z tych, którzy wiedzieli o jego zadaniu i znali jego pseudonim. Myślał o miejscu, które już wcześniej sobie wybrał, na wypadek gdyby zdarzyło się to, co nie powinno się zdarzyć, i gdyby groziła mu śmierć.

Stali blisko niego. Nie za blisko, nie za daleko. Wystarczająca odległość, żeby kontrolować sytuację i uniknąć ryzyka, że go obezwładnią. Ten więzień, którego imienia nawet nie zna, jest niebezpieczny, więc jeśli to będzie konieczne, zabije go.

– Przenieś lampę w tamto miejsce.

Hoffmann pokazał ręką lampę stojącą w dyżurce. Poczekał, aż Jacobson postawi ją przed nim.

– Zwiąż go. Użyj kabla z przedłużacza.

Więzień położył ręce na plecach, a Jacobson związał je kablem, który wrzynał się w skórę. Hoffmann sprawdził, czy węzeł trzyma, a końcówkę kabla zawiązał Jacobsonowi wokół pasa. Potem poszli klatką schodową i schodami w górę. Zewsząd słychać było dźwięki świadczące o tym, że więzienie żyje: kłótnie między osadzonymi, szczęk talerzy, gdy nakrywano do stołu, podenerwowane głosy tych, którzy grali w karty, zbyt głośno włączony telewizor. Wystarczy jeden okrzyk, jedno kopnięcie w drzwi i zostaną zauważeni. Hoffmann przesuwiał lufę rewolweru między Jacobsonem a więźniem. Niech wiedzą. Niech wiedzą.

W końcu dotarli na najwyższą kondygnację budynku, do ciasnego korytarza w pobliżu warsztatów.

Drzwi były otwarte. Światła w wielkiej sali wygaszone.

Osadzeni, którzy tu pracują, są teraz na śniadaniu. Za godzinę staną na swoich stanowiskach pracy.

– To nie wystarczy.

Dopiero kiedy dotarli na sam środek sali, kazał więźniowi uklęknąć.

– Niżej! I pochyl się do przodu.

– Dlaczego?

– Pochyl się.

– Możesz mnie zabić. Możesz zabić pierdolonego klawisza. Ale coś ci powiem, Paula... bo chyba tak cię nazywają twoi koleżkowie gliny: i tak jesteś już martwy. Zdechniesz tutaj. Trochę później. Nieważne kiedy. My wiemy. Nie odpuścimy ci. Sam wiesz, jak to się u nas odbywa.

Hoffmann z całej siły uderzył go pięścią w kark. Uderzył, bo nie wiedział, co odpowiedzieć. Bo chłopak miał rację.

– Zdejmij taśmę do pakowania! Obwiąż mu nadgarstki.

Jacobson musiał stanąć na palcach, żeby zdjąć z półki nad prasą rulon szarej taśmy do pakowania. Służyła do oklejania kartonów. Odetnie dwa półmetrowej długości kawałki i jeden z nich owinie wokół nadgarstków więźnia, aż werźnie mu się w skórę i ręce zaczną krwawić. Potem rozbierze siebie i tamtego, ubrania położy na podłodze na dwie porządne kupki, odwróci się i stanie tyłem, a wtedy on, Hoffmann, zwiąże mu dłonie twardą, plastikową taśmą.

Hoffmann dokładnie zapamiętał salę, w której pachniało olejem, ropą i kurzem. Zauważył kamery nad wiertarkami i niewielkie wózki widłowe, zmierzył krokami odległość między najbardziej od siebie oddalonymi stołami warsztatowymi i trzema słupami, na których spoczywał sufit. Dokładnie wiedział, gdzie stoi kadź z ropą i jakie narzędzia przechowywane są w poszczególnych szafkach.

Więzień i siwowłosy strażnik nadal trwali w tej samej pozycji: jeden klęczał, drugi leżał na podłodze z rękami związanymi na plecach. Hoffmann jeszcze raz sprawdził, czy są dobrze związani, zabrał ich ubrania i zaniósł do stołu stojącego przy oknie wychodzącym na kościół. Odbiornik miał w kieszeni spodni. Wsunął go do ucha, przez chwilę nasłuchiwał i w końcu się uśmiechnął. Spojrzał przez okno na kościelną wieżę, słyszał wiatr uderzający lekko w nadajnik. To znak, że jest sprawny.

Nagle zamiast wiatru rozległ się inny dźwięk. Alarm.

Podszedł do ubrań, sięgnął po pager i odczytał na nim treść komunikatu: „B1”.

Oddział dla izolowanych z obostrzonym rygorem. To ten, z którego właśnie przyszli. Zauważyli wcześniej, niż przypuszczał.

Wyjrzał przez okno. Popatrzył na kościół i wieżę.

Dopiero za piętnaście minut pierwsi z nich zjawią się pod murem. Za kolejne dwie godziny ich miejsce zajmą właściwi ludzie z odpowiednią bronią.

ALARM OGŁOSIŁ JEDEN ze strażników, który wracając ze spacerniaka, zaszedł na oddział dla izolowanych, żeby przywitać się z kolegami i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Po chwili grupa strażników wpadła na korytarz, ale nagle wszyscy się zatrzymali na widok tego, co ujrzeli.

Na podłodze leżał martwy człowiek.

Na całym korytarzu słychać było hałas wywołany waleniem w drzwi cel przez agresywnych więźniów, zdezorientowanych tym, co dzieje się w bloku.

Z celi numer sześć wypuszczono bladego, oblanego potem strażnika, który wzburzony tym, co się stało, wskazywał ręką na celę numer trzy.

Wypuszczono z niej kolejnego strażnika, młodego chłopaka, który płacząc, wskazywał na podłogę i bełkotał: „On go zastrzelił”. Potem powiedział to jeszcze raz, o wiele głośniej, ale nie wiadomo po co: żeby przebić się przez hałas dobiegający z cel czy też po prostu wypowiedzieć ponownie te same słowa: „Strzelił do niego, prosto w oko”.

HOFFMANN SŁYSZAŁ ZAMIESZANIE na klatce schodowej i widział przez okno, jak coraz więcej strażników biegnie przez spacerniak. Obydwaj mężczyźni leżący nago na podłodze poruszyli się niespokojnie. Hoffmann przytknął im pistolet do twarzy i oczu, przypominając, że jeszcze przez pewien czas muszą pozostać niezauważeni.

– O co tu w ogóle chodzi?

Jacobson klęczał skulony. Bolały go stawy. Do tej pory nie odzywał się, ale widać było, jak kiwa się do przodu i do tyłu, żeby po równo rozłożyć ciężar ciała.

Hoffmann słyszał jego pytanie, ale nie odpowiedział.

– Hoffmann, spójrz na mnie. O co w tym wszystkim chodzi?

– Już ci odpowiedziałem.

– Nie zrozumiałem.

– Że nie chcę jeszcze umierać.

Skulony Jacobson uniósł głowę, spoglądając to na Hoffmanna, to na wylot lufy.

– Nie wyjdiesz stąd żywy.

Spojrzał na niego, jakby domagał się odpowiedzi.

– Masz rodzinę.

Kiedy mówił, dokonywała się w nim zmiana. Już nie był przedmiotem, tylko podmiotem, człowiekiem, który rozmawia z innym człowiekiem.

– Masz żonę i dzieci.

– Wiem, do czego zmierzasz.

Hoffmann przesunął się, stanął za obu mężczyznami, być może po to, żeby sprawdzić, czy więzy na nadgarstkach dobrze trzymają, głównie jednak po to, żeby nie patrzeć w czujne oczy strażnika.

– Rozumiesz, co chcę powiedzieć. Ja też mam żonę i trójkę dzieci. Wszystkie są już dorosłe. To...

– Jacobson... tak masz na nazwisko, prawda? Zamknij gębę! Już ci grzecznie wyjaśniłem, że wiem, co robię. I nie mam rodziny. Przynajmniej w tej chwili.

Ściągnął mocniej plastikowe więzy, aż werżnęły się głębiej w ciało. Pojawiło się też trochę krwi.

– I nie umrę, jeszcze nie teraz. A czy zamiast mnie umrzesz ty, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Dla mnie jesteś tylko moją tarczą i niczym więcej. Bez względu na to, czy masz żonę i dzieci, czy też nie.

INSPEKTOR WIĘZIENNY Z BLOKU B2 przez dwie minuty próbował nawiązać kontakt ze strażnikiem, którego przed chwilą wypuścił z celi numer trzy. Był to młody chłopak, niewiele starszy od jego syna. Zatrudnił się na letnie zastępstwo i nie przepracował nawet jednego miesiąca. Ale tak to właśnie bywa. Ktoś chodzi do pracy przez wiele lat i czeka z obawą, że kiedyś w końcu zdarzy się coś takiego jak dziś. Komuś innemu przytrafia się to już po dwudziestu czterech dniach.

Kiedy inspektor zadawał mu pytania, chłopak odpowiadał za każdym razem w ten sam sposób. Tym samym zdaniem.

„Strzelił do niego, prosto w oko”.

Młody strażnik był wyraźnie w szoku, widział, jak umiera inny człowiek, i czuł lufę pistoletu przytkniętą do oka. Nadal dało się zauważyć siną obwódkę na miękkiej skórze. Potem już tylko siedział zamknięty w jednej celi ze śmiercią i czekał. Więcej słów nie potrafił z siebie wydobyć, przynajmniej nie teraz. Inspektor polecił innemu, najbliższemu stojącemu strażnikowi, aby się nim zajął, i podszedł do drugiego, który

siedział w celi numer sześć. Poblady, zlany potem mężczyzna szeptał coś głośno.

– Gdzie jest Jacobson?

Inspektor położył mu dłoń na ramieniu i poczuł drzenie.

– O co ty pytasz?

– Było nas trzech. Jacobson też z nami był.

ROZMOWA JUŻ DAWNO DOBIEGŁA końca. Mimo to słowa nadal brzmiały mu w uszach, irytując swą treścią.

Naczelnik więzienia miał nadzieję, że zdarzy się coś, co złagodzi jego wzburzenie, co go uspokoi, że nagle ktoś zadzwoni i powie, że wszystko jest w porządku. Niestety, nic takiego się nie stało. Inspektor z Bloku B2 opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło.

Dwaj strażnicy zostali zamknięci w celach na klucz. Jeden osadzony nie żyje. Sprawca prawdopodobnie wziął zakładników.

Oscarsson uderzył słuchawką o blat biurka. Wazon pełen żółtych tulipanów spadł na podłogę. Trzeci ze strażników, Martin Jacobson, został wzięty jako zakładnik przez uzbrojonego więźnia odsiadującego długi wyrok. Piet Hoffmann, numer 0913.

Naczelnik usiadł na podłodze i w roztargnieniu zaczął dotykać żółtych tulipanów leżących wśród skorup potłuczonego wazonu.

Tak, zaprotestował w taki sam sposób, jak później zrobił to Martin.

„Otrzymałem rozkaz, aby umożliwić jakiemuś adwokatowi późne spotkanie z więźniem, i ten rozkaz wykonałem. Otrzymałem polecenie, żeby uniemożliwić komisarzowi policji przesłuchanie więźnia, i to polecenie też wykonałem. Ale tego polecenia nie wykonam”.

Brał do ręki tulipany, rozrywał je na kawałki i rzucał na podłogę. Podniósł słuchawkę telefonu, bo zwisała na kablu z biurka, wybrał numer i zakończył rozmowę dopiero wtedy, gdy był pewien, że naczelnik dyrektor zrozumiał każde jego słowo i sugestię.

– Domagam się wyjaśnień.

Odchrząknięcie w słuchawce. Nic więcej.

– Pål, żądam wyjaśnień!

Znowu odchrząknięcie. I dalej nic.

– Dzwonisz do mnie do domu późnym wieczorem i rozkazujesz mi, abym z powrotem przeniósł więźnia na oddział, gdzie mu grożono. Każesz mi to zrobić najpóźniej do następnego ranka. Tymczasem ten więzień ma na muszce pistoletu jednego z moich pracowników. Wyjaśnij

mi związek między twoimi poleceniami a faktem, że ten więzień wziął zakładników. Jeżeli tego nie zrobisz, będę musiał zadać te pytania komuś innemu.

W DYŻURCE STANOWIĄCEJ CZĘŚĆ głównego wejścia było ciepło. W Aspsås, podobnie jak w innych zakładach karnych, miejsce to nazywano centralną dyżurką. Strażnik Bergh miał na sobie pomięty niebieski mundur i bardzo się pocił, chociaż z tyłu za nim stał włączony wiatrak, który rozrzucał po biurku luźne kartki. Bergh odwrócił się w poszukiwaniu chusteczki higienicznej. Zwykle leżały gdzieś między czerwonymi a zielonymi guzikami panelu sterowania z szesnastoma monitorami.

Nagie ciała.

Czarno-biały monitor miał niską rozdzielczość i obraz trochę skakał, ale Bergh był najzupełniej pewien.

Na ekranie monitora, przy którym leżała chusteczka, widać było dwa nagie ciała leżące na podłodze i pochylonego nad nimi mężczyznę w więziennym ubraniu.

POPATRYŁ NA PIĘKNE, BŁĘKITNE niebo. Kilka postrzępionych obłoków, a poza tym jasne słońce i ciepły wiatr. Byłby to przyjemny, wiosenny dzień, gdyby nie dźwięk syreny w pierwszym radiowozie, którym jechał patrol z komendy rejonowej w Aspsås.

– Oscarsson...?

Naczelnik więzienia stał na parkingu przy głównej bramie. Za sobą miał betonowy, szary mur.

– Co wy tu, u diabła...

– Już raz strzelił.

– Oscarsson?

– I grozi, że zrobi to znowu.

Szyby w radiowozie były opuszczone. Siedziała w nim młoda policjantka, której nigdy wcześniej nie spotkał. Obok niej inspektor policji – jego rówieśnik – Rydén. Nie znali się osobiście, ale jeden wiedział o istnieniu drugiego. Rydén służył w policji w Aspsås równie długo, jak Oscarsson pracował w zakładzie karnym.

Wyłączyli koguta i wysiedli z wozu.

– Kto to jest?



– Piet Hoffmann. Wiek trzydzieści sześć lat. Dziesięć lat za narkotyki. Z akt wynika, że jest bardzo groźny, ma skłonność do przemocy i uznano go za psychopatę.

Rydén zbyt długo pracował w policji, żeby mieć jakiegokolwiek złudzenia.

– Nie rozumiem. Blok B, izolatka, a mimo to ma broń?

– My też tego nie rozumiemy.

– Ale broń? Do diabła, jak? Skąd?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Rydén spojrział na betonowy mur, a potem trochę wyżej, gdzie widać było trzeci poziom i dach Bloku B.

– Muszę wiedzieć więcej. Jaka to broń?

Oscarsson westchnął.

– Strażnik, któremu groził, twierdzi... ale on jest w stanie szoku, nie wie chyba, co mówi... W każdym razie opisał nam jakiś miniaturowy pistolet.

– Pistolet czy rewolwer?

– A co to za różnica?

– Broń ma magazynek czy bębenek?

– Nie wiem.

Rydén przez dłuższą chwilę przyglądał się dachowi Bloku B.

– Zakładnicy. A do tego przestępca ze skłonnością do przemocy.

Pokręcił głową.

– Potrzeba nam zupełnie innego uzbrojenia i zupełnie innej wiedzy. Potrzebujemy funkcjonariuszy, którzy mają odpowiednie przeszkolenie do tego rodzaju akcji.

Podszedł do samochodu, wsunął rękę przez okno do środka i wziął mikrofon.

– Uwaga, oficer dyżurny. Proszę o przysłanie jednostki specjalnej.

BRUDNA PODŁOGA BYŁA ZBYT twarda i zbyt zimna na jego kolana.

Martin Jacobson poruszył się ostrożnie, próbował odchylić ciało do tyłu, ale poczuł ból w stawach. Razem z tym drugim klęczą na podłodze, od kiedy znaleźli się w tym pomieszczeniu. Zerknął na więźnia i prawie poczuł na sobie jego oddech. Nie pamiętał jego imienia, bo ci, których zamykano w izolatce, rzadko mieli tożsamość godną zapamiętania. Był tylko pewien, że więzień pochodzi skądś z Europy Środkowej. Jest dobrze zbudowany i widać po nim, że przepełnia go nienawiść. Coś między nimi

musiało zajść, to jakaś zadawniona sprawa. Szukali się wzrokiem, a gdy popatrzyli sobie w oczy, więzień splunął i uśmiechnął się szyderczo. Hoffmann dał sobie w końcu spokój, gdy więzień krzyknął coś w języku, którego Jacobson nie rozumiał. Hoffmann kopnął tamtego w policzek i związał mu nogi taśmą.

Jacobson zaczął stopniowo odczuwać to, czego nie był w stanie odczuwać jeszcze niedawno, gdy wokół niego panował chaos. Teraz postanowił się skupić na tym, żeby jakoś porozumieć się z Hoffmannem.

Poczuł, jak ogarnia go coraz większy strach.

To, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Hoffmann znalazł się w przymusowej sytuacji, jest zdesperowany. Jest już jeden trup. Jeszcze nie tak dawno był to człowiek. Już nigdy nie będzie mówił, myślał, śmiał się.

Jacobson znowu zaczął się kiwać, głęboko oddychał. To, co czuł, nie było zwykłym strachem. Było to coś zupełnie nowego, czego nie czuł nigdy wcześniej: strach przed śmiercią.

– Leż spokojnie.

Hoffmann kopnął go w bark, niezbyt mocno, ale wystarczyło, żeby na skórze pojawiła się czerwona plama. Chodził między stołami warsztatowymi, zatrzymywał się przy każdej kamerze, podnosił się na placach i pierwsze trzy odwrócił w stronę ściany. Czwartą trzymał przez chwilę obiema rękami, przysunął twarz do obiektywu, spojrzął w niego, przysunął się jeszcze bliżej, aż cała twarz zasłoniła obiektyw, i zaczął krzyżeć. Kiedy przestał, także i tę kamerę odwrócił w stronę ściany.

BERGH NADAL SIĘ POCIŁ, ale nie zauważał tego. Przed chwilą postawił krzesło przed monitorami zamontowanymi na ścianie. Cztery z nich pokazywały obraz z warsztatów w Bloku B. Przez dwie minuty towarzystwa dotrzymywał mu naczelnik więzienia, który stał za plecami Bergha i obserwował ten sam obraz, skoncentrowany, milczący. Nagle coś się zmieniło. Na jednym z monitorów podłączonych do kamery wiszącej przy oknie pojawił się czarny obraz. Jednak nie było to zjawisko techniczne, tylko wyglądało to tak, jakby ktoś przykrył albo zasłonił obiektyw jakimś przedmiotem. To samo stało się z drugim monitorem. Ktoś przekręcił szybko kamerę, może w stronę ściany, więc ten ciemny kolor na monitorze mógł być obrazem betonowej ściany filmowanej przez kamerę z odległości paru centymetrów. Potem to samo stało się z trzecim monitorem. Teraz byli już pewni, że stanie się to samo.

Zauważyli rękę, która tuż przed odwróceniem kamery w stronę ściany pojawiła się przed obiektywem. Była to ręka człowieka, który użył siły, żeby odwrócić kamerę i statyw.

Została czwarta kamera. Czekali, wpatrując się w monitor.

I nagle drgnęli.

Na ekranie pojawiła się twarz.

Blisko, a nawet bardzo blisko, nos i usta, nic więcej. Usta wykrzykiwały jakieś słowa, a potem też znikły.

Hoffmann.

Chciał im coś przekazać.

JACOBSON MARZŁ.

Jednak nie z powodu chłodu bijącego od zimnej podłogi i nie ze strachu, że zabraknie mu sił, aby zmierzyć się z myślą o własnej śmierci.

Leżący obok niego więzień znowu zaczął grozić Hoffmannowi, pluć nienawiścią i szyderstwami. W końcu Hoffmann przyniósł z jednego ze stołów kawałek szmaty i zatkał mu nią usta. Więzień zamilkł.

Obaj leżeli teraz w milczeniu, także wtedy, gdy Hoffmann zostawił ich na chwilę samych i podszedł do najbardziej oddalonej ściany. Znajdowało się w niej okno z widokiem na pomieszczenia biurowe. Jacobson odwrócił głowę i przyglądał się, jak Hoffmann chodzi po pokoju, pochyla się nad biurkiem i podnosi z niego coś, co przypominało słuchawkę telefonu.

USTA PORUSZAŁY SIĘ POWOLI. Wąskie, zaciśnięte wargi. Wyglądały jak popękane, a nawet poranione.

Patrząc na jego usta, odczytali pierwszy wypowiedziany przez niego dźwięk. Spojrzeli na siebie, skinęli głowami.

– Następny.

Oscarsson stał w ciasnej dyżurce obok Bergha, który odpowiednimi ruchami palców na klawiaturze przesunął obraz zarejestrowany przez kamerę. Usta Hoffmanna zajęły całą przestrzeń monitora, dzięki czemu od razu udało im się odczytać dwie pierwsze samogłoski. Pierwszą z nich była głoska „a”, drugą głoska „i”.

– Widziałeś?

– Tak.

– Jeszcze raz.

Ujrzeni je wyraźnie. Słowo, które tamten więzień wypowiedział z tak wielką agresją, że aż ich ciarki przeszły.

„Zabiję”.

RĘKA ZACZEŁA MU SIĘ TRZAŚĆ. Było to tak nieoczekiwane, że aż musiał odłożyć słuchawkę.

Nie wiedział, czy ktoś odbierze.

Spojrzał przez szybę na obu mężczyzn leżących nago na podłodze. Nie wykonywali żadnych ruchów. Na biurku stała porcelanowa filiżanka wypełniona do połowy wczorajszą kawą. Wypił ją, była zimna i gorzka, ale nawet ta odrobina kofeiny dobrze mu zrobi.

Znowu wykręcił numer. Pierwszy sygnał, drugi... Czekał, nie wiedząc, czy Zofia jest w domu i czy nadal ma ten sam numer telefonu. Miał nadzieję, że tak. A może...

Jej głos.

– To ty?

Od tak dawna jej nie słyszał.

– Chcę, żebyś zrobiła dokładnie to, co uzgodniliśmy.

– Piet, ja...

– Dokładnie to, co uzgodniliśmy. Natychmiast.

Odłożył słuchawkę. Tak bardzo mu jej brakuje. Tak bardzo za nią tęskni.

Zastanawiał się, czy nadal tam czeka. Na niego.

NIEBIESKIE, MIGOCZĄCE ŚWIATŁO stawało się coraz bardziej wyraźne. Za chwilę rozświetli partię lasu oddzielającą drogę od zjazdu do więzienia w Aspsås. Lennart Oscarsson stał obok Rydén na parkingu przed główną bramą i czekał na dwa czarne, ciężkie samochody, które zbliżały się w ich kierunku. Dwadzieścia pięć minut wcześniej pojazdy należące do jednostki specjalnej w Sörentorp koło Solny wyjechały z miejsca stacjonowania, wioząc dziewięciu mężczyzn ubranych w czarne wysokie buty, granatowe kurtki, kominiarki, okulary ochronne, hełmy, ognioodporne rękawice i kuloodporne kamizelki. Kiedy samochody wjechały na parking, Rydén podszedł do nich i przywitał się z wysokim, chudym mężczyzną, który wyskoczył z pierwszego pojazdu. Był to dowódca grupy, John Edvardson.

– To tam. Czarny dach. Ostatni poziom.

Cztery okna w budynku stojącym blisko zewnętrznego muru. Edvardson skinął głową i ruszył w tę stronę. Oscarsson i Rydén prawie za nim biegli, żeby nadążyć. Rozejrzeli się i zobaczyli, że pozostałych ośmiu członków grupy idzie za nimi. Każdy z nich uzbrojony w pistolet maszynowy. Dwaj mieli specjalne karabiny przystosowane do oddawania strzałów na dużą odległość. Strzelcy wyborowi.

Minęli główną dyżurkę i budynek administracji i przebiegli przez otwartą bramę w następnym murze. Był trochę niższy od pozostałych, dzielił teren więzienia na poszczególne sektory, identyczne czworokąty z identycznymi budynkami w kształcie litery „L”. Każdy z nich miał trzy kondygnacje.

– Blok G i Blok H.

Oscarsson przysunął się do brzegu wewnętrznego muru. Będą mieć lepszy widok i lepszą osłonę.

– Blok E i Blok F.

Oscarsson wskazywał kolejne budynki pełne skazanych na długie odsiadki więźniów.

– Blok C i Blok D.

Sześćdziesiąt cztery cele i sześćdziesięciu czterech osadzonych w każdym kompleksie.

– W tych wszystkich budynkach siedzą normalni więźniowie. Oddział dla tych, którzy popełnili przestępstwo na tle seksualnym, znajduje się w innej części zakładu. Kilka lat temu mieliśmy trochę kłopotów, kiedy w jednym budynku znaleźli się więźniowie, którzy nigdy nie powinni odbywać kary razem.

Prawie biegnąc wzdłuż grubego betonowego muru, zbliżali się do ostatniego budynku w kształcie litery „L”. Oscarsson dostał lekkiej zadyszki.

– Blok A i Blok B. Blok B jest odwrócony w drugą stronę. Hoffmann pokazał się dwa razy w największym oknie, które wychodzi na łąki i kościół w Aspsås. Potwierdzili to niezależnie od siebie dwaj różni strażnicy. Są absolutnie pewni.

Szary betonowy bunkier, jak klocek lego. Brzydki, surowy, milczący.

– Na samym końcu widać Blok jeden, oddział dla izolowanych więźniów z obostrzonym rygorem. To tam Hoffmann wziął zakładnika i stamtąd uciekł razem z nimi.

Zatrzymali się na chwilę. Po raz pierwszy od chwili, kiedy kilka minut wcześniej grupa specjalna wysiadła z samochodów.

– Pierwsze piętro, B-dwa po lewej i B-dwa po prawej stronie. Szesnaście cel po każdej ze stron. Zwykli więźniowie, trzydziestu dwóch osadzonych.

Oscarsson odczekał kilka sekund, żeby wyrównać oddech. Potem odezwał się ściszym głosem:

– To tam. Na samej górze. B-trzy, warsztaty. Jedno z miejsc, gdzie pracują więźniowie. Widać stąd okno, to, które wychodzi na dziedziniec.

Oscarsson umilkł. Jakie to dziwne. Okno oddziela piękny świat zewnętrzny ze słońcem, zielonymi łąkami i błękitnym niebem od innego świata, tego w budynku, gdzie czai się śmierć.

– Uzbrojenie?

Czekając na odpowiedź, Edvardson rozkazał sześciu swoim ludziom, aby ustawili się przed trzema wejściami do Bloku B. Dwóch strzelców wyborowych wysłał na dachy sąsiednich budynków.

– Dwa razy rozmawiałem ze strażnikami, którzy widzieli broń, jaką posługiwał się Hoffmann. Nadal są w stanie szoku, ale mówili o jakimś minirewolwerze na sześć nabojów. Kiedyś go widziałem, to broń o nazwie SwissMiniGun, szwajcarski rewolwer reklamowany jako najmniejszy na świecie.

– Sześć nabojów?

– Strażnicy twierdzą, że wystrzelił przynajmniej dwa.

Edvardson spojrzał na Oscarssona.

– Jak to, u diabła, możliwe, żeby więzień wszedł w posiadanie groźnej broni? W więzieniu, które uważa się w Szwecji za jedno z najlepiej strzeżonych?

Oscarsson nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Nie teraz. Zrezygnowany, pokręcił głową. Dowódca grupy zwrócił się więc do Rydén:

– Miniaturowy rewolwer. Nie bardzo wiem, o jaki chodzi. Twierdzisz, że z takiego można kogoś zabić?

– Hoffmann już kogoś zabił.

Edvardson przyglądał się oknu z widokiem na piękny kościół. Podobno widziano w nim Hoffmanna. Dostał wieloletnią odsiadkę, ale miał na tyle dobre kontakty, że udało mu się przemycić do pilnie strzeżonego więzienia broń na ostre naboje.

– Uznany za psychopatę?

– Tak.

Okno ze zbrojoną szybą. Dwaj zakładnicy leżący nago na podłodze.

– Udokumentowana skłonność do przemocy?

– Tak.

Przez cały czas wiedział, co robi. Działał spokojnie i metodycznie. Tak zeznali strażnicy. Wybrał warsztat i nie zrobił tego przypadkowo.

– No to mamy problem.

Edvardson spojrzał na fasadę budynku. To ich cel. Czasu mieli niewiele, bo porywacz zagroził, że znowu zabije.

– Widziano go w tym dużym oknie, ale ono jest umiejscowione w taki sposób, że strzelec wyborowy nie będzie mógł do niego strzelić z terenu więzienia. A jeśli weźmiemy pod uwagę jego opis... hm, nie możemy się też włamać do budynku. Moglibyśmy sforsować drzwi albo dostać się bez problemu do środka przez któryś z otworów dachowych, ale więzień jest tak agresywny i chory, że... Jeśli to zrobimy, jeśli dojdzie do szturm na budynek, Hoffmann nie zwróci się przeciwko nam, tylko zostanie na swoim miejscu, wyceluje rewolwer w któregoś z zakładników bez względu na to, w jakim niebezpieczeństwie sam się znajdzie, i wtedy zrobi, co obiecał. Zabije.

Edvardson ruszył z powrotem w stronę muru i bramy.

– Dostaniemy go, ale nie tutaj. Będę musiał rozstawić moich strzelców wyborowych w innych miejscach. Poza terenem więzienia.

#### HOFFMANN WYCHYLIŁ SIĘ Z OKNA.

Obaj zakładnicy leżeli nago u jego stóp. Nie ruszali się i nie starali się nawiązać z nim kontaktu.

Sprawdził więzy na ich rękach i nogach i trochę mocniej je docisnął. Już i tak wrzynają się w ciało bardziej, niż to konieczne, ale chce im pokazać, że ma nad nimi władzę. Muszą być pewni, że jest w stanie posłużyć się siłą na zewnątrz, w stosunku do tych, którzy zamierzają użyć siły przeciwko niemu.

Znowu usłyszał dźwięk syren. Pierwszy raz pół godziny wcześniej, gdy przyjechali policjanci z miejscowej komendy. Tylko oni mogli zjawić się tak szybko na miejscu. Tym razem dźwięk był trochę inny, mocniejszy.

Hoffmann przeszedł przez salę, policzył kroki, spojrzał na drzwi wejściowe, potem na drugie okno, dłużej zatrzymał wzrok na suficie i na pokrywających go płytach z włókna szklanego, które miały izolować otoczenie przed hałasem dobiegającym z pomieszczenia warsztatowego. Podniósł długi i wąski metalowy pręt i zaczął nim z całej siły uderzać w płyty, aż jedna po drugiej spadały na podłogę, odsłaniając powierzchnię właściwego sufitu.

CZARNY, CIĘŻKI POJAZD wyjechał z parkingu przed wielką bramą wjazdową prowadzącą na teren zakładu karnego w Aspsås i niecałą minutę później, kilometr dalej, zatrzymał się przed inną, znacznie mniejszą, bramą, gdzie zaczynała się piaszczysta droga prowadząca w stronę białego kościoła. Edvardson szedł przodem, obok niego Rydén, a za nimi dwaj strzelcy wyborowi. Kilka osób, które akurat przebywały na zalanym promieniami słońca cmentarzu, spojrzęło z niepokojem na umundurowanych mężczyzn w kominiarkach. Zupełnie nie pasowali do tego spokojnego miejsca. Wejście do kościoła było otwarte, więc zajrzeli do środka pustej wielkiej sali. Przez drzwi po prawej stronie weszli po stromych schodach dalej, aż dotarli do kolejnych, ze śladami włamania na futrynie. Jeszcze tylko aluminiowa drabinka i już znaleźli się na szczycie wieży. Czołgali się pod żeliwnym dzwonem, aż dotarli do wąskiej galeryjki. Podmuchy wiatru były tu bardziej odczuwalne, a więzienie przypominało z tego miejsca czworokątny kolos. Złapali się mocno za długą poręcz i zaczęli badać wzrokiem budynek stojący najbliżej muru, w tym także okna na trzecim piętrze, gdzie podobno ukrył się porywacz.

HOFFMANN ZDAŹYŁ ZERWAĆ z sufitu połowę płyt, gdy nagle przerwał pracę. Coś usłyszał. Jakiś dźwięk w uchu. Słyszał go wyraźnie. Przedtem słyszał tylko słabe podmuchy wiatru. Teraz pojawiły się trzaski, odgłosy kroków i coś jakby drapanie. Ktoś tam chodził, kilka osób. Podbiegł do okna i zobaczył ich. Na kościelnej wieży stali czterej mężczyźni i przyglądali mu się.

W OKNIE POJAWIŁ SIĘ na chwilę jakiś cień, który szybko zniknął. Hoffmann. Obserwował ich, a po chwili znowu się ukrył.

- To dobre miejsce. Stąd najłatwiej go trafić. Będziemy działać stąd.

Edvardson chwycił mocniej za poręcz. Wiało mocniej, niż się spodziewał, i na dużo niższej wysokości.

- Rydén, potrzebuję twojej pomocy. Od tego momentu będę działał z tego miejsca, z tego kościoła i z tej wieży. Muszę jednak mieć kogoś bliżej więzienia, kto będzie miał oko na wszystko, kogoś takiego jak ty, kto zna otoczenie.



Rydén przyglądał się osobom, które przebywały na cmentarzu. Kilka razy zerknęły niespokojnie na wieżę i po chwili skierowały się w stronę bramy wyjściowej. Tym razem nie było im dane znaleźć spokoju, który chciały dzielić ze swoimi zmarłymi.

Rydén skinął głową. Słyszał, co powiedział Edvardson, ale chciał zaproponować coś innego.

– Chętnie wam pomogę, ale znam pewnego policjanta, który zna to więzienie jeszcze lepiej. Pracował w tym rejonie, kiedy ten zakład budowano, i od tamtej pory przyjeżdża tu regularnie, żeby przesłuchiwać więźniów. To dobry śledczy.

– Kto taki?

– Komisarz z komendy policji miejskiej w Sztokholmie. Ewert Grens.

HOFFMANN SŁYSZAŁ KAŻDE słowo, i to bez żadnych zakłóceń. Jego odbiornik spisywał się tak dobrze, jakby wiedział, że nie może zawieść.

– Kto taki?

Hoffmann skorygował odbiornik, nacisnął lekko palcem cienką metalową płytkę i mocniej docisnął słuchawkę do ucha.

– Komisarz z komendy policji miejskiej w Sztokholmie. Ewert Grens.

Głosy brzmiały tak wyraźnie, jakby osoby wypowiadające te słowa wzięły nadajnik do ręki i mówiły wprost do niego.

Hoffmann podszedł do okna. Mężczyźni stoją przy poręczy. Może nawet pochylają się teraz przed siebie.

I nagle coś się stało.

Wyraźny hałas, jakby drapanie. Najpierw odgłos metalu uderzającego o drewnianą podstawę, potem dźwięk wydawany przez ciężkie ciało kładące się na ziemi.

– Tysiąc pięćset metrów.

– Tysiąc pięćset metrów. Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– Za daleko. Nie mamy nawet celowników na tę odległość. Będziemy go widzieli, ale nie będziemy mogli go trafić.

SAMOCHÓD JECHAŁ BARDZO powoli.

Przedpołudniowy sznur samochodów gęsto zapełniał oba pasy Klarastrandsleden.

Jakiś pasażer wyszedł rozzłoszczony z autobusu i ruszył samotnie skrajem zatłoczonej ulicy. Kiedy mijał stojące w miejscu auta, wyglądał na zadowolonego. Na pewno dotrze do zjazdu na E4 wcześniej niż pozostali pasażerowie. Grens zastanawiał się, czy nie powinien zatrzeć na niego, bo przecież mężczyzna szedł tam, gdzie nie powinien, albo nawet rzucić w jego stronę parę epitetów, ale dał sobie spokój. Rozumiał jego zachowanie. Bo jeśli taki szybki spacer w zasmrodzonym spalinami powietrzu powstrzymywał ludzi od głośnego bębnienia palcami po desce rozdzielczej i wyżywania się na innych uczestnikach ruchu drogowego, to lepiej, żeby spacerowali.

Grens bębnił palcami po zmiętej mapie leżącej na siedzeniu obok.

Zdecydował się. Pojedzie do niej.

Za dwa kilometry zaparkuje przed jedną z otwartych przez całą dobę bram cementarza, wyjdzie z samochodu, odszuka jej grób i zacznie z nią rozmawiać, tak jak robił to przedtem.

Telefon komórkowy leżał pod mapą.

Rozległ się trzeci sygnał, ale Grens nie odbierał. Przez następne trzy albo cztery czekał, aż dzwoniący się rozłączy. W końcu zrozumiał, że ten ktoś nie zrezygnuje.

Oficer dyżurny.

– Ewert?

– Tak.

– Gdzie teraz jesteś?

– Jestem na Klarastrandsleden, jadę na północ.

– Mam dla ciebie zlecenie.

– Kiedy?

– To cholernie pilna sprawa.

Grens nie lubił zmian. Lubił postępować według planu, rutynowo, doprowadzać sprawy do końca. Trudno mu będzie zawrócić, skoro myślami jest w drodze do innego miejsca.

Właściwie powinien teraz westchnąć, może nawet zaprotestować. Ale nie zrobił tego, bo poczuł ulgę. Nie musi tam jechać. Jeszcze nie teraz.

– Poczekaj.

Włączył kierunkowskaz, wsunął się przodem samochodu na sąsiedni pas i nie reagował na wściekle trąbiących kierowców. W końcu jednak opuścił szybę i umieścił na dachu koguta z włączonym pulsującym światłem.

Trąbienie ustało. Kierowcy się uspokoili.

– Ewert?

– Jestem.

– Chodzi o więzienie w Aspsås. Znasz je lepiej niż każdy inny inspektor czy komisarz na tym terenie. Musisz tam natychmiast pojechać, bez zwłoki.

– Tak?

– Mamy tam trudną sytuację.

EDVARDSON STAŁ POŚRODKU pięknego cmentarza otaczającego kościół. Dwadzieścia minut wcześniej zszedł z wieży, na której zostało dwóch strzelców wyborowych. Mieli obserwować Hoffmanna, który wziął dwóch zakładników. Mogą dostać się do środka w każdej chwili, w ciągu kilku sekund wyłamią drzwi albo sufit i bez problemu obezwładnią przestępcę. Dopóki jednak zakładnicy żyją i nic im nie zrobił, wstrzyma się z jakąkolwiek interwencją.

Rozejrzał się wokół siebie.

Cmentarza pilnował patrol policji z Uppsali, który zamknął cały teren. Nikomu nie wolno od tej chwili przekroczyć linii wyznaczonej przez biało-niebieską taśmę, nawet księdzu czy kościelnemu. Na miejscu zjawily się dwa samochody z Arlandy i kolejne dwa ze Sztokholmu. Każdy z nich ustawił się przy narożnikach betonowego muru otaczającego więzienie. Ma teraz do dyspozycji czterech policjantów z miejscowej komendy, czterech z Uppsali, Arlandy i Sztokholmu, a gdy wkrótce dołączy do nich reszta jego jednostki – dwunastu ludzi – na miejscu będzie trzydziestu siedmiu policjantów, którzy będą obserwować, osłaniać albo atakować.

Edvardson czuł ogarniające go napięcie. Obserwował szary mur i nie potrafił opanować niepokoju. Coś... coś mu tu nie grało.

Hoffmann.

Właśnie to mu się nie podobało: że facet tam stoi i grozi śmiercią.

Przypomniał sobie, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat przypadki wzięcia zakładników w szwedzkich więzieniach miały miejsce dwa, najwyżej trzy razy do roku. Za każdym razem wzywano jego jednostkę

i za każdym razem scenariusz wydarzeń łatwo było przewidzieć. Oto jakiś więzień wchodzi w posiadanie wyprodukowanego przez siebie zacieru, wpada w stan odurzenia, dochodzi do wniosku, że go tu poniżają i że jest traktowany niesprawiedliwie, zwłaszcza przez personel kobiecy. Zaczyna zachowywać się agresywnie, staje się niebezpieczny, w końcu grozi zardzewiałym śrubokrętem młodej dziewczynie, która akurat zastępuje jakiegoś strażnika, i bierze ją jako zakładniczkę. Naczelnik ogłasza alarm, na miejscu zjawia się jednostka specjalna i po prostu czeka, aż więzień wróci do przytomności, bo tylko o to chodzi. Wtedy od razu sobie uświadomi, jak niekorzystnie wygląda dla niego stosunek sił, podniesie ręce i podda się. W efekcie dostanie kolejne sześć lat i trudniej mu będzie otrzymywać przepustki.

Hoffmann nie pasuje do tego wzoru.

Strażnicy zamknięci przez niego w celach opowiadali, że nie był pod wpływem środków odurzających, postępował w sposób przemyślany, analizował każdy krok i nie działał pod wpływem impulsu, tylko świadomie.

Edvardson wyjął krótkofalówkę i przydzielił zadania dwunastu swoim ludziom, którzy zameldowali się na miejscu. Czterech skierował pod drzwi wejściowe Bloku B, tego, gdzie był warsztat, żeby zamontowali mikrofony; pięciu miało się dostać schodami na zewnętrzną część budynku, a potem na dach, żeby zamontować resztę sprzętu do nawiązywania łączności; trzech pozostali stanowili wsparcie dla tych, którzy pilnowali klatki schodowej.

Otoczył budynek z warsztatem w środku. Zablokował dojście do cmentarza. Zrobił wszystko, co w danej sytuacji mógł zrobić. Następny krok należał do Hoffmanna.

CIEŹKIE STALOWE DRZWI na czwartym piętrze komendy były otwarte. Grens przeciągnął kartę przez czytnik, wbił czterocyfrowy kod i poczekał, aż metalowa krata się rozsunie. Wszedł do środka i podszedł do numerowanych skrytek, otworzył jedną z nich kluczem i wyjął broń służbową, której rzadko używał. Magazynek był pełen, włożył go do pistoletu. Potem poszedł do sekcji dochodzeniowej, a mijając pokój Sundkvista, zwolnił trochę.

– Mamy robotę, Sven, za piętnaście minut chcę widzieć ciebie i Hermansson w garażu. Przygotuj mi wszystko, co mamy w bazie na

temat faceta o numerze osobowym siedemdziesiąt dwa, dziesięć, osiemnaście, zero, zero, dziesięć.

Poszedł dalej i nawet nie słyszał, czy Sundkvist mu odpowiedział.

COŚ PORUSZYŁO SIĘ NA DACHU. Jakby ktoś drapał czy skakał.

Hoffmann stał obok stosu płyt sufitowych. Teraz wiedział, że podjął właściwą decyzję. Gdyby nadal tam wisiały, nie usłyszałyby dźwięków dochodzących z dachu.

Znowu to drapanie. Tym razem przed drzwiami.

Byli na kościelnej wieży, na dachu, przy wejściu. Powoli ograniczali mu pole manewru. Było ich wystarczająco wielu, aby obserwować więzienie i przygotowywać akcję z kilku kierunków.

Chwytał kawałki płyt i rzucał je w stronę drzwi, żeby słyszeli. Pewnie stoją tam ze sprzętem do nasłuchu i już wiedzą, że teraz trudniej im będzie wejść do środka, że od tej pory coś stanie im na drodze, co zajmie im kolejną sekundę, cenny czas, który uzbrojona osoba może wykorzystać, żeby zabić zakładników.

HERMANSSON JECHAŁA Z DUŻĄ prędkością, włączyła syrenę i koguta na dachu radiowozu. Odjechali już jakieś dziesięć kilometrów na północ od Sztokholmu, ale w samochodzie panowało dziwne milczenie. Może każde z nich przypominało sobie wcześniejsze sprawy, gdy ktoś wziął zakładników, może myśleli o wcześniejszych wizytach w więzieniu, co należało do ich rutynowych obowiązków. Sundkvist wsunął dłoń do schowka i przez chwilę czegoś szukał. W końcu je znalazł – dwie kasety magnetofonowe z wiązkami piosenek Siw Malmkvist z lat sześćdziesiątych. Wsunął jedną z nich do magnetofonu – bo przecież zawsze tak robili, to znaczy słuchali przeszłości z życia Grensa. Dzięki temu nie musieli ze sobą rozmawiać, bo i tak nie było o czym.

– Wyłącz ją! – powiedział podniesionym głosem Grens.

Sundkvist nie bardzo wiedział dlaczego.

– Myślałem, że...

– Wyłącz ją, Sven, Okażesz w ten sposób szacunek dla mojej żałoby.

– Chcesz powiedzieć...

– Szacunek. Żałoba.

Sundkvist wyjął kasetę i włożył ją z powrotem do schowka. Zrobił to odpowiednio głośno, żeby Grens mógł to zobaczyć i usłyszeć. Rzadko go

rozumiał, ale nauczył się, że nie należy zadawać zbędnych pytań, że lepiej jest pogodzić się z jego cechami. W końcu sam zalicza się do ludzi spokojnych, nie szuka guza i nie każe innym odpowiadać na pytania, żeby im udowodnić, kto jest ważniejszy. Już dawno temu nauczył się, że tak właśnie zachowują się ludzie przestraszeni i niepewni siebie.

– Wzięcie zakładnika?

Sundkvist odwrócił się.

– Słucham?

– Czy masz jakieś informacje na ten temat?

– Chwileczkę.

Sundkvist wyjął z koperty pięć dokumentów i włożył okulary. Na pierwszym z nich – był to wyciąg z rejestru skazanych – znajdował się specjalny kod, którym opatrywano dokumenty niektórych kryminalistów. Podał go Grensowi.

## ZNANY NIEBEZPIECZNY UZBROJONY

– Aha, więc to jeden z tych – westchnął Grens.

Jeden z tych, których za każdym razem aresztuje się przy wsparciu dodatkowego patrolu albo jednostki specjalnej, gdzie służą policjanci po przeszkoleniu. Jeden z tych, którzy z niczym się nie liczą.

– Coś więcej?

– Rejestr skazanych. Dziesięć lat za amfę. Ale i wcześniejsze jego wyroki mogą nas zainteresować.

– Na przykład?

– Pięć lat. Usiłowanie zabójstwa. Ciężkie pobicie urzędnika państwowego.

Sundkvist przerzucił wzrokiem następny dokument.

– Mam tutaj uzasadnienie wyroku. Podczas zatrzymania w Söderhamn najpierw kilka razy uderzył kolbą pistoletu w twarz jednego z policjantów, potem dwa razy strzelił w kierunku drugiego, trafiając go w udo i lewe ramię.

Grens uniósł nagle rękę. Twarz mu lekko poczerwieniała, drugą dłonią przesunął po swoich rzadkich włosach.

– Piet Hoffmann.

Sundkvist drgnął zaskoczony.

– Skąd wiedziałeś?

– Tak się nazywa, prawda?

– Nie doszedłem jeszcze do jego nazwiska, ale... tak właśnie się nazywa. Skąd wiedziałeś?

Grens jeszcze bardziej poczerwieniał. Teraz zaczął też gwałtowniej oddychać.

– Czytałem wyrok. Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu miałem go w ręce. To właśnie do Hoffmanna jechałem do Aspsås, żeby go przesłuchać w sprawie zabójstwa na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć.

– Nie bardzo rozumiem.

Grens pokręcił lekko głową.

– Hoffmann to jeden z tych trzech, których miałem sprawdzić i ewentualnie wykluczyć ze śledztwa w sprawie tamtego zabójstwa. Piet Hoffmann. Nie rozumiem, dlaczego i jak, ale to jeden z tych trzech.

WŁAŚCIWIE NALEŻAŁOBY POWIEDZIEĆ, że cmentarz ładnie wygląda. Promienie słoneczne przebijały się przez zielone, wysokie klony, alejki zostały świeżo wygrabione, trawniki równo przystrzyżone, nagrobki stały w milczeniu, czekając na następnego gościa. Wszystko to było jednak tylko iluzją. Gdyby ktoś przyjrzał się uważniej, wyczułby niebezpieczeństwo, niepokój, bezradność. Zamiast członków rodziny, którzy zmieniali tu wodę i kwiaty w wazonach, pojawili się obcy ludzie z pistoletami maszynowymi i w czarnych kominiarkach na twarzy. Edvardson czekał na nich przy bramie. Po chwili skierowali się razem w stronę kościoła z wysokimi schodami, które zaczynały się przed zamkniętymi drewnianymi drzwiami. Edvardson podał Grensowi lornetkę i czekał, aż ten znajdzie właściwe okno.

– To tamta część warsztatu.

Grens przekazał lornetkę Hermansson.

– Ta część warsztatu ma tylko jedno wejście i jedno wyjście. Jeśli ktoś wziął zakładnika, wybrał sobie kiepskie miejsce. Stamtąd nie ma ucieczki.

– Słyszeliśmy ich, jak coś mówią.

– Obaj?

– Tak. Obaj żyją. Nie możemy tam wejść.

Pomieszczenie znajdujące się po prawej stronie od wejścia do kościoła nie było zbyt duże, ale na razie nie mieli lepszego miejsca na centrum dowodzenia. W tym niewielkim pokoju zbierali się zazwyczaj żałobnicy przed pogrzebem albo młoda para czekała na ślub. Sundkvist i Hermansson podsunęli krzesła pod ściany, podczas gdy Edvardson



podszedł do niewielkiego drewnianego ołtarza i rozłożył na nim mapę całego więzienia, a następnie rysunek warsztatu.

– Przez cały czas jest widoczny?

– W zasadzie mógłbym w każdej chwili wydać moim strzelcom wyborowym rozkaz do oddania strzału. Niestety, odległość jest zbyt duża. Tysiąc pięćset metrów. Nasza broń gwarantuje oddanie celnego strzału na odległość do sześciuset metrów.

Grens przytknął palec do szkicu w miejscu, gdzie znajdowało się okno. Tylko za jego pośrednictwem mogą utrzymywać kontakt z człowiekiem, który kilka godzin wcześniej zabił innego.

– Wie, że nie możemy go trafić z tak daleka... Poza tym tam są kraty i zbrojone szyby. Czuje się bezpiecznie.

– Powiedziałbym: wydaje mu się, że jest bezpieczny.

Grens spojrzał na Edvardsona.

– Wydaje?

– My nie możemy. Z takim uzbrojeniem, jakie mamy. Ale to możliwe.

NA STOLE W JEDNEJ Z SAL konferencyjnych w Kancelarii Rządu leżał szkic. Był dobrze oświetlony, światło z lampy na suficie mieszało się ze światłem z wysokiego okna z widokiem na Norrström i Riddarfjärden. Göransson przeciągnął dłonią po brzegu arkusza i trochę go przesunął, żeby komendant główny policji i podsekretarz stanu mogli lepiej widzieć.

– Tutaj jest Blok B, to ten budynek najbliżej muru. A tutaj, na górnym poziomie, znajduje się warsztat.

Trzy głowy pochyliły się nad stołem i bacznie przyglądały się szkicowi miejsca, w którym żadne z nich nigdy nie było.

– Hoffmann jest tutaj. Obok niego, na podłodze, leżą zakładnicy: jeden osadzony i jeden strażnik. Obaj nie mają na sobie ubrań.

Między skomplikowanymi liniami szkicu kryje się ktoś, kto grozi, że zabije.

– Edvardson twierdzi, że od samego początku ich akcji Hoffmann regularnie pojawia się w oknie.

Göransson zdjął ze stołu segregatory i grubą teczkę z aktami więziennymi i położył wszystko na krzesłach, żeby zrobić więcej miejsca. A ponieważ nadal było go za mało, zdjął termos z kawą i trzy puste filiżanki. Potem rozłożył na stole mapę Aspsås i nakreślił mazakiem prostą linię ciągnącą się od dużych czworokątów udających więzienne

budynki wzdłuż drogi przecinającej zieloną i białą powierzchnię aż po przeciwny prostokąt mapy z symbolem krzyża.

– To kościół. Jest oddalony dokładnie o tysiąc pięćset metrów. Tylko stąd strzelec wyborowy ma otwarte pole strzału. Hoffmann o tym wie, Edvardson jest tego pewien. Hoffmann wie, że uzbrojenie, jakie ma policja, nie sięga na taką odległość. Kiedy staje w oknie, właśnie to daje nam do zrozumienia.

W termosie było jeszcze trochę kawy. Podsekretarz stanu wzięła z krzesła filiżankę i napełniła ją do połowy. Potem wstała i przeszła w głąb pokoju. Spojrzała na swoich gości i powiedziała cichym głosem:

– Powinniście poinformować mnie już wczoraj.

Nie czekała na ich odpowiedź.

– Znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji.

Podsekretarz aż trzęsa się ze złości. Przez chwilę przyglądała się uważnie każdemu z nich i jeszcze bardziej ściszyła głos.

– Zmusiliście go do działania. I dlatego ja też nie mam innego wyboru i muszę działać.

Idąc w stronę drzwi, jeszcze raz na nich spojrzała.

– Wracam za piętnaście minut.

KAŻDY KROK SPRAWIAŁ Grensowi ból. Kiedy więc ujrzał aluminiową drabinkę prowadzącą na szczyt wieży, jego sztywna noga w końcu zaprotestowała jeszcze silniejszym bólem, który poczuł w całym ciele. Nie odezwał się jednak ani słowem, gdy poślizgnął się już na pierwszym stopniu, ani wtedy, gdy dwa szczeble wyżej poczuł ucisk w karku. Czoło miał zroszone potem, ręce mu ścierpły, kiedy podciągał się przez otwór i uderzył głową w brzeg dzwonu. Ostatni odcinek w stronę drzwi prowadzących na galerijkę przeszedł na czworakach. Kiedy się wyprostował, poczuł lekki powiew wiatru.

Na miejscu było już czterdziestu sześciu policjantów. Zostali rozstawieni wokół więzienia i przy kościele, dwóch zainstalowało się na wieży. To strzelcy wyborowi, którzy przez lornetkę obserwowali okno na trzecim piętrze Bloku B.

– W grę wchodzi dwa miejsca. Most kolejowy leży wprawdzie dwieście metrów bliżej więzienia, ale pod nie najlepszym kątem, przez co powierzchnia celu jest za mała. Natomiast z tego miejsca cel jest widoczny znakomicie, Hoffmanna mamy jak na dłoni. Jest jednak pewien problem. Nasi strzelcy wyborowi używają karabinu PSG-dziewięćdziesiąt,

który nadaje się do celów oddalonych do sześciuset metrów, i zostali przeszkoleni z myślą o takich dystansach. Tymczasem z tego miejsca odległość jest o wiele większa.

Grens zdążył się już wyprostować. Teraz stał na wąskiej galeryjce i zaciskał palce na poręczy. W oknie znowu zobaczył cień Hoffmanna.

– I co to oznacza w praktyce?

– Że cel jest nieosiągalny. W każdym razie dla nas.

– Nieosiągalny?

– Największa odległość, z jakiej trafił kiedyś pewien kanadyjski strzelec wyborowy, wynosiła dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt pięć metrów.

– No: i?

– Co „no i”?

– To znaczy, że tu nie macie na to szans.

– My nie.

– Przecież to prawie dziewięćset metrów bliżej! Na czym polega problem?

– Problem polega na tym, że żaden z naszych nie trafi na tak dużą odległość. Nie mamy odpowiedniego przeszkolenia ani odpowiedniego uzbrojenia.

Grens odwrócił się gwałtownie w stronę Edvardsona, aż cała galeryjka się zatrzęsała. Grens dużo ważył, mocno pociągnął za poręcz.

– A kto?

– Co: „kto”?

– Kto ma odpowiednie przeszkolenie i sprzęt?

– Wojsko. To oni szkolą naszych strzelców wyborowych. Oni wiedzą, jak to zrobić. A przede wszystkim mają odpowiednie uzbrojenie.

– No to ściągnijcie tu jednego z nich. Natychmiast.

Galeryjka znowu się zatrzęsała. Grens był wzburzony, jego ciało przechylało się to w jedną, to w drugą stronę. Rzucał głową na wszystkie strony i przestępował z nogi na nogę. Edvardson poczekał, aż Grens się uspokoi, bo nigdy się nie przejmował groźnym wyglądem komisarza.

– To nie takie proste. Wojsko nie może uczestniczyć w akcjach policyjnych.

– Tu chodzi o ludzkie życie.

– Zabrania nam tego konstytucja, a mówiąc dokładniej, „Rozporządzenie w sprawie użycia narodowych sił zbrojnych w działalności cywilnej”.

– Mam to gdzieś.

– Rozumiem, Ewert. Ale takie jest prawo w Szwecji.

HOFFMANN SŁUCHAŁ, JAK chodzą po dachu. Nieznaczne ruchy, są tam cały czas, ale czekają.

Nagle usłyszał trzaski w słuchawce.

„Wojsko. To oni szkolą naszych strzelców wyborowych. Oni wiedzą, jak to zrobić. A przede wszystkim mają odpowiednie uzbrojenie”.

Hoffmann się uśmiechnął.

„No to ściągnijcie tu jednego z nich. Natychmiast”.

Znowu się uśmiechnął, ale tym razem tylko w myślach, bo właśnie ustawiał się profilem do okna.

Uzbrojenie, przeszkolenie, umiejętności.

Strzelec wyborowy. Wojskowy.

MAPA ASPSÅS NADAL leżała na stole konferencyjnym. Podsekretarz stanu wróciła do pokoju i dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

– Możemy kontynuować.

Kiedy kwadrans wcześniej wychodziła z pokoju, wyglądała na spiętą i miała zaczerwienioną twarz. Teraz jednak – bez względu na to, z kim rozmawiała albo co robiła przez ten czas – sprawiała wrażenie uspokojonej. Była skoncentrowana i zdecydowana. Wypiła resztkę kawy z filiżanki.

– Książka kodów? – Mówiąc to, skinęła głową w stronę jednego z segregatorów na krzesłach.

– Tak.

– Proszę mi ją podać.

Göransson podał jej czarny, gruby segregator. Podsekretarz przyglądała się dokładnie poszczególnym stronom; każda z nich była zaznaczona czarnym albo niebieskim długopisem.

– Czy są tu wpisane wszystkie spotkania, które osoby prowadzące odbyły z Hoffmannem?

– Tak.

– I to jedyny egzemplarz.

– Tak. Przechowuję go z racji pełnionej funkcji. To jedyny, jaki istnieje.

– Zniszczyć.

Odłożyła segregator na stół i przesunęła go lekko w stronę Göranssona.

– Czy istnieją jakiegokolwiek inne powiązania między Komendą Główną Policji a Hoffmannem?

Göransson pokręcił głową.

– Nie. Nie w jego przypadku ani w przypadku żadnego innego informatora. Nie pracujemy w ten sposób.

Można było odnieść wrażenie, że trochę mu ulżyło.

– Hoffmann dostawał od nas przez dziesięć lat wynagrodzenie. Ale wyłącznie ze specjalnego konta. Nie jest ono powiązane z żadnymi danymi osobowymi i dlatego nie musimy zgłaszać tych płatności w urzędzie skarbowym. Nazwisko Hoffmann nie istnieje na żadnej liście płac. Formalnie rzecz biorąc, Hoffmann w ogóle dla nas nie istnieje.

Na jednym z krzeseł nadal leżała teczka z aktami z zakładu karnego.

– A co to jest? Jego akta?

– Dotyczą tylko jego.

Podsekretarz otworzyła teczkę, przerzuciła wzrokiem spis zawartości i wyniki badań psychologicznych.

– Czy mamy tu wszystko?

– To cały jego obraz.

– Obraz?

– Obraz jego osoby, jaki nakreśliśmy.

– Czy obraz ten... jeśli mogę się tak wyrazić... daje podstawę każdemu policjantowi decydującemu w sprawie przestępcy, który wziął zakładników... do poczynienia właściwych kroków?

W pokoju zrobiło się jaśniej, słońce wypełniło wnętrze, a białe arkusze papieru wzmacniały ten efekt.

– Stworzony przez nas wizerunek Hoffmanna został zaakceptowany przez organizację mafijną, którą infiltrował. Potem całość jeszcze bardziej rozbudowaliśmy, aby uczynić go bardziej wiarygodnym, zwłaszcza na czas zadania, jakie miał do wykonania w Aspsås.

Podsekretarz odsunęła teczkę, spojrzała na Göranssona i doszła do wniosku, że świetnie będzie się nadawał do dowodzenia całą akcją na miejscu.

– Czy na podstawie tych wszystkich dokumentów i biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, jakie grozi zakładnikom w Aspsås... czy potrafiłby pan podjąć decyzję uwzględniającą fakt, że Hoffmann stanowi zagrożenie?

Göransson skinął głową.

– Bez wątpienia.

– Czy jakikolwiek inny oficer policji, który zostanie wyznaczony do dowodzenia tą akcją, podejmie na podstawie posiadanych danych taką samą decyzję?

– Żaden policjant mający taką wiedzę na temat Hoffmanna nie powinien wątpić, że jest on zdolny do zabicia strażnika wziętego na zakładnika.

Słońce za oknem przesunęło się trochę dalej, w pokoju nie było już tak bardzo jasno.

– Jeśli więc osoba dowodząca akcją w Aspsås będzie przekonana, że zakładnik znajduje się w niebezpieczeństwie i że Hoffmann może go zabić, będzie mogła rozkazać, aby jednostka przystąpiła do szturmów w celu obrony życia zakładnika.

Göransson przysunął się bliżej stołu i teczki, przyłożył palec do mapy i powiódł nim od czworokąta przedstawiającego Blok B do czworokąta odległego od niego o półtora kilometra, przedstawiającego kościół.

– Jednak w tym wypadku to niemożliwe.

Göransson narysował okrąg na budynku oznaczonym krzyżem i przez chwilę trzymał rękę w tym miejscu. Wykonywał kolejne, wolne ruchy cyrklem, jeden za drugim.

– W tej sytuacji dowódca jednostki specjalnej, jeśli będzie musiał, może rozkazać swoim strzelcom wyborowym, aby zwalczyli cel.

– Zwalczyli?

– Strzelili.

– Strzelili?

– Unieszkodliwili.

– Unieszkodliwili?

– Zabili.

KOŚCIÓŁ ZOSTAŁ ZAMIENIONY na prowizoryczne centrum dowodzenia. Szkice przedstawiające teren więzienia leżały na ołtarzu. Na podłodze stały opróżnione do połowy albo puste tekturowe kubki do kawy przywiezione z pobliskiej stacji benzynowej. Okiennice niewielkiego okna były uchylone, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, którego ubywało, w miarę jak obecni w środku ludzie mówili coraz bardziej podniesionymi głosami. Grens krążył od Edvardsona do Sundkvista i do Hermansson. Rozmawiał z nimi głośno, ale nie agresywnie, nie było też widać po nim złości. Krótco przedtem objął dowodzenie całą operacją. Działał zdecydowanie i miał gotowe rozwiązania. To właśnie on – i nikt inny – powinien wkrótce podjąć decyzję, od której zależeć będzie życie kilku ludzi. Wyszedł z dusznego pomieszczenia, przechadzał się między grobami i nowo posadzonymi kwiatami, cały czas mając przed oczami inny cmentarz, na który nie odważył się pójść. Pojedzie tam później, kiedy wszystko się tutaj skończy. Zatrzymał się między szarym, pięknym grobem a drzewem przypominającym klon, sięgnął po lornetkę wiszącą na szyi i przez chwilę obserwował budynek za murami więzienia i mężczyznę widocznego w oknie. Piet Hoffmann, ten sam, którego miał przesłuchać poprzedniego dnia. Coś tu śmierdzi, coś nie gra. Przecież ludzie, którzy zapadają na nagłą niedyspozycję, rzadko mają tyle siły, żeby strzelać innym prosto w oko.

– Hermansson!

Grens podszedł do okna i spojrzał na policjantkę.

– Znajdź lekarza więziennego. Chcę się dowiedzieć, jak to możliwe, że więzień, którego w szpitalu trzymano w izolatce, już dziś w południe jest zdrowy i celuje w zakładników.

Zatrzymał się jeszcze na kilka chwil przy otwartym oknie i spojrzał na więzienie. Czuł w sobie siłę, która pojawiała się w nim od czasu do czasu i napędzała go tak długo, aż osiągał cel. Tym razem też się pojawiła i nawet wiedział skąd. Chodzi o tego starszego strażnika. Gdyby obaj zakładnicy byli więźniami, Grensowi tak bardzo by nie zależało, niepokój na pewno by go tak nie dręczył. Taki już jest. O jednego z tych, którzy leżą teraz nago na podłodze, niezbyt się troszczył. Nie czuł żadnej sympatii w stosunku do więźnia, który w innych okolicznościach mógłby współdziałać z Hoffmannem. Nie czuł się dumny z powodu swojej postawy, ale nic na to nie mógł poradzić. Inna sprawa ze strażnikiem,

przedstawicielem społeczeństwa w miejscu pracy, którym to społeczeństwo pogardza. Był starszym mężczyzną, który oddał temu głównianemu miejscu swoje najlepsze lata, i dlatego nie zasługiwał na takie traktowanie, na to, żeby ktoś odebrał mu życie, przystawiając do głowy lufę pistoletu.

Grens przełknął ślinę.

To właśnie o niego chodzi – o strażnika, a zarazem człowieka.

Opuścił lornetkę i sięgnął po telefon komórkowy. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio musiał prosić szefa o pomoc. Już bardzo dawno temu zawarli cichą umowę, że ponieważ wzajemnie się nie lubią, nie będą wchodzić sobie w drogę, aby uniknąć konfliktu. Niestety, tym razem nie miał wyboru. Wykręcił numer telefonu stojącego w gabinecie, który znajdował się dwoje drzwi dalej od jego pokoju. Nikt nie odbierał. Zadzwoił znowu, tym razem na centralę, i poprosił, aby go połączono z komórką. Göransson odebrał już po pierwszym sygnale. Mówił cichym głosem, jakby siedział na jakimś spotkaniu.

– Posłuchaj, Ewert, przechodzę teraz dość trudne chwile. Staram się znaleźć rozwiązanie pewnego problemu.

– Ja też mam trudny problem.

– My...

– Znajduję się w odległości półtora kilometra od więzienia w Aspsås. Odpowiadam za akcję odbicia zakładników. Narażam na niebezpieczeństwo życie strażnika i zrobię wszystko, żeby nic mu się nie stało. Muszę cię jednak prosić o pomoc administracyjną. No wiesz, coś takiego, co tylko ty możesz zrobić.

Göransson przeciągnął dłonią po twarzy i po głowie.

– Jesteś teraz w Aspsås?

– Tak.

– I dowodzisz akcją?

– Zastąpiłem Edvardsona. On zajmuje się przygotowaniem szczegółów.

Göransson uniósł słuchawkę nad głowę i wskazał na nią ruchem ręki, dając tym samym znak osobom obecnym w pokoju. W końcu komendant policji i podsekretarz skinęli w odpowiedzi, że zrozumieli, o co chodzi.

– Mów dalej.

– Potrzebuję wykwalifikowanego strzelca wyborowego.

– Przecież masz na miejscu jednostkę specjalną?

– Tak.

– No to nie rozumiem.



– Potrzebny mi jest strzelec, który posiada odpowiednie kwalifikacje i karabin, żeby trafić z odległości tysiąca pięciuset metrów. Policja prawdopodobnie nikogo takiego nie ma. Dlatego potrzebny mi jest strzelec wojskowy.

Komendant i podsekretarz przysłuchiwali się rozmowie, stojąc tuż obok Göranssona.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że wojska nie wolno używać przeciwko cywilom.

– Jesteś biurokratą, Göransson. Jeśli istnieje jakaś rzecz, w której jesteś dobry, to tylko to. Masz znaleźć rozwiązanie.

– Ewert...

– Zanim zakładnicy zostaną zabici.

GÖRANSSON NADAL TRZYMAŁ słuchawkę w dłoni. Znowu to niemiłe uczucie.

– To był Ewert Grens, komisarz, który prowadzi śledztwo w sprawie Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Teraz jest w Aspsås.

Wskazał mapę, a na niej cienką kreskę. Grens tam jest – w rzeczywistości. Już wkrótce podejmie decyzję na podstawie informacji zawartych w dostępnych bazach i aktach. Obraz przestępcy, jaki się z nich wyłania – stworzony przez innych policjantów – zmusi każdego oficera dowodzącego taką akcją do wydania rozkazu: strzelać!

– To tutaj... Znajduje się dokładnie w tym miejscu. To on decyduje, jakie podjąć działania i jak rozwiązywać problemy.

Dłoń Göranssona zaczęła drżeć. Przycisnął ją mocno do mapy, ale nie pomogło, bo ręka nadal się trzęsła. To dziwne, nigdy czegoś takiego nie doświadczył.

– Tysiąc pięćset trzy metry to odległość między oknem, gdzie Hoffmann regularnie się pokazuje, a strzelcami wyborowymi, którzy nie mają odpowiednich kwalifikacji i sprzętu. Grens zażądał ode mnie strzelca wyborowego z wojska. Musi mieć broń większego kalibru, cięższe pociski i umieć strzelać na dużą odległość.

Musi tym strzałem zabić.

– Zawsze istnieje jakieś rozwiązanie. Jeśli tylko ktoś chce, zawsze znajdzie to właściwe. W naszym interesie jest znalezienie takiego rozwiązania i pomoc w doprowadzeniu do zakończenia całej sprawy.

Podsekretarz stanu mówiła spokojnym, wyraźnym głosem.

– Naszym obowiązkiem jest przecież ratowanie życia zakładników.

Grens zażądał wyszkolonego strzelca wyborowego z odpowiednim uzbrojeniem. Całe więzienie już wie, kim jest Hoffmann, więc dobrowolnie się nie podda. Jeśli Grens dostanie swojego strzelca z wojska, użyje go.

– O czym pani właściwie mówi? – Göransson podniósł się z krzesła i spojrzał na stojącą przed nim kobietę. Na jej twarzy malowało się napięcie.

Przecież oni nie naciśną spustu.

Zrobi to za nich dowodzący akcją policjant. I strzelec wyborowy.

Oni nie podejmą żadnej decyzji.

Oni tylko dadzą możliwość podjęcia takiej decyzji przez innych.

– Na miłość boską...

Göransson nadal przyciskał mapę palcem. Nagle cofnął go i złożył obie dłonie tak, że zgniótł kartkę.

– ...o czym my tu mówimy?

Podniósł się gwałtownie ze skamieniałą, poczerwieniałą twarzą.

– Chcemy zrobić z Grensa zabójcę!

– Proszę się uspokoić!

– Chcemy legitymizować zabójstwo!

Göransson rzucił papierową kulką w okno. Odbiła się i spadła na biurko podsekretarz stanu.

– Jeśli damy oficerowi dowodzącemu akcją rozwiązanie, o które prosi, a on podejmie decyzję na podstawie oficjalnych informacji o Hoffmannie, będzie odpowiedzialny za morderstwo. Zabije człowieka, który mimo że nigdy wcześniej nie dopuścił się ciężkiej zbrodni, uważany jest za osobę o skłonnościach do przemocy!

Podsekretarz stanu pochyliła się, wzięła z biurka papierową kulkę i długo przyglądała się Göranssonowi, który wyglądał tak, jakby lada chwila miał wybuchnąć.

– Jeśli tak się stanie, jeśli dowodzący akcją dostanie do dyspozycji wojskowego strzelca wyborowego i wyda rozkaz do strzału, zrobi to dla ratowania życia zakładników.

Podsekretarz mówiła opanowanym głosem, i to tak cicho, że ten, kto słuchał, rozumiał jej słowa, a jednocześnie nie musiał wstrzymywać oddechu.

– Na razie tylko Hoffmann zabił. I tylko on grozi, że znowu zabije.

CZWOROKĄTNY SPACERNIAK WIĘZIENIA w Aspsås był brzydki, pokryty żwirem. Pusty i cichy, bo wszyscy osadzeni siedzieli od dwóch godzin w swoich celach i mieli tam pozostać do czasu, aż dramat zakładników dobiegnie końca. Grens szedł z Edvardsonem, przed nimi dwaj członkowie jednostki specjalnej, z tyłu Hermansson. Czekala na niego przed bramą więzienia. W kilku słowach opisała spotkanie z więziennym lekarzem, który nie miał pojęcia o rzekomej epidemii w zakładzie. Na dodatek nigdy wcześniej nie izolował chorych więźniów. Cała grupa podeszła do zewnętrznych drzwi Bloku B, gdzie Grens poczekał na Hermansson.

– Pieprzony kłamca... a na dodatek ta historia. Odszukaj naczelnika zakładu i zmusz go, żeby ci odpowiedział na parę pytań.

Hermansson skinęła głową, odwróciła się i poszła w przeciwną stronę. Grens przyglądał się jej chudym plecóm. Przez ostatni rok rzadko ze sobą rozmawiali, zresztą w ogóle nie za wiele rozmawiał. Kiedy w końcu pójdzie na grób Anni, może wreszcie sam zagada do Mariany, może jakoś się do niej zbliży. Zrobi to, chociaż nigdy nie lubił zawierać zbyt bliskich znajomości z policjantkami. Jednak ją z każdym rokiem lubił trochę bardziej, choć nie potrafił ocenić, kiedy się do niego uśmiechała, a kiedy irytowała. W każdym razie była zdolna i mądra i odnosiła się do niego w sposób wymagający i bezkompromisowy. Niewielu by się na to odważyło. Musi z nią znowu porozmawiać, może nawet zaproponuje, żeby poszła z nim na kawę i ciastko do kawiarni na Bergsgatan. Panuje tam miła atmosfera. Już nie może się tego doczekać. Potraktuje to jak spotkanie z córką, której nigdy nie miał.

Grens otworzył drzwi prowadzące na oddział dla niebezpiecznych więźniów i wszedł na korytarz, gdzie cała historia zaczęła się kilka godzin wcześniej. Zwłoki z przestreloną głową zostały już zabrane na sekcję, a obaj strażnicy, których Hoffmann zamknął w celach, mieli sesję terapeutyczną z udziałem psychologa więziennego i kapelana.

Najpierw usłyszał głośnie walenie w drzwi.

Na pierwszym piętrze przy drzwiach cel stali więźniowie i uderzali w nie z całych sił. Regularny dźwięk, który sprawiał, że niektórym osobom zamierało serce. Grens wiedział, że osadzeni często się tak zachowują, i dlatego postanowił ich olać. Mimo to dźwięk wdzierał się w każdy zakątek jego głowy. Z ulgą przeszedł przez klatkę schodową. Towarzyszył mu Edvardson i dwaj jego ludzie.

Kiedy doszli na trzecie piętro, zatrzymali się i przywitali skinieniem głowy z ośmioma ludźmi Edvardsona, którzy czekali przed wejściem do

warsztatów na rozkaz do szturmu. Wystarczy, że rzuca granat szokowy, i w ciągu dziesięciu sekund opanują sytuację.

– To zbyt długo.

Grens wypowiedział te słowa tak cichym głosem, że Edvardson musiał się pochylić w jego stronę, aby je usłyszeć i od razu na nie odpowiedzieć.

– Osiem sekund. Z tymi ludźmi mogę to zrobić w osiem sekund.

– To nadal zbyt długo. Hoffmann potrzebuje nie więcej niż półtorej sekundy, żeby strzelić najpierw do jednego, a zaraz potem do drugiego zakładnika. Biorąc pod uwagę jego stan psychiczny, nie mogę ryzykować ich życia.

Edvardson wskazał głową sufit, gdzie słyhać było, jak jego ludzie od czasu do czasu zmieniają pozycję.

– To też nie wystarczy. Czy wpadną przez drzwi, czy przez sufit, on i tak będzie miał wystarczająco dużo czasu, żeby zabić ich kilka razy.

Grens miał już dosyć tego walenia w drzwi. Nie potrafił się jednocześnie skoncentrować na tych hałasujących durniach i szaleńcu za drzwiami. Skierował się w stronę wyjścia, gdy nagle Edvardson chwycił go za ramię.

– Ewert...

– Tak?

Stali w milczeniu, czując na plecach oddech towarzyszących im policjantów.

– Ewert... jeśli Hoffmann nie będzie chciał się dobrowolnie poddać i jeśli uznamy, że jego groźby przestały być wyłącznie groźbami, pozostanie nam tylko jedno wyjście. Wojskowy strzelec wyborowy uzbrojony w broń, z której będzie go mógł zabić.

GÖRANSSON NADAL CZUŁ się nieswojo. Wykonywał jakieś nerwowe ruchy, chrząkał. Od dziesięciu minut krążył od okna do biurka i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

– To dzięki nam więźniowie dowiedzieli się, że Hoffmann jest kapusiem.

W koszu na śmieci leżała pomięta mapa. Göransson wyjął ją stamtąd i rozwinął.

– To my zmusiliśmy go do działania.

– Miał tam zadanie do wykonania.

Do tej pory komendant główny policji pozwalał mówić podsekretarz stanu. Teraz jednak spojrzał na Göranssona.

- Nikt mu nie pozwolił grozić, że kogoś zabije.
- Wsypaliśmy go.
- Robiłeś to już wcześniej z innymi naszymi informatorami.
- Ja tylko zaprzeczałem, że współpracowaliśmy z nimi. Przyglądałem się, zamiast dać takiemu odpowiednią osłonę, gdy mu groziło, że mafia się z nim rozprawi. Ale w tym wypadku... To nie to samo. My go nie wsypaliśmy. Myśmy go zamordowali.
- Nadal nic nie rozumiesz. To nie my podejmujemy decyzje. My jedynie przekazujemy gotowe rozwiązanie policjantowi, który dowodzi akcją, i to on ma tę decyzję podjąć.
- Göransson, który nadal cały się trząsał, nie mógł dłużej ustać w miejscu. Poczł tak wielki niesmak, że przeszedł koło stołu i otworzył drzwi.
- Ja w tym uczestniczył nie będę.

TERAZ JUŻ NIE MARZŁ. Podłoga śmierdząca ropą była twarda i zimna, ale on nie czuł ani smrodu, ani bólu. Nie myślał nawet o tym, że jest nagi i związany i że w każdej chwili może dostać kolejnego kopniaka w bok od faceta, który co jakiś czas szeptał mu do ucha, że go zabije. Jacobson nie miał siły, żeby mówić albo myśleć. Po prostu leżał i nie ruszał się, bo nie był już dłużej pewien, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę. Przyglądał się, jak Hoffmann podchodzi do największego stołu roboczego i wyciąga z kieszeni spodni plastikową torebkę wypełnioną jakąś cieczą, tnie ją na dwadzieścia cztery kawałki i mocuje taśmą klejącą do ciała nieznanego mu więźnia – do jego głowy, ramion, pleców, brzucha, klatki piersiowej, ud, podbrzusza i stóp; jak potem z tej samej kieszeni spodni wyjmuje coś, co przypomina kilkumetrowej długości cienki lont, i owija go kilka razy wokół ciała tego samego więźnia. Jacobson przyglądał mu się i nie mógł już dłużej wytrzymać. Odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć. W jego głowie nie było miejsca na coś, czego nie rozumiał.

JEDNO Z KRZESEŁ PRZY STOLE konferencyjnym stało puste. Podsekretarz stanu przesuwiała dłonią po wygniecionej mapie, jakby chciała wygładzić zmarszczki, które się na niej zrobiły.

– Czy potrafimy to zrobić?

Komendant główny policji słyszał pytanie, ale wiedział, że nie chodzi jej o to, czy są do tego wszystkiego zdolni – bo akurat w to żadne z nich nie wątpiło. Zresztą to nie Göransson miał znaleźć rozwiązanie, tym

bardziej że już ich opuścił. Tak naprawdę jego rozmówczyni po drugiej stronie stołu spytała go: „Czy wzajemnie sobie ufamy?” albo nawet „Czy ufamy sobie na tyle, aby najpierw rozwiązać ten problem, a potem dostosować się do przyjętego rozwiązania, a zwłaszcza wziąć na siebie konsekwencje?”.

Dlatego skinął głową.

– Tak. Potrafimy.

Podsekretarz podeszła do regału za biurkiem i zdjęła z niego segregator w długich, czarnych okładkach. Przerzuciła kilka stron i trafiła na fragment, którego szukała. Zalogowała się do swojego komputera, odszukała znaleziony fragment w pełnym brzmieniu i wydrukowała go w dwóch egzemplarzach.

– Proszę wziąć jedną kopię.

SFS 2002:375. „Rozporządzenie w sprawie użycia narodowych sił zbrojnych w działalności cywilnej”.

Podsekretarz wskazała na paragraf 7.

– To właśnie ten paragraf o tym mówi. I ten paragraf musimy jakoś ominąć.

**Jeśli na podstawie tego rozporządzenia udzielane jest wsparcie, siły zbrojne nie mogą być wykorzystywane w sytuacjach, w których zachodzi ryzyko, iż mogłyby posłużyć się przymusem albo przemocą wobec jednostki.**

Oboje wiedzieli, co to oznacza: armii nie wolno wykorzystywać w akcjach policyjnych. W tym kraju od prawie osiemdziesięciu lat udaje się rozwiązywać problemy w taki sposób, że wojsko nie musi strzelać do cywilów.

Niestety, będą musieli zrobić coś zupełnie przeciwnego.

– Czy takie jest także pana zdanie? Czy podobnie jak komisarz dowodzący akcją uważa pan, że jedynym sposobem na rozwiązanie problemu jest oddanie strzału stąd... żeby trafił tutaj... w ten budynek? I że należy do tego użyć wojskowego strzelca wyborowego?

Podsekretarz stanu rozprostowała mapę, dzięki czemu komendant bez trudu mógł wodzić wzrokiem za jej palcem.

– Tak, ja też podzielam tę opinię. Potrzebna jest broń większego kalibru, cięższa amunicja, lepsze wykszolenie. Domagam się tego od wielu lat.

– Policji nie wolno korzystać z pomocy wojskowych strzelców wyborowych. Natomiast wolno jej korzystać z pomocy strzelców wyborowych, których sama zatrudnia, prawda?

Spojrzała na komendanta, który rozłożył ramiona i potwierdził jej słowa skinieniem głowy. Nie bardzo wiedział, do czego zmierza. Podsekretarz podeszła do komputera, przez chwilę szukała czegoś na ekranie i po chwili wróciła do niego z plikiem wydruków w ręce.

– SFS tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, siedemset czterdzieści.

Poczekala, aż komendant znajdzie właściwą stronę.

– „Rozporządzenie w sprawie szkolenia policjantów”. Dziewiąty paragraf.

– Tak?

– To on daje nam szansę na znalezienie rozwiązania.

Podsekretarz odczytała ten fragment na głos.

**Komenda Główna Policji może, jeśli zachodzą uzasadnione okoliczności, zrobić wyjątek od tego, co mówi się w tym rozporządzeniu w sprawie wyszkolenia.**

Komendant wzruszył ramionami.

– Znam dobrze ten paragraf, ale nadal nie widzę związku.

– Musimy zatrudnić wojskowego strzelca wyborowego. Na etacie policyjnego strzelca wyborowego.

– Aha... to znaczy, że nadal będzie wojskowym, ale nie będzie posiadał odpowiedniego przeszkolenia policyjnego.

Podsekretarz znowu się uśmiechnęła.

– Jest pan tak jak ja prawnikiem, prawda?

– Tak.

– I do tego komendantem głównym policji ze wszystkimi uprawnieniami, jakie przysługują policjantowi, prawda?

– Tak.

– Mimo że nie posiada pan formalnego wykształcenia policyjnego?

– Tak.

– I tu widzę naszą szansę na znalezienie rozwiązania.

Komendant rozumiał niewiele więcej niż chwilę wcześniej. Nadal nie wiedział, do czego zmierza jego rozmówczyni.

– Musimy znaleźć wyszkolonego, odpowiednio uzbrojonego wojskowego strzelca wyborowego. W porozumieniu z jego przełożonymi

zostanie zwolniony ze służby w armii. Następnie ów zwolniony strzelec wyborowy złoży u nas podanie o... powiedzmy... sześciogodzinne zastępstwo w Komendzie Głównej Policji. Na przykład na jakimś stanowisku kierowniczym. Sam pan wybierze mu miejsce i funkcję.

Komendant nadal jeszcze się nie uśmiechał.

– Mówiąc w skrócie: zostanie zatrudniony na jakimś stanowisku w policji na sześć godzin. Wykona swoje zadanie. Potem, po upływie sześciu godzin, złoży podanie o pracę na nieobsadzonym jeszcze stanowisku w armii.

Dopiero teraz komendant zaczął rozumieć, do czego to wszystko zmierza.

– A policja nigdy nie zdradza nazwisk swoich strzelców wyborowych, ani przed wykonaniem przez nich zadania, ani w trakcie, ani po.

No właśnie.

– I dlatego nikt się nigdy nie dowie, kto strzelał.



## PUSTY, CZYSTY BUDYNEK...

Podłoga, po której nie stąpały do tej pory stopy innych osób, okna, z których nikt wcześniej nie wyglądał z tęsknotą.

Cały budynek stał nieoświetlony, wyciszony i nawet nieużywane klamki błyszcząły czystością. Oscarsson czekał na oficjalne otwarcie Bloku K. Znajdowało się w nim więcej cel niż w pozostałych budynkach, będzie mógł przyjąć większą liczbę osadzonych. Obiekt był manifestacją ambicji i władzy nowo mianowanego naczelnika więzienia. Nie tak to miało wyglądać. Oscarsson szedł pustym korytarzem i mijał uchylone drzwi cel. Za chwilę włączy silne oświetlenie i uaktywni nowy system alarmowy, a już niedługo zapach farby i nowych mebli sosnowych wymiesza się z atmosferą strachu i niemytych zębów. Już za kilka minut puste cele będą świadkami szybkiej ewakuacji, bezpieczeństwo więźniów osadzonych w Bloku B jest poważnie zagrożone, bo jednostka specjalna szykuje się do wysadzenia drzwi i okien, a być może nawet do zabicia przestępcy, który wziął zakładników na trzecim piętrze budynku. Nikt nie wie, w jakim celu to zrobił i jakie ma żądania.

Kolejny popieprzony dzień.

W rozmowie z Grensem skłamał. Chciał przenieść więźnia z powrotem na oddział, gdzie mu grożono, a gdy więzień wziął zakładników, on obrywał płatki tulipanów i rzucał je na wilgotną podłogę. Nagle zadzwonił telefon komórkowy. Dźwięk odbił się od ścian i rozszedł w pustej przestrzeni. Oscarsson wszedł do jednej z cel i położył się wyczerpany na łóżku bez materaca.

– Lennart?

Od razu rozpoznał głos swojego przełożonego, szefa więziennictwa. Rozciągnął się wygodnie na łóżku.

– Słucham.

– Jakie stawia żądania?

– Ja...

– Jakie stawia żądania?

– Żadnych.

– Minęły trzy godziny i czterdzieści pięć minut i nadal żadnych żądań?

– W ogóle się z nami nie skomunikował.

Niedawno oglądał na monitorze jego usta, zaciśnięte wargi, które bardzo powoli wypowiadały słowa o śmierci. Nie dałby rady o tym rozmawiać.

– Jeśli w ogóle zamierza postawić jakieś żądania. Lennart, on nie może wyjść z tego więzienia żywy.

– Nie rozumiem.

– Jeśli zażąda, żeby otworzyć bramę, nie zezwolisz na to. Pod żadnym pozorem.

Mimo że łóżko było twarde, Oscarsson nie czuł tego.

– Czy ja cię dobrze zrozumiałem? Chcesz powiedzieć, że mam zapomnieć o zasadach, które sam mi wpajałeś? I które wszyscy naczelnicy zawsze podpisują? Zasady mówiące o sposobie postępowania, gdy ludzkie życie znajdzie się w niebezpieczeństwie? Mam mu odmówić, nawet jeśli uznamy, że jest gotów spełnić groźby, które wypowiedział? Jeśli zażąda, żeby go wypuścić, powinniśmy mu otworzyć każdą bramę, żeby ratować ludzkie życie. Czy chcesz, żebym dzisiaj złamał te właśnie zasady?

– Wiem, jakie zasady sformułowałem. Ale jeśli nadal lubisz swoją pracę, powinieneś zrobić to, o co cię poproszę.

Oscarsson nie był w stanie się poruszyć.

– O co ty mnie prosisz?

Każdy człowiek ma jakąś granicę, której nie przekroczy, poza którą dalej się nie da.

W tym momencie Oscarsson ujrzał swoją granicę.

– A może to, o co ktoś ciebie poprosił?

– WSTAWAJ.

Hoffmann stał między dwoma nagimi ciałami. Pochylił się nad jednym z nich i wypowiedział te słowa, kierując je w stronę starych, zmęczonych oczu, aż ich właściciel zrozumiał, o co mu chodzi, i zaczął się wolno podnosić. Jacobson skrzywił się z bólu. Wyprostował kolana i ruszył w kierunku, który wskazywał mu Hoffmann. Przeszedł obok trzech potężnych betonowych filarów, skręcił za nimi i zbliżył się do drzwi wejściowych. Miejsce to pełniło funkcję czegoś w rodzaju magazynku. Pełno tam było tekturowych kartonów leżących jeden na drugim, oklejonych etykietami z nazwami producentów. W kartonach znajdowały się narzędzia i części do maszyn. Hoffmann kazał mu usiąść i popchnął go poirytowany, bo Jacobson robił to zbyt powoli. Kazał mu się odchylić i rozsunąć nogi, żeby łatwiej mógł związać mu stopy. Zrozpaczony Jacobson pytał go kilka razy, dlaczego to robi, ale Hoffmann nie

odpowiadał. Potem wpatrywał się w jego milczącą sylwetkę, aż Hoffmann znikł za wiertarką i stołem roboczym.

ZNOWU TO CHOLERNE WALENIE. Grens potrząsnął głową. Wygląda na to, że uderzają według określonego wzoru. Ci durnie walą w drzwi celi przez dwie minuty, potem minuta przerwy i znowu dwie minuty dudnienia. Poszedł do dyżurki, Edvardson za nim i dokładnie zamknęli za sobą drzwi. Dwa niewielkie monitory stojące obok siebie na biurku pokazywały to samo – czarny obraz, bo kamery zostały odwrócone w stronę ściany. Grens sięgnął po dzbanek z ekspresu do kawy. Był zimny, a na dnie znajdowała się brązowa ciecz. Grens potrząsnął dzbankiem, odwrócił go do góry dnem i poczekał, aż ciecz spłynie do jednego z kubków. Poczęstował Edvardsona połową zawartości, ale ten podziękował. Grens wypił całość. Płyn nie był zbyt dobry, ale za to mocny. Zdążył wypić prawie cały kubek, gdy stojący przed nim telefon zaczął dzwonić.

– Słucham?

– Komisarz Grens?

Grens się rozejrzył. Wszędzie te pieprzone kamery. Oficer dyżurny zobaczył, że Grens jest w dyżurce, i połączył tam rozmowę.

– Tak, przy telefonie.

– Wiesz, z kim rozmawiasz?

Grens od razu rozpoznał ten głos. To jego przełożony, który siedzi w gabinecie kilka pięter nad nim, na komendzie w Kronobergu.

– Wiem, poznaję.

– Możesz rozmawiać? Słyszę jakieś cholerne walenie.

– Mogę rozmawiać.

Grens usłyszał, jak komendant główny policji odchrząknął.

– Czy sytuacja uległa zmianie?

– Nie. Chcemy działać. Moglibyśmy działać, ale mam za mało ludzi.

A czas ucieka.

– Zażądałeś wojskowego strzelca wyborowego.

– Tak.

– To dlatego dzwonię. Sprawa leży właśnie na moim biurku.

– Chwileczkę.

Grens skinął Edvardsonowi, żeby sprawdził, czy drzwi są dokładnie zamknięte.

– Tak?

– Wydaje mi się, że znalazłem rozwiązanie.

Komendant umilkł, oczekując jakiejś reakcji ze strony Grensa. Po chwili odezwał się ponownie, bo jedyną odpowiedzią była cisza panująca w słuchawce.

– Przed chwilą złożyłem podpis na pewnym podaniu o pracę. Na sześć godzin zatrudniłem na stanowisku sekretarza policji instruktora i wojskowego strzelca wyborowego, który do tej pory służył w królewskiej gwardii przybocznej w Kungsängen. Na początku osoba ta będzie zatrudniona w komendzie rejonowej w Aspsås. Człowiek ten właśnie odleciał helikopterem i za dziesięć, piętnaście minut wyląduje przy kościele w Aspsås. Kiedy umowa o pracę wygaśnie, to znaczy dokładnie za pięć godzin i pięćdziesiąt sześć minut, zabierzemy go stamtąd i tym samym helikopterem wróci do Kungsängen, gdzie złoży podanie o pracę na stanowisku, które właśnie się zwolniło, ale nikt nie dał jeszcze ogłoszenia o naborze. Jest to stanowisko instruktora i wojskowego strzelca wyborowego.

HOFFMANN USŁYSZAŁ GO, KIEDY helikopter był jeszcze małą kropką na bezchmurnym niebie. Podbiegł do okna i obserwował, jak maszyna robi się coraz większa. Hałas narastał. W końcu helikopter wylądował na trawie między murem więziennym a cmentarzem. Hoffmann spojrzał na dwóch mężczyzn stojących na kościelnej wieży, na helikopter i na policjantów biegnących w jego stronę. Wsłuchiwał się w kroki tych, którzy chodzili po dachu, i tych, którzy stali za drzwiami, i pokiwał głową. Tak, teraz już wszyscy są na miejscu. Sprawdził więzy na ramieniu młodego więźnia, podbiegł do ściany oddzielającej wspomniany magazynek od reszty sali, wyciągnął stamtąd Jacobsona i kazał mu się położyć na podłodze ze wzrokiem wpatrzonym w kamerę. Odwrócił ją, a gdy przemówił, starał się stać w taki sposób, żeby na ekranie widać było zarówno jego usta, jak i strażnika.

MĘŻCZYŻNA SZEDŁ LEKKO POCHYLONY. Był ubrany w białoszary mundur i mógł mieć czterdzieści kilka lat. Przedstawił się jako Sterner.

– Nie będę mógł tego zrobić.

Kiedy szli w stronę kościoła, a potem po aluminiowej drabinie wchodzili na szczyt wieży, Grens opisał mu dramat zakładników

i stwierdził, że jeśli wszystko pójdzie nie tak jak należy, trzeba będzie oddać ten jeden decydujący strzał z kościelnej wieży.

– Nie będziesz mógł tego zrobić? O czym ty, człowieku, mówisz?

Wojskowy strzelec wyborowy, który przez następne pięć godzin i trzydzieści osiem minut miał pełnić regularną służbę w policji, wszedł na galeryjkę i zluzował jednego z policyjnych strzelców, którzy leżeli tam od pewnego czasu.

– To nie jest zwykły karabin dla strzelców wyborowych. Jest cięższy, ma większą siłę rażenia i używa się go do niszczenia różnych materiałów. Na przykład wtedy, gdy trzeba zniszczyć autobus, łódź albo zdetonować minę.

Przywitał się z drugim strzelcem, który miał zostać na miejscu i pełnić funkcję obserwatora.

– Duża odległość. Taką informację mi przekazano i na coś takiego jestem przygotowany. Ale w tym wypadku... Nie wolno mi strzelać do miękkich celów.

Przez lornetkę obserwował Hoffmanna stojącego przy oknie. Od razu zorientował się w całej sytuacji.

– Słucham? Chcesz powiedzieć, że tamten tam to... miękki cel?

– Tak.

– A co to dokładnie oznacza?

– Oznacza to, że amunicja, którą ze sobą przywiozłem, to pociski zapalające i eksplodujące, których nie wolno mi używać przeciwko ludziom.

Grens roześmiał się, przynajmniej tak to zabrzmiało. Był to krótki, poirytowany śmiech.

– No to... co ty tu, do cholery, robisz?

– Odległość tysiąc pięćset metrów. Takie otrzymałem zadanie.

– Twoje zadanie polega na niedopuszczeniu do tego, żeby jeden człowiek odebrał życie dwóm ludziom. Ujmijmy to w jeszcze inny sposób: żeby jeden miękki cel nie odebrał życia innym miękkim celom.

Sterner obserwował przez lornetkę Hoffmanna, który ciągle stał w tym samym miejscu przy oknie. Wystawiał się na strzał i trudno było zrozumieć, dlaczego to robi.

– Staram się tylko stosować do międzynarodowego prawa.

– Prawa... do diabła z nim... Prawo tworzą zawsze ci, którzy chowają się za biurkiem! A tu... tu mamy prawdziwe życie. I jeśli nie powstrzymamy tego, który się tam chowa... tego, jak powiedziałaś,

miękkiego celu... mogą zginąć ludzie. A wtedy i oni, i ich rodziny będą ci cholernie wdzięczni, że przestrzegalesz prawa międzynarodowego.

Lornetka miała duże powiększenie i chociaż z powodu porywów wiatru ręka mu trochę drżała, Sterner bez trudu mógł obserwować mężczyznę z długimi, jasnymi włosami, który co jakiś czas się odwracał i na coś spoglądał. Może na zakładników? Sterner był tego najzupełniej pewien. Zakładnicy leżą gdzieś blisko niego na podłodze.

– Jeśli zrobię to, czego pan ode mnie oczekuje, i posłużę się tym karabinem i amunicją, którą ze sobą przywiozłem, facet straci ręce i nogi. Pocisk oderwie mu je od ciała. Nic z nich nie pozostanie.

Opuścił lornetkę i spojrzał na Grensa.

– A wtedy znajdzie pan swój miękki cel, człowieka... a właściwie to, co z niego zostanie... na każdym metrze kwadratowym tego pomieszczenia.

TWARZ, OCZY, USTA. Znowu tam jest.

Mężczyzna w pomiętym niebieskim ubraniu strażnika podniósł się. Ten sam monitor co poprzednio, ta sama kamera, którą ktoś odwrócił, więc jej obiektyw nie spoglądał na betonową ścianę. Berghowi nadal było gorąco, ale wyłączył wiatrak i przesunął go na brzeg stołu, który stał pośrodku ciasnej dyżurki. Potrzebuje więcej miejsca, na wypadek gdyby w tym samym czasie musiał nagle przełączyć obraz na wszystkie monitory.

Na ekranie zobaczył usta przestępcy, który coś mówił. Zaraz potem pokazał się Jacobson: nagi, związany. Bandyta przytrzymał go ręką. Nagle się cofnął. Chciał, żeby było widać, jak przykładą Jacobsonowi do głowy miniaturowy rewolwer, a potem wypowiada te słowa.

Tym razem Bergh nie musiał cofać nagrania, żeby go zrozumieć.

Poprzednie nagranie prawie od razu odczytał: „Zabiję”.

Słowa te przetłumaczył bez problemu dzięki wyraźnemu ruchowi warg tamtego.

„Za dwadzieścia minut”.

SUNDKVIST BIEGŁ Z TELEFONEM komórkowym w ręce na szczyt wieży kościelnej. Informacja przekazana przez dyżurnego Bergha była jasna: zaczęło się odliczanie i z każdą minutą, ba, z każdą sekundą będą mieli coraz mniej czasu na podjęcie decyzji. Rozciągnął drabinkę, otworzył właz i wszedł na galeryjkę. Był tam Grens i nowy strzelec

wyborowy ze swoim obserwatorem. Sundkvist mówił do nich podniesionym głosem, jakby nie miał czasu, żeby wszystko jeszcze raz wyjaśniać.

Grens spojrzał na niego czujnym wzrokiem. Na jego skroni pojawiła się pulsująca żyła.

– Kiedy przekazał tę wiadomość?

– Minutę i dwadzieścia sekund temu.

Grens spodziewał się tej informacji, ale sądził, że potrwa to dłużej, że będzie miał więcej czasu. Westchnął, bo nic innego nie mógł zrobić. Zawsze tak się dzieje, że nie starcza czasu. Złapał się poręczy, spojrzał na miasteczko i na więzienie. Dwa różne światy, dzieli je niewiele metrów, ale granica jest wyraźna. Każdy z nich ma swoje własne reguły, warunki przebywania w nim, jeden nie chce mieć z drugim nic wspólnego.

– Sven.

– Słucham.

– Kim on jest?

– Kto?

– Ten strażnik wzięty na zakładnika.

Hoffmann dokładnie wiedział, jak to wszystko funkcjonuje. Wiedział też, że Grens przystąpi do akcji od razu, bo zależało mu na tym starszym strażniku. I faktycznie, Hoffmann miał rację. Policja martwiła się tylko o siwowłosego strażnika. Gdyby zamiast niego był tam jakiś handlarz narkotyków z wysokim wyrokiem, policja pewnie by się tak nie patyczkowała.

– Sven?

– Za chwilę.

Sundkvist szukał czegoś w swoim notesie, w którym strony były gęsto zapisane ołówkiem. Niewiele osób dziś posługuje się czymś takim.

– Martin Jacobson, sześćdziesiąt cztery lata. Pracuje w zakładzie od dwudziestego czwartego roku życia... żonaty. Dorosłe dzieci. Mieszka w miasteczku. Lubiany, szanowany.

Grens skinął głową, ale myślami był gdzie indziej.

– Chcesz wiedzieć więcej?

– Nie teraz.

Ta jego złość. Jego wewnętrzny motor, siła napędowa. Bez niej jest nikim. Widać, że jest nią przepełniony, wstrząśnięty dramatem tego nagiego, związanego mężczyzny z miniaturowym pistoletem przytkniętym do oka. Przecież nie po to pracował przez czterdzieści lat za

marne pieniądze i wśród ludzi, którzy nim pogardzali, żeby potem umrzeć na śmierdzącej podłodze warsztatu, na rok przed emeryturą...

– Sterner!

Sterner leżał koło poręczy z lornetką w ręce.

– Jesteś teraz policjantem. Powtarzam: teraz jesteś policjantem. Przez następne pięć i pół godziny. Tą akcją z ramienia policji dowodzę ja. Oznacza to, że jestem twoim przełożonym. Innymi słowy: od tej chwili będziesz robił dokładnie to, co ci będę kazał. I zapamiętaj sobie, że w ogóle mnie nie obchodzą twoje wywody na temat miękkich celów i międzynarodowych praw. Kapujesz?

Obaj spojrzeli na siebie. Sterner nie odpowiedział, ale Grens wcale tego nie oczekiwał.

W oknie pojawił się nagi mężczyzna w wieku sześćdziesięciu czterech lat.

Grens przypomniał sobie innego człowieka i inny przypadek wzięcia zakładników. Wprawdzie było to prawie dwadzieścia lat wcześniej, ale nadal czuł, jak na wspomnienie tamtych wydarzeń dusi go złość. Chodziło o dwóch nastolatków z poprawczaka z przeszłością kryminalną. Postanowili uciec i wzięli zakładniczkę. Była to kobieta, pomoc kuchenna. Przyłożyli jej śrubokręt do szyi. Wybrali najsłabszego członka tamtej zbiorowości. Kobieta później zmarła – nie w trakcie dramatu, tylko na skutek niego. Obaj bandyci jakby zabrali jej całe wnętrze, a ona nie wiedziała, jak je odtworzyć.

Ten tchórz robi dokładnie to samo, w wyszukany sposób. Najstarszy zatrudniony w zakładzie strażnik, najsłabszy w grupie.

– Chcę, żebyś go unieszkodliwił.

– Co pan ma na myśli?

– Strzel do niego w taki sposób, żeby go unieszkodliwić.

– Nie da się.

– Co takiego? Przed chwilą wyjaśniałem...

– Nie da się, bo w tym wypadku musiałbym strzelać w korpus. Niestety, z tego miejsca powierzchnia trafienia jest zbyt mała. Gdybym strzelił mu... powiedzmy... w ramię... istnieje ryzyko, że spudłuję; po drugie, gdybym go trafił w ramię, jego ciało i tak zostanie rozerwane na kawałki.

Sterner podał swój karabin Grensowi. Broń była cięższa, niż ten sądził. Ocenił ją na jakieś piętnaście kilogramów. Twarde brzogi cisnęły go w dłoń.

– Siła tego karabinu jest dla ludzkiego ciała niszcząca.



- A jeśli zostanie trafiony?
- Zginie.

SŁUCHAWKA DWA RAZY PRAWIE wypadła mu z ucha. Dlatego przycisnął ją palcem, żeby słyszeć dokładnie. Każde słowo może mieć decydujące znaczenie.

„Chcę, żebyś go unieszkodliwił”.

Coś zatrzeszczało, pojawiły się jakieś zakłócenia. Hoffmann przełożył słuchawkę do drugiego ucha, ale odbiór nie stał się przez to lepszy. Skoncentrował się, słuchał. Musi, koniecznie musi słyszeć wszystko.

„A jeśli zostanie trafiony?”.

„Zginie”.

To mu wystarczy.

Hoffmann przeszedł przez salę w stronę biura. Podszedł do jednego z biurek, wysunął z niego górną szufladę i wyjął brzytwę ukrytą w pustej przegródce między ołówkami a spinaczami. Następnie wyjął nożyczki ze stojaka na długopisy i wrócił do miejsca, gdzie stał Jacobson. Sprawdził mu więzy na rękach i nogach, jednym pociągnięciem zerwał firankę z okna, podniósł z podłogi dywan i wrócił po drugiego zakładnika.

Plastikowe torebki z nitrogliceryną nadal były przymocowane do jego skóry, a lont ciasno owinięty wokół ciała. Hoffmann zobaczył jego proszący wzrok, ale nic nie powiedział. Zawinął go w dywan i związał firanką. Potem zestawiał z ławy kadz z ropą i ustawił ją obok nóg więźnia.

Wsunął dłoń pod dywan, chwycił zapalnik i przyczepił go taśmą klejącą do jednego końca lontu.

Po wykonaniu wszystkich tych czynności podszedł do okna i spojrzał na wieżę kościoła, prosto w otwór skierowanej w niego lufy.

STALI OBOK SIEBIE W JEDNYM z pokoi na trzecim piętrze Kancelarii Rządu. Przed chwilą lekko uchylili okno i wdychali głęboko świeże powietrze. Mają to już za sobą. Przed trzema kwadransami poinformowali oficera dowodzącego akcją w Aspsås, że jedzie do niego wojskowy strzelec wyborowy, którego się domagał.

To, czego podobno nie dało się rozwiązać, zostało rozwiązane.

Teraz będzie można już podjąć odpowiednią decyzję na podstawie dostępnej wiedzy.

Podejmie ją Ewert Grens i tylko on – nikt inny – będzie za nią odpowiedzialny.

NIGDY PRZEDTEM NIE BYŁ na żadnej kościelnej wieży. W każdym razie nic takiego sobie nie przypominał. Może kiedyś, jako dziecko albo w czasie jakiejś wycieczki z ambitnym nauczycielem. W sumie to dziwne. Tyle lat treningu i ani razu nie strzelał z takiego obiektu jak kościół, który dość często jest najwyższym punktem w okolicy. Oparł się plecami o ścianę i spojrzał na ciężki żeliwny dzwon, odlany przed wielu laty, aby informować mieszkańców o radosnych i tragicznych chwilach. Siedział przed nim zupełnie sam i odpoczywał, jak każdy inny strzelec wyborowy przed oddaniem strzału. Musiał się na chwilę uspokoić. Jego broni pilnował w tym czasie obserwator.

Zjawił się w kościele niecałą godzinę temu. Za niecałe pięć godzin ma się stawić w Kungsängen. Będzie miał wtedy za sobą służbę w policji i na powrót zostanie wcielony do wojska. Kiedy tu jechał, nie wiedział, że chodzi o zlikwidowanie żywego celu. Za parę godzin zrobi coś, czego nigdy wcześniej nie robił. Wyceluje i wystrzeli pocisk w człowieka. Prawdziwego człowieka. Takiego, który oddycha, myśli i za którym ktoś inny być może tęskni.

– Obiekt w polu widzenia.

Nie bał się, że będzie musiał oddać strzał, że nie trafi. Bał się tego, co stanie się później, na co nigdy nie można się przygotować, na spotkanie ze śmiercią, którą się spowodowało.

– Powtarzam. Obiekt w polu widzenia.

Obserwator wypowiedział te słowa opanowanym tonem. Sterner wyszedł na galerijkę, położył się, wziął broń do ręki i czekał. W oknie dojrzał cień. Popatrzył na obserwatora; obaj czuli to samo, dokonali tej samej obserwacji. Żaden z nich nie był przekonany, czy mężczyzna widoczny w oknie nie jest świadom, że można go trafić.

– Za chwilę będziesz musiał strzelić.

Za ich plecami pojawił się niezgrabny komisarz policji kryminalnej, mówiący podniesionym głosem i mający sztywną nogę, która boli go chyba bardziej, niż chciałby się przyznać.

– Jeśli Hoffmann nie przestanie grozić, wydam rozkaz do oddania strzału. Za trzysta minut minie podany przez niego termin. Jesteś gotów?

– Tak.

– A amunicja?

Sterner nie odwrócił się, tylko przez cały czas leżał na brzuchu z twarzą zwróconą w stronę więzienia, skoncentrowany na lunecie skierowanej w stronę Bloku B.

– Jeśli zostałem właściwie poinformowany, powinienem załadować amunicję podkalibrową, którą wysłali mi przed chwilą helikopterem z Kungsängen. Niestety, nie zdążą na czas. Dzięki tej amunicji, którą mam, będę mógł przed trafieniem w cel przebić się przez zbrojoną szybę. Ale powtarzam: za pomocą strzału nie można nikogo unieszkodliwić. Jeśli oddam strzał, będzie to strzał śmiertelny.

DRZWI BYŁY ZAMKNIĘTE.

Brązowe drewno, może dębina, kilka rys wokół zamka. Pewnie za każdym razem, gdy je ktoś otwierał, pęk kluczy robił kolejną rysę.

Hermansson lekko zapukała.

Nikt nie podszedł, nikt się nie odezwał. Jeśli w środku ktoś jest, siedzi nieruchomo i nie odzywa się. Może nie chce, żeby mu przeszkadzano?

Na polecenie Grensa rozmawiała z lekarzem więziennym po drugiej stronie zakładu, w miejscu oddalonym o kilkaset metrów od warsztatu i pomieszczenia, gdzie przebywał Hoffmann. Tutaj nic mu nie groziło. Stała w Bloku C i przez wąskie okienko obserwowała kaszlącego więźnia, podczas gdy lekarz wyjaśniał jej, że więzień numer zero dziewięć trzynaście – Piet Hoffmann – nigdy tu nie trafił, że u żadnego z osadzonych nie stwierdzono oznak epidemii i dlatego nie musiał obejmować żadnych więźniów izolacją.

A więc Grens został okłamany. Naczelnik więzienia nie pozwolił mu przesłuchać osadzonego. Teraz zaś ten sam osadzony trzyma pod lufą jednego ze strażników.

Hermansson ponownie zapukała w drzwi. Tym razem mocniej. Nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Lennart Oscarsson siedział na fotelu obitym ciemną skórą, z łokciami opartymi o szerokie biurko, z twarzą ukrytą w dłoniach. Z trudem oddychał, nieregularnie wdychał i wydychał powietrze. Twarz i czoło miał zroszone potem, który błyszczał w silnym blasku lampy zawieszanej pod sufitem. Oscarsson nie zauważył, że ktoś wszedł do jego gabinetu i że stoi zaledwie metr od niego.

– Nazywam się Mariana Hermansson. Policja miejska w Sztokholmie.

Oscarsson drgnął.

– Mam do pana kilka pytań w sprawie Hoffmanna.

Spojrzał na nią.

– Zabiję.

Hermansson stała w miejscu.

– Tak powiedział.

Oczy mu błyszczały. Próbowwała zajrzeć mu w nie, ale się nie dało. Naczelnik był duchem gdzie indziej.

– Zabiję. Tak powiedział!

Właściwie nie wiedziała, co ją tu może spotkać. Na pewno jednak nie spodziewała się tego. Coś się w nim chyba załamywało.

– Ma na imię Martin. Wiedziała pani? Jest jednym z moich bliskich przyjaciół, a nawet więcej: jest moim najbliższym przyjacielem. Najstarszym pracownikiem zatrudnionym w tym więzieniu. Czterdzieści lat. Przepracował tu czterdzieści lat! A teraz... teraz umrze.

– Wczoraj był tu komisarz policji kryminalnej, Ewert Grens, ten sam, który dziś dowodzi akcją z wieży kościoła. Był tutaj, żeby przesłuchać więźnia. Pieta Hoffmanna.

Czworokątny monitor.

– Czy Martin zginie?

I te usta, które wolno wypowiadały słowa.

– Czy on zginie?

„Zabiję”.

– Nie wiem, czy...

– Stwierdził pan wtedy, że Hoffmanna nie można przesłuchać, bo jest chory. Że jest pod opieką lekarską na oddziale szpitalnym.

– ...nie wiem, czy to zniosę.

Oscarsson w ogóle jej nie słyszał.

– Przed chwilą byłam w Bloku C. Rozmawiałam z Nycanderem. Hoffmanna nigdy tam nie było.

Te usta.

– Pan skłamał.

Kiedy wypowiadał te słowa na ekranie monitora, wyglądało to dokładnie tak, jakby chciał powiedzieć, że zabije.

– Panie naczelniku! Czy pan mnie słyszy? Na jednym z korytarzy Bloku B leży martwy człowiek. Dwóm innym pozostało już tylko dziewięć minut życia. Musimy podjąć jakąś decyzję. Musi mi pan odpowiedzieć na pytania!

– Napije się pani kawy?

– Dlaczego pan skłamał? O co tu w tym wszystkim chodzi?

– A może herbaty?

– Kim jest Hoffmann?

– Mam zieloną, czerwoną i zwykłą, w torebkach. Wie pani, takich, które się zalewa gorącą wodą.

Z czoła naczelnika kapały na biurko wielkie krople potu. Podniósł się z fotela i podszedł do wózka stojącego w narożniku pokoju. Stały na nim porcelanowe filiżanki i dzbanuszki.

– Musi mi pan odpowiedzieć. Dlaczego pan skłamał?

– Ważne, żeby zbyt długo nie naciągała.

Oscarsson nie patrzył na nią i nie odwracał się w jej stronę, chociaż po raz pierwszy odezwała się podniesionym głosem. Podstawił pod termos filiżankę z torebką i napełnił ją parującą wodą.

– Najwyżej dwie minuty, nie dłużej.

Ciągle był myślami gdzie indziej.

– Może chce pani mleka?

Musi jej odpowiedzieć na pytania.

– Cukru? A może mleka z cukrem?

Hermansson wsunęła prawą rękę pod kurtkę i wyjęła z kabury służbowy pistolet. Wyprostowała rękę tuż przed twarzą naczelnika i wystrzeliła. Kula trafiła w szafę na ubrania, przeszła przez drzwi i uderzyła w tylną ściankę szafy. Oboje usłyszeli, jak upadła na podłogę, gdzieś wśród czarnych i brązowych butów.

Oscarsson nawet się nie poruszył. Stał z filiżanką herbaty w ręce.

Hermansson wskazała lufą pistoletu zegar wiszący za biurkiem.

– Zostało osiem minut! Słyszysz mnie pan? Chcę wiedzieć, dlaczego pan skłamał. Chcę też wiedzieć, kim jest Hoffmann i dlaczego stoi w oknie sali warsztatowej z pistoletem przytkniętym do głowy zakładnika.

Naczelnik spojrział na broń, na szafę, na Hermansson. Podeszedł do krzesła przy biurku i usiadł na nim.

– Całkiem niedawno leżałem na łóżku w celi Bloku K i spoglądałem na biały, pięknie pomalowany sufit. Bo... bo nie wiem, kim jest Hoffmann. Bo nie wiem, dlaczego tam stoi i twierdzi, że zabije mojego najlepszego przyjaciela.

Hermansson wydawało się, że naczelnik płacze. Tak przynajmniej brzmiał jego głos. A może to znak, że się załamał?

– Wiem tylko tyle, że chodzi o jakieś inne sprawy... Są w to zamieszani inni ludzie.

Przełknął ślinę raz i drugi.

– Polecono mi, abym umożliwił pewnemu adwokatowi spotkanie z jednym z osadzonych na dzień przed przybyciem Grensa. Ten więzień siedział na tym samym oddziale co Hoffmann. Nazywa się Stefan Łukasik. Brał udział w pierwszym napadzie na Hoffmanna. I to właśnie jego Hoffmann zastrzelił dziś rano. Może adwokat coś wiedział, może posiadał jakąś informację przydatną któremuś z osadzonych... Taką drogą trafiają za mury.

– Kto to panu polecił?

Naczelnik uśmiechnął się słabo.

– Polecono mi, abym nie dopuścił do Hoffmanna Grensa ani żadnego innego policjanta. Rozmawiałem z Grensem i starałem się mu wyjaśnić, że Hoffmann jest w więziennym szpitalu i że będzie go można przesłuchać za trzy, cztery dni.

– Pytam ponownie: kto wydał panu takie polecenie?

Ten sam słaby, bezsilny uśmiech.

– Polecono mi, żebym Hoffmanna przeniósł na oddział, z którego trafił do izolatki. Mimo że więźnia, któremu grożono, nie wolno przenosić w takie miejsce.

Hermansson prawie krzyknęła.

– Kto panu wydał takie polecenie?

Znowu uśmiech.

– A całkiem niedawno usłyszałem, że jeśli Hoffmann zażąda, aby jemu i zakładnikom otworzono bramę, to mam się na to nie godzić. Nie wolno mi go stąd wypuścić.

– Panie naczelniku, ja naprawdę muszę wiedzieć, kto...

– Chcę, żeby Martin przeżył.

Hermansson spojrzała na twarz człowieka, który nie był w stanie więcej znieść. Potem spojrzała na zegar na ścianie.

Zostało siedem minut.

Wybiegła z pokoju, ale zdążyła jeszcze usłyszeć jego głos, który ją ścigał w korytarzu.

– Hermansson!

Nie zatrzymała się.

– Hermansson...

Jego słowa odbijały się od zimnych ścian.

– Ktoś chce, żeby Hoffmann został zabity.



NOGI ZWIĄZANE, RĘCE TEŻ. Szmata w ustach, dywan na głowie.

Nitrogliceryna przymocowana do skóry. Lont wokół klatki piersiowej, całego korpusu i nóg.

– Celownik trzydzieści dwa.

Hoffmann pociągnął ciężkie ciało strażnika w stronę okna i zmusił go, żeby się wyprostował.

– PWG trzy.

– Powtórz.

– Przesuń w górę trzy.

Za chwilę padnie strzał. Dialog między strzelcem wyborowym a obserwatorem dobiegnie końca tuż przed oddaniem strzału.

Dlatego potrzebuje więcej czasu.

Hoffmann przebiegł przez salę warsztatową do magazynku i stanął przy drugim zakładniku. Jacobson miał pobladłą twarz.

– Zaczynij krzyczeć.

– Ta plastikowa taśma, wrzyna mi się...

– Krzycz!

Jacobson był zmęczony, głośno sapał. Lekko przekrzywił głowę, jakby nie miał siły, żeby trzymać ją prosto.

– Nie rozumiem.

– Krzycz, kurwa!

– Co...

– Co ty, chuju, nie rozumiesz? Zostało pięć minut. Krzycz!

Strażnik spojrzał na niego przestraszonym wzrokiem.

– No krzycz!

– Zostało pięć minut!!!

– Głośniej!

– Zostało pięć minut!!

– Jeszcze głośniej!

– Zostało pięć minut!!!

Hoffmann siedział spokojnie i nasłuchiwał. Zza drzwi dochodziły jakieś ostrożne dźwięki.

Usłyszeli.

Wiedzą, że zakładnik żyje, i dlatego nie wkroczą do akcji. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Poszedł do biura i podniósł słuchawkę telefonu. Usłyszał znany sygnał – jeden, drugi, piąty, siódmy. Wziął do ręki pustą porcelanową filiżankę

i rzucił nią o ścianę, aż skorupy rozsypały się po biurku. Ten sam los spotkał stojak na długopisy, on też wylądował na ścianie. Zofia nie podnosi, nie ma jej w domu, pewnie...

– Obiekt zniknął z pola widzenia, nie widzę go od półtorej minuty.

Chyba niezbyt dokładnie go widzą.

– Powtórz.

– Obiekt zniknął z pola widzenia, nie widzę go od półtorej minuty. Nie mogę zlokalizować ani obiektu, ani zakładników.

– Szykujcie się do wkroczenia do akcji w ciągu dwóch minut.

Hoffmann wybiegł z biura, bo na dachu usłyszał jakieś ruchy. Tamci najwidoczniej się szykują, zajmują pozycje. Zatrzymał się przy oknie, z całej siły pociągnął do siebie dywan; chciał, żeby zakładnik był blisko niego. Słyszał, jak jęczy, kiedy plastikowe więzy wpiły mu się w ranę wokół stóp.

– Obiekt znowu w polu widzenia.

Hoffmann stał w miejscu i czekał. Teraz! Przerwijcie to, kurwa!

– Przerywam. Przerywam przygotowania do akcji.

Hoffmann odetchnął z ulgą. Odczekał i znowu pobiegł do biura. Jeszcze raz wybrał numer i znowu usłyszał wolny sygnał. Nie chce mu się już nawet liczyć, ile razy, pieprzony sygnał, pieprzony sygnał, piep...

I nagle ktoś podniósł słuchawkę. Jednak w słuchawce nadal panowała cisza. Usłyszał dźwięk jadącego samochodu. Osoba, która odebrała, znajduje się w jadącym samochodzie. I jeszcze coś, jakby głosy dwojga dzieci.

– Zrobiłaś to, co uzgodniliśmy?

Słyszalność była kiepska, ale Hoffmann był całkowicie pewien, że to ona.

– Tak.

Odłożył słuchawkę.

Tak.

Miał ochotę roześmiać się na cały głos, skakać. Zamiast tego wybrał kolejny numer.

– Oficer dyżurny, zakład karny w Aspsås.

– Połącz mnie z policjantem dowodzącym akcją.

– Z policjantem dowodzącym akcją?

– Natychmiast!

– A kim ty, kurna, jesteś?

– Twarzą na jednym z twoich monitorów. Chyba na tym, gdzie ekran jest zupełnie ciemny.

Trzask w słuchawce, kilka sekund ciszy i nagle rozległ się głos, ten sam, który słyszał przedtem. Głos, który teraz o wszystkim decyduje. Oznaczało to, że połączono go z osobą na wieży kościoła.

- ZABIJĘ ZA TRZY MINUTY.
- Czego chcesz?
- Zabiję za trzy minuty.
- Powtarzam pytanie: czego chcesz?
- Zabić.

TRZY MINUTY.

Dwie minuty i pięćdziesiąt sekund.

Dwie minuty i czterdzieści sekund.

Grens stał na wieży i czuł się strasznie samotny. Za chwilę zdecyduje o życiu lub śmierci innego człowieka. Ponosi za to odpowiedzialność. Nie jest już tak bardzo pewien, czy ma wystarczająco dużo odwagi, żeby to zrobić i żyć z tą świadomością przez następne lata.

Wiatr przestał wiać, a przynajmniej nie czuł jego podmuchów na czole i policzkach.

– Sven?

– Tak?

– Chcę tego jeszcze raz posłuchać. O tym, kim jest. Ustalić, do czego jest zdolny.

– Nie ma nic więcej.

– Czytaj!

Sundkvist wyjął kartkę z danymi Hoffmanna. Czasu jest tylko tyle, że zdąży przeczytać zaledwie kilka linijek.

– Silne zaburzenia osobowości, postawa antyspołeczna. Brak zdolności do odczuwania empatii. Cechy świadczące o znacznej nadpobudliwości, agresywny, brak szacunku dla bezpieczeństwa własnego i innych osób, nie odczuwa wyrzutów sumienia.

Spojrzał na Grensa, ale ten nie odpowiedział.

– W czasie strzelaniny z policją w Söderhamn na otwartym terenie na obrzeżach miasta uderzył...

– Wystarczy.

Grens pochylił się nad strzelcem wyborowym leżącym na ziemi.

– Dwie minuty. Przygotuj się do oddania strzału.

Wskazał Sundkvistowi palcem drzwi prowadzące na wieżę i na aluminiową drabinkę wystającą z wjazdu. Będą musieli zejść do kościoła, żeby jak najmniej przeszkadzać strzelcowi. W połowie drogi w dół włączył krótkofalówkę i zbliżył ją do ust.

– Od tej chwili na tej częstotliwości możemy rozmawiać tylko ja i strzelec. Niech wszyscy wyłączą telefony komórkowe. Do momentu oddania strzału odzywamy się wyłącznie ja i strzelec.

Drewniane schody skrzypiały przy każdym kroku. Za chwilę znajdą się w prowizorycznym centrum dowodzenia. Wyjdą stąd, gdy będzie po wszystkim.

MARIANA HERMANSSON UDERZYŁA w brudną szybę i spojrzała prosto w kamerę, która badawczo jej się przyglądała. To już czwarte zamknięte drzwi w długim tunelu pod więzieniem. Kiedy się otworzyły, pobięła w stronę głównej wartowni i wyjścia.

JACOBSON NIE ROZUMIAŁ, CO się dzieje. Czuł jednak, że za chwilę wszystko się skończy. Przez ostatnie kilka minut Hoffmann biegał po całym pomieszczeniu, był zdyszany i krzyczał o upływającym czasie i śmierci. Jacobson próbował poruszyć nogami i rękami, chciał stąd uciec; przecież tak bardzo się boi, nie chce tu dłużej siedzieć, chce się podnieść i wrócić do domu, zjeść kolację, obejrzeć telewizję i napić się szklaneczkę kanadyjskiej whisky, która ma taki łagodny smak.

Rozpłakał się.

Płakał, kiedy Hoffmann wszedł do ciasnego magazynku, gdy przycisnął go do ściany i szepnął, że za chwilę będą strzelać. Hoffmann kazał mu siedzieć we wskazanym miejscu i dodał, że jeśli go posłucha, będzie bezpieczny i nie zginie.

STERNER LEŻAŁ WSPARTY na łokciach. Miał wystarczająco dużo miejsca na nogi i wygodną pozycję, dzięki czemu mógł się skoncentrować na celowniku i oknie.

Już za chwilę.

Nigdy wcześniej żaden strzelec wyborowy na szwedzkiej ziemi nie zastrzelił człowieka w okresie pokoju. Żaden nawet nie strzelił, żeby zabić. Tym razem przestępca zaczął grozić, nie chciał się z nimi porozumieć, potem znowu im groził. Sam doprowadził do sytuacji, w której będą musieli wybrać między jednym życiem a drugim.

Strzał i trafienie.

Umie to zrobić. Nawet na tak dużą odległość jest absolutnie pewien: jeden strzał, jedno trafienie.

Nigdy jednak nie dowie się, jakie są konsekwencje jego strzału. Nie zobaczy strzępów człowieka. Przypomniawszy sobie tamto popołudnie, gdy odbywał szkolenie. Resztki żywych wieprzów, na których ćwiczili celność strzałów. Nie byłby w stanie spojrzeć na człowieka rozerwanego na kawałki.

Przesunął się trochę dalej. Teraz lepiej widzi tamto okno.

HERMANSSON PRZEBIEGŁA PRZEZ otwartą bramę więzienia i wpadła na prawie całkowicie zastawiony parking. Drugi raz wykręciła numer Grensa i znowu nie odebrał. Podeszła do samochodu i spróbowała połączyć się z Sundkvistem lub Edvardsonem, ale i tym razem nie złapała sygnału. Siadła za kierownicą, włączyła silnik i przejechała po trawniku i rabatach z kwiatami. Spojrzała na wieżę kościoła, gdzie ktoś leży na galerijce i czeka na znak.

GRENS ZDJĄŁ SŁUCHAWKI, żeby nie słyszeć głosów, które mogłyby się w nich ewentualnie pojawić, choć przecież wydał wyraźny rozkaz. Od tej chwili to on ponosi odpowiedzialność i ma teraz tylko jedno zadanie do wykonania.

Musi zabić.

– Cel?

– Samotny mężczyzna. Niebieska kurtka.

– Odległość?

– Tysiąc pięćset trzy metry.

Nie ma już zbyt dużo czasu.

HERMANSSON OPUŚCIŁA ZJAZD prowadzący do więzienia i jechała lewą stroną drogi w stronę Aspsås.

– Wiatr?

– Sześć metrów na sekundę, w prawo.

Zwiększyła prędkość i ustawiła krótkofalówkę najgłośniejszą, jak się dało.

– Temperatura na zewnątrz?

– Osiemnaście stopni.

Oscarsson powiedział niedawno, że zanim... Ewert... Zanim padnie strzał, musi się dowiedzieć.

**NIGDY NIE STRZELAŁEM DO CZŁOWIEKA.**

Nigdy nie kazałem nikomu strzelać do człowieka.

Trzydzieści pięć lat w policji. Za minutę... nie, to już mniej niż minuta.

– Grens, zgłoś się.

Sterner.

– Mówi Grens, słucham.

– Zakładnik... jest teraz zasłonięty, jakby ktoś owinął go czymś, co przypomina matę albo dywan.

– Tak?

Grens czekał.

– Wydaje mi się, że to... mata... cholernie dziwnie to wygląda...

Grens zadrżał.

Zrozumiał, że to nie oni decydują, tylko Hoffmann. To on ustanawia granice, wyzywa ich i zmusza do podejmowania decyzji.

– Kontynuuj!

– ...wydaje mi się, że facet szykuje się chyba do... egzekucji.

Pracowałeś tam całe życie. Jesteś wśród nich najstarszy. Najślabszy. Zostałeś wybrany. Nie możesz umrzeć.

– Strzelaj!

HOFFMANN PRZEZ CAŁY CZAS obserwował kościelną wieżę i znajdujących się na niej ludzi. Za każdym razem starał się stać do nich profilem, blisko zakładników i kadzi z ropą. Słuchał ich głosów, bardzo wyraźnych. Bez trudu zrozumiał komendę.

– Strzelaj!

Tysiąc pięćset metrów. Trzy sekundy. Usłyszał kliknięcie. Moment zawahania. Chwilę potem się przesunął.

STRZAŁ.

Śmierć.

Czekają.

– Przerywam. Obiekt poza polem widzenia.

Jeszcze przed chwilą Hoffmann tam stał, z lekko przekrzywioną głową, profilem do nich. Łatwo go było zauważyć i trafić. I nagle się przesunął. Wystarczył jeden krok. Grens oddychał gwałtownie, ale nie zauważył tego. Dotknął dłonią policzka. Jest taki rozpalony.

– Obiekt znowu w polu widzenia. Gotowy do oddania strzału. Czekam na nowy rozkaz.

Hoffmann znowu tam stoi. Wrócił.

A więc jeszcze raz. Kolejna decyzja. Taka, której nie chce i nie jest w stanie podjąć.



– Strzelaj.

HOFFMANN USŁYSZAŁ KLIKNIĘCIE. Broń znowu została odbezpieczona. Przesunął się.

Teraz stoi w miejscu. Na tle okna. Pierwsze kliknięcie, a on nadal stoi. Następne. To już drugie. Tysiąc pięćset metrów. Trzy sekundy. Znowu się odsunął.

TA JEDNA JEDYNA CHWILA.

Wszystko się wydłuża. Wszędzie jest pusto i cicho, akcja trwa.

Grens wiedział wszystko o takich chwilach, jak bardzo potrafią być natrętne, jak zżerają i nigdy, ale to nigdy nie odpuszczają.

– Przerywam. Obiekt poza polem widzenia.

Po raz kolejny Hoffmann się cofnął. Grens przełknął ślinę.

Za chwilę Hoffmann zginie i jakby to przeczuwał. Posługiwał się tą jedną jedyną chwilą i w trakcie tej chwili zmieniał swoje położenie.

– Obiekt ponownie w polu widzenia. Gotów do oddania strzału. Czekam na trzeci rozkaz.

Znowu tam stoi.

Grens sięgnął po słuchawki wiszące na szyi i wsunął je do uszu.

– Powtarzam: gotów do oddania strzału. Czekam na trzeci rozkaz. Odbiór.

To jego decyzja. Tylko jego.

Głęboki oddech. Poszukał przycisku nadajnika, wyczuł go palcami, mocno nacisnął.

– Strzelaj.

HOFFMANN USŁYSZAŁ TĘ KOMENDĘ po raz trzeci.

Kiedy usłyszał, że broń jest odbezpieczana, nadal stał spokojnie. Tak samo jak chwilę później, gdy strzelec położył palec na spuście.

Niezwykłe uczucie, kiedy się wie, że zaraz padnie strzał, że zostały tylko trzy sekundy.

NAGLE ROZLEGŁA SIĘ EKSPLOZJA. Hermansson usłyszała, że gdzieś za nią coś wybuchło. Przypominało to wybuch bomby.

Gwałtownie zahamowała, aż samochód zarzuciło i ściągnęło ją na skraj drogi, w stronę rowu. Zdjęła nogę z gazu i znowu zahamowała. Udało jej się odzyskać kontrolę nad pojazdem. Zatrzymała go i wysiadła. Wszystko to stało się tak nagle, że nawet nie zdążyła się przestraszyć.

Do kościoła w Aspsås zostało jej zaledwie dwieście metrów.

Gdy rozległ się wybuch, odwróciła się w stronę więzienia.

Ujrzała intensywne płomienie ognia.

A potem już tylko gęsty, czarny dym. Wydobywał się przez wielką wyrwę, która jeszcze przed chwilą była oknem pomieszczenia, gdzie znajdowały się warsztaty.

# CZĘŚĆ CZWARTA

SOBOTA

TEGO POPOŁUDNIA PANOWAŁY takie ciemności, że chociaż był koniec maja, wydawało się, że zapadła noc.

Drzewa, domy i łąki miały nieostre zarysy; za chwilę staną się bardziej wyraźne, kiedy zrobi się jaśniej.

Grens jechał pustą drogą. Zdążył pokonać kilkadziesiąt kilometrów, kierując się na północ od Sztokholmu. Pokonał już pół drogi. Był spięty, czuł to w każdym mięśniu ciała, wszystko go bolało. To przez adrenalinę, chociaż od chwili, gdy rozległ się strzał i nastąpiła eksplozja, która zabiła człowieka, minęło już dwanaście godzin. Nawet nie próbował zasnąć. Wprawdzie położył się na chwilę na swojej kanapie w pracy, ale nie zmrużył oka, bo to, co w nim buzowało, nie pozwalało mu zasnąć. Próbował myśleć o Anni i jej grobie, wyobrażał sobie okolicę, w której leży, miejsce, gdzie jeszcze nie był, ale z pewnością tam pojedzie. Znowu przeżywał jedną z tamtych nocy, kiedy jeszcze półtora roku wcześniej mógł z nią rozmawiać, gdy mógł przetrwać tylko dzięki niej. Dzwonił wtedy do domu opieki, chociaż nie wolno mu było tego robić, krzyczał na kogoś z personelu, aż ktoś ją budził i podawał słuchawkę. Wtedy on wsłuchiwał się w jej oddech i ciche dźwięki, które wydawała tylko ona. W takich chwilach stopniowo wracał spokój. Opowiadał jej coś, a jednocześnie wsłuchiwał się w jej własny świat. Kiedy odeszła, przestał dzwonić. Od czasu do czasu brał samochód i jechał w stronę Gärdet i mostu Lidingöbron. Podjeżdżał pod dom opieki umiejscowiony w pięknym zakątku wyspy, siadał na parkingu w pobliżu jej okna, patrzył w nie, a po chwili wychodził z samochodu i krążył dokoła budynku.

„Trwanie w żałobie to jedna rzecz. Ale nie może pan podchodzić do tego schematycznie. Pan nie żyje z żałobą. Pan żyje dla niej. Trzyma ją, ukrywa się za nią. Czy pan tego nie rozumie? To, czego pan się tak obawiał, już się stało”.

A teraz nie ma nawet tego.

Po godzinie wstał, wyszedł na korytarz i poszedł do samochodu stojącego na Bergsgatan. Ruszył w stronę Solny i Cmentarza Północnego. Musi z nią jeszcze raz porozmawiać. Stał przy jednej z bram i szukał czegoś wśród cieni. Potem skierował się na północ, aż znalazł się przy murze więzienia, niedaleko kościoła z ładną wieżą.

– Nazywam się Grens.

Mrok, cisza. Czy to nie z powodu silnego zapachu, pożaru, sadzy i ropy? A przecież akcja mogła się skończyć jak we śnie: głowa w oknie,

usta wypowiadające słowa o śmierci... a za chwilę zostałyby tylko stado śpiewających ptaków i miasteczko, w którym po przebudzeniu nikt by nawet nie słyszał o wzięciu zakładników i ludziach leżących nieruchomo na podłodze.

– Tak?

Grens nacisnął mały guzik obok bramy i mówił do mikrofonu.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie tego całego gówna. Wpuścisz mnie?

– Jest trzecia w nocy.

– Tak.

– Nie ma tu nikogo, kto...

– Wpuścisz mnie?

Przeszedł przez bramę, minął strażnika i ruszył przez jeden z wewnętrznych dziedzińców więzienia.

Nigdy wcześniej nie spowodował śmierci innego człowieka.

Tym razem to on podjął decyzję.

To on ponosił odpowiedzialność.

Stanął przy Bloku B. Na chwilę zatrzymał się przed wejściowymi drzwiami i spojrzał w górę, na trzecie piętro.

Smród spalenizny wydawał się silniejszy niż wcześniej.

Najpierw nastąpił wybuch. Pocisk przebił szybę i rozbił ją na kawałki, a następnie trafił w ludzką głowę. Potem nastąpił kolejny wybuch, mocniejszy od poprzedniego. I wtedy pojawił się ten pieprzony czarny, gęsty dym, który zasłaniał im widok, gdy chcieli zajrzeć do środka. Żaden z nich nie potrafił wyjaśnić, jak doszło do eksplozji.

To była jego decyzja.

Ruszył schodami do góry; mijał zamknięte drzwi, czuł coraz silniejszy zapach dymu.

To on ponosił odpowiedzialność.

Właściwie to nigdy nie zajął określonej postawy wobec śmierci. Regularnie się z nią spotykał, pracował z nią, ale myślał o niej obojętnie. W zasadzie przestał się nad nią zastanawiać przed trzydziestu laty, w chwili kiedy jako kierowca policyjnego busa przejechał po głowie osoby, która z tego powodu przestała normalnie funkcjonować. To była głowa Anni. Nie pragnął wtedy umrzeć, ale żyć też mu się nie chciało. Bronił się przed poczuciem winy i smutku, potrafił sobie z tym jakoś radzić. A teraz już nawet nie wie, gdzie powinien zacząć szukać.

Drzwi były otwarte, od wewnątrz czarne od sadzy.

Grens zajrzał do spalonego warsztatu, założył na buty przezroczyście osłony i dał krok nad niebiesko-białą taśmą policyjną.

W pomieszczeniu po pożarze zawsze utrzymuje się coś, co przypomina nastrój samotności. Płomienie pochłonęły Hoffmanna, a potem przemieściły się dalej. Ewert chodził wśród resztek regałów i poczerniałych maszyn, które leżały na podłodze.

I wszędzie widział to samo. Na suficie, na ścianach.

To, co miało biały kolor, widywał już wcześniej. Tak właśnie technicy z laboratorium zaznaczali fragmenty ludzkiego ciała. Było ich tu więcej niż na Västmannagatan. Natomiast tego, co było oznaczone na czerwono, nie widział na żadnym miejscu zdarzenia, gdzie takie ślady wyróżniano chorągiewkami.

Dwa ludzkie ciała zamieniły się w setki, tysiące kawałeczków.

Zastanawiał się, czy Errfors, lekarz z zakładu medycyny sądowej, będzie w stanie złożyć to wszystko w jedną całość, żeby dało się dokonać identyfikacji. To resztki ludzi, którzy nie tak dawno jeszcze żyli. Teraz już ich nie ma, istnieją w postaci drobnych kawałeczków zaznaczonych chorągiewkami. Zaczął je liczyć, choć nie wiedział dlaczego. Już na kilku metrach kwadratowych ściany doliczył się trzystu sześćdziesięciu czterech. Wtedy przestał i podszedł do okna, a właściwie tego, co z niego pozostało. Przez wielką wyrwę w ścianie wiał lekki wiatr. Grens stanął w miejscu, gdzie stał Hoffmann, na tle nieba widział sylwetki kościoła i wieży. To tam leżał strzelec wyborowy, który wycelował i wystrzelił na rozkaz Grensa.

W LUSTERKU WSTECZNYM SAMOCHODU miasteczko Aspsås zdawało się jeszcze mniejsze.

Przez dwie godziny przebywał wśród smrodu spalenizny, oleju i gęstego dymu. Tamta myśl nie dawała mu spokoju, niezależnie od tego, jak długo liczył fragmenty ludzkiego ciała zaznaczone białymi albo czerwonymi chorągiewkami. Nie mógł tego pojąć, ale uczucie było niemiłe. To dzięki niemu zachował trzeźwość umysłu, to ono podniosło mu adrenalinę i wywołało irytację. Nie za bardzo mu się to podobało, próbował się go pozbyć, chodząc wśród desek i narzędzi, które stały się do niczego nieprzydatne. Czuł, że owo uczucie tkwi przy nim, że chce mu powiedzieć coś, czego on nie zrozumie.

Mijał właśnie przedmieścia pod Sztokholmem, gdy zadzwonił telefon komórkowy leżący na tylnym siedzeniu. Grens zwolnił i sięgnął po

marynarke.

– Ewert?

– Już nie śpisz?

– Gdzie jesteś?

– Dzwonisz o tej porze, Sven? Czy to raczej nie ja powinienem zadzwonić do ciebie?

Sundkvist się uśmiechnął. On i Anita już dawno przestali się dziwić na dźwięk telefonu dzwoniącego w ich sypialni między północą a świtem. Grens dzwonił do niego zawsze, gdy miał jakąś sprawę i potrzebował natychmiastowej odpowiedzi na różne pytania. Tego rodzaju pytania nawiedzały go najczęściej w nocy, gdy inni już spali. Jak widać, tej nocy też chyba nie spał. Sundkvist leżał obok Anity i słuchał tykania budzika, aż po dwóch godzinach wstał ostrożnie z łóżka i zszedł na parter swojego szeregowca, do kuchni. Usiadł przy stole i zaczął rozwiązywać krzyżówki. Robił to, gdy noce mu się dłużyły. Jednak niepokój go nie opuszczał. Ten sam niepokój, o którym Grens wspominał wcześniej. Myśli, które nie miały się gdzie podziać.

– Ewert, jadę właśnie do miasta. Zbliżam się do placu Gullmarsplan, potem skręcę na zachód, do Kungsängen. Niedawno dzwonił do mnie Sterner.

– Kto?

– Ten strzelec wyborowy.

Grens przyspieszył. Wszystkie ranne ptaszki są jeszcze w domach, łatwo się jedzie.

– No to zostało nam trochę drogi. Niedługo będę mijał park Hagaparken. A o co chodzi?

– Wyjaśnię ci na miejscu.

KOLEJNE ZAMKNIĘTE NA KLUCZ drzwi w innym świecie mundurowych.

Grens i Sundkvist zjawili się w siedzibie królewskiej gwardii przybocznej w Kungsängen w odstępnie dwóch minut. Sterner czekał na nich przy wejściu. Wydawał się wypoczęty, miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia, to znaczy biało-szary mundur maskujący, który po wydarzeniach poprzedniego dnia był pognieciony. Stojąc przed wejściem z siedzibą gwardii w tle, wyglądał jak wzór amerykańskiego żołnierza piechoty morskiej: krótko przycięte włosy i szerokie ramiona pod kwadratową twarzą.



– To samo ubranie co wczoraj?

– Tak wyszło. Kiedy wróciłem helikopterem, poszedłem się od razu położyć.

– Udało się zasnąć?

– Spałem jak dziecko.

Grens i Sundkvist spojrzeli po sobie. Człowiek, który zabił innego człowieka, spał jak dziecko. Tymczasem ten, kto wydał mu rozkaz, jak również jego bliscy współpracownicy, nie spali całą noc.

Sterner zgłosił ich u dyżurnego i wskazał drogę do odległych koszar. Po drodze jeszcze kilkakrotnie ich sprawdzano. Sterner szedł przodem i Grens ledwo za nim nadążał. Weszli do budynku i wspięli się na pierwsze piętro. Ruszyli długim kamiennym korytarzem. Wszędzie pełno rekrutów ubranych w bieliznę. Dopiero szykowali się do włożenia mundurów na cały dzień.

– Pierwsza kompania gwardii przybocznej. Kiedyś obejmą stanowiska dowódcze i zostaną tu dłużej.

Sterner wszedł do pokoju z prostymi meblami biurowymi. Ściany były w nim tylko pobiałkowane i właściwie wymagały ponownego malowania. Podłoga z betonu wyłożona płytkami PCW. Cztery stanowiska pracy, każde w innym rogu pokoju.

– Dziś nikt z moich kolegów nie przyjdzie do pracy. Mają dwudniowe ćwiczenia w Upplandzie, w pobliżu Tierp. Nikt nie będzie nam tu przeszkadzał.

Sterner zamknął drzwi.

– Zadzwoiłem do was zaraz po przebudzeniu. Kiedy kładłem się spać, pewna myśl nie dawała mi spokoju. Rano leżałem przez dłuższą chwilę w łóżku i ciągle o tym myślałem.

Pochylił się w ich stronę.

– Widziałem go. Przez lunetę. Długo mu się przyglądałem, śledziłem jego ruchy, obserwowałem twarz. Trwało to prawie trzydzieści minut.

– No i?

– Stał przy oknie i wystawiał się na strzał. Rozmawialiście o tym, słyszałem to. Mówiliście, że wie, że go widzimy, że chce w ten sposób zademonstrować władzę, jaką ma nad zakładnikami, nad całą sytuacją, a może nawet nad wami. Mówiliście, że robi to, bo jest pewien, że znajduje się poza zasięgiem.

– No i?

– To wy tak uważaliście. Nie on.

Sterner spojrział na drzwi, jakby chciał się upewnić, że są zamknięte.

– Ja tak nie myślałem. Przynajmniej nie wtedy. I nadal tak nie uważam.

– No to wyjaśnij nam, o co chodzi.

Grens znowu zaczął doświadczać niemiłego uczucia. To ono trzymało go na nogach i wiązało się z tym, co czuł w wypalonym warsztacie. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało.

– Kiedy patrzyłem na niego przez lunetę, odnosiłem wrażenie, że wie. Że wie, że nie możemy go trafić.

– Nie rozumiem.

– Dwa razy musiałem przerwać przygotowania do strzału.

– No i?

– I za każdym razem miałem wrażenie, że wie, że zamierzam strzelić. Usuwał się z widoku w odpowiedniej chwili.

– Robił to kilka razy.

Sterner wstał zaniepokojony, podszedł do drzwi i sprawdził, czy są zamknięte. Potem podszedł do okna z widokiem na dziedziniec.

– Tak, to prawda. Ale za każdym razem zrobił to dokładnie w chwili, kiedy miałem oddać strzał.

– A trzeci raz?

– Stał nieruchomo. Wyglądało to tak, jakby się zdecydował. Stał i czekał.

– I co dalej?

– Strzał, trafienie. Motto każdego strzelca wyborowego. Strzelam tylko wtedy, gdy jestem pewien, że trafię.

Grens wstał z krzesła i też podszedł do okna.

– Gdzie?

– Co: „gdzie”?

– Gdzie go trafiłeś?

– W głowę. Nie powinienem był tego robić, ale nie miałem wyboru.

– Dlaczego?

– Z dużej odległości celujemy zawsze w korpus, bo stanowi on największy cel. Ja też powinienem był celować w jego klatkę piersiową. Ale facet stał do mnie przez cały czas profilem, więc żeby trafić, musiałem strzelić mu w głowę.

– A wybuch?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie wiem.

– Ale przecież...

– Wybuch nie miał nic wspólnego ze strzałem.

Przez okno widać było dwudziestu kilku nastolatków idących w dwóch szeregach przez piaszczysty dziedziniec. Szli krokiem marszowym, wymachiwali ramionami, a idący obok starszy mężczyzna coś do nich wołał. Niestety, nic to nie pomagało.

– Jest jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego?

– Kim on był?

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Bo go zabiłem.

Obie kolumny chłopców się zatrzymały. Starszy mężczyzna w mundurze pokazał im, jak należy trzymać broń na ramieniu. Najważniejsze jest to, żeby każdy z nich trzymał ją w taki sam sposób jak pozostali.

– Zabiłem go i dlatego chcę wiedzieć, jak się nazywał. Uważam, że mam do tego prawo.

Grens się zawahał. Spojrzał na Sundkvista, potem na Sternera.

– Piet Hoffmann.

Sterner nic po sobie nie pokazał, więc nie wiadomo było, czy to nazwisko cokolwiek mu mówi.

– Hoffmann... A jakieś dane osobowe?

– Mam.

– W takim razie przejdźmy do budynku administracji. Chodźcie ze mną. Chciałbym sprawdzić pewną rzecz.

Grens i Sundkvist ruszyli za Sternerem w stronę budynku, który nie był ani trochę mniejszy od innych. Mieściły się w nim pokoje szefa pułku, personelu sztabowego i przytulna kantyna oficerska. Weszli na drugie piętro, Sterner zapukał w futrynę otwartych drzwi. Przed komputerem siedział jakiś starszy mężczyzna, który skinął im przyjaźnie głową.

– Podajcie mi jego numer osobowy.

Sundkvist zdążył już wyjąć z kieszeni swój notatnik. Przerzucił kilka stron i znalazł.

– Siedemdziesiąt dwa, dziesięć, osiemnaście, zero, zero, dziesięć.

Starszy mężczyzna wystukał numer na klawiaturze, odczekał kilka sekund i pokręcił głową.

– Urodzony na początku lat siedemdziesiątych? W takim razie tu go nie będzie. Przechowujemy dane do dziesięciu lat wstecz. Jeśli dokument jest starszy, trafia do Archiwum Wojskowego.

Uśmiechnął się i zrobił zadowoloną minę.

– Ale... ja zawsze robię kopie, zanim je tam wyślemy. Mamy tu własne archiwum naszego pułku. Dane każdego młodego mężczyzny, który w ciągu ostatnich trzydziestu lat odbywał służbę wojskową, są w którymś z segregatorów w sąsiednim pokoju.

Ciasne pomieszczenie zastawione było od podłogi aż po sufit regałami pełnymi segregatorów. Mężczyzna klęknął i wyjął jeden z nich.

– Urodzeni w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Jeśli to jego data urodzenia, sprawdzimy roczniki dziewięćdziesiąt jeden, dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt trzy, a może nawet dziewięćdziesiąt cztery. Mówiłeś: kompania gwardyjska? Strzelcy wyborowi?

– Tak.

Mężczyzna przerzucił kolejne strony i odstawił segregator na miejsce, z którego go wyjął. Następnie wysunął inny, stojący obok.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym go nie ma. Sprawdzimy rocznik dziewięćdziesiąty drugi.

Doszedł mniej więcej do połowy i nagle się zatrzymał.

– Hoffmann?

– Piet Hoffmann.

– No to go mamy.

Grens i Sundkvist pochyłili się, żeby spojrzeć z bliska na dokumenty, które archiwista trzymał w ręce. Zawierały one pełne imię i nazwisko Hoffmanna, jego numer osobowy, a następnie długi rząd cyfr i liter, coś w rodzaju kodu.

– Co to oznacza?

– To znaczy, że ktoś, kto nazywa się Piet Hoffmann i ma podany przez was numer osobowy, odbył służbę wojskową w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Przeszedł szkolenie trwające jedenaście miesięcy. Szkolono go na strzelca wyborowego.

Grens jeszcze raz dokładnie obejrzał dokument. Tak, to Hoffmann. Mężczyzna, który przed szesnastoma godzinami zginął na ich oczach.

– Szczegółowe szkolenie w zakresie broni i strzelania w pozycji siedzącej, z kolana, na stojąco, na długi i na krótki dystans... Chyba rozumiecie?

Sterner otworzył segregator, wyjął z niego kartkę i skopiował w ogromnej kopiarce, która była prawie tak duża jak cały pokój.

– Miałem wtedy dziwne uczucie... jakby Hoffmann dokładnie wiedział, gdzie się znajduję, co robię. Jeśli przeszedł szkolenie w tej jednostce, miał odpowiednią wiedzę i dzięki temu domyślił się, że wieża kościelna to

jedyne miejsce, z którego będziemy mogli go osiągnąć. Wiedział też, że tylko stamtąd będziemy mogli go zabić.

Sterner trzymał w ręce kserokopię. Po chwili oddał ją Grensowi.

– Bardzo starannie wybrał to miejsce. Nie przez przypadek zabarykadował się w warsztatach z tym oknem. Chciał nas sprowokować, abyśmy oddali strzał. Wiedział, że dobrze wyszkolony strzelec wyborowy trafi go, jeśli będzie musiał.

Sterner pokręcił głową.

– Hoffmann chciał umrzeć.

KORYTARZ ODDZIAŁU INTENSYWNEJ terapii szpitala w Danderyd miał żółte ściany i jasnożółtą podłogę. Pielęgniarki uprzejmie się uśmiechały, więc Grens i Sundkvist odwzajemniali ich uśmiechy. Był to jeden ze spokojniejszych poranków. Obaj bywali tu służbowo wcześniej, nierzadko wieczorem i w weekendy. Wtedy na korytarzu pełno było cierpiących ludzi, którzy leżeli na wózkach przy ostrym świetle. Dziś było tu pusto, jak zwykle, gdy alkohol, mecze piłkarskie i zaśnieżone drogi są tylko złym wspomnieniem.

Przyjechali bezpośrednio z Kungsängen, przez Norrviken i Edsberg, do Danderyd, przez kameralne, zadbane przedmieścia, willowe osiedla. Na ich widok Sundkvist musiał zadzwonić do domu, do Anity i Jonasa. Właśnie zjedli śniadanie i zaraz pójdą do szkoły. Tak bardzo za nimi tęskni.

Lekarz był młodym, wysokim, chudym, prawie kościstym mężczyzną. Miał ostrożne spojrzenie. Przywitał się z nimi i wprowadził ich do mrocznej sali z zaciągniętymi firanami.

– Doznał silnego wstrząsu mózgu. Dlatego proszę, aby panowie nie zapalali światła.

W pokoju stało tylko jedno łóżko. Leżał w nim mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat. Miał siwe włosy, zmęczone oczy, zadrapania na obu policzkach i ranę na czole, która wyglądała na głęboką. Prawa ręka wisiała mu na temblaku.

Łóżko stało pod ścianą.

– Nazywam się Johan Ferm. Widzieliśmy się wczoraj, kiedy przyjmowałem pana na oddział. Jest tu ze mną dwóch policjantów, którzy chcieliby zadać panu kilka pytań.

Po wybuchu strażak ubrany w maskę przeciwgazową długo go szukał w spalonym warsztacie, aż w końcu usłyszał słabe dźwięki dochodzące

spod zgliszcz. Leżał tam nagi, posiniaczony strażnik więzienny ze złamanym obojczykiem. Człowiek, który nadal oddychał.

– Potem będę musiał panów poprosić o wyjście.

Siwowłosa mężczyzna uniósł się na wpół w pościeli, skrzywił się nagle z bólu i zwymiotował do wiadra stojącego obok łóżka.

– Nie wolno mu się ruszać. Ma silny wstrząs mózgu. Zaczynam odliczać pięć minut.

Grens odwrócił się w stronę młodego lekarza.

– Wolelibyśmy zostać sami.

– Muszę tu zostać. Ze względu na pacjenta.

Grens stanął przy oknie, podczas gdy Sundkvist przysunął stołek do łóżka. Usiadł w taki sposób, żeby jego twarz znalazła się prawie na tej samej wysokości co twarz rannego.

– Zna pan Grensa?

Jacobson skinął głową. Wiedział, kim jest Ewert Grens, spotkali się wiele razy, bo komisarz regularnie odwiedzał miejsce, gdzie Jacobson przepracował całe swoje życie.

– To nie jest przesłuchanie. Zorganizujemy je później, kiedy poczuje się pan lepiej i gdy będziemy mieć więcej czasu. Ale już teraz potrzebujemy kilku informacji...

– Słucham?

– To nie jest przes...

– Musi pan mówić głośniej. Podczas wybuchu popękały mi błony bębenkowe.

Sven pochylił się nad nim i zaczął mówić głośniej:

– Wiemy dość dobrze, co zdarzyło się, gdy Hoffmann wziął was na zakładników. Pana koledzy z pracy dokładnie nam opowiedzieli o tym, jak strzelał do innego więźnia.

Lekarz klepnął Sundkvista lekko po ramieniu.

– Proszę mu zadawać krótkie pytania. Na takie może odpowiadać. Odpowiedzi muszą być krótkie. Jeśli nie, zmarnujecie swoje pięć minut.

Sundkvist miał przez chwilę ochotę odwrócić się i powiedzieć facetowi w białym kitlu, żeby się zamknął. Nie zrobił tego jednak. Starał się nie być opryskliwy, bo nie prowadzi to do niczego dobrego.

– Pierwsze pytanie: czy pamięta pan, co wydarzyło się wczoraj?

Jacobson ciężko oddychał. Wszystko go bolało i z trudem dobierał słowa, bo ginęły gdzieś w jego mózgu, który doznał silnego wstrząśnienia.

– Pamiętam wszystko, aż do chwili, gdy straciłem przytomność. Jeśli dobrze rozumiem, to chyba zawałła się na mnie jakaś ściana?

– Zawałiła się w chwili wybuchu. Chciałbym się jednak dowiedzieć, co stało się chwilę wcześniej?

– Nie wiem. Nie było mnie tam.

– Jak to, nie było pana?

– Siedziałem w sąsiednim pokoju, bo Hoffmann mnie tam umieścił, gdzieś w najbardziej oddalonej części warsztatu, w pobliżu wejścia. Zaprowadził mnie tam, gdy się rozebraliśmy. Od tamtego momentu rozmawialiśmy ze sobą chyba tylko raz. Pan nie umrze, powiedział. Tuż przed wybuchem.

Sundkvist spojrział na Grensa i od razu się domyślili, co Jacobson chciał im przekazać.

– Jak pan sądzi, czy to możliwe, że Hoffmann pana przeniósł, aby pana ochronić?

Jacobson odpowiedział bez zastanowienia.

– Jestem pewien, że tak było. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło. Od tamtej chwili nie czułem się zagrożony.

Sundkvist pochylił się jeszcze bardziej w jego stronę, żeby ranny strażnik na pewno go usłyszał.

– Wybuch... Chciałbym się zatrzymać przy tym temacie. Kiedy wraca pan myślami do wczorajszego wydarzenia, czy przychodzi panu na myśl cokolwiek, co mogłoby wyjaśnić tak silną eksplozję?

– Nie.

– Zupełnie nic?

– Zastanawiałem się nad tym. To prawda, że w warsztacie były różne materiały, na przykład ropa. Być może to dlatego pojawił się dym. Ale skąd ten wybuch? Nie wiem.

Twarz rannego strażnika przybrała siną barwę. Z czoła spływała mu stróżka potu.

Do łóżka podszedł lekarz.

– On już nie może. Jeszcze tylko jedno pytanie. Potem będą musieli panowie skończyć.

Sundkvist skinął głową. Ostatnie pytanie.

– Przez cały czas Hoffmann nie kontaktował się z nami. Zero kontaktu. Dopiero na samym końcu powiedział: „Zabiję”. Nie rozumiemy tego. Dlatego chciałbym zapytać, czy w pana obecności Hoffmann z kimkolwiek rozmawiał? Może w sposób, który przypominał komunikowanie się z kimkolwiek? Nie rozumiemy jego dziwnego milczenia.

Jacobson zwlekał z odpowiedzią. Sundkvistowi wydawało się przez chwilę, że strażnik zaraz umrze. Lekarz dał znak, żeby przestali męczyć rannego, ale w tej samej chwili Jacobson podniósł rękę. Postanowił, że odpowie jeszcze na to pytanie.

– On dzwonił.

Spojrzał na Sundkvista i Grensa.

– Dzwonił. Z pokoju biurowego. Dwa razy.

GRENS PO RAZ DRUGI TEGO ranka wybrał się do więzienia w Aspsås.

Zamówili sobie filiżankę gorzkiej herbaty i białe pieczywo z pulpetami ułożonymi na czymś, co zdaniem Sundkvista było sałatką z buraków. Siedzieli w kawiarni przy wejściu do szpitala i jedli w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co powiedział im Jacobson. Strażnik twierdził, że Hoffmann dwa razy wychodził z sali warsztatowej i wchodził do biura. Obserwował obu zakładników przez wielką szybę oddzielającą biuro od warsztatów i za każdym razem rozmawiał przez telefon mniej więcej piętnaście sekund. Pierwszą rozmowę przeprowadził zaraz na samym początku. Hoffmann ostrzegł ich wtedy, żeby się nie ruszali, i tyłem poszedł do biura z bronią wycelowaną w ich stronę. Drugi raz dzwonił krótko przed wybuchem. Jacobson widział go znowu przez wielką szybę. Tym razem Hoffmann przez kilka sekund wydawał się bardzo zdenerwowany, ale Jacobson utrzymywał, że były to jedyne chwile podczas całej tej tragedii, gdy Hoffmann okazał zwątpienie i niepokój.

Parking, przed kilkoma godzinami zupełnie pusty, zdążył zapełnić się samochodami. Nad jednym z najlepiej strzeżonych zakładów karnych w Szwecji zbudził się ranek. Grens zaparkował na trawniku przy murze i zadzwonił, czekając jednocześnie na Sundkvista i Hermansson, którzy mieli przygotować wyniki ustaleń w śledztwie w sprawie zabójstwa na Västmannagatan 79. Po południu powinni je przekazać prokuratorowi, żeby zdecydował o dalszych losach śledztwa.

– Chciałbym was prosić, żebyście na razie odłożyli tę sprawę na później.

– Wczoraj był tu Ågestam. Chce mieć ten dokument dziś po południu.

– Hermansson?

– Tak?

– Ågestam dostanie to podsumowanie, jak będzie gotowe. Na razie odłóż tę sprawę. Zrób listę wszystkich wychodzących rozmów telefonicznych, jakie wykonano z więzienia od ósmej czterdzieści pięć do



dziewiętej czterdzieści pięć i od trzynastej trzydzieści do czternastej trzydzieści. Potem sprawdź te numery. Muszę wiedzieć, które z nich mogły być wybrane z biura przy warsztatach.

Grens spodziewał się, że Hermansson zaprotestuje. Ale nie zrobiła tego.

– Chodzi o Hoffmanna?

– Tak.

Spacerniak zapełnił się więźniami, którzy wyszli na przedpołudniową przerwę. Siedzieli w grupach, spoglądali w niebo, a ich policzki robiły się coraz bardziej zaróżowione. Grens nie miał ochoty wysłuchiwać złośliwych komentarzy tych, którzy trafili tu dzięki niemu. Dlatego postanowił przejść pod ziemią, betonowym tunelem. Od razu przypomniało mu się inne śledztwo, o którym ani on, ani Sundkvist nie mieli ochoty rozmawiać. Obaj pomyśleli o tym samym: jak szli tym tunelem pięć lat wcześniej, gdy pewien ojciec zabił mordercę swojej córki, za co został skazany na wieloletni pobyt w więzieniu. Często wracali myślami do tego śledztwa. W ich głowach pojawiały się wtedy obrazy, o których od dawna chcieli zapomnieć. Tak jak obrazy z niektórych innych śledstw.

Gdy wyszli z tunelu, uderzyła ich cisza panująca przy wejściu do Bloku B. Denerwujące walenie w drzwi na szczęście ucichło. Minęli oddział B1 dla niebezpiecznych więźniów i oddział B2, dla zwykłych osadzonych. W Bloku K nadal było pusto, bo usunięto z niego wszystkich więźniów. Pozostanie pusty tak długo, jak długo budynek, gdzie doszło do zbrodni, będzie interesował śledczych.

Czterech techników laboratoryjnych kręciło się po wypalanej sali, oglądając na niegdyś białych ścianach ślady po płomieniach. W powietrzu unosił się mocny i ostry zapach ropy. Uświadomił im, jak bardzo trujący był tu poprzedniej doby każdy oddech. Nils Krantz chodził po zgliszczach skupiony i skoncentrowany. Ani Grens, ani Sundkvist nigdy nie widzieli, żeby się uśmiechał. Krantz był jednym z tych, którzy lepiej obchodzili się z mikroskopem niż ze szklanką koktajlu.

– Chodźcie ze mną.

Krantz skierował się na tę stronę warsztatu, która wychodziła na wewnętrzny dziedziniec. Przykucnął przy ścianie z dziurą wielkości grejfruta, odwrócił się i wskazał na wnętrze sali.

– Strzelec wyborowy przestrzelił okno, który widzieliście z kościelnej wieży, to samo, przy którym pokazywał się Hoffmann. Użył pocisku wybuchowo-zapalającego, który opuszcza lufę karabinu z prędkością

ośmiuset trzydziestu metrów na sekundę. Od oddania strzału do chwili trafienia mijają trzy sekundy.

Krantz nigdy nie był naocznym świadkiem przestępstwa i nigdy nie przebywał w miejscu, które później stało się sceną zbrodni. Jednak jego praca właśnie na tym polegała: musiał się tam znaleźć, razem z innymi, którzy byli mu potrzebni.

– Pocisk z wielką siłą przebił szybę i kość czaszki. Został tam spłaszczony i wtedy jego prędkość zaczęła spadać do chwili, aż uderzył tutaj.

Krantz zaznaczył kąt, pod jakim padł strzał, lekko po skosie. Strzał został oddany z miejsca znajdującego się wyżej.

– Naboje, których użył strzelec, mają prawie dziesięć centymetrów długości. Natomiast ten fragment pocisku, który leci dalej po odrzuceniu łuski, ma trzy, może trzy i pół centymetra. To właśnie ten fragment trafił ścianę, rozbił ją i wypadł na zewnątrz, na dziedziniec. Taki pocisk, który po kolei rozbija szkło, ludzką kość i gruby betonowy mur, ulega dużemu spłaszczeniu. Potem przypomina starą monetę z osiemnastego wieku.

Grens i Sundkvist spojrzeli na otwór w ścianie. Obaj słyszeli niedawno, jak Jacobson opowiadał im o dźwięku przypominającym jakby trzaśnięcie bicia. Siła uderzenia musiała być niesłychanie mocna.

– Pocisk musi być gdzieś na zewnątrz. Jeszcze go nie znaleźliśmy, ale niedługo to zrobimy. Zatrudniłem przy tym grupę policjantów z Aspsås, którzy chodzą na czworakach i przeczesują piasek.

Krantz przeszedł przez salę i stanął przy oknie, gdzie dołączył wcześniej stał Hoffmann. Na podłodze, ścianie i suficie przyczepiono pełno czerwonych chorągiewek. Było ich więcej niż nocą, gdy Grens oglądał warsztaty.

– Musiałem zastosować jakiś system. Kolor czerwony to plamy krwi, biały to fragmenty ludzkiego ciała. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z tak zmasakrowanym ludzkim ciałem.

Sundkvist przyglądał się małym chorągiewkom i próbował zrozumieć, czemu służą. Podszedł bliżej, choć zazwyczaj unikał tego, co kojarzyło się z widokiem śmierci.

– Doszło do wybuchu, mamy tu strzępy ludzi. Stało się coś, czego nie rozumiem.

Sundkvist podszedł jeszcze bliżej. Już się nie bał, nawet nie czuł obrzydzenia. To, co widział, nie było śmiercią. Akurat tego tak nie postrzegał.

– Ludzka tkanka. Tysiące fragmentów. Takie pociski rozrywają ciało na strzępy. Duże strzępy. Takie pociski nie wybuchają.

Ludzie, którzy stali się drobnymi cząsteczkami. Sundkvist stał już bardzo blisko, zaledwie kilka centymetrów od ściany. W tym miejscu takie cząsteczki przestają być człowiekiem.

– Musimy więc szukać czegoś innego. Czegoś, co wybuchą, co rozrywa na drobne kawałeczki, a nie duże fragmenty.

– Na przykład?

– Materiał wybuchowy. Nie znajduję innego wytłumaczenia.

Grens popatrzył na białe i czerwone flagi, szklane skorupy, ślady sadzy.

– Materiał wybuchowy. Ale jaki?

Krantz machnął ręką poirytowany.

– TNT. Nitrogliceryna. C-cztery. Semtex. Pentryt. Oktogen. Dynamex albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, Ewert. Nadal szukamy. Wiem natomiast, że taki materiał znajdował się bardzo blisko ciała. Może nawet bezpośrednio na skórze.

Wskazał głową chorągiewki.

– Rozumiecie?

Czerwony kolor oznacza plamy krwi. Białe – fragmenty ludzkiego ciała.

– Wiemy też, że tego rodzaju materiał wybuchowy wydziela dużą ilość ciepła.

– Naprawdę?

– Na tyle dużo, że kadź z ropą mogła zająć się ogniem.

– Czuję zapach ropy.

Krantz kopnął kadź stojącą obok wyrwy w ścianie, która jeszcze niedawno była oknem.

– Ropa wymieszana z benzyną sprawia, że wydziela się mnóstwo dymu. Taką ropę można znaleźć w beczkach albo kadziach w każdym warsztacie, w każdym zakładzie karnym. Służy jako materiał pędny dla maszyn i ciężarówek, można nią też myć narzędzia. Ale ta kadź... stała blisko Hoffmanna. A znalazła się tam.

Krantz potrząsnął głową.

– Materiały wybuchowe. Trujący dym. Kadź nie znalazła się tam przypadkiem. Ja ci mówię, Ewert, Hoffmann chciał być absolutnie pewien.

– Czego?

– Że on i jeden z zakładników zostaną zabici.

GRENS WYŁĄCZYŁ SILNIK i wysiadł z samochodu. Machnął Sundkvistowi, żeby pojechał przodem, i skierował się przez łąki w stronę oddalonego o tysiąc pięćset metrów kościoła w Aspsås. Świeży zapach trawy trochę go ożywił po nieprzespanej nocy i pomógł mu pozbyć się smrodu ropy. Nie udało mu się jednak pozbyć uczucia, którego bardzo nie lubił. Wiedział też, że tak długo będzie go męczyć, aż zrozumie, czego nie udało mu się dostrzec.

Powinien był włożyć inne buty.

Teren, który z daleka wyglądał na przyjemną zielen, składał się z dołów i gliny. Grens kilka razy się poślizgnął, upadł na ziemię i ubrudził sobie buty zielono-brązową mazią. W końcu stanął przed wejściem na cmentarz.

Odwrócił się i ujrzał, że mgła, która przed chwilą zalegała nad łąką, znikła. Promienie słońca rozjaśniały mury więzienia. Stał dokładnie w tym samym miejscu co dobę wcześniej. Wtedy jeszcze nie podjął decyzji – tej, która miała zdecydować o czyjejs śmierci.

Między grobami kręciło się kilka osób. Przyszły z kwiatami, żeby je złożyć na grobie kogoś z rodziny albo może przyjaciela, męża lub dziecka. Grens unikał ich spojrzeń, ale przyglądał się ich ruchom, kiedy wkładały ręce między krzaki i wieńce. Wyglądało to tak, jakby sam się do tego przymierzał. Jednak fakt, że były to obce groby, sprawiał, że nic dla niego nie znaczyły, że nic nie czuł.

Między drzewami i słupkami wisiała taśma policyjna. Grens obniżył ją trochę i unióśł wysoko sztywną nogę. Przy ciężkich drzwiach kościoła czekały cztery osoby. Sundkvist, dwaj umundurowani policjanci z komendy rejonowej w Aspsås i starszy mężczyzna w koloratce.

Ten ostatni wyciągnął rękę i przywitał się z Grensem.

– Gustaf Lindbeck. Jestem tutaj proboszczem.

Grens uśmiechnął się nieznacznie, słysząc, jak wyraźnie mężczyzna wymawia literę „f” w swoim imieniu. Może w moim imieniu powinienem wyraźnie wypowiedzieć literę „w”, pomyślał.

– Grens, komisarz policji kryminalnej w Sztokholmie.

– Czy to pan jest tu za wszystko odpowiedzialny?

Proboszcz pociągnął lekko za taśmę.

– Prowadzę dochodzenie, jeśli o to ksiądz pyta.

Grens też chwycił za taśmę.

– Czy to jakiś problem dla księdza?

– Musiałem już odwołać chrzest i ślub. Za godzinę będzie tu pogrzeb. Muszę wiedzieć, czy będę mógł poprowadzić nabożeństwo.

Grens spojrział na kościół, potem na Sundkvista i na ludzi, którzy klęczeli przed nagrobkami i podlewali kwiatki.

– Proponuję zrobić tak.

Pociągnął lekko za taśmę i prowizorycznie ustawione słupki się przewróciły.

– Muszę jeszcze raz obejrzeć dolny poziom kościoła. Zajmie mi to mniej więcej pół godziny. W tym samym czasie ksiądz, ale nikt inny, może tu przebywać, żeby wszystko przygotować. Kiedy skończymy, usunę barierkę i żałobnicy będą mogli wejść na cmentarz. Jednak z konieczności będę musiał przez kolejną dobę odgrodzić teren wokół wieży. Czy księdzu odpowiada takie rozwiązanie?

Duchowny skinął głową.

– Jestem panu wdzięczny. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Za godzinę mają się odbyć wypominki za zmarłych. Czy mogę użyć dzwonu?

Grens spojrział na wieżę i na ciężki dzwon, który ją wieńczył.

– Proszę bardzo. Dostęp do dzwonu nie jest ograniczony.

Obaj podeszli do otwartych drzwi. Dzwon. Grens spojrział na zadbane cmentarz. Wypominki za zmarłych. Od jej śmierci upłynęło już półtora roku, a on nawet nie wybrał dla niej nagrobka.

Ksiądz ruszył przed siebie i znikł we wnętrzu chłodnej, cichej świątyni. Grens i Sundkvist skręcili tuż za wejściem w prawo. Przy jednej ze ścian nadal stały poustawiane krzesła. Tuż obok jedyne w tym pomieszczeniu okna, nad drewnianym ołtarzem, wisiała mapa.

„Sven?”

„Tak?”

„Chcę tego jeszcze raz posłuchać. O tym, kim jest. Ustalić, do czego jest zdolny”.

„Nie ma nic więcej”.

„Czytaj!”

Grens sięgnął po plan więzienia.

Silne zaburzenia osobowości, postawa antyspołeczna. Brak zdolności do odczuwania empatii.

Grens zwinął rysunek.

Cechy świadczące o znacznej nadpobudliwości, agresywny, brak szacunku dla bezpieczeństwa własnego i innych osób, nie odczuwa wyrzutów sumienia.

Kartkę z rysunkiem wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Już nie będą go potrzebować.

– Ewert, pomóż mi.

Sundkvist zebrał i opróżnił sześć plastikowych kubków po kawie z żółto-czerwonymi naklejkami firmy Shell. W ciągu tamtych kilku godzin decydowali tu o życiu i śmierci innych ludzi. Energii miała im dodać podła kawa przywieziona z pobliskiej stacji benzynowej. Wyszli z pomieszczenia, które już wkrótce zapełni się żałobnikami. Otworzyli drzwi prowadzące na wieżę i rzucili szybkie spojrzenie na pomieszczenie, gdzie miało się odbyć nabożeństwo, a także na proboszcza, który ustawił wózek z Bibliami między dwoma rzędami ławek. Kiedy ich ujrzał, uniósł rękę.

– Chcą panowie iść na górę?

– Tak.

– Ale za dwadzieścia minut zaczyna się msza.

– Zdążymy do tego czasu.

Weszli po schodach, po aluminiowej drabince i nie wiadomo dlaczego wydawało im się, że droga jest dłuższa niż poprzednio. Drzwi prowadzące na galerijkę były otwarte, poruszały się lekko na wietrze, który powiewał nad grobami i trawnikiem. Grens chciał je zamknąć, gdy nagle zobaczył rysę na futrynie, jakby świeży ślad włamania na wysokości klamki. Ślad był wyraźny i Grens przypomniał sobie, jak pierwszy strzelec wyborowy sugerował, że ktoś wyłamał drzwi. Długopisem zaczął dłubać przy drewnianej drzazdze, która zwisała luźno. Nie zdążyła ściemnieć, nie minęło jeszcze zbyt dużo czasu.

Ranna mgła powoli ustępowała; już niedługo niebo będzie równie błękitne jak poprzedniego dnia. Pod niebem wznosiły się szare betonowe klocki zakładu karnego w Aspsås, gdzie nikt się nie śmieje i nikt nie tęskni.

Grens wyszedł na chwiejący się drewniany podest.

„Chcę tego jeszcze raz posłuchać”.

Dwadzieścia cztery godziny temu leżał tu strzelec wyborowy.

Lufę karabinu skierował w głowę innego człowieka.

„Czytaj!”.

*W czasie strzelaniny z policją w Söderhamn na otwartym terenie na obrzeżach miasta uderzył...*

„Wystarczy”.

Podjął decyzję.

Kazał zabić.

WIATR SIĘ WZMAGAŁ, PIEŚCIŁ mu łagodnie twarz. Przez chwilę czuł tylko słońce, które grzało mu policzki. Przyglądał się ptakom, które ścigały coś nad jego głową, coś, czego nie potrafił dojrzeć. Chwytał za poręcz, na chwilę zakreśliło mu się w głowie, jeszcze jeden krok i polecą w dół. Spojrzał na stopę i na kilka czarnych, okrągłych plam, które odbarwiły deskę kończącą się jakieś dziesięć centymetrów za poręczą. Dotknął jej czubkami palców i powąchał je potem. Tak, to smar do oliwienia broni, musiał wycieknąć z lufy karabinu i już na zawsze zabrudził drewnianą podłogę galeryjki.

Grens klęknął i położył się na miejscu, gdzie niedawno leżał strzelec. Łokcie oparł o podłogę, „wziął” do ręki broń i „wycelował” w okno, którego nie było, bo w miejscu okna powstał otwór otoczony pierścieniem sadzy. Sięgał aż po szczyt budynku zwanego Blokiem B.

– To tutaj leżał i czekał na mój rozkaz.

Grens spojrział na Sundkvista.

– Czekał, aż wydam mu rozkaz zabicia.

Wykonał zniecierpliwiony ruch w jego stronę.

– Ty też się tu połóż. Chcę, żebyś to poczuł.

– Nie lubię wysokości. Wiesz o tym.

– Ale tylko się połóż. Poręcz wytrzyma, nic się nie stanie.

Sundkvist wsunął się ostrożnie trochę dalej, żeby nie leżeć zbyt blisko ciężkiego Grensa. Nie cierpiał dużych wysokości, bo jak się spadnie, ma się za dużo do stracenia. Doznawał tego uczucia z każdym rokiem coraz silniej. Czołgał się, przesunął, aż w końcu, kiedy był już blisko, wyciągnął rękę i kurczowo chwycił się poręczy.

Znajdowali się wysoko nad ziemią. Grens ciężko oddychał. Wiał silny wiatr.

Sundkvist zacisnął palce wokół chłodnego metalu i nagle poczuł, że coś się na nim obluzowało i zostało mu w dłoni. Pociągnął mocniej i coś oderwał. Jakiś czworokątny przedmiot pomalowany na czarno, długości trzech albo czterech centymetrów. Z jednej strony wystawał z niego kabel.

– Ewert.

Wyciągnął rękę w stronę Grensa.

– To było przymocowane do poręczy.

Obaj od razu się domyślili, co to jest.

Ogniwo słoneczne.

Pomalowane na czarno, pasowało kolorystycznie do poręczy. Ktoś, kto je w tym miejscu przymocował, nie chciał, żeby zostało znalezione.

Sundkvist pociągnął ostrożnie za czarny kabel, który puścił. Pociągnął mocniej i wyjął spod poręczy okrągły kawałek drutu, mniejszy od pierwszego, średnicy około jednego centymetra.

Elektroniczny nadajnik.

„Kiedy patrzyłem na niego przez lunetę, odnosiłem wrażenie, że wie”.

Nadajnik, kabel, ogniwo słoneczne... Sterner miał rację.

„Że wie, że nie możemy go trafić”.

Sundkvist chwycił za kabel i przez chwilę nim machał. Na moment zapomniał, jak wysoko nad ziemią się znajduje.

– Hoffmann słyszał każde słowo, twoje i Sternera.



GRENS DOKŁADNIE ZAMKNAŁ drzwi od pokoju.

W automacie na korytarzu kupił sobie dwie filiżanki kawy i kanapkę z serem i szynką. Jeszcze teraz czuł ciśnienie wywołane eksplozją i zapach dymu. Nie miał innego wyjścia.

Według zebranych informacji Piet Hoffmann był jednym z niewielu przestępców, którzy stanowili prawdziwe zagrożenie. Grens przeglądał na ekranie monitora dokumenty związane z testami, które pozwalają ustalić, czy dana osoba jest psychopatą. Czytał dane na temat pobytu Hoffmanna w więzieniu, studiował rejestr skazanych z informacją o pięcioletnim wyroku i próbie zabójstwa, jak również o ciężkim pobiciu urzędnika państwowego. Wszedł też do systemu ASPEN, gdzie od razu rzucił mu się w oczy zapis: ZNANY NIEBEZPIECZNY UZBROJONY.

Przecież nie miałem innego wyjścia.

Miał właśnie wyłączyć komputer i wyjść na korytarz, żeby kupić sobie w automacie następną kanapkę z serem i szynką, kiedy jego wzrok zatrzymał się na samym dole ekranu, gdzie znajdował się pierwszy zapis przestępstw popełnionych przez Hoffmanna.

Data, kiedy ostatni raz w rejestrze dokonano zmian.

Grens zaczął liczyć. To przed osiemnastu dniami.

Ale kara została odbyta dziesięć lat wcześniej.

Został w pokoju, chodził od ściany do ściany, od okna do drzwi. Znowu pojawiło się to uczucie. Dość nieprzyjemne. Czuł, że coś się nie zgadza.

Wykręcił numer, którego już dawno nauczył się na pamięć – sekcja pomocy informatycznej. Przy komputerze spędził wiele wieczorów. Klął na czym świat stoi i złościł się z powodu przycisków i znaków, które nie chciały się poddać jego woli.

Zgłosił się jakiś młody policjant. No tak, tacy zawsze są młodzi i zawsze są mężczyznami.

– Mówi Grens. Potrzebuję pomocy.

– Pan komisarz? Chwileczkę.

Grens kilka razy pofatygował się do nich, żeby popatrzeć na to, co mu wyjaśniali, i dlatego wiedział, że dźwięk, który usłyszał, czekając, aż jego rozmówca ponownie się odezwie, przypomina uderzenie metalu o metal. Oznaczało to, że młody policjant – podobnie jak wielu jego kolegów – odstawia puszkę coca-coli na biurko.

– Chciałbym się dowiedzieć, kto dokonał zmiany w rejestrze przestępstw. Czy możesz to sprawdzić?

– Pewnie tak. Ale to podlega pod Urząd Sądownictwa. Musi pan porozmawiać z ich informatykami.

– A jeśli spytam ciebie? W tej chwili?

Młody policjant otworzył kolejną puszkę coli.

– Niech mi pan da pięć minut.

Pięć minut później Grens uśmiechnął się do słuchawki.

– Co znalazłeś?

– Nic, co by wyglądało dziwnie. Zmiany dokonano na jednym z komputerów w Urzędzie Sądownictwa.

– Kto to zrobił?

– Osoba z uprawnieniami. Niejaka Ulrika Danielsson. Chce pan jej numer?

Grens znowu zaczął chodzić po pokoju. Napił się zimnej kawy, której zostało jeszcze trochę na dnie kubka.

W końcu wybrał tamten numer.

– Ulrika Danielsson, słucham.

– Mówi Grens, komenda policji w Sztokholmie.

– Słucham pana.

– Prowadzę dochodzenie. Numer osobowy: siedemdziesiąt dwa, dziesięć, osiemnaście, zero, zero, dziesięć. Chodzi mi o wyrok, który zapadł przed dziesięciu laty.

– O co chodzi?

– Z zapisów wynika, że został niedawno zmieniony. Mówiąc ściślej, osiemnaście dni temu.

– I co?

– To pani dokonała tej zmiany.

W słuchawce zapadła cisza.

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat.

Kobieta była zdenerwowana. Grens nie miał co do tego wątpliwości. Przerwy w rozmowie trwały za długo, jej oddech był zbyt głęboki.

– Nie wolno mi o tym rozmawiać.

– Nie wolno?

– Bo to tajemnica.

– Jaka tajemnica, do cholery?

– Nie powiem więcej nic na ten temat.

Grens zwrócił się do niej spokojnym tonem, a nawet trochę ściszył głos. Czasem taka metoda okazywała się lepsza.

– Chcę wiedzieć, dlaczego wprowadziła pani tę zmianę. I co pani zmieniła.

– Powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

– Pani Ulriko... à propos, czy mogę tak panią nazywać? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Pani Ulriko, jestem komisarzem policji kryminalnej. Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa. A pani pracuje w Urzędzie Sądownictwa. Tajemnicą może się pani zasłaniać przed dziennikarzami, ale nie przede mną.

– Ja...

– Proszę o natychmiastową odpowiedź albo zjawię się u pani za dwa dni. Tyle czasu będę potrzebował na uzyskanie zgody z sądu.

W słuchawce znowu rozległo się głębokie westchnienie. Ulrika nie potrafiła go już ukryć.

– Wilson.

– Wilson?

– Pana kolega z pracy. Musi pan z nim o tym porozmawiać.

Teraz to już nie było przeczucie.

Coś tu naprawdę się nie zgadzało.

GRENS LEŻAŁ NA SŁUŻBOWEJ KANAPIE. Minęło pół godziny, a on naprawdę się starał. Zamknął oczy i starał się odreagować, choć kiedy zaczął, wcale nie chciało mu się spać.

*Nie rozumiem tego.*

Jeden z więźniów zjawił się w pomieszczeniu warsztatowym i stanął przy oknie.

*Dlaczego chciałeś umrzeć?*

Twarz z profilu.

*Jeśli nas słyszałeś, czego Sterner był pewien, i jeśli to, co znaleźliśmy na wieży kościelnej, a co teraz leży na moim biurku, jest sprawnie działającym odbiornikiem, to po co, do jasnej cholery, dwa razy uciekałeś przed śmiercią, a za trzecim postanowiłeś się z nią spotkać?*

Przez cały czas robił wszystko, żeby być dobrze widzianym.

Zdecydowałeś się, ale nie miałeś odwagi?

*To skąd w końcu miałaś tyle odwagi, żeby stać w miejscu i czekać na śmierć? I po co zadbałeś o to, żeby po trafieniu kulą rozerwać się na tysiące drobnych kawałeczków?*

– Śpisz?

Rozległo się pukanie i w drzwiach ukazała się głowa Hermansson.

– Nie za bardzo.

Grens ucieszył się na jej widok. Często mu się to zdarzało, gdy była w pobliżu. Usiadła obok niego na kanapie. W ręce trzymała segregator.

– Mam już gotowy raport w sprawie zabójstwa na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Jestem prawie pewna, że prokurator umorzy sprawę. Dalej się nie posuniemy.

Grens westchnął.

– Mam takie... takie cholernie dziwne przeczucie. Jeśli tak się stanie, będzie to moje trzecie nierozwiązane zabójstwo, odkąd pracuję w tej komendzie.

– Trzecie?

– Jedno z początku lat osiemdziesiątych. Ktoś poćwiartował ciało człowieka. Znaleźli je później rybacy, którzy zarzucali sieci w pobliżu Kastellholmu. Drugie zabójstwo: przed dwoma laty. Martwa kobieta znaleziona w podziemiach szpitala. Weszła tam jakoś poprzez system podziemnych tuneli. Szczury wygryzły jej kawał twarzy.

Grens uderzył lekko ręką w segregator.

– Czy to ja jestem coraz gorszy? A może świat stał się bardziej skomplikowany?

Hermansson spojrzała na niego z uśmiechem.

– Ewert?

– Tak?

– Właściwie to jak długo tu już pracujesz?

– Przecież wiesz.

– Jak długo?

– Od... jeszcze zanim się urodziłaś. Trzydzieści pięć lat.

– A ile prowadziłaś spraw o zabójstwo?

– Chodzi ci o dokładną liczbę?

– Tak.

– Dwieście trzynaście.

– Dwieście trzynaście?

– Wliczając to ostatnie.

Hermansson znowu się uśmiechnęła.

– Trzydzieści pięć lat. Dwieście trzynaście zabójstw. W tym trzy nierozwiązane.

Grens nie odpowiedział. Przecież to nie było pytanie.

– Jedno nierozwiązane na każde dwanaście lat. Myślę, że to całkiem porządnny wynik.

Grens zerknął na nią. Często się nad czymś zastanawiał. Teraz już wie. Jak by to było, gdyby miał syna albo córkę. Mniej więcej taką jak ona.

– Masz coś więcej?

Hermansson otworzyła segregator i wyjęła plastikową koszulkę wpiętą na samym końcu.

– Dwie sprawy.

Z koszulki wyjęła dwa dokumenty.

– Prosiłam mnie, żebym sprawdziła wszystkie wychodzące rozmowy z więzienia między ósmą czterdzieści pięć a dziewiątą czterdzieści pięć i między trzynastą trzydzieści a czternastą trzydzieści.

Po lewej stronie kartki kolumna cyfr, po prawej kolumna z nazwiskami.

– Trzydzieści dwie rozmowy, chociaż w więzieniu ograniczano liczbę prowadzonych rozmów wychodzących.

Hermansson przesuwiała palcem po długiej kolumnie cyfr.

– Trzydzieści z nich wykluczyłam. Jedenaście rozmów, które pracownicy prowadzili z kimś z rodziny, na przykład żeby poinformować, że spóźnią się do domu. Osiem rozmów do nas, na policję,

na komendę rejonową w Aspsås i do policji miejskiej w Sztokholmie. Trzy rozmowy do więzienia w Norrköping. Cztery rozmowy do rodzin więźniów, którzy zamierzali odwiedzić ich w zakładzie, z informacją, żeby zjawili się w innym terminie.

Hermansson spojrzała na Grensa.

– ...cztery rozmowy do wielkich dzienników pod numer kontaktowy z czytelnikami.

Grens pokręcił głową.

– Mniej więcej ta sama częstotliwość co zwykle. Mam na myśli naszych kolegów, którzy informują media. Bo to oni dzwonili?

Hermansson zaśmiała się.

– Według rzecznika wymiaru sprawiedliwości należy to uznać za szukanie źródeł informacji. A ja uważam to za przestępstwo, które powinno być karane więzieniem.

– A więc to nasi koledzy z policji donieśli.

Hermansson kontynuowała.

– Wszystkich skreśliłam. Otrzymałam trzydzieści wiarygodnych wyjaśnień.

Przesunęła palec na kolumny na samym dole.

– Pozostają dwie rozmowy. Jedną przeprowadzono przed południem, o dziewiętej dwadzieścia trzy, jedną po południu, o czternastej dwanaście. Połączenia wykonano z zakładu karnego w Aspsås do abonenta zarejestrowanego w firmie Ericsson, oddział w Västberga.

Kolejna plastikowa koszulka, ręcznie sporządzone zapiski na kartce z notatnika.

– Sprawdziłam wszystkie. Dział kadr firmy Ericsson poinformował mnie, że numer ten przypisany jest do niejakiej Zofii Hoffmann.

Grens odchrząknął.

– Hoffmann?

– Żony Pieta Hoffmanna.

Hermansson odwróciła kartkę na drugą stronę. Tam też były jakieś odręczne notatki.

– Sprawdziłam dane osobowe, jakie udało mi się zdobyć. Zofia Hoffmann jest zameldowana przy Stockrosvägen w Enskede. Według pracodawcy... firma nazywa się właściwie Ericsson Enterprise AB... Hoffmann wyszła z pracy wczoraj przed lunchem.

– To znaczy w czasie, gdy trwał dramat zakładników.

– Tak.

– Między jedną rozmową a drugą.

– Tak.

Grens wstał z kanapy i wyprostował plecy. W tym czasie Hermansson sięgnęła po kolejną kartkę.

– Według urzędu skarbowego Hoffmannowie mają dwóch chłopców, którzy za dnia przebywają w przedszkolu w Enskededalen. Około piątej odbiera ich któreś z rodziców. Tamtego dnia, dwie godziny zanim jej mąż został zastrzelony, dokładnie dwadzieścia minut po wyjściu z pracy, pani Hoffmann odebrała chłopców znacznie wcześniej niż zwykle i nawet nie rozmawiała z paniami w przedszkolu. Sprawiała wrażenie przemęczonej, tak przynajmniej opisały ją dwie przedszkolanki. Unikała ich wzroku i nie odpowiadała na pytania.

Hermansson przyglądała się, jak wielkie ciało Grensa najpierw się pochyliło, a potem wyprostowało. Było to proste ćwiczenie gimnastyczne, którego musiał się nauczyć chyba z pół wieku wcześniej.

– Wysłałam do mieszkania patrol. To willa z lat pięćdziesiątych, kilka minut na południe od miasta. Zaglądaliśmy przez okna, dzwoniliśmy do drzwi, otworzyliśmy skrzynkę pocztową z dzisiejszą gazetą i wczorajszą pocztą. I nic. Zupełnie nic, co mogłoby świadczyć, że ktoś z rodziny był tam od wczorajszego popołudnia.

Grens zrobił kolejne dwa skłony.

– Sprawdźcie ją.

– Już to robimy. Zofia Hoffmann jest poszukiwana od pół godziny.

Grens znowu przez chwilę stał nieruchomo, skinął lekko głową, co w jego wydaniu oznaczało pochwałę.

– Hoffmann do niej dzwonił i ostrzegł ją. Chciał ją ochronić przed konsekwencjami swojej śmierci.

HERMANSSON ZAMKNEŁA DRZWI i wyszła na korytarz. Przeszła kilka kroków, gdy nagle zatrzymała się, zawróciła i znowu otworzyła drzwi.

– Jest jeszcze coś.

Grens nadal stał na środku pokoju.

– O co chodzi?

– Mogę wejść?

– Nigdy wcześniej nie pytałaś o pozwolenie.

Nie zabrzmiało to najlepiej.

Szykowała się przez cały ranek, a jednak wyszła z pokoju i nie poruszyła tej sprawy.

– Dotarła do mnie wiadomość niezwyklej wagi. Powinieneś ją otrzymać już wczoraj. Niestety, nie zdążyłam ci jej przekazać.

Hermansson nie zwykła tracić kontroli albo pewności siebie, że to, co zrobiła, było słuszne.

– Właśnie szłam do ciebie. Najpierw biegłam więziennym korytarzem, potem podjechałam samochodem pod kościół. Tak szybko, jak tylko się dało.

Nie lubiła tego uczucia. Zwłaszcza wtedy, gdy była w pokoju Grensa.

– Dzwoniłam do ciebie, ale miałeś wyłączony telefon. Wiedziałam, że o wszystkim rozstrzygną minuty, a nawet sekundy. Słyszałam ciebie i strzelca wyborowego w krótkofalówce. Twój rozkaz. I odgłos strzału.

– Wiesz co?

– Co?

– Przejdź do rzeczy.

Spojrzała na niego. Była zdenerwowana.

– Kazałeś mi porozmawiać z Oscarssonem. Zrobiłam to. W całą tę sprawę z Hoffmannem zamieszana jest jeszcze jakaś osoba. Ktoś wydał polecenie Oscarssonowi, ktoś nim kierował.

Hermansson nauczyła się odczytywać myśli z jego twarzy. Wiedziała, co to oznacza, gdy policzki robią się czerwone i gdy żyła na skroni zaczyna mu pulsować.

– Wieczorem w dniu poprzedzającym cały ten dramat ktoś polecił Oscarssonowi, aby umożliwił spotkanie pewnego adwokata z jednym z więźniów na tym samym oddziale, gdzie siedział Hoffmann. Kazano mu też nie dopuścić do tego, abyś ty albo jakikolwiek inny policjant go przesłuchiwał lub nawet się z nim widział. Polecono mu przenieść Hoffmanna z powrotem na oddział, na który go wcześniej przyjęto, chociaż więźniów, którym ktoś groził, nigdy nie przenosi się na poprzednie miejsce. Otrzymał też polecenie, aby nie otwierał bramy, gdyby Hoffmann ewentualnie domagał się jej otworzenia.

– Co ty mi tu, do diabła...

– Będę z tobą szczerą. Otrzymałam te informacje, ale nie zdążyłam ci ich przekazać. A potem nastąpił wybuch. A później wszystko to, czego się dowiedziałam, przestało mieć znaczenie.

Grens położył rękę na jej ramieniu. Nigdy wcześniej tego nie robił.

– Jestem cholernie wkurzony. Ale nie na ciebie. Postąpiłaś słusznie. Muszę jednak wiedzieć kto.

– Co kto?

– Kto wydał mu te polecenia!



- Nie wiem.
- Jak to, nie wiesz?!
- Oscarsson nie chciał mi powiedzieć.

Grens prawie przebiegł od biurka do regału. Niestety, znalazł tam tylko kurz. Ani magnetofonu, ani kaset już tam nie było. Muzyki, która przez wszystkie lata była dla niego pocieszeniem i dodawała mu sił. To właśnie w takich chwilach potrzebował jej najbardziej, gdy złość zamieniała się we wściekłość. Teraz wypełniła całe jego ciało i pozostanie tam tak długo, aż się dowie, kto zrobił z niego pożytecznego idiotę, kto go wykorzystał do zabicia Hoffmanna.

- Gdybym wiedział o tym wszystkim wtedy, nie wydałbym rozkazu. Spojrzał na Hermansson.
- Gdybym wtedy wiedział to co teraz... Hoffmann nadal by żył.

BRAZOWY KUBEK WYPEŁNI SIĘ za chwilę czarną, mocną i gorzką kawą. Maszyna jak zwykle zazgrzytała; najgłośniej słychać to pod sam koniec, gdy nie chce wydać z siebie ostatniej kropli kawy. Göransson wypił kawę od razu na korytarzu. Widział, jak Hermansson wychodzi z pokoju Grensa z segregatorem pod pachą, i wiedział, o czym rozmawiali. Zrobili dokładnie to, co powinni zrobić: starali się dojść prawdy po dramacie, jaki rozegrał się w więzieniu.

*Przestałem w tym brać udział.*

Mocniej objął kubek, gorący napój wylał mu się na nadgarstek.

*Wycofałem się z tego.*

Dopił kawę i wrzucił kubek do kosza. Przywitał się z Sundkvistem, który akurat przechodził korytarzem i też miał pod pachą segregator. Kierował się do tego samego pokoju, z którego wyszła Hermansson. Do pokoju Grensa.

SUNDKVIST OD RAZU ZOBACZYŁ jego zaczerwienione policzki i pulsującą skroń.

Grensa znał lepiej niż ktokolwiek inny w tym budynku. Wiedział, czym jest złość jego bezpośredniego przełożonego, i nauczył się, jak sobie z nią radzić. Kiedy Grens zaczynał się wydzierać i kopać w kosz, nic do niego nie docierało. Nie miało to nic wspólnego z nim samym. Ścigał tylko własne demony.

- Nie wyglądasz na zadowolonego.

– Idź potem do Hermansson, kiedy skończysz. Ona ci wszystko wyjaśni. Ja już dłużej tego nie wytrzymam.

Sundkvist spojrzał na człowieka leżącego na podłodze. Już dzisiaj się widzieli, wczesnym rankiem. Wtedy Grens nie był w tak fatalnym humorze. Coś musiało się zdarzyć.

– Co wiesz o Wilsonie?

– O Eriku?

– A czy jest na tym pieprzonym piętrze jakiś inny Wilson?

To już inny rodzaj złości. Wyraźny, świadomy. Grens wkurzał się z wielu powodów, ale najczęściej jego wybuchy nie docierały do celu. Tym razem zezłościł się na poważnie i dlatego Sundkvist nie mógł tego zlekceważyć.

Muszę potem iść do Hermansson, pomyślał.

– Nie znam go, chociaż pracujemy tutaj równie długo. Jakoś tak wyszło. Odnoszę jednak wrażenie, że to mądry facet. Dlaczego pytasz?

– Usłyszałem dziś jego nazwisko w niewłaściwym kontekście.

– Co masz na myśli?

– Później ci powiem.

Sundkvist przestał się dopytywać. I tak Grens mu nie odpowie.

– Mam już pierwszy raport w sprawie Hoffmann Security AB. Jesteś zainteresowany?

– No pewnie.

Sundkvist położył na biurku dwie kartki.

– Chciałbym, żebyś na to zerknął. Czy możesz podejść?

Grens stanął obok niego.

– To niewielka spółka z kilkoma udziałowcami, składa corocznie sprawozdanie finansowe, statut wygląda całkiem normalnie. Później mogę poszukać czegoś więcej, jeśli będziesz chciał dokładniej przyjrzeć się wynikom.

Sundkvist wskazał na drugą kartkę.

– Popatrz jednak na to. I zapoznaj się z tym od razu, tutaj.

Na kartce znajdował się rysunek i jakieś wykresy.

– Struktura własnościowa. To ona powinna nas zainteresować. Zarząd składa się z trzech osób. Piet Hoffmann, Zofia Hoffmann i polski obywatel, Stanisław Rosłonec.

Polski obywatel.

– Sprawdziłem go. Mieszka w Warszawie, jego nazwisko nie pojawia się w żadnych zagranicznych rejestrach skazanych. Najciekawsze jest jednak to, że Rosłonec pracuje w firmie o nazwie Securitus International.

Securitus International!

Grens spoglądał na wykres przyniesiony przez Svena, ale cały czas miał przed oczami lotnisko w Danii i komisarza policji kryminalnej, Jacoba Andersena.

To już osiemnaście dni.

Siedzieli wtedy w salce na posterunku policji na lotnisku Kastrup i zajadali ciasteczka. Andersen opowiadał mu o duńskim informatorze, który miał przeprowadzić transakcję zakupu amfetaminy w mieszkaniu w Sztokholmie. Mieli tam być także dwaj Polacy i ich szwedzki kontakt.

Szwedzki kontakt.

– O kur...! Sven, poczekaj chwilę!

Grens wyciągnął szufladę i wyjął z niej odtwarzacz z płytą CD, na której Krantz zapisał tamten głos. Założył słuchawki na uszy i znowu zaczął słuchać trzech zdań, które znał już na pamięć.

„Martwy mężczyzna. Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Piąte piętro”.

Grens zdjął słuchawki i nałożył je Sundkvistowi na głowę.

– Posłuchaj.

Ten wiele razy analizował to nagranie.

– A teraz to.

Głos, który zachował się na jednej ze ścieżek dźwiękowych w komputerze. Obaj go słyszeli, kiedy dobieg wcześniej czekali na cmentarzu.

„Zabiję za trzy minuty”.

Jeden głos szeptał „zabito”, drugi wykrzykiwał „zabiję”. Kiedy jednak dokładniej przysłuchali się obu tym słowom i porównali sposób, w jaki ta osoba wypowiadała głoskę „z” i „b”, doszli do podobnego wniosku.

To ten sam głos.

– To on.

– Jasne, że on! To Hoffmann był w tamtym mieszkaniu. To on nas zawiadomił!

Grens skierował się w stronę drzwi.

Securitus International to polska mafia. Hoffmann Security AB ma z tą firmą powiązania.

Zaparkował na Bergsgatan. Zszedł szybko schodami, chociaż winda była wolna.

W takim razie dlaczego nas powiadomił?

Dlaczego w więzieniu zastrzelił kumpla, a drugiego rozniósł na strzępy?

Grens ruszył w stronę centrum. Zamierzał odwiedzić człowieka, za którego śmierć odpowiadał.

ZATRZYMAŁ SAMOCHÓD NA PASIE dla autobusów przed wejściem do budynku przy Vasagatan 42.

Dwie minuty później w szybę zastukał Krantz.

– Coś konkretnego?

– Jeszcze nie wiem. Mam jakieś przeczucie. Może za godzinę czegoś się dowiem.

– Masz, przechowaj je na razie. Dam ci znać, jeśli będę ich potrzebował.

Mówiąc to, Krantz podał Grensowi pęk kluczy do mieszkania. Ten schował je do kieszeni marynarki.

– Aha, jeszcze jedna sprawa.

Krantz zatrzymał się na chodniku i powiedział:

– Stwierdziłem obecność dwóch rodzajów materiałów wybuchowych: pentrytu i nitrogliceryny. To pentryt wywołał eksplozję i falę uderzeniową, która wyrwała okno, a także wysoką temperaturę, od której zapaliła się ropa. Nitroglicerynę umieszczono na gołej skórze któregoś z nich. Na razie jeszcze nie wiem, czyja to była skóra.

Grens wszedł po schodach do jednego z wielu mieszkań w budynku znajdującym się w centrum miasta, który wybudowano na przełomie XIX i XX wieku, właściwie w pierwszych latach XX wieku. Budynki te sprawiły, że wygląd stolicy bardzo się zmienił.

Zatrzymał się przed drzwiami mieszkania na drugim piętrze.

Hoffmann Security AB. Wszędzie ta sama metoda. Firma ochroniarska jako przykrywka dla wschodniej mafii.

Drzwi otworzył kluczem, który dał mu Krantz.

Ładne mieszkanie, błyszczący parkiet, wysokie budownictwo, pobiałkowane ściany.

Wyrzął przez okno, skąd rozciągał się widok na most Kungsbron i na Vasateatern. Jakaś starsza para szła na wieczorne przedstawienie. On też wielokrotnie o tym myślał, ale nigdy nie znalazł czasu.

*Skazano cię za handel narkotykami. Ale nie byłeś dealerem narkotyków.*

Przeciął przedpokój i wszedł do tej części mieszkania, która była kiedyś dużym pokojem dziennym. Teraz urządzono tam gabinet z dwoma szafami na broń. Wisiały na ścianie koło kominka.

*Miałeś powiązania z firmą Securitus International, ale nie należałeś do mafii.*

Grens usiadł w fotelu przy biurku. Domyślił się, że to fotel Hoffmanna.  
*Byłeś kimś innym.*

Wstał i zaczął chodzić po mieszkaniu. Zaglądał do pustych szaf na broń, dotknął wyłączzonego alarmu, wypłukał brudne szklanki po drinkach.

*Kim?*

KIEDY WYCHODZIŁ Z SIEDZIBY Hoffmann Security AB, zajrzał do pomieszczeń, które według raportu należały do mieszkania. Otworzył piwnicę, gdzie uderzył go silny zapach wilgoci, a potem obszedł cały strych pod rurą wentylacyjną, która szumiała mu nad głową. Szukał tam komórki, ale znalazł w niej tylko młotek i śrubokręt, które leżały na stosie używanych opon.

Zrobiło się późno. Zastanawiał się, czy nie powinien przejechać ostatniego kilometra, jaki dzielił go od własnego mieszkania na Sveavägen, ale złość i niepokój okazały się silniejsze niż zmęczenie. Tej nocy też chyba nie zaśnie.

Korytarz sekcji dochodzeniowej świecił pustkami. Te pierwsze wieczory lata jego koledzy woleli spędzać ze szklaneczką alkoholu w którymś z ogródków piwnych albo iść na długi spacer do domu, niż tkwić w brzydkim pokoju na komendzie wśród segregatorów z aktami dwudziestu czterech równoległe toczących się dochodzeń, łapiąc kolejne nadgodziny, za które nikt im nie zapłaci. Grens nie czuł się wyobcowany, nie odczuwał tęsknoty albo braku czegośkolwiek. On po prostu już dawno temu postanowił, że nie będzie w tym wszystkim uczestniczył. A przecież gdy się dokonuje własnego wyboru, samotność nigdy nie jest taka straszna. Dziś wieczorem zajmuje się strzałem oddanym w więzieniu, jutro wieczorem zajmie się innym strzałem. Zawsze toczy się jakieś śledztwo, które dla ofiary dotkniętej nieszczęściem oznacza traumę, podczas gdy prowadzący dochodzenie uczestniczy w niej na odległość. Podszedł do automatu z kawą i wyjął dwa czarne plastikowe kubki, gdy nagle zatrzymał wzrok na swojej służbowej przegródce z pocztą. Ujrzał w niej dużą kopertę wśród stosu innej, nieotwartej korespondencji. Za dużo tu głupich reklam. Wyjął kopertę i zważył ją w ręce. Niezbyt ciężka. Odwrócił ją, ale nie znalazł nazwiska nadawcy. Za to z łatwością odczytał własne nazwisko i adres; charakter pisma wskazywał, że pisał to

mężczyzna. Grens był tego pewien. Pismo nieregularne i kanciaste, litery prawie ostre. Prawdopodobnie pisane flamastrem.

Grens położył brązową kopertę na środku biurka i zaczął jej się przyglądać. Jednocześnie napił się kawy z pierwszego kubka. Czasami człowiek ma przeczucie i nie da się tego racjonalnie wyjaśnić. Otworzył szufladę i wyjął torebkę z gumowymi rękawiczkami, włożył je i palcem rozdarł kopertę wzdłuż brzegu. Ostrożnie zajrzał do środka, ale nie znalazł tam ani listu, ani innych papierów. Doliczył się za to pięciu różnych przedmiotów. Wyciągał je po kolei i kładł przed sobą na biurku wśród teczek z aktami dochodzeń.

Wypił jeszcze pół kubka kawy.

Zaczął od lewej strony. Trzy paszporty. Czerwone tło i złote litery. Unia Europejska, Szwecja. Paszport. Prawdziwe szwedzkie paszporty wystawione przez wydział paszportowy policji w Sztokholmie.

Zdjęcia zrobione w zwykłym automacie. Trzy razy ta sama twarz. Różne nazwiska, różne numery osobowe.

Twarz należąca do martwej osoby. Pieta Hoffmanna.

Grens rozsiadł się w fotelu i spojrzał w okno. Na zewnątrz paliły się lampy uliczne, które rozświetlały proste, puste alejki wewnętrznego dziedzińca Kronobergu.

*Czy to ty?*

Podniósł kopertę, odwrócił ją.

*Czy to przesyłka od ciebie?*

Przysunął ją bliżej siebie i przejechał delikatnie czubkami palców po przedniej stronie. Brakuje znaczków pocztowych. W prawym górnym rogu ujrzał coś, co przypominało stempel pocztowy. Długo mu się przyglądał. Litery były trudne do odczytania, tekst się częściowo zatarł. FRANKFURT. Był tego pewien. Do tego sześć cyfr: 2, 3, 4, 2, 1, 2. Na końcu coś jakby symbol, może ptak albo samolot.

Reszta napisu była całkowicie zamazana.

Grens wyciągnął szufladę i wyjął z niej plastikową koszulkę z listą numerów telefonicznych. Horst Bauer, Bundeskriminalamt, Wiesbaden. Wiele słyszał o niemieckim komisarzu policji kryminalnej, z którym współpracował jakiś czas temu w sprawie dotyczącej grupy porzuconych rumuńskich dzieci. Bauer był akurat w domu, jadł kolację, ale zaoferował pomoc. Grens czekał przy słuchawce, jedzenie stygło, ale po wykonaniu trzech krótkich rozmów telefonicznych Bauer potwierdził, że koperta, która trafiła do skrzynki Grensa, została prawdopodobnie wysłana z biura firmy kurierskiej na lotnisku we Frankfurcie nad Menem.

Grens podziękował i odłożył słuchawkę.

Jedno z największych lotnisk na świecie.

Westchnął głośno.

*Czy to ty? Czy to przesyłka od ciebie? Czy polecieś komuś, aby ją wysłał po twojej śmierci?*

Na biurku leżały jeszcze dwa przedmioty. Pierwszy z nich nie miał nawet centymetra długości. Grens wziął go w rękę osłoniętą gumową rękawiczką. Odbiornik, słuchawka na uszy. Sprzęt elektroniczny do podsłuchiwania rozmów wyłapywanych przez nadajnik tej samej wielkości.

Boże!

Przecież od chwili, kiedy Sundkvist trzymał w ręce taki nadajnik, nie minęło nawet dwanaście godzin. Do nadajnika podłączony był czarny kabelek i ogniwo słoneczne w tym samym kolorze.

Poręcz na kościelnej wieży. Tysiąc pięćset metrów od okna w warsztacie.

Grens sięgnął na półkę za biurkiem i wziął stamtąd plastikową torebkę, której nie wprowadził jeszcze na listę przedmiotów związanych z dochodzeniem, a nawet nie przekazał jej do działu technicznego. Wyjął ze środka zawartość, wybrał numer zegarynki i gdy usłyszał charakterystyczny głos, odłożył słuchawkę koło nadajnika. Potem wyszedł z pokoju i zamknął drzwi, przyłożył odbiornik do ucha i wsłuchiwał się w głos, który co dziesięć sekund informował, która jest godzina.

Działa.

Odbiornik, który wyjął z koperty, był ustawiony dokładnie na tej samej częstotliwości co nadajnik znaleziony na kościelnej wieży.

Na biurku został jeszcze jeden przedmiot. Płyta CD.

Grens wziął ją do ręki. Nie było na niej żadnych napisów ani informacji o nagraniu.

Włożył płytę do komputera.

„Kancelaria Rządu, wtorek, dziesiąty maja”.

Ten sam głos.

Dwie godziny wcześniej on i Sundkvist słyszeli ten sam głos. Należał do człowieka, który powiadomił ich o zabójstwie. I do tego samego, który groził, że zabije.

Do Hoffmanna.

Grens wypił resztę kawy. Może przynieść sobie kolejną porcję?

Za chwilę. Spojrzał na ekran. Za siedemdziesiąt osiem minut i trzydzieści cztery sekundy.

Kiedy odsłucha całe nagranie.



TRZECI KUBEK Z KAWĄ stał już na stole.

Przyniósł sobie trzecią porcję, ale chyba okaże się niepotrzebna. To, co ciążyło mu na piersi i przyprawiało o zawrót głowy, nie miało nic wspólnego z kofeiną.

Legalna akcja policji zamieniała się w usankcjonowaną przez prawo zbrodnię.

Znowu zaczął odsłuchiwać nagranie.

Na początku szumy, odgłos kroków. Słysząc, jak mikrofon ociera się o materiał spodni. Po jedenastu minutach i czterdziestu siedmiu sekundach – Grens sprawdził to na podziałce nagrania widocznej na ekranie monitora – dwa głosy, przygłuszone, bo mikrofon się zsunął na wysokość nóg. Hoffmann kilka razy starał się podejść bliżej źródła dźwięku. Słysząc, jak powoli wysuwa nogę w stronę mówiącej osoby, jak ustawia się blisko niej.

„Przeczytałam raport w tej sprawie... ale sądziłam, że chodzi o... kobietę?”

Jedyny głos, którego nigdy wcześniej nie słyszał.

Kobieta w wieku czterdziestu, może pięćdziesięciu lat. Łagodny głos wypowiada twardo brzmiące zdania. Grens był pewien, że gdyby znowu go usłyszał, na pewno by go rozpoznał.

„Tak się nazywam. Gdy biorę udział w jakiejś operacji”.

Głos, który słysząc najwyraźniej. Właściciel mikrofonu.

Hoffmann. Tutaj jednak używa pseudonimu „Paula”.

„Paula ma działać w środowisku więziennym, musimy więc zrobić z Hoffmanna groźnego przestępcę”.

Trzeci głos.

Brzmi dość przyjaźnie i nie pasuje do twarzy jego kolegi, który urzęduje na tym samym korytarzu, kilka metrów od jego pokoju. Tuż na początku śledztwa w sprawie zbrodni na Västmannagatan 79 wpadł jakby przypadkiem do pokoju Grensa, żeby o coś zapytać, a przy okazji skierować jego uwagę na fałszywy tor.

Grens uderzył ze złością dłonią w biurko.

Erik Wilson.

Znowu walnął w biurko, tym razem obiema rękami, zaklął głośno, aż echo rozniosło się po pokoju.

Zostały jeszcze dwa głosy.

Dwa rozpoznał od razu, bo należały do osób zajmujących wysokie stanowiska w policyjnej strukturze i stanowiły ogniwa łączące policję z Kancelarią Rządu.

„Paula nie ma czasu, żeby go wiązano z dochodzeniem dotyczącym Västamannagatan”.

Ostry głos kogoś, kto mówi przez nos, trochę podniesiony.

Komendant główny policji.

„Chcę wiedzieć jak”.

Głęboki, donośny głos, ktoś, kto nie połyka głosek, rozciąga samogłoski.

Göransson.

Grens zatrzymał nagranie i wypił resztę kawy. Była jeszcze ciepła i rozgrzała mu usta, przełyk i żołądek. Nie czuł jednak ani zimna, ani ciepła, tylko drżał, podobnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy słuchał tamtego nagrania. Za chwilę znowu wyjdzie na korytarz dolać sobie kawy, aż będzie w stanie odczuwać coś innego niż dławiącą go złość.

Spotkanie w Rosenbad.

Ze stojaka na długopisy wyjął flamaster i na podkładce leżącej na blacie biurka narysował czworokąt i pięć kółek.

Stół konferencyjny i pięć głów.

Pierwsza należy prawdopodobnie do pani podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Druga do osoby o pseudonimie Paula, trzecia do oficera prowadzącego Paulę. Czwarta do komendanta głównego policji. Piąta do Göranssona, który jest bezpośrednim przełożonym jego i Erika Wilsona, sprawuje bezpośredni nadzór nad ich pracą i przez cały czas wiedział, dlaczego na niektóre pytania związane z zabójstwem przy Västmannagatan 79 nadal brakuje odpowiedzi.

Byłem dla nich wszystkich pożytecznym idiotą, pomyślał Grens.

Zdjął z biurka pomazaną podkładkę i rzucił ją na podłogę.

Byłem cholernie pożytecznym idiotą.

Jeszcze raz puścił sobie nagranie, żeby posłuchać słów, które już słyszał.

„Tak się nazywam. Gdy biorę udział w jakiejś operacji”.

*Nie należałeś do mafii. Byłeś jednym z nas. Zatrudniliśmy cię, żeby rozbić mafię. A ja cię zamordowałem.*

NIEDZIELA

WIELKI ZEGAR NA WIEŻY kościoła w Kungsholmen wybił wpół do pierwszej w nocy. Grens wyjechał samochodem z komendy i ruszył w kierunku siedziby rządu w Rosenbad. Była pogodna, ciepła noc, ale on tego nie zauważał. Już wiedział, co stało się na Västmannagatan 79. Wiedział, dlaczego Hoffmann trafił do Aspsås. Wiedział także, dlaczego ludzie, którzy go tam posadzili, spotkali się nagle w siedzibie rządu i razem z szefem dochodzeniówki, który za całą tę sprawę odpowiadał, starali się znaleźć jakieś administracyjne rozwiązanie, żeby Hoffmanna zabić.

Piet Hoffmann stał się dla nich niebezpieczny.

Znał całą prawdę o zabójstwie, które było dla nich mniej ważne niż kontynuowanie infiltracji środowiska przestępczego.

Kiedy Grens zaczął wiązać nazwisko Hoffmanna ze śledztwem i chciał go przesłuchać, ten stał się dla nich jeszcze bardziej niebezpieczny.

Wsypali go.

Jednak przeżył zamach na swoje życie w więzieniu, wziął zakładników i zaczął im się pokazywać w oknie warsztatu.

*Nagrałeś całe tamto spotkanie i wysłałeś je do mnie. To głosy tych, którzy postanowili o twojej śmierci.*

Zaparkował samochód na Fredsgatan, w pobliżu budynku, z którego najważniejsi urzędnicy w państwie rządzą Szwecją. Za chwilę tam pójdzie. Właśnie odsłuchał nagranie ze spotkania, które odbyło się dwadzieścia jeden dni wcześniej w jednym z tutejszych pomieszczeń.

Wyjął telefon i wybrał numer Sundkvista. Trzy sygnały. W końcu usłyszał odchrząknięcie osoby wybudzonej ze snu.

– Słucham?

– Sven, to ja. Chciałbym...

– Ewert, ja śpię. Śpię od ósmej. Mam za sobą nieprzespaną poprzednią noc, nie pamiętasz?

– Dzisiaj też za długo sobie nie pośpisz. Polecisz do południowej Georgii w Stanach Zjednoczonych, twój samolot odlatuje z Arlandy za dwie i pół godziny. Będiesz...

– Ewert...

Sundkvist usiadł w łóżku, teraz łatwiej będzie mu rozmawiać, kiedy klatka piersiowa i płuca nie są w niewygodnej pozycji.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, żebyś się wreszcie obudził i ubrał. Spotkasz się z Wilsonem i wydobędziesz z niego potwierdzenie, że spotkanie, o którym wiemy, rzeczywiście się odbyło. Zadzwoń do ciebie za godzinę. Będziesz już wtedy siedział w taksówce i odsłuchiwał nagranie, które wyślę ci na skrzynkę. Od razu zrozumiesz, o co tu chodzi.

Grens wyłączył silnik i wysiadł z samochodu.

Drzwi prowadzące do siedziby rządu zrobione były ze szkła. Kiedy przyszedł tutaj za dnia, otwierały się automatycznie. Teraz były zamknięte, więc wcisnął dzwonek połączony z biurem ochrony.

– Słucham?

– Komisarz policji kryminalnej Grens z komendy policji miejskiej. Chciałbym obejrzeć pewne nagrania z waszego monitoringu.

– Teraz?

– A ma pan coś innego do roboty?

W domofonie rozległy się szумы i trzaski. Ochroniarz przeglądał jakieś papiery koło mikrofonu.

– Powiedział pan: Grens?

– Może mnie pan zobaczyć w kamerze. A tu jest moja legitymacja służbowa, ją też może pan obejrzeć.

– Nie mam pana na liście osób zgłoszonych do wpuszczenia. Dlatego najpierw muszę zobaczyć pańską legitymację. Dopiero potem zastanowię się, czy pozwolę tu panu zostać, czy też poproszę, żeby pan przyszedł rano.

GRENS PRZYSPIESZYŁ, BO ZA Roslagstull droga E18 prowadząca na północ była prawie pusta. I dlatego nie zwracał uwagi na znaki z ograniczeniem prędkości do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Najpierw sprawdził dziennik prowadzony przez firmę ochroniarską, gdzie wpisywano nazwiska osób odwiedzających urzędników pracujących w Rosenbad.

Pani podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości przyjęła we wtorek dziesiątego maja cztery osoby. Wszystkie zjawily się na miejscu w ciągu dwudziestu minut. Najpierw komendant główny policji, potem Göransson, trochę później Wilson i na samym końcu czwarta z osób. Po charakterze pisma trudno było odcyfrować nazwisko, ale po chwili Grens i ochroniarz doszli do wniosku, że o piętnastej trzydzieści sześć do książki wpisał się Piet Hoffmann.

Grens minął Danderyd, Täby, Vallentunę i po raz trzeci w ciągu tej samej doby znalazł się w pobliżu Aspsås. Jednak tym razem celem jego wizyty nie był ani zakład karny, ani kościół, tylko szeregowiec i człowiek, który w nim mieszkał. Postanowił, że nie wyjdzie, dopóki nie usłyszy odpowiedzi na to jedno pytanie.

Po sprawdzeniu wpisów w książce wejść Grens zażądał, aby pokazano mu nagrania z kamer nadzorujących Kancelarię Rządu i wszystkie osoby wchodzące i wychodzące. Od razu rozpoznał całą czwórkę. Najpierw zapamiętała ich kamera przy wejściu do budynku, koło stanowiska ochrony, gdy wpisywali się do książki wejść. Żaden z nich nie popatrzył w górę. Potem nagrała ich kamera umocowana na wysokości twarzy w korytarzu na trzecim piętrze, naprzeciwko gabinetu pani podsekretarz stanu. Na nagraniu widać było, jak w odstępie dwóch minut komendant i Göransson pukają do drzwi i wchodzi do środka. Wilson zjawił się prawie dwadzieścia minut później, a Hoffmann siedem minut po nim. Hoffmann wiedział, gdzie ulokowana jest kamera, zauważył ją wcześniej. Spoglądał w jej obiektyw dość długo, ale zrobił to celowo, chciał być nagrany i zapamiętany.

Grens zapukał do drzwi, ale nie od razu został wpuszczony. Kazano mu poczekać chwilę na korytarzu. Musiał się tam poddać kontroli, takiej samej, jakiej Göransson poddał Hoffmanna. Ledwo potrafił usiedzieć w spokoju, kiedy uświadomił sobie, że dźwięk, który usłyszał na nagraniu mniej więcej dziewięć minut od jego rozpoczęcia, został wywołany przez Göranssona, który, przeszukując Hoffmanna, dotknął ręką mikrofonu.

Grens nadal jechał z dużą prędkością. W końcu, kiedy w mroku ukazała się tabliczka z nazwą Aspsås, przyhamował.

Jeszcze dwa kilometry. Uśmiechnął się do siebie.

Była niedziela, pierwsza w nocy. Nie miał zbyt wiele czasu, ale chyba zdąży. Do poniedziałkowego poranka została jeszcze doba. Dostanie wtedy raport z firmy ochroniarskiej w sprawie nagrania w Kancelarii Rządu.

Do tej pory miał tylko nagrane głosy. Wkrótce dostanie też nagranie wideo, na którym będzie widać konkretne osoby.

Już niedługo udowodni związek między trzema uczestnikami spotkania a poleceniami, jakie naczelnik więzienia otrzymał przed dramatem, który rozegrał się w podległym mu zakładzie karnym, i po nim. Po dramacie zakończonym śmiercią człowieka.

DZIAŁKA W DZIELNICY WILLOWEJ, a na niej szeregowiec.

Grens zaparkował samochód przed skrzynką pocztową z numerem 15 i przez chwilę siedział w ciszy. Nigdy nie lubił takich miejsc. Ludzie mieszkają tu zbyt blisko siebie i za bardzo są do siebie podobni. W swoim dużym mieszkaniu przy Sveavägen w Sztokholmie miał sąsiadów pod sobą, nad sobą i obok siebie, ale ani ich nie spotykał, ani nie znał. Czasem ich słyszał, ale nie wiedział, w co są ubrani albo jakim jeżdżą samochodem. Nie widywał ich, jak wychodzą do ogródka w rannym szlafroku i z gazetą w ręce, i nie musiał się zastanawiać, czy gałęzie ich śliwy nie wystają zbyt daleko na jego działkę.

W zasadzie trudno mu było wytrzymać z samym sobą.

Nie potrafił więc sobie wyobrazić, jak mógłby znieść smród dymu z grilla albo odgłos uderzenia piłki o drewniane drzwi.

Później, kiedy ta historia już się skończy, musi porozmawiać z Sundkvistem i spytać go, jak należy rozmawiać z ludźmi, którzy nas w ogóle nie interesują.

Otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Noc była ciepła i przyjemna. Dwieście metrów dalej wznosił się wysoki mur, ciemna linia na tle ciągle jasnego nieba, które pozostanie takie aż do jesieni.

Od furtki do domku przeszedł ścieżką wyłożoną czworokątnymi płytami leżącymi na przystrzyżonym trawniku. W oknach – zarówno na parterze, jak i na piętrze – paliło się światło. Prawdopodobnie w kuchni i sypialni. Oscarsson spędzał resztę swojego życia w odległości kilku minut od miejsca pracy. Grens był pewien, że zdolność do mieszkania w szeregowcu wiąże się w pewien sposób z brakiem konieczności oddzielenia jednego świata od drugiego.

Chciał go zaskoczyć. Nie zadzwonił i nie uprzedził go. Miał nadzieję, że go wyrwie ze snu, a wtedy Oscarsson nie będzie protestował.

Niestety, przeliczył się.

– To ty?

Grens przypomniał sobie, co mówiła mu Hermansson: że Oscarsson jest na granicy załamania nerwowego.

– Czego chcesz?

Oscarsson miał na sobie więzienny mundur.

– Widzę, że nadal pracujesz?

– Słucham?

– Masz na sobie mundur.

Oscarsson westchnął.

– Odnoszę wtedy wrażenie, że nie jestem sam. Ale chyba nie przyjechałeś tu w środku nocy, żeby napić się ze mną kawy i pomóc mi rozwiązać krzyżówkę?

– Mogę wejść? A może wolisz, żebyśmy porozmawiali na zewnątrz?

Sosnowa podłoga, sosnowe schody, sosnowa boazeria. Grens domyślił się, że naczelnik więzienia sam odnowił przedpokój. Kuchnia wyglądała na starszą, podobnie jak szafki i ławy pochodziła z lat osiemdziesiątych. Miały pastelowy kolor. Dziś już się takich nie produkuje.

– Mieszkasz tu sam?

– Teraz tak.

Grens wiedział, że czasem w mieszkaniu nie da się niczego zmienić, bo ktoś, kto tu mieszkał, a potem się wyprowadził, pozostawił wśród mebli i kolorów pamięć po sobie.

– Napijesz się czegoś?

– Nie.

– No to sam sobie naleję.

Oscarsson otworzył dobrze zaopatrzoną lodówkę. Na samym dole warzywa, na górnej półce butelki z piwem.

– Straciłeś wczoraj dobrego przyjaciela.

Oscarsson usiadł i nalał sobie piwa do szklanki. Wypił i nie odpowiedział na słowa Grensa.

– Odwiedziłem go wczoraj. Leży w szpitalu w Danderyd. Jest ranny, wszystko go boli, ale wyliże się z tego.

Oscarsson postawił butelkę z trzaskiem na stoliku.

– Wiem. Ja też z nim rozmawiałem. Dwa razy.

– I co czujesz?

– Co czuję?

– Wiedząc, że popełniłeś błąd.

Poczucie winy. Grens sam wie najlepiej, co to znaczy.

– Jest wpół do drugiej w nocy. Chodzę po kuchni w mundurze. A ty mnie pytasz, co czuję.

– Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że to twoja wina?

Oscarsson machnął ręką.

– Wiem, do czego zmierzasz.

Grens spojrział na człowieka, który podobnie jak on też nie prześpi tej nocy.

– Trzydzieści sześć godzin temu rozmawiałeś z Hermansson. Przyznałeś, że podjąłeś przynajmniej cztery decyzje, które zmusiły Hoffmanna do zrobienia tego, co zrobił.



Oscarsson poczerwieniał.

– Wiem, do czego zmierzasz!

– No to powiedz, kto dzwonił.

Naczelnik więzienia wstał z krzesła i rzucił butelką od piwa w ścianę. Zdjął mundur, położył go na pustym stole i wyjął z szuflady duże nożyce. Odciął nimi jeden rękaw, przesunął dłonią po materiale, żeby się upewnić, że jest gładki, i zaczął od niego odcinać dość duży kawałek o szerokości pięciu, sześciu centymetrów.

– Kto wydał ci polecenie?

Oscarsson wziął odcięty kawałek materiału, dotknął postrzępionego brzegu i uśmiechnął się. Grens zauważył, że był to dość nieśmiały uśmiech.

– Oscarsson, kto do ciebie dzwonił?

Naczelnik dalej ciął rękaw. Proste, starannie odmierzone kawałki. Układał je równo jeden na drugim.

– Jak to było ze Stefanem Łukasikiem? Odpowiadałeś za tego więźnia. Został zabity.

– To nie był mój błąd.

– A Paweł Murawski i Piet Hoffmann? Za nich też odpowiadałeś. Oni też nie żyją.

– To nie był mój błąd.

– Martin Jacobson?

– Wystarczy!

– Martin Jacobson, który...

– Do diabła, przestań!

Pierwszy rękaw był już pocięty w całości. Kawałki materiału leżały na kupce. Oscarsson sięgnął po drugi rękaw i lekko nim potrząsnął, bo w połowie zrobiła się drobna fałdka. Naczelnik przejechał po niej ręką w obie strony, aż znikła.

– Pål Larsen.

Znowu zaczął ciąć materiał, tym razem szybciej.

– Szef więziennictwa? To on wydawał ci polecenia?

Grens przypomniał sobie, jak mniej więcej pół godziny od momentu, kiedy Hoffmann włączył magnetofon, na taśmie rozległ się szum, gdy mikrofon zaczął ocierać się o nogawkę spodni. Potem nagrał się dźwięk łyżeczki uderzającej o porcelanę. Ktoś chyba pił kawę.

„To ja posadziłam cię na tym stanowisku. Oznacza to, że ty decydujesz w sprawach więziennictwa”.

Krótką przerwą. Podsekretarz stanu wyszła z pokoju, żeby przyprowadzić szefa więziennictwa, który czekał na nią na korytarzu.

„Podejmiesz takie decyzje, jakie ja i ty podejmiemy wspólnie”.

Szef więziennictwa otrzymał polecenie. Przekazał je dalej. Było to polecenie od osoby, która je pierwotnie wydała.

Grens spojrzał na rozebranego do pasa mężczyznę tnącego na kawałki mundur. Chciał go nosić przez całe swoje dorosłe życie. Grens wyszedł pośpiesznie z kuchni, która już nigdy nie zostanie pomalowana na inny kolor, i z domu, gdzie samotność ciążyła mu o wiele bardziej niż w jego własnym mieszkaniu.

– Czy wiesz, co z nimi zrobię?

Kiedy wsiadał do samochodu, Oscarsson stał w drzwiach. W ręce trzymał pocięte kawałki munduru. Kilka z nich upadło na ziemię.

– Masz, weź je i umyj samochód, Ewert. Podczas mycia robią się zawsze jasne punkty. To bardzo drogi materiał, więc świetnie się do tego nadaje.

GRENS WYKRĘCIŁ NUMER telefonu w chwili, gdy jego samochód wyjeżdżał z dzielnicy willowej. Spojrzał na kościół i na czworokątną wieżę, w stronę więzienia i nieistniejących już warsztatów, które kiedyś znajdowały się za wysokim murem.

Nie minęło nawet trzydzieści sześć godzin. Będzie go to prześladować do końca życia.

– Słucham?

Głos Göranssona świadczył, że Grens go obudził.

– Masz kłopoty ze spaniem?

– Czego chcesz, Ewert?

– Musimy się spotkać, ty i ja. Za mniej więcej pół godziny.

– Nie sądzę.

– W twoim biurze.

– Spotkamy się jutro.

Grens ujrzał w lusterku wstecznym tablicę z nazwą miejscowości, z której właśnie wyjechał. Miał nadzieję, że nieprędko tu wróci.

– Chodzi o Paulę.

– Słucham?

– To o nim chcę z tobą porozmawiać.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała cisza.

– O jakiej Pauli mówisz?

Grens nie odpowiedział. Minął las, za którym zaczęła się dzielnica wieżowców. Już niedaleko do Sztokholmu.

– Grens, odpowiedz mi! Jaka Paula?

Grens jeszcze przez chwilę trzymał telefon przy uchu. Potem się rozłączył.

KORYTARZ BYŁ PUSTY. Grens usiadł na jednym z krzeseł przed pokojem Göranssona. Cekał na jego przyjście. Był pewien, że jego przełożony wkrótce się zjawi.

Napił się kawy z automatu.

Wilson był oficerem prowadzącym Hoffmanna. Ktoś taki zapisuje wyniki pracy informatora w specjalnie zaszyfrowanej książce. Jest ona zawsze przechowywana w sejfie upoważnionej osoby. Taką osobą jest Göransson.

– Wejdz.

Göransson otworzył drzwi. Grens spojrział na zegarek i uśmiechnął się. Od ich rozmowy minęło dokładnie pół godziny.

Gabinet Göranssona był znacznie większy od jego pokoju. Grens usiadł w skórzanym fotelu i czekał.

Göransson wyglądał na podenerwowanego.

Udawał, że jest inaczej, ale po oddechu, tonie głosu i ruchach Grens domyślił się, że jego przypuszczenie jest słuszne.

– Chciałbym zobaczyć jego książkę.

– Nie rozumiem.

Grensa ogarnęła wściekłość, ale jej nie okazywał. Nie krzyczał, nie groził.

Jeszcze nie.

– Daj mi cały jego segregator.

Göransson usiadł na brzegu biurka i wskazał ręką na dwie ściany zastawione regałami wypełnionymi segregatorami.

– O czyj segregator ci chodzi?

– Tego, którego zamordowałem.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– O segregatorze naszego informatora.

– A po co ci to?

Żeby cię wsadzić, ty gnojku. Mam na to całą dobę, odparł w myślach Grens.

– Dobrze wiesz, po co.

– Wiem tyle, że istnieje jeden egzemplarz i że znajduje się on w moim sejfie. Szyfr znam tylko ja i jest ku temu określony powód.

Göransson kopnął lekko dość dużą zieloną szafę stojącą przy ścianie za jego biurkiem.

– Nikt, kto nie jest upoważniony, nie powinien jej widzieć.

Grens oddychał powoli. I nagle wyprowadził cios, ale Göransson zdążył powstrzymać jego pięść, zanim cios go dosięgnął.

Grens rozluźnił pięść i wyciągnął rękę w jego stronę.

– Segregator. I daj mi długopis.

GÖRANSSON SPOJRZAŁ NA RĘKĘ Grensa i jego kościste palce.

*Grens, który krzyczy i grozi... Poradzę sobie z nim.*

– Dasz mi go?

– Co?

– Długopis.

Mówi do niego głośnym szeptem.

– I papier.

– Ewert?

– I papier.

Kościste palce wymierzone w jego stronę.

Dał mu notatnik i czerwony flamaster.

– Pół godziny temu podałem ci przez telefon imię. Wiem, że to imię znajduje się w tamtym segregatorze. Chcę je zobaczyć.

*On wie.*

Grens położył notatnik na oparciu skórzanego fotela i coś na nim napisał. Zazwyczaj charakter jego pisma był trudny do rozszyfrowania, ale nie tym razem. Czerwonym flamastrem napisał na kartce pięć liter.

*On wie.*

Göransson podszedł do sejfu. Chyba drżały mu ręce, bo wpisywanie sześciocyfrowego szyfru zabrało mu trochę więcej czasu niż zwykle. Podobnie jak otwarcie ciężkich drzwi i wyjęcie czarnego podłużnego segregatora.

„Czy są tu wpisane wszystkie spotkania, które osoby prowadzące odbyły z Hoffmannem?”

„Tak”.

„I to jedyny egzemplarz”.

„Tak. Przechowuję go z racji pełnionej funkcji. To jedyny, jaki istnieje”.

„Zniszczyć”.

Göransson położył czarny segregator na biurku i zaczął przesuwać palcem po pseudonimach przestępców, których policja zwerbowała do współpracy. Zatrzymał się mniej więcej w połowie.

Uznałem, że to błąd, i powiedziałem o tym.

– Grens?

– Tak?

*Wyszedłem z gabinetu sekretarza stanu.*

– Znalazłem. Imię, którego szukasz.

Grens wstał i stanął za plecami Göranssona. Zajrzał mu przez ramię i rzucił wzrokiem na gęsto zapisaną stronę.

Najpierw pseudonim. Potem data. Następnie krótki opis spotkania, do jakiego doszło w mieszkaniu w budynku z wejściem od dwóch stron. I tak dalej. Kolejne strony, kolejne spotkania.

– Wiesz, czego jeszcze chcę.

*Wyszedłem od nich.*

– Nie mogę ci tego dać.

– Kopertę. Daj mi ją.

Do każdej książki dołączona była koperta z prawdziwym nazwiskiem informatora. Oficer prowadzący pieczętował ją w pierwszym dniu współpracy pieczęcią lakową w kolorze jasnoczerwonym.

– Otwórz ją.

*Mogę się z tego wymigać bez szwanku.*

– Nie wolno mi tego zrobić.

– Otwieraj!

GRENS WZIAŁ DO RĘKI kopertę i zobaczył na niej imię, które usłyszał dopiero kilka dni wcześniej. Pochodziło z nagrania zarejestrowanego w salce konferencyjnej w Kancelarii Rządu.

Pięć liter.

Te same, które przed chwilą napisał na kartce papieru.

Paula.

Wziął z biurka nóż do otwierania listów i przeciął pieczęć, a następnie samą kopertę.

JUŻ WCZEŚNIEJ O TYM WIEDZIAŁ.

Mimo to poczuł silny ból w klatce piersiowej.

Wyjął z koperty kartkę i przeczytał nazwisko, którego się domyślał. Było dla niego potwierdzeniem, że człowiek, którego kazał zastrzelić, pracował w rzeczywistości dla policji w Sztokholmie.

Piet Hoffmann.

Szwedzki system kodowania polega na tym, że pierwsza litera męskiego imienia staje się pierwszą literą żeńskiego imienia. Segregator pełen był imion informatorów, takich jak Maria, Lena, Birgitta.

– A teraz daj mi tajny raport w sprawie wydarzeń, do jakich doszło na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć.

ZNOWU TEN SZEPT.

Göransson spojrział na swojego podwładnego. Nigdy go nie lubił.

*On wie.*

– Nie dam ci go.

– Gdzie raport jest przechowywany? Co naprawdę wydarzyło się na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć? Czego my, prowadzący śledztwo, nigdy mieliśmy się nie dowiedzieć?

– Tu go nie ma.

– A gdzie jest?

– Istnieje tylko jeden egzemplarz.

– Do diabła, człowieku, gdzie on jest?

*On wie.*

– U komendanta wojewódzkiego policji kryminalnej. Naszego szefa.

GRENS MOCNO KULAŁ. Nie z powodu bólu, tylko zaniedbania. Od wielu już lat nie dbał o nogę, po prostu tak chodził. Lewą stawiał lżej niż prawą. Złość, jaką odczuwał, powodowała, że całą energię wkładał w prawą nogę. Kiedy szedł ciemnym korytarzem, od ścian odbijał się monotonny dźwięk. Zjechał windą cztery piętra niżej, skręcił w prawo w stronę ruchomych schodów, przeszedł przez stołówkę i wjechał windą pięć pięter wyżej. I znowu korytarz wypełnił charakterystyczny dźwięk. Ktoś szedł, kulejąc, ostatnim odcinkiem korytarza, ktoś zatrzymał się przed drzwiami komendanta wojewódzkiego policji kryminalnej.

Grens stał nieruchomo. Nasłuchiwał. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

Kiedy tutaj szedł, trzy razy się zatrzymał: najpierw przy pokoju informatyków, w którym siedział młody policjant popijający coca-cole;

pobrał u niego płytę CD z prostym w obsłudze programem komputerowym, który w ciągu dwóch minut umożliwił dostęp do każdego komputera; drugi raz przy kuchence naprzeciwko automatu ze środkami spożywczymi, skąd wziął ręcznik; po raz trzeci przy pokoju portiera, skąd wziął młotek i śrubokręt.

Kilka razy owinął młotek ręcznikiem, wsunął śrubokręt w szczelinę między górny zawias drzwi a bolec, rozejrzał się po ciemnym korytarzu i mocno uderzył młotkiem w śrubokręt, aż bolec puścił. Wsunął śrubokręt między dolny zawias a bolec i zrobił to samo co przed chwilą. Potem wykonał jeszcze kilka innych czynności za pomocą młotka i śrubokrętu, a na końcu zdjął drzwi z zawiasów i ustawił je obok.

Poszło łatwiej, niż się spodziewał.

Wcześniej też mu się zdarzało forsować drzwi w nietypowy sposób, gdy na przykład w mieszkaniu ktoś umierał na zawał albo żeby ratować przestraszone i pozostawione samym sobie dzieci. Robił tak, bo nie chciał czekać na przyjazd ślusarza, który czasem w ogóle się nie zjawiał.

Nigdy jednak nie włamywał się do pokoju komendanta policji.

Na biurku leżał laptop, taki sam jak jego. Włączył go i czekał, aż program zapisany na CD dokona identyfikacji i zmiany hasła. Następnie zaczął przeglądać pliki.

Wystarczyły mu dwie minuty.

Zawiesił z powrotem drzwi na zawiasach, delikatnie wkręcił bolce i sprawdził, czy na futrynie nie pozostały ślady włamania. Następnie spokojnie się odwrócił i ruszył korytarzem do wyjścia.

BUDZIK STAŁ ZA TELEFONEM. Wskazówki zatrzymały się, pokazując za piętnaście czwarta. Grens po raz drugi tej nocy zadzwonił na zegarynkę.

Trzecia czterdzieści pięć i trzydzieści sekund. Działa.

Mijała kolejna noc, a on nawet tego nie zauważył.

Był spocony, więc odwinął ręcznik z młotka, wytarł nim czoło i kark. Wędrówka po komendzie, wyważone drzwi... Już od dawna tyle się nie ruszał.

Usiadł przy komputerze, który jeszcze przed chwilą stał na innym biurku. Odszukał plik, który czytał kilkanaście minut temu.

Västmannagatan 79.

Tajny raport służb specjalnych na temat prawdziwego przebiegu wydarzeń.

Sięgnął po skoroszyt leżący na biurku i przejrzał kilka stron. To samo wydarzenie, ale inna prawda. Były w nim niekompletne informacje, bo razem z Sundkvistem i Hermansson mieli dostęp tylko do takich. To dlatego dochodzenie zostało umorzone.

Zaczął przeszukiwać inne foldery w komputerze. A gdyby tak cofnąć się o rok? Trzysta dwa tajne raporty o tym, jak działalność informatorów prowadząca do ujawnienia jakiegoś przestępstwa doprowadziła do innego przestępstwa. Przypomniawszy sobie niektóre z nich. Dochodzenia, które prowadzono w tych sprawach, zakończyły się niepowodzeniem, chociaż komenda miała odpowiednią wiedzę na ich temat.

Poprzedniej nocy nie spał, tej nocy też już nie zaśnie. Czuł przepełniającą go złość, która nie mogła znaleźć ujścia, a jednocześnie pozwalała mu zapomnieć o zmęczeniu.

Byłem pożytecznym idiotą. Popełniłem zbrodnię w majestacie prawa. Przez całe swoje dorosłe życie żyłem z poczuciem winy. Zasłużyłem sobie na to. Ale żaden skurwiol nie zmusi mnie, żebym czuł się winien z powodu innych.

*Nie znałem Hoffmanna. Nawet mnie nie interesuje. Ale poczucie winy w tym przypadku czuję całym ciałem.*

Przysunął telefon i wykręcił numer, który znał na pamięć, bo o tej porze nocy najczęściej pod niego dzwonił. W słuchawce usłyszał słaby głos, głos osoby wyrwanej z głębokiego snu.

– Słucham.

– Anita?



– Kto...

– Mówi Ewert.

W słuchawce rozległo się poirytowane westchnienie.

– Svena nie ma. Spędza tę noc na pokładzie samolotu lecącego do Stanów. To ty go tam wysłałeś kilka godzin temu.

– Wiem.

– W takim razie nie powinieneś dzwonić tu dziś więcej.

– Wiem o tym.

– Dobranoc, Ewert.

– Zazwyczaj dzwonię do Svena. Teraz chciałbym, żebyś ty mnie wysłuchała. Rozumiesz... jestem cholernie wkurzony.

Znowu powolny oddech w słuchawce, Grens wyraźnie go słyszał.

– Ewert?

– Tak?

– Zadzwoń do kogoś innego. Do kogoś, komu za to płacą. Ja muszę się wyspać.

Anita odłożyła słuchawkę. Grens wpatrywał się w komputer komendanta i coraz mocniej czuł przepełniającą go złość.

Sundkvist leci samolotem, jest teraz gdzieś nad Atlantykiem.

Może Hermansson? Nie, raczej nie wypada, żeby starszy facet rozmawiał w nocy z młodą kobietą.

Uniósł plastikowy rozek podkładki leżącej na biurku i przesunął palcem po kolumnie numerów telefonicznych. Znalazł ten, którego szukał, i wykręcił numer jedyne go człowieka, z którym nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać.

OSIEM SYGNAŁÓW.

Odłożył słuchawkę, odczekał minutę i znowu zadzwonił.

Tym razem ktoś odebrał od razu. Ktoś, kto podniósł słuchawkę gwałtownym ruchem.

– Czy to ty, Grens?

– A więc nie śpisz?

– Już nie. Czego, do diabła, chcesz?

Grens go nie cierpiał. Sztynwniak, biurokrata. On sam gardził tymi cechami, ale tym razem musi z nim porozmawiać.

– Ågestam?

– Tak?

– Potrzebuję twojej pomocy.

Ågestam ziewnął, przeciągnął się, rozluźnił.

– Idź spać, Ewert.

– Potrzebuję twojej pomocy. Teraz.

– Odpowiedź będzie zawsze ta sama. Usłyszysz ją za każdym razem, kiedy w środku nocy obudzisz mnie i moją rodzinę. Zadzwoń do prokuratora dyżurnego.

Ågestam odłożył słuchawkę. Tym razem Grens nie czekał, tylko od razu zadzwonił ponownie.

– Grens! Niech cię cholera...

– Setki procesów. I to zaledwie w ciągu ostatniego roku. Świadcowie, dowody i przesłuchania, które gdzieś znikły.

Prokurator odchrząknął.

– O czym ty mówisz?

– Musimy się spotkać.

W tle rozległ się czyjś przytłumiony głos. Żona Ågestama. Grens próbował sobie przypomnieć, jak wygląda. Kiedyś się spotkali, to pamięta, ale zapomniał jej twarzy.

– Grens, czyś ty się upił?

– Setki. Ty też w nich uczestczyłeś.

– Oczywiście. Zobaczymy się jutro.

– Teraz! Nie mam zbyt wiele czasu. Do poniedziałku rano. Potem będzie już za późno. A ta rozmowa... Dzwonię także przez wzgląd na ciebie. Boże... czy ty rozumiesz, jak dziwnie się czuję, wypowiadając takie słowa? Do ciebie?

W słuchawce znowu dał się słyszeć przytłumiony kobiecy głos. Grens słyszał, ale nie wiedział, co mówi. Ågestam znowu się odezwał. Tym razem szeptem.

– Słucham.

– Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon.

– Słucham!

– Musimy się spotkać. Wtedy zrozumiesz dlaczego.

Prokurator westchnął.

– Przyjedź do mnie.

– Do ciebie?

– Tak. Do mojego domu.

MINĄŁ STACJĘ METRA Åkeshov i wjechał na osiedle willowe z lat czterdziestych zamieszkaną przez klasę średnią z wyższym

wykształceniem. Zanosilo się na piękny dzień, za chwilę na horyzoncie wszędzie wielkie słońce. Grens zatrzymał samochód przed ogródkiem z dużymi jabłonkami położonym na końcu uśpionej ulicy. Był tu tylko raz, jakieś pięć lat wcześniej, kiedy młodemu prokuratorowi wiele razy grożono podczas procesu przeciwko ojcu, który zabił mordercę swojej córki. Grens nie brał tych gróźb na poważnie do czasu, gdy na ścianie domu pojawił się napis „Umrzesz, gnojku”. Ciągnął się od okna w kuchni do okna salonu.

Na stole stały już dwa duże kubki, a między nimi dzbanek ze świeżo zaparzoną herbatą.

– Czarna, prawda?

– Tak.

Grens wypił do dna, więc Ågestam dolał mu nową porcję.

– Prawie tak dobra jak w automacie na korytarzu komendy.

– Jest kwadrans po czwartej. Czego chcesz?

Aktówka leżała już na stole. Grens otworzył ją i wyjął z niej trzy skoroszyty.

– Poznajesz je?

– Tak.

– Trzy dochodzenia, nad którymi pracowaliśmy razem w zeszłym roku.

Grens pokazywał je po kolei.

– Handel narkotykami, parking przy Regeringsgatan. Oskarżony, ale uniewinniony. Nielegalne posiadanie broni, tunel pod mostem Liljeholmsbron. Oskarżony, uniewinniony. Próba napadu, Magnus Ladulåsgatan. Oskarżony, uniewinniony.

– Czy mógłbyś mówić trochę ciszej? Żona i dzieci jeszcze śpią.

Ågestam wskazał przy tych słowach na sufit.

– Masz dzieci? Poprzednim razem ich nie miałeś.

– Mam je teraz.

Grens zaczął mówić ściszym głosem.

– Pamiętasz te sprawy?

– Tak.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego. Nie było wyroków skazujących. Z braku dowodów.

Grens odłożył skoroszyty na bok i na ich miejscu położył laptopa, który jeszcze nie tak dawno leżał za zamkniętymi drzwiami na biurku jego szefa. Zaczął przeglądać pliki, tak jak poprzednio. Gdy znalazł, odwrócił ekran w stronę prokuratora.

– Chciałbym, żebyś to przeczytał.

Ågestam sięgnął po kubek z herbatą, przysunął go do ust, ale w tym momencie palce jakby mu zeszywniały.

– Co to jest?

Spojrzał na Grensa.

– Ewert, co to jest?

– Co to jest? To te same adresy. Te same godziny. I tylko prawda jest inna.

– Nie rozumiem.

– Na przykład tutaj: handel narkotykami, parking przy Regeringsgatan. Różnica polega na tym, że tutaj mamy prawdziwy opis wydarzeń. Opisany w tajnym raporcie przez policjanta, który nie brał udziału w dochodzeniu.

Grens znowu zaczął przeglądać pliki.

– Kolejne dwa. Czytaj.

– A to?

– To? Nielegalne posiadanie broni, tunel pod mostem Liljeholmsbron. Następny... próba napadu, na Magnus Ladulåsgatan. Ale tutaj jest napisane, co tam się naprawdę wydarzyło. Autorem raportu są policjanci, którzy nie brali udziału w dochodzeniu.

Ågestam wstał z krzesła.

– Ja...

– A to tylko trzy sprawy spośród trzystu dwóch innych z zeszłego roku. Wszystko tu jest. Jednak my nigdy nie dowiedzieliśmy się prawdy. O przestępstwach, które ukryto, żeby rozwiązać inne przestępstwa. Toczyły się oficjalne dochodzenia, w których obaj braliśmy udział. A równolegle toczyły się inne, opisane tutaj dla kierownictwa policji w postaci tajnych raportów.

Grens spojrzał na człowieka w szlafroku.

– Lars, spośród tych wszystkich spraw uczestniczyłeś w dwudziestu trzech. Oskarżałeś i przegrywałeś. Musiałeś je umorzyć, ponieważ nie miałeś wiedzy, która znajdowała się w prawdziwych, tajnych raportach, w których wina informatorów była oczywista.

Ågestam stał nieruchomo. Grens powiedział do niego „Lars”. To dość dziwne. *To tylko moje imię. Ale w ustach Grensa... hm, brzmi prawie nieprzyjemnie.*

*Nigdy przedtem nie zwracał się do mnie po imieniu. Nie chcę, żeby zrobił to ponownie.*

– Informatorów?

– Tak. Czasem mówi się o nich „wtyka”, „infiltrator”. Przestępca, który popełnia jakieś przestępstwo, ale mamy to gdzieś, bo facet pomaga nam rozwiązać inne przestępstwa.

Ågestam przez cały czas trzymał kubek z herbatą przy ustach. Po ostatnich słowach Grensa odstawił go na stół.

– Czyj to komputer?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Czyj?!

– Komendanta wojewódzkiego policji.

Ågestam wstał od stołu, wyszedł z kuchni i poszedł schodami na górę. Grens spojrzął za nim.

– Mam dla ciebie jeszcze coś. Västamannagatan siedemdziesiąt dziewięć. O tej sprawie też ci opowiem, kiedy załatwimy to, z czym przyszedłem. W ciągu dwudziestu czterech godzin.

Na schodach rozległy się szybkie kroki. Prokurator przyniósł drukarkę, podłączył ją do komputera i kliknął na ikonę. Razem z Grensem przysłuchiwał się, jak urządzenie wyrzuca z siebie kolejne strony tajnych raportów.

– Zwrócisz go?

– Tak.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie.

– Na pewno?

– Drzwi od pokoju nie są zamknięte na klucz.

BLASK SŁOŃCA WYPEŁNIŁ kuchnię i wymieszał się z silnym światłem lamp. Grens nawet nie zauważył, kiedy Ågestam wyłączył całe oświetlenie.

Było dopiero wpół do piątej, ale dzień już się zaczął.

– Lars.

W drzwiach kuchni pojawiła się żona Ågestama. Miała potargane włosy, a na sobie biały szlafrok i białe pantofle. Widać było, że jest zmęczona.

– Przepraszam. Obudziliśmy cię?

– Dlaczego nie śpisz?

– To jest Ewert Grens.

– Wiem, kto to jest.

– Za chwilę wrócę na górę. Musimy tylko skończyć pewną sprawę.

Kobieta westchnęła i skierowała się z powrotem na górę. Szła ciężkim krokiem, cięższym niż ten, którym Grens wracał czasem do swojego mieszkania na drugim piętrze.

– Przykro mi – odezwał się Grens.

– Zaraz zaśnie.

– Nadal się na mnie gniewa?

– Uważa, że pięć lat temu dokonałeś błędnej oceny sytuacji. Ja też tak uważam.

– Przecież przeprosiłem. Do cholery, to było pięć lat temu!

– Grens?

– Tak?

– Znowu krzyczysz. Obudzisz dzieci.

Prokurator wylał do zlewu fusy z obu kubków. Potem sięgnął po leżące na stole wydruki trzystu dwóch spraw.

– Nieważne, która jest godzina. Ja i tak już nie zasnę. Jestem tym wszystkim po prostu poirytowany. Muszę się teraz uspokoić.

Otworzył szafkę nad zlewozmywakiem. Na najwyższej półce stała butelka ginu Seagram's i duże szklanki.

– Napijemy się?

Napełnił szklanki alkoholem do połowy.

– Jest dopiero wpół do piątej rano.

– Czasem tak trzeba.

Zachowuje się jak zupełnie inny człowiek. Grens się uśmiechnął. Ågestam wypił połowę zawartości szklanki.

Gdyby go ktoś spytał, założyłby się o każde pieniądze, że prokurator jest abstynentem.

Po chwili też się napił. Alkohol smakował łagodniej, niż sądził, i świetnie nadawał się do picia w kuchni i w piżamie.

– Wszystko, co zobczyłeś, to prawda, której nam nie udostępnił.

Położył dłoń na stosie papierów.

– Nie siedzę tu z tobą dlatego, że mi zależy na oglądaniu prokuratora wyrwanego ze snu. Nie siedzę tu też ze względu na twoją herbatę ani gin. Przyszedłem do ciebie, bo jestem przekonany, że razem możemy to jakoś rozwiązać.

Ågestam przerzucał stos kartek z treścią tajnych raportów, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Jego szyja nadal była zaczerwieniona. Niespokojnie przesuwiał dłonią po włosach.

– Trzysta dwie sprawy!

Od czasu do czasu przerywał lekturę, przeglądał kolejne raporty, wybierał na chybił trafił dokumenty.

– Dwie wersje. Jedna oficjalna, druga tylko dla kierownictwa policji. Ågestam dolał sobie ginu do szklanki.

– Czy ty to rozumiesz, Grens? Mogę ich wszystkich oskarżyć. Mogę oskarżyć każdego pieprzonego policjanta, który jest w to zamieszany. Za fałszowanie dowodów, za fałszywe zeznania, za zakupy kontrolowane. Jak ich skazą, będzie można utworzyć w Aspsås specjalny oddział dla byłych policjantów.

Dopił alkohol do dna i roześmiał się.

– Albo te procesy. Co o nich myślisz? Przesłuchania, wyroki, wystąpienia obrońców. I nikt nie wiedział o tym, co wiedziało kierownictwo policji!

Cisnął stosem papierów o stół, kilka kartek spadło na podłogę. Ågestam wstał z krzesła i zaczął po nich deptać.

– Właśnie obudziłeś dzieci.

Nie słyszeli, jak schodziła po schodach. Teraz stała w drzwiach. Miała na sobie biały szlafrok, ale przyszła bosą.

– Lars, uspokój się.

– Nie mogę.

– Przestraszyłeś je.

Ågestam pocałował ją w oba policzki i ruszył po schodach do sypialni dzieci.

– Grens?

Prokurator zatrzymał się na pierwszym stopniu.

– Poświęcę na to cały dzień.

– W poniedziałek rano mija termin.

– Wrócę do tego najpóźniej dziś wieczorem.

– W poniedziałek rano niewłaściwe osoby dowiedzą się, że mam je prawie w garści.

– Najpóźniej dziś wieczorem. Wcześniej nie dam rady. Wystarczy?

– Tak, wystarczy.

Ågestam nadal stał na pierwszym stopniu schodów. W pewnej chwili się roześmiał.

– Czy możesz to sobie wyobrazić? Wydział policji w zakładzie karnym w Aspsås! Pomyśl tylko!

KAWA SMAKOWAŁA INACZEJ. Grens wylał ją już po dwóch łykach. Kolejny kubek kawy z automatu na korytarzu smakował tak samo. Wziął do ręki trzeci i nagle zrozumiał dlaczego.

To z powodu tego, co wydarzyło się wcześniej, co nie pozwalało mu normalnie myśleć.

Dzień rozpoczął w kuchni Ågestama od dwóch szklaneczek ginu. Zazwyczaj tego nie robił. Zresztą w ogóle nie pił zbyt dużo wysokoprocentowego alkoholu. Już wiele lat temu przestał pić w samotności.

Siedział przy biurku i odczuwał dziwną pustkę.

W komendzie zjawili się pierwsi pracownicy, którzy przechodzili koło jego drzwi. Nie denerwowali go, nawet ci, którzy się zatrzymywali, żeby mu powiedzieć „Dzień dobry”.

Nie tak dawno wyrzucił z siebie całą złość.

Kiedy wracał samochodem od Ågestama, po drodze widział jedynie kilku roznosicieli gazet i rowerzystów. Nikogo więcej. Wielkie miasto spało. Dochodziła godzina piąta.

Wcześniej miał ogromne poczucie winy. Tej, którą kazali mu ponosić inni. Syczał na nią, próbował ją uciszyć, gdy rozsiadła się obok niego, przegonił ją na tylne siedzenie. Mimo to nadal zachowywała się natrętnie, zmuszała go, żeby jechał szybciej do Göranssona, żeby mógł się jej pozbyć. W końcu się opamiętał. Jeszcze nie czas na konfrontację, najpierw musi jak najprędzej spotkać się z tymi, którzy ponoszą prawdziwą odpowiedzialność. Zaparkował na Bergsgatan na wysokości wejścia do komendy. Nie poszedł jednak bezpośrednio do swojego pokoju, tylko wjechał windą do skrzydła, gdzie znajdował się areszt, i skierował się w stronę dachu, na którym urządzono spaceriak. Osiem długich, wąskich klatek, każda po dwadzieścia metrów kwadratowych, żeby więzień mógł się trochę poruszać, raz na dobę zaczerpnąć przez godzinę świeżego powietrza. I znowu powrót do celi. Poleciał strażnikowi, aby wezwał z powrotem dwóch mężczyzn, którzy w strojach aresztantów przebywali w klatkach i spoglądali na miasto, symbol wolności. Potem kazał strażnikowi zrobić sobie przerwę i zejść dwa piętra niżej na wcześniejszą kawę. Grens odczekał, aż został całkiem sam, a następnie wszedł do jednej z klatek, spojrzął przez kraty na niebo i zaczął krzyczeć. Przez piętnaście minut stał nad śpiącymi domami ze skradzionym laptopem w ręce, w którym ukrywała się inna rzeczywistość. Krzyczał



głośniej niż kiedykolwiek. Wyrzucił z siebie całą wściekłość, która uleciała między dachy i znikła gdzieś nad Vasastan. Po tym wszystkim dostał chryпки, odczuwał zmęczenie, czuł się prawie całkowicie zużyty.

Kawa nadal smakowała paskudnie. Odstawił ją na bok i usiadł na kanapie. Po chwili położył się i przymknął oczy, szukając w oknie więziennego warsztatu pewnej twarzy.

Nie pojmuję tego.

Człowiek, który decyduje się na życie za kratami, wie, że każdy dzień może być jego ostatnim.

Dlaczego to zrobił? Bo to ekscytujące? Może chciał odgrywać rolę jakiegoś romantycznego agenta? Ze względu na własne poczucie moralności?

Nie sądzę. To tylko ładnie brzmi.

Dla pieniędzy?

To znaczy dla dziesięciu tysięcy koron, które policja wypłaca informatorom, żeby nie musieli figurować na oficjalnej liście płac, dzięki czemu chronią swoją tożsamość?

Raczej nie.

Grens poprawił narzutę na zagłówek leżącym na kanapie. Cisnął go w plecy, przez co nie mógł się odprężyć.

Nie pojmuję tego.

Wolno im popełnić każde przestępstwo, ale prawo chroni ich tylko dopóty, dopóki jest z nich jakaś korzyść. Aż przyjdzie taki dzień, kiedy przestają się liczyć jako ludzie.

Byłeś poszukiwany. Wiedziałeś o tym. Wiedziałeś, że na tym to polega.

Miałeś wszystko to, czego ja nie mam. Miałeś żonę, dzieci, dom, miałeś coś do stracenia.

A mimo to poszedłeś tam.

Nie pojmuję tego.

**KARK MU ZESZTYWNIAŁ.** To przez ten zagłówek na kanapie.

W końcu zasnął.

Twarz, którą widział w oknie więziennego warsztatu, znikła, a jej miejsce zajął sen. Zjawił się, gdy Grens pozbył się całej złości. Był taki łagodny, kołysał go prawie siedem godzin. Raz Grens się chyba obudził, wydawało mu się, że dzwonił telefon. To był Sundkvist. Informował, że czeka na lotnisku w Nowym Jorku na następny samolot do Jacksonville,

że nagranie dźwiękowe, którego słuchał, okazało się bardzo ciekawe i że w trakcie lotu przygotowywał się na spotkanie z Wilsonem.

Grens nie pamiętał, kiedy ostatni raz spał tak dobrze. Mimo silnie nasłonecznionego pokoju, mimo cholernego hałasu.

Przeciągnął się, bo poczuł ból w plecach, jak zwykle zresztą, kiedy spał na ciasnej kanapie. Kiedy sztywną nogą dotknął podłogi, też poczuł ból. No cóż, z każdym dniem zużywał się coraz bardziej. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat, za mało się ruszał i za dużo jadł.

Wziął prysznic, z którego rzadko tu korzystał, zjadł dwa ciastka cynamonowe i kupił sobie w automacie jogurt o smaku bananowym.

– Ewert?

– Tak?

– Czy to twój lunch?

Hermansson wyszła ze swojego pokoju, bo usłyszała, że Grens jest na korytarzu. Tylko on tu kulał i poruszał się w taki sposób.

– Śniadanie, może lunch... Nie wiem. Chcesz czegoś?

Hermansson pokręciła głową. Szli obok siebie powoli.

– Dzisiaj rano, o świcie... czy to był twój głos?

– Mieszkasz w pobliżu?

– Tak.

– Dość blisko?

– Niezbyt daleko stąd.

Grens skinął głową.

– No to chyba faktycznie słyszałaś mnie.

– Gdzie?

– Na spacerniku na dachu. Jest stamtąd dobry widok.

– Słyszałam, podobnie jak reszta Sztokholmu.

Spojrzał na nią z uśmiechem. Rzadko to robił.

– Miałem do wyboru: iść się wykrzyczeć albo wpakować kulkę w drzwi szafy. Zrozumiałem, że są tacy, którzy wybierają inną możliwość.

Zatrzymali się przy jego drzwiach. Hermansson zachowywała się tak, jakby chciała wejść do środka.

– Chcesz czegoś ode mnie?

– Chodzi mi o Zofię Hoffmann.

– Mianowicie?

– Stałam w miejscu. Zofia Hoffmann zniknęła.

Skończył mu się jogurt. Powinien kupić drugi.

– Byłam ponownie w firmie, gdzie jest zatrudniona. Nie było jej tam od dnia, kiedy Hoffmann wziął zakładników. To samo w przedszkolu.

Hermansson próbowała zajrzeć do jego pokoju, ale Grens przymknął drzwi. Nie wiedział dlaczego, przecież ona przychodzi tam dwa razy na dzień, od kiedy ją zatrudnił. Ale nie teraz. Niedawno się obudził, na kanapie przespał prawie siedem godzin. Zachowywał się tak, jakby nie chciał, żeby się o tym dowiedziała.

– Odnalazłam jej bliskich krewnych. Nie jest ich zbyt wielu. Rodzice, ciotka, dwóch stryjów. Wszyscy mieszkają w Sztokholmie. Nie ma jej tam. Dzieci zresztą też.

Hermansson spojrzała na Grensa.

– Rozmawiałam z trzema kobietami, które twierdziły, że są jej najbliższymi przyjaciółkami. Z sąsiadami, z ogrodnikiem, który od czasu do czasu pracował po dwie godziny w ich ogrodzie, z członkami chóru, w którym śpiewała, z trenerem piłkarskim jej starszego syna i instruktorem zajęć gimnastycznych, na które uczęszczał jej młodszy syn.

Hermansson rozłożyła ręce.

– Nikt ich nie widział.

Czekała na odpowiedź, ale Grens milczał.

– Sprawdziłam szpitale, hotele, schroniska. Nigdzie ich nie ma. Zofia Hoffmann i jej dwaj synowie po prostu przestali istnieć.

Grens skinął głową.

– Poczekaj tutaj. Coś ci pokażę.

Otworzył drzwi, a potem od razu dokładnie zamknął, żeby nic nie zobaczyła ani nie weszła do środka.

Trafiłeś do Aspsås jako łącznik firmy Securitus International w Szwecji.

Na ich zlecenie miałeś najpierw wykosić konkurencję, a potem przyczynić się do wzrostu potęgi firmy.

Wystarczyła chwila i stałeś się kimś innym.

Jedno spotkanie z adwokatem, posłańcem ze świata zewnętrznego, i już wiedzieli, kim jesteś.

*Zadzwoń do niej. Ostrzegłeś ją.*

Grens sięgnął po kopertę leżącą na biurku. Była teraz pusta, chociaż niedawno znajdowały się w niej trzy paszporty, słuchawka na ucho i nagrana w tajemnicy płyta CD. Grens zabrał to wszystko i wrócił na korytarz.

– Zofia dwa razy rozmawiała z Hoffmannem. Nie wiemy, o czym rozmawiali, i nie znaleźliśmy nic, co mogłoby wskazywać na jej udział w całej tej historii. W zasadzie nie podejrzewamy jej o nic.

Grens podniósł kopertę, żeby Hermansson mogła ją zobaczyć.

– Dlatego nie możemy wystawić za nią listu gończego poza granicami kraju, chociaż właśnie tam przebywa.

Ruszył w stronę automatu z artykułami spożywczymi. Musi zjeść jeszcze jedno ciastko cynamonowe i wypić jogurt.

– Jest daleko stąd. I wie, że nie wolno nam jej szukać i że nie mamy jak tego zrobić.

SŁOŃCE STAŁO WYSOKO.

Już od samego rana zapowiadał się ciepły dzień. Kiedy Wilson się obudził, przez chwilę leżał na wilgotnym prześcieradle i poduszce, która tonęła w strumieniach potu lejącego się z jego głowy.

Z każdą godziną robiło się coraz bardziej gorąco. Tuż przed lunchem żar wprost lał się z nieba. Ostre słońce zmusiło go do zatrzymania się przed wielką bramą.

Siedział spokojnie za kierownicą wynajętego samochodu.

Już od pięciu dni jest w Glynco, w stanie Georgia, w bazie wojskowej FLETC. Kontynuuje to, co musiał przerwać, gdy zadzwonił Paula z informacją o kupcu na Västmannagatan 79, który skończył z polską kulą w skroni.

Znowu zapuścił silnik, przejechał wolno przez bramę i minął strażnika, który oddał mu honory. Jeszcze trzy tygodnie. Współpraca policji szwedzkiej i europejskiej z policją amerykańską stanowiła warunek dalszego rozwoju działalności informatorów i wtyk. To dość długa tradycja i ważne źródło wiedzy. A ponieważ w czasie pobytu Pauli w więzieniu mieli się ze sobą nie kontaktować, Wilson uznał, że to dobra okazja na dokończenie szkolenia w zakresie zaawansowanych technik infiltracji.

Jest tak dziwnie gorąco.

Nie zdążył się przyzwyczać. Zazwyczaj przebiegało to szybciej, było mniej odczuwalne. Tak przynajmniej zapamiętał swój pierwszy pobyt w tym miejscu.

A może klimat się zmienił? Albo on się zestarzał?

Lubił jeździć samochodem po szerokich amerykańskich drogach. Coś jakiś czas wyrastało przy nich coś nowego. Kiedy wjechał na drogę międzystanową numer 95, przyspieszył. Do Jacksonville zostało mu jeszcze sześćdziesiąt kilometrów. O tej porze dnia to mniej więcej pół godziny jazdy.

Rano obudził go telefon.

Na zewnątrz nadal był świt. Słońce świeciło już mocno, za oknem obudziły się ptaki.

Sven Sundkvist siedział w barze i jadł śniadanie na lotnisku Newark International Airport.

Poinformował go, że za kilka godzin ma samolot i chce się z nim spotkać.

Powiedział też, że przyleciał do Stanów, żeby uzyskać od niego informacje w sprawie pewnego śledztwa.

Wilson spytał go, o co chodzi. Wcześniej rzadko ze sobą rozmawiali, zazwyczaj wyłącznie wtedy, gdy mijali się na korytarzu komendy na Kungsholmen. Po co więc mają to robić teraz, siedem tysięcy kilometrów od Szwecji? Sundkvist nie odpowiedział, tylko wymógł na nim, żeby zaproponował miejsce i godzinę spotkania. W końcu Wilson wymienił nazwę jedynej restauracji, jaką znał. Miejsce, gdzie można usiąść, nie będąc widzianym, i gdzie nie trzeba za bardzo ściszać głosu.

BYŁ TO PRZYJEMNY LOKAL na rogu San Marco Boulevard i Philips Street. W środku panowała cisza, chociaż wszystkie stoliki zostały już zajęte. Było też dość ciemno, chociaż słońce coraz mocniej oświetlało sufit, ściany i okna. Sundkvist rozejrzał się po sali. Mężczyźni w garniturach i krawatach rozglądali się ukradkiem, a jednocześnie prowadzili rozmowy, do których musieli zamówić tłustą rybę i europejskie wino. Swoje telefony komórkowe położyli na białych obrusach. Kelnerzy pozostawali niewidoczni, ale przy stole zjawiali się natychmiast, gdy ich potrzebowano. Na przykład wtedy, gdy talerz był pusty albo gdy serweta spadła na podłogę. Zapach potraw mieszał się z zapachem palących się świec, czerwonego wina i żółtych róż.

Sundkvist był w podróży siedemnaście godzin. Grens zadzwonił dokładnie w tej samej chwili, gdy Anita zgasila lampkę nocną i przytuliła się do niego. Czuł jej miękkie ramię i piersi na swoich plecach, pierwsze spokojne oddechy na karku, gdy myśli powoli uciekają z głowy i nie ma ich już jak zatrzymać, choćby nie wiem jak bardzo się starał. Anita unikała odpowiedzi na jego pytania i unikała jego wzroku, gdy pakował walizkę. Rozumiał, co czuła. Ewert Grens już dawno stał się częścią ich sypialni. Człowiek, który żyje w bańce czasowej i dlatego nie wie, jak żyją inni. Sundkvist nie wiedział, jak z nim o tym porozmawiać, jak ustalić pewne granice. Wiedział jednak, że będzie musiał to zrobić ze względu na Anitę.

Taksówka, którą jechał z lotniska, nie miała klimatyzacji. Temperatura w środku była nie do zniesienia. Ze Szwecji wyjechał w ubraniu dostosowanym do szwedzkiej wiosny, podczas gdy w Ameryce wylądował w samym środku lata, niedaleko plaż na Florydzie. Ruszył w stronę wejścia do restauracji i napił się wody mineralnej, którą czuć było składnikami chemicznymi. Z Wilsonem pracują na tym samym

piętrze od dziesięciu lat i współpracowali przy kilku dochodzeniach, a mimo to nic o nim nie wiedział. Wilson nie należał do tych, z którymi można wyskoczyć na piwo. A może to z nim nie można było wyjść na piwo? Może po prostu aż tak bardzo różnili się od siebie? Sundkvist uwielbiał wspólne życie w domku z Anitą i Jonasem, Wilson tym gardził. Niedługo się spotkają, jeden będzie próbował przetrzymać drugiego. Jeden z nich będzie chciał wydobyć od tego drugiego pewne informacje. Z kolei ten drugi będzie starał się niczego nie powiedzieć.

WILSON BYŁ ZNACZNIE WYŻSZY od Sundkvista, a gdy stanął na palcach, żeby przyjrzeć się gościom w restauracji, zrobił się jeszcze wyższy. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Usiedli przy stole na samym końcu drogiego lokalu.

– Trochę się spóźniłem.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Od razu zjawił się kelner. Zamówili po butelce wody mineralnej, do tego podwójne plasterki cytryny.

Sundkvist wiedział, że musi wykorzystać tę jedną, decydującą minutę, gdy Wilson zorientuje się, po co tu przyleciał. Będzie musiał wtedy przekonać go, żeby odpowiedział na jego pytania.

Przesunął srebrny świecznik i położył na stole laptop. Otworzył folder zawierający kilka ścieżek dźwiękowych, kliknął na ikonę przedstawiającą długą kreskę i puścił trzy zdania, trwające łącznie siedem sekund.

„Paula ma działać w środowisku więziennym, musimy więc zrobić z Hoffmanna groźnego przestępcę. Zrobimy tak, jakby popełnił przestępstwa cięższego kalibru. Zostanie skazany na dłuższą odsiadkę”.

Spojrzał na twarz Wilsona. Żadnej reakcji.

Sundkvist szukał jego wzroku, żeby sprawdzić, czy Wilson jest zaskoczony, słysząc własny głos, czy czuje się nieswojo. Nie, jego twarz nadal nic nie wyrażała. Tak samo jak oczy.

Jeszcze jeden fragment nagrania. Jedno zdanie, pięć sekund.

„To mu zapewni szacunek wśród osadzonych i dzięki temu będzie mógł swobodnie działać”.

– Chcesz usłyszeć więcej? Jak wiesz, nagranie jest dość długie. To było ciekawe spotkanie. Mam je nagrane w całości. – Wilson mówił opanowanym głosem. Wstał z krzesła, jakby nie chciał, żeby Sundkvist spojrzał mu w oczy i zobaczył, co czuje. – Miło było mi cię spotkać.

Teraz. To właśnie ta minuta. Wilson zbiera się do wyjścia.

Sundkvist zaczął odtwarzać trzecią ścieżkę dźwiękową.

– Zanim stąd wyjdę...

– Czy wiesz, co to za nagranie?

Wilson szedł do wyjścia, był już w połowie drogi i dlatego Sundkvist prawie krzyknął:

– Myślę, że nie. Bo to głos martwego człowieka.

Goście siedzący w restauracji nie zrozumieli jego słów, ale w sali zapadła zupełna cisza. Odłożyli sztucce i zaczęli szukać wzrokiem człowieka, który zakłócił ich spokój.

– To głos człowieka, który jeszcze dwa dni temu stał w oknie więziennego warsztatu i trzymał w ręce pistolet przystawiony do głowy strażnika.

Wilson zdążył dojść do baru po prawej stronie sali. Gdy usłyszał ostatnie słowa Sundkvista, zatrzymał się.

– To głos człowieka, który został zastrzelony na polecenie Ewerta Grensa.

Wilson odwrócił się gwałtownie.

– O czym ty, kurwa, bredzisz?

– Mówię o Pauli.

Wilson spojrzał na niego z wahaniem.

– Bo tak go chyba nazywasz?

Wilson zrobił krok w jego stronę.

– Sven, czemu, do diabła...

Sundkvist ściszył głos. Wilson pochylił się, żeby go usłyszeć. Już mu się nigdzie nie spieszyło.

– Mówię o tym, że został zlikwidowany. Że ty i Grens macie w tym swój udział. Że uczestniczyliście w zabójstwie popełnionym w majestacie prawa.

GRENS WSTAŁ Z FOTEŁA, wrzucił pusty kubek po kawie do kosza na śmieci i dokończył ciastko cytrynowe leżące na regale za biurkiem.

Zaczął odczuwać niepokój. Miał coraz mniej czasu. Bezradnie chodził od kanapy do okna z widokiem na dziedziniec Kronobergu.

Sundkvist chyba właśnie o tej godzinie zaczyna przesłuchiwać Wilsona. Musi poddać go konfrontacji, zażądać odpowiedzi.

Grens westchnął. To, co powie Wilson, będzie mieć rozstrzygające znaczenie.



Jedna z osób nagranych na taśmie nie żyje. Jeśli chodzi o pozostałe trzy, poczeka. Zacznie je wypytywać, kiedy uzna to za stosowne.

Piąty głos należał do Wilsona. To on potwierdzi, że do spotkania faktycznie doszło i że nagranie jest autentyczne.

– Masz czas?

W drzwiach pokazała się twarz w okrągłych okularach. Lars Ågestam zmienił piżamę i szlafrok na szary garnitur i krawat.

– Masz to?

Grens skinął głową. Ågestam usiadł na kanapie pokrytej materiałem, z którego już dawno zniknął cały wzór. To była długa noc. Grens, gin i laptop komendanta wojewódzkiego policji leżący na stole w jego kuchni. Po raz pierwszy rozmawiali ze sobą bez okazywania wzajemnej niechęci. Grens zwrócił się do niego nawet po imieniu. Lars. Tak właśnie powiedział. W tamtej chwili byli sobie prawie bliscy i Grens właśnie w taki sposób starał mu się to okazać.

Ågestam rozsiadł się wygodnie na kanapie. Nie był już taki spięty jak zwykle. Nie szykował się do odparcia ataku kogoś, kto będzie mu groził i go obrażał.

Na stole przed sobą położył dwa segregatory. Najpierw otworzył ten, który leżał na wierzchu.

– Trzysta dwa tajne raporty służb wywiadowczych. Kopie, które dziś rano wydrukowałem.

Wziął do ręki drugi segregator.

– Mam tu streszczenia dochodzeń, które prowadzono w tych samych sprawach. To te, o których wiedzieliście, które pozwolono wam prowadzić. Zdążyłem przejrzeć sto z nich. Sto spośród tych dochodzeń, które umorzono albo w których nie zapadł wyrok skazujący. Cały ten czas, jaki upłynął od naszego dzisiejszego, wczesnego spotkania u mnie w domu, poświęciłem na zapoznanie się z nimi, na ich analizę i porównanie z tym, co naprawdę się wydarzyło. Mam na myśli te informacje, które twoi koledzy zachowali tylko dla siebie i umieścili w tajnych raportach.

Ågestam zaczął mówić o kopiach plików pochodzących z laptopa komendanta wojewódzkiego policji. Grens miał nadzieję, że drzwi nadal są dobrze zamknięte.

– W dwudziestu pięciu sprawach prokurator musiał zrezygnować z części oskarżenia, bo uznał, że nie posiada wystarczających dowodów, aby uzyskać wyrok skazujący, i dlatego część wątków umorzył.

Trzydzieści pięć spraw musiał całkowicie umorzyć, bo sąd zakwestionował zarzuty postawione przez prokuratora.

Szyja Ågestama się zaczerwieniła. Działo się tak zawsze, gdy podczas rozmowy coś go oburzyło. Za każdym razem, kiedy prokurator stał naprzeciwko niego, Grens obserwował to zjawisko i gardził tą jego cechą. Teraz Ågestam skierował złość przeciwko komuś innemu i Grens poczuł pewnego rodzaju niesmak. Do tej pory okazywanie sobie nawzajem pogardy było jedyną metodą, którą obaj posługiwali się we wzajemnych kontaktach. Czuli się wtedy pewnie i bezpiecznie. Trudno im było skończyć z tym nawykiem i zacząć inaczej.

– Gdyby prokuratorzy mieli dostęp do tych samych informacji co policja... twoi koledzy z pracy, Ewert... gdyby wszystkie informacje zgromadzone w tych segregatorach nie zostały ukryte w komputerze komendanta w postaci tajnych raportów, to wtedy we wszystkich tych sprawach, powtarzam: we wszystkich, prokuratorzy uzyskaliby wyroki skazujące.

SUNDKVIST ZAMÓWIŁ KOLEJNE butelki wody mineralnej i nowe plasterki cytryny. Nie czuł już upału, bo w eleganckiej restauracji panował miły chód i łatwiej się oddychało. Nadal był jednak spięty.

Miał tylko jedną minutę. Udało mu się przekonać Wilsona, żeby został i usiadł przy stole.

Teraz Wilson musi zacząć współpracować.

Obserwował go. Twarz nadal niewzruszona, tylko oczy się zmieniły. Czaił się w nich niepokój. Nie były rozbiegane, bo Wilson to prawdziwy zawodowiec. Dało się jednak zauważyć, że nagranie go zaskoczyło i wzburzyło, i dlatego będzie się domagał odpowiedzi.

– To nagranie trafiło w kopercie przesłanej do Grensa. Brak nadawcy. Przesyłka dotarła do niego dzień po śmierci Hoffmanna. Tak sobie myślę, że do jego przegródki na pocztę jest mniej więcej taka sama odległość z twojego, jak i mojego pokoju?

Wilson nawet nie westchnął, nie pokręcił głową, nie zacisnął szczęk, lecz jego oczy znów zmieniły wyraz.

– W kopercie było nie tylko nagranie, ale i coś więcej. Trzy paszporty wystawione na trzy różne nazwiska, natomiast fotografia ta sama i na każdej jest Hoffmann. Na dnie koperty leżał elektroniczny odbiornik, jedno z tych niewielkich metalowych urządzeń, które można włożyć do ucha. Udało nam się ustalić, że pasuje do aparatury umieszczonej na

kościelnej wieży w Aspsås. To samo miejsce, które Grens wybrał dla strzelca wyborowego, bo chciał mieć gwarancję, że ten na pewno trafi.

W tym momencie Wilson powinien wziąć do ręki róg obrusu i ściągnąć go na podłogę, żeby potłukło się całe szkło ze stołu i rozsypały się kwiaty z wazonu. Powinien płuć, płakać, wybuchnąć.

Nie zrobił tego. Siedział w milczeniu z nadzieją, że nic po sobie nie pokaże. Sundkvist zarzucił mu, że brał udział w zbrodni w majestacie prawa. Twierdził, że Paula nie żyje.

Gdyby naprzeciwko niego siedział ktoś inny, gdyby to ktoś inny odtworzył mu nagranie, uznałby całą sprawę za nonsens. Ale Sundkvist nigdy nie gra. On, Wilson, tak, podobnie jak Grens i inni policjanci, tak jak robi to większość ludzi. Ale nie Sundkvist.

„Zanim opuścimy ten pokój, chciałbym prosić o podsumowanie tego wszystkiego, co mi państwo gwarantują”.

Tylko Paula mógł nagrać to spotkanie i tylko on miał powód, żeby to zrobić. Potem uczynił wszystko, żeby o całej sprawie dowiedzieli się Grens z Sundkvistem. Miał jakiś powód.

Wilson zrozumiał. Hoffmanna ktoś wsypał.

– Chciałbym ci też pokazać kilka zdjęć.

Sundkvist odwrócił laptopa ekranem w stronę Erika i otworzył kolejny plik.

Statyczny obraz, chwila zapamiętana przez jedną z kamer w zakładzie karnym w Aspsås. Widać na nim skrawek fasady wokół niewyraźnego zakratowanego okna.

– Warsztat w Aspsås. Blok B. Człowiek, który tam stoi, widzisz go z profilu, ma jeszcze osiem i pół minuty życia.

Wilson przyciągnął laptop do siebie, ustawił go pod odpowiednim kątem. Chciał widzieć człowieka stojącego mniej więcej w połowie okna, kawałek jego barku, część twarzy.

Kiedyś spotkał się z młodszym o dziesięć lat mężczyzną. On też miał wtedy dziesięć lat mniej. A jak jest dzisiaj? Czy to on zwerbował Hoffmanna? A może Hoffmann pozwolił się zwerbować? Siedział w Österåker. To więzienie położone kilkadziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu. Siedzi tam mnóstwo drobnych złodziejasków. Hoffmann był jednym z nich, odsiadywał tam swój pierwszy wyrok. Należał do licznej grupy tych, którzy po dwunastomiesięcznej odsiadce wychodzą na wolność i dostają kolejne dwanaście miesięcy. Ale przecież miał jakąś przeszłość, język ojczysty i osobowość, którą mógłby wykorzystać do czegoś innego niż tylko do zawyżania statystyk skazanych.

– Popatrz na ten obraz. Do końca zostało wtedy pięć minut.

Sundkvist wyświetlił na ekranie nowy obraz. Z innej kamery. Na zbliżeniu widać tylko okno, twarz stała się wyraźniejsza.

Do tego, co przy nim znaleźli, dołożyli kilka pistoletów, może jakiegoś kałacha. Czasem tak robią. Łatwiej im wtedy domagać się surowszych restrykcji: na przykład odebranie prawa do przepustek, ograniczenie kontaktów ze światem zewnętrznym. Hoffmann był zdesperowany, słuchał, co mówili, i po kilku miesiącach bez kontaktu z ludźmi dałby się zwerbować do wszystkiego.

– Trzy minuty. Chyba to widzisz na ekranie. Hoffmann krzyczy. To obraz z kamery wiszącej w warsztacie. To on. „Zabiję”. Udało się nam ustalić, że powiedział właśnie to słowo.

Wilson spojrział na ekran. Wykrzywiona twarz. Otwarte, zawzięte usta.

Nowy wizerunek Pauli tworzył sukcesywnie.

Po każdym nowym wpisie do bazy ten drobny złodziejasek stawał się coraz groźniejszym przestępcą, jednym z najgroźniejszych w Szwecji. Rejestr skazanych, baza Urzędu Sądownictwa, bazy policyjne. Mit groźnego człowieka coraz bardziej przejawiany przez kolejne patrole policji, które działały na bazie posiadanych informacji. A kiedy miał zrobić ostatni krok i zająć ważne miejsce w strukturze firmy Securitus International – co oznaczało, że powinien wzbudzać jeszcze większy szacunek – on, Wilson, zrobił dla niego jeszcze coś. Kazał mianowicie skopiować analizę psychotestu przeprowadzonego na jednym z najgroźniejszych przestępców w Szwecji. Dokument ten trafił później do akt Hoffmanna przechowywanych przez władze więzienne.

I nagle okazało się, że Hoffmann jest człowiekiem bez sumienia, agresywnym i niebezpiecznym dla innych.

– To ostatni obraz.

Czarny, gęsty dym, w tle jakiś budynek, na samej górze najprawdopodobniej skrawek nieba.

– Była wtedy czternasta dwadzieścia sześć. O tej godzinie zginął.

Czworokątny ekran. Wilson słyszał, że Sundkvist coś do niego mówi, ale nadal wypatrywał czegoś w gęstych, czarnych kłębach dymu. Próbował dostrzec człowieka, który przed chwilą tam stał.

– Na tamto spotkanie przyszło pięć osób. Muszę się dowiedzieć, czy nagranie, które Grens znalazł w kopercie, jest autentyczne. I czy trzy osoby, które nigdy nie pociągnęły za spust, przyczyniły się do popełnienia zbrodni w majestacie prawa.

ÅGESTAM MIAŁ JUŻ ZACZERWIENIONĄ całą szyję. Grzywka zmieniła swoje stałe położenie i przez chwilę sterczała mu na wszystkie strony. Prokurator krążył niespokojnie wokół biurka Grensa.

Kiedy zaczął mówić, prawie syczał.

– To ten pieprzony system. Bandyci pracują na zlecenie policji. Przestępstwa popełniane przez bandytów są ukrywane i marginalizowane. W majestacie prawa popełniane są przestępstwa, żeby można było ścigać inne przestępstwa. Policjanci kłamią i ukrywają prawdę przed innymi policjantami. Grens, do cholery, przecież my żyjemy w demokratycznym państwie!

W ciągu ostatniej nocy Ågestam skopiował trzysta dwa tajne raporty znajdujące się w komputerze komendanta wojewódzkiego policji. Na razie przejrzał sto, porównując ich treść z tym, co wiedziała policja miejska w Sztokholmie. W dwudziestu pięciu sprawach prokurator musiał zrezygnować z części zarzutów, w trzydziestu pięciu innych oskarżony został uniewinniony.

– Jeśli chodzi o pozostałe czterdzieści spraw, to mogę stwierdzić, że niepełny materiał dowodowy wprawdzie doprowadził do wyroków skazujących, ale we wszystkich przypadkach były to wyroki nieprawidłowe: osoby skazane otrzymały karę, ale nie za przestępstwo, które popełniły. Słyszysz, co mówię? We wszystkich tych przypadkach!

Grens spojrział na prokuratora, który miał na sobie garnitur i krawat. W jednej ręce trzymał segregator, w drugiej okulary.

Pieprzony system. Ale to jeszcze nie wszystko, panie Ågestam.

Zaraz zajmiemy się tajnym raportem, którego jeszcze nie widziałeś. Jest tak świeży, że nadal znajduje się w oddzielnym folderze.

Västmannagatan 79.

Dochodzenie, które zostało umorzone, podczas gdy policjanci siedzący na tym samym piętrze znali odpowiedzi na pytania, na które my nie potrafiliśmy odpowiedzieć. Zaplanowali sobie, że trzeba będzie wsypać człowieka, i potrzebowali pożytecznego idioty, który weźmie na siebie winę.

– Dzięki. Wykonałeś kawał porządnej roboty.

Grens podał rękę człowiekowi, którego nigdy nie potrafił polubić.

Lars Ågestam uściśnął mu rękę. Być może trwało to trochę zbyt długo, ale poczuł się z tym dobrze. Po raz pierwszy stoją po tej samej stronie.

Godziny, które wspólnie spędzili nocą, i wypity gin zrobiły swoje. No i Grens odezwał się do niego po imieniu – Lars.

Ågestam się uśmiechnął. Świadoma pogarda i ta ciągła chęć, żeby go obrazić. Od tej pory już tak nie będzie.

Puścił rękę Grensa i z radosną duszą ruszył w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się i odwrócił.

– Grens?

– Tak?

– Pamiętasz tę mapę, którą mi pokazywałeś poprzednim razem?

– Tak.

– Pytałeś o Hagę, cmentarz w północnej części Sztokholmu. Chciałeś wiedzieć, czy tam jest ładnie.

Mapa nadal leżała na biurku. Ågestam zobaczył ją od razu, gdy wszedł do pokoju. Miejsce ostatniego spoczynku, gdzie ludzie są grzebani od dwustu lat. Jedno z największych w Szwecji.

Grens ma tę mapę pod ręką. Zbiera się, żeby tam pojechać.

– Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Grens z trudem oddychał, jego ciężkie ciało zaczęło się kołysać.

– Znalazłeś?

Demonstracyjnie się odwrócił i nie odpowiadał, tylko nadal ciężko oddychał. W końcu spojrzął na stos teczek leżących na biurku.

– Ågestam?

– Tak?

Grens nie patrzył na swego gościa, który za chwilę miał stąd wyjść. Mówił już innym głosem, trochę podniesionym, takim samym jak ten, który wzbudzał tak wielką niechęć młodego prokuratora.

– Chyba się nie zrozumieliśmy.

– Dlaczego?

– To tylko praca. Nie jestem twoim kumplem.

ZAMÓWILI COŚ DO JEDZENIA, jakąś tłustą rybę, a nie łososia, jak proponował im kelner. Muszę wiedzieć, czy nagranie w kopercie Grensa jest autentyczne, powtarzał w myślach Sundkvist. Jedli w milczeniu i nawet na siebie nie patrzyli. Czy to, co słyhać na nagraniu, rzeczywiście zostało powiedziane? Pytania czekały na stole między świecznikiem i młynkiem do pieprzu. Czy trzej ludzie, którzy nigdy nie trzymali palca na spuście, doprowadzili do zbrodni popełnionej w majestacie prawa?

– Sven?

Wilson odłożył sztućce na pusty talerz, wypił trzecią szklanekę wody mineralnej i zdjął serwetę z kolan.

– Tak?

– Przeleciałeś taki kawał drogi na próżno.

Wilson w końcu się zdecydował.

– Chyba rozumiesz, że w pewien sposób... że wszyscy jesteśmy w tej samej branży.

– Byłeś u Grensa następnego dnia. Wiedziałeś, ale nic nie powiedziałeś.

– Pracujemy w tym samym, brudnym fachu. Z przestępcami. I tymi, którzy tych przestępców ścigają i sądzą. Informatorzy stanowią tylko szarą strefę.

Nie powinien nic mówić.

– Sven, to przyszłość. Jeszcze więcej informatorów. Więcej wtyk. To się ciągle rozrasta. To dlatego tutaj jestem.

– Szkoda, że z nami wtedy nie porozmawiałeś. Nie siedzielibyśmy teraz naprzeciwko siebie. Po przeciwnych stronach tego samego martwego człowieka.

– To właśnie dlatego są tu ze mną policjanci z innych krajów europejskich. Bo mamy się uczyć. Dlaczego? Bo to dalej będzie się rozrastać.

Od tak dawna pracują na tym samym piętrze. Mimo to Wilson nigdy wcześniej nie widział, żeby Sundkvist stracił nad sobą panowanie.

– No to teraz posłuchaj, co mam ci do powiedzenia!

Sundkvist tak gwałtownie przysunął do siebie laptop, że jego talerz spadł na białą marmurową podłogę, a jeden z kieliszków przewrócił się na biały obrus.

– Mogę przewinąć to nagranie do dowolnego punktu. Tutaj? Proszę bardzo. Kula z karabinu przebija opancerzoną szybę.

Usta wykrzykujące coś z ekranu monitora.

– A może tutaj? Dokładnie w chwili, gdy cały warsztat wylatuje w powietrze.

Twarcz z profilu widziana w oknie.

– A może tutaj? Tego fragmentu jeszcze nie pokazywałem. Chorągiewki na ścianie. Tylko tyle z tego zostało.

Człowiek przestał oddychać.

– Postępujesz tak, jak powinienes, jak zawsze postępowałeś, chronisz swoich informatorów. Ale ten już nie żyje! Nie masz już kogo chronić!

Tobie i twoim kumplom nie udało się go ochronić. To dlatego stoi w tym oknie. To dlatego umiera właśnie tam.

Wilson przysunął dłoń do ekranu, który był zwrócony w jego stronę. Szybkim, gwałtownym ruchem zamknął klapę i wyciągnął kabel.

– Pracuję jako oficer prowadzący od tylu lat, od ilu ty siedzisz w swoim pokoju. Przez całe swoje życie zawodowe odpowiadałem za informatorów. Nigdy niczego nie spałałem.

Sundkvist otworzył laptop i ponownie skierował go w stronę Wilsona.

– Kabel możesz sobie zatrzymać. Mam zapasowe baterie.

Wskazał na ekran.

– Nie rozumiem. Pracowaliście ze sobą dziewięć lat. Kiedy jednak pokazuję ci to nagranie... moment, w którym on... Widzisz tutaj...? Właśnie tam stoi... I w takiej sytuacji ty w ogóle nie reagujesz.

Wilson się zachnął.

– Nie uważałem Hoffmanna za przyjaciela.

A więc zaczynasz mi ufać, przypomniał sobie, co wtedy pomyślał.

– To on uważał, że ja jestem jego przyjacielem.

A ja zaczynam ufać tobie.

– Tak to właśnie funkcjonuje. Oficer prowadzący musi udawać, że jest najlepszym przyjacielem swojego informatora. Robi to po to, żeby informator chciał każdego dnia ryzykować życie, kiedy będzie zbierał dla niego kolejne informacje. Jeśli zaś chodzi o człowieka z ekranu, to masz całkowitą rację: nie reagowałem.

Odłożył serwetę na stół.

– Płacisz?

Wstał i skierował się do wyjścia. Minął samotną kobietę siedzącą po lewej stronie sali przy kieliszku czerwonego wina, dwóch mężczyzn po prawej stronie przy stoliku zawalonym papierami i talerzykami z deserem.

– Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć.

Sven dopędził go i siedł obok niego.

– Wiedziałaś o wszystkim, ale trzymałaś gębę na kłódkę. Robiłaś wszystko, żeby ten, kto był zamieszany w zabójstwo, przepadł jak kamień w wodę. Sfałszowałaś bazy danych komendy głównej policji i Urzędu Sądownictwa. Umieściłaś...

– Grozisz mi?

Wilson się zatrzymał. Twarz mu poczerwieniała, zaczął gwałtownie wymachiwać ramionami.

– No, słucham! Grozisz mi?



– A jak myślisz?

– Jak ja myślę? Próbowałeś mnie przekonać, pokazując mi dowody, próbowałeś wzbudzić we mnie poczucie winy, pokazując mi śmierć. A teraz próbujesz mi grozić opowieścią o jakimś dochodzeniu? Człowieku, przecież ty stosujesz metody jak z podręcznika w rodzaju *Jak prowadzić przesłuchanie*. Co ty sobie wyobrażasz? Obrażasz mnie!

Wilson znowu skierował się w stronę niewielkich schodów. Minął stół, przy którym czterej starsi panowie w okularach studiowali menu, puste wózki do przewożenia potraw i dwie zielone rośliny pnące się po ścianie.

Ostatnie spojrzenie.

Wilson się zatrzymał.

– Coś ci jednak powiem. Nie lubię, kiedy za moimi plecami ktoś wsypuje mojego informatora.

Spojrzał na Sundkvista.

– A co do tego nagrania ze spotkania, o którym wspominałeś... tak, odbyło się. To, co masz, jest autentycznym nagraniem. Każde słowo.

GRENS POWINIEN SIĘ WŁAŚCIWIE roześmiać. Czuł się tak jak wtedy, gdy zbierało mu się na śmiech.

Nagranie jest autentyczne. Tamto spotkanie rzeczywiście się odbyło.

Sundkvist zadzwonił do niego z jakiejś restauracji w centrum Jacksonville. Obserwował, jak Wilson wsiada do samochodu i odjeżdża do południowej Georgii. Wtedy do niego zadzwonił i potwierdził.

Jednak Grens się nie roześmiał. Wyładował się rano w klatce na dachu, krzyczał tak długo, aż złość mu przeszła. Dzięki temu przespał spokojnie siedem godzin na kanapie. Teraz znowu może zapełnić pustkę, która się w nim wytworzyła.

Ale tym razem nie złością. Ani zadowoleniem, chociaż wie, że jest już blisko celu.

Teraz zaczął nienawidzić.

Ktoś sypnął Hoffmanna. Mimo to udało mu się przeżyć. Na dodatek wziął zakładników, żeby nie zginąć.

*Dokonałem zbrodni w majestacie prawa.*

Grens po raz drugi zadzwonił do człowieka, którego nie cierpiał.

– Musisz mi jeszcze raz pomóc.

– Słucham.

– Czy możesz przyjść dziś wieczorem do mnie do domu?

– Do domu?

– Tak. Skrzyżowanie Sveavägen i Odengatan.

– Po co?

– Tak jak powiedziałem: potrzebuję twojej pomocy.

Ågestam się zachnął.

– Mam się z tobą spotkać? Po godzinach pracy? A niby dlaczego? Przecież nie jestem... jak to powiedziałaś? Nie jestem twoim kumplem.

W komputerze jest jeszcze jeden tajny raport. Powstał całkiem niedawno i dlatego zapisano go w odrębnym folderze.

Kiedy spotkaliśmy się w nocy, nie pokazałem ci go. Teraz ci go pokażę, bo nie zamierzam brać na siebie cudzej winy.

– Nie chcę się z tobą spotykać na stopie towarzyskiej, tylko w ramach moich obowiązków służbowych. Chodzi o Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć, dochodzenie, które niedawno umorzyłeś.

– Zapraszam do siedziby prokuratury jutro w ciągu dnia.

– Dzięki mnie będziesz mógł wznowić śledztwo, bo wiem, co tam się naprawdę wydarzyło. Ale po raz kolejny będę potrzebował twojej

pomocy. Jutro rano będzie już za późno, bo służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo Kancelarii Rządu zorientują się, że czegoś brakuje, i przekażą tę informację dalej. A wtedy pewne osoby zdążą uzgodnić wspólne wersje, zniszczą dowody i po raz kolejny zmienią rzeczywistość.

Grens dość długo chrząkał do słuchawki, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej.

– I jeszcze jedna sprawa: chciałbym cię przeprosić. Za tamto... Byłem chyba... zresztą sam wiesz.

– Nie, nie wiem. Co chcesz powiedzieć?

– Ågestam, do diabła!

– No co?

– Chyba byłem... chyba wyraziłem się trochę niezręcznie... zbyt obcesowo.

ÅGESTAM ZSZEDŁ SCHODKAMI do mostu Kungsbron. W końcu pogodny wieczór, a on już nie mógł się doczekać, kiedy znowu robi się ciepło. Jak zwykle, gdy po ośmiu miesiącach porywistych wiatrów i opadów śniegu kończy się zima. Odwrócił się i spojrzał w stronę okien w budynku prokuratury. Światła zostały już wszędzie wygaszone. Dwie ostatnie rozmowy się przedłużyły. Zadzwoił do domu, że się spóźni, i kilka razy obiecał, że zanim się położy, pozmywa szklanki, z których pili poprzedniej nocy. Nadal śmierdziały alkoholem. Rozmawiał z Sundkvistem, złapał go pod telefonem chyba na jakimś lotnisku. Szukał uzupełniających danych do tej części śledztwa, która dotyczyła Polski i jego wizyty w już nieistniejącej fabryce amfetaminy.

– Dokąd? Do domu?

– Tak.

– Jedziesz do mieszkania Grensa?

Sundkvist długo siedział w milczeniu i nie odkładał słuchawki, chociaż rozmowa dobiegła właściwie końca, a Ågestam zbierał się już do Grensa.

– Tak. Jadę do mieszkania Grensa.

– Wybacz, ale czegoś nie rozumiem. Znam Grensa, od dawna z nim współpracuję, w sumie to już czternaście lat. Ale nigdy, powtarzam: nigdy, nie zaprosił mnie do siebie. Mieszkanie to dla niego coś szczególnego... jakby strefa ochronna. Tylko raz, przed pięciu laty, po tragedii, jaka rozegrała się w szpitalu na Söder, wprosiłem się do niego, i to wbrew jego woli. A teraz mi mówisz, że to on zaprosił ciebie? Jesteś absolutnie pewien?

Ågestam szedł przez miasto wolnym krokiem. Na ulicy zauważył jeszcze sporo przechodniów, chociaż była niedziela, po dziewiątej wieczorem. Wszyscy stęsknili się po długiej zimie za ciepłą pogodą i innymi ludźmi. Kiedy z wiosną wraca życie, zawsze trudniej jest wracać do domu.

Czy Grensowi mogło chodzić o coś więcej niż tylko o śledztwo, o coś więcej niż tylko o pracę o późnej porze dnia? Wprawdzie wyglądało na to, że nocą, w kuchni Ågestama w Åkeshov dokonała się jakaś zmiana, gdy razem pili gin i studiowali trzysta dwie kopie tajnych raportów, i że zmiana ta stworzy między nimi jakieś bliższe więzi. Jednak Grens wkrótce zabił tę nadzieję, i to w typowy dla siebie sposób. Ale teraz, gdy prokurator już został zaproszony do jego mieszkania, co Sundkvist uznał wprost za niezwykle, może jednak dokonała się w nim jakaś prawdziwa przemiana i może od tej pory będą już mogli ze sobą wytrzymać.

Znowu spojrzął na mijanych ludzi. Ubrani w płaszcze i szaliki pili piwo w ogródkach piwnych, śmiali się i rozmawiali jak ludzie, którzy się lubią.

Westchnął. Nie, nie będzie żadnej odmiany. Nigdy do niej nie dojdzie.

Grens miał chyba jakieś inne powody. I nie poda ich młodemu prokuratorowi, którego nie znosi.

– Grens.

Na Sveavägen nadal panuje duży ruch. Musiał się wysilać, żeby usłyszeć głos w domofonie.

– Mówi Ågestam, chciałeś...

– Otwieram. Czwarte piętro.

Duży czerwony dywan na posadzce klatki schodowej, ściany prawdopodobnie z marmuru, lampy, które dają silne światło, ale nie oślepiają. Gdyby mieszkał w mieście, a nie na przedmieściu, chciałby mieszkać w budynku z taką klatką.

Zamiast jechać windą, poszedł schodami. Na skrzynce na listy wiszącej na ciemnych drzwiach znajdował się napis: E.A. Grens.

– Wejdz.

Grens otworzył drzwi. Miał na sobie to samo ubranie co po południu i nocą: szarą marynarkę i jeszcze bardziej szare spodnie.

Przedpokój był tak długi, że Ågestamowi wydawało się, że nigdy się nie skończy.

– Duże mieszkanie.

– W ostatnich latach niezbyt często tu przebywałem. Ale nadal pamiętam, gdzie co jest.

Grens się uśmiechnął. Dziwnie to wyglądało. Ågestam nigdy go takim nie widział. Surową twarz, na której zwykle malowało się napięcie, teraz rozjaśniał uśmiech, który sprawiał, że Ågestam poczuł się trochę niepewnie.

Szedł długim przedpokojem i po obu jego stronach doliczył się przynajmniej sześciu pokoi. Zupełnie puste, chyba nikt z nich nie korzystał, jakby spały. Sundkvist powiedział kiedyś, że to pokoje, które nie chcą się obudzić.

Podobnie jak kuchnia: duża, nieużywana.

Przeszedł za Grensem przez całe mieszkanie, aż znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu jadalnym ze starym rozsuwanym stołem i sześcioma krzesłami.

– Mieszkasz tutaj sam?

– Siadaj.

Stos niebieskich skoroszytów, a na środku duży notatnik. Obok dwie jeszcze wilgotne szklanki, a między nimi butelka ginu Seagram's.

Aha, więc Grens się przygotował.

– Napijesz się jednego? Chyba że przyjechałeś samochodem.

Jak widać, Grens się postarał. Kupił nawet ten sam gatunek alkoholu.

– Tutaj? Do ciebie? Nigdy bym się nie odważył. Przecież możesz mieć w domu jakiś zakurzony bloczek z mandatami.

Grens przypomniał sobie pewien zimowy wieczór. Było to półtora roku wcześniej. Klęczał wtedy w spodniach od garnituru na świeżym, wilgotnym śniegu i mierzył odległość między samochodem Ågestama a przejściem dla pieszych.

Znowu się uśmiechnął, ale był to nieprzyjemny uśmiech.

– O ile sobie dobrze przypominam, tamten mandat został anulowany. Anulował go osobiście pan prokurator.

Grens był wtedy zły na Ågestama, ponieważ ten przeszkadzał mu w poszukiwaniu zaginionej szesnastoletniej dziewczyny, która została zmuszona do życia w tunelach. Wystawił mu więc mandat, ponieważ prokurator zaparkował samochód osiem centymetrów dalej, niż pozwalał znak.

– Możesz mi nalać pół szklaneczki.

Wypili, a potem Grens wyjął z jednego ze skoroszytów kartkę papieru i położył ją przed Ågestamem.

– Dostałeś ode mnie trzysta dwa tajne raporty. Zawierają informacje o tym, co naprawdę się wydarzyło, o czym prowadzący te śledztwa nie

wiedzieli i dlatego nie mogli włączyć tych informacji do oficjalnych śledztw.

Ågestam skinął głową.

– Masz rację z tym specjalnym oddziałem w Aspsås dla policjantów. Stanie się tak, kiedy postawię przed sądem wszystkich tych, którzy kłamali. To, co ci dałem, dotyczy poprzednich lat. A to jest zupełnie świeże.

**M wyjmuje pistolet (broń polskiej produkcji, zakład w Radomiu, kaliber 9 mm) z kabury pod ramieniem. Odbezpiecza i przystawia lufę do głowy kupca.**

– Ten raport, podobnie jak poprzednie, został przygotowany dla komendanta wojewódzkiego policji.

**P rozkazuje M, żeby się uspokoił.**

**M opuszcza broń, cofa się o krok, zabezpiecza broń.**

Ågestam chciał coś powiedzieć, ale Grens mu nie pozwolił.

– Od kiedy dostaliśmy sygnał w sprawie zabójstwa na Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć, pracowałem na pół gwizdka. Podobnie jak Sven i Hermansson. Krantz był niezmiernie wdzięczny, że on i trzej jego ludzie musieli przez tydzień szukać odcisków palców za pomocą szkła powiększającego. Errfors musiał zrobić sekcję zwłok obywatela Danii. Grupa zwykłych policjantów musiała przez cały czas pilnować mieszkania. Przesłuchiwali lokatorów i szukali zakrwawionych koszul w kontenerze na śmieci. Zabrało im to dwadzieścia dni.

Grens spojrzał na prokuratora.

– A ty? Ile godzin poświęciłeś na to dochodzenie?

Ågestam wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć... może tydzień.

**Nagle kupiec krzyczy: „Jestem policjantem”.**

**M znowu kieruje lufę pistoletu w stronę skroni kupca.**

Grens wyjął Ågestamowi raport z ręki i pomachał nim w powietrzu.

– Trzyście i pół tygodnia pracy. Czteryście czterdzieści roboczogodzin. A tymczasem moi koledzy z tego samego piętra i moi przełożeni już dawno znali odpowiedź. Hoffmann nawet sam zadzwonił,

tak jest tu napisane: „Hoffmann dzwonił osobiście, żeby nas powiadomić o zbrodni”.

Ågestam wyciągnął rękę po raport.

– Mogę go dostać z powrotem?

Wstał od stołu, przeszedł w drugi kąt kuchni i otworzył jedną z szafek nad zlewozmywakiem. Przez chwilę czegoś szukał, potem otworzył kolejną szafkę.

– Grens, jaki jest cel tego wszystkiego?

– Chcę rozwiązać zagadkę zbrodni.

– Czy tak trudno ci zrozumieć, o co pytam? Jaki jest cel tych twoich działań?

Ågestam znalazł to, czego szukał – szklanek. Napełnił ją wodą.

– Nie chcę już dłużej czuć się winny.

– Winny?

– Tak, nigdy więcej nie chcę czuć się winny. Dlatego dopilnuję, żeby ci, którzy ponoszą za to wszystko odpowiedzialność, wzięli winę na siebie.

Prokurator spojrział na raport.

– I zamierzasz to zrobić za pomocą tego raportu?

– Tak. Jeśli zdążę doprowadzić sprawę do końca do jutra rana.

Ågestam stał w milczeniu na środku wielkiej kuchni. Przez otwarte okno słyszał ruch uliczny. Trochę osłabł, samochodów było mniej, ale za to jechały szybciej. Zrobiło się już późno.

– Czy mogę trochę pochodzić po mieszkaniu?

Grens wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo.

Korytarz zrobił się nagle jeszcze dłuższy niż przed chwilą. Miękkie dywany we wzory z lat siedemdziesiątych pociemniały, ale nie było po nich widać śladów zużycia. Ågestam otworzył najbliższe drzwi i wszedł do pokoju przypominającego bibliotekę. Usiadł w skórzanym fotelu. Jedyne miejsce w całym mieszkaniu, w którym nie czuć samotności. Obejrzał rzędy książek na półkach i zapalił lampę stojącą. Rzuciła światło, które zabarwiało książki na żółty kolor. Rozsiadł się w fotelu, jak zapewne robił zazwyczaj Grens, i przeczytał do końca tajny raport sporządzony przez policjanta już następnego dnia po zabójstwie na Västmannagatan 79, podczas gdy dochodzenie, które prowadził wspólnie z Grensem, niczego nie dało i zostało umorzone.

**M przyciska mocniej pistolet do jego skroni i pociąga spust.**

**Kupiec upada na bok, po skosie, w prawą stronę, spada z krzesła na podłogę.**

Ågestam chwycił lampę i przysunął ją bliżej. Chciał przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej, być pewnym, bo właśnie podjął decyzję.

Nie wróci tej nocy do domu. Za chwilę pojedzie stąd do prokuratury i wznowi dochodzenie.

Wstał z fotela i ruszył w stronę pokoju, gdy nagle jego wzrok spoczął na dwóch czarno-białych fotografiach wiszących na ścianie między dwoma regałami na książki. Przedstawiały kobietę i mężczyznę. Oboje byli młodzi i pełni nadziei, mieli na sobie policyjne mundury, a ich oczy promieniały życiem.

Zastanawiał się, jaki był Grens w latach młodości.

– Podjąłeś decyzję?

Grens siedział na tym samym miejscu, w którym Ågestam go zostawił, między niebieskimi skoroszytami i pustymi szklankami, przy pięknym drewnianym stole.

– Tak.

– Musisz ich oskarżyć, bo tu nie chodzi o zwykłych policjantów. To ludzie z kierownictwa policji i podsekretarz stanu.

Ågestam spojrział na trzy kartki formatu A4, które trzymał w ręce.

– Jesteś pewien, że masz mocne dowody? Zakładam, że nie pokazałeś mi wszystkiego.

Zgadza się. Grens nie pokazał mu nagrania wykonanego przez kamerę w Rosenbad, na którym widać pięć osób idących na spotkanie w jednej z salek konferencyjnych. Nie odtworzył mu nagrania dźwiękowego z rozmową tych samych pięciu osób, które uczestniczyły w spotkaniu.

Nie, nie widziałeś jeszcze wszystkiego.

– Mam mocne dowody.

Grens po raz trzeci się uśmiechnął. Ågestam doszedł do wniosku, że to całkiem naturalne, więc też się do niego uśmiechnął.

– Możesz dokonać zatrzymania. W ciągu trzech dni załatwię nakaz aresztowania.



EWERT GRENS SZEDŁ PO SCHODACH. W budynku panowała zupełna cisza.

Chociaż boląca noga uderzała ciężko o kamienne stopnie, tym razem zrezygnował z windy i szedł, trzymając się mocno poręczy. Kiedy przechodził obok mieszkań, usłyszał, jak w dwóch z nich ktoś podchodzi szybko do drzwi i obserwuje przez judasza lokatora z czwartego piętra, który choć zawsze jeździ windą, tym razem postanowił skorzystać ze schodów. Kiedy znalazł się na parterze, usłyszał, jak w jednym z mieszkań przy głównym wejściu ścienny zegar wybija północ.

Sveavägen opustoszała. Na dworze nadal było ciepło. Może więc i w tym roku przyjdzie w końcu lato. Grens głęboko odetchnął i powoli wypuścił powietrze.

Dzisiaj zaprosił do swojego mieszkania innego człowieka. Pożegnał się z nim dopiero wtedy, gdy poczuł ból w klatce piersiowej.

Od kiedy zdarzył się wypadek, już nikogo nie zaprosił. To jest jej miejsce i ich wspólny dom. Kiedy wyszedł z budynku, skierował się w stronę Odengatan, gdzie też było tak samo pusto. Zdjął marynarkę i rozpiął koszulę pod szyją.

Spśród wszystkich możliwych osób zaprosił do siebie tego ulizanego prokuratora, którego tak nie cierpiał, z którym przez wszystkie ostatnie lata tak niechętnie się spotykał.

Tymczasem spotkanie przebiegło prawie w miłej atmosferze.

Zwolnił przy kiosku z kiełbaskami na Odenplan i ustawił się w kolejce razem z grupą młodzieży, która była zajęta wysyłaniem SMS-ów z telefonów komórkowych. Kupił sobie hamburgera i niegazowany napój o smaku pomarańczowym. Odrzucił zaproszenie Ågestama na piwo do pubu na Frescati, gdzie spotykają się prawnicy. Potem tego żałował i tylko kręcił się niespokojnie po mieszkaniu. Chodził z pokoju do pokoju, aż poczuł, że musi wyjść, dokądkolwiek, przynajmniej na chwilę.

Spod kiosku z kiełbaskami wyszły nagle dwa szczury i pobiegły w stronę parku, gdzie na ławkach spało kilku mężczyzn. Cztery młode kobiety w krótkich spódniczkach i butach na wysokich obcasach ruszyły szybkim krokiem w stronę autobusów. Kierowcy zamknęli drzwi i odjechali.

Grens zjadł hamburgera przed kościołem. Potem poszedł w prawo, w stronę ulicy, na której w ciągu ostatnich tygodni był już tyle razy. Przejrzał się w szybie drzwi, wklepał kod domofonu, który znał już na

pamięć, i pojechał windą. Gdy dojeżdżał do piątego piętra, winda zazgrzytała.

Na skrzynce na listy znajdowało się już nowe nazwisko. Nie polskie. Drewniane, brązowe drzwi były jeszcze starsze niż drzwi w jego mieszkaniu. Spojrzał na nie i przypomniał sobie plamy krwi pod głową zabitego, małe chorągiewki na ścianach i podłogę w kuchni, gdzie Krantz zabezpieczył ślady po narkotykach.

To właśnie tutaj wszystko się zaczęło. Doszło tu do śmierci, która zmusiła go do podjęcia decyzji o śmierci innego człowieka.

Kiedy znowu znalazł się na ulicy, noc nadal była pogodna. Szedł Vanadisvägen, Gävlegatan i przez most Solnabron w taki sposób, jakby komuś towarzyszył. O niczym nie myślał, niczego nie czuł. Zatrzymał się dopiero przy Bramie numer 1, jednej z dziesięciu, które prowadzą na Cmentarz Północny.

W kieszeni marynarki miał mapę.

Przez wiele miesięcy leżała na biurku w zasięgu ręki. Wczoraj – nie wiedząc dlaczego – zabrał ją do domu. Teraz dotarł już na cmentarz i trzymał ją w ręce.

Nie czuł zimna, choć wiedział, że na cmentarzach zawsze jest chłodno.

Ruszył wyasfaltowaną aleją, która wiodła przez rozległe połacie zieleni. Wszędzie rosły brzozy i drzewa iglaste, których nazw nawet nie znał. Sześćdziesiąt hektarów, trzydzieści tysięcy nagrobków. Starał się ich nie widzieć, wolał patrzeć na gałęzie drzew, które w odróżnieniu od nagrobków żyły. Zerknął na kilka starszych grobów. Ludzi, którzy tu leżą, pochowano razem z szacownymi tytułami wygrawerowanymi na nagrobkach: inspektor pocztowy, konduktor, wdowa po panu... i tak dalej. Minął kilka grobów rodzinnych, które surowo i dumnie wznosiły się nad ziemią, jakby nawet po śmierci chciały wyglądać na ważniejsze od innych.

To już dwadzieścia dziewięć lat.

Przez całe życie nigdy nie zapomniał o tamtych kilku chwilach, kiedy Anni wypadła z policyjnego busa, a on nie zdążył zahamować i przejechał tylnymi kołami po jej głowie. Od tamtej pory często działo się tak, że kiedy zapominał o tamtym wydarzeniu albo kiedy dochodził do wniosku, że od momentu, gdy o nim myślał, upłynęło już zbyt wiele godzin, zaczynał o nim myśleć ponownie – dłużej i bardziej intensywnie. Najczęściej o plamach krwi na swoich kolanach – krwi z rany na głowie Anni.

Dłużej tak nie można.

Spojrzał na drzewa, na groby i na niewielki gaj rosnący w pewnym oddaleniu, ale nie pomogło. Tym razem nie potrafił – bez względu na to, jak bardzo się obwiniął – skupić się na jej płonących oczach i nogach wstrząsanych drgawkami.

„To, czego pan się tak obawiał, już się stało”, przypomniał sobie słowa lekarki.

Rozejrzał się i nagle zaczęło mu się spieszyć.

Przeciął teren oznaczony jako Kwatera 15B. Znajdowały się na nim ładne, niewysokie nagrobki, kryjące szczątki ludzi, którzy za życia cieszyli się szacunkiem i dlatego również po śmierci nie potrzebowali wywyższenia.

Kwatera 16A. Grens wydłużył krok. Kwatera 19E. Był już zdyszany i spocony.

Zabrał zieloną konewkę, napełnił ją wodą z kranu i ruszył piaszczystą alejką.

Kwatera 19B. Przez chwilę próbował stać nieruchomo. Nigdy wcześniej tu nie był. Próbował, ale nigdy się nie zdecydował.

Przebycie odcinka o długości dwóch kilometrów zabrało mu półtora roku.

Z powodu panujących ciemności widział na odległość dwóch grobów przed sobą. Pochylał się, żeby odczytać napisy na każdej mijanej płycie.

Grób numer 601.

Grób numer 602.

Grens zadrżał, trudno mu było oddychać. Przez chwilę zamierzał nawet zawrócić.

Grób numer 603.

Trochę wykopanej ziemi, prowizoryczna grządka z jakimiś zielonymi roślinami, obok niewielki, biały drewniany krzyż. I to wszystko.

Podniósł konewkę i zaczął podlewać krzak pozbawiony kwiatów.

**A WIĘC TO TUTAJ LEŻY ANNI.**

Ta sama Anni, która brała go za rękę, gdy o świcie szli przez pogrążony we śnie Sztokholm. Ta sama, która jeździła razem z nim na źle posmarowanych nartach po Vasaparken. Ta sama, która wprowadziła się do jego mieszkania na Sveavägen.

To ona tu leży.

Ale to inna kobieta od tej, która siedziała na wózku w domu opieki społecznej i go nie poznawała.

GRENS NIE PŁAKAŁ, bo już to kiedyś zrobił. Uśmiechnął się tylko.  
Nie zabiłem go.  
Nie zabiłem cię.

TO, CZEGO SIĘ BOJĘ, już się wydarzyło.

# CZEŚĆ PIĄTA

DZIEŃ PÓŹNIEJ

GRENS LUBIŁ TEN GATUNEK CHLEBA. Duże pajdy z drobnymi ziarnkami na brzegach. Najadł się do syta. Kiedy jadł, słyszał, jak ziarnka trzaskają mu między zębami. Zamówił czarną kawę i sok pomarańczowy. Wcześniej nieraz zdarzało mu się jeść śniadanie w lokalu na skrzyżowaniu Odengatan i Döbelnsgatan.

Przespał prawie cztery godziny. We własnym łóżku, w swoim dużym mieszkaniu. Tym razem nie śniło mu się, że ktoś go goni, a on ucieka. O tym, że to będzie spokojna noc, wiedział już w chwili, gdy zamknął drzwi wejściowe, a potem siedział w kuchni i wyglądał przez okno. Zebrał teczki z aktami spraw leżące na kuchennym stole i poszedł wziąć prysznic. Stał dłużej niż zwykle pod strumieniami ciepłej wody i nawet nucił jakąś melodię. Potem przez chwilę słuchał jakiejś nocnej audycji radiowej.

Zapłacił za śniadanie i za cztery cynamonowe bułeczki i poprosił, żeby mu je zapakowano do torebki. Szedł wzdłuż samochodów, które utknęły w porannym korku. Sveavägen, Sergels Torg, Drottninggatan. W końcu znalazł się w Rosenbad, przed Kancelarią Rządu.

Strażnik był młody i pracował chyba od niedawna. Dokładnie sprawdził legitymację służbową Grensa i po raz trzeci porównał jego nazwisko z tym, które widniało w dzienniku gości leżącym na biurku.

– Do Ministerstwa Sprawiedliwości?

– Tak.

– Trafi pan sam do pokoju pani podsekretarz?

– Byłem tu dwie noce temu, ale nigdy nie spotkałem się z nią osobiście.

Kamera wisiała na wysokości twarzy. Grens spojrział w obiektyw, tak jak kilka tygodni wcześniej uczynił to Hoffmann, i uśmiechnął się. W tym samym czasie, kilka poziomów niżej, ochroniarz odpowiedzialny za pracę kamer otworzył pokój wypełniony półkami z nagraniami i zauważył, że dwóch brakuje.

Ci, z którymi Grens chciał się spotkać, czekali już na niego przy stole konferencyjnym na samym końcu sali. Przed każdą z osób stała filiżanka z niedopitą kawą.

Jest dopiero ósma, ale widać, że czekają na niego od pewnego czasu. Traktują go poważnie.

Grens spojrział na nich, ale nadal się nie odzywał.

– Poprosił nas pan o spotkanie. Zgodziliśmy się. Rozumiem, że potrwa krótko. Czekają nas inne, zaplanowane, spotkania.

Spojrzał na ich twarze. Każdej z nich przyglądał się aż nazbyt długo. Na dwóch pierwszych malował się spokój, być może udawany. Natomiast twarz Göranssona była blada, czoło zroszone potem, oczy niespokojne, wargi zaciśnięte.

– Przyniosłem cynamonowe bułeczki.

Grens położył białą torebkę na stole.

– Grens, do cholery!

Hoffmann miał rodzinę. Dwoje dzieci. Teraz będą dorastać bez ojca.

– Czy ktoś chce się poczęstować? Kupiłem po jednej dla każdego.

Czy skontaktują się z nim za kilka lat? Co im odpowiedzieć, jeśli zaczną mu zadawać pytania?

Że na tym polega moja praca?

Że na tym polega mój pieprzony obowiązek?

Że życie ich ojca nie było dla mnie i dla całego społeczeństwa równie cenne, jak życie strażnika, któremu groził?

– Nikt nie ma ochoty? To sam się poczęstuję. Göransson, podaj mi filiżankę.

Grens napił się kawy i zjadł bułeczkę, potem drugą.

– Zostały dwie. Może ktoś się jednak skusi?

Znowu na nich spojrzał, na każdego z osobna. Podsekretarz stanu nie unikała jego wzroku, zachowywała spokój. Nawet się do niego lekko uśmiechnęła. Komendant główny policji siedział nieruchomo i wyglądał przez okno na dach zamku królewskiego i wieże kościoła Storkyrkan. Göransson gapił się w stół. Jego czoło nadal było zroszone potem.

Grens otworzył pokrowiec i wyjął z niego laptop.

– To całkiem fajne urządzenie. Sundkvist miał takie samo w Georgii. Był tam wczoraj.

Niezręcznymi palcami wsunął płytę CD do laptopa i znalazł właściwy plik. Na ekranie pojawił się ciemny obraz.

– Mnóstwo przycisków. Ale powoli zaczynam sobie z nimi radzić. À propos, gdy w Stanach Sundkvist spotkał się z Erikiem Wilsonem, też miał ze sobą swój laptop.

Kamery wisiały w dwóch różnych miejscach. Jedna mniej więcej metr nad oszklonym pomieszczeniem ochrony, druga w korytarzu na trzecim piętrze. Fragment nagrania, które Grens zabrał późnym wieczorem przed dwoma dniami, był trochę niewyraźny, ale wszyscy mogli zobaczyć, co na nim widać: pięć osób, które w ciągu kilku minut wchodzą do jednego z pomieszczeń w Kancelarii Rządu.

– Rozpoznają państwo te osoby?



Grens wskazał palcem na obraz na ekranie.

– A może nawet rozpoznają państwo pokój, do którego te osoby wchodzi?

Zatrzymał nagranie. Nieruchomy obraz zajął cały ekran. Ktoś stoi tyłem do kamery z rozłożonymi rękami, ktoś inny stoi za nim.

– To ostatnie ujęcie z tego nagrania. Pierwsza z osób, z rozłożonymi rękami, to przestępca z bogatą kartoteką. Kiedy to nagranie powstało, był informatorem policji miejskiej w Sztokholmie. Druga z osób, która ma ręce skierowane w stronę pleców informatora, to zastępca komendanta policji.

Przy tych słowach Grens spojrział na Göranssona, który siedział lekko pochylony nad stołem i unikał jego wzroku.

– Komputer jest własnością policji, ale to jest moje.

Grens sięgnął do kieszeni pokrowca i wyjął z niego odtwarzacz CD.

– Dostałem go pięć lat temu od Ågestama, trochę się wtedy pokłóciliśmy. To jedna z tych nowoczesnych zabawek, popularna wśród młodzieży. Jeszcze do niedawna rzeczywiście była tylko zabawką. Aż do czasu, gdy dwa tygodnie temu odtworzyłem na niej dwa ciekawe nagrania.

Grens odsunął torebkę z bułeczkami, żeby mu nie przeszkadzała.

– Te głośniki dostałem u nas, na komendzie. Pochodzą z włamania przy Stora Nygatan. Dochodzenie zostało umorzone. Nikt się po nie nie zgłosił.

Położył na stole dwa niewielkie głośniki i podłączył je ostrożnie do komputera.

– Nie wiem, czy są sprawne... Nie wiem, czy je zatrzymam.

Nacisnął na klawisz laptopa. Rozejrzał się.

– Spotkanie, które odbyło się w tym pokoju. Przy tym stole. Dziewiątego maja o piętnastej czterdzieści dziewięć. Przewinę fragment nagrania, dwadzieścia osiem minut i dwadzieścia cztery sekundy.

Grens odwrócił się w stronę Göranssona, który zdjął marynarkę. Na jego koszuli, mniej więcej na wysokości pach, widać było ciemne plamy potu.

– Chyba poznajesz głos osoby, która to mówi.

„Wcześniej rozpatrywała już pani podobne sprawy”.

– Kazałeś mnie, Sundkvistowi, Hermansson, Krantzowi, Errforsowi i...

– Ewert...

– ...i wielu innym policjantom pracować długimi tygodniami nad dochodzeniem, którego wyniki i tak znałeś o wiele wcześniej.

Göransson po raz pierwszy na niego spojrział. Chciał coś powiedzieć, ale Grens pokręcił głową.

– Za chwilę skończę.

Wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze i po chwili znalazł to, czego szukał.

– Znowu przewinę fragment nagrania. Dwadzieścia dwie minuty i siedemnaście sekund. To samo spotkanie, ten sam głos.

„Wolałbym, żeby do tego nie doszło. I ty też tego nie chcesz. Dajmy sobie spokój z Paulą i zabójstwem na Västmannagatan”.

Grens spojrział na komendanta głównego policji.

Może ta udawana fasada w końcu runie. Grens miał takie przeczucie, bo zauważył, że mięśnie wokół oczu komendanta drgają mocniej, niż powinny. No i te dłonie, które komendant raz po raz o siebie pocierał.

– Okłamywać kolegów z pracy. Wsypać informatora. Przymknąć oczy na pewne przestępstwa, żeby móc rozwiązać inne. Kiedy sobie myślę o tym, jak policja będzie pracować w przyszłości, to jestem cholernie wdzięczny losowi, że za sześć lat idę na emeryturę.

Grens nie czekał na odpowiedź. Ustawił głośniki tak, żeby stały zwrócone w stronę podsekretarz stanu.

– On siedział naprzeciwko pani. Czy to nie dziwne?

„Gwarantuję, że nie zostanie pan oskarżony o nic, co wydarzyło się przy ulicy Västmannagatan siedemdziesiąt dziewięć. Gwarantuję, że będziemy pana jak najlepiej wspierać podczas wykonywania zadania za murami”.

– Człowiek, który siedział wtedy na tym samym miejscu co ja teraz, miał mikrofon przyczepiony mniej więcej na wysokości kolana.

„I że po zakończeniu zadania zajmiemy się panem. Wiem, że po tym wszystkim będzie nad panem wisiał wyrok śmierci, że będzie pan już spalony w całym świecie przestępczym. Damy panu nowe życie, nową tożsamość i pieniądze na rozpoczęcie wszystkiego od nowa za granicą”.

Grens podniósł oba głośniki i przysunął je jeszcze bliżej miejsca, gdzie siedziała podsekretarz stanu.

– Chcę być pewien, że usłyszysz pani to, co będzie dalej.

„Gwarantuję to panu jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości”.

Sięgnął po białą torebkę. Zjadł ostatnią bułeczkę i dopił resztę kawy.

– Oskarżenie z paragrafów: zaniechanie zgłoszenia przestępstwa, ukrywanie przestępstwa, nakłanianie do przestępstwa.

Grens był przygotowany, że każą mu wyjść, że zaczną grozić, że wezwą ochronę albo spytają, jak śmie rozmawiać z nimi w taki sposób.

– Oskarżenie z paragrafów: składanie fałszywych zeznań i poważne naruszenie obowiązków, jak również fałszowanie dowodów.

Cała czwórka siedziała nieruchomo w milczeniu.

– Może przychodzą wam do głowy jeszcze jakieś inne zarzuty?

Od początku spotkania za oknem krążyło kilka mew. W ciszy, jaka zapadła w pokoju, słyhać było tylko ich głośne krzyki, a także równomierny oddech osób zasiadających przy stole.

Grens podniósł się z krzesła, podszedł do okna, a potem wrócił do stołu, do swoich rozmówców, którym nie spieszyło się już na żadne spotkania.

– To nie ja jestem winien. Już nie. I nawet nie byłem.

Trzy dni wcześniej podjął decyzję, której obawiał się przez całe życie: że będzie musiał oddać w stronę innego człowieka śmiertelny strzał.

– Nie ponoszę winy za jego śmierć.

Odważył się spędzić kilka nocnych godzin na cmentarzu. Bał się tego prostego grobu o wiele bardziej niż czegokolwiek innego, jak tylko sięgał pamięcią.

– Nie jestem odpowiedzialny za jego śmierć.

Jego głos był znowu dziwnie spokojny.

– To nie ja zabiłem.

Wskazał palcem każdego z osobna.

– To ty. I ty. I ty.

JESZCZE JEDEN DZIEŃ PÓŹNIEJ

DWA CENTYMETRY NAD POŚLADKAMI, trzeci i czwarty kręg. Ból był nie do zniesienia. Poruszył się ostrożnie, wykonał w powietrzu kilka ruchów nogami, najpierw jedną, potem drugą. Nie rozległ się żaden trzask ani chrzęst, a intensywny ból trochę zelżał.

Nie czuł już smrodu moczu i kału. Być może czuł go w pierwszych godzinach, ale było to dość dawno. Teraz już nie.

Przez pierwszy wieczór, a także nocą i rano oczy miał otwarte. Szukał wzrokiem czegoś, czego nie dało się zobaczyć, nasłuchiwał głosów, które coś wołały, i kroków biegających osób. Teraz w końcu przymknął oczy. Wokół panowała tak gęsta ciemność, że i tak nic nie widział.

Leżał na czworokątnych kawałkach aluminium, które połączono razem w taki sposób, że powstała z nich długa rura o okrągłym przekroju. Średnicę ocenił na sześćdziesiąt centymetrów. Miejsca było tyle, że ramiona swobodnie się zmieściły, a gdy wyciągnął ręce w górę, mógł bez kłopotu dotknąć wewnętrzną częścią dłoni górnej powierzchni rury.

Czuł ucisk na żołądek, więc ulżył sobie. Krople moczu pociekły wzdłuż uda. Poczul się lepiej, niepokój zelżał. Nie pił nic od chwili, kiedy rano wziął zakładników, z wyjątkiem moczu, który zdołał zebrać w garść i wlać sobie do ust. Dwie garści, które musiały mu wystarczyć na sto godzin.

Wiedział, że człowiek może wytrzymać bez wody przez tydzień, ale i tak odczuwał ogromne pragnienie. Miał wysuszony język i przełyk. Musi jednak wytrzymać, musi znieść głód i ból w kończynach spowodowany leżeniem w nieruchomej pozycji. Na dodatek ta ciemność. Dopiero kiedy krzyki i kroki wokół niego ucichły, mógł się w końcu odprężyć. Dwa razy, kiedy gorąc stał się nie do wytrzymania, zastanawiał się na poważnie, czy nie lepiej się poddać. Z powodu dymu i ognia wyłączono prąd, a gdy przewody wentylacyjne przestały dostarczać świeże powietrze, temperatura wewnątrz rury zaczęła wzrastać. Czuł się tak, jakby miał gorączkę. Dłużej już chyba nie wytrzyma.

Powinien był wyjść z rury już wczoraj.

Tak to sobie zaplanował: że zostanie tu przez trzy doby i wyjdzie w chwili, gdy całe zamieszanie wokół niego się skończy.

Jednak wczoraj po południu ktoś otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia sterowniczego. Leżał nieruchomo i wsłuchiwał się w kroki i oddechy strażnika lub elektryka, a może hydraulika. W każdym razie pół metra pod rurą ktoś był. Pomieszczenie, w którym znajdowały się

urządzenia regulujące obieg wody i prądu na terenie więzienia, kontrolowano raz na tydzień i on o tym wiedział. Jednak na wszelki wypadek postanowił odczekać dodatkową dobę.

Przysunął lewą rękę do twarzy i spojrzął na zegarek, który nie tak dawno należał do Jacobsona.

Dziewiętnasta czterdzieści pięć. Za godzinę zamkną drzwi w celach.

Za godzinę i piętnaście minut przyjdzie nocna zmiana, która zastąpi strażników ze zmiany dziennej.

Już czas.

Sprawdził, czy nożyce nadal znajdują się w kieszeniach spodni. To te same, które stały niedawno w stojaku na przybory na biurku w biurze przylegającym do warsztatów. W ciągu pierwszej doby skrócił sobie nimi włosy. Ruchy ramion ograniczały ścianki rury, ale miał wystarczająco dużo czasu. Ustały głosy tych, którzy szukali ludzkich szczątków. Wyciągnął nożyce z kieszeni, cofnął ramiona i z całej siły uderzył czubkiem nożyczek o wewnętrzną ściankę rury. Palcami wyczuł, że w miejscu uderzenia powstała dziura. Ujął mocniej nożyczki i wykonał nimi cięcie w miękkim metalu. Stopami oparł się o podłogę, ciałem nacisnął do tyłu, obiema rękami nacisnął ostre brzegi, a kiedy metal puścił, dłonie zaczęły mu gwałtownie krwawić. Wysunął się przez powstały otwór i spadł na betonową podłogę.

Doliczył się pięćdziesięciu czerwonych, żółtych i zielonych lampek na ścianach, które informowały o pracy instalacji wodociągowej i elektrycznej. Jeszcze raz je policzył.

Żadnych kroków, żadnych głosów.

Był najzupełniej pewien, że nikt nie usłyszał hałasu, jaki wydaje ciało spadające na podłogę pomieszczenia, z którego drzwi wychodziły bezpośrednio do tunelu łączącego Blok G z wartownią. Chwycił rękami kłamkę, uniósł się na palcach i zakreśliło mu się w głowie. Na szczęście po chwili zawroty minęły.

Wpatrzył się w panującą ciemność.

Na stojaku przy ścianie ujrzał latarkę wiszącą pod szafką z bezpiecznikami. Uznał, że jest lepsza niż górne oświetlenie. Blask będzie słabszy, wzrok łatwiej przyzwyczai się do światła. Kiedy rozbłysło, oczy zabolowały go bardziej, niż się spodziewał. W pewnej chwili krzyknął, bo strumień światła odbił się od lustra nad umywalką i na moment go oślepił.

Przymknął oczy i czekał. Po chwili ponownie spojrzął w lustro. Tym razem już go nie oślepiło.

W odbiciu ujrzał głowę pokrytą włosami różnej długości. Z obu jej stron zwisały luźne kosmyki, a raczej strąki. Podniósł z podłogi nożyczki i obciął włosy, jak najkrócej się dało, gdzieś tak na długość milimetra. Maszynkę do golenia wyjął wtedy z tamtego biurka koło warsztatu i schował do kieszeni spodni. Zwilżył twarz i stopniowo zaczął z niej usuwać zarost, który zapuścił w dniu, kiedy był na spotkaniu w Rosenbad, gdzie zapadła decyzja, że wykona zadanie za murami Aspsås.

Znowu spojrzął w lustro.

Cztery doby wcześniej miał długie, jasne włosy i trzytygodniowy zarost.

Teraz ma krótkie włosy i jest ogolony. To już inna twarz.

Odkręcił więcej wody, rozebrał się do naga i brudnym kawałkiem mydła leżącym na umywalce namydlił ciało. Potem odczekał, aż wyschnie w ciepłym pomieszczeniu. Wrócił do rury i wyjął z niej zawiniątko z ubraniem, które jeszcze kilka dni wcześniej należało do Jacobsona. Używał go jako prowizorycznej poduszki pod głowę, żeby kark mu nie zdrętwiał i żeby materiału nie zmoczyły płyny wydzielane przez jego ciało.

Cały mundur pasował niemal idealnie, Jacobson był prawie jego wzrostu. Spodnie mogłyby być trochę dłuższe, a buty mniej ciasne, ale jemu to nie przeszkadzało, zwłaszcza że nie było tego widać.

Stanął przy drzwiach i czekał.

Powinien być zestresowany, niespokojny, przestraszony, ale nie czuł nic. Znajdował się w stanie, w którym umiejętność braku odczuwania czegokolwiek dawała szansę na przeżycie. Żadnych wspomnień, żadnego wracania myślami do Zofii, Emila i Rasmusa ani niczego innego, co przypominało mu o życiu.

Myśli te przestały go nawiedzać w chwili, gdy przekroczył więzienną bramę. Złamał się jedynie dwa razy.

Gdy czekał na strzał.

Stanął przy oknie, poprawił słuchawkę w uchu i po raz ostatni spojrzął w stronę kościelnej wieży. Obserwował też dywan z zawiniętym w niego ciałem oplecionym materiałem wybuchowym; patrzył na kadź z ropą i benzyną stojącą tuż obok nóg i na zapalnik, który trzymał w dłoni. Sprawdził swoją pozycję, musi stać profilem. Nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko mierzyć w głowę. Później już żaden technik od zabezpieczania śladów nie zakwestionuje faktu, że głowa rozpadła się na drobne kawałeczki.

Śmiertelny strach napęłnił go w dwóch momentach.

Dzięki odbiornikowi w uchu usłyszał komendę do oddania strzału. Musiał dalej stać i czekać, ale nogi same przesunęły go zbyt wcześnie. Same wykonały ten ruch wbrew jego woli.

Gdy rozległ się strzał, nadal stał w miejscu. Miał zaledwie trzy sekundy.

Tyle czasu potrzebuje pocisk, żeby przy wietrze o prędkości siedmiu kilometrów na godzinę, przy temperaturze powietrza osiemnaście stopni i z odległości półtora kilometra trafić w głowę.

Nie wolno mi poruszyć się zbyt wcześnie, wiem, że obserwator strzelca wyborowego przygląda mi się przez lornetkę.

Liczę. Tysiąc jeden.

Trzymam w dłoni zapalnik z zapalonym ogniem.

Tysiąc dwa.

*Robię szybki krok do przodu na chwilę przed tym, gdy kula uderzy w szybę, i przysuwam płomień do złącza z lontem połączonym z ciałem zawiniętym w dywan.*

Strzał został oddany, a ponieważ pocisk strzaskał szybę, obiekt stał się niewidoczny.

W tym momencie zostały mu dwie sekundy. Tyle czasu potrzebuje lont, żeby wypalić się na całej długości, aż płomień dotrze do zapalnika, pentrytu i nitrogliceryny.

Biegnę w stronę filaru, który wcześniej wybrałem, znajduje się zaledwie metr ode mnie, jeden z czterech betonowych słupów dźwigających sufit.

Stoję już za nim i w tej samej chwili wypala się ostatni centymetr lontu. To, co owinąłem wokół ciała zawiniętego w dywan, eksploduje z hukiem.

Pękają mi bębrenki w uszach.

Dwie ściany – jedna przy Jacobsonie, druga przy biurze – rozpadają się na kawałki.

Szyba w oknie trafiona pociskiem rozpryskuje się i spada na dziedziniec.

Fala uderzeniowa zbliża się w moją stronę, ale załamuje się na betonowym filarze i dywanie wokół ciała zakładnika.

Tracę przytomność, ale tylko na dwie sekundy.

*Żyję.*

Leżał na podłodze z bólem w uszach, gdy żar powstały po eksplozji dotarł do kadzi z ropą i pokój wypełnił się czarnym dymem.



Odczekał, aż dym wypłynął na zewnątrz przez wyrwę w oknie, zamieniając się w ciemnoszarą zasłonę, która okryła większą część warsztatu.

Chwycił węzełek z mundurem Jacobsona i wyrzucił go przez okno, a następnie sam przez nie wyskoczył. Wylądował na daszku znajdującym się zaledwie metr niżej.

Siedzę nieruchomo i czekam.

W dłoni trzymam węzełek z ubraniem, nic nie widzę przez gęsty dym, a ponieważ popękały mi bębenki w uszach, prawie nic nie słyszę. Czuję jednak drgania daszku, na którym stoję. Są w pobliżu jacyś ludzie, którzy się poruszają. To policjanci, którzy się tu zjawili, żeby zakończyć tragedię zakładników. Jeden z nich nawet na mnie wpada, ale nie orientuje się, kim jestem.

*Nie oddycham. Wstrzymałem oddech od chwili, gdy wyskoczyłem przez okno. Wiem, że oddychanie tak trującym dymem oznacza śmierć.*

Przemieszczał się blisko tych, którzy słyszeli jego kroki i nie wiedzieli, że to kroki więźnia, który przed chwilą zginął na ich oczach. Szedł po dachu w stronę błyszczących kawałków blachy, które przypominały swym wyglądem komin. Zsunął się do środka i oparł nogami i rękami o wewnętrzną część ścianek. Po chwili dotarł do miejsca, gdzie komin się zwęzał i gdzie trudno mu było znaleźć oparcie. Puścił się więc i opadł w dół szybu wentylacyjnego.

Pochyliam się i wpełzam w rurę o średnicy sześćdziesięciu centymetrów ciągnącą się w głąb budynku.

Przesuwam się metr po metrze, aż trafiam do pomieszczenia z aparaturą sterującą. Można stąd wyjść bezpośrednio do tunelu.

*Kładę się na plecach, węzełek z ubraniem wkładam pod głowę zamiast poduszki. Zostanę tu przynajmniej przez trzy dni, będę tu sikał, srał i czekał. Nie będę tęsknił ani czuł. Na razie nic innego dla mnie nie istnieje.*

Przyłożył ucho do drzwi.

Nie słyszał za dobrze, ale ktoś tam chyba był. Jacyś strażnicy szli tunelem, o tej porze więźniowie siedzą już w zamkniętych celach.

Dotknął dłonią twarzy i czaszki. Zarost usunięty, włosy przystrzyżone, na udach i stawach brak śladów zaschniętego moczu.

Jego nowe ubranie pachniało kimś innym. Czuł chyba perfumy albo wodę po goleniu. Tamten strażnik pewnie czegoś takiego używał.

Jakiś ruch za drzwiami, nadchodziła grupa osób.

Spojrzał na zegarek. Za pięć ósma.

Jeszcze chwilę musiał odczekać, właśnie szli strażnicy, którzy zamykali cele, a teraz wracali do domu. Musiał ich unikać, bo znali jego twarz. Pozostał w miejscu jeszcze przez kwadrans, w samym środku ciemnego pomieszczenia rozświetlonego kolorowymi lampkami.

Teraz.

Znowu szło kilka osób. O tej porze to chyba nocna zmiana.

Ci, którzy mają nocny dyżur, nigdy nie widzą osadzonych i dlatego nie znają ich twarzy.

Słuch miał bardzo osłabiony, ale był pewien, że już przeszli. Otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą.

Tylem do niego, w odległości około dwudziestu metrów, stali trzej strażnicy. Znajdowali się teraz w tunelu łączącym Blok G z wartownią. Jeden z mężczyzn był w jego wieku, pozostali dwaj znacznie młodsi, pewnie niedawno przeszkoleni. Pod koniec maja w zakładzie karnym w Aspsås zawsze potrzeba ludzi na zastępstwo. Przechodzą godzinne przeszkolenie, wkładają mundury i po kolejnych dwóch dniach szkolenia włączają się do pracy.

Cała trójka zatrzymała się przed zamkniętymi na klucz drzwiami dzielącymi tunel na mniejsze sekcje. Szybkim krokiem podszedł bliżej nich. Najstarszy z mężczyzn trzymał w ręce pęk kluczy i właśnie otwierał nimi drzwi.

– Czy moglibyście na mnie poczekać?

Odwrócili się w jego stronę i przyjrzeni mu się.

– Trochę się spóźniłem.

– Idziesz do domu?

– Tak.

W głosie strażnika nie czuć było podejrzliwości, po prostu zapytał kolegę z pracy, czy ten idzie do domu.

– Jesteś nowy?

– Jestem tak nowy, że nie dostałem jeszcze kluczy.

– To znaczy pracujesz tu krócej niż dwa dni?

– Od wczoraj.

– Tak jak ci dwaj tutaj. W takim razie jutro będzie wasz trzeci dzień.

Pierwszy dzień, gdy dostaną klucze do ręki.

Ruszył za nimi.

Widzieli go i rozmawiali z nim.

Był teraz jednym z czterech strażników, którzy szli podziemnym tunelem w stronę wartowni i wielkiej bramy wyjściowej.

Rozstali się przy schodach prowadzących w stronę Bloku A. Tamci trzej zaczęli dyżur, który potrwa jeszcze jedenaście godzin. Życzył im spokojnej nocy, a oni spojrzeli na niego z zazdrością. Za chwilę wróci do domu i będzie miał dla siebie cały wieczór.

Został sam w środku obszernego pomieszczenia. Miał przed sobą troje drzwi.

Pierwsze, na skos od niego, prowadziły do „cichego pokoju”, gdzie więzień widuje się ze swoją kobietą. Czasem adwokaci spotykają się tam ze swoimi klientami. To właśnie tam Stefan Łukasik dowiedział się, że w więzieniu znajduje się informator, wtyka, który jest członkiem ich organizacji. Od tej pory Hoffmannowi zaczęło grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Drugie drzwi były z tyłu. Za nimi zaczynał się korytarz prowadzący do Bloku G. Hoffmann prawie się roześmiał: mógłby teraz wrócić do swojej celi ubrany w mundur.

Spojrzał na trzecie drzwi.

Za nimi zaczynał się korytarz prowadzący na wartownię, gdzie przez całą dobę czuwał dyżurny wpatrzony w monitory. Miał przed oczami pełno ponumerowanych przycisków, za pomocą których mógł otworzyć drzwi we wszystkich celach.

W środku siedzieli dwaj strażnicy. Pierwszy z nich – ten przy okienku – był otyły, miał ciemną, zmierzwioną brodę i krawat zarzucony na ramię. Za nim siedział drugi strażnik, trochę chudszy, zwrócony plecami do wejścia. Miał ponad pięćdziesiąt lat i był chyba szefem tego pierwszego.

Hoffmann głęboko odetchnął i wyprostował się. Eksplozja nie tylko uszkodziła mu bębenki w uszach, ale także zakłóciła pracę błędnika.

– Do domu w mundurze? Tak wcześnie?

– Słucham?

Strażnik o okrągłej twarzy i z rzadkim zarostem na brodzie spojrział na niego.

– Jesteś chyba jednym z nowych?

– Tak.

– I wracasz już do domu w mundurze?

– Tak wyszło.

Strażnik się uśmiechnął. Trochę porozmawia z tym nowym, czas nie będzie mu się tak dłużył.

– Na dworze jest ciepło. Piękny wieczór.

– Pewnie tak.

– Idziesz od razu do domu?

Strażnik odchylił się trochę w bok i przestawił wiatraczek stojący na biurku. Trochę świeżego powietrza w tym dusznym pomieszczeniu na pewno się przyda. Teraz drugi ze strażników, ten z rzadkimi włosami, stał się bardziej widoczny.

Od razu go rozpoznał.

– Tak, chyba wrócę prosto do domu.

– Ktoś na ciebie czeka?

Lennart Oscarsson.

Naczelnik więzienia, którego pobił kilka dni temu. Uderzył go pięścią w twarz.

– Już wyjechali. Ale zobaczymy się rano.

Oscarsson złożył segregator i odwrócił się w jego stronę. Żadnej reakcji.

– Wyjechali? Kiedyś też miałem rodzinę, ale nie wiem, czy...

– Bardzo przepraszam...

– Słucham?

– Trochę mi się spieszy.

Krawat nadal przewieszony przez ramię. Widać na nim plamy po jedzeniu. A może po prostu jest wilgotny i w taki sposób się suszy?

– Spieszy? A komu się dzisiaj nie spieszy, do cholery?

Strażnik przejechał dłonią po brodzie. Poczł się urażony.

– Oczywiście. Możesz iść. Już otwieram.

DWA KROKI DO WOLNOŚCI. Strażnik siedzący w wartowni otworzył mu drzwi od środka.

Piet Hoffmann odwrócił się i skinął mu głową. Strażnik pomachał mu ręką poirytowany.

Lennart Oscarsson nadal za nim stał.

Ich oczy się spotkały.

HOFFMANN SPODZIEWAŁ SIĘ, że usłyszy krzyki, że ktoś zacznie go gonić.

Nic takiego się nie stało.

Mężczyzna, który był świeżo ogolony, miał krótko przystrzyżone włosy i mundur strażnika na sobie, wyszedł przez bramę więzienia

i poszedł swoją drogą. Może i wydał się znajomy, ale nie miał nazwiska.  
Ci, którzy przychodzą na letnie zastępstwa, rzadko mają imię i nazwisko.  
Uśmiechnął się.  
Zapowiada się piękny wieczór.

JESZCZE JEDEN DZIEŃ PÓŹNIEJ

EWERT GRENS SIEDZIAŁ PRZY biurku przed regałem na książki. Nadal widział na nim wielkie, puste miejsce, bez względu na to, jak bardzo starał się je czymkolwiek wypełnić. Widział też grubą warstwę kurzu – bez względu na to, jak często go wycierał. Tkwił tak już prawie od trzech godzin. Postanowił, że będzie siedział tak długo, aż stwierdzi, czy to, co właśnie zobaczył, warto jest zachodu, czy powinien się tym dalej zajmować. Bo być może była to ważna chwila, ale nie miała żadnego znaczenia, jeśli wiedzą o niej nie podzieli się później z kimś innym.

Zapowiadał się piękny ranek.

Grens spał na swojej służbowej kanapie przy otwartym oknie wychodzącym na dziedziniec komendy. Obudził go dopiero pierwszy warkot silnika ciężarówki jadącej Bergsgatan. Przez moment stał przy oknie, wpatrując się w błękitne niebo, po czym wziął do każdej ręki po filiżance kawy i pojechał windą kilka pięter wyżej, do aresztu.

Nie mógł się przed tym powstrzymać.

Jeśli przyjdzie się tam dość wcześnie i jeśli pogoda jest ładna, można przez kilka godzin chodzić wzdłuż wyraźnej linii, którą o tej porze słońce zaznacza na korytarzu. Tego ranka Grens pojawił się tam w chwili, kiedy blask był najbardziej intensywny. Nie mógł odmówić sobie tej przyjemności i przeszedł obok trzech cel, które już czekały i wkrótce się zapełnią. Ågestam dał całej trójce jeszcze trochę czasu, ale w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin Grens odbierze od niego nakazy, na podstawie których będzie mógł zatrzymać komendanta głównego policji, komendanta wojewódzkiego policji i panią podsekretarz stanu z Ministerstwa Sprawiedliwości.

Pustka na regale. Odniósł wrażenie, że stawała się coraz większa.

Będzie mu się tak zdawało do momentu, aż się zdecyduje.

Przez dwa dni przeglądał nagranie z kamer w zakładzie karnym w Aspsås, klatkę po klatce, zaglądał za drzwi i w głąb tunelu, za szare mury i ogrodzenie z drutem kolczastym. Aż do chwili, gdy nastąpił wybuch, pojawił się dym i zwłoki. Studiował raporty badań laboratoryjnych przeprowadzonych przez Krantza i protokół z sekcji zwłok przesłany przez Errforsa. Jeszcze raz przeczytał wszystkie protokoły przesłuchań, które przeprowadzili Sundkvist i Hermansson.

Najdłużej zatrzymał się w dwóch miejscach.

Najpierw wydruk rozmowy, którą tuż przed oddaniem strzału strzelec wyborowy przeprowadził ze swoim obserwatorem.

Rozmawiali wtedy o dywanie, w który Hoffmann zawinął zakładnika i związał go jakąś liną. Ze śledztwa wynika, że był to lont pentrytu.

Dywan tłumi energię wybuchu, kieruje ją w dół i chroni tego, kto stoi w pobliżu.

Przesłuchanie strażnika, Martina Jacobsona.

Jacobson opisuje, jak Hoffmann obłożył skórę zakładnika niewielkimi plastikowymi torebkami wypełnionymi jakąś cieczą. Ze śledztwa wynika, że była to nitrogliceryna.

Było jej tyle, że ciało rozprysło się na drobne kawałeczki, przez co identyfikacja nigdy nie będzie możliwa.

Grens roześmiał się na cały głos.

Stał pośrodku pokoju, spoglądał na magnetofon i wydruki leżące na biurku i śmiał się na cały głos. Nie przestał nawet wtedy, gdy opuszczał komendę, żeby pojechać do Aspsås. Kiedy znalazł się na wartowni, poprosił o wszystkie taśmy zawierające nagrania z kamer po godzinie czternastej dwadzieścia sześć z dwudziestego siódmego maja i z kolejnych dni. Przyniósł sobie kawy z automatu i rozsiadł się wygodnie, żeby dokładnie przestudiować każdą chwilę, jaka upłynęła od oddania strzału z wieży kościoła.

Już wiedział, czego szuka.

Wybrał kamerę numer czternaście wiszącą na wartowni. Stopniowo przewijał nagranie i zatrzymywał je za każdym razem, gdy na ekranie pojawiały się osoby wychodzące z terenu więzienia na zewnątrz. Strażnicy, rodziny więźniów, osadzeni, dostawcy... Wszyscy oni musieli przejść obok kamery, pokazać przepustkę, wpisać się do książki wyjść. Większość jednak po prostu przechodziła, bo strażnik znał ich osobiście.

Tym sposobem Grens dotarł w końcu do taśmy z nagrajami z czwartego dnia po dramacie.

I od razu się domyślił, co zobaczył.

Okolo godziny dwudziestej sześć w wartowni pojawił się mężczyzna z krótko przystrzyżonymi włosami w mundurze strażnika. Wychodząc, przez chwilę spoglądał w kamerę. Być może trwało to trochę zbyt długo.

Grens poczuł gwałtowny ucisk w żołądku i klatce piersiowej. Zazwyczaj objawy te zapowiadały wybuch wściekłości. Jednak tym razem było inaczej.

Zatrzymał taśmę i przewinął ją do tyłu. Przyglądał się mężczyźnie, który przez chwilę rozmawiał ze strażnikiem, a potem zerknął w stronę kamery, dokładnie tak, jak zrobił to trzy tygodnie wcześniej, w obecności innego strażnika, koło innej wartowni, w Kancelarii Rządu. Obserwował



go na ujęciach z kamer numer piętnaście i szesnaście, jak opuszcza wartownię, przechodzi przez główną bramę i oddala się. Zauważył, że mężczyzna ma kłopoty z utrzymaniem równowagi. To był przecież potężny wybuch, jeden z tych, które mogą spowodować pęknięcie bębneków.

*A więc ty żyjesz.*

To dlatego Grens siedział od trzech godzin przy biurku i spoglądał na regał, gdzie pustego miejsca coraz bardziej przybywało.

*A więc nie zabiłem cię.*

To dlatego musi teraz zdecydować, czy to, co zobaczył, jest ważne, czy też pozbawione znaczenia, skoro nikt inny o tym nie wie.

*Hoffmann żyje. Wy też go nie zabiliście.*

Głośno się roześmiał i wyjął z szuflady biurka dokument. Było to wezwanie do odbioru nakazów zatrzymania. Ich efektem będą wyroki skazujące i wieloletnie kary więzienia dla trzech wysokich urzędników państwowych, którzy nadużyli władzy.

Roześmiał się głośniejszym niż przedtem i zaczął tańczyć w pustym pokoju. Przez chwilę nucił coś po cichu. Gdyby jednak ktoś przechodził wtedy koło jego pokoju, z pewnością usłyszałby słynny przebój z lat sześćdziesiątych, który wykonywała Siw Malmkvist.

KOLEJNY DZIEŃ PÓŹNIEJ

WYGLĄDAŁO TO TAK, JAKBY NIEBO waliło mu się na głowę.

Erik Wilson stał na asfaltowym podwórzu i czuł, jak cienka koszula przykleja mu się do ciała, a podenerwowane muchy szukają czegoś między kroplami potu. Dziewięćdziesiąt dziewięć stopni w skali Fahrenheita to trochę więcej niż wynosi temperatura ludzkiego ciała. Za dwie godziny, kiedy nadejdzie południe, będzie tu jeszcze bardziej gorąco, bo o tej porze dnia już wszędzie z nieba leje się żar.

Wytarł czoło mokrą chusteczką i nie był pewien, co jest bardziej wilgotne: skóra czy chusteczka. Z trudem zachowywał skupienie w sali wykładowej, bo rano wysiadła klimatyzacja w całym budynku i dlatego dyskusja pod nazwą „Zaawansowana infiltracja”, jaka miała się rozwinąć w dalszej części wykładu, zakończyła się wcześniej, niż planowano. Ochoty na jej prowadzenie zabrakło nawet komendantom policji z zachodnich stanów, którzy w normalnych warunkach bardzo lubili brzmienie własnych głosów.

Spojrzał jak zwykle na plac ćwiczeń, gdzie za ogrodzeniem i drutem kolczastym sześciu ubranych na czarno mężczyzn próbowało osłaniać siódmego. Potem rozległy się strzały z dwóch niskich budynków. Wtedy dwóch z tych sześciu rzuciło się na chroniony obiekt, a samochód odjechał z piskiem opon. Wilson uśmiechnął się, bo wiedział, jak zakończy się całe to wydarzenie. Prezydent znowu przeżyje, a ci, którzy do niego strzelali, nie trafią. Secret Service wygrywa za każdym razem. Ćwiczenie wyglądało tak samo jak trzy tygodnie wcześniej. Uczestnicy byli inni, ale przebieg zdarzenia taki sam.

Spojrzał na bezchmurne niebo. Może słońce go obudzi.

Najpierw myślał, że to z powodu gorąca. Ale chodziło o coś innego.

Chodziło o to, że go tam nie było.

Nie mógł zjawić się tam wtedy, bo brał udział w szkoleniu w Georgii, dlatego nie było go w tamtym pokoju. Siły go opuściły, przestał myśleć.

Minęły już cztery dni od chwili, gdy zadzwonił do niego Sven Sundkvist i poprosił, żeby przyjechał do Jacksonville, siedemdziesiąt kilometrów od granicy stanu, żeby zjeść z nim lunch w restauracji, gdzie na białym obrusie będzie można postawić laptop i obejrzeć pewne nagranie. Zobaczył twarz Pauli w oknie i eksplozję, po której pojawiły się kłęby czarnego dymu.

Pracowali ze sobą prawie dziewięć lat.

Paula mu podlegał. Był jego przyjacielem.

Wilson ruszył w stronę hotelu, żeby nie wystawiać się na promienie słońca. W wielkim lobby panował chłód. Pełno tu było ludzi, którym nie chciało się wyjść na zewnątrz. Wilson poszedł do windy i wjechał na piąte piętro. Mieszkał w tym samym pokoju co poprzednio.

Rozebrał się, wziął chłodny prysznic i położył się w szlafroku na narzucie.

A więc sypnęli go.

Potem udawali, że nic nie wiedzą albo że nic się nie stało.

Podniósł się, bo nagle poczuł całkowitą bezradność. Przejrzał „USA Today” i „New York Timesa”, obejrzał w telewizji kilka reklam środków piorących i miejscowych kancelarii adwokackich. Nie było go tam, choć bardzo się starał. Zaczął krążyć po pokoju, aż w końcu zatrzymał się przy telefonach komórkowych, które sprawdzał rano. Były jego jedynym sposobem na kontaktowanie się z informatorami. Pięć aparatów leżało w rzędzie obok siebie na biurku, od kiedy przyjechał tu poprzedniego wieczoru. Zazwyczaj sprawdzał je raz dziennie, ale tym razem zrobił to ponownie.

Podnosił każdy po kolei i sprawdzał.

Kiedy wziął do ręki czwarty telefon i spojrzął na wyświetlacz, usiadł na łóżku i zadrzał.

#### NIEODEBRANE POŁĄCZENIE.

Pod numer, który powinien skasować, ponieważ przypisany do niego informator już nie żył.

JUŻ NIE ŻYJESZ, ALE KTOŚ ma twój telefon i sprawdza.

ZACZAŁ SIĘ POCIĆ, ALE NIE z powodu upału. Ten gorąc pochodził ze środka, czuł, jak coś go pali i kłuje. Nigdy wcześniej tego nie doświadczył.

Ktoś zdobył twój telefon. Ktoś go znalazł i wybrał jedyny numer, jaki był w nim zakodowany.

Kto?

Któryś ze śledczych? Ktoś, kto cię ścigał?

W pokoju było prawie chłodno. Wilson zaczął marznąć, więc zdjął narzutę i wszedł pod kołdrę, która pachniała perfumowanymi środkami piorącymi. Leżał tam tak długo, aż znowu zaczął się pocić.

To ktoś, kto nie wiedział, do kogo ten telefon należy. Ktoś, kto dzwonił do abonenta, który nigdzie nie był zarejestrowany.

Znowu poczuł chłód, jeszcze większy niż poprzednio. Gruba kołdra zaczęła go drapać w skórę.

Powinien oddzwonić. Posłucha głosu po drugiej stronie bez ryzyka, że ktoś go rozpozna.

Wybrał numer.

Fala dźwiękowa pomknęła na drugą stronę kuli ziemskiej. Sekundy trwały tyle co godziny i lata, aż w końcu rozległ się długi sygnał.

Wilson wsłuchiwał się w dźwięk, który trzy razy dotarł do jego uszu.

W końcu usłyszał głos, który znał od prawie dziewięciu lat.

– Zadanie wykonane.

Ostrożny oddech w słuchawce, w każdym razie tak to zabrzmiało. A może po prostu z powodu zakłóceń atmosferycznych sygnał był za słaby?

– Firma Securitus International została wyeliminowana z Aspsås.

Wilson położył się ostrożnie na łóżku, jakby się bał, że osoba ze słuchawki nagle gdzieś zniknie.

– Za godzinę spotkamy się na trójce.

SŁYSZĄC TO, WILSON UŚMIECHNĄŁ się, bo słowa mieszały się z innym dźwiękiem, który przypominał zapowiedź na lotnisku.

Pewnie już dawno temu zaczął przeczuwać, że tak to się może skończyć.

Teraz już wie, więc mu odpowiedział.

– Może innym razem i w innym miejscu.

# Od autorów

*Trzy sekundy* to powieść o współczesnych przestępcach, ale także o policji i służbie więziennej, które się nimi zajmują.

Powieść to coś, co daje autorom duże pole swobody.

Mogą łączyć prawdę z fikcją.

Prawda: Policja od wielu lat wykorzystuje przestępców jako swoich informatorów i wtyki. Jednak z różnych względów zaprzecza, że taka współpraca ma miejsce, i próbuje ją ukrywać. Żeby móc rozwiązywać poważne przestępstwa, policja marginalizuje drobną przestępczość, przez co część śledztw i procesów sądowych prowadzona jest bez koniecznego materiału dowodowego.

Fikcja: Ewert Grens nie istnieje.

Prawda: Tylko przestępcy mogą udawać przestępców i jeśli zachodzi taka potrzeba, werbuje się ich do współpracy już w areszcie śledczym. Żeby stworzyć im nowe wiarygodne życiorysy, policja wykorzystuje swoje bazy danych. Stałą metodą w pracy policji stało się fałszowanie informacji, o czym społeczeństwo nie wie.

Fikcja: Sven Sundkvist nie istnieje.

Prawda: Dzisiejsi przestępcy informatorzy przypominają tych, o których dawniej mówiono „wyjęty spod prawa”. Kiedy ktoś odkryje prawdziwą tożsamość takiej osoby, policja zaprzecza, że z nim współpracuje, i umywa ręce. Wtedy do akcji wkracza organizacja, którą policja próbowała rozpracować, i sama wymierza tej osobie sprawiedliwość. Kierownictwo policji jest zdania, że konwencjonalne metody pozyskiwania informacji nie wystarczą, aby rozbić

zorganizowaną przestępczość, i dlatego w przyszłości chce jeszcze bardziej rozwinąć współpracę z informatorami.

Fikcja: Mariana Hermansson nie istnieje.

Prawda: Większość osadzonych w zakładach karnych to nałogowi narkomani. W więzieniu też mogą zaopatrywać się w narkotyki. Po odbyciu kary narkoman ponownie zaczyna popełniać przestępstwa, żeby zdobyć pieniądze na codzienny zakup działki i żeby spłacić długi, które zaciągnął w więzieniu.

Fikcja: Zakład karny Aspsås nie istnieje.

Prawda: Wszyscy, którzy starają się pomóc przestępcom zejść ze złej drogi, wiedzą, że nałóg to prosta droga do przestępczości. Mimo to narkotyki można ukryć w bukiecie tulipanów wysłanych naczelnikowi więzienia, w książkach wypożyczonych z biblioteki, w plastikowych torebkach ukrytych w muszli klozetowej i tak dalej. Można je też rozprowadzać po więzieniach, nawet tych, gdzie obowiązuje zaostrzony rygor. Służba więzienna może przeciwdziałać praktykom polegającym na wprowadzaniu narkotyków do obiegu – „Tylko jak, przecież więzienie to zamknięty system” – ale świadomie z tego rezygnuje.

Fikcja: Lennart Oscarsson nie istnieje.

Prawda: Narkotyki to skuteczny środek uśmierzający strach. Przeciętny narkoman szprycuje się prochami, potem wypożycza stopy pisemek pornograficznych i wraca do celi, żeby się onanizować. Dlatego też system bez narkotyków wywołuje w więzieniu chaos i strach, przez co stawia personelowi więziennemu o wiele wyższe wymagania. Jeśli w zakładzie karnym nie będzie więźniów szprycujących się regularnie substancjami chemicznymi, personel więzienny będzie musiał stale podnosić swoje kwalifikacje. Społeczeństwo będzie musiało wydać na to dodatkowe pieniądze. A kto lubi wydawać pieniądze?

Fikcja: Martin Jacobson nie istnieje.

\*

Na nasze specjalne słowa podziękowania zasługują:

Billy, Kenta, Lasse, C.R. oraz T. którzy odsiadawali albo nadal odsiadują wieloletnie wyroki więzienia i spędzili więcej lat za murami niż na wolności, a kiedy pisaliśmy tę książkę, stali się dla nas – podobnie jak to było wcześniej – źródłem nieocenionej wiedzy o świecie kryminalnym. Dzięki nim dowiedzieliśmy się, dlaczego napełniając tulipany amfą, trzeba zapewnić odpowiednią temperaturę, albo z jakiej substancji musi być zrobiona masa otaczająca narkotyk przewożony w żołądku kuriera, albo jak wygląda toaleta przy warsztacie znajdującym się na terenie zakładu karnego o zaostrzonym rygorze. Gorliwość, z jaką pomagaliście nam wyjaśniać te sprawy, wzmacnia naszą wiarę w sens odróżniania złych ludzi od złych uczynków.

Mądrzy i dzielni policjanci, którzy oświecali nam drogę wiodącą przez szarą strefę, gdzie świat policji styka się ze światem przestępczym. Bez waszej pomocy nie umielibyśmy opisać, jak współpraca z przestępcami informatorami narusza fundament bezpieczeństwa w systemie demokratycznym, choć my, którzy w tym systemie żyjemy, jesteśmy święcie przekonani, że taki fundament istnieje i jest trwały.

Personel więzienny: strażnicy, wychowawcy, naczelnicy, którzy w trakcie spotkań z nami odczuwali wewnętrzne rozterki, bo chcieli udzielić informacji, których potrzebowaliśmy, a system zmuszał ich do sięgania po nożyczki, żeby własne mundury pociąć na szmatki do mycia samochodu.

Reine Adolfsson – za informacje w sprawie materiałów wybuchowych; Janne Hedström – za informacje z zakresu technik kryminalistycznych; Henrik Hjulström – za informacje o strzelcach wyborowych; Henrik Lewenhagen i Lasse Lagergren – za wiedzę z zakresu medycyny; Dorota Ziemiańska – za to, że zna język polski o wiele lepiej od nas.

Fia Roslund – że byłaś przy nas w trakcie pisania tej książki.

Niclas Breimar, Ewa Eiman, Mikael Nyman, Daniel Mattisson i Emil Eiman-Roslund za trafne komentarze do tekstu.

Niclas Salomonsson, Tor Jonasson, Catherine Mörk, Szilvia Molnar i Leyla Belle Drake z firmy Salomonsson Agency za energię, wiedzę i obecność przy nas, zarówno w kraju, jak i za granicą.



Eric Thunfors – za okładki, które tak bardzo nam się podobają; Astrid Sivander i Lise-Lotte Olaisen za wykonanie korekty tekstu.

Mattias Boström, Cherie Fusser, Anna Hirvi Sigurdsson, Jonna Holmgren, Lasse Jexell, Madeleine Lawass, Anna Carin Sigling, Ann-Marie Skarp, Karin Wahlén i Lottis Wahlöö z wydawnictwa Piratförlaget – za stworzenie serdecznej atmosfery za każdym razem, gdy przekraczaliśmy progi wydawnictwa.

Na szczególne słowa podziękowania zasługuje Sofia Brattselius Thunfors – nasz wydawca.

[1] *Krysha* (ros.) – dach.

[2] Odpowiednik naszego numeru PESEL.